

MILION sprzedanych EGZEMPLARZY
w Stanach Zjednoczonych

Cheryl
Strayed

*Dzika
droga*

Jak odnalazłam siebie

EKRANIZACJA KSIĄŻKI W KINACH

Cheryl Strayed

DZIKA DROGA

Jak odnalazłam siebie

Kraków 2015

znak *litera*
nova

*Dla Briana Lindstroma
I dla naszych dzieci: Carvera i Bobbi*

Od autorki

Pisząc tę powieść, opierałam się na swoich dziennikach, informacjach, które udało mi się wyszukać, opiniach ludzi, którzy występują w tej powieści, oraz własnych wspomnieniach o wydarzeniach i tamtym czasie w moim życiu. Zmieniłam imiona większości osób, które się tu pojawiają, a niekiedy, by umożliwić im zachowanie anonimowości, zmieniłam też pewne szczegóły, po których można byłoby je rozpoznać. Nie ma tu ani postaci, ani zdarzeń, które zostałyby skompilowane z kilku innych. Od czasu do czasu pomijam pewne osoby lub sytuacje, ale tylko jeśli nie miały wpływu na prawdziwość albo przesłanie tej historii.

Wstęp

Drzewa były wysokie, ale stojąc na stromym górskim zboczu w południowej Kalifornii, górowałam nad nimi. Chwilę wcześniej ściągnęłam górskie buty i lewy zginął pomiędzy drzewami, najpierw szybując w powietrze, gdy potracił go mój ogromny plecak, a potem turlając się po żwirowym szlaku, aż przeleciał nad krawędzią. Zanim zniknął w koronach drzew, odbił się od skalnego występu kilka metrów pode mną. Nie sposób było go odzyskać. Wydałam z siebie okrzyk zdumienia, choć byłam w głuszy już od trzydziestu ośmiu dni i wiedziałam, że wszystko może się zdarzyć i na pewno zdarzy. Nie znaczy to jednak, że nie byłam zaskoczona, gdy tak się właśnie stało.

Mój but przepadł bezpowrotnie.

Chwyciłam jego towarzysza i przytuliłam do siebie jak małe dziecko, choć oczywiście nie miało to sensu. Jaką wartość ma but bez swojej pary? Żadną. Jest bezużyteczny, na zawsze staje się sierotą i nie ma po co się nad nim litować. Był teraz ciężarem, zbędnym balastem. But marki Raichle, z brązowej skóry, z czerwoną sznurówką i dziurkami ze srebrzystego metalu. Podniosłam go wysoko i wyrzuciłam z całej siły, obserwując, jak ląduje w gęstwinie drzew i znika z mojego życia.

Zostałam sama. Bosa. Miałam dwadzieścia sześć lat i byłam sierotą. „Naprawdę zabłąkana”* – powiedział dwa tygodnie wcześniej pewien nieznajomy, dowiedziawszy się, jak się nazywam i że nie czuję się z niczym i z nikim związana. Ojciec zniknął z mojego życia, gdy miałam sześć lat. Mama zmarła, gdy miałam dwadzieścia dwa. Na skutek jej śmierci mój ojczym zmienił się z osoby, którą uznawałam za ojca, w kogoś, kogo ledwie byłam w stanie rozpoznać. Rodzeństwo rozpięchło się, pogrążone we własnym żalu, mimo moich wysiłków, byśmy trzymali się razem. W końcu poddałam się i również oddaliłam od nich.

Na długo zanim rzuciłam but w przepaść, sama próbowałam się w nią rzucić. Zapuszczałam się daleko, włóczyłam, odgradzałam od wszystkiego – z Minnesoty do

Nowego Jorku i Oregonu, i przez cały zachód – aż w końcu latem 1995 roku znalazłam się bez butów, bardziej złączona ze światem niż od niego oddzielona.

Był to świat, którego nigdy wcześniej nie widziałam, choć zawsze wiedziałam o jego istnieniu. Świat, w który wkroczyłam niepewnie, pogrążona w żalu i zamęcie, pełna strachu i nadziei. Świat, który – jak sądziłam – uczyni mnie zarówno kobietą, jaką wiedziałam, że mogę się stać, jak i dziewczyną, jaką kiedyś byłam. Świat, który miał pół metra szerokości i 4285 kilometrów długości.

Świat, który nazywał się Pacific Crest Trail.

Pierwszy raz usłyszałam o nim zaledwie siedem miesięcy wcześniej, kiedy mieszkałam w Minneapolis, byłam smutna, zrezygnowana, o krok od rozwodu z mężczyzną, którego wciąż kochałam. Stałam w kolejce w sklepie ze sprzętem turystycznym, żeby kupić składaną szufłę, kiedy wzięłam do ręki z pobliskiej półki książkę *The Pacific Crest Trail*, tom 1: *California*, i przeczytałam notkę na tyle okładki. Według niej PCT był ciągnącym się przez dzicz szlakiem, który zaczynał się na granicy z Meksykiem w Kalifornii i kończył tuż za granicą z Kanadą, biegnąc granią dziewięciu pasm górskich – Laguna, San Jacinto, San Bernardino, San Gabriel, Liebre, Tehachapi, Sierra Nevada, Klamath i Gór Kaskadowych. W linii prostej miał nieco ponad 1600 kilometrów, ale w istocie był niemal dwukrotnie dłuższy. Ciągnął się przez całą Kalifornię, Oregon i Waszyngton, parki narodowe i rezerwy, obszary federalne, plemienne i prywatne, pustynie, góry i lasy, przecinając rzeki i autostrady. Odwróciłam książkę i spojrzałam na okładkę – otoczone głazami jezioro, nad którym górowały skaliste granie i błękitne niebo – po czym odłożyłam ją na półkę, zapłaciłam za łopatę i poszłam sobie.

Później jednak wróciłam do sklepu i kupiłam tę książkę. Pacific Crest Trail nie był dla mnie wtedy realnym światem. Był niejasnym i dziwacznym wyobrażeniem, równie obiecującym, jak tajemniczym. Gdy palcem na mapie śledziłam poszarpaną linię szlaku, zakiełkowała we mnie pewna idea.

Postanowiłam, że przejdę tą linią – a przynajmniej pokonam jej tyle, ile zdołam w ciągu stu dni. Mieszkałam sama w kawalerce w Minneapolis, byłam w separacji z mężem, pracowałam jako kelnerka i czułam się tak nieszczęśliwa i zagubiona jak nigdy wcześniej. Każdego dnia miałam wrażenie, jakbym spoglądała w górę z dna

głębokiej studni. Ale właśnie w tamtej studni zaczęłam przemieniać się w samotną podróżniczkę, która pieszo przemierza dzikie tereny. A czemu nie? Zdążyłam już przyjąć tyle różnych ról. Byłam kochającą żoną i cudzołożnicą. Ukochaną córką, która teraz samotnie spędzała święta. Prymuską z ambicjami i osobą marzącą o karierze pisarskiej, która zmieniała nic nieznaczące prace jak rękawiczki, eksperymentowała z narkotykami i sypiała ze zbyt wieloma mężczyznami. Byłam wnuczką górniką z Pensylwanii i córką hutnika, który został sprzedawcą. Po rozwodzie rodziców mieszkalam z matką, bratem i siostrą w kompleksie budynków mieszkalnych, w których roiło się od samotnych matek i ich dzieci. Jako nastolatka mieszkalam w samodzielnie utrzymującym się gospodarstwie w północnych lasach Minnesoty, w domu, który nie miał w środku toalety, elektryczności ani bieżącej wody. Mimo to w liceum zostałam cheerleaderką i królową balu maturalnego, a gdy poszłam do college'u, stałam się skrajnie lewicową feministką.

Ale kobietą, która sama przemierza ponad 1700 kilometrów? Nigdy wcześniej kimś takim nie byłam. Ale nie miałam nic do stracenia, próbując.

Teraz, kiedy stałam boso na tej górze w Kalifornii, wydawało mi się, że nierozsądną poniekąd decyzję, by samotnie przejść PCT i spróbować ocalić siebie, podjęłam lata temu, w innym życiu. Jeszcze kiedy wierzyłam, że to, kim byłam wcześniej, przygotowało mnie na taką wyprawę. Nic podobnego. Każdy dzień na szlaku był jedynym możliwym sposobem przygotowania na ten, który miał nastąpić. A czasem nawet i poprzedzający dzień nie przygotował mnie na to, co miało się zdarzyć dalej.

Na przykład na to, że moje buty bezpowrotnie poszybują ze zbocza góry.

Jeśli mam być szczerą, tylko w połowie było mi przykro, że przepadły. W ciągu sześciu tygodni spędzonych w tych butach przeszłam przez pustynie i śniegi, mijałam w nich drzewa i krzewy, trawy i kwiaty wszelkich kształtów, rozmiarów i kolorów, wspinałam się i schodziłam z góry, przemierzałam pola, zbocza i pasma ziemi, o których nie mogłam powiedzieć nic więcej, poza tym że je widziałam, minęłam lub przeszłam. Przez cały ten czas buty odgniatyły bąble i obcierały do krwi. Sprawily, że moje paznokcie zrobiły się czarne i boleśnie zeszyły mi z czterech palców. Miałam dość tych butów, a one mnie, zanim jeszcze je straciłam, mimo że jednocześnie je

kochałam. Stały się dla mnie czymś więcej niż przedmiotami. Były częścią mnie, tak jak właściwie wszystkie pozostałe rzeczy, które tego lata miałam ze sobą – plecak, namiot, śpiwór, filtr do wody, kuchenka turystyczna i mały pomarańczowy gwizdek, który nosiłam w zastępstwie pistoletu. Znałam te przedmioty i mogłam na nich polegać. Dzięki nim dałam sobie radę.

Popatrzyłam na drzewa poniżej, które delikatnie kołysały się od podmuchów gorącego wiatru. „Mogą sobie zatrzymać moje buty” – pomyślałam, wpatrując się w zieloną połąć. Postanowiłam odpocząć w tym miejscu ze względu na widok. Było późne popołudnie w środku lipca. Znajdowałam się z dala od cywilizacji, na łonie natury, wiele dni drogi od samotnej poczty, z której miałam odebrać kolejną paczkę z zapasami. Istniała szansa, że spotkam kogoś na szlaku, ale zdarzało się to bardzo rzadko. Zwykle całymi dniami nikogo nie widywałam. To, czy na kogoś trafię, nie miało jednak znaczenia. I tak byłam zdana na siebie.

Utkwiłam wzrok w swoich gołych, zmasakrowanych stopach z resztkami paznokci. Były przeraźliwie blade aż do linii sięgającej parę centymetrów powyżej kostek, gdzie kończyły się wełniane skarpety, które zazwyczaj nosiłam. Łydki nad nimi były umięśnione, opalone i owłosione, brudne od ziemi i usiane konstelacją siniaków i zadrapań. Zaczęłam iść przez pustynię Mojave i nie miałam zamiaru się zatrzymać, póki nie dotknę dłonią mostu przebiegającego nad rzeką Kolumbia na granicy Oregonu i Waszyngtonu, dumnie zwanego Bridge of the Gods – Mostem Bogów.

Spojrzałam na północ, w jego stronę – sama myśl o tym moście była dla mnie jak latarnia wskazująca drogę. Spojrzałam na południe, skąd przyszłam, na dzikie ziemie, które dały mi lekcję i spaliły słońcem. Zastanowiłam się, jaki mam wybór. Dla mnie istniał tylko jeden. Tylko jedno wyjście.

Iść dalej.

* Nazwisko autorki – Strayed – to forma imiesłowowa czasownika „to stray” – błąkać się, zboczyć z drogi (przyp. tłum.).

Część pierwsza DZIESIĘĆ TYSIĘCY RZECZY

„Upadek wielkości

Tak wyjątkowej wstrząsnąć musi światem”.

William Szekspir, *Antoniusz i Kleopatra*
(tłum. J. Limon, W. Zawistowski)

Rozdział 1

Dziesięć tysięcy rzeczy

Moja trwająca trzy miesiące samotna piesza wędrówka przez Pacific Crest Trail miała wiele początków. Najpierw pojawił się spontaniczny pomysł, by zrobić coś takiego, a po nim poważna decyzja, żeby naprawdę to zrobić. Potem nastąpił długi trzeci początek, na który składały się tygodnie zakupów, pakowania i przygotowań. Musiałam zrezygnować z pracy kelnerki, sfinalizować rozwód i sprzedać właściwie wszystko, co miałam, pożegnać się z przyjaciółmi i po raz ostatni odwiedzić grób mamy. Musiałam przejechać samochodem z Minneapolis do Portland w Oregonie, by kilka dni później złapać samolot do Los Angeles, przejechać do miasta o nazwie Oe, a stamtąd dostać się do miejsca, gdzie szlak PCT przecinał autostradę.

Kiedy po tak długim czasie nadszedł moment, gdy w końcu mogłam zrobić, co zamierzyłam, dopadła mnie przygnębiająca świadomość, z czym to się naprawdę wiązało. Postanowiłam więc zrezygnować, bo mój plan był niedorzeczny, bezcelowy i absurdalnie trudny, a jego wykonanie przekraczało moje wyobrażenia i w żadnym wypadku nie byłam do niego przygotowana.

Aż w końcu przyszedł moment, gdy to zrobiłam.

Zostałam i mimo wszystko wykonałam, co zamierzyłam. Mimo niedźwiedzi, grzechotników i tropów pum, choć samych pum nigdy nie zobaczyłam, mimo pęcherzy na stopach, strupów, otarć i zadrapań. Mimo wyczerpania i niedostatku, mrozu i upału, monotonii i bólu, pragnienia i głodu, chwały i duchów, które dręczyły mnie, gdy szłam samotnie ponad 1700 kilometrów z pustyni Mojave do stanu Waszyngton.

A kiedy doprowadziłam swój plan do końca i po wielu dniach ukończyłam całą trasę, dotarło do mnie, że to, co uważałam za początek wyprawy, wcale nim nie było. W rzeczywistości moja wędrówka przez Pacific Crest Trail nie zaczęła się, gdy podjęłam spontaniczną decyzję, by ruszyć w tę podróż. Zaczęła się, zanim jeszcze przyszła mi do głowy, a dokładnie cztery lata, siedem miesięcy i trzy dni wcześniej,

kiedy stałam w niewielkim gabinecie lekarskim w klinice Mayo w Rochester w stanie Minnesota i dowiedziałam się, że moja mama umiera.

Byłam ubrana na zielono. Zielone spodnie, zielona koszula, zielona kokardka we włosach. Strój zrobiła moja mama – szyła mi ubrania, odkąd pamiętałam. Niektóre z nich były dokładnie takie, jakie chciałam, inne podobały mi się mniej. Zielony zestaw nie należał do moich ulubionych, ale i tak go nosiłam – jako pokutę, ofiarę, talizman.

W dniu, w którym ubrana w zielony komplet, towarzyszyłam mamie i ojczymowi Eddiemu, gdy krążyli po piętrach kliniki Mayo, by wykonać kolejną serię badań, powtarzałam sobie pewną modlitwę, choć „modlitwa” nie jest najlepszym słowem na opisanie tego, co chodziło mi po głowie. Nie byłam pokorna wobec Boga. Nawet w niego nie wierzyłam. Moja modlitwa to nie było jakieś: „Boże, zlituj się nad nami”.

Nie miałam zamiaru prosić o łaskę. Nie potrzebowałam jej. Moja mama miała czterdzieści pięć lat. Nie wyglądała, jakby miało jej coś dolegać. Od dobrych kilku lat prawie nie jadła mięsa. Zamiast stosować pestycydy, sadziła nagietki w ogrodzie, żeby odstraszyć owady. Zmuszała mnie i moje rodzeństwo do zjadania surowego czosnku, gdy byliśmy przeziębieni. Ludzie tacy jak moja matka nie chorowali na raka. Miały to potwierdzić wyniki badań przeprowadzonych w klinice, co udowodniłoby lekarzom z Duluth, że nie mają racji. Byłam o tym przekonana. Kim w ogóle byli lekarze w Duluth? Co to w ogóle za miejsce? Duluth! Duluth było dziurą zabitą dechami, gdzie można było zamarznąć na śmierć i gdzie lekarze, którzy za cholerę nie wiedzieli, o czym mówią, wmawiali unikającym mięsa, niepalącym, jedzącym czosnek czterdziestopięcioletnim zwolenniczkom medycyny naturalnej, że mają zaawansowane stadium raka płuc.

Pieprzyć ich!

Taka była moja modlitwa: „Pieprzyćichpieprzyćichpieprzyćich!”.

A jednak mama była w klinice i ogarniało ją zmęczenie, jeśli musiała być na nogach dłużej niż trzy minuty.

– Chcesz wózek? – zapytał Eddie, gdy w wyłożonym miękką wykładziną holu zauważył cały ich szereg.

– Mama nie potrzebuje wózka – odparłam.

– Tylko na chwilę – powiedziała, bezsilnie opadając na siedzenie.

Nasze spojrzenia spotkały się na moment, zanim Eddie zaczął pchać wózek do windy.

Poszłam za nimi, nie pozwalając sobie nad niczym się zastanawiać. W końcu jechaliśmy na wizytę u ostatniego lekarza. Nazywaliśmy go prawdziwym lekarzem. Tym, który weźmie pod uwagę wszystkie zebrane wyniki badań mamy i powie nam, jaka jest prawda. Gdy jechaliśmy windą na górę, mama pociągnęła mnie za spodnie i potarła między palcami bawełniany materiał, niczym dumna autorka dzieła.

– Idealne – powiedziała.

Miałam dwadzieścia dwa lata, czyli tyle samo ile mama, gdy była ze mną w ciąży. Miała opuścić moje życie w tym samym momencie, w którym ja pojawiłam się w jej życiu. Z jakiegoś powodu to w pełni uformowane zdanie pojawiło się w mojej głowie właśnie w tamtej chwili, zastępując przejściowo „modlitwę”. Prawie zawyłam z bólu. Zdławiła mnie świadomość tego, o czym miałam się dopiero przekonać. Resztę życia przeżyję bez mamy. Odepchnęłam tę myśl jak najdalej. Nie mogłam sobie wtedy pozwolić, by w to uwierzyć, tam, w tej windzie, i jednocześnie nie przestać oddychać, więc postanowiłam wierzyć w coś zupełnie innego. Na przykład w to, że jeśli lekarz ma ci powiedzieć, że wkrótce umrzesz, zrobi to w pokoju z lśniącym drewnianym biurkiem.

Było inaczej.

Zaprowadzono nas do gabinetu, gdzie pielęgniarka kazała mamie ściągnąć bluzkę i włożyć bawełnianą szpitalną koszulę związaną na plecach sznurkami, które dyndały po bokach. Gdy mama zrobiła, o co ją poproszono, wspięła się na miękką leżankę, na której rozpostarto białe papierowe prześcieradło. Za każdym razem, gdy się poruszała, słyszeliśmy, jak prześcieradło się mnie i rozrywa. Patrzyłam na nagie plecy mamy i małą fałdkę na jej brzuchu. Nie miała umrzeć. Jej nagie plecy w jakiś sposób były tego dowodem. Gapiłam się na nie, kiedy przyszedł prawdziwy lekarz i oznajmił, że mama będzie miała szczęście, jeśli przeżyje rok. Wyjaśnił, że nie będą próbowali jej leczyć, bo poprawa jej stanu nie jest możliwa. Nie było dla niej ratunku.

W wypadku raka płuc późne rozpoznanie choroby zdarzało się dość często.

– Ale przecież nie pali – sprzeczałam się, jakbym była w stanie nakłonić lekarza do zmiany diagnozy, jakby choroba nowotworowa zależała od zdrowego rozsądku i umiejętności negocjacji. – Paliła, tylko gdy była bardzo młoda. Od lat nie miała w ustach papierosa.

Lekarz ze smutkiem pokręcił głową i mówił dalej. Miał zadanie do wykonania. Mogli spróbować ograniczyć ból, jaki mama czuła w plecach, przez naświetlania, dzięki którym zmniejszy się wielkość guzów rozsianych wzdłuż całego kręgosłupa.

Nie rozplakałam się. Oddychałam. Głośno i z premedytacją. I nagle zapomniałam o regularnych wdechach i wydechach. Tylko raz w życiu zemdlałam – z wściekłości, gdy miałam trzy lata. Wstrzymywałam oddech, bo nie chciałam wyjść z wanny. Byłam wtedy za mała, żeby to pamiętać. „I co zrobiłaś? I co zrobiłaś?” – zawsze dopytywałam mamę, każąc jej bez końca opowiadać tę historię, zaskoczona, a jednocześnie zachwycona własnym uporem. Mama zawsze odpowiadała, że patrzyła, jak robię się sina. Poczekała, aż moja głowa opadnie jej na dłonie i w końcu zrobiłam wdech, wracając do życia.

Oddychaj.

– Czy mogę jeździć konno? – zapytała mama prawdziwego lekarza.

Usiadła ze ściśniętymi rękami i złożonymi nogami, jakby była w kajdanach.

W odpowiedzi wziął ołówek, postawił go pionowo na krawędzi umywalki i mocno nim uderzył.

– To pani kręgosłup po naświetlaniach – powiedział. – Jedno szarpnięcie i pani kości mogą się połamać jak sucha gałązka.

Poszłyśmy do damskiej toalety. Każda zamknęła się w swojej kabinie i zaczęła płakać. Nie zamieniłyśmy ani słowa. Nie dlatego, że czułyśmy się osamotnione w naszej rozpacz, tylko dlatego, że tkwiłyśmy w niej tak mocno, jakbyśmy były jedną osobą. Czułam ciężar jej ciała opartego o drzwi i siłę dłoni, które w nie powoli uderzały, sprawiając, że chwiały się cały stelaż kabin. Po pewnym czasie wyszłyśmy umyć twarze i ręce, obserwując się wzajemnie w jasno oświetlonym lustrze.

Posłano nas do apteki, gdzie musieliśmy poczekać. Siedziałam pomiędzy mamą

a Eddiem, w moim zielonym stroju, jakimś cudem wciąż mając we włosach zieloną kokardkę. Starszy mężczyzna trzymał na kolanach dużego łysego chłopca. Innej kobiecie gwałtownie drgało przedramię, co próbowała opanować, mocno przytrzymując je drugą ręką. Czekala. My też. Na wózku inwalidzkim siedziała piękna ciemnowłosa kobieta. Na głowie miała fioletowy kapelusz, a na palcach mnóstwo pierścionków z brylantami. Nie mogliśmy oderwać od niej wzroku. Mówiła po hiszpańsku do otaczających ją ludzi, rodziny i – jak przypuszczaliśmy – męża.

– Myślisz, że ma raka? – spytała mama głośnym szeptem.

Eddie siedział po mojej drugiej stronie, ale nie mogłam na niego spojrzeć. Gdybym to zrobiła, pękłyby nam serca. Pomyślałam o swojej starszej siostrze Karen i młodszym bracie Leifie. O swoim mężu Paulu, o rodzicach mamy i jej siostrze, którzy mieszkali tysiące kilometrów stąd. Co powiedzieliby na tę wiadomość? Jak by płakali? Zmieniłam modlitwę: „Jeszcze rok. Jeszcze rok. Jeszcze rok”. Te dwa słowa były jak uderzenia serca.

Tak długo mama miała żyć.

– O czym myślisz? – zapytałam ją.

Z głośników w poczekalni dobiegała jakaś piosenka. Tylko melodia, ale mama i tak ją znała i zamiast odpowiedzieć, zaśpiewała mi cicho do ucha: „Papierowe róże, papierowe róże, jakież wydają się prawdziwe”. Położyła swoją dłoń na mojej i powiedziała:

– Słuchałam tej piosenki, kiedy byłam młoda. Zabawne, że to mi się teraz przypomniało. Że teraz jej słucham. Kto by pomyślał.

Wtedy wywołano nazwisko mamy. Nasze leki były gotowe do odbioru.

– Odbierz je za mnie – poprosiła. – Powiedz im, kim jesteś. Powiedz im, że jesteś moją córką.

Byłam jej córką, a nawet więcej. Byłam Karen, Cheryl i Leifem. Karen Cheryl Leif. KarenCherylLeif. W ustach mojej matki nasze imiona przez całe moje życie zlewały się w jedno słowo. Szeptala je i wykrzykiwała, ile sił w płucach, syczała je i nuciła. Byliśmy jej dziećmi, jej towarzyszami, jej końcem i jej początkiem. Jeździliśmy z nią samochodem, na zmianę siedząc na przednim siedzeniu.

– Czy kocham was tyle? – pytała, trzymając dłonie 15 centymetrów od siebie.

– Nie – odpowiadaliśmy, uśmiechając się chytrze.

– Kocham was tyle? – pytała znów i w nieskończoność, za każdym razem trochę oddalając od siebie dłonie.

Nigdy jednak nie znalazły się wystarczająco daleko, bez względu na to, jak szeroko rozpościerała ramiona. Nie była w stanie pokazać nam ogromu swojej miłości. Nie można było jej zmierzyć ani zważyć, ani ograniczyć. Była jak dziesięć tysięcy rzeczy we wszechświecie według *Tao Te Ching* i następne dziesięć tysięcy. Jej miłość była całkowita, wszechogarniająca i prosta. Co dzień mama dawała z siebie całe pokłady miłości.

Dorastała jako córka wojskowego i katoliczka. Zanim skończyła piętnaście lat, mieszkała w pięciu różnych stanach i dwóch krajach. Kochała konie, Hanka Williamsa i miała najlepszą przyjaciółkę imieniem Babs. Gdy w wieku dziewiętnastu lat zaszła w ciążę, wyszła za mojego ojca. Trzy dni później rzucał nią po pokoju. Odeszła i wróciła. Odchodziła i wracała. Nie chciała się na to godzić, ale się godziła. Złamał jej nos. Potłukł naczynia. Zdarł jej kolana do krwi, ciągnąc ją w biały dzień za włosy po chodniku. Nie złamał jednak jej ducha. Kiedy miała dwadzieścia osiem lat, zdołała w końcu odejść raz na zawsze.

Została tylko ona i KarenCherylLeif na przednim siedzeniu samochodu.

Mieszkaliśmy wtedy w małym miasteczku oddalonym od Minneapolis o godzinę drogi, w jednym z kilku budynków mieszkalnych o myląco ekskluzywnych nazwach: Jezioro nad Młynem, Wzgórza Maghrebu, Domek na Drzewie, Rezydencje nad Jeziorem Grace. Mama pracowała na okrągło. Najpierw jako kelnerka w knajpie o nazwie U Wikinga, a potem w Nieskończoności, gdzie jej strój służbowy składał się z czarnego podkoszulka z napisem „Spróbuj”, wykonanym tęczowym brokatem. W dzień pracowała w fabryce produkującej plastikowe opakowania, w których można było przechowywać żrące substancje chemiczne, a wadliwe produkty przynosiła do domu. Tace i pudełka, które były wyszczerbione, pęknięte lub źle złożone na taśmie. Robiliśmy z nich zabawki – łódeczka dla lalek, rampy dla resoraków. Mama pracowała i pracowała, a my i tak cały czas byliśmy biedni. Dostawaliśmy od rządu ser i mleko w proszku, kartki na żywność, karty upoważniające do korzystania

z opieki medycznej, a w Boże Narodzenie prezenty od darczyńców. Czekając na czek z wypłatą, bawiliśmy się w berka, w „raz, dwa, trzy, Baba Jaga patrzy” i w kalambury przy skrzynkach pocztowych, które można było otworzyć tylko kluczem.

– Nie jesteśmy biedni – bez ustanku powtarzała mama. – Bo mamy mnóstwo miłości.

Dodawiała barwników do żywności do posłodzonej wody, udając, że to specjalny napój. Sarsaparilla, napój pomarańczowy albo lemoniada.

– Życzy sobie panienska kolejną szklaneczkę? – pytała z przesadnym brytyjskim akcentem, który zawsze bawił nas do łez.

Rozpościerała ramiona, pytała, ile nas kocha, i tej zabawie nie było końca. Kochała nas ponad wszystko. Była pogodnej natury i miała w sobie spokój, z wyjątkiem kilku razy, kiedy sprawiła nam manto drewnianą łyżką. Albo kiedy wrzasnęła: „KURWA!”, i zaczęła płakać, bo nie chcieliśmy posprzątać w pokoju. Była wielkoduszna i miała dobre, szczodre, naiwne serce. Umawiała się z mężczyznami o takich ksywach, jak Killer, Doobie czy Motocyklowy Dan, a także z jednym facetem o imieniu Victor, który lubił biegi zjazdowe. Dawali nam pięciodolarowe banknoty, żebyśmy poszli kupić sobie słodycze w pobliskim sklepie, by mogli zostać z mamą sami.

– Uważajcie na ulicy – wołała za nami, kiedy wybiegaliśmy z domu niczym stado wygłodniałych psów.

Kiedy poznała Eddiego, nie sądziła, że coś z tego wyniknie, bo Eddie był od niej osiem lat młodszy, ale i tak się w sobie zakochali. Ja, Karen i Leif także pokochaliśmy Eddiego. Miał dwadzieścia pięć lat, kiedy go poznaliśmy, i dwadzieścia siedem, kiedy ożenił się z naszą matką i obiecał być dla nas ojcem. Cieśla, który potrafił zrobić i naprawić wszystko. Wyprowadziliśmy się z kompleksu mieszkań o wyszukanych nazwach i przeprowadzili do wynajmowanej na farmie rudery, która w piwnicy miała klepisko, a z zewnątrz była pomalowana na cztery różne kolory. Zimą po ich ślubie Eddie spadł w pracy z dachu i uszkodził sobie plecy. Rok później mama i on wzięli dwanaście tysięcy dolarów z odszkodowania, które wtedy otrzymał, i kupili za nie czterdzieści akrów ziemi w hrabstwie Aitkin, półtorej godziny na zachód od Duluth. Zapłacili za to z góry gotówką.

Nie było tam domu. Na tej ziemi nikt go jeszcze nie wybudował. Nasze czterdzieści akrów było idealnie równym kwadratem drzew, krzaków i wysokich traw, bagnistych stawów oraz mokradeł gęsto porośniętych pałąką. Nic nie odróżniało go od drzew, krzaków, traw, stawów i mokradeł ciągnących się kilometrami wokół niego. Przez pierwsze miesiące jako właściciele ziemi wielokrotnie obeszliliśmy wspólnie granice naszej posiadłości, torując sobie drogę przez dziką roślinność po dwóch stronach, które nie graniczyły z drogą, jak gdyby przejście tej trasy miało odciąć ziemię od reszty świata i uczynić ją naszą. I powoli tak się właśnie stało. Drzewa, które początkowo nie różniły się dla mnie od innych, stały się rozpoznawalne jak twarze najlepszych przyjaciół pośród tłumu, gesty ich gałęzi nagle nabrały znaczenia, a liście przywoływały skinieniem jak znane ręce. Kępy traw i brzegi teraz już znanych mokradeł stały się punktami orientacyjnymi, znakami, których nie umiał odczytać nikt prócz nas.

W czasach, gdy nadal mieszkaliśmy w miasteczku o godzinę drogi od Minneapolis, nazywaliśmy tę ziemię „północą”. Przez sześć miesięcy jeździliśmy na północ tylko w weekendy i morderczo pracowaliśmy, próbując ujarzmić choć skrawek ziemi i wybudować na niej jednopokojową, pokrytą brezentem chatę, w której nasza piątka mogłaby sypiać. Na początku czerwca, kiedy miałam trzynaście lat, na dobre przeprowadziliśmy się na północ, a raczej moja mama, Leif, Karen i ja, wraz z parą naszych koni, kotami i psami oraz skrzynką z dziesięcioma pisklakami, które mama dostała za darmo w sklepie z paszą w zamian za kupienie dwunastu kilogramów ziarna dla kurcząt. W ciągu lata Eddie przyjeżdżał do nas w weekendy. Przestał przyjeżdżać na jesieni. Stan jego pleców poprawił się na tyle, że znów mógł pracować, i w szczycie sezonu znalazł sobie posadę zbyt intratną, by z niej zrezygnować.

KarenCherylLeif znów zostali sami z mamą – tak samo jak w czasach, gdy była wolna. Tamtego lata nie rozstawaliśmy się ani na chwilę, rzadko też widywaliśmy innych ludzi. Znajdowaliśmy się w odległości 20 kilometrów od dwóch najbliższych miasteczek, położonych w przeciwnych kierunkach – na wschód Moose Lake i na północny zachód McGregor. Jesienią mieliśmy pójść do szkoły w McGregor, mniejszej z dwóch miejscowości, w której mieszkało czterysta osób, jednak całe lato,

pomijając okazjonalnych gości – odległych sąsiadów, którzy wstępowali, by się przedstawić – byliśmy tylko my i mama. Kłóciliśmy się, rozmawialiśmy, wymyślaliśmy dowcipy i zabawy, by spędzić jakoś czas.

„Kim jestem?” – bez przerwy pytaliśmy się nawzajem, gdy graliśmy w grę, w której osoba, która była „kimś”, musiała wymyślić sobie postać – sławną lub nieznaną – pozostali zaś musieli zgadnąć, o kogo chodzi, zadając nieskończoną ilość pytań, na które odpowiedzią było „tak” lub „nie”. Czy jesteś mężczyzną? Czy jesteś Amerykaninem? Czy żyjesz? Czy jesteś Charlesem Mansonem?

Graliśmy w nią, siejąc i pracując w ogrodzie, który miał nam umożliwić przetrwanie zimy, a którego ziemia przez stulecia była pozostawiona samej sobie, jak i posuwając stale do przodu budowę domu, który powstawał po drugiej stronie naszej działki i który chcieliśmy skończyć, nim nastanie jesień. Gdy pracowaliśmy, pastwiły się nad nami komary, ale mama zakazała nam używać offa i wszelkich innych niszczących mózg, zanieczyszczających ziemię, zagrażających przyszłym pokoleniom środków chemicznych. Zamiast tego powiedziała, żebyśmy nasmarowali się olejkiem miętowym. Wieczorami w świetle świec bawiliśmy się w liczenie ukąszeń. Dochodziliśmy do siedemdziesięciu dziewięciu, osiemdziesięciu sześciu, stu trzech.

– Kiedyś mi za to podziękujecie – oznajmiała mama, kiedy narzekaliśmy na to, jak wielu rzeczy nam brakuje.

Nigdy nie żyliśmy w luksusie ani nawet tak dobrze jak klasa średnia, ale mieliśmy do dyspozycji wygodę współczesnego świata. W domu zawsze był telewizor, nie wspominając już o toalecie ze spłuczką i kranie, z którego zawsze można było nalać sobie szklankę wody. Jednak teraz, gdy żyliśmy jak pionierzy, zaspokojenie nawet najprostszycch potrzeb wymagało wyczerpującego ciągu czynności równie drobiazgowych, jak bezsensownych. Nasza kuchnia składała się z kuchenki turystycznej, paleniska, zrobionej przez Eddiego lodówki starego typu (utrzymanie względnego chłodu w niej zależało od użycia prawdziwego lodu), przenośnego zlewu przymocowanego do zewnętrznej ściany naszej budy i wiadra z wodą przykrytego pokrywką. Każdy element dawał tylko odrobinę więcej korzyści, niż wymagał pracy: stałego doglądania i konserwacji, napełniania i opróżniania, przenoszenia i opuszczania, odpompowywania i przygotowywania, podsycania i sprawdzania.

Karen i ja dzieliłyśmy posłanie na antresoli zbudowanej tak blisko sufitu, że ledwie mogłyśmy usiąść. Leif spał nieco ponad metr od nas, na własnym, mniejszym podeście, a mama na łóżku na dole, gdzie w weekendy dołączał do niej Eddie. Co wieczór rozmawialiśmy aż do zaśnięcia, jakbyśmy byli na piżamowej imprezie. Mieliśmy okno dachowe długości antresoli, na której spałam z Karen. Jego przezroczysta szyba znajdowała się tuż nad naszymi twarzami. Co noc ciemne niebo i jasne gwiazdy były moimi zapierającymi dech w piersiach towarzyszącymi. Od czasu do czasu ich piękno i podniosłość uderzały mnie tak wyraźnie, że zaczynałam rozumieć słowa mamy. Pewnego dnia będę jej za to wszystko wdzięczna, a właściwie już jestem, bo czuję, jak rośnie we mnie coś silnego i prawdziwego.

Przypomniałam sobie o tym „czymś” całe lata później, gdy moje życie pogrążyło się w smutku. O tym czymś, przez co uwierzyłam, że wyprawa przez Pacific Crest Trail pomoże mi odnaleźć osobę, którą kiedyś byłam.

W wieczór Halloween przeprowadziliśmy się do domu, który zbudowaliśmy z własnego drewna i odrzutów z tartaku. Nie było w nim elektryczności, bieżącej wody, telefonu ani toalety, ani przynajmniej jednego pomieszczenia z drzwiami. Przez wszystkie moje nastoletnie lata Eddie i mama budowali go dalej, nieustannie coś dodając i ulepszając. Mama założyła ogród i każdej jesieni marynowała i konserwowała warzywa. Wkręcała rurki w pnie drzew, by pozyskać syrop klonowy, piekła chleb, gręplowała wełnę i robiła własne barwniki do ubrań z mniszka lekarskiego i liści brokułów.

Dorośliam i wyjechałam do Twin Cities, studiować na St. Thomas, ale nie sama. List informujący o przyjęciu mnie wspominał, że rodzice uczniów mogą za darmo brać udział w zajęciach na St. Thomas. Choć mama bardzo lubiła życie współczesnego pioniera, zawsze chciała skończyć studia. Śmiałyśmy się z tego, gdy byłyśmy razem, a na osobności każda z nas myślała o tym poważnie. Gdy rozmawiałyśmy na ten temat, mama mówiła, że ma czterdzieści lat i jest za stara na studia, a mnie trudno było się z nią nie zgodzić. Na dodatek St. Thomas znajdowało się trzy godziny drogi od domu. Rozmawiałyśmy i rozmawiałyśmy, aż w końcu doszłyśmy do porozumienia: pojedzie do St. Thomas, ale będziemy żyć osobno, a ja będę dyktować warunki. Miałam mieszkać w akademiku, a ona miała dojeżdżać. Jeśli

miniemy się na kampusie, nie odezwie się do mnie, chyba że zrobię to pierwsza.

– To pewnie i tak na nic – powiedziała mama, gdy wreszcie do końca opracowałyśmy nasz plan. – Pewnie i tak obleję.

W ramach przygotowań przez ostatnie miesiące mojej maturalnej klasy mama robiła dokładnie to co ja. Odrabiała te same prace domowe i szlifowała swoje umiejętności, przepisywała moje zadania, pisała te same wypracowania, czytała moje lektury. Oceniałam jej prace w sposób podobny do moich nauczycieli i uznałam ją za co najwyżej przeciętną uczennicę.

Na studiach mama dostawała same piątki.

Czasem, gdy minęłyśmy się na uczelni, przytulałam ją z całych sił. Innymi razy mijaliśmy bez słowa, jakby była kimś zupełnie mi obcym.

Kiedy dowiedziałyśmy się, że ma raka, obie byłyśmy na ostatnim roku. Nie studiowałyśmy już w St. Thomas. Po pierwszym roku obie przeniosłyśmy się na uniwersytet stanu Minnesota – ona na kampus w Duluth, a ja w Minneapolis – i ku naszemu rozbawieniu miałyśmy ten sam wiodący kierunek studiów. Mama miała uzyskać podwójny licencjat z women's studies i historii, a ja z women's studies i angielskiego. Wieczorami godzinę rozmawiałyśmy przez telefon. Byłam już wtedy żoną dobrego chłopaka, który miał na imię Paul. Poślubiłam go w lesie na naszej ziemi, ubrana w sukienkę z satyny i koronek, którą uszyła mi mama.

Gdy zachorowała, ograniczyłam swoje życie. Powiedziałam Paulowi, żeby na mnie nie liczył. Mój czas z nim będzie zależał od potrzeb mamy. Chciałam zrezygnować ze studiów, ale mama mi na to nie pozwoliła, błagając, bym bez względu na wszystko je skończyła. Sama – jak to określiła – zrobiła sobie przerwę. Do końca brakowało jej tylko dwóch kursów. Mówiła, że ma zamiar je zrobić. Uzyska licencjat, choćby miało ją to zabić – deklarowała, na co śmiałyśmy się i spoglądałyśmy na siebie z zachmurzonymi minami. Będzie się uczyć w łóżku. Będzie mi dyktować, a ja będę pisać. Była przekonana, że wkrótce nabierze sił na tyle, by zacząć te dwa kursy. Nie zrezygnowałam ze studiów, ale udało mi się nakłonić wykładowców, żeby pozwolili mi uczestniczyć jedynie w dwóch dniach zajęć tygodniowo. Gdy tylko te dwa dni się kończyły, w te pędy jechałam do mamy. W przeciwieństwie do Leifa i Karen, którym po tym, jak mama zachorowała,

z trudem przychodziło przebywanie w jej obecności, ja nie potrafiłam przebywać z dala od niej. A na dodatek byłam potrzebna. Eddie był przy mamie, kiedy tylko mógł, ale musiał pracować. Ktoś musiał płacić rachunki.

Gotowałam jedzenie, które mama próbowała jeść, ale rzadko mogła. Wydawało jej się, że jest głodna, a potem siadała nad talerzem jak więzień i wlepiła wzrok w jego zawartość.

– Wygląda smakowicie – mówiła. – Chyba zjem później.

Szorowałam podłogi. Wyciągnęłam wszystko z szafek i wyłożyłam je świeżym papierem. Mama spała i pojękiwała, liczyła i połykała pastylki. Kiedy miała dobry dzień, siadała w fotelu i rozmawiała ze mną.

Nie pozostało nam wiele do powiedzenia. Była tak autentyczna i wylewna, a ja tak dociekliwa, że przerobiłyśmy właściwie wszystkie tematy. Wiedziałam, że jej miłość jest większa niż dziesięć tysięcy rzeczy i jeszcze drugie tyle. Znałam imiona koni, które kochała, gdy była małą dziewczynką: Pal, Buddy i Bacchus. Wiedziałam, że straciła cnotę, gdy miała siedemnaście lat, z chłopcem o imieniu Mike. Wiedziałam, że rok później poznała mojego ojca i jaki jej się wydał po ich pierwszych kilku randkach. Że jej ojciec, gdy przyznała się do nieślubnej ciąży, upuścił łyżkę. Wiedziałam, że nie znosiła chodzić do spowiedzi, a także z czego się spowiadała. Z przeklinania i odpyskiwania matce, narzekania, że musi nakrywać do stołu, podczas gdy jej młodsza siostra może się bawić. Wychodzenia z domu w sukience i przebierania się po drodze w jeansy, które ukrywała w torbie. Całe życie zadawałam mamie niekończące się pytania, każąc jej opisywać te zdarzenia jeszcze dokładniej, chcąc wiedzieć, co kto powiedział i w jaki sposób, co czuła w danej chwili, gdzie kto stał i jaka była pora dnia. Ona zaś odpowiadała mi, czasem niechętnie, czasem z lubością, śmiejąc się i pytając, czemu to niby chcę wiedzieć. Chciałam wiedzieć. Nie mogłam tego wytłumaczyć.

Teraz, gdy umierała, wiedziałam wszystko. Moja mama już we mnie była. Nie tylko ta jej strona, którą zawsze znałam, ale i ta, która istniała przede mną.

Niedługo musiałam jeździć pomiędzy Minneapolis i domem. Nieco ponad miesiąc. Myśl, że mama przeżyje więcej niż rok, wkrótce stała się smutnym marzeniem. Do

kliniki Mayo zostaliśmy przyjęci 12 lutego. 3 marca mama musiała pójść do szpitala w Duluth, ponad 100 kilometrów dalej, bo tak bardzo cierpiała. Kiedy ubierała się przed podróżą, odkryła, że nie jest w stanie sama włożyć skarpetek, i zawołała mnie, żebym jej pomogła. Usiadła na łóżku, a ja uklęknęłam przed nią. Nigdy wcześniej nie wkładałam nikomu skarpetek i okazało się to trudniejsze, niż się spodziewałam. Nie wsuwały się gładko po skórze. Krzywo leżały. Wściekłam się na mamę, jakby celowo trzymała stopę tak, żeby mi wszystko utrudnić. Odchyliła się, opierając ręce na łóżku, i zamknęła oczy. Słyszałam jej głęboki, powolny oddech.

– Cholera – powiedziałam. – Pomóż mi.

Mama popatrzyła na mnie i przez chwilę milczała.

– Kochanie – powiedziała w końcu, spoglądając na mnie i wyciągając rękę, żeby pogłaskać mnie po głowie.

Przez całe moje dzieciństwo często używała tego słowa, wypowiedzanego szczególnym tonem. Nie tak chciałam, by wypowiedziała to pojedyncze „kochanie”, ale było, jak było. To właśnie to pogodzenie się z cierpieniem najbardziej denerwowało mnie w mojej mamie. Jej nieskończony optymizm i radość.

– Chodźmy – powiedziałam, gdy z trudem udało mi się wcisnąć jej buty.

Poruszała się powoli i niezdarne, kiedy wkładała płaszcz. Trzymała się ścian, idąc przez dom, a za nią podążały jej dwa ukochane psy, które wypychały nosy pod jej dłonie i trącały ją w uda. Patrzyłam, jak klepie je po łbach. Nie miałam już żadnej modlitwy. Słowa „pieprzyć ich” były w moich ustach jak trzy zaschłe pastylki.

– Pa, skarby – powiedziała mama do psów. – Pa, domku – powiedziała, wychodząc za mną.

Nie docierało do mnie, że mama umrze. Dopóki nie zaczęła umierać, nic takiego nie przyszło mi nawet do głowy. Była twarda jak skała i niepokonana. Strażniczka mojego życia. Miała się zestarzeć i nadal pracować w ogrodzie. Ten obraz tkwił w mojej głowie jak jedno z tych dziecięcych wspomnień, które kazałam jej opowiadać z takimi szczegółami, że pamiętałam je, jakby były moje. Będzie stara i piękna jak Georgia O’Keeffe na czarno-białej fotografii, którą kiedyś jej wysłałam. Przez kilka pierwszych tygodni po opuszczeniu kliniki Mayo kurczowo trzymałam się

tego wyobrażenia. Potem, gdy mamę przyjęto na oddział opieki paliatywnej szpitala w Duluth, ten obraz zniknął, ustąpił miejsca innym, skromniejszym i bardziej prawdziwym. Wyobraziłam sobie mamę w październiku. W wyobraźni stworzyłam całą scenę. A potem scenę z mamą w sierpniu i w maju. Z każdym mijającym dniem odpadał kolejny miesiąc.

Pierwszego dnia w szpitalu pielęgniarka zaproponowała mamie morfinę, ale mama odmówiła.

– Morfinę daje się umierającym – powiedziała. – Morfina oznacza, że nie ma już nadziei.

Wytrzymała bez niej jednak tylko jeden dzień. Spała i budziła się, mówiła i śmiała się. Płakała z bólu. W ciągu dnia koczowałam przy jej łóżku. Eddie zostawał z nią nocą. Leif i Karen trzymali się na odległość, wymyślając wymówki, których nie mogłam pojąć i które wyprowadzały mnie z równowagi, choć ich nieobecność wydawała się nie przeszkadzać mamie. Była pochłonięta uśmierzaniem bólu, co pomiędzy kolejnymi dawkami morfiny było zajęciem niewykonalnym. Nigdy nie udało nam się odpowiednio ułożyć poduszek. Pewnego popołudnia do sali wszedł lekarz, którego nigdy wcześniej nie widziałam, i powiedział mi, że moja mama zaczyna umierać.

– Ale minął dopiero miesiąc – odparłam z oburzeniem. – Inny lekarz powiedział, że mamy rok.

Nie odpowiedział. Był młody, miał może trzydzieści lat. Stał przy mamie, z delikatną, owłosioną dłonią w kieszeni, spoglądając w dół na łóżko.

– Od tej chwili naszym jedynym celem jest, by czuła jak najmniejszy dyskomfort.

Najmniejszy dyskomfort – a mimo to pielęgniarki starały się dawać jej jak najmniej morfiny. Pracował z nimi jeden pielęgniarz i przez obcisłe białe spodnie uniformu widziałam zarys jego penisa. Desperacko pragnęłam zaciągnąć go do małej łazienki niecały metr od łóżka mamy i oddać się mu lub zrobić, co zechce, byle tylko nam pomógł. Chciałam też, by mnie zaspokoił, chciałam poczuć ciężar jego ciała na moim, poczuć jego usta na moich włosach i słyszeć, jak w kółko powtarza moje imię, zmusić go, by mnie zauważył, i sprawić, by moja sprawa stała się dla niego ważna,

a jego serce pękło z nadmiaru współczucia dla nas.

Kiedy mama poprosiła go o więcej morfiny, zrobiła to tonem, jakiego jeszcze w życiu nie słyszałam. Wściekły pies. Pielęgniarsz nie spojrział na nią, tylko na zegarek. Bez względu na odpowiedź miał niezmiennie tę samą minę. Czasem bez słowa dawał jej kolejną dawkę, a czasem odmawiał tonem tak miękkim jak penis w jego spodniach. Wtedy mama błagała i wyła. Płakała i łzy płynęły w złą stronę. Nie w dół po policzkach do kącików ust, tylko na boki, do uszu, a następnie w gniazdo jej włosów na poduszce.

Nie przeżyła roku. Nie dożyła października, sierpnia ani maja. Przeżyła czterdzieści dziewięć dni od chwili, gdy pierwszy doktor w Duluth powiedział jej, że ma raka. Trzydzieści cztery od wizyty w klinice Mayo. Każdy dzień był jednak jak wieczność, jedna ułożona na drugiej, zimna świadomość pośrodku głębokiego otumanienia.

Leif nie przyjechał, by ją odwiedzić. Karen pojawiła się raz, po moich usilnych naleganiach. Nie dowierzałam, zrozpaczona i wściekła zarazem.

– Nie chcę na nią patrzeć, gdy jest w takim stanie – wykręcała się siostra, kiedy rozmawialiśmy przez telefon, a potem zaczynała płakać.

Nie mogłam rozmawiać z bratem – gdzie przebywał podczas tych tygodni, było dla mnie i Eddiego tajemnicą. Jeden ze znajomych powiedział nam, że mieszkał w St. Cloud z dziewczyną o imieniu Sue. Inny widział, jak łowi ryby w przeręblu na jeziorze Sheriff. Nie miałam zbyt wiele czasu, by się tym zająć, tak pochłonięta przebywaniem co dzień przy boku mamy, podtrzymywaniem plastikowych nerek, do których mogła zwymiotować, nieustannym poprawianiem nieposłusznych poduszek, podciąganiem jej, by mogła usiąść na nocniku, który pielęgniarki postawiły tuż przy łóżku, namawianiem jej, by zjadła choć kęs, który zwracała dziesięć minut później. Przez większość czasu patrzyłam, jak śpi, co było ze wszystkiego najtrudniejsze – patrzeć, jak odpoczywa, choć jej twarz wciąż wykrzywia ból. Z każdym jej ruchem zwisające wokół niej rurki kroplówek zaczynały tańczyć, a moje serce przyspieszało w obawie, że mama wyszarpienie sobie igły, którymi rurki były przyczepione do jej spuchniętych nadgarstków i dłoni.

– Jak się czujesz? – pytałam słodkim głosem, kiedy się budziła, i sięgałam

pomiędzy rurkami, by odgarnąć jej przyklepnięte włosy.

– Oj, kochanie.

Zazwyczaj tylko tyle była w stanie z siebie wydusić. Potem odwracała wzrok.

Kiedy mama spała, włóczyłam się po szpitalnych korytarzach. Rzucałam okiem do wnętrza pokoi innych pacjentów, gdy mijałam otwarte drzwi. Widziałam przelotnie starszych mężczyzn o posiniącej skórze, którzy głośno kaszleli, lub kobiety z zabandażowanymi, grubymi kolanami.

– Jak się pani miewa? – pytała mnie pielęgniarka melancholijnym tonem.

– Trzymamy się – odpowiadałam, jakbym była „my”.

Ale byłam sama. Mój mąż Paul robił, co tylko mógł, bym czuła się mniej samotnie. Nadal był tym dobrym, czułym mężczyzną, w którym zakochałam się kilka lat wcześniej. Tym, którego pokochałam tak gwałtownie, że ku ogólnej konsternacji wyszłam za niego, mając niespełna dwadzieścia lat. Jednak odkąd mama zaczęła umierać, jakaś część mnie była dla Paula martwa, bez względu na to, co zrobił lub powiedział. Mimo to podczas dłużących się popołudni codziennie dzwoniłam do niego ze szpitalnej budki telefonicznej albo z domu mamy i Eddiego wieczorami. Prowadziliśmy długie rozmowy, podczas których zalewałam się łzami i opowiadałam o wszystkim, a on płakał ze mną, starając się, by wszystko było choć odrobinę mniej okropne. Jego słowa wydawały mi się jednak puste. Jakbym w ogóle ich nie słyszała. Co on niby wiedział o stracie? Jego rodzice nadal żyli i tworzyli szczęśliwe małżeństwo. Mój związek z nim i jego cudownie niedoświadczonym przez los życiem zdawał się tylko potęgować mój ból. To nie była jego wina, ale przebywanie z nim wydawało się nie do zniesienia. Przebywanie z kimkolwiek innym też. Jediną osobą, którą byłam w stanie znieść, była ta najbardziej nie do zniesienia – moja matka.

Rano siadałam przy jej łóżku i próbowałam jej czytać. Miałam dwie książki: *Przebudzenie* Kate Chopin i *The Optimist's Daughter* Eudory Welty. Czytałyśmy te książki na studiach i uwielbiałyśmy je. Zaczęłam więc, ale nie mogłam tego ciągnąć. Każde słowo, które padło z moich ust, rozpływało się w powietrzu.

To samo działo się, kiedy próbowałam się modlić. Żarliwie i zaciekle modliłam się do Boga, jakiegokolwiek boga, boga, którego nie byłam w stanie rozpoznać ani

znaleźć. Przeklinałam matkę, że nie zapewniła mi żadnego religijnego wykształcenia. Zrażona przez własne represyjne katolickie wychowanie, w dorosłym życiu unikała Kościoła, a teraz umierała i nawet nie miała Boga. Modliłam się do całego wszechświata i miałam nadzieję, że jest w nim gdzieś Bóg i mnie słucha. Modliłam się i modliłam, ale potem powoli przestałam. Nie dlatego, że nie potrafiłam znaleźć Boga, ale dlatego, że nagle go odnalazłam: Bóg tam był – zdałam sobie sprawę – i nie miał zamiaru na nic wpływać ani ratować życia mamy. Bóg nie był od spełniania życzeń. Bóg to bezwzględna świnia.

Przez ostatnie dni życia mama nie była na haju, lecz raczej przytłumiona. Dostawała już wtedy kroplówkę z morfiną, przezroczystą torbę płynu, który powoli spływał rurkami przyklejonymi do jej nadgarstków. Kiedy się budziła, mówiła „och”. Albo żałośnie wzdychała. Spoglądała na mnie i w jej oczach pojawiał się przebłysk miłości. Kiedy indziej momentalnie zapadała w sen, jakby w ogóle mnie tam nie było. Czasem, gdy się przebudziła, nie wiedziała, gdzie jest. Życzyła sobie encliladę i przecier jabłkowy. Była przekonana, że wszystkie jej ukochane zwierzęta są z nią w pokoju – a było ich bardzo wiele.

– Ten koń prawie na mnie nadepnął – mówiła, szukając go oskarżycielskim wzrokiem, albo poruszała rękami, jakby głaskała niewidzialnego kota, który leżał przy jej biodrze.

W tym okresie chciałam, żeby mama powiedziała mi, że jestem najlepszą córką na świecie. Nie chciałam tego chcieć, choć z niewytłumaczalnego powodu tak właśnie było. Jakbym miała wysoką gorączkę, którą da się obniżyć tylko tymi słowami. Posunęłam się do tego, żeby ją zapytać wprost:

– Jestem najlepszą córką na świecie?

Odpowiedziała, że oczywiście.

Ale to mi nie wystarczyło. Chciałam, żeby te słowa same pojawiły się w głowie mamy i żeby powiedziała je nieproszona.

Byłam szaleńczo spragniona miłości.

Mama umarła szybko, ale nie niespodziewanie. Jak powoli tłączy się ogień, kiedy

plamienie zamieniają się w dym i rozchodzą w powietrzu. Nie zdążyła wychudnąć. Wyglądała inaczej, ale nadal była pełna. Kiedy umarła, miała ciało kobiety, której pisane jest życie. Nadal miała też włosy – brązowe, łamliwe i postrzępione z powodu kilku tygodni spędzonych w łóżku.

Z pokoju, w którym umarła, widać było Jezioro Górne. Największe jezioro na świecie i najzimniejsze. Musiałam się postarać, żeby je zobaczyć. Mocno przyciskałam policzek do szyby i udawało mi się dostrzec kawałek, który ciągnął się nieskończenie aż po horyzont.

– Pokój z widokiem! – wykrzyknęła mama, choć była zbyt słaba, żeby mogła się podnieść i sama zobaczyć jezioro. Potem dodała ciszej: – Całe życie czekałam na pokój z widokiem.

Chciała umrzeć na siedząco, wzięłam więc wszystkie poduszki, jakie udało mi się znaleźć, i zrobiłam z nich dla niej oparcie. Chciałam zabrać ją ze szpitala i posadzić na łące pełnej krwawników. Przykryłam ją kołdrą przywiezioną z domu, którą własnoręcznie uszyła ze skrawków naszych starych ubrań.

– Zabierz to stąd – warknęła na mnie groźnie, kopiąc nogami jak pływak, żeby się pozbyć nakrycia.

Patrzyłam na mamę. Na zewnątrz promienie słońca odbijały się od chodników i zlodowaciałego śniegu. Był Dzień Świętego Patryka i pielęgniarki przyniosły mamie kostkę zielonej galaretki, która trzęsła się na stoliku przy łóżku. Jak się później okazało, był to ostatni pełny dzień jej życia i przez większość czasu miała oczy otwarte i nieruchome, znajdując się gdzieś między snem a jawą, na przemian przytomna i majacząca.

Tego wieczoru zostawiłam ją, choć nie chciałam. Pielęgniarki i lekarze powiedzieli Eddiemu i mnie, że nadszedł ten moment. Uznałam, że oznacza to, iż umrze w ciągu najbliższych tygodni. Byłam przekonana, że chorzy na raka umierają powoli. Karen i Paul mieli następnego ranka przyjechać razem z Minneapolis, a rodzice mamy za kilka dni mieli dotrzeć tu z Alabamy. Po Leifie nadal nie było jednak śladu. Eddie i ja obdzwoniliśmy jego przyjaciół i ich rodziców, zostawiając błagalne wiadomości, by zadzwonił, ale nie zrobił tego. Postanowiłam opuścić szpital na jedną noc, żeby go odnaleźć i w końcu przywieźć do mamy.

– Wrócę rano – powiedziałam do niej. Spojrzałam na Eddiego, współleżącego na kanapie ze sztucznej skóry. – Wrócę z Leifem.

Kiedy mama usłyszała jego imię, otworzyła oczy. Były niebieskie i błyszczące, takie jak zawsze. Przynajmniej one się nie zmieniły.

– Jak możesz nie być na niego zła? – spytałam ją z goryczą, chyba dziesiąty raz.

„Nie zawrócisz kijem rzeki” – odpowiadała zazwyczaj mama. Albo: „Cheryl, on ma dopiero osiemnaście lat”. Tym razem jednak tylko na mnie spojrzała i powiedziała:

– Kochanie.

Tak samo, jak wtedy, gdy zdenerwowałam się z powodu jej skarpetek. Tak samo jak zawsze, gdy widziała, że cierpię, bo nie jest tak, jak bym chciała, a ona tym jednym słowem próbowała mnie przekonać, że muszę się pogodzić z obecnym stanem rzeczy.

– Jutro wszyscy będziemy razem – powiedziałam. – I wszyscy tu z tobą zostaniemy, dobrze? Nikt z nas nie wyjedzie. – Sięgnęłam dłonią pomiędzy rurki, którymi z każdej strony była otoczona, i pogładziłam ją po ramieniu. – Kocham cię – powiedziałam, pochylając się, by pocałować ją w policzek, choć odepchnęła mnie zbyt obolała nawet na całusa.

– Kocham – szepnęła, za słaba, by dodać „cię”. – Kocham – powtórzyła, gdy wychodziłam z pomieszczenia.

Zjechałam windą, wyszłam na zimną ulicę i poszłam przed siebie. Minęłam bar pełen ludzi, których widziałam przez wielką witrynę. Wszyscy mieli na sobie błyszczące zielone papierowe kapelusze, zielone koszule i zielone szelki. Wszyscy pili zielone piwo. Siedzący w środku mężczyzna napotkał moje spojrzenie i wskazał mnie palcem w pijackim geście, wybuchając bezgłośnym śmiechem.

Pojechałam do domu, nakarmiłam konie i kury i siadłam przy telefonie, podczas gdy psy z wdzięcznością lizały mnie po dłoniach, a kot wpakował mi się na kolana. Zadzwoiłam do wszystkich, którzy mogli wiedzieć, gdzie jest mój brat. „Dużo pije” – mówili niektórzy. „Tak, to prawda – mówili inni – chodził z dziewczyną z St. Cloud o imieniu Sue”. O północy telefon zadzwonił i powiedziałam bratu, że nadszedł

ten moment.

Kiedy pojawił się w drzwiach pół godziny później, miałam ochotę na niego nawrzeszczyć, potrząsnąć nim, wściekać się, oskarżać, ale kiedy go zobaczyłam, mogłam go jedynie przytulić i się rozplakać. Tamtej nocy wydał mi się tak dorosły, a jednocześnie tak bardzo młody. Po raz pierwszy dostrzegłam, że stał się mężczyzną, a jednak widziałam też, jakim był małym chłopcem. Moim małym chłopcem, tym, którego sama częściowo wyniańczyłam, nie mając innego wyboru, jak tylko pomóc mamie, kiedy była w pracy. Karen i mnie dzieliły trzy lata, ale dorastałyśmy tak, jakbyśmy były bliźniaczkami, w równym stopniu jako dzieci odpowiedzialne za Leifa.

– Nie potrafię – powtarzał przez łzy. – Nie mogę żyć bez mamy. Nie mogę. Nie mogę. Nie mogę.

– Musimy – odpowiedziałam, choć sama nie mogłam w to uwierzyć.

Leżeliśmy razem na wąskim łóżku, rozmawiając i płacząc do późna, aż w końcu ramię przy ramieniu zasnęliśmy.

Wstałam kilka godzin później i przed obudzeniem Leifa nakarmiłam zwierzęta i zapakowałam masę jedzenia na czas naszego czuwania w szpitalu. O ósmej byliśmy już w drodze do Duluth, brat prowadził zbyt szybko samochód mamy, a z głośników dudniło *Joshua Tree* U2. Słuchaliśmy muzyki i nic nie mówiliśmy. Błęszące promienie nisko zawieszono słońca oświetlały śnieg po obu stronach drogi.

Kiedy dotarliśmy do szpitala, na drzwiach pokoju mamy wisiała kartka, byśmy przed wejściem zajrzeli do pielęgniarek. Nie widziałam wcześniej czegoś takiego, ale pomyślałam, że to pewnie kwestia procedury. Kiedy zmierzaliśmy do stanowiska pielęgniarek, podeszła do nas jedna z sióstr i zanim zdążyłam się odezwać, powiedziała:

– Trzymamy lód na jej oczach. Chciała oddać rogowki, więc musimy trzymać lód...

– Co? – powiedziałam tak gwałtownie, że pielęgniarka aż podskoczyła.

Nie czekałam na odpowiedź. Pobiegłam do pokoju mamy, mój brat tuż za mną. Kiedy otworzyłam drzwi, Eddie wstał i ruszył ku nam z wyciągniętymi ramionami,

ale zrobiłam unik i podeszłam wprost do mamy. Jej woskowe ręce leżały wzdłuż boków, żółte, białe i sine, bez igieł i rurek. Oczy miała nakryte dwiema chirurgicznymi rękawiczkami, wypakowanymi lodem. Ich nabrzmiałe palce po błazeńsku zwisały z jej twarzy. Kiedy ją przytuliłam, rękawiczki zsunęły się najpierw na łóżko, potem na podłogę.

Wyłam i wyłam, i wyłam jak zwierzę, wciskając twarz w jej ciało. Nie żyła od godziny. Jej ręce i nogi ostygły, ale brzuch nadal był wyspą ciepła. Przytuliłam do niego twarz i płakałam dalej.

Bez przerwy mi się śniła. W snach zawsze byłam przy niej w chwili śmierci. To ja ją w nich zabijałam. Za każdym razem. Kazała mi, a ja padałam na kolana i zaczynałam ją błagać, żeby mnie nie zmuszała, ale mama nie ustępowała. W każdym śnie, jak na dobrą córkę przystało, w końcu jej ulegałam. Przywiązywałam ją do drzewa przed naszym domem, oblewałam jej głowę benzyną, a potem podpalałam. Kazałam jej biec gruntową drogą koło naszego domu, po czym przejeżdżałam ją swoim pick-upem. Ciągnęłam za sobą jej ciało, które utknęło na poszarpanym kawałku metalu wystającym z podwozia, aż się oderwało, po czym wrzucałam wsteczny bieg i przejeżdżałam po niej jeszcze raz. Brałam minikij do baseballu i tłukłam ją nim na śmierć, powoli, mocno i żałośnie. Wpychałam ją do dziury, którą wykopałam, a potem z góry zrzucałam na nią ziemię i kamienie i grzebałam ją żywcem. To nie były surrealistyczne sny. Rozgrywały się w zwykłym, codziennym świetle. Były jak filmy dokumentalne mojej podświadomości i wydawały mi się tak prawdziwe jak życie. Mój samochód był moim prawdziwym samochodem, podwórko przed domem było takie jak w rzeczywistości, minikij do baseballu stał w szafie między parasolami.

Nie wybudzałam się z tych snów z płaczem. Budziłam się, krzycząc. Paul chwycił mnie wtedy i przytulał, aż się uciszyłam. Zwilżał ręcznik zimną wodą i kładł mi go na twarzy. Te mokre okłady nie były jednak w stanie zmyć ze mnie snów o mamie.

Nic nie było w stanie. Ani wtedy, ani nigdy. Nic nie mogło jej wskrzesić ani sprawić, żebym pogodziła się z jej odejściem. Nic nie mogło sprawić, żebym była przy niej, kiedy umierała. To mnie załamało. Odizolowało. Zrzuciło mnie w przepaść.

Zajął mi lata, by znów znaleźć sobie miejsce pomiędzy dziesięcioma tysiącami

rzeczy. By być kobietą, którą wychowała mama. By pamiętać, jak mówiła do mnie „kochanie”, i przypomnieć sobie, jak wtedy na mnie patrzyła. Cierpiałam. Cierpiałam. Chciałam, by wszystko potoczyło się inaczej. To pragnienie było jak dzika natura i sama musiałam znaleźć drogę, by się z niej wydostać. Zajął mi to cztery lata, siedem miesięcy i trzy dni. Nie wiedziałam, dokąd zmierzam, dopóki tam nie dotarłam.

To miejsce nazywało się Bridge of the Gods.

Rozdział 2

Rozstanie

Gdybym miała narysować mapę tych czterech z hakiem lat, żeby zilustrować czas pomiędzy śmiercią mamy a dniem, w którym rozpoczęłam pieszą wędrówkę szlakiem Pacific Crest Trail, to składałaby się z mieszaniny linii wychodzących we wszystkich możliwych kierunkach, niczym sztuczne ognie rozbłyskujące na niebie w Dzień Niepodległości, z Minnesotą w samym centrum. Do Teksasu i z powrotem. Do Nowego Jorku i z powrotem. Do Nowego Meksyku, Arizony, Nevady, Kalifornii, Oregonu i z powrotem. Do Wyoming i z powrotem. Do Portland w Oregonie i z powrotem. Znowu do Portland i z powrotem. I jeszcze raz. Te linie nie opowiadałyby jednak żadnej historii. Mapa objaśniałaby, gdzie uciekałam, ale nie sposoby, w jakie próbowałam zostać. Nie pokazywałaby, jak w miesiącach po śmierci mamy starałam się bez powodzenia ją zastąpić, by utrzymać rodzinę razem. Lub jak próbowałam ocalić swoje małżeństwo, nawet kiedy kłamstwami skazywałam je na porażkę. Moja mapa wyglądałaby jak gwiazda o nierównych ramionach, której jasne linie wystrzeliwiają we wszystkie strony.

Mój przyjazd do Mojave w Kalifornii na dzień przed rozpoczęciem wędrówki po PCT był jednocześnie moim ostatnim wyjazdem z Minnesoty. Powiedziałam to nawet mamie – choć pewnie nie mogła mnie usłyszeć. Usiadłam na polanie w lesie na naszym terenie, gdzie Eddie, Paul, moje rodzeństwo i ja wymieszaliśmy prochy mamy z ziemią i postawiliśmy jej nagrobek, i wytłumaczyłam, że nie będzie mnie tu już, by dbać o jej grób. Co oznaczało, że nikt tego nie zrobi. Ostatecznie nie miałam innego wyboru, jak zostawić grób mamy na pastwę chwastów, połamanych gałęzi i opadłych szyszek. Pozwolić, by przykrył go śnieg i by mrówki, jelenie, czarne niedźwiedzie i osy zrobiły z nią, co chciały. Położyłam się między krokusami na ziemi zmieszanej z prochami mamy i powiedziałam mamie, że wszystko w porządku. Że się poddałam. Że od jej śmierci wszystko się zmieniło. Stały się rzeczy, których nie mogłaby sobie nawet wyobrazić i których nigdy by nie przewidziała. Mówiłam

niskim, stanowczym głosem. Było mi tak źle, jakby ktoś mnie dusił, a mimo to miałam wrażenie, że całe moje życie zależy od tego, czy powiem to, co chcę powiedzieć: zawsze będzie moją mamą, ale muszę wyjechać. Wyjaśniłam jej też, że nie czuję już jej obecności na tej polanie. Znalazłam jej inne miejsce. Jedyne, w którym zawsze będę mogła ją znaleźć. W sobie.

Następnego dnia na zawsze wyjechałam z Minnesoty. Miałam zamiar przejść PCT.

Był pierwszy tydzień czerwca. Pojechałam do Portland pick-upem chevroletem z 1979, wyładowanym pudłami z suszonym jedzeniem i sprzętem biwakowym. Poprzednie tygodnie spędziłam, pakując i adresując paczki na swoje nazwisko do miejsc, w których nigdy nie byłam, przystanków wzdłuż PCT o sugestywnych nazwach typu Echo Lake, Soda Springs, Burney Falls i Seiad Valley. Zostawiłam pick-upa i pudła u swojej przyjaciółki Lisy w Portland – miała mi je wysłać przez całe lato – i poleciałam do Los Angeles, po czym pojechałam do Mojave z bratem znajomego.

Dojechalismy na miejsce wczesnym wieczorem, kiedy słońce chowało się za Górami Tehachapi, niecałe 20 kilometrów na zachód za nami. Górami, w które pójde następnego ranka. Miasto Mojave znajduje się na wysokości niecałych 853 metrów nad poziomem morza, ale ja czułam się jak na jakimś dnie, ponieważ słupy reklamowe z szyldami stacji benzynowych, restauracji i moteli górowały nad najwyższymi drzewami.

– Możesz się tu zatrzymać – powiedziałam mężczyźnie, który przywiózł mnie z Los Angeles, wskazując na staroświecki neon „Motel White’a”, nad którym na żółto iskrzył się dopisek „TELEWIZJA”, a poniżej na różowo „WOLNE POKOJE”. Widząc zaniedbany budynek, pomyślałam, że to najtańszy nocleg w mieście. Idealny dla mnie.

– Dzięki za podwiezienie – powiedziałam, gdy zatrzymaliśmy się na parkingu.

– Nie ma sprawy – odparł i spojrzał na mnie. – Na pewno dasz sobie radę?

– Tak – odpowiedziałam z udawaną pewnością. – Dużo samotnie podróżowałam.

Wysiadłam, zabierając plecak i dwie ogromne plastikowe torby z supermarketu,

pełne różnych przedmiotów. Zamierzałam wyciągnąć wszystko z toreb i spakować do plecaka, zanim wyjadę z Portland, ale nie miałam czasu tego zrobić. Przywiozłam więc torby tutaj. Zajmę się tym w swoim pokoju.

– Powodzenia – powiedział mężczyzna.

Patrzyłam, jak odjeżdża. Gorące powietrze smakowało kurzem, a suchy wiatr zawiewał mi włosy do oczu. Parking wyłożono drobnymi białymi kamykami osadzonymi na cemencie. Motel był długim szeregiem drzwi i okien zasłoniętych sfatygowanymi zasłonami. Zarzuciłam plecak na ramiona i podniosłam torby. Posiadanie tak niewielu rzeczy wydało mi się dziwne. Nagle poczułam się bezbronna, nie tak pełna entuzjazmu, jak się spodziewałam. Wyobrażałam sobie ten moment przez ostatnie sześć miesięcy, ale teraz, kiedy nastąpił – kiedy byłam niecałe 20 kilometrów od PCT, wydał mi się mniej wyraźny niż w moich wyobrażeniach, jakbym była we śnie, a każdy mój ruch był powodowany siłą woli, a nie instynktem. „Wejdz do środka” – musiałam sobie powiedzieć, zanim ruszyłam w stronę recepcji motelu. „Zapytaj o pokój”.

– Osiemnaście dolarów – powiedziała stara kobieta za ladą. Podejrzliwie spojrzała przez szklane drzwi, przez które weszłam chwilę wcześniej. – Chyba że ma pani towarzystwo. Za dwoje płaci się więcej.

– Nie mam towarzystwa – odparłam, rumieniąc się. Tylko kiedy mówiłam prawdę, czułam się, jakbym kłamała. – Ten gość tylko mnie podwiózł.

– A więc na teraz osiemnaście dolarów – powtórzyła kobieta – ale jeśli ktoś do pani dołączy, to trzeba będzie dopłacić.

– Nikt do mnie nie dołączy – powiedziałam spokojnie.

Wyciągnęłam dwudziestodolarowy banknot z kieszeni szortów i przesunęłam go po ladzie w jej stronę. Wzięła pieniądze, oddała mi dwa dolary wraz z formularzem do wypełnienia i wskazała długopis na łańcuszku.

– Wędruję pieszo, więc nie mogę wypełnić części dotyczącej auta – powiedziałam, wskazując formularz. Uśmiechnęłam się, ale kobieta nie zareagowała. – Poza tym nie mam teraz adresu. Podróżuję, więc...

– Proszę wpisać adres, pod który pani wróci – odpowiedziała.

– No właśnie w tym problem. Nie wiem, gdzie będę mieszkać po tym wszystkim,

bo...

– No to rodziców – odburknęła. – Tam, gdzie pani dom.

– Dobrze – powiedziałam i wpisałam adres Eddiego, choć tak naprawdę moje relacje z nim przez cztery lata od śmierci mamy stały się tak bolesne i luźne, że nie mogłam już tak naprawdę uważać go za ojczyma.

Nie miałam „domu”, mimo że dom, który wybudowaliśmy, nadal istniał. Leif, Karen i ja byliśmy nierozzerwalnie związani jako rodzeństwo, ale rzadko rozmawialiśmy lub widywaliśmy się, bo nasz styl życia był diametralnie różny. Paul i ja sfinalizowaliśmy rozwód miesiąc wcześniej, po okropnej rocznej separacji. Miałam ukochanych przyjaciół, których czasem określałam mianem rodziny, ale nasze zobowiązania względem siebie były nieformalne i sporadyczne. Rodzinne raczej w słowach niż czynach. „Krew nie woda” – powtarzała mama, kiedy dorastałam. Często nie zgadzałam się z tą opinią. Okazało się jednak, że to, czy mama miała rację, było bez znaczenia. Oba płyny tak samo przeciekły mi przez palce.

– Proszę – powiedziałam do kobiety, przesuając w jej stronę wypełniony formularz.

Nie odwróciła się do mnie przez kilka minut, tylko patrzyła w mały telewizor na stoliku za ladą. Wieczorne wiadomości. Coś o procesie O.J. Simpsona.

– Myśli pani, że jest winny? – zapytała, nie spuszczając wzroku z ekranu.

– Na to wygląda, ale chyba jeszcze za wcześnie, by mieć pewność. Nie mamy jeszcze wszystkich informacji.

– Oczywiście, że to zrobił! – krzyknęła.

Kiedy w końcu dała mi klucz, przeszłam przez parking w stronę drzwi na odległym końcu budynku, otworzyłam je i weszłam do środka. Postawiłam swoje rzeczy i usiadłam na miękkim łóżku. Byłam na pustyni Mojave, ale pokój był dziwnie wilgotny. Cuchnął mokrym dywanem i płynem do czyszczenia. Białe metalowe pudło podpięte do otworu wentylacyjnego zaczęło z warkotem pracować – klimatyzator, który przez kilka minut wydmuchiwiał lodowate powietrze, po czym wyłączył się, wydając z siebie żaloszny jazgot, który spotęgował tylko moje poczucie niepokojącego osamotnienia.

Myślałam nad tym, by znaleźć sobie towarzysza. Nic prostszego. Minione lata były prawdziwą uczcią w kwestii facetów na jedną, dwie lub trzy noce. To było tak niedorzeczne, to całe życie intymne z ludźmi, których nie kochałam, a jednak nadal pragnęłam po prostu poczuć, jak jakieś ciało przyciska się do mojego, a wszystko inne się zaciera. Wstałam z łóżka, by otrząsnąć się z tęsknoty i powstrzymać umysł od wygłodniałego warkotu: „Mogłabym pójść do baru. Mogłabym pozwolić jakiemuś facetowi postawić sobie drinka. Moglibyśmy tu wrócić w mgnieniu oka”.

Kolejną rzeczą, jakiej pragnęłam, był telefon do Paula. Nie był już moim mężem, ale pozostał moim najlepszym przyjacielem. Jakkolwiek odsunęłam się od niego przez lata po śmierci mamy, w wielu kwestiach mocno do niego przyłgnęłam. Mimo że głównie milcząco ubolewałam nad naszym małżeństwem, mieliśmy też dobre momenty i byliśmy w przedziwnie prawdziwy sposób naprawdę szczęśliwą parą.

Metalowy klimatyzator w rogu znów się włączył, podeszłam więc do niego, pozwalając mroźnemu powietrzu owiać moje gołe nogi. Miałam na sobie ubrania, których nie zmieniłam od poprzedniego wieczoru, kiedy wyjechałam z Portland. Wszystkie nowusieńkie. To był mój strój na wyprawę i czułam się w nim trochę obco, jak ktoś, kim jeszcze się nie stałam. Wełniane skarpety, skórzane górskie buty z metalowymi zaczepami. Granatowe szorty z nadającymi poważny wygląd kieszeniami, które zamykały się na rzepy. Bielizna ze specjalnego szybkoschnącego materiału i zwykły biały podkoszulek na sportowy stanik.

To między innymi na te rzeczy oszczędzałam całą zimę i wiosnę, pracując jako kelnerka na tyle zmian, ile się dało. Kiedy je kupowałam, nie wydawały mi się obce. Mimo że ostatnimi czasy próbowałam wyrazistego, miejskiego życia, z łatwością można mnie było scharakteryzować jako miłośniczkę natury. W końcu jako nastolatka koczowałam w lasach północnej Minnesoty. Moje rodzinne wakacje zawsze wiązały się z biwakowaniem, tak jak wycieczki, na które jeździłam z Paulem, sama albo z przyjaciółmi. Spałam na naczepie swojego pick-upa, pod namiotami w parkach i lasach państwowych więcej razy, niż byłam w stanie zliczyć. Ale teraz, tutaj, mając tylko te ubrania pod ręką, poczułam się nagle jak oszustka. Przez sześć miesięcy od chwili, gdy podjęłam decyzję, by przejść PCT, przeprowadziłam przynajmniej tuzin rozmów, w których musiałam wyjaśniać, dlaczego ta wyprawa

była dobrym pomysłem i jak dobrze jestem do niej przygotowana. Teraz, sama w pokoju w Motelu White'a, nie miałam wątpliwości, że stąпам po niepewnym gruncie.

– Może najpierw powinnaś się zdecydować na krótszą wyprawę – zasugerował Paul, kiedy powiedziałam mu o swoim planie kilka miesięcy wcześniej, podczas jednej z naszych dyskusji pod tytułem „Zostać razem czy się rozwieść?”.

– Dlaczego? – zapytałam zirytowana. – Uważasz, że nie dam sobie rady?

– Nie o to chodzi – odpowiedział. – Tylko o ile mi wiadomo, nigdy wcześniej nie podróżowałaś z plecakiem.

– Oczywiście, że podróżowałam! – oburzyłam się, choć miał rację.

Nie podróżowałam. Robiłam wiele rzeczy, które uważałam za pokrewne takiej formie podróży, ale właściwie nigdy wcześniej nie zapaściłam się z plecakiem w dziką przyrodę i nie spędziłam w niej nocy. Ani razu.

„Nigdy nie podróżowałam z plecakiem!” – pomyślałam z pełnym rzewności rozbawieniem. Nagle spojrzałam na swój plecak i plastikowe torby, które przywlokłam z Portland, zawierające rzeczy niewyjęte jeszcze z firmowych opakowań. Plecak był w kolorze leśnej zieleni, z czarnymi wykończeniami, i składał się z trzech dużych komór. Na zewnątrz miał szerokie kieszenie z siatki i nylonu, sterczące po bokach jak wielkie uszy. Stał samodzielnie dzięki specjalnej plastikowej półeczce wystającej spod spodu. To, że stał, zamiast przewracać się na bok jak inne plecaki, napawało mnie odrobiną dziwnej otuchy. Podeszłam do niego i dotknęłam górnej pokrywy, jakbym gładziła główkę dziecka. Miesiąc temu poradzono mi, żebym zapakowała do plecaka te rzeczy, które zamierzam zabrać na wędrowkę, i zrobiła próbną wycieczkę. Najpierw miałam zamiar to zrobić, zanim wyjadę z Minneapolis, a potem – kiedy już dotrę do Portland. Tak się jednak nie stało. Próba czynnościowa odbędzie się jutro – pierwszego dnia na szlaku.

Sięgnęłam do jednej z plastikowych toreb i wyciągnęłam pomarańczowy gwizdek, którego opakowanie anonsowało, że jest „najgłośniejszy na świecie”. Rozerwałam opakowanie i podniosłam gwizdek za żółty sznurek, po czym zawiesiłam go na szyi, jakbym była trenerem. Czy miałam go tak nieść przez całą wyprawę? Może to głupie, ale nie wiedziałam. Tak jak wielu innych rzeczy, nie przemyślałam zakupu

najgłośniejszego na świecie gwizdka. Zdjęłam go i przywiązałam do stelaża plecaka, żeby w czasie wędrówki wisiał na ramieniu. W razie czego łatwo będzie po niego sięgnąć.

„W razie czego?” – zastanawiałam się, padając na łóżko pełna czarnych myśli. Dawno minęła już pora kolacji, ale byłam zbyt zdenerwowana, by czuć głód. Moje osamotnienie gniotącą kulą leżało mi na żołądku.

– W końcu masz to, czego chciałaś – powiedział Paul, kiedy zegnaliśmy się w Minneapolis dziesięć dni wcześniej.

– Czyli? – zapytałam.

– Jesteś sama – odpowiedział z uśmiechem, choć ja mogłam tylko niepewnie pokiwać głową.

Tego właśnie chciałam, choć samotność nie do końca była moim celem. Trudno było wytłumaczyć, czego potrzebowałam w miłości. Koniec mojego małżeństwa był wielkim wyjaśnieniem. Wszystko zaczęło się od listu, który nadszedł tydzień po śmierci mamy, choć początki sięgają jeszcze dawniejszych czasów.

List nie był do mnie, tylko do Paula. Choć moja żałoba była bardzo świeża, i tak z podekscytowaniem wbiegłam do naszej sypialni, by mu go wręczyć, kiedy zobaczyłam adres nadawcy. New School w Nowym Jorku. W innym życiu – zaledwie trzy miesiące wcześniej, zanim dowiedziałam się, że mama ma raka – pomogłam mu złożyć papiery na studia doktoranckie z filozofii politycznej. Jeszcze w połowie stycznia wizja przeprowadzki do Nowego Jorku wydawała mi się ogromnie ekscytująca. Teraz jednak, z końcem marca – kiedy rozerwał kopertę i wykrzyknął, że został przyjęty, kiedy przytuliłam go i pod każdym względem sprawiałam wrażenie, że się cieszę tą dobrą nowiną – poczułam, jak dzielę się na pół. Na kobietę, którą byłam przed śmiercią mamy, i tę obecną, dla której dotychczasowe życie przypominało siniak. Prawda o mnie znajdowała się pod spodem, pod tym wszystkim, co kiedyś wydawało mi się oczywiste. Jak to, że zrobię licencjat w czerwcu i kilka miesięcy później wyjedziemy. Że wynajmiemy mieszkanie w East Village lub Park Slope – miejscach, które sobie tylko wyobrażałam i o których czytałam. Że będę nosić fikuśne poncha, śliczne robione na drutach czapki i fajne botki, stając się jednocześnie pisarką w ten sam, romantycznie ubogi sposób jak moi ulubieni

bohaterowie literaccy.

Niezależnie od listu wszystko to było teraz niemożliwe. Moja mama nie żyła. Moja mama nie żyła. Moja mama nie żyła. Wszystko, co kiedykolwiek wyobrażałam sobie na własny temat, zniknęło wraz z jej ostatnim oddechem.

Nie mogłam opuścić Minnesoty. Rodzina mnie potrzebowała. Kto pomoże Leifowi dorosnąć? Kto będzie przy Eddiem w jego samotności? Kto przyrządzi obiad w Święto Dziękczynienia i będzie podtrzymywał nasze rodzinne tradycje? Ktoś musiał trzymać razem to, co zostało z naszej rodziny. I tym kimś musiałam być ja. Przynajmniej tyle byłam winna mamie.

– Powinieneś pojechać beze mnie – powiedziałam Paulowi, który nadal trzymał w dłoniach list.

W ciągu następnych tygodni powtarzałam to w kółko przy każdej rozmowie, a moje przekonanie rosło z dnia na dzień. Część mnie była przerażona tym, że Paul mógłby mnie zostawić, druga zaś desperacko życzyła sobie, by to zrobił. Gdyby wyjechał, drzwi naszego małżeństwa zatrzasnęłyby się i nie musiałabym zamykać ich kopniakiem. Byłabym wolna i nic nie byłoby moją winą. Kochałam go, ale miałam porywczą naturę i dziewiętnaście lat, kiedy się pobraliśmy. Nie byłam ani odrobinę gotowa, żeby poświęcić się drugiej osobie, jakkolwiek była mi bliska. Choć inni mężczyźni zaczęli mnie pociągać niedługo po ślubie, hamowałam się. Ale dłużej już nie mogłam. Żal pozbawił mnie umiejętności panowania nad sobą. Tak wiele mi odmówiono – usprawiedliwiałam się. Dlaczego mam sama sobie czegoś odmawiać?

Mama nie żyła od tygodnia, kiedy pocałowałam innego mężczyznę. A kolejnego tydzień później. Tylko się z nimi całowałam, podobnie jak z następnymi – przysięgając, że nie przekroczę granicy, która miała dla mnie jakieś znaczenie – jednak wiedziałam, że nie powinnam oszukiwać i kłamać. Czułam się w pułapce własnej niemożności, by odejść od Paula albo dochować mu wierności, czekałam więc, aż to on mnie zostawi, aż wyjedzie sam na studia doktoranckie, choć oczywiście odmówił.

Przesunął studia o rok i zostaliśmy w Minnesocie, żebyśmy mogła być blisko rodziny, choć moja bliskość w roku po śmierci mamy niewiele dała. Okazało się, że nie jestem w stanie utrzymać rodziny razem. Nie byłam mamą. Dopiero po jej

odejściu zdałam sobie sprawę, kim była: magicznym, jak widać, punktem w centrum naszej rodziny, który sprawiał, że krążyliśmy niezauważalnie po jego potężnej orbicie. Bez niej Eddie powoli stał się dla nas obcy. Leif, Karen i ja zajęliśmy się własnym życiem. Jakkolwiek walczyłam, by było inaczej, w końcu ja też musiałam przyznać: bez mamy byliśmy inni. Czterej rozbitkowie unoszący się wśród żałobnych szczątków, związani tylko cieniusieńką liną. Nie zrobiłam w końcu tego świątecznego obiadu. Kiedy po ośmiu miesiącach od śmierci mamy nadeszło Święto Dziękczynienia, o mojej rodzinie mówiłam już w czasie przeszłym.

Kiedy więc rok później, niż początkowo planowaliśmy, przeprowadziliśmy się z Paulem do Nowego Jorku, cieszyłam się, że wyjeżdżamy. Tam mogłam zacząć wszystko od nowa. Przestałabym romansować z innymi facetami. Przestałabym tak strasznie rozpaczać. Przestałabym złościć się z powodu rodziny, którą kiedyś miałam. Byłabym pisarką, która mieszka w Nowym Jorku. Chodziłabym po mieście w fajnych botkach i ślicznej, robionej na drutach czapce.

Wyszło inaczej. Byłam, kim byłam: tą samą kobietą, której prawdziwe oblicze znajdowało się pod „siniakiem” jej dotychczasowego życia, tyle że teraz mieszkałam gdzie indziej.

W ciągu dnia pisałam opowiadania. Nocą kelnerowałam i całowałam się z jednym z dwóch mężczyzn, z którymi jednocześnie nie przekraczałam granicy. Mieszkaliśmy w Nowym Jorku dopiero od miesiąca, kiedy Paul zrezygnował ze studiów doktoranckich i postanowił, że zamiast tego woli zostać gitarzystą. Pół roku później wyprowadziliśmy się, wracając na chwilę do Minnesoty, przed wyruszeniem w wielomiesięczną podróż przez zachód, podczas której pracowaliśmy, zataczając szeroki krąg, który obejmował Wielki Kanion, Dolinę Śmierci, Big Sur i San Francisco. Na koniec wyprawy, późną wiosną, wylądowaliśmy w Portland i znaleźliśmy pracę w restauracji, zatrzymując się początkowo u mojej przyjaciółki Lisy w jej małym mieszkanku, a potem na farmie 15 kilometrów za miastem, gdzie w zamian za opiekę nad kozą, kotem i stadkiem egzotycznych ozdobnych kur mogliśmy za darmo mieszkać całe lato. Ściągnęliśmy materac z naszego pick-upa i spaliśmy na nim w salonie pod wielkim, szerokim oknem, które wychodziło na leszczynowy sad. Chodziliśmy na długie spacery, zbieraliśmy jagody i kochaliśmy

się. „Dam radę” – myślałam sobie. Dam radę być żoną Paula.

Znów byłam w błędzie. Mogłam być tylko tym, kim najwyraźniej być musiałam. Tylko teraz jeszcze bardziej. Prawie nie pamiętałam kobiety, którą byłam, zanim moje życie rozpadło się na pół. Mieszkając na małej farmie na obrzeżach Portland, kilka miesięcy po drugiej rocznicy śmierci mamy nie martwiłam się już o przekroczenie granicy. Kiedy Paul przyjął ofertę pracy w Minneapolis, która wymagała od niego powrotu do Minnesoty w połowie naszego pilnowania egzotycznych kur ozdobnych, ja zostałam w Oregonie, żeby pieprzyć się z byłym chłopakiem właścicielki ozdobnych kur. Pieprzyłam się też z kucharzem w restauracji, w której byłam kelnerką. Pieprzyłam się z masażystą, który dał mi kawałek ciasta bananowego z bitą śmietaną i darmowy masaż. Trzech mężczyzn w pięć dni.

Miałam wrażenie, że ludzie, którzy się tną, są w podobnym emocjonalnym stanie. Niepiękni, ale oczyszczeni. Niedobrzy, ale pozbawieni żalu. Próbowалам uśmierzyć ból. Próbowалам pozbyć się tego, co było we mnie złe, żeby znowu mogła być dobra. Wyleczyć się z siebie. Pod koniec lata, kiedy wróciłam do Minneapolis, by zamieszkać z Paulem, miałam wrażenie, że mi się udało. Myślałam, że jestem inna, lepsza i że z tamtym skończyłam. Skończyłam na jakiś czas. Wytrwałam w wierności przez jesień i do nowego roku. Potem wplątałam się w kolejny romans. Wiedziałam, że jestem u kresu. Nie mogłam już dłużej znieść siebie. Czułam, że muszę w końcu powiedzieć o wszystkim Paulowi i że to rozbije moje życie. Nie przestałam kochać męża, ale musiałam być sama, choć nie wiedziałam dlaczego.

Moja mama nie żyła od trzech lat.

Kiedy wszystko mu wyznałam, oboje padliśmy na podłogę i zaczęliśmy płakać. Następnego dnia Paul się wyprowadził. Powoli oznajmiliśmy wszystkim znajomym, że się rozstajemy. „Mamy nadzieję, że uda nam się wszystko jakoś ułożyć” – mówiliśmy. Niekoniecznie mieliśmy zamiar się rozwieść. Najpierw nie dowierzali: „Wydawaliście się tacy szczęśliwi” – mówili zgodnie. Potem byli źli – nie na nas, tylko na mnie. Jedna z moich najbliższych przyjaciółek wzięła moje zdjęcie, które trzymała w ramce, przedarła je i przysłała mi pocztą. Druga całowała się z Paulem. Kiedy poczułam się zraniona i zazdrosna, inna przyjaciółka powiedziała mi, że dokładnie na to zasługuję – na odrobinę własnego lekarstwa. Nie mogłam

pełnoprawnie zaprzeczyć, ale miałam złamane serce. Leżałam sama na naszym materacu, czując, jak niemal lewituję z bólu.

Po trzech miesiącach separacji nadal tkwiliśmy w męczącym zawieszaniu. Ani nie chciałam wracać do Paula, ani nie chciałam się rozwodzić. Marzyłam, by być dwiema osobami i móc zrobić obie rzeczy naraz. Paul umawiał się z niezliczoną ilością kobiet, ja znalazłam się w celibacie. Teraz, gdy zniszczyłam nasze małżeństwo przez seks, był on ostatnią rzeczą, jaka przychodziła mi do głowy.

– Musisz wyjechać w cholerę z Minneapolis – doradziła mi Lisa podczas jednej z naszych późnonocnych, bolesnych rozmów. – Przyjedź do mnie, do Portland – powiedziała.

W ciągu tygodnia rzuciłam pracę kelnerki, załadowałam pick-upa i pojechałam na zachód, dokładnie tą samą trasą, którą rok później miałam zmierzać na swoją wędrowną szlakiem PCT.

Gdy dojechałam do Montany, wiedziałam, że postąpiłam słusznie – bezkresny zielony krajobraz ciągnący się kilometrami za szybą samochodu i niebo, które sięgało jeszcze dalej. Portland migotało gdzieś w oddali poza zasięgiem mojego wzroku. Tam będzie moja ucieczka w naturę, nawet jeśli tylko na chwilę. „Tam pozbędę się wszystkich kłopotów” – myślałam.

Znalazłam ich jednak tylko więcej.

Rozdział 3

Zgarbiona w pozycji częściowo wyprostowanej

Kiedy następnego dnia obudziłam się w swoim pokoju w Motelu White'a, wzięłam prysznic i stanęłam naga przed lustrem, przyglądając się sobie dokładnie podczas szczotkowania zębów. Próbowałam wzbudzić w sobie coś na kształt podekscytowania, ale zdobyłam się jedynie na ponury niepokój. Od czasu do czasu dostrzegałam siebie – naprawdę siebie dostrzegałam – i do głowy przychodziło mi zdanie, grmiące niczym boski głos. Gdy tak patrzyłam wtedy na swoje odbicie w zmatowiałym lustrze, pomyślałam: „Kobieta z dziurą w sercu”. To ja. Dlatego poprzedniego wieczoru chciałam mieć kogoś przy sobie. Dlatego tam byłam, naga, w motelu, z niedorzecznym pomysłem samotnej trzymiesięcznej wędrówki po PCT. Odłożyłam szczoteczkę, nachyliłam się do lustra i spojrzałam sobie w oczy. Czułam, że w środku rozsypuję się jak zwiędły kwiat na wietrze. Z każdym ruchem mięśni odrywał się ze mnie kolejny płatek. „Błagam – myślałam. – Błagam”.

Podeszłam do łóżka i spojrzałam na mój strój. Rozłożyłam go tam staranie, zanim poszłam pod prysznic, tak jak mama zrobiła to dla mnie, gdy po raz pierwszy szłam do szkoły. Kiedy włożyłam stanik i koszulkę, drobne strupki, które wciąż otaczały mój nowy tatuaż, zahaczyły o rękaw, więc delikatnie zaczęłam je odrywać. To był mój jedyny tatuaż – niebieski koń na lewym ramieniu. Paul miał taki sam. Zrobiliśmy je sobie, by upamiętnić nasz rozwód, który został sfinalizowany zaledwie w ubiegłym miesiącu. Nie byliśmy już małżeństwem, ale nasze tatuaże miały być dowodem nierozzerwalnej więzi.

Jeszcze rozpaczliwiej niż poprzedniego wieczoru chciałam zadzwonić do Paula, ale nie mogłam sobie na to pozwolić. Znał mnie zbyt dobrze. Usłyszałyby w moim głosie smutek i wahanie i dostrzegłyby, że nie chodzi tu tylko o moje niepokoje przed rozpoczęciem PCT. Wyczułyby, że chcę mu coś powiedzieć.

Włożyłam skarpetki i zawiązałam buty, podeszłam do okna i odsunęłam zasłonę.

Światło odbijające się od białych kamieni na parkingu było oślepiające. Po drugiej stronie znajdowała się stacja benzynowa. „Dobre miejsce, by złapać okazję do PCT” – pomyślałam. Kiedy puściłam zasłonę, znów zrobiło się ciemno. To mi odpowiadało: ciemny kokon, z którego nigdy nie będę musiała wychodzić; choć wiedziałam, że to nieprawda. Była dziewiąta rano, a na zewnątrz już panował upał. Klimatyzator w rogu pokoju przebudził się z wietrznym rykiem. Wbrew wszystkiemu, co wskazywało, że zmierzam donikąd, musiałam znaleźć się dziś w pewnym miejscu: to był dzień pierwszy na PCT.

Otworzyłam komory plecaka, wszystko z nich wyciągnęłam i rzuciłam na łóżko. Podniosłam plastikowe torby i też je opróżniłam, po czym wlepiłam wzrok w stertę przedmiotów, które miałam nieść na plecach przez następne trzy miesiące.

Był wśród nich niebieski worek kompresyjny na ubrania, których nie miałam na sobie – polarowe spodnie, termo-aktywną koszulę z długim rękawem, grubą polarową kurtkę z kapturem, dwie pary wełnianych skarpet, dwie pary majtek, parę cienkich rękawiczek, kapelusz od słońca, polarową czapkę i nieprzemakalne spodnie – oraz drugi, solidniejszy, wodoodporny worek wypakowany po brzegi jedzeniem na najbliższe dwa tygodnie, aż odbiorę pierwszą paczkę z zapasami w Kennedy Meadows. Były tam też śpiwór, krzeselko turystyczne, które można było odpiąć od stelaża i używać jako karimaty, latarka czołówka, taka jaką noszą górnicy, oraz pięć elastycznych linek mocujących. Były tam filtr do wody i mała składana kuchenka, wysoka aluminiowa butla z gazem i mała różowa zapalniczka. Niewielki garnek włożony w większy, składające się na pół sztuce oraz para tanich sportowych sandałów, które miałam zamiar nosić w obozowisku pod koniec każdego dnia. Były tam szybko schnący ręcznik, breloczek do kluczy z termometrem, brezentowy daszek namiotowy i plastikowy termokubek z uchwytem. Zestaw na wypadek ukąszenia i szwajcarski scyzoryk, miniaturowa lornetka w futerale ze sztucznej skóry i zwój fluorescencyjnej liny, kompas, którym nie umiałam się posługiwać, i książka, która miała mnie tego nauczyć, pod tytułem *Staying Found*. Zamierzałam ją przeczytać w samolocie do Los Angeles, ale tego nie zrobiłam. Była tam apteczka w intensywnie czerwonym płóciennym pokrowcu na zatrzaski i rolka papieru toaletowego w strunowej torebce oraz niewielka saperka ze stali nierdzewnej, która miała własny

czarny futerał z napisem „Z miłości do kopania”. Była tam mała saszetka kosmetyków i osobistych przedmiotów, które jak sądziłam, będą mi potrzebne podczas wyprawy: szampon, odżywka, mydło, balsam do ciała i dezodorant, obcinacz do paznokci, środek na owady i emulsja z filtrem, szczotka do włosów, tampon z naturalnej gąbki i wodoodporny balsam do ust z filtrem. Miałam też latarkę i metalową latarenkę z jedną świecą w środku i drugą zapasową oraz składaną piłę – nie wiem po co – i zieloną nylonową torbę z namiotem w środku. Dwie litrowe plastikowe butelki i bukłak o pojemności dziesięciu litrów, jeden kłębek nylonowy, który rozwijał się w ochraniacz przeciwdeszczowy na plecak oraz jeden goretexowy, który rozkładał się w moją pelerynę. Były tam rzeczy, które kupiłam na wypadek, gdyby inne zawiodły – dodatkowe baterie, pudełko wodoodpornych zapalek, koc termiczny i butelka jodu w tabletkach. Dwa długopisy i trzy książki oprócz *Staying Found: The Pacific Crest Trail*, tom 1: *California* (przewodnik, przez który ruszyłam w tę podróż, napisany przez czterech autorów, którzy mówili o nagrodach, o tym, czego szlak wymaga i czym nagradza, jednym, spokojnym, ale poważnym tonem), *Kiedy umieram* Williama Faulknera i *The Dream of a Common Language* Adrienne Rich. Były tam dwustruonicowy szkicownik w twardej oprawie o wymiarach 20 na 28 centymetrów, którego używałam jako dziennika, i strunowa torebka z prawem jazdy, niewielkim plikiem banknotów, zwitkiem znaczków pocztowych i małym kołnotatnikiem z nabazgranymi na paru stronach adresami przyjaciół. Był tam też okazały wysokiej klasy profesjonalny aparat Minolta X-700 35 milimetrów z lampą błyskową i doczepianym dodatkowym obiektywem z zoomem, a także mały składany statyw, wszystko w wyściełanym futerale wielkości piłki nożnej.

Nie żebym była fotografem.

W sklepie ze sprzętem turystycznym w Minneapolis o nazwie REI byłam w ciągu ostatnich miesięcy dziesiątki razy. Kupiłam tam większość zgromadzonych na łóżku przedmiotów. Rzadko kiedy udało mi się nabyć coś od razu. Nawet kupienie butelki na wodę bez wcześniejszego dokładnego zbadania najnowszych technologii w tej dziedzinie było, jak się szybko przekonałam, głupotą. Należało wziąć pod uwagę wady i zalety różnych tworzyw, nie wspominając o zgromadzeniu istotnych informacji w kwestii designu. A był to najmniej skomplikowany ze wszystkich moich

zakupów. Wybór reszty potrzebnego mi wyposażenia okazał się bardziej skomplikowany, z czego zdałam sobie sprawę po konsultacjach z pracownikami REI, którzy pełnymi nadziei głosami pytali mnie, w czym pomóc, kiedy tylko zauważyli mnie przed ekspozycjami kuchenek turystycznych lub gdy przechadzałam się między rzędami namiotów. Różnili się wiekiem, zachowaniem i kierunkiem specjalizacji turystycznej. Łączyło ich to, że każdy z nich potrafił opowiadać o sprzęcie w interesujący i szczegółowy sposób przez tak niewiarygodnie długi czas, że ostatecznie byłam tym kompletnie oszołomiona. Obchodziło ich, czy mój śpiwór ma zamek, w który nie będzie wcinął się materiał, i czy kołnierz docieplający pozwoli na szczelne zasunięcie kaptura, a mimo to będę mogła swobodnie oddychać. Cieszyło ich, że mój filtr do wody ma karbowany element z włókna szklanego dla zwiększenia pojemności. I dużo się przy nich uczyłam. Kiedy w końcu podjęłam decyzję, który plecak kupić – najwyższej klasy gregory z zewnętrznym stelażem, który miał ponoć stabilność i lekkość taką jak wersja z wewnętrzną ramą – czułam się ekspertem od plecaków.

Dopiero gdy patrzyłam na stertę pieczołowicie wybranego sprzętu na moim łóżku w pokoju motelowym w Mojave, z głęboką pokorą zdałam sobie sprawę, że nim nie jestem.

Poradziłam sobie z tą wielką górą rzeczy, na siłę wciskając je i wsuwając w dostępne przestrzenie w plecaku, aż w końcu nic więcej nie było w stanie się zmieścić. Miałam zamiar użyć linek, żeby przyczepić torbę z jedzeniem, namiot, brezent, worek z ubraniami i krzeselko turystyczne, które było też karimatą, w miejscach przeznaczonych do tego na zewnętrznym stelażu. Teraz jednak stało się jasne, że będą musiały się tam znaleźć i inne przedmioty. Okręciłam linkami wszystko to, co chciałam tam umieścić, a potem przewlekłam je przez kilka dodatkowych rzeczy: paski moich sandałów, futerał na aparat, uchwyt termokubka i latarenki. Przyczepiłam saperkę za jej pokrowiec z napisem „Z miłości do kopania” do pasa plecaka i doczepiłam brelok-termometr do jednego z zamków.

Kiedy skończyłam, usiadłam na podłodze spocona z wysiłku i ze spokojem przyglądałam się plecakowi. I wtedy przypomniałam sobie o jeszcze jednej rzeczy – wodzie.

Zdecydowałam się rozpocząć wędrówkę właśnie tu, bo oszacowałam, że zdołam w trzy miesiące dotrzeć stąd do Ashland w Oregonie – miejsca, gdzie początkowo zaplanowałam koniec wyprawy, bo słyszałam dobre rzeczy o tym miasteczku i pomyślałam, że może zechcę tam zamieszkać. Kilka miesięcy wcześniej palcem po mapie przejechałam na południe, sumując kilometry i dni, i zatrzymałam się na przełęczy Tehachapi, gdzie PCT krzyżuje się z autostradą 58 w północno-zachodnim rogu pustyni Mojave, niedaleko miasteczka Mojave. Dopiero na parę tygodni przed wyprawą zdałam sobie sprawę, że rozpocznę wędrówkę na jednym z najbardziej suchych odcinków trasy, gdzie nawet najszybsi, najbardziej wysportowani i wytrawni piechurzy nie zawsze potrafią każdego dnia przejść od jednego źródła wody do drugiego. Co dopiero ja. Miną dwa dni, zanim uda mi się dotrzeć do pierwszego wodopoju, 27 kilometrów w głąb szlaku, co oznaczało, że zapas wody będę musiała nieść ze sobą.

Wypełniłam litrowe butelki w łazienkowej umywalce i włożyłam je w siatkowe kieszenie po bokach plecaka. Wyciągnęłam bukłak z centralnej kieszeni, gdzie go upchnęłam, i wypełniłam go po brzegi. Jak się później przekonałam, litr wody waży kilogram. Nie wiem, ile ważył mój plecak tego pierwszego dnia, ale sama woda – ponad dziesięć kilo. Niezwykle nieporęczne dziesięć kilo. Bukłak wyglądał jak ogromny spłaszczony balon z wodą, który chlupał, wyginał się we wszystkie strony, wyślizgiwał się z rąk i upadał na podłogę, kiedy próbowałam przymocować go do plecaka. Był obrębiony jutowymi sznurkami. Z wielkim wysiłkiem udało mi się przewlec przez nie elastyczną linkę, potem przez torbę z aparatem i sandały, i termokubek, i latarenkę, aż tak się zirytowałam, że wyciągnęłam kubek i rzuciłam nim na drugi koniec pokoju.

W końcu, kiedy wszystko, co miałam nieść, było na właściwym miejscu, ogarnął mnie spokój. Mogłam zaczynać. Założyłam zegarek, powiesiłam okulary przeciwsłoneczne na szyi na różowym neoprenowym pasku, włożyłam kapelusz i spojrzałam na plecak. Był jednocześnie ogromny i zgrabny, niepozbawiony uroku i przerażająco samowystarczalny. Miał cechy żywej istoty. W jego towarzystwie nie czułam się całkiem sama. Postawiony, sięgał mi do pasa. Chwyciłam go i pochyliłam się, by go podnieść.

Ani drgnął.

Przykucnęłam i z jeszcze większą determinacją złapałam jego ramę. Nie poruszył się. Nawet o centymetr. Próbowałam podnieść go obiema rękami, zapierając się nogami, i próbując objąć go na misia, z całego tchu i woli, ze wszystkich sił. A mimo to nadal się nie poruszył. Jakbym próbowała podnieść volkswagena garbusa. Wydawał się taki uroczy i taki gotowy, by go podnieść – a jednak było to niemożliwe.

Usiadłam koło niego na podłodze i zaczęłam się zastanawiać nad swoim położeniem. Jak mam przez prawie 2000 kilometrów urwistych gór i bezwodnych pustyni nieść plecak, którego nie potrafię nawet ruszyć w klimatyzowanym motelowym pokoju? Pomysł był niedorzeczny, a jednak musiałam podnieść ten plecak. Nie przyszło mi nawet do głowy, że nie będę w stanie tego zrobić. Zwyczajnie założyłam, że jeśli spakuję tylko rzeczy, które będą mi potrzebne, to jego waga będzie odpowiednia. To prawda, ludzie w REI dość często wspominali o wadze sprzętu w swoich monologach, ale nie zwracałam na to zbyt dużej uwagi. Wydawało mi się, że są ważniejsze sprawy do rozważenia. Na przykład czy kołnierz docieplający pozwoli na szczelne zasunięcie kaptura, a mimo to będę mogła swobodnie oddychać.

Zastanawiałam się, co mogłabym wyciągnąć z plecaka, ale każdy z przedmiotów wydał mi się albo tak bezdyskusyjnie nieodzowny, albo tak potrzebny w nagłym wypadku, że nie śmiałam niczego usunąć. Będę musiała spróbować wziąć plecak taki, jaki jest.

Podsunęłam się bliżej i usiadłam na pupie plecami tuż przy plecaku, przełożyłam ręce przez szelki i zapięłam pas mostkowy na piersiach. Wzięłam głęboki oddech i zaczęłam się bujać w przód i w tył, by zyskać siłę rozpędową, aż w końcu dźwignęłam się do przodu, korzystając ze wszystkich sił, i podniosłam się na czworaki. Plecak nie stał już na podłodze. Był oficjalnie przyczepiony do mnie. Nadal sprawiał wrażenie garbusa, tyle że teraz był zaparkowany na moich plecach. Przez chwilę zostałam w takiej pozycji, próbując znaleźć punkt równowagi. Powoli stawiałam stopy, wspinając się jednocześnie dłońmi po metalowym pudle klimatyzatora, aż w końcu byłam na tyle w pionie, by spróbować się zupełnie wyprostować. Gdy się podnosiłam, rama plecaka zaskrzypiała, tak jak ja, naprężając się od ogromnego ciężaru. Kiedy już stałam – a właściwie garbiłam się w pozycji

częściowo wyprostowanej – trzymałam w rękach metalową obudowę, którą przypadkiem oderwałam od wentylatora.

Nie mogłam nawet próbować przyczepić jej z powrotem. Miejsce, w którym należało ją umocować, znajdowało się tylko kilka centymetrów poza moim zasięgiem, ale pokonanie tych kilku centymetrów całkiem nie wchodziło w grę. Oparłam obudowę o ścianę, zapięłam pas na biodrach i zaczęłam chwiać się i kołysać po pokoju, czując, jak mój środek ciężkości przesuwa się w kierunku, w którym się choć odrobinę przechylę. Ciężar boleśnie wrzynał się w moje ramiona, więc zapinałam pas biodrowy ciasniej i ciasniej, próbując zrównoważyć obciążenie, aż w końcu tak ciasno zacisnęłam go w talii, że moje ciało wydęło się jak balon nad i pod pasem. Plecak górował nade mną jak wielki komin, wystając kilkanaście centymetrów nad czubek głowy, i ścisnął mnie jak imadło aż do kości ogonowej. Czułam się dość okropnie, ale może właśnie tak się czują backpackerzy.

Nie wiedziałam.

Wiedziałam tylko, że na mnie już czas, więc otworzyłam drzwi i ruszyłam w stronę światła.

Część druga ŚLADY

„Słowa to środki.

Słowa to mapy”.

Adrienne Rich, *Diving into the Wreck*

„Czy weźmiesz mnie taką, jaka jestem?

Weźmiesz?”

Joni Mitchell, *California*

Rozdział 4

The Pacific Crest Trail, tom 1: California

Zrobiłam w życiu wiele głupich i niebezpiecznych rzeczy. Łapanie okazji do tej pory do nich nie należało. Wiedziałam, że autostopowiczom przydarzały się straszne rzeczy, zwłaszcza samotnie podróżującym kobietom. Gwałcono je i ucinano im głowy. Torturowano je i porzucano, by umarły. Idąc z Motelu White'a na znajdującą się w pobliżu stację benzynową, nie mogłam jednak dać się rozproszyć takim myślom. Jeśli nie chciałam smażyć się, idąc 20 kilometrów poboczem autostrady, musiałam znaleźć kogoś, kto mnie podwiezie.

Na dodatek łapanie stopa stanowiło coś, co wędrowcy z PCT po prostu czasem robili. A ja byłam przecież wędrowcem z PCT, prawda? Prawda?

Prawda.

The Pacific Crest Trail, tom 1: California, wyjaśniał to ze zwykłym dla niego spokojem. Od czasu do czasu PCT przetnie jakąś drogę, przy której wiele kilometrów dalej znajdować się będzie poczta, gdzie wędrowiec wysłał sobie paczkę z jedzeniem i zapasami potrzebnymi na kolejnym odcinku trasy. Złapanie okazji było jedynym praktycznym rozwiązaniem kwestii odbioru przesyłki i powrotu na szlak.

Stałam koło automatów z napojami pod ścianą stacji i patrzyłam na przewijających się tam ludzi. Próbowalam zebrać się w sobie, by kogoś zaczepić, z nadzieją, że wyczuję brak zagrożenia, kiedy zobaczę właściwą osobę. Przyglądałam się starym, spieczonym w pustynnym słońcu mężczyznom w kowbojskich kapeluszach i rodzinom w wypakowanych po brzegi samochodach, i nastolatkom, którzy zatrzymywali się z dudniącą przez opuszczone szyby muzyką. Nikt nie wyglądał szczególnie na mordercę lub gwałciciela, ale nikt też nie wyglądał na kogoś, kto nim nie jest. Kupiłam puszkę coli i wypiliśmy ją, jak gdyby nigdy nic, maskując fakt, że z ogromnym ciężarem na plecach ledwie mogłam ustać. W końcu musiałam zdecydować się na jakieś działanie. Była prawie jedenasta, a upał czerwcowego dnia na pustyni stopniowo się nasilał.

Podjechał minivan z rejestracją z Kolorado i wysiadło z niego dwóch mężczyzn. Jeden z nich był mniej więcej w moim wieku, drugi wyglądał na przeszło pięćdziesiąt lat. Podeszłam do nich i zapytałam, czy mnie podwiozą. Spojrzeli na siebie z wahaniem. Widać było po ich minach, że równocześnie szukają w głowach jakiegoś pretekstu, by mi odmówić, nie przestawałam więc paplać, pospiesznie opowiadając o PCT.

– Jasne – powiedział w końcu starszy mężczyzna z wyraźną niechęcią.

– Dziękuję – zaświergotałam dziewczęco.

Dowlokłam się w stronę wielkich drzwi z boku furgonetki, a młodszy mężczyzna odsunął je przede mną. Zerknęłam do środka, nagle zdając sobie sprawę, że nie mam pojęcia, jak wsiąść. Nie byłam w stanie nawet spróbować wejść do środka z plecakiem na plecach. Będę musiała go ściągnąć, tylko jak? Jeśli rozepnę sprzączki, które spinały jego szelki wokół mnie, nie będę w stanie powstrzymać plecaka przed gwałtownym upadkiem, którego siła urwie mi ramiona.

– Pomóc? – zapytał młodszy mężczyzna.

– Nie, poradzę sobie – odparłam pozornie niewzruszonym tonem.

Jedyne, co przyszło mi do głowy, to odwrócić się plecami do wejścia i przysiąść na framudze, trzymając się jednocześnie krawędzi przesuwanych drzwi i pozwalając plecakowi spocząć na podłodze za mną. Cudowne uczucie. Rozpięłam sprzączki i ostrożnie wyplątałam się z szelek, nie przewracając plecaka, po czym odwróciłam się, by wejść do środka i usiąść obok niego.

Kiedy ruszyliśmy na zachód przez spieczony słońcem krajobraz pełen uschniętych krzewów i ciągnących się po horyzont białych gór, mężczyźni zrobili się bardziej przyjaźni. Byli to ojciec i syn z przedmieść Denver w drodze na uroczystość rozdania dyplomów do San Luis Obispo. Wkrótce pojawił się znak oznajmiający przełęcz Tehachapi, więc starszy mężczyzna zwolnił i zatrzymał się na poboczu. Młodszy wysiadł i odsunął mi drzwi. Miałam nadzieję, że uda mi się założyć plecak w ten sam sposób, w jaki go ściągnęłam, wykorzystując wysokość minivana i przykucając w drzwiach. Zanim jednak zdążyłam wsiąść, mężczyzna chwycił mój bagaż i z wysiłkiem postawił go na żwirowym poboczu. Plecak wylądował tak gwałtownie, że

bałam się, iż pęknie bukłak z wodą. Wysiadłam i podniosłam go do pionu, otrzepując z kurzu.

– Na pewno sama go pani podniesie? – zapytał. – Bo ja ledwie, ledwie.

– No jasne, że podniosę – odpowiedziałam.

Stał dalej, jakby czekał, żeby mu to udowodnić.

– Dzięki za podwiezienie – odparłam, chcąc, by zniknął i nie był świadkiem mojej upokarzającej techniki wkładania plecaka.

Skinął głową i zasunął drzwi vana.

– Proszę na siebie uważać.

– Dzięki – odparłam, patrząc, jak wsiada do furgonetki.

Stałam przy autostradzie, która po ich odjeździe zrobiła się cicha. Małe tumany kurzu wzbijały się i płynęły pędzone podmuchami wiatru pod palącym południowym słońcem. Znajdowałam się na wysokości prawie 1150 metrów, ze wszystkich stron otoczona surowo wyglądającymi beżowymi górami, tu i ówdzie porośniętymi kępami bylicy, drzewami Jozuego i sięgającym po pas chaparralem. Stałam na zachodniej granicy pustyni Mojave, u południowych podnóży Sierra Nevada, rozległego łańcucha górskiego, ciągnącego się na północ przez ponad 600 kilometrów, aż do Parku Narodowego Lassen Volcanic. Tam góry Sierra Nevada łączyły się z Górami Kaskadowymi, które biegły z północnej Kalifornii przez Oregon, Waszyngton, aż poza granicę z Kanadą. Przez kolejne trzy miesiące te dwa łańcuchy miały być całym moim światem, a ich grzbiet – moim domem. Na płocie nad rowem wypatrzyłam metalową tabliczkę wielkości dłoni, na której widniał napis: „PACIFIC CREST TRAIL”.

Byłam na miejscu. Mogłam wreszcie zacząć.

Pomyślałam, że to idealny moment, by zrobić sobie zdjęcie, ale wyjęcie aparatu wymagałoby wypakowania takiej ilości sprzętu, że nie chciałam nawet próbować. Na dodatek, żeby zrobić zdjęcie sobie samej, musiałabym znaleźć coś, na czym mogłabym oprzeć aparat, żeby ustawić samowyzwalacz i stanąć, gdzie trzeba, zanim pstryknie, a nic w pobliżu się do tego nie nadawało. Nawet słup płotu, do którego przymocowana była tabliczka informacyjna, wydawał się zbyt wyschnięty i słaby.

Zamiast tego usiadłam na ziemi przed plecakiem, tak samo jak w pokoju hotelowym, z trudem naciągnęłam ciężar na ramiona, wspięłam się na czworaki, a na koniec techniką tak zwanego martwego ciągu stanęłam na nogi.

Podeksycytowana, zdenerwowana, zgarbiona w pozycji częściowo wyprostowanej, zapięłam wszystkie pasy i zrobiłam pierwsze niepewne kroki po szlaku aż do brązowej metalowej skrzynki przymocowanej do następnego słupka płotu. Kiedy podniosłam pokrywę, zobaczyłam w środku notatnik i długopis. Był to rejestr szlaku, o którym czytałam w przewodniku. Wpisałam swoje nazwisko i datę i przeczytałam nazwiska oraz notatki wędrowców, którzy szli tędy w poprzednich tygodniach. Byli to mężczyźni, w większości wędrujący dwójkami, i ani jednej samotnej kobiety. Postąpiłam tam jeszcze chwilę, czując nagły przypływ emocji. I wtedy dotarło do mnie, że nie pozostało mi już nic więcej, jak tylko wyruszyć. Więc wyruszyłam.

Szlak prowadził na wschód, przez jakiś czas biegnąc wzdłuż autostrady, w dół, w skaliste koryto rzeki i z powrotem w górę. „Wędruję! – pomyślałam. – Wędruję szlakiem Pacific Crest Trail”. To właśnie ta czynność, wędrowanie, leżała u podstaw mojego przekonania, że taka wyprawa nie jest szaleństwem. W końcu wędrowka to chodzenie. „Umiem chodzić!” – kłóciłam się, kiedy Paul niepokoił się, że nigdy właściwie nie podróżowałam z plecakiem. Chodziłam cały czas. Pracując jako kelnerka, nieustannie byłam na nogach. Spacerowałam po miastach, w których mieszkałam i które odwiedzałam. Chodziłam dla przyjemności i by trafić do celu. Nie dało się temu zaprzeczyć. Jednak po jakimś kwadransie na szlaku stało się dla mnie jasne, że nigdy nie znalazłam się w opustoszałych górach na początku czerwca, z przypiętym na plecach plecakiem, który ważył grubo ponad połowę tego co ja.

Okazało się, że niewiele ma to wspólnego z chodzeniem i bardziej przypomina piekło.

Od razu zaczęłam dyszeć i pocić się, kurz lepił mi się do butów i łydek, a szlak skręcił na północ i zaczął iść pod górę, zamiast falować. Każdy krok był mazołem i tylko z rzadka wspinaczkę przerywało krótkie zejście w dół, które nie tyle było chwilą wytchnienia od piekła, ile nowym rodzajem piekła, ponieważ przy każdym kroku musiałam zapierać się z całą mocą, by siła grawitacji nie sprawiła, że wraz z moim ogromnym, niekontrolowalnym ciężarem polecę z impetem do przodu i się

przewrócę. Miałam wrażenie, że to raczej ja jestem przyczepiona do plecaka niż plecak do mnie. Jakbym była budynkiem z kończynami, oderwanym od fundamentów, który szedł chwiejnie przez pustkowie.

Przez czterdzieści minut głos w mojej głowie krzyczał: „W co ja się wpakowałam?”. Próbowałam go ignorować i nucić pod nosem, co jednak okazało się zbyt trudne przy równoczesnym dyszeniu, jęczeniu w męczarniach i próbach utrzymania zgarbionej, częściowo wyprostowanej pozycji, a także parciu naprzód, kiedy czułam się jak budynek z nogami. Spróbowałam więc po prostu skupić się na tym, co słyszałam – uderzeniach moich stóp o suchy, skalisty szlak, szeleście na gorącym wietrze suchych liści i gałęzi niskich krzewów, które mijałam – ale nie potrafiłam. Krzyk: „W co ja się wpakowałam?”, był potężny. Nie dało się go zagłuszyć. Jedynym możliwym sposobem na odwrócenie uwagi było czujne poszukiwanie grzechotników. Spodziewałam się, że czyhają za każdym zakrętem, gotowe do ataku. Teren wydawał się dla nich stworzony. Tak jak dla pum oraz seryjnych morderców obeznanych z dziczą.

Nie myślałam jednak o nich.

Był to układ, który zawarłam sama ze sobą wiele miesięcy wcześniej, i jedyna rzecz, która pozwalała mi samotnie podróżować. Wiedziałam, że jeśli pozwolę, by opanował mnie strach, moja podróż będzie skazana na porażkę. Strach w znacznym stopniu rodzi się z tego, co sami sobie wmówimy. Postanowiłam więc wmówić sobie coś innego, niż zwykle opowiada się kobietom. Zdecydowałam, że jestem bezpieczna. Jestem silna. Jestem dzielna. Nic mnie nie pokona. Upieranie się przy tej wersji było trochę jak pranie mózgu, ale na ogół przynosiło dobry rezultat. Za każdym razem, gdy słyszałam dźwięk nieznanego pochodzenia albo czułam, jak moja wyobraźnia tworzy straszne wizje, odpychałam to od siebie. Po prostu nie pozwalałam sobie na strach. Strach rodzi strach. Siła rodzi siłę. Zmuszałam się do tego, by rodzić w sobie siłę. W krótkim czasie po prostu przestałam się bać.

Zbyt ciężko pracowałam, by czuć strach.

Zrobiłam jeden krok, potem kolejny i posuwałam się do przodu w żółwym tempie. Nigdy nie zakładałam, że wędrówka PCT będzie łatwa. Wiedziałam, że minie trochę czasu, zanim się przyzwyczaję. Teraz, kiedy już tu byłam, miałam mniej pewności, że

mogę się do tego przyzwyczaić. Wędrówka PCT była inna, niż sobie wyobrażałam. Ja byłam inna, niż sobie wyobrażałam. Nawet nie pamiętałam, co sobie wyobrażałam, gdy w grudniu pół roku temu postanowiłam wyruszyć w tę podróż.

Jechałam autostradą na wschód od Sioux Falls w Dakocie Południowej, kiedy wpadł mi do głowy ten pomysł. Dzień wcześniej ze swoją przyjaciółką Aimée przyjechałam z Minneapolis do Sioux Falls, by odebrać pick-upa, który stał tu od tygodnia, bo zepsuł się, kiedy pożyczyłam go znajomemu.

Kiedy dotarliśmy z Aimée na miejsce, okazało się, że pick-upa odholowano z ulicy. Znajdował się teraz na parkingu otoczonym siatką, zakopany pod śniegiem z zamieci, która przeszła parę dni wcześniej. To właśnie z powodu tej śnieżycy pojechałam poprzedniego dnia kupić szuflę. Kiedy czekałam w kolejce, by zapłacić, zauważyłam przewodnik o czymś, co nazywało się Pacific Crest Trail. Wzięłam książkę do ręki, przyjrzałam się okładce i zanim odłożyłam ją na półkę, przeczytałam notkę z tyłu.

Gdy tego dnia w Sioux Falls Aimée i ja odgarnęłyśmy śnieg z ciężarówki, wsiadłam do środka i przekręciłam kluczyk w stacyjce. Założyłam, że nie usłyszę niczego z wyjątkiem pustego kliknięcia, charakterystycznego dla pojazdów, z których nic się nie da wydusić, ale odpalił od razu. Już wtedy mogłyśmy ruszyć do Minneapolis, ale postanowiłyśmy przenocować w motelu. Wybrałyśmy się do meksykańskiej restauracji na wczesną kolację uradowane, że poszło nam tak gładko. Jedząc chipsy i salsę i sącząc margaritę, poczułam w żołądku coś dziwnego.

– Jakbym połknęła chipsa w całości – powiedziałam Aimée. – Jakby jego krawędzie były nienaruszone i dźgały mnie od środka. – Czułam napełnienie i mrowienie w dole brzucha, którego nie czułam nigdy wcześniej. – Może jestem w ciąży – zażartowałam i gdy tylko te słowa wyszły z moich ust, zdałam sobie sprawę, że to nie jest żart.

– A jesteś? – zapytała Aimée.

– Możliwe – odparłam nagle przerażona tą myślą.

Kilka tygodni wcześniej przespałam się z mężczyzną o imieniu Joe. Poznałam go poprzedniego lata w Portland, gdzie odwiedzałam swoją przyjaciółkę Lisę

i próbowałam uciec od kłopotów. Byłam tam dopiero od kilku dni, gdy Joe podszedł do mnie w barze i położył mi dłoń na nadgarstku.

– Ładna – powiedział, przejeżdżając palcami po ostrych krawędziach mojej metalowej bransoletki.

Miał punkową krótką fryzurę w jaskrawym kolorze i krzykliwy tatuaż, który przykrywał mu pół ramienia. Jego twarz stanowiła jednak dokładne zaprzeczenie tych elementów wizerunku: nieustępliwa i delikatna – jak kociak, który domaga się mleka. Miał dwadzieścia cztery lata, a ja dwadzieścia pięć. Nie spałam z nikim, odkąd trzy miesiące wcześniej rozstałam się z Paulem. Tej nocy uprawialiśmy seks na jego wyboistym materacu na podłodze i prawie nie spaliśmy, rozmawiając aż do świtu, głównie o nim. Opowiedział mi o swojej mądrej matce, ojcu alkoholiku i wytwornej, rygorystycznej szkole, w której rok wcześniej zrobił licencjat.

– Próbowalaś kiedyś heroiny? – zapytał rano.

Pokręciłam głową i zaśmiałam się bezmyślnie.

– A powinnam?

Mogłam odpuścić. Joe dopiero niedawno zaczął brać. Robił to beze mnie, z grupą ludzi, z którymi się zaprzyjaźnił, a których nie znałam. Mogłam przejść do kolejnego tematu, lecz coś mnie zmusiło, by zamiast tego się zatrzymać. Byłam zaintrygowana. Byłam wolna. Młoda i nieszczęśliwa, mogłam rozpocząć autodestrukcję.

Nie tylko zgodziłam się na heroinę. Przyjęłam ją z otwartymi ramionami.

Wzięłam po raz pierwszy tydzień po tym, jak się poznaliśmy, leżąc przytulona do Joego, z którym chwilę wcześniej kochałam się na jego rozpadającym się łóżku. Na zmianę wciągaliśmy przez foliową rurkę dym z leżącego na folii aluminiowej żarzącego się kryształka „brown sugar”. Po kilku dniach nie byłam już w Portland u Lisy, by zapomnieć o swoich smutkach. Byłam w Portland zakochana – napędzana narkotykami pseudomiłością do Joego. Wprowadziłam się do jego mieszkania nad porzuconą apteką, gdzie spędziliśmy większość lata, uprawiając odważny seks i biorąc heroinę. Na początku kilka razy w tygodniu, potem co parę dni, aż w końcu codziennie. Najpierw ją paliliśmy, potem wciągaliśmy. „Ale nigdy nie dalibyśmy sobie w żyłę!” – zarzekaliśmy się. Nigdy w życiu.

Aż w końcu daliśmy w żyłę.

Było mi dobrze. To było coś niezmiernie pięknego i nie z tego świata. Jakbym znalazła planetę, o której istnieniu wcześniej nie miałam pojęcia. Planeta Heroina. Miejsce, w którym ból nie istnieje, gdzie to, że moja mama nie żyje, mój biologiczny ojciec nie uczestniczy w moim życiu, moja rodzina się rozpadła, a ja nie mogłam być żoną mężczyzny, którego kochałam, było smutne, ale do przeżycia.

Tak przynajmniej się czułam, gdy byłam na haju.

Rankiem mój ból był tysiąc razy większy. Rankiem oprócz smutnych faktów na temat mojego życia dopadał mnie też dodatkowy fakt, że jestem w zupełnej rozsypce. Budziłam się w zapuszczonym mieszkaniu Joego, o czym świadczyło wiele banalnych rzeczy: lampa i stół, książka, która spadła i leżała teraz na podłodze otwarta, grzbietem do góry, z pozaginаныmi lichymi kartkami. W łazience myłam twarz i szlochałam w dłonie przez kilka szybkich oddechów, szykując się do pracy kelnerki, którą dostałam w restauracji. „To nie ja – myślałam. – Ja taka nie jestem. Skończ z tym. Nigdy więcej”. Popołudniami jednak wracałam do domu z plikiem pieniędzy na kolejną działkę i myślałam: „Tak, mogę to zrobić. Mogę zmarnować sobie życie. Mogę być ćpunką”.

Stało się jednak inaczej. Lisa zadzwoniła do mnie pewnego dnia, mówiąc, że chce się ze mną zobaczyć. Byłyśmy w kontakcie, spędzałam u niej długie popołudnia, zdawkowo opowiadając o tym, co robiłam. Tymczasem kiedy tylko weszłam do jej domu, wiedziałam, że coś się dzieje.

– Opowiedz mi o heroinie – zażądała.

– Heroinie? – odparłam lekkim tonem. Co niby miałam powiedzieć? Nawet dla mnie było to niewytłumaczalne. – Nie zamieniam się w ćpunkę, jeśli o to się martwisz – powiedziałam. Opierałam się o kuchenną szafkę i patrzyłam, jak Lisa zamiata podłogę.

– Właśnie tym się martwię – odparła surowym tonem.

– To przestań – odpowiedziałam.

Wyjaśniłam jej to tak racjonalnie i żartobliwie, jak tylko potrafiłam. To działało się dopiero od paru miesięcy. Niedługo przestaniemy. Joe i ja tylko eksperymentujemy,

robimy coś dla zabawy.

– Jest lato! – wykrzyknęłam. – Pamiętasz, jak zaproponowałam, żebym tu przyjechała uciec od wszystkiego? Właśnie uciekam. – Zaśmiałam się, ale Lisa się nie przyłączyła.

Przypomniałam jej, że nigdy wcześniej nie miałam problemów z narkotykami, że piłam alkohol z umiarem i powściągliwie. Byłam eksperymentatorem. Artystką. Typem kobiety, która zamiast „nie” mówi „tak”.

Zakwestionowała każde moje słowo, podważyła wszystkie argumenty. Im dłużej zamiatała, tym bardziej nasza rozmowa przeistaczała się w kłótnię. W końcu Lisa była już tak wściekła, że zamachnęła się na mnie miotłą.

Wróciłam do Joego i rozmawialiśmy o tym, że Lisa niczego nie rozumie.

Po dwóch tygodniach zadzwonił Paul.

Chciał się ze mną zobaczyć. Natychmiast. Lisa powiedziała mu o Joem i heroinie, a on od razu przejechał niemal 3000 kilometrów z Minneapolis, żeby ze mną porozmawiać. Godzinę później spotkałam się z nim w mieszkaniu Lisy. Był ciepły, słoneczny późnowrzesniowy dzień. Tydzień wcześniej skończyłam dwadzieścia sześć lat. Joe o tym zapomniał. Były to moje pierwsze w życiu urodziny, kiedy nikt nie złożył mi życzeń.

– Wszystkiego najlepszego – powiedział Paul, kiedy stanęłam w drzwiach.

– Dziękuję – powiedziałam zbyt formalnym tonem.

– Chciałem zadzwonić, ale nie miałem twojego numeru, to znaczy numeru Joego.

Pokiwałam głową. Dziwnie się czułam, widząc go. Mojego męża. Ducha z mojego prawdziwego życia. Najbardziej prawdziwą ze znanych mi osób. Usiedliśmy przy kuchennym stole. Gałęzie drzewa figowego uderzały w pobliskie okno, a miotła, którą uderzyła mnie Lisa, stała oparta o ścianę.

– Wyglądasz inaczej – powiedział. – Wydajesz się taka... Jak by to ująć? Jakby cię tu nie było.

Wiedziałam, co ma na myśli. Sposób, w jaki na mnie patrzył, powiedział mi wszystko, czego nie chciałam słyszeć od Lisy. Byłam inna. Byłam nieobecna. Heroina mnie tak zmieniła. A jednak pomysł zrezygnowania z niej wydawał mi się

absurdalny. Spojrzenie Paulowi prosto w twarz uświadomiło mi, że nie jestem w stanie myśleć trzeźwo.

– Wyjaśnij mi tylko, dlaczego to sobie robisz – poprosił, spoglądając na mnie łagodnie.

Jego twarz była mi taka znajoma. Sięgnął przez stół po moje dłonie i tkwiliśmy tak, patrząc sobie w oczy. Łzy zaczęły płynąć najpierw po moich policzkach, potem po jego. Spokojnie powiedział, że chce, żebym jeszcze tego popołudnia pojechała z nim do domu. Nie żebyśmy znów byli parą, tylko żeby od tego uciec. Nie od Joego. Od heroiny.

Powiedziałam mu, że muszę to przemyśleć. Pojechałam z powrotem do mieszkania Joego i usiadłam w słońcu na krześle ogrodowym, które Joe postawił na chodniku przed budynkiem. Heroina mnie otępiła i oddaliła od samej siebie. Myśl się formowała, po czym znikwała. Nie mogłam zapanować nad własnym umysłem, nawet kiedy nie byłam na haju. Gdy tak siedziałam, podszedł do mnie mężczyzna i przedstawił się jako Tim. Uścisnął mi rękę i powiedział, że mogę mu zaufać. Zapytał, czy dam mu trzy dolary na pieluchy, potem czy może skorzystać z telefonu w moim mieszkaniu i czy mogę mu rozmienić pięć dolarów, i tak dalej, i tak dalej. Ciągnął serię dziwnych pytań i smutnych historii, które namieszały mi w głowie i zmusiły do podniesienia się i wyciągnięcia z kieszeni jeansów ostatnich dziesięciu dolarów, jakie miałam.

Kiedy zobaczył pieniądze, wyciągnął spod koszulki nóż. Niemal grzecznie przytknął mi go do piersi i wysyczał:

– Oddawaj kasę, skarbie.

Spakowałam swoje nieliczne rzeczy, napisałam liścik do Joego, przyklepiłam go do lustra w łazience i zadzwoniłam do Paula. Kiedy zatrzymał się na rogu, wsiadłam do samochodu.

Siedziałam na miejscu pasażera, kiedy przemierzaliśmy kraj, i czułam, że moje prawdziwe życie istnieje, ale jest nieosiągalne. Kłóciliśmy się z Paulem i płakaliśmy, i trzęśliśmy samochodem z gniewu. Najpierw zachowywaliśmy się jak okrutne potwory, a po wszystkim rozmawialiśmy uprzejmie, zszokowani własnym

zachowaniem. Postanawialiśmy się rozwodzić, a potem nie rozwodzić. Nienawidziłam go i kochałam. Przy nim czułam się uwięziona, oznakowana, zadbana i kochana. Jak córka.

– Nie prosiłam, żebyś po mnie przyjeżdżał! – krzyczałam podczas jednej z awantur. – Przyjechałeś tu z własnych powodów! Żebyś mógł być wspaniałym bohaterem!

– Być może – odpowiedział.

– Dlaczego tu w ogóle przyjechałeś? – zapytałam, dysząc z żalu i bólu.

– Bo tak – odparł, zaciskając dłonie na kierownicy i gapiąc się przez przednią szybę w rozgwieżdżoną noc. – Po prostu bo tak.

Spotkałam Joego kilka tygodni później, kiedy przyjechał odwiedzić mnie w Minneapolis. Nie byliśmy już parą, ale od razu wróciliśmy do starych nawyków – ćpania codziennie przez tydzień jego wizyty, seksu od czasu do czasu. Jednak kiedy wyjechał, skończyłam z tym. Z nim i z heroiną. Nie myślałam o nich ani razu aż do chwili, gdy siedziałam z Aimée w Sioux Falls i zauważyłam przedziwne uczucie w żołądku, przypominające ukłucia ostrych krawędzi chipsów tortilla.

Wyszliśmy z restauracji i poszły do supermarketu w poszukiwaniu testu ciążowego. Gdy wędrowaliśmy przez jasno oświetlone wnętrza, przekonywałam się w duchu, że pewnie nie jestem w ciąży. Tyle razy udało mi się tego uniknąć – tyle razy niepotrzebnie zamartwiałam się, widząc u siebie tak przekonujące symptomy ciąży, że byłam zaszokowana, gdy pojawiał się okres. Teraz jednak miałam dwadzieścia sześć lat i więcej doświadczenia. Nie miałam zamiaru znów dać się nabrać.

Wróciwszy do motelu, zamknęłam za sobą drzwi łazienki i nasikałam na test, podczas gdy Aimée siedziała za drzwiami na łóżku. W ciągu kilku minut na maleńkiej płytce testu pojawiły się dwa ciemnoniebieskie paski.

– Jestem w ciąży – powiedziałam, stając w drzwiach łazienki ze łzami w oczach.

Aimée i ja położyłyśmy się na łóżku i rozmawiałyśmy o tym przez godzinę, choć niewiele było tu do powiedzenia. To, że poddam się aborcji, było tak oczywiste, że rozmowa o innych opcjach wydawała się niedorzeczna.

Z Sioux Falls do Minneapolis jedzie się cztery godziny. Następnego ranka Aimée pojechała z tyłu za mną na wypadek, gdyby pick-up znów się zepsuł. Jechałam, nie włączając radia, rozmyślając o ciąży. Płód był wielkości ziarnka ryżu, a mimo to czułam go w najgłębszej, najsilniejszej części samej siebie: jak mnie pokonuje, wstrząsa mną, rozlega się we mnie echem. Gdzieś pośród południowo-zachodnich pól Minnesoty wybuchnęłam płaczem. Płakałam tak bardzo, że ledwie mogłam prowadzić, i to nie tylko z powodu niechcianej ciąży. Płakałam nad wszystkim. Nad całym tym chorym bagnem, które zrobiłam ze swojego życia po śmierci mamy, nad głupią roślinnością, w którą popadłam. Nie miałam taka być, żyć w ten sposób ani ponieść takiej porażki.

Wtedy właśnie przypomniałam sobie przewodnik, który wzięłam z półki w REI, kiedy kilka dni wcześniej czekałam, by zapłacić za łopatę. Wspomnienie zdjęcia otoczonego głazami jeziora, skalistych grani i błękitu nieba na okładce otrzeźwiło mnie jak cios prosto w twarz. Wcześniej myślałam, że sięgnęłam po tę książkę dla zabicia czasu w kolejce, teraz jednak wydało mi się to czymś więcej – znakiem. Nie tylko tego, co mogłam zrobić, ale tego, co zrobić musiałam.

Kiedy dotarliśmy z Aimée do Minneapolis, pomachałam do niej przy jej zjeździe, ale nie skręciłam na swoim. Zamiast tego pojechałam do REI i kupiłam *The Pacific Crest Trail*, tom 1: *California*, wróciłam do siebie i czytałam go przez całą noc. W ciągu kolejnych miesięcy przeczytałam go jeszcze dziesiątki razy. Poddałam się aborcji i nauczyłam się, jak suszyć płaty tuńczyka i indyka. Zapisalam się na kurs utrwalający wiedzę z zakresu pierwszej pomocy i w kuchennym zlewie ćwiczyłam używanie filtra do wody. Podczas miesięcy planowania napędzała mnie myśl, że muszę się zmienić. Nie w kogoś innego, tylko w osobę, którą kiedyś byłam – silną i odpowiedzialną, trzeźwo myślącą i pełną zapału, dobrą i z zasadami. PCT miał mnie taką uczynić. Będę szła i zastanawiała się nad całym swoim życiem. Odzyskam siły z dala od wszystkiego, co spowodowało, że moje życie stało się śmieszne.

Ale proszę – oto byłam na PCT pierwszego dnia wyprawy i znów byłam śmieszna, choć teraz w inny sposób, garbiąc się coraz bardziej.

Po trzech godzinach dotarłam na małą płaszczynę w pobliżu kępy drzew Jozuego, juki i jałowców i zatrzymałam się, by odpocząć. Ku mojej ogromnej uldze

był tam wielki głaz, na którym mogłam usiąść, by ściągnąć plecak tak samo jak w minivanie w Mojave. Oszołomiona wolnością od jego ciężaru, przeszłam się wokół, przypadkowo ocierając się o jedno z drzew Jozuego, a jego ostre kolce pokaleczyły mnie jak bagnety. Krew momentalnie trysnęła z trzech ran na rękę. Wiatr dął z taką siłą, że kiedy wyciągnęłam jeden z zestawów pierwszej pomocy, wywiało mi wszystkie plastry. Goniłam je bezskutecznie po płaskim terenie, po chwili zniknęły, zmiecione ze skarpy poza zasięg moich rąk. Usiadłam na ziemi, przycisnęłam do ramienia rękaw koszulki i wypiałam kilka łyków wody.

Nigdy w życiu nie byłam taka zmęczona. Moje ciało przyzwyczajało się dopiero do wysiłku i wysokości – znajdowałam się teraz jakieś 1520 metrów nad poziomem morza, o 365 metrów wyżej niż przełęcz Tehachapi, miejsce, gdzie rozpoczęłam wędrówkę. Jednak głównym winowajcą mojego stanu była szokująca masa plecaka. Popatrzyłam na niego zrezygnowana. Sama narzuciłam sobie ten ciężar, a jednak nie miałam pojęcia, jak się z nim uporać. Wyciągnęłam przewodnik i przejrzałam go, przytrzymując trzepoczące na wietrze strony, w nadziei, że znajome słowa i mapy rozproszą moje wciąż rosnące uczucie niepokoju. Że książka przekona mnie w swojej łagodnej czterogłosowej harmonii, że sobie poradzę, tak jak robiłam to w miesiącach, kiedy opracowywałam plan. Książka nie zawierała fotografii czterech autorów, ale widziałam każdego oczami wyobraźni: Jeffreya P. Schaffera, Thomasa Winnetta, Bena Schifrina i Ruby Jenkins. Byli rozsądni i życzliwi, mądrzy i wszechwiedzący. Wskażą mi drogę. Muszą.

Mnóstwo ludzi w REI opowiadało mi o własnych backpackerskich wyprawach, nikt z nich jednak nie wyprawił się na PCT i nie przyszło mi do głowy, żeby znaleźć kogoś, kto to zrobił. Było lato 1995 roku, epoka kamienia łupanego, jeśli chodziło o internet. Teraz w sieci istnieje wiele dzienników wędrówki wzdłuż PCT oraz kopalnia informacji o szlaku, zarówno tych stałych, jak zmieniających się, ja jednak tego nie miałam. Miałam tylko *The Pacific Crest Trail*, tom 1: *California*. Swoją biblię. Ostatnią deskę ratunku. Jedyłą książkę o wędrówce PCT, jaką przeczytałam, a właściwie jedyną książkę o pieszych wędrówkach, jaką miałam w rękach.

Wbrew moim oczekiwaniom przeglądanie jej na szlaku nie dodało mi otuchy. Zobaczyłam teraz rzeczy, które wcześniej przeoczyłam, jak na przykład cytaty na

stronie szóstej autorstwa niejakiego Charlesa Longa, z którym twórcy *The Pacific Crest Trail*, tom 1: *California*, w pełni się zgadzali: „Jak książka może opisać psychologiczne czynniki, na jakie należy się przygotować... rozpacz, osamotnienie, niepokój, a w szczególności ból, zarówno fizyczny, jak psychiczny, który tnie w sam środek woli wędrowca? To są rzeczy, na które naprawdę należy się przygotować. Żadne słowa nie są w stanie ich oddać...”.

Siedziałam tak, nagle odurzona świadomością, że rzeczywiście żadne słowa nie były w stanie tego oddać. Nie musiały. Teraz dokładnie znałam te czynniki. Dowiedziałam się o nich, pokonawszy niecałe 5 kilometrów bezludnych gór, przygnieciona plecakiem przypominającym volkswagena garbusa. Czytałam dalej, odnotowując sugestię, że przed rozpoczęciem wędrówki dobrze jest poprawić swoją formę fizyczną i trenować specjalnie pod kątem pieszej wędrówki. No i oczywiście ostrzeżenia o wadze plecaka. Nawet rada, by nie zabierać ze sobą całego przewodnika, bo jest za ciężki i właściwie nieprzydatny – można skserować lub wyrwać potrzebne części i spakować je do pudełek z zapasami. Zamknęłam książkę.

Czemu sama na to nie wpadłam? Na podarcie przewodnika na części.

Bo byłam skończoną idiotką i nie miałam zielonego pojęcia, co robię. Dlatego. I odkrywałam to, będąc w pojedynkę na pustkowiu, z koszmarnym ciężarem do dźwigania.

Objęłam rękami nogi, przycisnęłam twarz do nagich kolan i zamknęłam oczy, skulona w sobie, podczas gdy wiatr wściekle rozwiewał moje sięgające ramion włosy.

Kiedy otworzyłam oczy kilka minut później, zdałam sobie sprawę, że siedzę obok rośliny, którą rozpoznaję. Ten gatunek szalwii był mniej zielony niż tamten, który mama latami uprawiała w naszym ogrodzie, ale jej kształt i zapach były te same. Sięgnęłam, zerwałam garść liści i roztarłam je w dłoniach, po czym przyłożyłam do nich twarz i wzięłam głęboki wdech, tak jak nauczyła mnie mama. „Poczujesz zastrzyk energii” – zawsze powtarzała, namawiając mnie i moje rodzeństwo, byśmy robili to co ona w czasie długich dni, kiedy pracowaliśmy nad budową domu, a nasze ciała i humory słabły.

Wdychając teraz ten zapach, czułam nie tyle ostry ziemisty aromat pustynnej szalwii, ile sugestywne wspomnienie o mamie. Spojrzałam w błękitne niebo,

rzeczywiście czując zastrzyk energii, lecz przede wszystkim czując jej obecność. Przypomniałam sobie, dlaczego uznałam, że potrafię pokonać ten szlak. Ze wszystkich rzeczy, które przekonały mnie, że nie powinnam obawiać się tej wyprawy, ze wszystkich rzeczy, które sobie wmówiłam, by móc wędrować PCT, śmierć mamy była tym, co sprawiało, że najgłębiej uwierzyłam we własne bezpieczeństwo. „Nic złego nie mogło mi się przydarzyć” – myślałam. Najgorsza rzecz już się stała.

Wstałam, pozwalając, by wiatr wywiał mi z dłoni listki szaławii, i podeszłam do krawędzi płaskiego terenu, na którym się znajdowałam. Teren zmieniał się w skalistą wychodnię poniżej. Widziałam w oddali góry, które zewsząd mnie otaczały, schodząc łagodnie w rozległą pustynną dolinę. Białe kanciaste turbiny wiatrowe stały wzdłuż grzbietów. Z przewodnika wiedziałam, że wytwarzają elektryczność dla mieszkańców znajdujących się poniżej miast i miasteczek, ale byłam teraz daleko od nich. Od miast i miasteczek. Od elektryczności. Wydawało mi się nawet, że od Kalifornii, choć znajdowałam się dokładnie w jej sercu. W sercu prawdziwej Kalifornii, z jej nieustającym wiatrem, drzewami Jozuego i grzechotnikami czającymi się w zakamarkach, które dopiero miałam odkryć.

Stojąc tam, wiedziałam, że dziś skończyłam podróż, choć gdy się zatrzymywałam, miałam zamiar iść dalej. Zbyt zmęczona, by uruchomić kuchenkę, i zbyt wyczerpana, żeby czuć głód, rozbiłam namiot, choć była dopiero czwarta po południu. Wyciągnęłam kilka rzeczy z plecaka i wrzuciłam je do namiotu, żeby nie uciekły na wietrze, potem wepchnęłam tam też plecak i wczołgałam się za nim. Momentalnie ulżyło mi, że jestem w środku, choć środek oznaczał jedynie ciasną zieloną nylonową jaskinię. Rozłożyłam turystyczne krzeselko i usiadłam w małym przedsionku, gdzie sufit namiotu był na tyle wysoki, by zmieścić moją głowę. Następnie przeczesałam swoje rzeczy w poszukiwaniu książki: nie *The Pacific Crest Trail*, tom 1: *California*, którą powinnam była czytać, żeby się dowiedzieć, co mnie czeka następnego dnia, i nie *Staying Found*, którą powinnam była przestudiować przed wejściem na szlak, tylko tomik wierszy Adrienne Rich *The Dream of a Common Language*.

Wiedziałam, że to nieuzasadniony ciężar. Mogłam sobie wyobrazić pełne dezaprobaty miny autorów *The Pacific Crest Trail*, tom 1: *California*. Nawet powieść Faulknera miała większe prawo znaleźć się w moim plecaku, choćby z tego powodu,

że jeszcze jej nie czytałam i można było uznać ją za rozrywkę. *The Dream of a Common Language* czytałam już tyle razy, że właściwie znałam ją na pamięć. W ciągu paru ostatnich lat niektóre wersy stały się dla mnie jak zaklęcia, które śpiewnie recytowałam sobie w chwilach smutku i zagubienia. Ta książka była pocieszeniem, dobrym przyjacielem i kiedy trzymałam ją w dłoniach tej pierwszej nocy na szlaku, ani odrobinę nie żałowałam, że miałam ją ze sobą – mimo że garbiłam się pod jej ciężarem. *The Pacific Crest Trail*, tom 1: *California*, był teraz moją biblią, ale *The Dream of a Common Language* to była moja religia.

Otworzyłam tomik i przeczytałam pierwszy wiersz na głos, a mój głos rozbrzmiał ponad dźwięki wiatru, który uderzał w ściany namiotu. Przeczytałam go jeszcze raz i jeszcze raz, i jeszcze raz.

Wiersz zatytułowany był „Siła”.

Rozdział 5

Ślady

Technicznie rzecz ujmując, jestem piętnaście dni starsza niż Pacific Crest Trail. Urodziłam się 17 września 1968 roku, a szlak został utworzony decyzją Kongresu 2 października tego samego roku. Szlak istniał w wielu formach na długo przed jego legalizacją – części tworzone i łączone od lat trzydziestych, kiedy to grupa wędrowców i entuzjastów natury po raz pierwszy zainteresowała się stworzeniem trasy z Meksyku do Kanady – jednak PCT został wyznaczony dopiero w 1968 roku, a ukończony w 1993. Oficjalnie oddano go do użytku niemal dokładnie dwa lata przed porankiem, kiedy obudziłam się w otoczeniu drzewek Jozuego, które mnie pokłuły. Szlak nie sprawiał wrażenia dwulatka. Nie czułam nawet, żeby był w mniej więcej moim wieku. Wydawał się pradawny. Mądry. Całkowicie wobec mnie obojętny.

Obudziłam się o świcie, ale przez godzinę nie mogłam się zmusić nawet do tego, by usiąść. Wylegiwałam się w śpiworze i czytałam przewodnik, nadal śpiąca, choć przespałam dwanaście godzin, a przynajmniej tyle przeleżałam. Wiatr budził mnie wielokrotnie w ciągu nocy, smagając namiot silnymi podmuchami, czasem tak potężnymi, że ściany namiotu uderzały mnie po głowie. Ucichł kilka godzin przed świtem, ale wtedy obudziło mnie coś innego – cisza. Niezbity dowód na to, że byłam sama jak palec.

Wyczołgałam się z namiotu i powoli się wyprostowałam. Mięśnie wciąż miałam sztywne po wczorajszej wędrówce, a moje bosc, obolałe stopy dotykały kamieni i piachu. Nadal nie byłam głodna, ale zmusiłam się do zjedzenia śniadania – dwóch łyżek sojowej substancji w proszku o nazwie Better Than Milk (Lepsze niż Mleko), które wsypałam do jednej z menażek i zalałam wodą, po czym dodałam prażone muesli. Na mój gust nie smakowało to lepiej niż mleko. Ani gorzej. Nijak nie smakowało. Równie dobrze mogłam jeść trawę. Jakby moje kubki smakowe straciły czucie. Mimo to nie przestałam pakować sobie do ust kolejnych łyżek jedzenia. Będę

potrzebowała czegoś odżywczego na nadchodzący długi dzień. Dopiąłam resztę wody z butelek i niezręcznie napełniłam je z bukłaka, który ciężko kolebał się w moich rękach. Wedle *The Pacific Crest Trail*, tom 1: *California*, znajdowałam się 20 kilometrów od pierwszego źródła wody – Golden Oak Springs, do którego mimo swojego słabego wyniku z poprzedniego dnia spodziewałam się dotrzeć wieczorem.

Zapakowałam plecak podobnie jak dzień wcześniej w motelu, wciskając i wpychając wszystko na siłę, aż nic więcej nie mogło się już zmieścić, a potem przypinając resztę na zewnątrz elastycznymi linkami. Ponad godzinę zajęło mi zwinięcie obozu i wyruszenie w dalszą drogę. Niemal od razu natknęłam się na niewielką kupę, kilka metrów od miejsca, gdzie spałam. Była czarna jak smoła. W duchu liczyłam, że to odchody kojota. A może pumy? Przyglądałam się ziemi w poszukiwaniu śladów, ale żadnych nie zauważyłam. Rozglądałam się wokół gotowa ujrzeć wielki koci pysk pośród bylicy i skał.

Ruszyłam, czując, że jestem bardziej doświadczona niż dnia poprzedniego, z każdym krokiem – mimo kupy – mniej ostrożna i silniejsza. Ta siła zniknęła w ciągu piętnastu minut, w miarę jak wchodziłam wyżej i wyżej, brnąc w skaliste góry, pokonując kręty szlak. Stelaż plecaka trzeszczał z każdym moim krokiem, z trudem wytrzymując ciężar. Mięśnie górnej części pleców i ramion zacisnęły się w napięte, piekące węzły. Od czasu do czasu zatrzymywałam się i schylałam, opierając ręce na kolanach, żeby odciążyć na moment barki, zanim pójde chwiejnie dalej.

W południe osiągnęłam wysokość nieco ponad 1820 metrów nad poziomem morza i powietrze się ochłodziło, a słońce nagle zniknęło za chmurami. Wczorajszy dzień na pustyni był upalny, ale dziś, jedząc lunch składający się z batonika proteinowego i suszonych moreli, trzęsłam się z zimna, a w przesiąkniętym potem podkoszulku marzły mi plecy. Wyciągnęłam z worka z ubraniami polar i włożyłam go. Następnie położyłam się na brezentowej macie, żeby przez chwilę odpocząć, i choć nie miałam takiego zamiaru, zasnęłam.

Obudziły mnie padające na twarz krople deszczu. Spojrzałam na zegarek. Spałam niemal dwie godziny. Nic mi się nie śniło i nie miałam poczucia, że w ogóle śpię, jakby ktoś zaszedł mnie od tyłu i ogłuszył kamieniem. Kiedy usiadłam, okazało się,

że otacza mnie chmura, a mgła jest tak gęsta, że widoczność ogranicza się do mniej więcej metra. Przypięłam plecak i ruszyłam dalej w lekkim deszczu, choć moje ciało czuło się, jakby z każdym krokiem przedzierało się przez głęboką wodę. Zwinęłam podkoszulek i szorty, żeby zabezpieczyć te miejsca na biodrach, plecach i ramionach, które plecak obcierał mi do mięsa, ale to tylko pogorszyło sprawę.

Przez całe popołudnie i wieczór nadal szłam pod górę, nie widząc nic ponad to, co było bezpośrednio przede mną. Nie myślałam o węzłach jak poprzedniego dnia. Nie myślałam: „Pokonuję Pacific Crest Trail”. Nie myślałam nawet: „W co ja się wpakowałam?”. Myślałam tylko o tym, by brnąć naprzód. Mój umysł był jak kryształowa waza, która zawierała tylko to jedno pragnienie. Moje ciało było jego przeciwieństwem – workiem rozbitego szkła. Bolało przy każdym ruchu. By nie myśleć o bólu, liczyłam kroki, odhaczając w głowie kolejne liczby aż do setki i potem od nowa. Grupy liczb czyniły wędrówkę odrobinę znośniejszą, jakby tylko one były moim wyzwaniem.

Wędrując, zdałam sobie sprawę, że nie wiem, czym jest góra ani nawet czy wspinam się na jedną czy łańcuch kilku połączonych gór. Nie dorastałam w ich otoczeniu. Owszem, weszłam na kilka, ale po dobrze wydeptanych ścieżkach podczas jednodniowych wycieczek. Tamte wydawały mi się tylko dużymi wzgórzami. Te jednak takie nie były. Były, jak się teraz zorientowałam, złożone i skomplikowane, niewytłumaczalne i niepodobne do niczego. Za każdym razem, gdy docierałam do miejsca, które uważałam za szczyt góry lub kilku połączonych za sobą gór, myliłam się. Zawsze istniało kolejne wzniesienie, nawet jeśli na początku teren zwodniczo opadał w dół. Szłam więc w górę, aż dotarłam do prawdziwego szczytu. Wiedziałam, że to szczyt, bo był na nim śnieg. Nie na ziemi, tylko padający z nieba w postaci cienkich płatków, które wirowały po najdziwniejszych torach, poruszane podmuchami wiatru.

Nie spodziewałam się deszczu na pustyni, a co dopiero śniegu. Podobnie jak w wypadku gór, nie dorastałam w pobliżu pustyni i choć byłam na nich w czasie paru jednodniowych wycieczek, nie rozumiałam, czym właściwie są. Przyjęłam, że są to suche, gorące i piaszczyste miejsca pełne węży, skorpionów i kaktusów. Nic podobnego. Zawierały wszystkie te elementy, ale i masę innych rzeczy. Były złożone

i skomplikowane, niewytłumaczalne i niepodobne do niczego. Tego drugiego dnia na szlaku zdałam sobie sprawę, że realiów, w których się znalazłam, nie umiem do niczego przyrównać.

Stapałam po zupełnie nieznanym mi gruncie.

Odkrycia dotyczące gór i pustyni nie były jedynymi niespodziankami. Nie spodziewałam się, że ciało na kości ogonowej, biodrach i przedniej stronie ramion będzie krwawić. Nie spodziewałam się, że będę szła nieco ponad kilometr na godzinę, a tak właśnie do tej pory robiłam, wedle moich kalkulacji – możliwych dzięki niezwykle szczegółowemu przewodnikowi – sumując czas spędzony na licznych przystankach i czas, który rzeczywiście poświęciłam na wędrówkę. Kiedy moja wyprawa na PCT była tylko pomysłem, planowałam iść średnio 22 kilometry dziennie przez cały czas trwania wycieczki, choć przez większość dni miałam przejść więcej, bo moja przewidywana średnia brała pod uwagę dni odpoczynku co tydzień lub dwa, podczas których w ogóle nie miałam wędrować. Nie wzięłam jednak pod uwagę braku formy ani prawdziwie ciężkich warunków szlaku, dopóki się na nim nie znalazłam.

Schodziłam ze szczytu w lekkiej panice, dopóki śnieg znów nie zamienił się w mgłę, a mgła w niezmacone widoki przytłumionej zieleni i brązów gór, które otaczały mnie zewsząd, kontrastując z błękitem nieba swoimi na przemian gładkimi i poszarpanymi konturami. Idąc, słyszałam jedynie odgłos własnych butów, które chrzęściły na żwirowym szlaku, i skrzypienie plecaka, które powoli zaczęło doprowadzać mnie do szaleństwa. Zatrzymałam się i ściągnęłam plecak, po czym balsamem do ust wysmarowałam ramę w miejscu, z którego, jak mi się zdawało, pochodził dźwięk. Ruszywszy dalej, zdałam sobie sprawę, że niczego to nie zmieniło. Żeby odwrócić uwagę, wypowiedziałam na głos kilka słów. Minęło niewiele ponad czterdzieści osiem godzin od chwili, gdy pożegnałam się z mężczyznami, którzy podrzucili mnie do szlaku, ale miałam wrażenie, że upłynął przynajmniej tydzień, a mój głos, który samotnie wybrzmiał w powietrzu, wydał mi się dziwny. Sądziłam, że szybko spotkam innego piechura. Byłam zaskoczona, że nikogo jeszcze nie widziałam. Samotność przydała mi się jednak godzinę później, kiedy poczułam nagłą potrzebę, by zrobić coś, co w myślach nazywałam „korzystaniem z toalety”, choć

w tych warunkach oznaczało kucanie bez podparcia i celowanie do dziury, którą sama wykopałam. Właśnie po to wzięłam ze sobą saperkę ze stali nierdzewnej, przewleczoną przez pas biodrowy plecaka w czarnym nylonowym futerałe z napisem „Z miłości do kopania”.

Nie czułam szczególnej miłości do kopania, ale tak robili backpackerzy, więc nie miałam innego wyjścia. Szłam tak długo, aż w końcu znalazłam właściwe, jak mi się zdawało, miejsce, by zaryzykować zboczenie nieco ze szlaku. Zdjęłam plecak, wyciągnęłam saperkę z futerału i pobiegłam za krzak szaławii, żeby kopać. Ziemia była skalista, czerwonawobeżowa i na pozór ubita. Kopanie w niej dziury przypominało próbę przedarcia się przez granitowy kuchenny blat posypany piaskiem i drobnymi kamykami. Tylko młot pneumatyczny mógł temu podołać. „Albo mężczyzna” – pomyślałam ze złością, dźgając ziemię saperką, aż poczułam, że za chwilę pękną mi nadgarstki. Dźgałam i dźgałam bez rezultatu, trzęsąc się od skurczów i zimnego potu. W końcu musiałam się wyprostować, żeby nie narobić w spodnie. Nie miałam innego wyjścia, tylko je ściągnąć – wcześniej zdjęłam już bieliznę, bo tylko pogarszała otarcia na biodrach – kucnąć i zrobić, co trzeba. Kiedy skończyłam, zrobiło mi się tak słabo z ulgi, że omal nie wpadłam we własną ciepłą kupę.

Następnie pokuśtykałam dokoła, zbierając kamienie na mały kopczyk, którym zamaskowałam ślady przed wyruszeniem w dalszą drogę.

Byłam przekonana, że zmierzam w stronę Golden Oak Springs, ale o siódmej wieczorem nadal go nie widziałam. Miałam to gdzieś. Zbyt zmęczona, by odczuwać głód, znów zrezygnowałam z obiadu, oszczędzając przy tym wodę, którą musiałabym zużyć do przyrządzenia go, i znalazłam wystarczająco płaskie miejsce, żeby rozbić namiot. Niewielki termometr, który zwisał z boku plecaka, wskazywał 5 stopni Celsjusza. Zanim wczołgałam się do namiotu, zdjęłam z siebie prze poczone ubrania i rozwiesiłam je na krzaku, żeby wyschły.

Rano musiałam je wkładać na siłę: przez noc zamarzły na sztywną deskę.

Doszłam do Golden Oak Springs kilka godzin po rozpoczęciu trzeciego dnia wędrówki. Widok kwadratowego betonowego basenu podniósł mnie ogromnie na duchu, nie tylko dlatego, że źródło dawało wodę, ale też dlatego, że w ewidentny

sposób było dziełem ludzkich rąk. Zanurzyłam w nim dłonie, niepokojąc kilka owadów, które pływały po jego powierzchni. Wyciągnęłam filtr, umieściłam w wodzie jego rurkę wlotową i zaczęłam pompować, tak jak ćwiczyłam w kuchennym zlewie w Minneapolis. Było trudniej, niż pamiętałam, może dlatego, że gdy trenowałam, pompowałam wodę tylko kilka razy. Tym razem odniosłam wrażenie, że ściśnięcie pompy wymagało większej siły. A kiedy w końcu mi się to udawało, rurka wypływała na powierzchnię i wciągała tylko powietrze. Pompowałam i pompowałam, aż zabrakło mi sił i musiałam zrobić przerwę, po czym znów pompowałam, napełniając obie butelki i bukłak. Zajęło mi to niemal godzinę, ale musiałam to zrobić. Kolejne źródło znajdowało się w przygnębiającej odległości 30 kilometrów.

Choć miałam zamiar ruszyć w dalszą drogę, usiadłam na krzeselku przy źródle. W końcu się ociepliło, a słońce świeciło na moje gołe ramiona i nogi. Zdjęłam koszulkę, zsunęłam nisko szorty i położyłam się z zamkniętymi oczami, w nadziei, że słońce przyniesie ulgę partiom skóry, które plecak obtarł do żywego mięsa. Kiedy otworzyłam oczy, zobaczyłam małą jaszczurkę na pobliskiej skale. Wyglądała, jakby robiła pompki.

– Cześć, jaszczurko – powiedziałam, na co stworzenie zastygło w idealnym bezruchu, po czym błyskawicznie zniknęło.

Powinnam się pospieszyć. Już i tak byłam „do tyłu” ze swoim tak zwanym grafikiem, nie mogłam się jednak zmusić, by opuścić tego dnia mały zielony otoczony dębami skrawek ziemi. Na dodatek oprócz zdartych fragmentów skóry bolały mnie też mięśnie i kości, a stopy pokrywały się coraz liczniejszymi pęcherzami. Siedziałam na ziemi i przyglądałam się im, wiedząc, że niewiele mogę zrobić, by zapobiec dalszej ich ruinie. Delikatnie je pomacałam, aż do czarnego siniaka wielkości dolarowej monety, który znajdował się na kostce. Nie był obrażeniem nabytym na szlaku, raczej dowodem mojej wcześniejszej głupoty.

Właśnie z powodu tego siniaka nie zdecydowałam się zadzwonić do Paula, kiedy czułam się taka samotna w motelu w Mojave. Ten siniak stanowił centrum historii, którą na pewno Paul wyczułby w moim głosie. O tym, jak miałam zamiar trzymać się z dala od Joego przez te dwa dni spędzone w Portland, zanim poleciałam do Los

Angeles, ale tego nie zrobiłam. O tym, jak skończyło się na braniu z nim heroiny, mimo że nie tknęłam jej od czasu odwiedzin Joego w Minneapolis pół roku wcześniej.

– Moja kolej – powiedziałam ponaglącym tonem, kiedy Joe zrobił sobie wtedy w Portland zastrzyk.

PCT nagle wydał mi się bardzo odległym planem, choć dzieliło mnie od niego tylko czterdzieści osiem godzin.

– Pokaż kostkę – powiedział Joe, nie mogąc znaleźć żyły na mojej ręce.

Spędziłam cały dzień w Golden Oak Springs z kompasem w ręce, czytając *Staying Found*. Znalazłam północ, południe, wschód i zachód. Powędrowałam bez plecaka bitą drogą, która prowadziła do źródła, żeby zobaczyć, co jest dalej. Wspaniale chodziło się bez obciążenia, nawet przy obecnym stanie moich stóp i mimo obolałych mięśni. Czułam, że nie tylko jestem wyprostowana, ale jakbym się unosiła nad ziemią, jakby do moich ramion były przyłączone od góry dwie sprężyste linki. Każdy krok przypominał sus, lekki jak piórko.

Kiedy dotarłam do urwiska, zatrzymałam się i spojrzałam na ogromną przestrzeń przed sobą.

Zobaczyłam tylko kolejne piękne i srogie pustynne góry i kolejne szeregi białych kanciastych turbin wiatrowych w dali. Wróciłam do obozowiska, rozłożyłam kuchenkę i próbowałam przyrządzić sobie pierwszy na szlaku ciepły posiłek. Mimo wysiłków nie potrafiłam jednak utrzymać płomienia na palniku. Wyciągnęłam instrukcję, przeczytałam rozdział dotyczący rozwiązywania problemów i dowiedziałam się, że wypełniłam kanister nieprawidłowym rodzajem paliwa. Nalałam bezołowiowego zamiast specjalnej białej benzyny, przez co zapchał się palnik, a w wyniku moich prób mały ronderek szerniał od sadzy.

I tak nie miałam apetytu. Mój głód był jak zdrętwiały palec: ledwie odczuwalny. Zjadłam garść suszonego tuńczyka i zasnęłam około osiemnastej piętnaście.

Zanim rozpoczęłam czwarty dzień, zrobiłam oględziny ran. Pracownik REI zachęcał mnie do kupna żelowych plastrów na oparzenia, które świetnie pomagały też na obtarcia. Przykleiłam je we wszystkich miejscach, gdzie skóra krwawiła, pokryta

była bąblami lub czerwoną wysypką – na czubkach palców i na piętach, na kościach biodrowych, na przedniej stronie ramion i na krzyżach. Kiedy skończyłam, wytrzepałam skarpetki, próbując zmiękczyć je przed włożeniem. Miałam dwie pary, ale obie zrobiły się sztywne od brudu i zaschłego potu. Choć zmieniałam je co parę godzin, żeby przesuszyć wilgotną parę, przypinając ją linkami do plecaka, były jak z kartonu, a nie tkaniny.

Kiedy tamtego ranka opuściłam źródło, znów obciążona jedenastoma kilogramami wody, zdałam sobie sprawę, że sprawia mi to dziwną, abstrakcyjną, retrospektywną przyjemność. W momentach między kolejnymi katuszami widziałam piękno, które mnie otaczało, cud rzeczy małych i wielkich: kolor pustynnych kwiatów, które muskały mnie na szlaku, albo gigantyczną połąć nieba, kiedy słońce zachodziło za górami. Pograżona w myślach o tym, poślizgnęłam się na kamyczkach i upadłam, lądując na twardym podłożu twarzą w dół z impetem, który zapał mi dech w piersiach. Leżałam bez ruchu dobrą minutę, zarówno z powodu palącego bólu w nodze, jak i powodu olbrzymiego ciężaru na plecach, który przygniótł mnie do ziemi. Kiedy wyczołgałam się spod plecaka i oceniałam szkody, zauważyłam, że z rany na moim piszczelu obficie sączy się krew, a pod spodem zaczął się już formować guz wielkości pięści. Odrobiną cennej wody polałam ranę, oczyszczając ją z ziemi i kamyczków tak dokładnie, jak to było możliwe. Następnie przycisnęłam do niej gazę, dopóki krwawienie nie ustało, i pokuśtykałam dalej.

Przez resztę popołudnia szłam z oczami utkwionymi w szlaku tuż przed sobą, w obawie, że znów stracę równowagę i się przewrócę. To wtedy zauważyłam coś, czego w poprzednich dniach szukałam: ślady pumy. Szła tą samą drogą i w tym samym kierunku niedawno przede mną – ślady łap były wyraźnie widoczne na ziemi przez kolejne 400 metrów. Co kilka minut przystawałam, żeby się rozejrzeć. Poza rzadkimi zielonymi skupiskami krajobraz tonął głównie w odcieniach żółci i brązów, w takich samych kolorach jak puma. Szłam dalej, myśląc o artykule, który niedawno wpadł mi w ręce: o trzech kobietach w Kalifornii, które na przestrzeni zeszłego roku zostały zabite przez pumę – i o tych wszystkich filmach przyrodniczych, które obejrzałam jako dziecko, w których drapieżcy atakują tę sztukę, którą oceniają jako najsłabszą w stadzie. Bez wątplenia nią byłam: rozszarpanie mnie na kawałki

przyszłoby bez trudu. Śpiewałam głośno proste piosenki, które przychodziły mi do głowy – *Twinkle, Twinkle Little Star* i *Take Me Home Country Roads* – mając nadzieję, że mój przerażony głos odstraszy pumę, i jednocześnie bojąc się, że zwróci uwagę zwierzęcia, jakby krew zakrzepła na nodze i kilkudniowy smród mojego ciała nie wystarczały, by je zwabić.

Gdy tak uważnie przypatrywałam się okolicy, zorientowałam się, że przeszłam już tyle, iż teren powoli zaczynał się zmieniać. Krajobraz wokół mnie był nadal suchy, zdominowany przez tę samą co wcześniej twardolistną roślinność i bylice, ale teraz drzewa Jozuego, które były kwintesencją pustyni Mojave, pojawiały się tylko sporadycznie. Częstsze były jałowce, pinie i karłowate dęby. Od czasu do czasu przechodziłam przez zacienione łąki, gęsto porośnięte trawą. Trawa i całkiem spore drzewa niosły mi pocieszenie. Wskazywały na życie. Dawały do zrozumienia, że dam sobie radę.

Przynajmniej do momentu, kiedy kolejne drzewo zagrodziło mi drogę. Leżało w poprzek szlaku, a jego gruby pień podtrzymywały gałęzie wiszące na tyle nisko, że nie mogłam przejść pod nim, jednak na tyle wysoko, że przejście górą też było niemożliwe, zwłaszcza jeśli uwzględnić ciężar mojego plecaka. Obejście go również nie wchodziło w grę: szlak zbyt stromo opadał z jednej strony, a roślinność zbyt bujnie rosła z drugiej. Przez długi czas stałam, próbując wymyślić sposób przedostania się na drugą stronę. Musiałam – bez względu na to, jak bardzo wydawało mi się to niewykonalne. W przeciwnym razie pozostał mi tylko powrót do motelu w Mojave. Pomyślałam z ogromną tęsknotą o małym pokoiku za osiemnaście dolarów i ogarnęło mnie pragnienie, by tam wrócić. Oparłam się plecami o drzewo, rozpięłam sprzączki plecaka i popchnęłam go w górę nad szorstkim pniem drzewa, starając się przerzucić go na drugą stronę, nie pozwalając jednak, by gruchnął na ziemię i spowodował pęknięcie bukłaka. Potem wspięłam się na pień, raniąc dłonie, i tak już obolałe od wcześniejszego upadku. Na kolejnym półtorakilometrowym odcinku trafiłam na trzy kolejne powalone drzewa. Kiedy pokonałam je wszystkie, strup na mojej nodze pękł i rana znowu krwawiła.

Po południu piątego dnia, kiedy szłam po bardzo wąskim i stromym odcinku szlaku, zobaczyłam przed sobą wielkie brązowe rogate zwierzę, które szarżowało

w moją stronę.

– Łoś! – wrzasnęłam, choć wiedziałam, że to nie łoś.

W panice nie mogłam przypomnieć sobie, jak nazywa się zwierzę, które widzę, a łoś był najbliższym skojarzeniem.

– Łoś! – krzyknęłam jeszcze bardziej rozpaczliwie, w miarę jak zwierzę się zbliżało. Rzuciłam się w rosnące przy szlaku krzaki, wpychając się, jak mogłam najgłębiej, pomiędzy ich ostre gałęzie, w czym przeszkadzał mi plecak.

Wtedy wpadło mi do głowy, co to za zwierzę, i dotarło do mnie, że za chwilę rozszarpie mnie teksański byk długorogi.

– Łoooooś! – krzyknęłam jeszcze głośniejszym głosem, łapiąc przywiązany do stelaża plecaka żółty sznurek, na którego końcu znajdował się najgłośniejszy gwizdek świata.

Chwyciłam go, przyłożyłam do ust, zamknęłam oczy i zaczęłam dmuchać, ile sił w płucach. Przestałam, dopiero gdy zabrakło mi powietrza.

Kiedy otworzyłam oczy, byka już nie było.

Tak jak i skóry na czubku mojego prawego palca wskazującego, którą w panicznej ucieczce zdarłam na ostrych liściach.

Rzeczą, która tamtego lata uderzyła mnie tak mocno w Pacific Crest Trail – a jednak była, jak większość rzeczy, bardzo prosta – była świadomość, jak niewiele miałam opcji i jak często musiałam robić coś wbrew własnej woli. Nie dało się uciec ani niczego wyprzeć. Nie mogłam się znieczulić za pomocą martini ani uciec od problemu w szybki numer. Kiedy tamtego dnia trzymałam się blisko roślinności, próbując opatrzeć krwawiący palec, przerażona, że byk może wrócić, zastanawiałam się, jaki mam wybór. Były tylko dwa wyjścia, właściwie takie same. Mogłam wrócić tam, skąd przyszłam, lub iść, dokąd zamierzałam dojść. Byk – przyznałam ponuro – mógł znajdować się i tu, i tam, bo zamknawszy oczy, nie widziałam, w którą stronę poszedł. Mogłam wybrać tylko pomiędzy bykiem, który zawróci mnie z powrotem, i bykiem, który powiedzie mnie naprzód.

Poszłam więc dalej.

Pokonanie 15 kilometrów dziennie wymagało wszystkich moich sił. Nigdy wcześniej tak się nie męczyłam. Bolała mnie każda część ciała. Z wyjątkiem serca.

Nikogo nie spotkałam, ale choć było to dziwne, za nikim też nie tęskniłam. Pragnęłam tylko jeść, pić i móc zdjąć plecak. Ale i tak niosłam go dalej. W górę, w dół i wokół suchych, pustynnych gór, gdzie sosny Jeffreya i czarne dęby wyznaczały trasę szlaku, przecinając bite drogi, na których znajdowały się ślady kół wielkich ciężarówek, choć żadnej nie było w zasięgu wzroku.

Rano ósmego dnia wędrówki zrobiłam się głodna i wyrzuciłam z plecaka wszystkie zapasy, żeby ocenić sytuację, bo nagle poczułam ogromną chęć na gorący posiłek. Nawet w stanie wyczerpania, który pozbawiał mnie apetytu, zjadłam właściwie wszystko, co nie wymagało gotowania – muesli i orzechy, suszone owoce, suszonego indyka i tuńczyka, batoniki proteinowe, czekoladę i proszek Better Than Milk. Większość pozostałego jedzenia wymagała gotowania, a ja nie miałam działającej kuchenki. Nowe zapasy będę miała dopiero po dotarciu do Kennedy Meadows, 216 kilometrów dalej. Doświadczony piechur pokonałby tę odległość w czasie, jaki do tej pory spędziłam na szlaku. Przy moim tempie nie byłam jeszcze nawet w połowie drogi. A nawet gdybym doszła do Kennedy Meadows, żywiąc się tym, co miałam przy sobie, nadal musiałabym znaleźć kogoś, kto naprawiłby mi kuchenkę i napełnił ją odpowiednim paliwem. Kennedy Meadows, będąc wyżej od miasta położoną bazą dla myśliwych, wędrowców i wędkarzy, nie było do tego odpowiednim miejscem. Siedząc na ziemi, otoczona strunowymi torebkami suszonych produktów, których nie mogłam przyrządzić, postanowiłam zboczyć ze szlaku. Niedaleko od miejsca mojego postoju PCT przecinał się z siecią bitych dróg prowadzących w różne strony.

Poszłam jedną z nich, stwierdzając, że w końcu natknę się na cywilizację w postaci autostrady, która biegła równoległe do szlaku, około 32 kilometrów na wschód. Szłam w pełnym słońcu, nie wiedząc dokładnie, na jakiej byłam drodze, ale wierzyłam, że coś uda mi się znaleźć. Przy każdym ruchu czułam własny smród. Miałam ze sobą dezodorant i co rano traktowałam nim pachy, ale niczego to już nie zmieniało. Nie myłam się od ponad tygodnia. Moje ciało było pokryte brudem i krwią, a sztywne od zaschniętego potu i kurzu włosy przylepiły się do głowy pod czapką. Czułam, jak z każdym dniem moje mięśnie robią się coraz mocniejsze. Jednocześnie w tym samym tempie moje ścięgna i stawy słabły. Stopy bolały mnie

w środku i na zewnątrz: skóra otarta do krwi i pokryta pęcherzami, a kości i mięśnie zmęczone przebytymi kilometrami. Droga była cudownie równa lub lekko schodząca w dół, co stanowiło miłą odmianę po nieustannie falującym szlaku, ale mimo to nadal cierpiałam. Przez długie odcinki próbowałam sobie wyobrazić, że tak naprawdę nie mam stóp i zamiast nich moje nogi kończą się dwoma nieodczuwającymi niczego kikutami, które mogą wszystko znieść.

Po czterech godzinach zaczęłam żałować swojej decyzji. Mogłam umrzeć z głodu albo zginąć, zabita przez grasującego byka długorogiego, ale na PCT wiedziałam przynajmniej, gdzie jestem. Jeszcze raz zajrzałam do przewodnika, zaczynając powątpiewać, czy w ogóle znajduję się na jednej z tak pobieżnie opisanych dróg. Co godzinę wyjmowałam mapę i kompas, by sprawdzić, gdzie jestem. Wyciągnęłam *Staying Found* i jeszcze raz przeczytałam, jak używać mapy i kompasu. Analizowałam położenie słońca. Minęłam niewielkie stado krów, które stały sobie wolno przy płocie, i poczułam, że serce zaczyna mi bić mocniej, choć żadna z nich nie ruszyła w moim kierunku. Przerwały tylko jedzenie, podniosły łby i patrzyły, jak przechodzę koło nich i po cichu powtarzam: „Krowa, krowa, krowa”.

Teren, przez który prowadziła droga, był miejscami zaskakująco zielony, miejscami natomiast suchy i skalisty. Dwa razy minęłam też traktory zaparkowane milcząco i przedziwnie na poboczu. Szłam, zachwycając się pięknem i ciszą, ale późnym popołudniem strach zaczął ścisnąć mi gardło.

Przez osiem dni nie spotkałam żywej duszy. Byłam pośród cywilizacji, a mimo to poza pasącymi się wolno krowami, dwoma traktorami i samą drogą nie było po niej ani śladu. Czułam się, jakbym występowała w filmie science fiction, jakbym była ostatnim człowiekiem na Ziemi. Po raz pierwszy podczas tej wyprawy poczułam, że chce mi się płakać. Zrobiłam głęboki wdech, żeby powstrzymać łzy, i postawiłam plecak na ziemi, żeby się przeorganizować. Droga wchodziła w zakręt, więc podeszłam do niego bez plecaka, by sprawdzić, co kryje się dalej.

Zobaczyłam trzech mężczyzn w kabinie żółtego pick-upa.

Biały, czarnoskóry i Latynos.

Zajęło mi pewnie sześćdziesiąt sekund, by do nich podejść. Patrzyli na mnie z takim samym wyrazem twarzy, jaki ja musiałam mieć, kiedy poprzedniego dnia

zobaczyłam długorogiego byka. Jakby lada chwila mieli zacząć krzyczeć: „Łoś!”. Ulga, jaką poczułam na ich widok, była ogromna. Jednocześnie, idąc w ich stronę, drżałam na myśl, że nie byłam już jedyną gwiazdą filmu o planecie pozbawionej ludzi. Znajdowałam się teraz w zupełnie innym filmie: byłam jedyną kobietą w towarzystwie trzech mężczyzn o nieznanym mi zamiarach, charakterze i pochodzeniu, którzy patrzyli na mnie z cienia żółtego pick-upa.

Kiedy przez opuszczoną szybę po stronie kierowcy wyjaśniłam im swoją sytuację, w milczeniu wlepili we mnie wzrok, a ich miny wyrażały zaskoczenie, potem zdumienie, później drwinę, aż w końcu wszyscy wybuchnęli śmiechem.

– Wiesz, gdzie zaszłaś, skarbie? – zapytał biały mężczyzna, kiedy już zdołał się opanować, a ja pokręciłam głową.

On i czarnoskóry mężczyzna wyglądali na okolice sześćdziesiątki. Latynos mógł być jeszcze nastolatkiem.

– Widzisz tamtą górę? – zapytał, pokazując prosto przed siebie przez przednią szybę. – Właśnie się szykujemy, żeby wysadzić ją w powietrze.

Wyjaśnił mi, że firma górnicza wykupiła prawa do tego kawałka ziemi, żeby wydobywać ozdobne kamienie, których ludzie używają w swoich ogródkach.

– Na imię mi Frank – powiedział, stukając palcem w rondo swojego kowbojskiego kapelusza. – I w zasadzie wkroczyłaś na prywatny teren, młoda damo, ale przymkniemy na to oko. – Mrugnął do mnie. – Jesteśmy tylko górnikami, a nie właścicielami tego terenu. W przeciwnym razie musielibyśmy cię zastrzelić.

Znów się roześmiał, wskazał na Latynosa siedzącego pośrodku i powiedział, że ma na imię Carlos.

– Jestem Walter – przedstawił się czarny mężczyzna siedzący po stronie pasażera.

Byli pierwszymi ludźmi, jakich widziałam od czasu dwóch facetów w minivanie z rejestracją z Kolorado, którzy ponad tydzień temu wysadzili mnie na poboczu. Kiedy mówiłam, mój głos wydawał mi się dziwny, wyższy i szybszy, niż pamiętałam, jak gdyby był czymś nieuchwytnym, jakby każde słowo było małym odlatującym ptakiem. Kazali mi usiąść na naczepie i podjechaliśmy za zakręt po plecaki. Frank zatrzymał się i wszyscy wysiedli. Walter podniósł plecak i był zaskoczony jego

ciężarem

– Byłem w Korei – powiedział, ze sporym wysiłkiem kładąc go na metalowej podłodze naczepy. – I nigdy nie mieliśmy tak ciężkich plecaków. No, może raz niosłem coś takiego, ale to było za karę.

Szybko i bez mojego udziału podjęto decyzję, że pojedę do domu z Frankiem, gdzie jego żona mnie nakarmi i gdzie będę się mogła umyć i przespać w łóżku. Rano Frank zabierze mnie gdzieś, gdzie będę mogła naprawić kuchenkę.

– Możesz mi to jeszcze raz wyjaśnić? – dopytywał Frank i za każdym razem wszyscy słuchali ze skupionymi, lecz zdezorientowanymi minami.

Mieszkali trzydzieści parę kilometrów od szlaku, a mimo to żaden z nich o nim nie słyszał. Żaden nie pojmował, po co kobieta miałaby sama go przemierzać, o czym i Frank, i Walter poinformowali mnie w żartobliwy i taktowny sposób.

– Ja myślę, że to fajne – po jakimś czasie powiedział Carlos. Skończył osiemnaście lat i niedługo miał wstąpić do wojska.

– Może powinieneś ruszyć na wędrowkę? – zasugerowałam.

– Neeee – odparł.

Mężczyźni znów wsiedli do pick-upa i przez kilka kilometrów sama jechałam na naczepie, aż dotarliśmy do miejsca, gdzie Walter zaparkował swoją ciężarówkę. Odjechał nią razem z Carlosem, zostawiając mnie samą z Frankiem, który miał jeszcze godzinę pracy.

Siedziałam w kabinie żółtego pick-upa, patrząc, jak Frank jeździ traktorem tam i z powrotem, plantując drogę. Za każdym razem, gdy koło mnie przejeżdżał, machał do mnie. Kiedy się oddalał, ukradkiem sprawdzałam zawartość kabiny. W schowku znajdowała się srebrna piersiówka whiskey. Wzięłam mały łyk i szybko odłożyłam butelkę na miejsce, czując, jak pieką mnie usta. Sięgnęłam pod siedzenie i wyciągnęłam wąski czarny futerał. Gdy go otworzyłam, zobaczyłam pistolet tak srebrny jak piersiówka. Zamknęłam futerał i wrzuciłam pod siedzenie. Kluczyki pick-upa wisiały w stacyjce. Przez chwilę zastanawiałam się, co by się stało, gdybym uruchomiła silnik i odjechała. Zdjęłam buty i zaczęłam masować stopy. Mały siniak na kostce po działce heroiny nie zniknął, ale zbladł teraz na posępny żółty odcień.

Przejechałam palcem po małym, nadal wyczuwalnym wżgórku w jego centrum, zadziwiona tym, jak bardzo byłam żalosna, po czym włożyłam z powrotem skarpetki, żeby nie musieć tego oglądać.

– Jakim typem kobiety jesteś? – zapytał Frank, kiedy skończył pracę i wsiadł do pick-upa.

– To znaczy? – zapytałam.

Spojrzeliliśmy na siebie i onieśmielona, odwróciłam wzrok.

– Jesteś jak Jane? Babka w typie Tarzana?

– Na to wygląda – odparłam, śmiejąc się, choć czułam narastający niepokój i chciałam, by po prostu uruchomił samochód i ruszył.

Frank był postawnym mężczyzną – smukłym, opalonym i muskularnym. Górnikiem, który wyglądał raczej jak kowboj. Jego dłonie przypominały mi dłonie wszystkich mężczyzn, których znałam, dorastając. Mężczyzn, którzy zarabiali na życie, pracując fizycznie, mężczyzn, których dłonie nigdy nie były naprawdę czyste, jakkolwiek by je szorowali. Siedziałam z nim i czułam to co zawsze, gdy w pewnych okolicznościach byłam sama z pewnymi mężczyznami – że wszystko może się wydarzyć. Że facet może zajmować się swoimi sprawami, dobrze wychowany i uprzejmy, lub przyciągnąć mnie do siebie i sprawić, że wszystko zmieni się w jednej chwili. Patrzyłam na ręce Franka i śledziłam każdy jego ruch, czując, jak wszystkie komórki mojego ciała są w stanie mobilizacji, choć sprawiałam wrażenie tak zrelaksowanej, jakbym dopiero co przebudziła się z drzemki.

– Mam tu coś dla nas – powiedział, sięgając do schowka po piersiówkę whiskey. – To moja nagroda po ciężkim dniu pracy. – Odkręcił butelkę i podał mi ją. – Panie mają pierwszeństwo.

Wzięłam ją od niego i przytknęłam do ust, pozwalając, żeby whisky opłukała mi usta.

– Tak. Taką jesteś kobietą. Będę ci mówił Jane. – Wziął ode mnie butelkę i pociągnął duży łyk.

– Właściwie to nie jestem tu całkiem sama – wypaliłam, wymyślając kłamstwo na poczekaniu. – Mój mąż Paul też idzie po szlaku. Zaczął w Kennedy Meadows. Wiesz,

gdzie to jest? Oboje chcieliśmy się przekonać, jak to jest wędrować samemu, więc on idzie na południe, a ja na północ i mamy się spotkać pośrodku. Resztę lata będziemy już wędrować razem.

Frank pokiwał głową i znów pociągnął z butelki.

– To znaczy, że ma w głowie jeszcze bardziej nie po kolei – odparł po krótkim namyśle. – Być na tyle szaloną kobietą, żeby zrobić to co ty, to jedno. Co innego być facetem, który pozwala żonie na takie rzeczy.

– No tak – odpowiedziałam, jakbym się z nim zgadzała. – Za parę dni będziemy znów razem – dodałam z takim przekonaniem, że sama w to uwierzyłam.

Że dokładnie w tamtej chwili Paul szedł w moim kierunku. Że dwa miesiące wcześniej w śnieżny kwietniowy dzień nie złożyliśmy papierów rozwodowych. Że szedł po mnie. Albo że wiedziałyby, gdybym nie ruszyła w dalszą drogę. Że w ciągu kilku dni wiedziałyby o moim zaginięciu.

Prawda była zupełnie inna. Ludzie w moim życiu byli jak plastry z opatrunkiem, które rozwiązał pustynny wiatr pierwszego dnia na szlaku. Rozpraszali się we wszystkie strony i znikali. Nikt nie czekał nawet na to, że zadzwonię, kiedy dotrę do pierwszego przystanku. Ani drugiego, ani trzeciego.

Frank oparł się wygodnie i poprawił wielką metalową kłamrę paska.

– Jest jeszcze coś, czym lubię się nagradzać po dniu ciężkiej pracy – powiedział.

– Co? – zapytałam z niepewnym uśmiechem i sercem łomoczącym w piersi jak młot.

W spoczywających na kolanach dłoniach czułam mrowienie. Byłam boleśnie świadoma, gdzie jest mój plecak – zbyt daleko, na metalowej podłodze naczepy. W ułamku sekundy postanowiłam, że go porzucę, gdybym musiała nagle otworzyć drzwi i uciekać.

Frank sięgnął pod siedzenie, gdzie w czarnym futerale spoczywał pistolet.

Wyciągnął przezroczystą foliową torebkę. W środku znajdowały się długie, cienkie wstążki czerwonej lukrecji, poskręcanej jak lasso. Podał mi je i zapytał:

– Panienska Jane się poczętuje?

Rozdział 6

Byk w obu kierunkach

W czasie jazdy pochłonełam przynajmniej półtora metra czerwonych lukrecji Franka i zjadłabym drugie tyle, gdyby tylko miał więcej.

– Poczekaj tu – powiedział, kiedy zatrzymaliśmy się na niewielkim podjeździe przed jego domem: przyczepą na małym obozowisku pośród pustynnej roślinności. – Pójdę powiedzieć Annette, kim jesteś.

Kilka minut później wyłonili się razem. Annette była pulchna, miała siwe włosy i niechętną, podejrzliwą minę.

– To wszystko, co masz ze sobą? – odezwała się zrzędliwie, kiedy Frank ściągał mój plecak z naczepy.

Weszłam za nimi do środka, gdzie Frank momentalnie zniknął w łazience.

– Proszę się rozgościć – powiedziała Annette, co uznałam za przyzwolenie, żeby usiąść przy stole na skraju kuchni, podczas gdy ona przygotowywała mi coś do jedzenia.

Z przeciwległego narożnika stołu dudnił mały telewizor, nastawiony tak głośno, że niemal trudno było coś usłyszeć. Kolejny materiał o procesie O.J. Simpsona. Patrzyłam na ekran do chwili, gdy Annette postawiła przede mną talerz i wyłączyła telewizor.

– Nie mają innego tematu. O.J. to i O.J. tamto – powiedziała. – Ktoś jeszcze pamięta, że w Afryce głodują dzieci? Możesz już zacząć – powiedziała, wskazując na talerz.

– Poczekam – powiedziałam swobodnym tonem, którym próbowałam zamaskować desperację.

Spojrzałam w dół na talerz. Piętrzyła się na nim góra żeberek z rusztu, kukurydzy z puszki i sałatki ziemniaczanej. Przyszło mi do głowy, że powinnam pójść umyć ręce, ale nie chciałam opóźnić posiłku. Nie miało to znaczenia. Kwestia konieczności mycia rąk przed jedzeniem była mi teraz tak odległa jak informacyjne

serwisy.

– No jedz! – rozkazała Annette, stawiając przede mną plastikowy kubek z wiśniową oranżadą z proszku Kool-Aid.

Włożyłam do ust widelec pełen ziemniaczanej sałatki. Była tak dobra, że niemal spadłam z krzesła.

– Studentka, tak?

– Tak – powiedziałam; dziwnie pochlebiało mi, że zrobiłam na niej takie wrażenie, pomimo swojego brudu i smrodu. – Właściwie to nią byłam. Skończyłam studia cztery lata temu – wytłumaczyłam, po czym wzięłam kolejny kęs jedzenia, uświadamiając sobie, że technicznie rzecz biorąc, to było kłamstwo.

Choć w ostatnich dniach życia mamy obiecałam jej, że zrobię licencjat, nie zrobiłam tego. Mama zmarła w poniedziałek rozpoczynający wiosenną przerwę semestralną. Wróciłam na uczelnię dokładnie tydzień później i w ostatnim trymestrze, otepiała z bólu, przebrnęłam przez mnóstwo zajęć, ale nie uzyskałam dyplomu. Nie zrobiłam jednej rzeczy. Nie napisałam pięciostronicowej pracy na zajęcia z angielskiego dla poziomu średnio zaawansowanego. To miała być pestka, kiedy jednak siadałam do pisania, byłam w stanie jedynie gapić się w pusty ekran komputera. Przeszłam przez podest ubrana w togę i biret i przyjęłam mały rulon dokumentu, który mi podano. Gdy go jednak rozwinęłam, zobaczyłam to, czego się spodziewałam: że tytuł licencjata uzyskam po złożeniu pracy. Został mi jedynie kredyt studencki, który wedle moich obliczeń będę spłacać aż do czterdziestego trzeciego roku życia.

Następnego ranka Frank podwiózł mnie pod miejscowy sklep przy autostradzie, poinstruowawszy mnie wcześniej, by łapać okazję do miasta o nazwie Ridgecrest. Siedziałam przed sklepem do czasu, gdy pojawił się facet, który rozwoził chipsy, i zgodził się mnie podwieźć, mimo że branie autostopowiczów było wbrew zasadom firmy. Na imię miał Troy. Przedstawił się, gdy wsiadłam do ciężarówki. Jeździł po południowej Kalifornii przez pięć dni w tygodniu, dostarczając chipsy. Ożenił się ze swoją dziewczyną z liceum siedemnaście lat temu, kiedy sam miał lat siedemnaście.

– Siedemnaście lat poza klatką i siedemnaście lat w klatce – zażartował, choć

w jego głosie brzmiał nieskrywany żal. – Zrobiłbym wszystko, żeby być na twoim miejscu – powiedział, kiedy ruszyliśmy. – Jestem wolnym duchem, który nigdy nie miał dość odwagi na wolność.

Wysadził mnie przed Sklepem ze Sprzętem Turystycznym Todda, gdzie pan Todd we własnej osobie rozłożył moją kuchenkę na części, przeczyścił ją i zamontował nowy filtr, sprzedał mi właściwe paliwo, a potem udzielił instruktażu obsługi, tak dla pewności. Dokupiłam trochę taśmy klejącej i plastrów żelowych na swoje poranione ciało. Następnie poszłam do restauracji i zamówiłam czekoladowego shake'a i cheesburgera z frytkami, czując się jak przy obiedzie poprzedniego dnia: poruszona każdym przepysznym kęsem. Potem ruszyłam przez miasto, gdzie ze świstem mijaly mnie samochody, a twarze ich kierowców i pasażerów odwracały się, żeby spojrzeć na mnie z chłodnym zaciekawieniem. Mijałam lokaliki fast food i salony samochodowe, niepewna, czy powinnam wystawić kciuk i zacząć łapać okazję, czy spędzić noc w Ridgecrest i dopiero następnego dnia skierować się na PCT. Kiedy stałam nieopodal skrzyżowania, próbując zdecydować, w którą stronę iść, przejechał koło mnie na rowerze mężczyzna o nieco niechlujnym wyglądzie. Trzymał w dłoni zmiętą papierową torbę.

– Próbujesz wydostać się z miasta? – zapytał.

– Może – odparłam.

Rower był dla niego za mały – dobry dla chłopca, nie mężczyzny – z jaskrawymi płomieniami wymalowanymi na bokach.

– W którą stronę jedziesz? – zapytał.

Smród jego ciała był tak silny, że prawie się zakrztusiłam. Chociaż pewnie sama śmierdziałam równie mocno jak on. Mimo kąpieli, którą wzięłam poprzedniego wieczoru po obiedzie u Franka i Annette, nadal miałam na sobie brudne ubrania.

– Może zostanę na noc w motelu – powiedziałam.

– Nie rób tego! – krzyknął. – Zrobiłem tak raz i wsadzili mnie do paki.

Pokiwałam głową, zdając sobie sprawę, że uważał mnie za taką jak on sam. Taką, która nigdzie nie ma domu. Żyje poza prawem. Nie za tak zwaną studentkę ani nawet byłą studentkę. Nie próbowałam mu nawet mówić o PCT.

– Weź – powiedział, podając mi papierową torbę. – To chleb i mielonka. Zrobisz sobie kanapki.

– Nie, dzięki – odparłam, jednocześnie wzruszona i obrzydzona jego propozycją.

– Skąd jesteś? – zapytał, nie mając ochoty odjeżdżać.

– Z Minnesoty.

– Hej! – ucieszył się i na jego brudnej twarzy pojawił się szeroki uśmiech. – Cześć, siostra! Jestem z Illinois. Illinois i Minnesota są sąsiadami.

– Prawie sąsiadami. Między nimi leży Wisconsin – powiedziałam, od razu tego żałując, bo nie chciałam ranić jego uczuć.

– Ale i tak się liczy – powiedział i podsunął mi otwartą dłoń, żebym przybiła piątkę.

Przybiłam.

– Powodzenia – powiedziałam, gdy odjeżdżał.

Weszłam do sklepu spożywczego i długo włóczyłam się alejkami, zanim cokolwiek wzięłam do ręki, olśniona ilością jedzenia. Kupiłam kilka rzeczy, żeby uzupełnić zapasy, które zjadłam zamiast gotowanych obiadów. Po czym powędrowałam wzdłuż ruchliwej autostrady, aż znalazłam coś, co sprawiało wrażenie najtańszego motelu w mieście.

– Jestem Bud – powiedział mężczyzna za ladą, kiedy zapytałam o wolny pokój.

Miał wygląd winowajcy i kaszel nałogowego palacza. Pomarszczoną twarz okalały z obu stron śniade obwisłe policzki. Kiedy powiedziałam mu o wyprawie przez PCT, nalegał, że wypierze moje ubrania.

– Wrzucę je razem z ręcznikami i pościelą, skarbie. Żaden kłopot – odpowiedział na mój sprzeciw.

Poszłam do pokoju, rozebrałam się, włożyłam nieprzemakalne spodnie i kurtkę przeciwdeszczową, mimo że był gorący czerwcowy dzień, i wróciłam do recepcji, gdzie skrepowana, oddałam Budowi stosik brudnych ubrań, jeszcze raz mu dziękując.

– Spodobała mi się twoja bransoletka. Dlatego to zaproponowałem – powiedział Bud.

Podwinęłam rękaw kurtki i oboje na nią spojrzeliśmy. Była to nieco zmatowiała

srebrna obręcz, bransoleta POW/MIA (jeniec wojenny/zaginiony w akcji), którą moja przyjaciółka Aimée włożyła mi na rękę, kiedy żegnałyśmy się kilka tygodni wcześniej na ulicach Minneapolis.

– Kogo tu masz? – wyciągnął dłoń przez ladę, wziął mnie za nadgarstek i odwrócił go, żeby móc przeczytać inskrypcję. – „William J. Crockett” – powiedział i puścił moją dłoń.

Aimée troszkę poszperała i powiedziała mi, kim był William J. Crockett – pilotem sił powietrznych, który na dwa miesiące przed dwudziestymi szóstymi urodzinami został zestrzelony w Wietnamie. Przez lata nosiła tę bransoletkę, nigdy jej nie zdejmując. Od chwili gdy mi ją podarowała, ja też tego nie zrobiłam.

– Sam jestem weteranem z Wietnamu, więc zawsze zauważam takie rzeczy. Z tego samego powodu dałem ci jedyny nasz pokój, w którym jest wanna – powiedział Bud. – Byłem tam w '63, gdy ledwie skończyłem osiemnaście lat. Teraz jestem przeciw wojnie. Przeciw wszelkim wojnom. Przeciw w stu procentach. Z małymi wyjątkami.

Na znajdującej się w pobliżu plastikowej popielniczce palił się papieros, który Bud podniósł, ale nie włożył do ust.

– Zakładam, że wiesz, że w Sierra Nevada leży w tym roku dużo śniegu.

– Śniegu? – zapytałam.

– Rekordowe opady. Góry są całkowicie zasypane. Mamy tu oddział Urzędu Zagospodarowania Terenu, gdybyś chciała zadzwonić i zapytać o warunki – powiedział i zaciągnął się. – Ubrania będą gotowe za jakąś godzinę, może dwie.

Wróciłam do swojego pokoju, wzięłam prysznic, a następnie kąpiel. Potem ściągnęłam narzutę i położyłam się na pościeli. W pokoju nie było klimatyzacji, ale i tak było mi chłodno. Teraz, kiedy szlak pokazał mi, jak okropnie mogę się czuć, czułam się lepiej niż kiedykolwiek. Wstałam, przegrzebałam w plecaku, położyłam się z powrotem na łóżku i czytałam *Kiedy umieram*, a w uszach dudniły mi słowa Buda o śniegu.

Znałam śnieg. W końcu dorastałam w Minnesocie. Odgarniałam go, prowadziłam w nim samochód i robiłam z niego śnieżki. Całymi dniami patrzyłam przez okna, jak

tworzy zaspę, które miesiącami leżą zamrożone na ziemi. Ten śnieg był jednak inny. Był to śnieg, który pokrywał łańcuch Sierra Nevada tak nieustępliwie, że góry zyskały od niego nazwę – po hiszpańsku Sierra Nevada oznacza „śnieżne góry”.

Wydawało mi się absurdalne, że przez cały czas szłam przez te śnieżne góry – suche pasmo, którym szłam, od kiedy postawiłam nogę na PCT, było, technicznie rzecz biorąc, częścią Sierra Nevada. Nie było to jednak wysokie pasmo – potężny łańcuch granitowych szczytów i urwisk ponad Kennedy Meadows, które wspinacz i pisarz John Muir badał, ukochał i opisywał ponad sto lat temu. Nie czytałam książek Muira o Sierra Nevada przed wyprawą na PCT, wiedziałam jednak, że założył Sierra Club. Jego życiową misją stało się ocalenie Sierra Nevada przed owczarzami, firmami górniczymi, przemysłem turystycznym i innymi zagrożeniami współczesnego świata. To dzięki niemu i tym, którzy wspierali jego inicjatywę, większość Sierra Nevada nadal jest dzika. Dzika i najwyraźniej zasypana śniegiem.

Nie byłam całkiem zaskoczona. Autorzy przewodnika ostrzegli mnie przed śniegiem, na który mogę się natknąć w wysokich pasmach Sierra Nevada, więc przybyłam przygotowana. A przynajmniej przygotowana w stopniu, jaki przed wyprawą wydał mi się wystarczający: kupiłam czekan i wysłałam go w paczce, którą miałam odebrać w Kennedy Meadows. Kiedy kupowałam czekan, zakładałam, że będę go potrzebować tylko od czasu do czasu na najwyżej położonych odcinkach szlaku. Przewodnik zapewniał mnie, że w porze, kiedy miałam wędrować przez wysokie góry, pod koniec czerwca i w lipcu, zwykle prawie nie ma już śniegu. Nie przyszło mi do głowy, by sprawdzić, czy w tym roku jest jak zwykle.

W nocnej szafce znalazłam książkę telefoniczną, przewertowałam ją, po czym wybrałam numer miejscowego oddziału Urzędu Zagospodarowania Terenu.

– O tak, jest tam teraz mnóstwo śniegu – stwierdziła kobieta, która odebrała telefon.

Nie miała szczegółowych informacji, ale wiedziała na pewno, że opady były w tym roku rekordowe. Kiedy powiedziałam jej, że wędruję PCT, zaproponowała, że podwiezie mnie do szlaku. Odłożyłam słuchawkę, bardziej czując ulgę, że nie będę musiała łapać okazji, niż obawiając się śniegu. Wydawał się po prostu tak odległy, tak niewiarygodny.

Następnego popołudnia życzliwa kobieta z urzędu podwiozła mnie z powrotem na szlak, do miejsca zwanego Walker Pass. Patrząc, jak odjeżdża, czułam zarówno pokorę, jak i większą pewność siebie niż dziewięć dni wcześniej, kiedy zaczynałam wyprawę. W tym czasie przeżyłam spotkanie z długorogim bykiem, nabawiłam się otarć i siniaków od upadków i potknięć, przeżyłam inne przygody, a także pokonałam opustoszałą drogę obok góry, która miała wkrótce zostać wysadzona. Przeszłam kilometry pustyni, zaliczyłam cały szereg szczytów i całymi dniami nie widziałam żywego ducha. Zdarłam skórę ze stóp, obtarłam ciało do krwi i przez te kilometry surowych pustkowi dźwigałam plecak, który ważył ponad połowę tego co ja. I zrobiłam to wszystko sama.

„To było coś, prawda?” – myślałam, zatrzymując się na sielskim polu kempingowym w pobliżu Walker Pass. Było późno, ale nadal jasno. Ostatni wiosenny tydzień czerwca. Rozbiłam namiot, ugotowałam pierwszy gorący posiłek na szlaku na mojej na nowo działającej kuchence – suszoną fasolę z ryżem – i patrzyłam, jak światło na niebie blednie w ferii kolorów nad górami, czując się jak największa szczęściara na świecie. Miałam 83 kilometry do Kennedy Meadows i 25 do najbliższego źródła wody na szlaku.

Rano zapakowałam kolejny pełen zapas wody i przecięłam autostradę 178. Następną drogą, która krzyżowała się z Sierra Nevada, znajdowała się w linii prostej 240 kilometrów na północ, koło Tuolumne Meadows. Szłam skalistym, pnącym się pod górę szlakiem w gorącym porannym słońcu, widząc dokoła siebie góry, odległe i bliskie – Scodie blisko na południu, El Paso daleko na wschód, Domeland Wilderness na północny zachód, gdzie miałam dojść za kilka dni. Wszystkie wyglądały dla mnie tak samo, choć dzieliły je subtelne różnice. Przywykłam do tego, że góry zawsze były gdzieś w zasięgu wzroku. Mój wzrok uległ w ciągu ostatniego tygodnia zmianie. Przyzwyczaiałam się do nieskończonej długich, ciągnących się kilometrami panoram i przestało mnie dziwić, że idę po ziemi w miejscu, gdzie styka się z niebem. Po grzbiecie.

Zwykle jednak nie patrzyłam w górę. Krok po kroku wpatrywałam się w piaszczysty i żwirowy szlak, na którym kiedy szłam pod górę lub krętymi drogami, czasem ślizgały mi się stopy. Mój plecak skrzypiał irytująco z każdym krokiem.

Dźwięk nadal wydobywał się z miejsca zaledwie kilka centymetrów od ucha.

Idąc przed siebie, próbowałam nie myśleć o tym, co mnie boli – ramionach i górnej części pleców, biodrach i stopach – ale udawało mi się to tylko przez krótkie chwile. Przemierzając wschodnie zbocze Mount Jenkins, kilka razy zatrzymałam się, by popatrzeć na pustynię, która rozpościerała się poniżej jak okiem sięgnąć. Po południu zatrzymałam się przed kamienną lawiną. Spojrzałam w górę i przyjrzałam się masie kamieni. W miejscu niegdyś płaskiej, szerokiej na pół metra ścieżki, którą każdy mógł przejść, znajdowała się ogromna rzeka ostrych odłamków skał metamorficznych. A ja nie byłam nawet każdym. Byłam osobą z ogromnym ciężarem na plecach i bez choćby kija trekkingowego dla utrzymania równowagi. Nie miałam pojęcia, czemu nie pomyślałam o zabraniu kija, ale za to miałam przy sobie składaną piłę. Nie dało się znaleźć kija – nieliczne niskie i powyginane drzewa wokół się nie nadawały. Mogłam tylko brnąć dalej. Nogi mi drżały, gdy w półprzysiadzie weszłam na osuwisko pełna obaw, że moja normalna pozycja naruszy kamienie i sprawi, że zaczną się zsuwać wielką masą dalej w dół zbocza, porywając mnie ze sobą. Upadłam raz z impetem, lądując na kolanie, po czym podniosłam się i z jeszcze większym mozolem podążyłam dalej. Woda w bukłaku na plecach chlupotała z każdym moim krokiem. Kiedy znów stanęłam na szlaku, poczułam taką ulgę, że pulsujący ból w kolanie i cieknąca z niego krew nie miały dla mnie znaczenia. „To już za mną” – pomyślałam z wdzięcznością, ale myliłam się.

Tego popołudnia musiałam pokonać jeszcze trzy osuwiska.

Tamtej nocy rozbiłam obóz na wysokim siodle pomiędzy Mount Jenkins i Mount Owens. Moje ciało było udręczone ostatnimi przeżyciami, choć przeszłam zaledwie 13,5 kilometra. W myślach krytykowałam siebie za to, że nie chodzę szybciej, ale teraz, kiedy siedziałam na składanym krzeselku i w otępieniu wkładałam do ust kolejne łyżki jedzenia z gorącego garnka stojącego na ziemi między moimi stopami, byłam jedynie wdzięczna, że udało mi się tu dojść. Znajdowałam się na wysokości 2130 metrów, otoczona ze wszystkich stron niebem. Na zachodzie słońce znikало za nierówną linią horyzontu, prezentując dziesięć odcieni pomarańcza i różu. Na wschodzie jak okiem sięgnąć rozpościerała się pozornie bezkresna pustynna dolina.

Sierra Nevada to pojedynczy, wypukły blok skorupy ziemskiej. Jego zachodni

stok stanowi dziewięćdziesiąt procent łańcucha, a jego szczyty stopniowo schodzą w żyzne doliny, które w końcu ustępują kalifornijskiemu wybrzeżu, biegnącemu przez większą część szlaku równoległe do PCT, około 320 kilometrów na zachód. Wschodnie zbocze Sierra Nevada jest zupełnie inne: to ostra skarpa, opadająca gwałtownie ku wielkiej płaskiej pustynnej równinie, która rozciąga się aż po Wielką Kotlinę w Nevadzie. Wcześniej widziałam Sierra Nevada tylko raz, kiedy wraz z Paulem przyjechaliśmy na zachód kilka miesięcy po opuszczeniu Nowego Jorku. Rozbiliśmy obóz w Dolinie Śmierci i następnego dnia godzinami jechaliśmy przez takie pustkowia, że krajobraz sprawiał wrażenie nie z tego świata. W południe na zachodnim horyzoncie pojawiły się góry Sierra Nevada – wielka biała nieprzenikniona ściana wyrastająca z ziemi. Kiedy teraz siedziałam tak na wysokim górskim siodle, niemal nie byłam w stanie przywołać tamtego obrazu. Nie stałam już z dala od wielkiej ściany. Byłam na jej grzbiecie. Zbyt zmęczona, by wstać i pójść do namiotu, patrzyłam na tę krainę w zachwycie, obserwując ciemniejące niebo. Nade mną świecił coraz mocniej księżyc, a pode mną, hen daleko, zamigotały światła w miasteczkach Inyokern i Ridgecrest. Cisza była niesamowita. Samotność była ciężarem. „Tego właśnie chciałam” – pomyślałam. I to właśnie dostałam.

Kiedy w końcu wstałam i przygotowałam namiot do spania, zdałam sobie sprawę, że po raz pierwszy, odkąd byłam na szlaku, nie włożyłam polarowej kurtki po zachodzie słońca. Nie włożyłam nawet koszulki z długim rękawem. W powietrzu nie czuło się najmniejszego chłodu, mimo wysokości 2134 metrów. Tamtej nocy byłam wdzięczna za delikatne ciepłe powietrze, które czułam na gołych ramionach, ale koło dziesiątej następnego dnia moja wdzięczność zniknęła.

Została ze mnie wypalona przez nieustępliwy, potężny upał.

W południe zrobił się tak bezlitosny, a szlak był do tego stopnia nieosłonięty przed słońcem, że zaczęłam się poważnie zastanawiać, czy przeżyję. Było tak gorąco, że mogłam iść, jedynie zatrzymując się co dziesięć minut na pięciominutowy odpoczynek, w czasie którego łączywie piłam z butelki wodę gorącą jak herbata. Po drodze nieustannie jęczałam, jakby to miało przynieść jakąś ochłodę – nic się jednak nie zmieniło. Słońce wciąż bezlitośnie się na mnie gapiło, mając w nosie, czy przetrwam to, czy umrę. Wypalony busz i powyginane drzewa stały jak zawsze

obojętnie nieugięte.

Byłam kamyczkiem. Byłam liściem. Byłam powyginaną gałęzią. Byłam dla nich niczym, a one dla mnie wszystkim.

Odpoczywałam w każdym skrawku cienia, jaki znalazłam, wyobrażając sobie w najdrobniejszych szczegółach strumienie zimnej wody. Upał był tak wielki, że moje wspomnienie o nim jest nie tyle wrażeniem, ile dźwiękiem, jękiem, który urósł do kakofonicznego lamentu otaczającego zewsząd moją głowę. Do tej pory mimo wszystkich cierpień na szlaku ani razu nie przyszło mi na myśl, by zrezygnować. Teraz jednak po zaledwie dziesięciu dniach miałam dość. Chciałam z tym skończyć.

Niepewnym krokiem skierowałam się w stronę Kennedy Meadows, wściekła na siebie za ten niedorzeczny pomysł. Gdzie indziej ludzie relaksowali się przy barbecue, odpoczywali nad jeziorami i ucinali sobie drzemki. Mieli dostęp do kostek lodu, lemoniady i pokoi, których temperatura nie przekraczała 21 stopni. Znałam tych ludzi. Kochałam ich. I nienawidziłam – za to, jak daleko byli ode mnie, bliskiej śmierci na szlaku, o którym niewielu z nich nawet słyszało. Miałam zamiar zrezygnować. Zrezygnować, zrezygnować, zrezygnować. Powtarzałam to w myślach jak mantrę, jęcząc, idąc dalej i odpoczywając (dziesięć, pięć, dziesięć, pięć). Miałam zamiar dotrzeć do Kennedy Meadows, odebrać paczkę z zapasami, zjeść wszystkie batoniki, które do niej wpakowałam, a potem złapać okazję do jakiegokolwiek miasta, do którego jechałby podwożący mnie kierowca. Tam poszłabym na dworzec autobusowy, a stamtąd pojechała w dowolne miejsce.

Alaska – postanowiłam natychmiast. Bo na Alasce z całą pewnością znajdował się lód.

Kiedy zaczęłam się oswajać z pomysłem rezygnacji, przyszedł mi do głowy kolejny powód upewniający mnie w przekonaniu, że cała ta wędrówka PCT była niewiarygodnie idiotycznym pomysłem. Wyruszyłam na wyprawę, żeby móc zastanowić się nad swoim życiem, pomyśleć o wszystkim, co we mnie pękło, i doprowadzić się do ładu. Prawda była jednak taka, przynajmniej na razie, że pochłaniało mnie tylko bezpośrednie fizyczne cierpienie. Odkąd zaczęłam podróż, życiowe trudności tylko sporadycznie przelatowały mi przez głowę. Czemu, no czemu moja mama umarła i jak mogłam żyć i mieć się dobrze bez niej? Jak moja

rodzina, kiedyś tak sobie bliska i silna, mogła rozpaść się tak szybko i całkowicie w następstwie jej śmierci? Dlaczego zaprzepaściłam małżeństwo z Paulem – porządnym, dobrym mężem, który kochał mnie z takim oddaniem? Dlaczego wpłatałam się w całą tę heroinę, Joego, seks z mężczyznami, których ledwie znałam?

Te pytania tkwiły w mojej głowie przez całą zimę i wiosnę, kiedy szykowałam się do wyprawy na PCT. Płakałam i lamentowałam nad nimi, i rozkładałam na części pierwsze w dzienniku. Miałam zamiar ostatecznie się z nimi rozprawić, idąc PCT. Wyobrażałam sobie niekończące się rozważania w świetle zachodzącego słońca albo podczas kontemplowania gładkiej tafli górskich jezior. Myślałam, że będę co dzień ronić katartyczne łzy smutku i czuć przywracającą siły radość. Zamiast tego tylko jęczałam, i to nie z bólu serca, lecz przez obolałe stopy, plecy i wciąż niezagojone rany w okolicach bioder. Na dodatek podczas drugiego tygodnia na szlaku – kiedy wiosna miała ostatecznie zamienić się w lato – było mi tak gorąco, że myślałam, iż eksploduje mi głowa.

Kiedy nie zrzędziłam po cichu nad swoim stanem fizycznym, zauważyłam, że mój mózg odtwarza fragmenty piosenek i jingli w nieprzerwanym, nonsensownym ciągu, jak gdyby w mojej głowie nadawała radiostacja specjalizująca się w składankach. Na ciszę mój mózg reagował porwanymi fragmentami niegdyś zasłyszanych kawałków – piosenek, które kochałam, i jingli z reklam, które niemal doprowadzały mnie do szału. Całymi godzinami starałam się wyprzeć z myśli reklamę gumy Doublemint i Burger Kinga, a jedno popołudnie spędziłam, próbując przypomnieć sobie następny wers piosenki Uncle Tupelo: „Wypaść przez okno. Potknąć się o brzeg dywanu...”. Cały dzień minął mi na próbach przypomnienia sobie pełnego tekstu piosenki Lucindy Williams *Something About What Happens When We Talk*.

Paliły mnie stopy, ciało było otarte do krwi, mięśnie i stawy bolały, palec, odarty ze skóry, kiedy byk mnie zaatakował, pulsował od niewielkiego zakażenia, a głowa parowała mi od huczących w niej przypadkowych melodii, nic dziwnego więc, że na zakończenie piekielnego dziesiątego dnia wędrówki praktycznie wczółgałam się w zacieniony zagajnik amerykańskich topoli i wierzb, które mój przewodnik identyfikował jako Spanish Needle Creek. W przeciwieństwie do wielu miejsc wymienianych w moim przewodniku, które miały obecnością słowa „strumień”

w nazwie, Spanish Needle Creek naprawdę nim było, a w każdym razie mnie wystarczało. Kilka centymetrów wody migotało nad kamieniami na ocienionym dnie. Od razu zrzuciłam plecak, buty i ubrania i usiadłam nago w chłodnej płytkiej wodzie, ochlapując nią twarz i głowę. Przez dziesięć dni na szlaku nie spotkałam jeszcze żywej duszy, wylegiwałam się więc, nie martwiąc się, że ktoś nadciągnie, i w ekstazie pracowicie pompowałam zimną wodę przez filtr, pijąc butelkę za butelką.

Kiedy obudziłam się następnego ranka przy łagodnych dźwiękach Spanish Needle Creek, wylegiwałam się w namiocie, patrząc przez siatkową wstawkę w suficie, jak jaśniej niebo. Zjadłam batonik muesli i przeczytałam przewodnik w ramach przygotowania na kolejny odcinek szlaku. W końcu wstałam, poszłam do wody i wykapałam się po raz ostatni, rozkoszując się tym luksusem. Była zaledwie dziewiąta rano, a już zrobiło się gorąco, dlatego z obawą myślałam o opuszczeniu zacienionego miejsca przy strumieniu. Zanurzając się w głębokiej na 10 centymetrów wodzie, postanowiłam, że nie pójdę do Kennedy Meadows. Przy moim tempie nawet ta odległość była zbyt duża. Przewodnik wspominał o drodze, z którą szlak przecinał się w odległości niespełna 20 kilometrów. Gdy tam dotrę, zrobię to, co wcześniej – złapię okazję. Tym razem jednak nie wrócę na szlak.

Szykując się do drogi, usłyszałam odgłosy dobiegające z południa. Odwróciłam się i zobaczyłam brodatego mężczyznę z plecakiem, który szedł szlakiem w moją stronę. Jego kij trekkingowy wydawał z siebie ostre stuknięcie za każdym razem, gdy uderzał w zbitą ziemię.

– Cześć – zawołał do mnie z uśmiechem. – Jesteś pewnie Cheryl Strayed.

– Tak – powiedziałam niepewnym głosem, równie zaskoczona widokiem drugiego człowieka, jak tym, że znał moje nazwisko.

– Zobaczyłem cię w rejestrze szlaku – wyjaśnił, zauważywszy moją minę. – Od dłuższego czasu idę twoim śladem.

Wkrótce przywykłam do tego, że w zupełnej głuszy ludzie zwracali się do mnie z taką bezpośredniością. Rejestr szlaku służył przez całe lato jako społecznościowy newsletter.

– Jestem Greg – powiedział, ściskając mi dłoń, a potem wskazując mój plecak. –

Naprawdę to wszystko niesiesz?

Usiedliśmy w cieniu i zaczęliśmy rozmawiać o tym, dokąd każde z nas zmierza i gdzie byliśmy. Greg był czterdziestoletnim księgowym z Tacomy w stanie Waszyngton i miał bardzo zasadniczy, metodyczny sposób bycia. Wyruszył na PCT z początkiem maja, rozpoczynając tam, gdzie szlak rzeczywiście ma swój początek, czyli na granicy z Meksykiem. Miał zamiar dotrzeć aż do Kanady. Był pierwszą osobą, jaką spotkałam, która robiła w zasadzie to co ja, choć on szedł dużo dalej. Nie musiałam tłumaczyć mu, co tu robię. Rozumiał.

Gdy tak rozmawialiśmy, rozpieła mnie radość z powodu jego towarzystwa i jednocześnie czułam rosnące przygnębienie, że był ode mnie całkowicie inny – tak bardzo przygotowany, jak ja byłam nieprzygotowana; obeznany w sprawach dotyczących szlaku, z których istnienia nawet nie zdawałam sobie sprawy. Planował tę wyprawę od lat, zbierając informacje poprzez korespondencję z ludźmi, którzy pokonali PCT w ubiegłych latach, i uczestnicząc w czymś, co określił jako konferencje dotyczące długodystansowych wędrówek. Odklepał z pamięci odległości i wysokości i szczegółowo mówił o wadach i zaletach zewnętrznych i wewnętrznych stelaży. Wielokrotnie nabożnym tonem wspominał mężczyznę nazwiskiem Ray Jardine, o którym nigdy wcześniej nie słyszałam, a który był legendarnym długodystansowym wędrowcem. Jardine był ekspertem i niezaprzeczalnym guru we wszystkich kwestiach związanych z PCT, zwłaszcza jak wędrować bez zbyt dużego obciążenia. Greg zapytał mnie o mój filtr do wody, dzienne spożycie białek i markę skarpetek, które nosiłam. Chciał wiedzieć, jak radziłam sobie z pęcherzami i ile kilometrów dziennie udawało mi się średnio pokonać. Greg pokonywał 35. Tamtego ranka przeszedł już 11, z którymi ja męczyłam się potwornie cały poprzedni dzień.

– Jest trudniej, niż się spodziewałam – wyznałam z sercem ciężkim od świadomości, że byłam jeszcze większą idiotką, niż mi się początkowo wydawało. – Jestem w stanie przejść nie więcej niż siedemnaście, może osiemnaście – skłamałam, bo nie byłam w stanie przejść nawet i tego.

– Jasne – powiedział Greg, nie mrugnawszy okiem. – Na początku też tak miałem, Cheryl. Nie przejmuj się tym. Byłem w stanie przejść 22, może 23 kilometry, jeśli miałem szczęście, i padałem z nóg. A przecież trenowałem wcześniej, robiąc

weekendowe wypadki z w pełni obciążonym plecakiem i tak dalej. Tutaj jest zupełnie inaczej. Ciało potrzebuje paru tygodni, żeby się wzmocnić, zanim da radę dużym dystansom.

Pokiwałam głową, czując się ogromnie pocieszoną – w mniejszym stopniu jego odpowiedzią niż samą obecnością. Mimo jego oczywistej wyższości czułam z nim pokrewieństwo. Nie byłam pewna, czy Greg to odwzajemnia.

– Co nocą robisz z jedzeniem? – zapytałam nieśmiało, obawiając się jego odpowiedzi.

– Zazwyczaj z nim śpię.

– Ja też – odparłam z ulgą.

Przed podróżą wyobrażałam sobie staranne wieszanie jedzenia co wieczór na drzewie, co powinien robić każdy porządny wędrowiec. Jak dotąd byłam zbyt wyczerpana, żeby nawet wziąć takie rozwiązanie pod uwagę. Zamiast tego przechowywałam torbę z jedzeniem przy sobie, w namiocie – czyli dokładnie tam, gdzie nie należy – robiąc z niego poduszkę pod spuchnięte stopy.

– Wciągam worek do namiotu – powiedział Greg i coś we mnie obudziło się do życia. – Tak robią strażnicy górscy, tylko nikomu o tym nie mówią, bo napytaliby sobie biedy, gdyby jakiś niedźwiedź kogoś przez to pokiereszował. Będę wieszał jedzenie, kiedy znajdę się na tych częściach szlaku, gdzie jest więcej turystów i niedźwiedzie przywykły do ich widoku. Teraz nie zaprzęgam sobie tym głowy.

Pokiwałam głową z przekonaniem, licząc, że sprawi to mylne wrażenie, iż wiem, jak prawidłowo powiesić jedzenie na drzewie tak, aby powstrzymać niedźwiedzia.

– Ale oczywiście może nam się nie udać nawet dotrzeć do tych terenów – dorzucił Greg.

– Może nam się nie udać? – powtórzyłam, rumieniąc się na irracjonalną myśl, że w jakiś sposób Greg odgadł mój plan poddania się.

– Z powodu śniegu.

– No tak, śnieg. Słyszałam, że trochę go napadało.

W upale zupełnie o tym zapomniałam. Bud, kobieta z Urzędu Zagospodarowania Terenu, pan Todd i gość, który chciał mi dać torbę z chlebem i mielonką, wydawali

się teraz bardzo odległym snem.

– Sierra Nevada są zupełnie zasypane – powiedział Greg, powtarzając jak echo słowa Buda. – Wielu turystów w ogóle zrezygnowało, bo opady śniegu były w tym roku rekordowe. Będzie ciężko się przedostać.

– Pech – odparłam, czując mieszankę przerażenia i ulgi: miałabym teraz gotową wymówkę, by się wycofać. „Chciałam przejść PCT, ale nie mogłam! Szlak był zasypany”.

– W Kennedy Meadows będziemy musieli opracować plan – powiedział Greg. – Zatrzymam się tam na parę dni, żeby się przeorganizować, więc spotkamy się, kiedy tam dojdiesz, i wszystko obmyślimy.

– Super – powiedziałam lekkim tonem, niechętna, by mu wyznać, że kiedy dotrze do Kennedy Meadows, ja będę siedzieć w autobusie do Anchorage.

– Śnieg napotkamy na północ od bazy. Szlak jest zasypany na kilkaset kilometrów. – Wstał i z lekkością zarzucił sobie plecak na plecy. Jego owłosione nogi wyglądały jak słupki w porcie nad jeziorem Minnesota. – Wybraliśmy zły rok na wędrówkę PCT.

– Na to wygląda – odparłam, próbując podnieść swój plecak i przełożyć ręce przez szelki z taką łatwością, z jaką przed chwilą zrobił to Greg.

Jakby od samego pragnienia, żeby uniknąć upokorzenia, mogły mi wyrosnąć dwa razy większe mięśnie. Plecak był jednak za ciężki i nadal nie mogłam oderwać go ani na centymetr od ziemi.

Podszedł, żeby pomóc mi go założyć.

– Ciężki ten plecak – powiedział, kiedy usiłowaliśmy włożyć mi go na plecy. – Dużo cięższy niż mój.

– Tak dobrze cię widzieć – powiedziałam, kiedy nam się już udało, próbując udawać, że nie uginam się pod jego ciężarem, tylko celowo przyjmuję pochyloną pozycję. – Do tej pory nie spotkałam nikogo na szlaku. Myślałam, że będzie tu więcej turystów.

– Niewielu ludzi chodzi tym szlakiem. A z pewnością nie w tym roku, przy rekordowym śniegu. Wiele osób przełożyło z tego powodu wycieczki na przyszły rok.

– Zastanawiam się, czy nie powinniśmy zrobić podobnie – powiedziałam w nadziei, że odpowie, iż powrót za rok to świetny pomysł.

– Jesteś jedyną idącą w pojedynkę kobietą, jaką do tej pory spotkałem, i jedyną, jaką widziałem w rejestrze. To dość fajne.

Odpowiedziałam nikłym uśmiechem.

– Gotowa do drogi? – zapytał.

– Gotowa! – odparłam z większym entuzjazmem, niż czułam.

Szłam za nim szlakiem tak szybko, jak mogłam, byle nie zostać w tyle, dopasowując krok do uderzeń jego kijka. Kiedy piętnaście minut później doszliśmy do miejsca, gdzie szlak zaczął zakręcać jak serpentyna, zrobiłam sobie przerwę, żeby napić się wody.

– Greg – zawołałam za nim. – Miło było cię poznać.

Zatrzymał się i odwrócił.

– Do Kennedy Meadows jest tylko jakieś 48 kilometrów.

– Racja – odpowiedziałam, nieznacznie potakując.

Dotrze tam następnego ranka. Jeśli będę szła dalej, zajmie mi to trzy dni.

– Tam będzie chłodniej – powiedział Greg. – To jakieś 300 metrów wyżej niż tu.

– To dobrze – odpowiedziałam żalonym tonem.

– Dajesz radę, Cheryl – powiedział – Nie martw się za wiele. Nie masz doświadczenia, ale jesteś twarda. A to się tu najbardziej liczy. Nie każdy mógłby zrobić to co ty.

– Dzięki – odparłam, tak podniesiona na duchu jego słowami, że nagły napływ emocji ścisnął mi gardło.

– Do zobaczenia w Kennedy Meadows – powiedział i ruszył dalej.

– Kennedy Meadows – zawołałam za nim z większą pewnością, niż odczuwałam.

– Coś wymyślimy z tym śniegiem – powiedział, zanim zniknął mi z oczu.

Tamtego upalnego dnia szłam z nową determinacją. Zainspirowana wiarą Grega we mnie, nie myślałam już o poddaniu się. Idąc przed siebie, myślałam o czekaniu, który czekał na mnie w pudle z zapasami. Czekanie, który podobno do mnie należał. Był

czarno-srebrny i wyglądał groźnie. Ponadpółmetrowy metalowy sztylet z mniejszym i ostrzejszym sztyletem biegnącym w poprzek na jego końcu. Kupiłam go, przywiozłam do domu i umieściłam w pudle z napisem „Kennedy Meadows”, zakładając, że kiedy tam dojdę, będę wiedziała, jak go użyć, bo w niewytłumaczalny sposób stanę się już wtedy ekspertem od chodzenia po górach.

Teraz myślałam realnie. Szlak nauczył mnie pokory. Bez jakiegoś specjalistycznego szkolenia z użycia czekana miałam większe szanse się na niego nadziać, niż uratować się nim przed ześlizgnięciem się ze stoku. Tego dnia podczas postojów na szlaku w czterdziestostopniowym upale kartkowałam przewodnik, szukając informacji o użyciu czekana. Nie znalazłam żadnych. Na temat wędrówki ośnieżonym szlakiem książka mówiła za to, że raki i czekan są niezbędne, podobnie jak wiedza o działaniu kompasu, „umiejętność oceny zagrożenia lawinowego” i „mnóstwo instynktu wspinacza”.

Zatrzasnęłam książkę i poszłam dalej, aż do Domeland Wilderness, zmierzając w stronę – jak liczyłam – kursu dla początkujących z obsługi czekana, prowadzonego przez Grega w Kennedy Meadows. Ledwie go znałam, a już stał się dla mnie drogowskazem. Gwiazdą Polarną. „Jeśli on mógł to zrobić, to ja też” – pomyślałam z furją. Nie był twardszy ode mnie. „Nikt nie był” – pomyślałam sobie, nie wierząc w to. Powtarzałam to w tamtych dniach jak mantrę. Kiedy zatrzymywałam się przed kolejną serią zakrętów albo ześlizgiwałam się ze stoków, rujnując sobie kolana, kiedy płaty skóry schodziły mi ze stóp wraz ze skarpetkami, kiedy nocą leżałam sama i samotna w namiocie, zadawałam pytanie – często na głos: „Kto jest twardszy niż ja?”.

Odpowiedź zawsze była taka sama i nawet kiedy dobrze wiedziałam, że to niemożliwe, by była prawdziwa, i tak mówiłam: „Nikt”.

Dalej teren powoli przekształcił się z pustynnego w leśny, drzewa zrobiły się wyższe i bujniejsze, w płytkich korytach strumieni częściej pojawiała się odrobina wody, a łąki były gęsto porośnięte polnymi kwiatami. Na pustyni też rosły kwiaty, ale mniej obficie i były bardziej egzotyczne i zjawiskowe. Polne kwiaty, które napotkałam teraz, były bardziej pospolite i rosły w wielkich kępach albo wzdłuż zacienionych brzegów szlaku. Znałam wiele z nich, bo te same gatunki, albo ich

bliscy kuzyni, rosły latem w Minnesocie. Mijając je, czułam obecność mamy tak mocno, że odniosłam wrażenie, iż była tam ze mną. Raz nawet przystanąłam, by rozejrzeć się za nią, zanim mogłam iść dalej.

Po południu w dniu, kiedy spotkałam Grega, zobaczyłam na szlaku pierwszego niedźwiedzia, choć ściśle rzecz biorąc, najpierw go usłyszałam: mocarne prychnięcie nie do pomylenia, które sprawiło, że stanęłam jak wryta. Gdy podniosłam głowę, zobaczyłam zwierzę wielkie jak lodówka, stojące na czterech łapach na szlaku sześć metrów przede mną. W chwili gdy nasze oczy się spotkały, pojawił się w nich ten sam wyraz zaskoczenia.

– NIEDŹWIEDŹ! – krzyknęłam, łapiąc gwizdek w tej samej chwili, kiedy zwierzę odwrócił się i uciekł.

Jego potężny zadek falował w słońcu przy koszmarnie głośnym akompaniamencie mojego gwizdka.

Kilka minut zajęło mi zebranie się na odwagę, by ruszyć dalej. Nie dość, że musiałam teraz iść w tę samą stronę, w którą uciekł niedźwiedź, to jeszcze mój mózg nie mógł zrozumieć, dlaczego nie był to czarny niedźwiedź. W przeszłości widziałam wiele baribali. Lasy północnej Minnesoty roiły się od nich. Często się na nie natykałam, idąc lub biegnąc po zwirowej drodze niedaleko domu. Tamte czarne niedźwiedzie były jednak inne od tego, teraz spotkanego. Były czarne. Czarne jak smoła. Czarne jak ziemia, którą kupowało się w wielkich torbach w sklepach ogrodniczych. Ten niedźwiedź nie był do nich podobny. Jego futro miało cynamonowy kolor, miejscami wpadający w blond.

Ruszyłam dalej ostrożnie, próbując wmówić sobie, że z pewnością nie był to ani grizzly, ani niedźwiedź brunatny – bardziej drapieżni kuzyni baribali. Oczywiście, że nie. Wiedziałam, że to niemożliwe. Te niedźwiedzie nie zamieszkiwały już Kalifornii. Wybito je lata temu. A jednak – dlaczego ten miś był tak niezaprzeczalnie nieczarny?

Przez godzinę trzymałam gwizdek w ręce, gotowa zagwizdać, jednocześnie podśpiewując sobie, żeby nie zaskoczył nieznanego rodzaju niedźwiedzia wielkości lodówki w razie ponownego spotkania. Wykrzyczałam wszystkie awaryjne piosenki – te same, z których skorzystałam, kiedy tydzień temu byłam przekonana, że śledzi mnie puma – śpiewając *Twinkle, Twinkle Little Star...* i *Country Roads, Take Me*

Home... sztucznie odważnym tonem. Potem pozwoliłam radiostacji ze składankami, która nadawała mi w głowie, przejąć dowodzenie, śpiewałam więc po prostu fragmenty piosenek, za którymi tęskniłam. „A mulatto, an albino, a mosquito, my libido. YEAHH!”

Przez to śpiewanie omal nie weszłam na grzechotnika. Nie przyszło mi do głowy, że to uporczywe grzechotanie to właśnie grzechotka. I to nie byle jaka, skoro przyczepiona była do ogona węża grubego jak moja ręka.

– Aaa! – krzyknęłam, kiedy w końcu zatrzymałam wzrok na zwierzęciu zwiniętym nieco ponad metr ode mnie.

Gdybym była w stanie podskoczyć, to bym podskoczyła. Chciałam, ale moje stopy nie oderwały się od ziemi. Zamiast tego odeszłam powoli od małej, tępo ściętej głowy gada, wyjąc z przerażenia. Potrzebowałam dobrych dziesięciu minut na zebranie odwagi, by zdołać obejść węża szerokim łukiem, trzęsąc się ze strachu.

Przez resztę dnia maszerowałam powoli, spoglądając to na ziemię, to na linię horyzontu, drżąc na każdy dźwięk. Jednocześnie powtarzałam sobie nieustannie: „Nie boję się”. Choć byłam roztrzęsiona, czułam ogromną wdzięczność, że miałam okazję zobaczyć zwierzęta, z którymi dzieliłam to miejsce. Miejsce, które powoli stawało się moim. Zdałam sobie sprawę, że mimo tylu trudności, zbliżając się do ukończenia pierwszego odcinka mojej wędrówki, zaczęłam czuć kiełkującą we mnie miłość do PCT. Mój plecak, choć nadal był bardzo ciężki, wydawał mi się teraz żywą istotą. Nie był już volkswagenem garbusem, który w bólach dźwignęłam w motelowym pokoju w Mojave dwa tygodnie temu. Teraz zyskał sobie imię: Monstrum.

Nie miałam nic złego na myśli, wręcz przeciwnie. Zachwycało mnie, że to, czego potrzebowałam, by przetrwać, mieściło mi się na plecach. Najbardziej zaskoczyło mnie jednak, że byłam w stanie to wszystko unieść. Że potrafiłam dźwigać coś nie do udźwignięcia. Olśnienia na temat mojego fizycznego, materialnego życia musiały się skończyć wkroczeniem w sferę emocjonalno-duchową. To, że moje skomplikowane życie mogło nagle stać się tak proste, było zdumiewające. Powoli zaczynało do mnie docierać, że może to dobrze, iż całymi dniami nie rozważałam swoich życiowych nieszczęść. Że może przez konieczność skupienia się na fizycznym cierpieniu część emocjonalnego bólu mogła przycichnąć. Pod koniec drugiego tygodnia wyprawy

zdałam sobie sprawę, że w ciągu tych dni ani razu nie płakałam.

Przeszłam ostatnie kilometry do wąskiej równiny, gdzie rozbiłam obóz na ostatnią noc przed dotarciem do Kennedy Meadows, w znanych mi już i stale towarzyszących męczarniach. Poczułam ulgę, widząc, że grube powalone drzewo obrzeżało moje obozowisko. Drzewo od dawna już nie żyło. Jego pień był zszarzały i gładki, lata temu odarty z kory. Tworzył wysoką, równą ławkę, na której usiadłam, by ściągnąć plecak. Po chwili położyłam się na pniu jak na kanapie, co było miłą odmianą po leżeniu na ziemi. Drzewo było na tyle grube, że gdybym leżała nieruchomo, mogłabym na nim spać bez obawy, że spadnę. Niesamowite uczucie. Było mi gorąco, czułam głód, pragnienie i zmęczenie, ale nie dało się tego porównać z palącym bólem, który promieniował ze spiętych mięśni górnej części pleców. Zamknęłam oczy, wzdychając z ulgą.

Kilka minut później poczułam coś na nodze. Spojrzałam w dół i zobaczyłam, że jest cała w czarnych mrówkach, które wędrowały sznureczkiem z dziury w pniu drzewa i włąziły na mnie. Zeskoczyłam z pnia jak oparzona, krzycząc głośniejszym niż przy spotkaniu z niedźwiedziem i grzechotnikiem, otrzepując się z nieszkodliwych mrówek, tracąc oddech z powodu nieuzasadnionego strachu. Nie tylko strachu przed mrówkami, ale przed wszystkim. Przed faktem, że nie należałam do tego świata, nawet jeśli próbowałam to sobie wmówić.

Przyrządziłam posiłek i tak szybko, jak to było możliwe, schowałam się w namiocie, na długo przed zmrokiem, zwyczajnie z potrzeby przebywania w środku, nawet jeśli oznaczało to jedynie osłonę z cienkiej płachty nylonu. Zanim rozpoczęłam wyprawę PCT, wyobrażałam sobie, że będę spać w namiocie, tylko jeśli będzie zbierało się na deszcz. Zazwyczaj miałam kłaść śpiwór na brezentowej macie i spać pod gwiazdami. Jak w wielu innych kwestiach, w tej również się myliłam. Co wieczór pragnęłam schronienia, jakie dawał mi namiot, dla choćby najbardziej wątpliwego poczucia, że coś odgradza mnie od reszty świata i chroni nie tyle od jego niebezpieczeństw, ile jego bezmiar. Uwielbiałam ciemną, nieco parną atmosferę namiotu i kojącą powtarzalność tego, jak każdego wieczoru układałam w nim swój skromny dobytek.

Wyciągnęłam *Kiedy umieram*, włączyłam czołówkę i umieściłam torbę

z jedzeniem pod łydkami, jednocześnie odmawiając krótką modlitwę, by niedźwiedź, którego widziałam wcześniej – podkreślając, że to czarny niedźwiedź – nie wpadł mi do namiotu, żeby ją ukraść.

Kiedy obudziłam się około jedenastej, słysząc wycie kojotów, światelko czołówki było przygaszone, a powieść Faulknera nadal leżała otwarta na mojej piersi.

Rano ledwie mogłam wstać. Nie był to szczególny przypadek poranka dnia czternastego. Przez ostatni tydzień działo się tak codziennie – wciąż poszerzający się wachlarz problemów i bólów, przez które rankami nie mogłam stać ani chodzić jak normalny człowiek. Jakbym nagle stała się kulejącą staruszką. Dawałam radę nieść Monstrum przez ponad 160 kilometrów po trudnych, czasem stromych terenach, ale z początkiem każdego nowego dnia nie mogłam nawet podołać ciężarowi własnego ciała. Moje stopy były nadal obolałe i opuchnięte, a kolana zbyt sztywne, by wykonywać normalne ruchy.

Skończyło się na tym, że zaczęłam boszo chodzić po obozowisku i szykować się do dalszej drogi. Wtedy od południowej strony nadciągnęło dwóch mężczyzn. Podobnie jak Greg, przywitali mnie po imieniu, zanim zdążyłam się odezwać. Byli to Albert i Matt. Ojciec i syn z Georgii, którzy chcieli przejść cały szlak. Albert miał pięćdziesiąt dwa lata, a Matt dwadzieścia cztery. Obaj w dzieciństwie byli skautami i na takich wyglądali. Były w nich szczerłość i wojskowa precyzja, które kontrastowały z ich siwawymi brodami, oblepionymi kurzem łydkami i odorem, który czuć było z odległości półtora metra.

– O matko i córko! – powiedział Albert, spoglądając na Monstrum. – Co ty tam masz, dziewczynko? Serwis na dwanaście osób?

– Tylko mój sprzęt – odpowiedziałam, czerwieniąc się ze wstydu.

Ich plecaki były o połowę mniejsze od mojego.

– Tylko się droczę – powiedział Albert życzliwie.

Rozmawialiśmy o upale pokonanego odcinka i mrozie, który dopiero nas czekał. Czułam się podobnie jak wtedy, gdy spotkałam Grega – podekscytowana ich obecnością, choć przebywanie w ich towarzystwie tylko podkreślało, jak niedostatecznie byłam przygotowana do tej wyprawy. Czułam, że mi się przyglądają,

i próbowałam rozszyfrować ich myśli, gdy patrzyli na mój monstrualny plecak i zauważyli wątpliwe przygotowanie do bieżących warunków, jednocześnie najwyraźniej doceniając moje samozaparcie, niewątpliwie potrzebne, by w pojedynkę dotrzeć tak daleko. Matt był osiłkiem zbudowanym jak rugbysta, a jego rudobrzazowe włosy kręciły mu się łagodnie nad uszami i błyszcząły złościście na potężnych nogach. Był tylko kilka lat młodszy ode mnie, ale tak nieśmiały, że wyglądał jak dzieciak, gdy stał z boku i pozwalał ojcu dominować w rozmowie.

– Proszę mi wybaczyć pytanie – powiedział Albert – ale ile razy w ciągu doby oddajesz mocz w tym upale?

– No cóż... nie liczyłam. A powinnam? – zapytałam, czując się po raz kolejny zdemaskowana jako podróżniczka-oszustka.

Miałam tylko nadzieję, że poprzedniego wieczoru nie rozbili się blisko i nie słyszeli moich panicznych krzyków.

– Najlepiej robić to siedem razy – rzeczowo oznajmił Albert. – To stara zasada skautów, choć w tym upale i przy niedoborze wody na szlaku, w połączeniu z ekstremalnym wysiłkiem, można uznać, że trzy razy to sukces.

– U mnie podobnie – powiedziałam, choć prawdę mówiąc, była jedna taka doba, podczas najbardziej wściekłego upału, kiedy nie wysikałam się ani razu. – Na południe stąd miałam spotkanie z niedźwiedziem – powiedziałam, chcąc zmienić temat. – Brunatnym, choć oczywiście na pewno należał do czarnych. Ale był brunatny. Chodzi mi o kolor. Czarny niedźwiedź był brązowy.

– Na tych terenach mają cynamonową barwę – powiedział Albert. – Chyba płowieją od kalifornijskiego słońca. – Dotknął runda kapelusza. – Do zobaczenia w Kennedy Meadows. Miło było poznać.

– Przede mną idzie ktoś jeszcze. Na imię mu Greg – powiedziałam. – Spotkałam go parę dni temu i powiedział, że poczeka na mnie w Kennedy Meadows.

Poczułam, jak ściska mnie w dołku, gdy wypowiedziałam jego imię, najwyraźniej tylko dlatego, że był jedyną znaną mi na szlaku osobą.

– Idziemy za nim od dłuższego czasu, więc miło będzie w końcu go poznać – powiedział Albert. – Za nami jest jeszcze dwóch piechurów. Pewnie niedługo tu

dojdą – dodał i spojrzał w stronę, z której przyszliśmy. – Dwóch dzieciaków, Doug i Tom. W podobnym wieku co wy. Zaczęli niedługo przed tobą, ale dalej na południe.

Pomachałam Albertowi i Mattowi na pożegnanie i usiadłam na chwilę, zastanawiając się nad istnieniem Douga i Toma, po czym wstałam i kolejną godzinę szłam szybciej niż kiedykolwiek. W głowie miałam jeden cel – nie dać się dogonić przed Kennedy Meadows. Oczywiście bardzo chciałam poznać pozostałych dwóch wędrujących, ale lepiej jako kobieta, która zostawiła ich w tyle, niż ta, którą udało im się wyprzedzić. Tak jak Greg, Albert i Matt zaczęli wyprawę na granicy z Meksykiem i byli już zaprawieni, zdolni pokonywać codziennie trzydziestoparokilometrowe dystanse. Doug i Tom jeszcze nie. Tak jak ja byli na szlaku od niedawna. „Zaczęli niedługo przed tobą, ale dalej na południe” – powiedział Albert. Jego słowa odbijały się echem w mojej głowie, jak gdyby powtarzanie ich w kółko miało z nich wyciągnąć więcej szczegółów. Jakbym była w stanie poznać po nich, jak szybko lub wolno szłam w porównaniu z tempem Douga i Toma. Jak gdyby ta wiedza była kluczowa dla mojego sukcesu lub porażki w tym, co robiłam – najtrudniejszej rzeczy w moim życiu.

Na tę myśl stanęłam jak wryta. Przejście PCT było najtrudniejszą rzeczą w moim życiu. Momentalnie się poprawiłam. Patrzenie na to, jak moja mama umiera, i życie bez niej było najtrudniejszą rzeczą w moim życiu. Odejście od Paula, zniszczenie naszego małżeństwa i dotychczasowego życia, z prostego, lecz niewytłumaczalnego powodu, że musiałam, też było trudne. Wyprawa PCT była trudna, ale w inny sposób. W sposób, który sprawiał, że inne najtrudniejsze rzeczy wydawały się wymagać mniej wysiłku. Dziwne, ale prawdziwe. Może w jakiś sposób byłam tego świadoma od samego początku. Być może impuls wiele miesięcy wcześniej, by kupić przewodnik po PCT, był instynktowną próbą ocalenia nici mojego życia, która została przerwana.

Kiedy tamtego ranka szłam przed siebie, od czasu do czasu widząc wynurzające się ośnieżone szczyty Sierra Nevada, czułam, jak się za mną ciągnie stara nić, którą straciłam, i nowa, która dopiero się przedzie. Nie myślałam o tych zaśnieżonych szczytach. Myślałam raczej o tym, co zrobię, gdy znajdę się w sklepie wielobranżowym w Kennedy Meadows. Wyobrażałam sobie w najmniejszych

szczegółach, co kupię: zimną lemoniadę, batoniki i śmieciowe jedzenie, które normalnie tak rzadko jadłam. Widziałam w wyobraźni chwilę, kiedy dostanę do rąk pierwszą przesyłkę. Miało to dla mnie rangę ogromnego wydarzenia, namacalnego dowodu, że przynajmniej tyle udało mi się pokonać. „Dzień dobry” – powiedziałam do siebie w myślach, niecierpliwie oczekując chwili, gdy będę mogła powiedzieć to naprawdę, znalazłszy się w sklepie. „Wędruję PCT i miałam tu odebrać paczkę. Nazywam się Cheryl Strayed”.

„Cheryl Strayed, Cheryl Strayed, Cheryl Strayed” – wciąż z wahaniem wypowiadałam te dwa słowa. Od zawsze nosiłam imię Cheryl, ale Strayed było nowym dodatkiem. Oficjalnie nazywałam się tak dopiero od kwietnia, kiedy złożyliśmy z Paulem papiery rozwodowe. Kiedy się pobieraliśmy, przyjęliśmy nawzajem nasze nazwiska, które stały się jednym długim czterosylabowym nazwiskiem połączonym myślnikiem. Nigdy mi się nie podobało. Było zbyt skomplikowane i kłopotliwe. Prawie zawsze ktoś je przekręcał, a nawet ja sama przez długi czas się myliłam. „Cheryl Dywiz-Dywiz”, nazywał mnie pewien zrzędlawy skołowany moim nazwiskiem mężczyzna, z którym krótko pracowałam. Muszę przyznać – nie dziwiłam się mu.

W niepewnym okresie, kiedy przez kilka miesięcy trwała nasza separacja, ale nadal nie byliśmy z Paulem pewni, czy chcemy rozwodu, usiedliśmy razem, żeby przestudiować zestaw dokumentów rozwodowych do samodzielnego wypełnienia i bez orzekania o winie, które zamówiliśmy przez telefon, jak gdyby posiadanie ich miało nam pomóc podjąć decyzję. Kartkując papiery, natknęliśmy się na pytanie o nasze nazwiska po rozwodzie. Linijka pod pytaniem była całkiem pusta. Ku mojemu zdziwieniu mogliśmy tam wpisać, co tylko chcieliśmy. Mogliśmy być, kim chcieliśmy. Zaczęliśmy z tego żartować i wymyślać dla siebie najbardziej osobliwe nowe nazwiska – nazwiska gwiazd filmowych, bohaterów kreskówek i przedziwne kombinacje słów, które w ogóle się do tego nie nadawały.

Później jednak, sama w mieszkaniu, nadal myślałam o pustej linijce. Bez dwóch zdań – gdybym miała rozwieść się z Paulem, wybrałabym sobie nowe nazwisko. Nie mogłam być dalej Cheryl Dywiz-Dywiz. Nie chciałam też wracać do nazwiska, które nosiłam w liceum, i bycia tamtą dziewczyną. W ciągu miesięcy, kiedy Paul i ja

tkwiliśmy w stanie małżeńskiego zawieszenia, niepewni, w którą stronę się zwrócić, zaczęłam rozważać kwestię mojego nazwiska. Szukałam w głowie słów, które dobrze brzmiały z Cheryl, i robiłam listy postaci literackich, które podziwiałam. Nic nie pasowało. Pewnego dnia do głowy wpadło mi słowo „strayed” – „zabłąkana”. Od razu sprawdziłam je w słowniku i wiedziałam, że to moje słowo. Jego złożona definicja bezpośrednio odnosiła się do mojego życia i niosła w sobie poetycką nutę: „zejść z właściwej drogi, zboczyć z obranego kursu, być zagubionym, stać się dzikim, żyć bez matki i ojca, bez domu, błąkać się bez celu w poszukiwaniu czegoś, odbiegać od czegoś, zboczyć z tematu”.

Odbiegłam, zboczyłam, błąkałam się i stałam się dzika. Przyjęłam to słowo jako nowe nazwisko nie dlatego, że definiowało negatywne aspekty mojego położenia, tylko dlatego, że nawet w najczarniejszych chwilach – kiedy próbowałam nadać sobie nazwisko – rozumiałam siłę tej ciemności. Wiedziałam, że się błąkałam i że jestem zabłąkana, i że dzięki miejscom, do których moje błąkanie się mnie zawiodło, wiem rzeczy, których nie dowiedziałabym się w żaden inny sposób.

„Cheryl Strayed” – pisałam bez przerwy, zapełniając całą stronę dziennika, jak dziewczyna zadurzona w chłopcu, za którego chciała wyjść za mąż. Tylko że ten chłopiec nie istniał. Sama była swoim chłopcem, zakorzeniając się w samym centrum własnego braku korzeni. Mimo to miałam pewne wątpliwości. Wybranie słowa ze słownika i ogłoszenie go swoim nazwiskiem wydało mi się fałszywe, trochę dziecinne i naiwne, nie wspominając o hipokryzji. Latami naśmiewałam się ze znajomych z hipisowskich, artystycznych kręgów, którzy przyjęli wymyślone imiona. Znane mi Jennifer i Michelle stawały się Sekwojami i Lunami. Mike’owie i Jasonowie kazali mówić do siebie per Dąb i Oset. Mimo to brnęłam w to dalej, zwierając się przyjaciółom ze swojej decyzji i prosząc ich, by posługiwali się moim nowym nazwiskiem, żeby je przetestować. Pojechałam na wycieczkę samochodem i za każdym razem, gdy napotykałam księgę gości, lekko drżącą ręką i z pewnym poczuciem winy, jak gdybym podrabiała czek, podpisywałam się „Cheryl Strayed”.

Kiedy zdecydowaliśmy się z Paulem złożyć dokumenty rozwodowe, tak już przywykłam do nowego nazwiska, że bez wahania wpisałam je w puste miejsce. To przy innych pustych liniijkach musiałam się zastanawiać, kiedy byłam zmuszona

składać niekończące się litanie podpisów, które potwierdziłyby rozwiązanie naszego małżeństwa. Wypełniałam je z dużo większym niepokojem. Właściwie to nie chciałam się rozwodzić. Nie chciałam się też nie rozwodzić. Miałam wrażenie, że rozstanie z Paulem jest jednocześnie właściwym rozwiązaniem i krokiem ku zniszczeniu czegoś, co w życiu miałam najlepszego. W tamtym czasie moje małżeństwo było jak szlak w chwili, kiedy zdałam sobie sprawę, że byk może się znajdować w każdym z miejsc. Musiałam zaryzykować i pójść tam, gdzie jeszcze nie byłam.

W dniu, kiedy podpisaliśmy papiery, w Minneapolis padał śnieg, choć był kwiecień. Grube płatki lekko opadały na ziemię, zaczarowując całe miasto. Usiedliśmy naprzeciw Val, naszej znajomej, która była notariuszem. Patrzyliśmy na śnieg przez wielką szybę w jej gabinecie w centrum miasta, żartując dla rozluźnienia, kiedy tylko mogliśmy. Wcześniej spotkałam Val tylko kilka razy i niewiele o niej wiedziałam. Była ładna, bezpośrednia i niewiarygodnie drobna. Była też przynajmniej dziesięć lat starsza od nas. Miały króciutkie włosy utlenione na blond, z wyjątkiem dłuższego pasemka ufarbowanego na różowo i opadającego nad oczami jak skrzydełko. W uszach miała wiszące kolczyki, a gęste tatuaże na rękach wyglądały jak rękawy.

Mimo takiego wyglądu miała dobrą pracę i w centrum miasta biuro z wielkim oknem, a na dodatek licencję notariusza. Wybraliśmy ją, by uwierzytelniła nasz rozwód, bo chcieliśmy, żeby poszło gładko. Żeby było na luzie. Chcieliśmy wiedzieć, że nadal jesteśmy łagodnymi, dobrymi ludźmi. Że wszystko to, co powiedzieliśmy sobie sześć lat wcześniej, było prawdą. „Co wtedy powiedzieliśmy?” – zadaliśmy sobie pytanie, gdy na wpół pijani siedzieliśmy w moim mieszkaniu i ostatecznie zdecydowaliśmy, by się rozstać.

– Mam! – krzyknęłam, gdy przeglądając jakieś papiery, znalazłam tekst naszej przysięgi małżeńskiej.

Sami ją napisaliśmy – trzy zszyte razem pozółkłe kartki. Zatytułowaliśmy całość „Dzień, w którym zakwitły stokrotki”.

– Dzień, w którym zakwitły stokrotki! – odczytałam prześmiewczo.

Oboje zaczęliśmy się śmiać z ludzi, którymi kiedyś byliśmy. Po chwili odłożyłam

przysięgę tam, gdzie ją znalazłam, nie czując się na siłach, by ją czytać.

Pobraliśmy się, gdy byliśmy młodzi. Tak bardzo młodzi, że rodzice zapytali, czy po prostu nie moglibyśmy razem zamieszkać. Nie mogliśmy, mimo że ja miałam tylko dziewiętnaście lat, a on dwadzieścia jeden. Byliśmy w sobie szaleńczo zakochani i myśleliśmy, że musimy zrobić coś szalonego, żeby to wszystkim pokazać. Zrobiliśmy więc najbardziej szaloną rzecz ze wszystkich i pobraliśmy się. Ale nawet jako małżeństwo nie myśleliśmy o sobie w formalny sposób – byliśmy monogamistami, ale nie mieliśmy zamiaru się ustatkować. Zapakowaliśmy do pudeł nasze rowery i wysłaliśmy je do Irlandii, gdzie miesiąc później skończyłam dwadzieścia lat. Wynajęliśmy mieszkanie w Galway, a potem rozmyśliliśmy się i przenieśliśmy się do Dublina, gdzie znaleźliśmy podobne prace w restauracjach – on w pizzerii, a ja w wegetariańskiej kawiarni. Cztery miesiące później przenieśliśmy się do Londynu i byliśmy tak biedni, że szukaliśmy monet na chodniku. W końcu wróciliśmy do domu, niedługo później moja mama zmarła i stało się to wszystko, co doprowadziło nas tutaj, do gabinetu Val.

Pod stołem trzymaliśmy się z Paulem za ręce, przyglądając się Val, która metodycznie studiowała nasze dokumenty rozwodowe do samodzielnego wypełnienia bez orzekania o winie. Czytała dokładnie stronę po stronie, aż do sześćdziesiątej, upewniając się, że zrobiliśmy wszystko jak trzeba. Przyglądałam się jej lekko zdenerwowana. W poczuciu lojalności wobec Paula i naszego związku gotowa byłam skontrolować każdą jej uwagę, jak gdybyśmy składali wniosek o to, by do końca życia być razem, a nie na odwrót.

– Wygląda w porządku – powiedziała w końcu, posyłając nam powściągliwy uśmiech.

Jeszcze raz przyjrzała się wszystkim stronom, tym razem w szybszym tempie, przybijając na niektórych wielką pieczęć notarialną i podsuwając nam przynajmniej tuzin stron do podpisu.

– Kocham go – wypaliłam, kiedy już prawie skończyliśmy, czując, jak oczy wypełniają mi się łzami. Zastanawiałam się, czy na dowód nie podwinąć rękawa i nie pokazać jej kwadratowej gazy, która przysłaniała mój nowy tatuaż w kształcie konia, ale zamiast tego wydukałam jedynie: – Chciałam tylko, żebyś wiedziała, że to nie

z braku miłości. Kocham go, a on mnie... – Spojrzałam na Paula, czekając, aż się wtrąci i wyzna swoją miłość do mnie, ale nic nie powiedział. – Nie chciałam, żebyś sobie coś pomyślała.

– Wiem – powiedziała Val i odgarnęła różowe pasemko, przez co mogłam zobaczyć, jak nerwowo spogląda to na papiery, to na mnie.

– I to wszystko moja wina – powiedziałam z przejęciem, czując, jak drży mi głos. – On nic złego nie zrobił. To ja. Sama złamałam sobie serce.

Paul położył mi dłoń na udzie i ścisnął je w geście pocieszenia. Nie mogłam na niego spojrzeć. Gdybym to zrobiła, rozplakałabym się. Wspólnie podjęliśmy decyzję, a mimo to wiedziałam, że gdybym spojrzała na niego i poprosiła, żebyśmy zapomnieli o całej sprawie i wrócili do siebie, zgodziłby się. Nie popatrzyłam na niego. Coś warkotało we mnie jak maszyna, którą odpaliłam i nie mogłam zatrzymać. Położyłam dłoń na dłoni Paula.

Czasem zastanawialiśmy się wspólnie, czy wszystko potoczyłoby się inaczej, gdyby choć jedna rzecz uległa zmianie. Gdyby moja mama nie zmarła, czy mimo wszystko bym go zdradziła? Albo gdybym ja była wierna, czy Paul by mnie zdradził? A jeśli nic takiego by się nie zdarzyło – nie zmarłaby niczyja matka, nikt by nikogo nie zdradził – czy mimo to byśmy się rozwiedli, bo po prostu zbyt wcześnie się pobraliśmy? Nie mieliśmy jak się tego dowiedzieć, ale byliśmy otwarci na hipotezy. Jako para byliśmy bardzo blisko, a przy rozstaniu nasza bliskość jeszcze się pogłębiła. Powiedzieliśmy sobie wszystkie słowa, które – jak się nam wydawało – mogły nigdy wcześniej nie paść między dwojgiem ludzi. Mówiliśmy sobie rzeczy piękne, brzydkie i prawdziwe.

– Skoro przez to wszystko przeszliśmy, to teraz powinniśmy zostać razem – zażartowałam podczas jednej z naszych rozdierających serce, odsłaniających duszę rozmów, tej, podczas której musieliśmy ostatecznie zdecydować, czy rozwieść się, czy nie.

Siedzieliśmy na kanapie w moim ciemnym mieszkaniu. Rozmawialiśmy całe popołudnie, aż zastał nas wieczór. Byliśmy oboje zbyt poruszeni, żeby wstać i zapalić światło, kiedy słońce zaszło.

– Mam nadzieję, że kiedyś z kimś ci się uda – powiedziałam, choć na samą myśl o tym coś ukłuło mnie w serce.

– Mam nadzieję, że tobie też – odpowiedział.

Siedziałam przy nim w ciemnościach i chciałam uwierzyć, że będę w stanie znaleźć taką miłość, jaka łączyła mnie z Paulem, i na dodatek jej nie zepsuć. Wtedy wydawało mi się to niemożliwe. Pomyślałam o mamie. O tym, jak w jej ostatnich dniach wydarzyło się tyle okropnych rzeczy. Małych okropnych rzeczy. Myślałam o jej kapryśnych, delirycznych majaczeniach. Krwiakach, które robiły się czarne na jej bezwładnych rękach. O tym, jak błagała o coś, co nie było nawet litością. Mniej niż litością. O coś, na co nie ma nawet słowa. Myślałam wtedy, że to najgorsze dni, a mimo to kiedy umarła, byłam gotowa oddać wszystko, aby wróciły. Mały, okropny, ale wspaniały dzień za dniem. „Może z Paulem będzie podobnie” – pomyślałam tamtego wieczora, kiedy postanowiliśmy się rozwieść. Może kiedy się skończą, będę chciała, by te okropne dni wróciły.

– O czym myślisz? – zapytał, ale nie odpowiedziałam.

Nachyliłam się tylko i włączyłam światło.

To do nas należało wysłanie poświadczonych przez notariusza dokumentów rozwodowych. Wyszliśmy razem z budynku na zaśnieżone ulice i poszliśmy chodnikiem, aż znaleźliśmy skrzynkę na listy. Po wszystkim oparliśmy się o zimną ścianę budynku i pocałowaliśmy się, płacząc i mrużąc przeprosiny. Łzy mieszały się nam na policzkach.

– Co my robimy? – zapytał po chwili Paul.

– Żegnamy się ze sobą – odpowiedziałam.

Myślałam, czy nie poprosić go, by wrócił ze mną do mojego mieszkania, tak jak robiliśmy kilka razy podczas naszej rocznej separacji, i poszedł ze mną do łóżka albo został na noc, ale nie miałam serca.

– Żegnaj – powiedział.

– Pa – odparłam.

Staliśmy blisko siebie, twarzą w twarz. Zaciskałam pięści na klapach jego płaszczu. Czulałam wrogość budynku po jednej stronie i szare niebo i białe ulice

niczym białą, śpiącą bestię po drugiej. My między nimi w wąskim tunelu. Płatki śniegu topniały Paulowi we włosach i chciałam ich dotknąć, ale tego nie zrobiłam. Staliśmy tak, nic nie mówiąc, patrząc sobie w oczy, jakby to nie był ostatni raz.

– Cheryl Strayed – powiedział po chwili milczenia.

Moje nowe nazwisko dziwnie brzmiało w jego ustach.

Pokiwałam głową i puściłam jego płaszcz.

Rozdział 7

Jedyna dziewczyna w lesie

– Cheryl Strayed? – zapytała bez uśmiechu sprzedawczynie w sklepie wielobranżowym w Kennedy Meadows.

Kiedy energicznie pokiwałam głową, odwróciła się i bez słowa zniknęła na zapleczu.

Rozejrzałam się, oszołomiona widokiem opakowań jedzenia i napojów, czując mieszankę przyjemnego oczekiwania na myśl o tym, co zjem w najbliższych godzinach, oraz ulgi, że plecak nie znajduje się już na moich ramionach, tylko na sklepowym ganku.

Dotarłam na miejsce. Doszłam do pierwszego przystanku. Cudem. Niemal oczekiwałam, że spotkam w sklepie Grega, Matta i Alberta, ale nigdzie ich nie było. Według przewodnika kemping znajdował się prawie 5 kilometrów dalej, pomyślałam więc, że to tam się spotkamy, a wkrótce dołączą do nas Doug i Tom. Dzięki moim wysiłkom nie zdołali mnie dogonić. Kennedy Meadows było ładnym terenem porośniętym sosnowymi lasami, szafwią i trawiastymi łąkami. Znajdowało się na wysokości 1890 metrów, nad brzegiem rzeki South Fork Kern. Nie było to miasteczko, raczej rozpościerający się na przestrzeni paru kilometrów ostatni bastion cywilizacji, na który składały się sklep wielobranżowy, restauracja o nazwie Grumpie's i prymitywny kemping.

– Proszę bardzo – powiedziała kobieta, gdy wróciła z moją paczką i postawiła ją na ladzie. – To jedyna przesyłka zaadresowana do kobiety. Stąd znałam pani nazwisko. – Wyciągnęła rękę w moją stronę. – Przyszło też to.

W dłoni trzymała pocztówkę. Wzięłam ją i zaczęłam czytać. „Mam nadzieję, że dotarłaś na miejsce” – było na niej napisane znajomymi gryzmołami. „Chcę być kiedyś twoim czystym chłopakiem. Kocham cię. Joe”. Na odwrocie widniało zdjęcie hotelu Sylvia Beach na wybrzeżu Oregonu, gdzie raz wspólnie pojechaliśmy. Przez chwilę patrzyłam na zdjęcie, czując przyływ najróżniejszych uczuć: wdzięczności za

parę słów od kogoś, kogo znałam, tęsknoty za Joem, rozczarowania, że napisała do mnie tylko jedna osoba, i rozpaczy – choć było to niedorzeczne – że nie był to Paul.

Kupiłam dwie butelki lemoniady Snapple, duży baton Butterfinger i paczkę chipsów dorito i wyszłam na zewnątrz. Usiadłam na frontowych schodkach, by pochłonąć wszystko, co nabyłam, jednocześnie w kółko czytając pocztówkę. Po pewnym czasie zauważyłam pudełko stojące w rogu ganku, wypełnione głównie jedzeniem dla podróżników. Nad nim znajdowała się napisana ręcznie informacja:

Darmowe rzeczy dla wędrujących PCT!!!

Zostaw to, czego nie chcesz.

Weź, co jest ci potrzebne.

Oparty o pudełko stał tam kijek narciarski – dokładnie to, czego było mi trzeba. Był to kijek nadający się dla księżniczki – biały, z cukierkowo-różowym nylonowym paskiem na nadgarstek. Przetestowałam go, robiąc kilka kroków. Był idealnej długości. Pomoże mi pokonać nie tylko śnieg, ale i płytkie strumienie oraz lawiny kamienne, które bez wątpienia mnie czekały.

Godzinę później szłam z nim bitą drogą, która oplatała pole kempingowe, i szukałam Grega, Matta i Alberta. Było niedzielne czerwcowe popołudnie, ale pole namiotowe było właściwie opustoszałe. Minęłam człowieka, który przygotowywał swój sprzęt wędkarski, i parę z przenośną lodówką pełną piwa i boomboxem, aż w końcu doszłam do pola namiotowego, gdzie siwy mężczyzna bez koszulki i z dużym opalonym brzuchem siedział przy stole piknikowym, czytając książkę. Kiedy podeszłam, podniósł głowę.

– Jesteś pewnie tą słynną Cheryl od ogromnego plecaka – zawołał do mnie.

Zaśmiałam się na znak potwierdzenia.

– Jestem Ed. – Podszedł, by uścisnąć mi rękę. – Twój znajomi już tu są, tylko złapali okazję do sklepu. Musieliście się minąć po drodze, ale kazali mi cię wyglądać. Jeśli chcesz, możesz się rozbić o tam, przy ich namiotach, Grega i Alberta z synem. – Wskazał dłonią namioty w pobliżu. – Zakładaliśmy się, kto dotrze tu pierwszy. Ty czy dwaj chłopcy, którzy idą ze wschodu i deptali ci po piętach.

– I kto wygrał zakład? – zapytałam.

Ed na chwilę się zamyślił.

– Nikt – odparł i roześmiał się gromko. – Nikt z nas nie postawił na ciebie.

Podparłam Monstrum na stoliku, ściągnęłam je i zostawiłam na blacie, żeby nie musieć żałośnie się gimnastykować, dźwigając je z ziemi.

– Witaj w moich skromnych progach – powiedział Ed, wskazując gestem niewielką przyczepę kempingową z brezentowym zadaszaniem z boku, osłaniającym znajdującą się pod nim prowizoryczną kuchnię. – Jesteś głodna?

Na kempingu nie było pryszniców, więc gdy Ed przygotowywał dla mnie lunch, poszłam nad rzekę, żeby się umyć, na ile byłam w stanie, mając na sobie ubrania. Po tyłu dniach na suchych terenach widok rzeki był niemal wstrząsający. A South Fork Kern to nie była jaka rzeka. Była gwałtowna i władcza, lodowata i rozszalała, a jej potęga jasno dowodziła, że w wyższych partiach gór leżało dużo śniegu. Nurt był zbyt bystry, by wejść nawet po kostki, poszłam więc wzdłuż brzegu, aż trafiłam na niewielką zatoczkę i zaczęłam w niej brodzić. Stopy bolały mnie od zimnej wody, aż w końcu straciłam w nich czucie. Przykucnęłam i zamoczyłam brudne włosy, a potem ochlapałam się pod ubraniami. Czułam się naładowana energią, zarówno od cukru, jak i zwycięskiego dotarcia na miejsce. Niecierpliwie wyczekiwałam rozmów, które będę prowadziła przez kolejnych kilka dni.

Kiedy skończyłam, poszłam brzegiem w górę rzeki, a potem przez mokną i chłodną łąkę. Dostrzegłam Eda z daleka i zbliżając się, patrzyłam, jak kursuje pomiędzy kuchnią a stolikiem z talerzami, butelkami ketchupu i musztardy oraz puszkami coli. Znałam go dopiero od paru minut, a mimo to tak jak pozostali mężczyźni, których spotkałam, wydał mi się momentalnie znajomy, jakbym mogła mu powierzyć niemal wszystko. Usiedliśmy naprzeciw siebie i jedliśmy, podczas gdy Ed opowiadał o sobie. Miał pięćdziesiąt lat, był poetą amatorem i sezonowym włóczykijem. Nie miał dzieci i był po rozwodzie. Próbowałam jeść w jego niespiesznym tempie, biorąc kęsy wtedy, gdy on, tak samo jak kilka dni wcześniej próbowałam dopasować tempo swoich kroków do rytmu Grega. Nie potrafiłam jednak. Byłam głodna jak wilk. W mgnieniu oka pochłonęłam dwa hot dogi i kopsiastą porcję fasoli, a następnie kolejną, równie wielką porcję frytek, i siedziałam, łakomie marząc o dokładce. Tymczasem Ed powoli jadł lunch, od czasu do czasu robiąc przerwę, by otworzyć dziennik i przeczytać wiersze, które napisał poprzedniego dnia.

Przez znaczną część roku mieszkał w San Diego, ale każdego lata rozbijał namiot w Kennedy Meadows, żeby witać przechodzących przez bazę wędrowców z PCT. W żargonie piechurów nazywano takich jak on „dobrymi duchami szlaku”, ale wtedy jeszcze tego nie wiedziałam. Nie wiedziałam nawet, że istnieje żargon piechurów.

– Patrzcie, panowie, przegraliśmy zakład! – wrzasnął Ed do mężczyzn, którzy wrócili ze sklepu.

– Ja nie przegrałem – zaprotestował Greg, zbliżając się i przyjacielsko ściskając mi ramię. – Postawiłem na ciebie, Cheryl – zapewniał, choć inni kwestionowali jego deklarację.

Usiedliśmy wokół stołu piknikowego, rozmawiając o szlaku, a po chwili mężczyźni rozeszli się na drzemkę – Ed do swojej przyczepy, Greg, Albert i Matt do namiotów. Zostałam przy stole, zbyt podekscytowana, by spać, przegrzebując zawartość pudła, które zapakowałam parę tygodni wcześniej. Rzeczy w środku pachniały odległą krainą, w której, jak mi się zdawało, mieszkałam chyba w innym życiu. Miały aromat kadzidełek, którymi przesiąkło moje mieszkanie. Torebki strunowe i opakowania jedzenia były błyszczące i nienaruszone. Czysty T-shirt pachniał lawendowym proszkiem do prania, którego wielką paczkę kupiłam od wspólnoty, do jakiej należałam w Minneapolis. Ozdobiona kwiatami okładka *The Complete Stories* Flannery O'Connor była nietknięta.

Nie można było powiedzieć tego samego o *Kiedy umieram* Faulknera, a raczej cienkiej części książki, która nadal znajdowała się w moim plecaku. Zerwałam z niej okładkę i wrywałam strony, które przeczytałam poprzedniego wieczora, i paliłam je w małej aluminiowej foremce na ciasto pod kuchenką – w celu zabezpieczenia przed trzaskającymi iskrami. Przyglądałam się, jak nazwisko Faulknera znika w płomieniach, i czułam się trochę tak, jakbym popełniała świętokradztwo – nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że będę palić książki – ale byłam gotowa zrobić wszystko, żeby odciążyć mój bagaż. To samo zrobiłam z tą częścią *The Pacific Crest Trail*, tom 1: *California*, którą już przesłałam.

To było bolesne, ale nieuniknione. W normalnym życiu – przed PCT – książki były mi bardzo drogie, ale na szlaku nabrały jeszcze większego znaczenia. Były światem, w którym mogłam się zatracić, kiedy ten prawdziwy stawał się zbyt pusty,

surowy lub trudny do zniesienia. Kiedy wieczorami rozbijałam obozowisko, w pośpiechu stawiałam namiot, filtrowałam wodę i gotowałam kolację, żeby móc jak najszybciej usiąść pod osłoną namiotu, z garnkiem ciepłego pożywienia między kolanami. Jadłam z łyżką w jednej ręce i książką w drugiej, czytając przy świetle czołówki, kiedy zapadała ciemność. W pierwszym tygodniu podróży często byłam zbyt wyczerpana, by przeczytać więcej niż stronę lub dwie, zanim zasnęłam, ale w miarę jak stawałam się silniejsza, czytałam więcej, z przyjemnością uciekając od monotonii moich dni. Każdego ranka paliłam wszystko, co przeczytałam poprzedniego wieczoru.

Gdy tak trzymałam w dłoniach nietknięty egzemplarz opowiadań O'Connor, z namiotu wyłonił się Albert.

– Wygląda mi na to, że mogłabyś się pozbyć kilku rzeczy – powiedział. – Pomóc ci?

– Jeśli możesz – odparłam, posyłając mu smutny uśmiech.

– Jasne. Zrobimy tak: zapakuj plecak, jakbyś miała wyruszyć w drogę, i od tego zaczniemy.

Poszedł do rzeki, trzymając w dłoni główkę szczoteczki – jej rączkę odłamał najwyraźniej dla zmniejszenia ciężaru.

Zabrałam się do roboty, łącząc starą i nową wiedzę, czując, jakbym przechodziła test, który bez wątplenia muszę oblać. Kiedy skończyłam, Albert wrócił i metodycznie rozpakował mój plecak. Każdy przedmiot umieścił na jednym z dwóch stosów – z rzeczami, które wracały do plecaka, i tymi, które lądowały w pustym pudle po zapasach. Mogłam odesłać je do domu albo zostawić w pudełku z darmowymi rzeczami dla wędrowców z PCT na ganku sklepu w Kennedy Meadows, żeby ktoś inny z nich skorzystał. W pudełku znalazły się: składana piła, miniaturowa lornetka i bardzo mocny flesz do aparatu, którego jeszcze nie użyłam. Na moich oczach Albert wyrzucił dezodorant, którego możliwości oszacowałam zbyt wysoko, jednorazową maszynkę, którą spakowałam w nieuzasadnionym przekonaniu, że powinnam golić nogi i pachy oraz – ku mojemu ogromnemu zażenowaniu – gruby zwitek prezerwatyw, które zapakowałam do apteczki.

– Naprawdę są ci potrzebne? – zapytał Albert, trzymając je w dłoni.

Albert, ojciec i skaut ze stanu Georgia, z połyskującą w słońcu obrączką ślubną, który odłamał uchwyt własnej szczoteczki do zębów, ale bez wątpienia nosił przy sobie kieszonkowe wydanie Biblii. Spojrzał na mnie z kamienną twarzą żołnierza, a białe foliowe opakowanie tuzina supercienkich, nienawilżanych prezerwatyw z szelestem rozwinęło się z jego ręki niczym serpentyna.

– Nie – odpowiedziałam, czując, że zaraz spalę się ze wstydu.

Pomysł, że na szlaku będę uprawiać seks, był dla mnie teraz absurdalny, choć kiedy pakowałam zapasy, wydawało mi się to dość prawdopodobną perspektywą. Zanim przekonałam się, co wyprawa PCT zrobi z moim ciałem. Nie widziałam swojego odbicia od nocy w motelu w Ridgecrest, ale kiedy faceci poszli spać, skorzystałam z okazji i przejrzałam się w bocznym lusterku terenówki Eda. Byłam opalona i brudna, mimo kąpieli w rzece. Odrobinę schudłam, a moje ciemne blond włosy stały się nieco jaśniejsze, miejscami przyklapnięte, miejscami napuszone od mieszanki zaschłego potu, wody z rzeki i pyłu.

Nie wyglądałam jak kobieta mogąca potrzebować dwunastu prezerwatyw.

Albert nie miał jednak zamiaru rozważać, czy jestem ładna i czy pójdę z kimś do łóżka. Plądrował dalej mój plecak i zadawał stanowcze pytania przed odrzuceniem kolejnego przedmiotu, który ja niegdyś uznałam za absolutnie niezbędny. Kiwałam głową niemal za każdym razem, kiedy coś podnosił, zgadzając się, że należy się tego pozbyć, choć zaprotestowałam zarówno przy *Opowiadaniach*, jak i ukochanym niezniszczonym tomiku *The Dream of a Common Language*. Zaprotestowałam też przy dzienniku, w którym opisałam wszystko, co zdarzyło się tego lata. A kiedy Albert nie patrzył, oderwałam jedną prezerwatywę z grubego zwitka, który odrzucił, i wsunęłam ją dyskretnie do tylnej kieszeni szortów.

– Co cię tu sprowadza? – zapytał Albert, kiedy skończył swoje zadanie.

Usiadł na ławie piknikowego stołu i złożył przed sobą potężne ręce.

– Wędrówka PCT? – zapytałam.

Pokiwał głową, przyglądając się, jak z powrotem pakuję rozmaite rzeczy, które, jak uzgodniliśmy, mogłam zatrzymać.

– Powiem ci, dlaczego to robię – powiedział szybko, zanim zdążyłam się odezwać. – Całe życie o tym marzyłem. Kiedy usłyszałem o szlaku, pomyślałem: „To właśnie chciałbym zrobić, zanim pójdę na spotkanie z Panem”. – Delikatnie stuknął pięścią o blat stołu. – A ty, dziewczynko? Mam taką teorię, że większość ludzi robi to z jakiegoś powodu. Coś ich tu przygnało.

– Nie wiem – odparłam niepewnie.

Nie miałam zamiaru wyznać pięćdziesięcioparoletniemu chrześcijańskiemu skautowi z Georgii, dlaczego postanowiłam przez trzy pełne miesiące włóczyć się sama po lasach i górach, jakkolwiek życzliwy byłby błysk w jego oku, kiedy się uśmiechał. To, co zmusiło mnie do tej wędrówki, byłoby dla niego szokujące, a dla mnie wątpliwe. Ujawniłoby to nam obojgu, jak niepewna była cała ta wyprawa.

– Przede wszystkim myślałam, że to będzie świetna zabawa – powiedziałam.

– Nazywasz to zabawą? – zapytał i oboje się roześmialiśmy.

Odwróciłam się i nachyliłam nad Monstrum, przekładając ręce przez szelki plecaka.

– Sprawdźmy, czy jest jakaś różnica – powiedziałam i zapięłam pasy.

Kiedy podniosłam go ze stołu, byłam zaskoczona jego lekkością, nawet przy pełnym obciążeniu nowymi nabytkami: czekanem i zapasem jedzenia na jedenaście dni. Uśmiechnęłam się promiennie do Alberta.

– Dziękuję.

Zachichotał w odpowiedzi, kręcąc głową.

Rozradowana odeszłam, by zrobić próbny spacer na bitej drodze okalającej pole kempingowe. Nadal miałam największy bagaż ze wszystkich piechurów. Skoro wędrowałam sama, musiałam nieść wszystkie te rzeczy, które idący w parach mogli między siebie podzielić. Nie miałam też ultralekkiej pewności siebie ani umiejętności, jakie posiadał Greg. W porównaniu z tym, ile ważył, zanim Albert pomógł mi go odciążyć, plecak był teraz tak lekki, że miałam wrażenie, iż mogę podskakiwać. W połowie drogi zatrzymałam się i podskoczyłam.

Oderwałam się od ziemi ledwie o cal, ale mimo wszystko dałam radę to zrobić.

– Cheryl? – odezwał się w tej samej chwili nieznany głos.

Podniosłam wzrok i zobaczyłam przystojnego młodego mężczyznę z plecakiem, który zmierzał w moją stronę.

– Doug? – zapytałam, zgadując jego imię.

W odpowiedzi zamachał rękami i zawył radośnie, po czym podszedł i przytulił mnie na powitanie.

– Przeczytaliśmy w rejestrze, że weszłaś na szlak, i próbowaliśmy cię dogonić.

– I oto jestem – wydukałam, zaskoczona jego entuzjazmem i atrakcyjnością. – Wszyscy rozbiliśmy obóz o tam – powiedziałam, wskazując ręką za siebie. – Jest nas kilkoro. A gdzie twój kolega?

– Niedługo przyjdzie – odparł Doug i znów zaczął wyc nie wiadomo z jakiego powodu.

Przypominał mi bananowych chłopców, których znałam – był klasycznie przystojny i uroczo przekonany o tym, że jest królem świata i że nic złego nie może mu się stać. Nie przyszłoby mu nawet do głowy, że mogłoby być inaczej. Stojąc przy nim, miałam wrażenie, że za chwilę weźmie mnie za rękę i razem skoczymy z urwiska ze spadochronem, śmiejąc się, gdy powoli będziemy opadać w dół.

– Tom! – wrzasnął Doug, kiedy na końcu drogi pojawiła się jakaś postać.

Razem podeszliśmy w jego stronę. Nawet z oddali mogłam powiedzieć, że Tom był fizycznym i duchowym przeciwieństwem Douga – był kościsty i blady, a na nosie miał okulary. Uśmiech, który pojawił się na jego ustach, kiedy podeszliśmy bliżej, był ostrożny i nieco nieufny.

– Cześć – powiedział, gdy znaleźliśmy się wystarczająco blisko, wyciągając do mnie rękę.

Podczas kilku krótkich minut, które zajął nam powrót do obozu Eda, wymieniliśmy pospieszne informacje na temat tego, kim jesteśmy i skąd pochodzimy. Tom miał dwadzieścia cztery lata, Doug dwadzieścia jeden. „Błękitna krew Nowej Anglii” – powiedziałyby mama (wiedziałam, niemal zanim się odezwali), a oznaczałoby to dla niej jedynie, że byli bogaci i mieszkali gdzieś na wschód od Ohio i na północ od Waszyngtonu. W ciągu kolejnych kilku dni miałam się o nich dowiedzieć wszystkiego. Że ich rodzice byli chirurgami, burmistrzami i finansistami.

Że obaj uczęszczali do ekskluzywnych szkół z internatami, których sława była tak ogromna, że nawet ja je znałam. Że spędzali wakacje w Nantucket i na prywatnych wyspach wzdłuż wybrzeża Maine, a wiosenną przerwę semestralną w Vail. Wtedy jednak jeszcze tego nie wiedziałam ani tego, jak bardzo ich życie będzie dla mnie niepojęte, a moje dla nich. Wiedziałam jedynie, że w jakiś szczególny sposób byli mi najbliżsi. Nie byli specami od sprzętu czy wędrowek z plecakiem ani też ekspertami od PCT. Nie szli tu aż z Meksyku ani też nie planowali tej podróży od dziesięciu lat. Co lepsze – kilometry, które do tej pory pokonali, wyczerpały ich niemal tak samo jak mnie. Ponieważ szli razem, nie spędzili całych dni w samotności. Rozsądne rozmiary ich plecaków sprawiały, że powątpiewałam, czy mieli ze sobą składaną piłę. Jednak w momencie, gdy spojrzenia moje i Douga się spotkały, wiedziałam, że mimo całej jego pewności siebie i swobody przez coś przeszedł. Kiedy Tom ujął moją dłoń, by ją uściśnąć, potrafiłam dokładnie odczytać wyraz jego twarzy. Mówił: „MUSZĘ ŚCIAĞNAĆ TE KUREWSKIE BUTY”.

Zrobił to chwilę później, siedząc na ławie piknikowego stołu Eda, gdy doszliśmy do naszego obozu i wszyscy zgromadzili się wokół, żeby się przedstawić. Patrzyłam, jak Tom ostrożnie ściąga brudne skarpetki, z których wypadły zgniecione, zużyte plastry, a razem z nimi płaty skóry. Jego stopy wyglądały jak moje – były trupio blade i naznaczone krwawymi sączącymi się ranami, pokrytymi płatkami zdartej skóry, które teraz zwisały, nadal częściowo boleśnie przyczepione do ciała, umierające powolną, wywołaną PCT śmiercią. Ściągnęłam plecak i otworzyłam kieszeń, żeby wyciągnąć apteczkę.

– Próbowaleś ich kiedyś? – zapytałam Toma, trzymając w ręce plastry żelowe. Na szczęście zapakowałam dodatkową partię do pudła z przesyłką. – To dzięki nim jeszcze żyję – wyjaśniłam. – Nie wiem, jak bym sobie dała radę bez nich.

Tom tylko spojrzał na mnie z wyrazem rozpacz i pokiwał głową, nie rozwijając wątku. Położyłam kilka plastrów na ławce obok niego.

– Bierz, ile chcesz – powiedziałam.

Widok ich przezroczystych niebieskich opakowań przywiódł mi na myśl prezerwatywę, którą miałam w tylnej kieszeni. Zastanawiałam się, czy Tom albo Doug mieli jakieś ze sobą i czy zabranie ich było ostatecznie takim głupim pomysłem.

W obecności Toma i Douga wydało mi się to nieco mniej niedorzeczne.

– Pomyśleliśmy, że o szóstej wszyscy wybierzemy się do Grumpie's – powiedział Ed, spoglądając na zegarek. – Mamy parę godzin. Pojedziemy wszyscy moim pick-upem. – Popatrzył na Douga i Toma. – A tymczasem chętnie zrobię wam jakąś przekąskę.

Mężczyźni usiedli przy stole piknikowym, jedząc chipsy Eda i fasolę, rozmawiając o tym, dlaczego wybrali te plecaki, które wybrali, oraz o wadach i zaletach każdego z nich. Ktoś przyniósł talię kart i rozpoczęła się gra w pokera. Greg wertował swój przewodnik na końcu stołu, blisko miejsca, gdzie stałam obok plecaka, nadal zachwycając się jego przemianą. Kieszenie, które pękały z przepełnienia, miały teraz odrobinę luzu.

– Teraz należysz do Jardi-sekty – powiedział Albert żartobliwie, widząc, jak wpatruję się w swój plecak niczym urzeczona. – To uczniowie Raya Jardine'a, gdybyś nie wiedziała. Są dość radykalni w kwestii ciężaru plecaka.

– Opowiadałem ci o nim – dorzucił Greg.

Pokiwałam głową, próbując ukryć swoją ignorancję.

– Przygotuję się do obiadu – powiedziałam i poszłam na brzeg obozowiska.

Postawiłam namiot i weszłam do środka, rozłożyłam śpiwór i położyłam się na nim, gapiąc się w zielony nylonowy sufit, jednocześnie słuchając szmeru męskich głosów, a od czasu do czasu wybuchów śmiechu. Zdałam sobie sprawę, że miałam wybrać się na kolację z sześcioma mężczyznami, a do ubrania nie miałam nic ponad to, w co już byłam ubrana – T-shirt naciągnięty na sportowy stanik i szorty, pod którymi niczego nie nosiłam. Przypomniałam sobie o nowej koszulce z mojego pudła z zapasami i włożyłam ją. Na całych plecach starej koszulki znajdowała się brązowawo-żółta plama powstała od nieustannie oblewającego mnie potu. Zwinęłam bluzkę w kłębek i położyłam w kącie namiotu – wyrzucę ją później w sklepie. Nie miałam ze sobą innych ubrań niż te na zimną pogodę. Przypomniałam sobie o wisiorku, który nosiłam do chwili, gdy tak się nagrzał, że nie mogłam go dłużej ścierpieć. Znalazłam go w strunowej torebce, w której trzymałam prawo jazdy oraz pieniądze, i włożyłam go z powrotem. Był to mały srebrny kolczyk z turkusem, który

należał do mamy. Zgubiłam drugi od pary, więc wzięłam ostro zakończone precyzyjne kombinerki i ten, który pozostał, zamieniłam w wisiołek zawieszony na delikatnym srebrnym łańcuszku. Wzięłam go ze sobą, bo należał do mamy. Noszenie go przy sobie miało dla mnie znaczenie, teraz jednak cieszyłam się nim po prostu dlatego, że dzięki niemu czułam się ładniejsza. Przeczesiałam włosy palcami, próbując nadać fryzurze atrakcyjny kształt, wspomagana maleńkim grzebieniem, ostatecznie jednak poddałam się i odgarnęłam je za uszy.

Doskonale wiedziałam, że to, jak wyglądam, czuję się i pachnę, nie ma najmniejszego znaczenia. W końcu byłam, jak określił mnie nieco nieprecyzyjnie Ed, „jedyną dziewczyną w lesie” w towarzystwie grupy mężczyzn. Na szlaku z konieczności starałam się neutralizować ich seksualność, próbując, na ile to było możliwe, być jednym z facetów.

Nigdy w życiu nie zachowywałam się wobec mężczyzn z tak opanowaną obojętnością, której wymaga bycie jednym z nich. „Nie było to proste do wytrzymania” – pomyślałam, siedząc w namiocie, podczas gdy mężczyźni grali w karty. W końcu, odkąd pamiętam, byłam dziewczyną i polegałam na sile, którą moja dziewczęcość mi gwarantowała. Tłumienie w sobie tej siły wywołało przykre ukłucie w żołądku. Przyjęcie roli faceta oznaczało, że nie mogłam być kobietą, w którą przeistaczałam się w męskim towarzystwie i którą świetnie umiałam grać. Poznałam to wcielenie, gdy miałam jedenaście lat, i poczułam nagły przypływ władzy, kiedy dorośli mężczyźni odwracali się za mną, gwizdali albo wołali: „Cześć, ślicznotko”, na tyle głośno, bym mogła ich usłyszeć. Wcielenie, na którym polegałam przez całą szkołę średnią, kiedy głodziłam się dla szczupłej sylwetki, udając słodką idiotkę, żeby być lubianą i adorowaną. Wcielenie, które pielęgnowałam w sobie przez cały okres dojrzewania, przywdziewając różne przebrania: hipiski, punkowy, kowbojki, buntowniczkę, dziewczyny z jajami. Wcielenie, dla którego za każdą parą seksownych botków, wyzywającą minispódniczką albo machnięciem włosami kryła się zapadnia prowadząca do zupełnie nieprawdziwej wersji mnie.

Teraz istniało tylko jedno wcielenie. Na PCT mogłam jedynie je całkowicie przyjąć i pokazać światu swoją brudną twarz. Świat ten składał się teraz tylko z sześciu mężczyzn.

– Cheryllllll – głos Douga rozległ się łagodnie z odległości paru metrów. – Jesteś tam?

– Tak – odpowiedziałam.

– Idziemy nad rzekę. Chodź z nami.

– Dobrze – odpowiedziałam, mimowolnie ciesząc się z jego zaproszenia.

Kiedy usiadłam, prezerwatywa w tylnej kieszeni zaszeleściła. Wyjęłam ją, wsunęłam do apteczki i poszłam nad rzekę.

Doug, Tom i Greg brodzili w płytkiej wodzie w miejscu, gdzie kilka godzin wcześniej próbowałam się umyć. Dalej za nimi szalała wzburzona woda, rozstępując się na głazach wielkości mojego namiotu. Pomyślałam o śniegu, który niedługo miałam napotkać, jeśli zdecyduję się iść dalej z czekanem, którego nie umiałam używać, i białym kijkiem narciarskim z różowym paskiem na nadgarstek, który przypadkiem wpadł mi w ręce. Nie zaczęłam jeszcze myśleć o tym, co dalej czeka mnie na szlaku. Słuchałam tylko i kiwałam głową, kiedy Ed mówił, że większość piechurów zatrzymujących się w Kennedy Meadows w ciągu trzech tygodni, jakie tam spędził, zdecydowała się zejść ze szlaku z powodu rekordowych opadów, przez które kolejne 600–800 kilometrów było właściwie nie do przebycia. Jechali autobusem albo autostopem, by wrócić na niższe partie szlaku na północy. Niektórzy mieli zamiar wrócić tu latem, żeby nadrobić część, którą pominęli. Inni zdecydowali się ją opuścić. Ed powiedział też, że kilku całkiem zakończyło wyprawę – tak jak wcześniej wspominał Greg – decydując się na wędrowkę w innym, mniej rekordowym roku. Tylko paru, zdecydowanych pokonać śniegi, brnęło dalej naprzód.

Wdzięczna sobie za tanie obozowe sandały, szłam ostrożnie w kierunku mężczyzn po skałach, które leżały na dnie rzeki. Woda była tak zimna, że aż bolały mnie kości.

– Mam coś dla ciebie – powiedział Doug, gdy podeszłam bliżej.

Wyciągnął w moją stronę dłoń. Leżało na niej błyszczące pióro nie dłuższe niż ćwierć metra, tak czarne, że w słońcu błyszczało na niebiesko.

– Za co to? – zapytałam, biorąc je do ręki.

– Na szczęście – powiedział i dotknął mojego ramienia.

Kiedy zabrał dłoń, miejsce, w którym przed chwilą leżała, piekło jak oparzenie.

Poczułam, jak mało mnie dotykano przez ostatnie dwa tygodnie i jaka byłam samotna.

– Zastanawiałam się nad śniegiem – powiedziałam, trzymając w dłoniach pióro i próbując przekrzyczeć szum rzeki. – Ci ludzie, którzy tędy przechodzili? Byli tu tydzień lub dwa przed nami. Od tamtej pory stopniało dużo śniegu, więc może będzie dobrze.

Spojrzałam na Grega, a potem na czarne pióro, które gładziłam w dłoniach.

– Warstwa śniegu na Bighorn Plateau 1 czerwca była dwa razy większa niż w zeszłym roku o tej samej porze – powiedział, rzucając kamyk. – Tydzień niczego tu nie zmieni.

Pokiwałam głową, jakbym wiedziała, gdzie znajduje się Bighorn Plateau albo co to oznacza, że ilość śniegu była dwa razy większa niż rok wcześniej. Nawet prowadząc tę rozmowę, czułam się jak oszustka, jak maskotka pośród graczy, jak przypadkowy turysta przy prawdziwych wędrowcach. Jak gdyby mój brak doświadczenia, to, że nie przeczytałam ani jednej strony napisanej przez Raya Jardine'a, moje zółwie tempo i przekonanie, że będę potrzebować składanej piły, sprawiały, że nie przyszłam o własnych siłach do Kennedy Meadows z przełęczy Tehachapi, ale zamiast tego zostałam tu przyniesiona.

Jednak przyszłam tu i nie miałam jeszcze zamiaru rezygnować z zobaczenia najwyższych partii Sierra Nevada. Był to odcinek szlaku, którego najbardziej wyczekiwałam. Jego nietknięte piękno wychwalali autorzy *The Pacific Crest Trail*, tom 1: *California*, a John Muir uwiecznił w swoich książkach pisanych w ubiegłym wieku. Był to odcinek gór, który nazwał „Łańcuchem Światła”. Wysokie partie Sierra Nevada, trzy- i czterotysięczniki, zimne, przejrzyste jeziora i głębokie kaniony, były celem mojej wyprawy na kalifornijskiej części szlaku, a przynajmniej tak mi się wydawało. Na dodatek ominięcie pasma byłoby logistyczną katastrofą. Gdybym miała objechać wysokie pasma gór, znalazłabym się w Ashland miesiąc wcześniej, niż zamierzałam.

– Jeśli jest na to jakiś sposób, to chciałabym iść dalej – powiedziałam, z zapalem wymachując piórem. Stopy już mnie nie bolały. W przyjemny sposób stały się odrętwiałe od lodowatej wody.

– No cóż, nadal mamy do przejścia niespełna 65 kilometrów, zanim trasa stanie się naprawdę trudna. Stąd aż do przełęczy – odezwał się Doug. – Istnieje szlak, który krzyżuje się z PCT i schodzi w dół, na pole kempingowe. Możemy przynajmniej do niego dotrzeć i zobaczyć, jak jest dalej. Sprawdzimy, ile jest śniegu, i jeśli będziemy chcieli, to stamtąd się wycofamy.

– Co o tym sądzisz, Greg? – zapytałam.

Wiedziałałam, że zrobię to samo co on.

Pokiwał głową.

– Myślę, że to dobry plan.

– Ja też tak zrobię – powiedziałam. – Dam sobie radę. Mam teraz czekan.

Greg spojrzął na mnie.

– A wiesz, jak go użyć?

Następnego ranka udzielił mi lekcji.

– To jest stylisko – powiedział, przejeżdżając dłonią wzdłuż czekana. – A to grot – dodał, dotykając palcem ostrej końcówki. – A na przeciwległym końcu głowica.

Stylisko? Głowica? Grot? Próbowałam nie wybuchnąć śmiechem, jak gimnazjalistka na zajęciach z wychowania do życia w rodzinie, ale nie mogłam się powstrzymać.

– Co? – zapytał Greg, trzymając dłonią za stylisko swojego czekana, ale ja tylko pokręciłam głową. – Masz dwie krawędzie – mówił dalej. – Tępa krawędź to łopatka. Nią wycinasz sobie miejsce pod stopę. Druga to dziób. Ratujesz się nią, kiedy zsuwasz się ze zbocza – mówił tak, jakby zakładał, że już o tym wszystkim wiem, jakbyśmy powtarzali podstawowe pojęcia, zanim na dobre rozpoczniemy.

– Tak jest. Stylisko, głowica, grot, dziób, łatka – powtórzyłam.

– Łopatka – poprawił mnie.

Staliśmy na stromym brzegu, który w tych warunkach najbardziej przypominał oblodzony stok.

– Teraz założmy, że lecisz – powiedział Greg i dla zademonstrowania rzucił się

w dół. Kiedy spadał, wbił dziób w błoto. – Wbij dziób tak mocno, jak to tylko możliwe, jednocześnie trzymając stylisko jedną dłonią, a głowicę drugą. O tak. A kiedy będziesz już zakotwiczona, spróbuj znaleźć grunt pod nogami.

Spojrzałam na niego.

– A jeśli nie będę mogła znaleźć gruntu?

– To musisz się trzymać – odpowiedział, przesuając dłońmi po czekanie.

– A jeśli nie będę mogła tyle wytrzymać? Bo będę przecież miała plecak i w ogóle. Właściwie to nie jestem nawet w stanie ani razu się podciągnąć.

– Musisz się trzymać – odparł beznamiętnie. – Chyba że chcesz zsunąć się po zboczu góry.

Zabrałam się do roboty. Raz za razem rzucałam się na coraz bardziej błotnisty stok, udając, że ślizgam się po lodzie, i raz za razem wbijałam dziób czekana w ziemię, podczas gdy Greg przyglądał mi się, instruując mnie i komentując moje postępy.

Doug i Tom siedzieli nieopodal, udając, że nie zwracają na nas uwagi. Albert i Matt leżeli na brezencie, który rozłożyliśmy dla nich w cieniu drzewa niedaleko pick-upa Eda, zbyt chorzy, żeby ruszyć się dalej niż do toalety po kilka razy na godzinę. Obaj obudzili się w środku nocy, chorzy na coś, co wszystkim nam wyglądało na giardiozę – chorobę wywołaną przez żyjące w wodzie pasożyty, która powoduje straszną biegunkę i nudności, wymaga leków na receptę i niemal zawsze oznacza przynajmniej tydzień poza szlakiem. To dlatego turyści z PCT tak dużo dyskutowali o filtrach i źródłach pitnej wody – w obawie, że przyjdzie im słono zapłacić za jeden fałszywy krok. Nie miałam pojęcia, gdzie Matt i Albert nabawili się tego, co ich męczyło, ale modliłam się, żebym nie złapała tego samego. Późnym popołudniem wszyscy staliśmy nad nimi, kiedy tak bladzi i osłabieni leżeli na brezencie, przekonując ich, że pora już udać się do szpitala w Ridgecrest. Zbyt chorzy, by stawiać opór, przyglądali się, jak pakujemy ich rzeczy i ładujemy plecaki na naczepę pick-upa Eda.

– Dziękuję za pomoc w odciążeniu mojego plecaka – powiedziałam do Alberta, kiedy tuż przed ich odjazdem na chwilę zostaliśmy sami. Spojrzał na mnie żałośnie

w górę ze swojego brezentowego posłania. – Sama nie dałabym sobie rady.

Uśmiechnął się nieznacznie i pokiwał głową.

– A tak przy okazji – dodałam – chciałam ci jeszcze coś powiedzieć. Wiesz, dlaczego postanowiłam ruszyć na PCT? Rozwiodłam się. Byłam mężatką i niedawno zakończyliśmy nasz związek, a poza tym cztery lata temu odeszła moja mama. Miała tylko czterdzieści pięć lat i nagle zachorowała na raka, i umarła. To był dla mnie ciężki czas i chyba się w tym wszystkim pogubiłam. Więc...

Otworzył oczy i wpatrywał się we mnie.

– Pomyślałam, że w ten sposób odnajdę równowagę. – Na chwilę zacisnęłam dłoń, czując, że zabrakło mi słów, ale i zaskoczona, że wypłynęło ich ze mnie aż tyle.

– Cóż, udało ci się teraz odnaleźć, prawda? – powiedział, siadając, a jego twarz pojaśniała nieco mimo złego samopoczucia.

Wstał i poszedł wolnym krokiem do samochodu Eda, by usiąść obok syna. Ja wdrapałam się na tył obok ich plecaków i pudła z rzeczami, których już nie potrzebowałam, i pojechałam z nimi aż do sklepu. Kiedy dotarliśmy na miejsce, Ed zatrzymał się na chwilę. Wskoczyłam wraz ze swoim pudłem i pomachałam na pożegnanie Mattowi i Albertowi, krzycząc za nimi: „Powodzenia!”.

Patrząc, jak odjeżdżają, poczułam nagłą falę czułości. Ed miał wrócić za parę godzin, ale Matta i Alberta miałam już najprawdopodobniej nigdy więcej nie zobaczyć. Następnego dnia wraz z Dougiem i Tomem ruszaliśmy w wysokie pasma Sierra Nevada, więc rano czekało mnie pożegnanie z Edem i Gregiem. Greg planował zostać dzień dłużej w Kennedy Meadows i choć byłam przekonana, że dogoni mnie na szlaku, nasze spotkanie najprawdopodobniej będzie przelotne. Później miał również zniknąć z mojego życia.

Weszłam na ganek sklepu i włożyłam do pudła z darmowymi rzeczami wszystko z wyjątkiem składanej piły, profesjonalnego flesza do aparatu i miniaturowej lornetki. Spakowałam je do pudła po przesyłce z zapasami i wysłałam do Lisy w Portland. Kiedy zaklejałam pudło taśmą, którą dał mi Ed, miałam wrażenie, że czegoś tu brakuje.

Później, kiedy szłam z powrotem do obozowiska, zdałam sobie sprawę, czego brakowało – grubego zwitka prezerwatyw.

Nie było ani jednej.

Część trzecia ŁAŃCUCH ŚWIATŁA

„Jesteśmy teraz w górach, a one w nas...”

John Muir, *My First Summer in the Sierra*

„Gdy twój Nerw zawiedzie –
Działaj ponad nim”

Emily Dickinson

Rozdział 8

Krukologia

Kennedy Meadows jest jak brama do wysokich pasm Sierra Nevada. Wczesnym rankiem następnego dnia przekroczyłam tę bramę. Doug i Tom towarzyszyli mi przez pierwsze czterysta metrów, po których musiałam się zatrzymać. Powiedziałam chłopakom, by szli dalej, bo muszę wyciągnąć coś z plecaka. Uściskaliśmy się i życzyliśmy sobie powodzenia, nie wiedząc, czy żegnamy się na zawsze, czy na piętnaście minut. Oparłam się o głaz, żeby odciążyć nieco plecy od wagi Monstrum, patrząc, jak odchodzą.

Ich odejście trochę mnie zasmuciło, choć odczułam też coś na kształt ulgi, kiedy zniknęli wśród ciemnych drzew. Nie potrzebowałam niczego wyciągnąć z plecaka. Chciałam tylko być sama. Samotność zawsze wydawała mi się realnym miejscem, jakby nie był to stan ducha, tylko pomieszczenie, w którym mogłam się skryć i być tam sobą. Radykalna samotność PCT zmieniła to odczucie. Samotność nie była już pomieszczeniem, lecz całym światem. Teraz byłam samotna w tym świecie, zamieszkując go w sposób zupełnie dla mnie nowy. Moje życie na wolności, bez dachu nad głową, sprawiało, że świat wydawał mi się jednocześnie i większy, i mniejszy. Dopiero teraz dotarł do mnie jego ogrom. Nie rozumiałam nawet, jak długi może być kilometr, dopóki go nie przeszłam na piechotę. Istniało też przeciwieństwo tego bezkresu, dziwna zażyłość, która połączyła mnie ze szlakiem. Uczucie, że sosny i kropliki, które mijałam rankiem, oraz płytkie strumyki, przez które przechodziłam, były znajome i bliskie, choć nie mijałam ich ani nie przechodziłam przez nie nigdy wcześniej.

Tego rześkiego poranka szłam do rytmu uderzeń mojego nowego kijka narciarskiego o szlak. Na plecach czułam mniejszy, ale nadal niedorzecznie wielki ciężar Monstrum, który to przechylał się, to zawisał w miejscu. Kiedy tamtego ranka wyruszyłam w drogę, miałam wrażenie, że poczuję się inaczej, a wyprawa stanie się łatwiejsza. W końcu mój plecak był lżejszy – nie tylko dzięki czystce

przeprowadzonej przez Alberta, ale również dlatego, że nie musiałam już nieść kilku butelek wody, bo dotarłam do mniej suchego fragmentu szlaku. Po półtoragodzinnym marszu zatrzymałam się jednak na odpoczynek, odczuwając znajomy ból. Zauważyłam jednak, że jak zapowiadał Greg, moje ciało nieco się wzmocniło.

Był pierwszy dzień trzeciego tygodnia na szlaku, oficjalne lato i ostatni tydzień czerwca. Znajdowałam się teraz nie tylko w innej porze roku, ale i w innej krainie, wchodząc wyżej w chroniony obszar gór, South Sierra Wilderness. Na odcinku 65 kilometrów pomiędzy Kennedy Meadows i Trail Pass wspierałam się z 1860 metrów nad poziomem morza na 3350. Nawet w upale pierwszego popołudnia na szlaku czułam powiew chłodu, który niewątpliwie otuli mnie nocą. Nie miałam żadnych wątpliwości, że jestem w Sierra – na ukochanym przez Muira „Łańcuchu Światła”. Szłam pod wielkimi ciemnymi drzewami, które spowijały cieniem rosnącą pod nimi mniejszą roślinność, i mijałam porośnięte trawami polany dzikich kwiatów. Brodziłam przez strumyki powstałe ze stopniałych śniegów, przechodząc z pomocą kijka z jednego chwiejnego kamienia na drugi. Przy tempie pieszej wędrówki Sierra Nevada wydawały się ledwie do pokonania. Zawsze mogłam zrobić kolejny krok. Dopiero gdy zobaczyłam, co jest za zakrętem, i spojrzałam na roztaczające się przede mną białe szczyty, zaczęłam wątpić w swoje możliwości i straciłam wiarę, że w ogóle dotrę do celu.

Ślady Douga i Toma pojawiały się od czasu do czasu na błotnistym na przemian i suchym szlaku. Wczesnym popołudniem spotkałam ich nad strumieniem. Gdy do nich podeszłam, na ich twarzach malowało się zaskoczenie. Usiadłam koło nich, przefiltrowałam wodę i chwilę rozmawialiśmy.

– Powinnaś rozbić dziś z nami obóz, jeśli nas dogonisz – powiedział Tom, zanim ruszyli dalej.

– Już was dogoniłam – odpowiedziałam i wszyscy się roześmialiśmy.

Wieczorem tamtego dnia przechadzałam się po niewielkiej polanie, gdzie rozbili namioty. Po kolacji podzielili się ze mną dwoma piwami, które przynieśli z Kennedy Meadows, dając mi się napić, gdy siedzieliśmy na ziemi opatuleni ubraniami. Zastanawiałam się, który z nich wziął supercienkie nienawilżane prezerwatywy, które kupiłam kilka tygodni wcześniej. Wydawało mi się, że musi to być któryś z nich.

Następnego dnia, kiedy szłam sama, natknęłam się na szerokie pasmo śniegu na stromym wzniesieniu. Ogromną lodową pokrywą, która zacierała szlak. Wyglądała jak skalne osuwisko, tylko bardziej przerażające – rzeka lodu zamiast kamieni. Gdybym się poślizgnęła, próbując ją przejść, zsunęłabym się po zboczu góry i roztrzaskała o wielkie głazy daleko w dole albo, co gorsza, spadłabym jeszcze niżej, wpadając nie wiadomo w co. Z miejsca, z którego patrzyłam – chyba w powietrze. Gdybym nie spróbowała przejść przez śnieg, musiałabym wrócić do Kennedy Meadows. Nie wydało mi się to aż tak złym pomysłem. A mimo to byłam tutaj.

„W piekle” – pomyślałam. W cholernym piekle. Wyciągnęłam czekan i zlustrowałam swoją trasę, co w praktyce oznaczało, że stałam przez kilka minut, próbując zebrać się na odwagę. Widziałam, że Doug i Tom przeszli na drugą stronę, sądząc po śladach ich butów i serii zagłębień w śniegu. Trzymałam czekan tak, jak nauczył mnie Greg, i umieściłam stopę w jednej z bruzd. Ich istnienie jednocześnie utrudniało i ułatwiało mi życie. Nie musiałam sama wybijać stopni, jednak te wyznaczone przez chłopaków znajdowały się w niewygodnych dla mnie miejscach, czasem były śliskie i tak głębokie, że buty grzęzły mi w środku, traciłam równowagę i upadałam, a czekan był tak nieporęczny, że bardziej mi przeszkadzał, niż pomagał. „Hamuj” – myślałam bezustannie, wyobrażając sobie, co bym zrobiła z czekanem, gdybym zaczęła zsuwać się po stoku. Ten śnieg różnił się od śniegu w Minnesocie. W niektórych miejscach bardziej przypominał lód niż puch. Był tak ściśle ubity, że kojarzył mi się z twardą warstwą lodu w zamrażalniku wymagającym rozmrożenia. W innych miejscach usuwał się spod nóg, bardziej brejowaty, niż z początku się wydawało.

Nie spojrzałam na skupisko głazów poniżej aż do chwili, gdy znalazłam się po drugiej stronie i znów stanęłam na błotnistym szlaku, drżąca, ale szczęśliwa. Wiedziałam, że ta mała atrakcja to tylko przedsmak tego, co jeszcze przede mną. Jeśli przy Trail Pass nie zdecyduję się zejść ze szlaku, żeby ominąć śnieg, niebawem dotrę do przełęczy Forester na wysokości 4010 metrów, czyli najwyższego punktu PCT. A jeśli nie ześlizgnę się ze zbocza, pokonując przełęcz, czeka mnie kilka kolejnych tygodni brnięcia wyłącznie po śniegu. Będzie to śnieg bardziej zdradliwy niż łąta, którą miałam za sobą, ale już nawet ten niewielki odcinek sprawił, że jasno

zobaczyłam, co mnie miało czekać dalej. Dotarło do mnie, że nie mam innego wyjścia, jak tylko obejść góry. Nie byłam dobrze przygotowana do trasy w zwykłym roku, a co dopiero w roku, w którym głębokość śniegu była dwukrotnie i trzykrotnie większa niż rok wcześniej. Tak śnieżnej zimy nie było tu od 1983 roku i miało nie być następnej przez kolejne dziesięciolecia.

Na dodatek nie tylko samym śniegiem należało się martwić. Były też rzeczy z nim związane: niebezpiecznie wzburzone potoki, przez które samotnie musiałabym przebrnąć, temperatury, które niosły zagrożenie hipotermii, świadomość, że na długich odcinkach szlaku przykrytych śniegiem musiałabym polegać tylko na mapie i kompasie, a wszystko to pogarszał fakt, że byłam sama. Nie miałam odpowiedniego sprzętu. Nie miałam wiedzy ani doświadczenia. A ponieważ szłam solo, nie miałam też prawa się mylić. Wiedziałam, że poddając się tak jak wielu innych turystów, nie zobaczę majestatu wysokich partii Sierra Nevada. Zostając tu, ryzykowałam jednak życiem.

– Schodzę przy Trail Pass – oznajmiłam Dougowi i Tomowi przy kolacji. Cały dzień szłam sama, odnotowując drugi dzień, w którym udało mi się pokonać ponaddwudziestopięciokilometrowy dystans. Chłopaków dogoniłam, dopiero kiedy rozbili obóz. – Pojadę do Sierra City i tam wrócę na szlak.

– My idziemy dalej – odparł Doug.

– Rozmawialiśmy o tym i uważamy, że powinnaś do nas dołączyć – powiedział Tom.

– Dołączyć do was? – zapytałam, wyglądając ze swojego ciemnego polarowego komina.

Miałam na sobie wszystkie kupione wcześniej ubrania, bo temperatura spadła niemal do zera. Między otaczającymi nas drzewami w miejscach osłoniętych od słońca leżały płaty śnieg.

– Samotna wyprawa nie jest bezpieczna – powiedział Doug.

– Ani ja, ani Doug nie poszlibyśmy dalej sami – dodał Tom.

– Przeprawa przez śnieg nie jest bezpieczna dla nikogo. Ani w pojedynkę, ani razem – odparłam.

- Chcemy spróbować – powiedział Tom.
- Dziękuję – powiedziałam. – Ogromnie mi miło, ale nie mogę.
- Dlaczego nie możesz? – zapytał Doug.
- Bo w mojej wyprawie chodzi o to, żeby ją odbyć samotnie.

Przez chwilę siedzieliśmy w ciszy, jedząc nasze posiłki i ściskając w odzianych w rękawiczki dłoniach ciepłe garnki pełne ryżu, fasoli albo makaronu. Było mi przykro, że musiałam im odmówić. Nie tylko dlatego, że zdecydowałam się ominąć najwyższe partie gór, ale też dlatego, że choć tak bardzo chciałam odbyć tę wyprawę sama, towarzystwo Toma i Douga mnie uspokajało. Przebywanie nocą w ich pobliżu powstrzymywało mnie od powtarzania sobie w kółko, że się nie boję, za każdym razem, kiedy usłyszałam trzask pękającej gałęzi albo kiedy wiatr huczał tak głośno, że byłam pewna, iż zaraz stanie się coś złego. Nie przyszłam tu jednak po to, by nie musieć powtarzać sobie „nie boję się”. Przyszłam tu, by stanąć ze strachem oko w oko, by zmierzyć się ze wszystkim – z tym, co zrobiłam, i z tym, co mi się przytrafiło. Włokąc się za kimś, nie mogłam tego zrobić.

Po posiłku położyłam się w namiocie z opowiadaniem Flannery O’Connor na piersi, zbyt zmęczona, by utrzymać książkę w górze. Nie chodziło tylko o to, że było mi zimno i czułam zmęczenie po całym dniu wyprawy. Na tej wysokości powietrze zrobiło się rzadsze. Mimo to nie mogłam zasnąć. W stanie przypominającym amnezję myślałam o tym, co będzie oznaczało ominięcie szczytów Sierra Nevada. W zasadzie rujnowało wszystko: moje przygotowania i rozplanowanie całych wakacji co do ostatniego pudła i posiłku. Teraz miałam przeskoczyć 720 kilometrów szlaku, które wcześniej zamierzałam przejść. W rezultacie do Ashland miałam dotrzeć na początku sierpnia, a nie w połowie września.

- Doug? – zawołałam w ciemność.

Jego namiot znajdował się na wyciągnięcie ręki od mojego.

- Co?

– Tak sobie pomyślałam, że jeśli obejdę góry, to mogę przejść w zamian cały Oregon.

Przekręciłam się na bok, żeby mieć twarz zwróconą w stronę jego namiotu,

częściowo pragnąc, żeby przyszedł się koło mnie położyć. On lub ktokolwiek inny. Było to to samo uczucie głodu i pustki, którego doznałam w motelu w Mojave, kiedy marzyło mi się czyjeś towarzystwo. Nie kogoś, kogo kochałam. Kogoś, do kogo mogłabym przycisnąć swoje ciało.

– Wiesz, jak długi jest szlak w Oregonie?

– Jakieś 800 kilometrów.

– Idealnie – powiedziałam, czując, jak serce zaczyna mi szybciej bić, zanim zamknęłam oczy i w końcu pogrążyłam się w głębokim śnie.

Następnego popołudnia Greg dogonił mnie, zanim osiągnęłam Trail Pass, moją trasę poza PCT.

– Omijam góry – przyznałam niechętnie.

– Ja też – odpowiedział.

– Naprawdę? – zapytałam z ulgą i radością.

– Za dużo tu śniegu – powiedział i oboje rozejrzeliśmy się wokoło, spoglądając na powykręcane przez wiatr sosny pośród obrzeżających szlak głązów.

Wiele kilometrów od nas widniały łańcuchy górskie i szczyty pod czystym błękitnym niebem. Najwyżej położony punkt szlaku znajdował się tylko 55 kilometrów dalej. Mount Whitney, najwyższy szczyt w kontynentalnych Stanach Zjednoczonych, był jeszcze bliżej, niedaleko od PCT.

Z Trail Pass zeszliśmy razem 3 kilometry w dół do miejsca piknikowego i kempingu w Horseshoe Meadows, gdzie natrafiliśmy na Douga i Toma i złapaliśmy okazję do Lone Pine. Nie zamierzałam się tam udawać. Część wędrowców z PCT wysyłała tam swoje pudła z zapasami, ale ja wybrałam miasteczko o nazwie Independence, 80 kilometrów szlakiem na północ. Nadal miałam ze sobą zapas jedzenia na kilka kolejnych dni, ale kiedy dotarliśmy do miasteczka, od razu poszłam do sklepu, żeby uzupełnić zapasy. Potrzebowałam tyle, żeby przetrwać 150 kilometrów szlaku z Sierra City do Belden Town. Potem natknęłam się na budkę telefoniczną, zadzwoniłam do Lisy i zostawiłam jej wiadomość na automatycznej sekretarce, wyjaśniając swój nowy plan tak szybko, jak tylko umiałam. Poprosiłam ją, żeby od razu wysłała moje pudła zaadresowane do Belden Town i wstrzymała się

z pozostałymi do czasu, gdy podam jej szczegóły nowego harmonogramu.

Kiedy odłożyłam słuchawkę, poczułam się rozbita i smutna, mniej podekscytowana przybyciem do miasta, niż przewidywałam. Szłam główną ulicą, aż znalazłam chłopaków.

– Wracamy – powiedział Doug, patrząc mi w oczy.

Poczułam ucisk w piersi, kiedy ściszałam jego i Toma na pożegnanie. W jakiś sposób ich pokochałam, ale przede wszystkim martwiłam się.

– Na pewno chcecie iść przez śnieg? – zapytałam.

– A ty na pewno nie chcesz? – odpowiedział Tom.

– Nadal masz swój amulet na szczęście – powiedział Doug, wskazując palcem czarne pióro, które dał mi w Kennedy Meadows.

Wetknęłam je pod ramię Monstrum nad prawym ramieniem.

– Będzie mi o tobie przypominać – powiedziałam, na co się roześmialiśmy.

Kiedy ruszyli w drogę, poszłam z Gregiem do sklepu wielobranżowego służącego też jako miejscowy dworzec autobusów Greyhound. Minęliśmy kilka barów, które określały się mianem prawdziwych saloonów z Dzikiego Zachodu, i sklepy, gdzie sprzedawano kowbojskie kapelusze, a w wystawowych oknach stały oprawione obrazy jeźdźców dosiadających narowiste konie na rodeo.

– Oglądałaś kiedyś *High Sierra* z Humphreym Bogartem? – zapytał Greg.

Potrząsnęłam głową.

– Nakręcili go tutaj. Jak mnóstwo innych filmów. Głównie westernów.

Nie byłam zaskoczona. Krajobraz rzeczywiście wyglądał jak z Hollywood – położona wysoko, pokryta szafwią ciągnąca się kilometrami równina, niemal w całości jałowa, skalista i pozbawiona drzew. Białe szczyty Sierra Nevada na zachód z dramatyzmem wcinały się w błękit nieba, sprawiając wrażenie zjawiskowej fasady nie z tej ziemi.

– Jest nasz transport – powiedział Greg, wskazując wielki autobus na parkingu przed sklepem.

Mylił się jednak. Nie było autobusów, które kursowały bezpośrednio do Sierra City. Musieliśmy jechać siedem godzin autobusem do Reno w Nevadzie, a potem

złapać kolejny, do Truckee w Kalifornii. Stamtąd nie mieliśmy innego wyjścia, jak tylko przejechać stopem ostatnie 70 kilometrów do Sierra City. Kupiliśmy dwa bilety w jedną stronę oraz zapas przekąsek i usiedliśmy na ciepłym betonie na skraju parkingu, czekając na autobus. Pochłonęliśmy paczki chipsów i opróżniliśmy do dna puszki napojów gazowanych, cały czas rozmawiając. Jeszcze raz omówiliśmy Pacific Crest Trail, sprzęt turystyczny i rekordowe opady śniegu, teorie ultralekkości i praktyki Raya Jardine'a i jego naśladowców – którzy teoretycznie mogli źle zinterpretować ducha tych teorii i praktyk – aż w końcu przyszła pora na nas samych. Zapytałam go o jego pracę i życie w Tacomie. Nie miał zwierząt domowych ani dzieci, tylko dziewczynę, z którą spotykał się od roku. Też była zapalonym wędrowcem. Było jasne, że jego życie jest poukładane i przemyślane. Wydawało mi się zarówno nudne, jak i zadziwiające. Nie wiedziałam, jakie wrażenie wywarło na nim moje.

Autobus do Reno był niemal pusty. Poszłam za Gregiem na środek, gdzie zajęliśmy siedzenia po przeciwnych stronach przejścia.

– Trochę się prześpię – powiedział, kiedy autobus z szarpnięciem ruszył w kierunku autostrady.

Nawet kiedy czułam się wyczerpana, nigdy nie umiałam zasnąć w poruszających się pojazdach, a teraz nie byłam nawet zmęczona. Upajałam się faktem, że znów jestem w normalnym świecie. Wyglądałam przez okno, podczas gdy Greg spał. Nikt, kto znał mnie dłużej niż tydzień, nie wiedział, gdzie się znajduję. „Jestem w drodze do Reno w Nevadzie” – pomyślałam z zachwytem. Nigdy tam nie byłam. To było chyba najbardziej niedorzeczne miejsce, do jakiego mogłam jechać, ubrana tak, jak byłam ubrana, brudna jak nieboskie stworzenie, z jednym wielkim kołtunem na głowie. Wyciągnęłam z kieszeni wszystkie pieniądze i przeliczyłam banknoty i monety, używając przy tym czołówki. Miałam czterdzieści cztery dolary i siedemdziesiąt pięć centów. Zasmucił mnie ten marny rachunek. Wydałam o wiele więcej pieniędzy, niż zakładałam. Nie brałam pod uwagę przystanków w Ridgecrest i Lone Pine ani biletu na autobus do Truckee. Kolejną gotówkę miałam odebrać dopiero za tydzień w Belden Town, ale miałam się wtedy wzbogacić tylko o dwadzieścia dolarów. Postanowiliśmy z Gregiem zanoć w motelu w Sierra

City, żeby odpocząć choć jedną noc po długiej podróży, miałam jednak przynębiające uczucie, że będę musiała zamiast tego znaleźć miejsce na kempingu.

Nie mogłam nic zrobić. Nie miałam karty kredytowej. Musiałam po prostu przetrwać z tym, co miałam. Zganiłam się za to, że nie zapakowałam do paczek więcej gotówki, uświadamiając sobie jednocześnie, że nie mogłam tego zrobić. Włożyłam do pudeł wszystkie pieniądze. Całą zimę i wiosnę zbierałam oszczędności z napiwków i sprzedawałam sporą część rzeczy, by za te pieniądze kupić jedzenie do paczek i cały sprzęt, który leżał na łóżku w motelu w Mojave. Wystawiłam też czek dla Lisy na opłacenie wszystkich paczek i kolejny na spłatę czterech najbliższych rat kredytu studenckiego za dyplom, którego nie miałam, ale za który będę płacić aż do czterdziestego trzeciego roku życia. To, co mi zostało, mogłam wydać na wyprawę.

Włożyłam pieniądze z powrotem do kieszeni, wyłączyłam lampkę i wyjrzałam przez okno na zachód, czując smutny niepokój. Czułam tęsknotę, nie wiedziałam jednak, czy za życiem, które dawniej wiodłam, czy za szlakiem PCT. Na tle nieba spowitego światłem księżyca ledwie mogłam dostrzec ciemną sylwetkę Sierra Nevada. Znowy wyglądały jak ściana nie do pokonania, tak jak kilka lat wcześniej, kiedy podróżując z Paulem, zobaczyłam je po raz pierwszy. Teraz jednak nie czułam, żeby były nie do pokonania. Mogłam sobie wyobrazić siebie na nich, przy nich, pośród nich. Wiedziałam już, jak to jest poruszać się po nich krok po kroku. Wrócę w nie, jak tylko wydostanę się z Sierra City. Omijałam High Sierra – sekwoje, parki narodowe Kings Canyon i Yosemite, Tuolumne Meadows, Desolation Wilderness i wiele innych miejsc – jednak nadal miałam wędrować 160 kilometrów przez Sierra Nevada, zanim wejdę w Góry Kaskadowe.

Do czwartej nad ranem, kiedy autobus zatrzymał się na dworcu w Reno, nie zmrużyłam oka ani na minutę. Mieliśmy z Gregiem godzinę do przyjazdu kolejnego autobusu, tym razem do Truckee, niewyspani włączyliśmy się więc z plecakami po małym kasynie przy dworcu. Byłam zmęczona, ale podekscytowana i piłam gorącego liptona ze styropianowego kubka. Greg grał w blackjacka i wygrał trzy dolary. Wygrzebałam z kieszeni trzy dwudziestopięciocentówki i zagrałam w jednorękiego bandytę, ale wszystko przegrałam.

Greg uśmiechnął się do mnie z miną „a nie mówiłem”, jakby już wcześniej to

przewidział.

– Nigdy nie wiadomo – odparłam. – Kiedyś byłam w Vegas, tylko przejazdem kilka lat temu, i zagrałam dziesięciocentówką, a wygrałam sześćdziesiąt dolarów.

Nie zrobiło to na nim wrażenia.

Poszłam do toalety. Kiedy szczotkowałam zęby przed oświetlonym fluorescencyjnymi lampami lustrem nad rzędem umywalek, jakaś kobieta powiedziała:

– Podoba mi się twoje pióro. – I wskazała plecak.

– Dzięki – odpowiedziałam, a nasze spojrzenia spotkały się w lustrze.

Była blada, miała brązowe oczy, garbaty nos i długi warkocz, który zwisał jej na plecach. Miała na sobie ręcznie farbowaną koszulkę, połataną, obciętą jeansy i sandały Birkenstock.

– Dał mi je dobry znajomy – wymamrotałam, czując, jak pasta skapuje mi po brodzie. Czuję się, jakbym całe wieki nie rozmawiała z kobietą.

– To na pewno krukowatego – powiedziała, gładząc pióro dłonią. – Kruka albo wrony, symbol pustki – dodała mistycznym głosem.

– Pustki? – zapytałam zawiedziona.

– To dobry symbol – powiedziała. – To w pustce rodzą się różne rzeczy, tam się zaczynają. Pomyśl tylko o tym, jak czarne dziury chłoną energię, a potem dają jej upust w nowej, ożywionej formie. – Przerwała, patrząc mi znacząco w oczy. – Mój były partner jest ornitologiem – wyjaśniła eterycznym tonem. – Zajmuje się krukologią. Pisał pracę o krukach, a ponieważ mam magistra z literatury, musiałam przeczytać te wypociny jakieś dziesięć razy, wiem więc o krukach więcej, niż trzeba. – Kobieta odwróciła się do lustra i przyglądała czarne włosy. – Jedziesz może na spotkanie Tęczowego Kręgu?

– Nie, ja...

– Powinnaś pojechać. Jest naprawdę fajnie. Krąg zbiera się w lesie Shasta-Trinity nad jeziorem Toad.

– W zeszłym roku byłam na Tęczowym Kręgu w Wyoming – powiedziałam.

– Ekstra – odparła, z tym charakterystycznym zaciągnięciem, z którym mówi się

„ekstra”. – Szerokiej drogi – powiedziała i ścisnęła mnie za ramię. – Krukologia! – zakrzyknęła radośnie, zmierzając w stronę drzwi i podnosząc kciuk na znak uznania dla mnie i mojego pióra.

O ósmej byliśmy z Gregiem w Truckee. O jedenastej nadal staliśmy na rozpalonym poboczu drogi i próbowaliśmy złapać okazję do Sierra City.

– HEJ! – krzyczałam zapalczywie do vana marki Volkswagen, który ze świstem przejechał koło nas, podobnie jak przynajmniej sześć innych w ciągu ostatnich paru godzin.

To, że nie brali nas ludzie prowadzący „ogórki”, szczególnie mnie oburzało.

– Pieprzeni hipisi – powiedziałam do Grega.

– Myślałem, że ty też jesteś hipiską – odparł.

– Jestem. W pewnym sensie, ale tylko trochę.

Usiadłam na żwirowym poboczu i poprawiłam sznurówkę. Nie podniosłam się z powrotem. Kręciło mi się w głowie ze zmęczenia. Nie spałam od półtora dnia.

– Powinnaś odejść trochę dalej i stanąć sama – powiedział Greg. – Nie będę miał nic przeciwko. Gdybyś była tu w pojedynkę, już dawno byłabyś w drodze.

– Nie – odparłam, choć wiedziałam, że ma rację.

Samotna kobieta jest mniejszym zagrożeniem niż podróżująca para. Ludzie chcą pomóc samotnej kobiecie. Albo dobrać się jej do majtek. Teraz byliśmy jednak razem i tak miało pozostać. Godzinę później przy drodze zatrzymał się samochód, więc włądownaliśmy się do środka i ruszyliśmy do Sierra City. Była to malownicza osada, w której znajdowało się nie więcej niż dwanaście drewnianych budynków, przycupniętych na wysokości 1280 metrów. Miasteczko było wciśnięte pomiędzy północną część rzeki Yuba i górujące nad nim Sierra Buttes, których brązowe pagórki odcinały się od błękitu północnego nieba.

Wysiedliśmy przy sklepie wielobranżowym w centrum miasteczka, uroczym, staroświeckim miejscu, gdzie turyści, którzy o weekend wcześniej rozpoczynali świętowanie 4 Lipca, siedzieli na odmalowanym frontowym ganku, jedząc lody w wafelkach.

– Kupujesz lody? – zapytał Greg, wyciągając z kieszeni kilka dolarów.

– Nie, może później – powiedziałam, starając się utrzymać lekki ton głosu, by ukryć desperację.

Oczywiście, że chciałam lody. Tylko nie miałam odwagi ich kupić, bojąc się, że nie będzie mnie stać na pokój. Gdy weszliśmy do zatłoczonego sklepiku, starałam się nie patrzeć na jedzenie. Stałam blisko kasy, oglądając pobieżnie turystyczne broszurki, podczas gdy Greg robił zakupy.

– Całe miasto zostało zmiecione przez lawinę w 1852 roku – powiedziałam, wachlując się połyskującą ulotką, kiedy wrócił. – Śnieg zszedł ze Sierra Buttes.

Oblizując czekoladowy rożek, Greg pokiwał głową, jakby już wcześniej o tym wiedział. Odwróciłam wzrok, nie mogąc znieść tej małej tortury.

– Mam nadzieję, że nie będziesz miał nic przeciw, ale muszę znaleźć nocleg, który jest tani. Mam na myśli dzisiejszą noc.

Powinnam raczej znaleźć miejsce, które jest darmowe, ale byłam zbyt zmęczona, żeby nawet rozważać rozbijanie namiotu. Ostatnim razem, gdy w nim spałam, byłam w górach Sierra na PCT.

– Może tu? – Greg wskazał stary drewniany budynek po drugiej stronie ulicy.

Na dole znajdowały się bar i restauracja, na górze pokoje do wynajęcia ze wspólnymi łazienkami. Była dopiero trzynasta trzydzieści, ale kobieta za barem pozwoliła nam się wcześniej zameldować. Po opłaceniu pokoju zostało mi trzynaście dolarów.

– Dziś wieczorem zjemy razem na dole? – zapytał Greg, gdy doszliśmy do naszych sąsiadujących ze sobą pokoi.

– Jasne – odpowiedziałam, rumieniąc się delikatnie.

Nie był w moim typie, ale – choć to absurdalne – miałam nadzieję, że ja jestem w jego. Może to on wziął moje prezerwatywy? Myśl ta wywołała u mnie dreszczyk podniecenia.

– Możesz iść pierwsza, jeśli chcesz – powiedział, wskazując koniec korytarza, gdzie znajdowała się łazienka, którą dzieliliśmy z pozostałymi mieszkańcami piętra.

Na razie wyglądało na to, że jesteśmy jedynymi gośćmi.

– Dzięki – odpowiedziałam, otwierając drzwi do swojego pokoju i wchodząc do

środku. Pod ścianą znajdowała się staroświecka drewniana komoda z okrągłym lustrem, a pod drugą podwójne łóżko z lekko zdezelowaną szafką nocną i krzesłem w pobliżu. Z sufitu zwisała goła żarówka. Postawiłam Monstrum na ziemi i usiadłam na łóżku. Zaskrzypiało, zapadło się i zakołysało niepewnie pod moim ciężarem, ale i tak czułam się wybornie. Moje ciało niemal czuło ból od przyjemności siedzenia. Obozowe krzesło, które stanowiło też moją karimatę, nie okazało się szczególnie miękkie. Większość nocy na PCT przespałam głębokim snem nie dlatego, że było mi wygodnie. Byłam po prostu zbyt wyczerpana, żeby się przejmować.

Chciałam zasnąć, ale ręce i nogi miałam pokryte brudem, a mój odór był powalający. Położenie się do łóżka w takim stanie byłoby zbrodnią. Nie myłam się porządnie od noclegu w Ridgecrest. Poszłam na koniec korytarza do łazienki. Nie było tam prysznicza, tylko wielka porcelanowa wanna na nóżkach i półeczka pełna poskładanych ręczników. Wzięłam jeden z nich i zanurzyłam nos w jego pachnącej proszkiem miękkości, po czym zdjęłam ubrania i spojrzałam na siebie w stojącym lustrze.

Stanowiłam zaskakujący widok.

Nie przypominałam kobiety, która przez ostatnie trzy tygodnie wędrowała z plecakiem po lasach i górach. Byłam bardziej jak ofiara brutalnego i dziwaczego przestępstwa. Moje ręce, nogi, plecy i pośladki były upstrzone siniakami w odcieniach od żółci po czerń, jakby pobito mnie kijem. Biodra i ramiona pokrywały pęcherze i wysypka, zaognione obrzęki i ciemne strupy w miejscach, w których skóra pękła po otarciu od plecaka. Pod siniakami, ranami i brudem widziałam zarys mięśni, a tam, gdzie moje ciało było niegdyś miękkie, zrobiło się bardziej napięte.

Napełniłam wannę wodą, weszłam do środka i wyszorowałam się myjką i mydłem. Po kilku minutach woda zrobiła się tak ciemna od brudu i krwi, które z siebie zmyłam, że musiałam ją wypuścić i napełnić wannę ponownie.

Podczas drugiej kąpieli mogłam swobodnie się oprzeć, czując wdzięczność tak ogromną jak jeszcze nigdy wcześniej. Po chwili zaczęłam przyglądać się swoim stopom. Były całe w pęcherzach i poobijane, a kilka paznokci zdążyło całkiem czernieć. Dotknęłam jednego i zauważyłam, że niemal zupełnie odszedł od palca. Ten palec od dawna dawał mi się we znaki, puchnąc coraz bardziej, jakby paznokciec

miał w końcu odprysnąć, ale teraz bolał tylko odrobinę. Kiedy pociągnęłam za płytkę, zeszała od razu, przy jednym ostrym ukłuciu bólu. Na jej miejscu znajdowała się warstwa, która nie przypominała ani paznokcia, ani skóry. Była przeźroczysta i nieco błyszcząca, jak mały kawałeczek folii spożywczej.

– Zszedł mi paznokieć – oznajmiłam Gregowi przy kolacji.

– Schodzą ci paznokcie? – zapytał z niedowierzaniem.

– Tylko jeden – powiedziałam ponurym tonem, świadoma, że najprawdopodobniej stracę kolejne, co potwierdzało jedynie, jaka wielka ze mnie idiotka.

– Może masz za małe buty – powiedział w chwili, gdy kelnerka podała nam dwa talerze spaghetti i koszyczek pieczywa czosnkowego.

Zamierzałam zamówić z rozsądkiem, zwłaszcza że wydałam kolejne pięćdziesiąt centów na pranie, idąc razem z Gregiem. Kiedy jednak usiedliśmy przy stoliku, nie byłam w stanie powstrzymać się od powtarzania każdego jego ruchu – zamówiłam rum z colą do obiadu i zgodziłam się na chleb czosnkowy. Usiłowałam nie dać po sobie poznać, że jedząc, w głowie próbuję oszacować nasz rachunek. Greg wiedział już, jak bardzo byłam nieprzygotowana do wyprawy na PCT. Nie musiał wiedzieć, że była i inna dziedzina, w której nie grzeszyłam rozsądkiem.

A jednak nie grzeszyłam. Dostaliśmy rachunek, dorzuciliśmy napiwek i podzieliliśmy całość przez dwa. Zostało mi sześćdziesiąt pięć centów.

Gdy po kolacji wróciłam do pokoju, otworzyłam przewodnik *The Pacific Crest Trail*, tom 1: *California*, żeby przeczytać o następnym odcinku szlaku. Kolejny przystanek miał nastąpić w Belden Town, gdzie będzie czekało na mnie pudło z zapasami, a w nim dwadzieścia dolarów. Mogłam przecież dostać się do Belden z sześćdziesięcioma pięcioma centami w kieszeni, prawda? „Będę przecież w głuszy, gdzie nie ma miejsc na wydawanie pieniędzy” – przekonywałam sama siebie, choć nadal czułam niepokój. Napisałam list do Lisy, prosząc, żeby kupiła mi i wysłała przewodnik o części PCT biegnącej przez Oregon, korzystając z pieniędzy, które jej zostawiłam. Zmieniłam kolejność paczek, które będę od niej dostawać przez pozostałą część Kalifornii, upewniając się, że niczego nie pomyliłam, a także

uzgadniając kilometry z datami i miejscami.

Kiedy wyłączyłam światło i ułożyłam się do snu na skrzypiącym łóżku, słyszałam, jak za ścianą Greg wierci się na swoim. Był tak wyraźnie blisko, a jednocześnie daleko. Słyszając go, poczułam się taka samotna, że gdybym tylko sobie na to pozwoliła, zaczęłabym wyć z bólu. Nie do końca wiedziałam dlaczego. Niczego od niego nie chciałam, ale jednocześnie pragnęłam wszystkiego. Co by zrobił, gdybym zapukała do jego drzwi? Co bym zrobiła, gdyby wpuścił mnie do środka?

Wiedziałam dobrze, co bym zrobiła. Robiłam to już tyle razy.

– W kwestii seksualności jestem jak facet – powiedziałałam terapeutce, z którym odbyłam parę sesji w zeszłym roku.

Miał na imię Vince i był wolontariuszem w przychodni w centrum Minneapolis, gdzie ludzie tacy jak ja mogli porozmawiać ze specjalistą za dziesięć dolarów za godzinę.

– A jacy są faceci? – zapytał.

– Emocjonalnie obojętni – odpowiedziałam. – A przynajmniej wielu z nich takich jest. Ja też. W kwestii seksu potrafię być zupełnie niezaangażowana.

Spojrzałam na Vince'a. Był koło czterdziestki, miał przedzielone po środku przedziałkiem ciemne włosy, które po bokach twarzy zwisały mu jak dwa starannie uczesane skrzydełka. Nie pociągał mnie, ale gdyby podszedł do mnie i mnie pocałował, to odwzajemniłabym ten pocałunek. Zrobiłabym wszystko.

Nie wstał jednak. Pokiwał tylko głową, nic nie mówiąc. Jego milczenie wyrażało zarówno sceptycyzm, jak i wiarę.

– Kto był w stosunku do ciebie niezaangażowany? – odezwał się w końcu.

– Nie wiem – odparłam, uśmiechając się, jak miałam w zwyczaju, gdy czułam się niezręcznie.

Nie patrzyłam prosto na niego. Zamiast tego utkwiałam wzrok w oprawionym plakacie, który wisiał za jego plecami: czarnym prostokącie z białą spiralą, która miała przedstawiać Drogę Mleczną. Widniała nad nią strzałka, która wskazywała punkt gdzieś w środku, a nad nią napis „JESTEŚ TUTAJ”. Ten motyw był wszechobecny na koszulkach i plakatach i zawsze nieco mnie irytował, może dlatego,

że nie wiedziałam, jak go interpretować – czy miał być zabawny, czy miał sugerować wagę naszego życia czy właśnie jej brak.

– Nikt nigdy ze mną nie zerwał, jeśli o to pytasz – powiedziałam. – To ja zawsze kończyłam związki.

Nagle zrobiło mi się gorąco. Zdałam sobie sprawę, że siedzę z zaplecionymi rękami i nogami niczym w pozycji określonej w jodze jako orzeł, beznadziejnie powykręcana. Próbowałam się rozluźnić i usiąść normalnie, ale było to niemożliwe. Niechętnie spojrzałam mu w oczy.

– Czy to ten moment, kiedy mam ci opowiedzieć o swoim ojcu? – zapytałam, sztucznie się śmiejąc.

To mama zawsze znajdowała się w moim centrum, ale w tamtym pokoju z Vince'em nagle poczułam obecność ojca, jak kołek wbity prosto w serce. „Nienawidzę go” – mówiłam jako nastolatka. Teraz nie wiedziałam, co do niego czuję. Przypominał film, bez przerwy odtwarzany w mojej głowie, którego narracja była niepełna i schematyczna. Rozgrywały się w nim wielkie, dramatyczne sceny i niezrozumiałe momenty nieumiejscowione w czasie, może dlatego, że większość tego, co pamiętałam, zdarzyła się w pierwszych sześciu latach mojego życia. Ojciec, który w gniewie rozbijał o ścianę talerze pełne jedzenia. Ojciec, który dusił matkę, jednocześnie siedząc na niej okrakiem i uderzając jej głową o ścianę. Ojciec, który w środku nocy wyrwał z łóżek moją siostrę i pięcioletnią mnie, pytając, czy wyjechałybyśmy z nim na zawsze, podczas gdy mama stała obok, cała we krwi, tuląc do piersi mojego maleńkiego braciszka i błagając, by przestał. Kiedy w odpowiedzi zaczynałyśmy płakać, padał na kolana i przyciskał czoło do podłogi, krzycząc tak rozpaczliwie, że byłam przekonana, iż za chwilę wszyscy umrzemy.

Pewnego razu w środku swoich tyrad zagroził, że wygoni moją matkę i jej bachory nago na ulicę, jakbyśmy nie byli też i jego dziećmi. Mieszkaliśmy wtedy w Minnesocie. Nadeszła zima, a ja byłam w takim wieku, kiedy wszystko odbiera się dosłownie. Wiedziałam, że go na to stać. Wyobraziłam sobie naszą czwórkę, jak nago i z piskiem biegniemy przez lodowaty śnieg. Kiedy mieszkaliśmy w Pensylwanii, kilka razy zatrzasnął drzwi przede mną, Karen i Leifem, gdy mama była w pracy, a on miał się nami zajmować, ale nie dawał sobie rady. Kazał nam wtedy iść na tyły domu

i zamykał drzwi. Trzymałyśmy z Karen naszego ledwie chodzącego braciszka za jego lepkie rączki. Szłyśmy po trawie, zanosząc się płaczem, a potem zapominałyśmy o tym, że się boimy, i bawiłyśmy się w dom i kowbojki. Później wściekle i znudzone szłyśmy do tylnych drzwi i waliłyśmy w nie pięściami, wrzeszcząc niemiłosiernie. Dokładnie pamiętam te drzwi, a także trzy stopnie, które do nich prowadziły, i to, jak musiałam stanąć na palcach, żeby zerknąć przez szybę.

Dobre wspomnienia nie tworzą filmu. Nie wystarczyłoby ich na całą szpulę. Dobre rzeczy są jak wiersz niewiele dłuższy od haiku. Jego miłość do Johnny'ego Casha i Everly Brothers. Czekoladowe batoniki, które nam przynosił, kiedy pracował w sklepie. Wszystko, czego chciał dokonać, jego pragnienia tak nieskrywane i żalose, że już jako dziecko wyczuwałam je i było mi go żal. Pamiętam, jak śpiewał piosenkę Charliego Richa: „Czy widziałeś może najpiękniejszą dziewczynę na świecie?”. Mówiąc, że to o mnie, mojej siostrze i naszej mamie, bo byłyśmy najpiękniejsze na świecie. Ale nawet te obrazy są zniekształcone. Mówił tak tylko wtedy, kiedy chciał udobruchać mamę, kiedy deklarował, że od teraz wszystko się zmieni, kiedy obiecywał, że już nigdy więcej nie zachowa się tak, jak miał w zwyczaju.

Zawsze łamał tę obietnicę. Był kłamcą i czarusem, uwodzicielem i brutalem.

Mama pakowała nas i zostawiała go, po czym wracała, odchodziła od niego i znów wracała. Nigdy nie wyjeżdżaliśmy daleko. Nie mieliśmy gdzie się podziąć. Nie mieliśmy rodziny w pobliżu, a mama była zbyt dumna, by mieszać w to przyjaciół. Pierwsze schronisko dla ofiar przemocy domowej otwarto w USA dopiero w 1974 roku, w tym samym, w którym mama ostatecznie odeszła od ojca. Zamiast tego jeździliśmy całą noc samochodem. Moja siostra i ja spałyśmy na tylnym siedzeniu i budziłyśmy się przy obcych zielonych światelkach deski rozdzielczej, a Leif siedział z przodu z mamą.

Rankiem znów byliśmy w domu. Ojciec trzeźwiał i robił nam jajecznicę, a po chwili zaczął śpiewać piosenkę Charliego Richa.

Mama w końcu postanowiła się z nim rozstać, kiedy miałam sześć lat, rok po tym, jak wszyscy przeprowadziliśmy się z Pensylwanii do Minnesoty. Płakałam i błagałam ją, by tego nie robiła. Rozwód wydawał mi się najgorszą rzeczą, jaka mogła się

przydarzyć. Mimo wszystko kochałam ojca i wiedziałam, że jeśli mama się z nim rozwiedzie, stracę go na zawsze. Miałam rację. Po ich rozstaniu my zostaliśmy w Minnesocie, a on powrócił do Pensylwanii i kontaktowaliśmy się sporadycznie. Raz lub dwa razy do roku przychodził od niego zaadresowany do Karen, Leifa i do mnie list, którego kopertę z radością rozrywaliśmy. W środku czekał nas jednak wywód na temat naszej matki, jaką była dziwką, jaką głupią, jadącą na opiece społecznej suką. Przysięgał, że kiedyś nas dorwie. Że kiedyś wszyscy mu zapłacimy.

– Nie zapłaciliśmy – powiedziałałam Vince’owi na naszej drugiej i ostatniej sesji. Następnym razem, gdy go zobaczyłam, wyjaśnił, że odchodzi i da mi nazwisko i numer innego terapeuty. – Po tym, jak rodzice się rozwiedli, zdałam sobie sprawę, że nieobecność ojca w moim życiu była, co smutne, dobra. Skończyły się sceny przemocy – powiedziałałam. – Tylko pomyśl, jak wyglądałoby moje życie, gdyby wychowywał mnie ojciec.

– Tylko pomyśl, co by było, gdyby wychowywał cię ojciec, który by cię kochał całym sercem – skontrował Vince.

Próbowałam to sobie wyobrazić, ale mój mózg odmawiał współpracy. Nie potrafiłam ułożyć listy cech. Nie potrafiłam zwizualizować miłości ani bezpieczeństwa, pewności ani poczucia przynależności. Ojciec, który kochał córkę całym sercem, był czymś więcej niż sumą tych cech. Był jak biały wir na plakacie z hasłem „JESTEŚ TUTAJ” za plecami Vince’a. Był jedną wielką, niewytłumaczalną całością zawierającą w sobie miliony rzeczy, a ponieważ nigdy nie miałam prawdziwego ojca, bałam się, że nigdy się nie odnajdę pośród tego wielkiego białego wiru.

– A twój ojczym? – zapytał Vince. Zerknął na notatki, które trzymał na kolanach, czytając to, co nagryzmolił, przypuszczalnie o mnie.

– Eddie. Też przestał się angażować – powiedziałałam lekko, jakby to nic dla mnie nie znaczyło i było nawet zabawne. – To długa historia – powiedziałałam, patrząc w stronę zegara, który wisiał niedaleko plakatu „JESTEŚ TUTAJ”. – A nasz czas dobiegł końca.

– Upiekło ci się – powiedział Vince i oboje się roześmialiśmy.

W przyćmionych światłach Sierra City, które wpadały do mojego pokoju, widziałam zarys Monstrum i pióra od Douga, które wcisnęłam pod ramę plecaka. Myślałam o krukologii. Zastanawiałam się, czy pióro rzeczywiście jest symbolem, czy zwykłym przedmiotem, który niosę ze sobą. Byłam fatalnym wierzącym i nie lepszym niedowiarkiem. Byłam równie poszukująca, jak sceptyczna. Nie wiedziałam, gdzie ulokować swoją wiarę i czy w ogóle istniało coś, w co mogłam uwierzyć. Nie wiedziałam też, co w całej swojej złożoności oznacza słowo „wiara”.

– Jesteś poszukiwaczem – powiedziała mi mama w ostatnim tygodniu swojego życia, leżąc na szpitalnym łóżku. – Jak ja.

Nie wiedziałam jednak, czego dokładnie mama poszukiwała. Czy w ogóle czegoś poszukiwała? Było to jedyne pytanie, którego jej nie zadałam, ale nawet gdyby mi powiedziała, nie dowierzałabym, naciskając, żeby wyjaśniła mi, czym jest sfera duchowa, jak można udowodnić jej istnienie. Wątpiłam nawet w to, co można było zweryfikować. Po śmierci mamy wszyscy mówili, że powinnam pójść do terapeuty i ostatecznie – znalazłszy się na rok przed wyprawą na samym dniu – poszłam. Nie wytrwałam jednak w wierze. Nigdy nie zadzwoniłam do terapeuty, którego polecił mi Vince. Miałam problemy, których nie mógł rozwiązać psycholog. Była we mnie rozpacz, której nie dało się złagodzić miłą rozmową na kozetce.

Wstałam z łóżka, owinęłam się ręcznikiem i stąpając bosą po korytarzu, przeszłam koło drzwi Grega. W łazience zamknęłam za sobą drzwi, odkręciłam kran w wannie i zanurzyłam się po szyję. Gorąca woda działała jak magia. Jej szum wypełniał pomieszczenie do chwili, gdy zakręciłam kurek. Cisza, która nastąpiła, była jeszcze głębsza niż wcześniej. Oparłam się o idealnie wyprofilowaną porcelanę wanny i patrzyłam w sufit, aż usłyszałam pukanie do drzwi.

– Tak? – odezwałam się, ale nie usłyszałam odpowiedzi, tylko dźwięki kroków z powrotem w głąb korytarza. – Ktoś tu jest – zawołałam, choć było to oczywiste.

Ktoś tu jest. Ja. Ja tu jestem. Poczułam to tak, jak od dawna nie czułam: siebie w sobie, na właściwym miejscu przepastnej Drogi Mlecznej.

Sięgnęłam po myjkę z półeczki koło wanny i jeszcze raz się umyłam, choć byłam już czysta. Wyszorowałam twarz, szyję i kark, klatkę piersiową i brzuch, plecy i pupę, ramiona, nogi i stopy.

„Pierwszą rzeczą po urodzeniu każdego z was było ucałowanie wszystkich waszych części ciała – mówiła mama mnie i mojemu rodzeństwu. – Policzyłam wasze paluszki u rąk i nóg i rzęsy. Śledziłam palcem linie na waszych dłoniach”.

Nie pamiętałam tego, ale też nie zapomniałam. Te słowa były taką częścią mnie jak groźby ojca, że wyrzuci mnie przez okno. A nawet większą.

Położyłam się, zamknęłam oczy i pozwoliłam, żeby moja głowa całkowicie zanurzyła się w wodzie. Poczułam to, co czułam, zanurzając się w wodzie jako dziecko – jak gdyby znany mi świat łazienki zniknął i stał się przez sam akt zanurzenia obcym i tajemniczym miejscem. Jego zwyczajne dźwięki i wrażenia stawały się stłumione, odległe, abstrakcyjne, podczas gdy inne odgłosy i wrażenia, których zazwyczaj nie słyszałam ani nie czułam, nagle znajdowały się na pierwszym planie.

Dopiero zaczęłam. Moja wyprawa trwała tylko trzy tygodnie, ale wszystko we mnie wydawało się zmienione. Leżałam w wodzie tak długo, jak mogłam wytrzymać bez oddychania, sama w dziwnej nowej krainie, a prawdziwy świat wokół mnie istniał dalej.

Rozdział 9

Pozostać na mapie

Zrobiłam objazd. Przejechałam obok. Byłam już bezpieczna. Przeskoczyłam śnieg. Przez resztę Kalifornii, jak mi się wydawało, przejdę bez trudu. A potem przez Oregon i Waszyngton. Moim nowym celem był most, który biegł nad rzeką Kolumbia, stanowiącą granicę pomiędzy tymi dwoma stanami. Bridge of the Gods – Most Bogów. Znajdował się 1620 kilometrów ode mnie. Do tej pory przeszłam 270, ale stale poprawiałam tempo.

Rankiem Greg i ja opuściliśmy Sierra City i przeszliśmy poboczem drogi prawie 2,5 kilometra, aż doszliśmy do miejsca, gdzie krzyżowała się ona z PCT. Zostaliśmy razem jeszcze kilka minut, po czym przystanęliśmy, by się pożegnać.

– To górskie nieszczęście – powiedziałam, pokazując niskie zielone krzewy po bokach szlaku. – Tak przynajmniej nazywa je przewodnik. Miejmy nadzieję, że to nie dosłowna nazwa.

– Może być dosłowna – odparł Greg i miał rację.

Szlak pokonywał różnicę wysokości 914 metrów na odcinku 13 kilometrów. Byłam przygotowana na cały dzień marszu. Monstrum było wyładowane jedzeniem na tydzień.

– Powodzenia – powiedział Greg, gdy jego brązowe oczy spotkały się z moimi.

– Tobie też. – Uścisnęłam go mocno.

– Nie daj się, Cheryl – dorzucił, ruszając w dalszą drogę.

– Ty też – zawołałam za nim, jak gdyby miało być inaczej.

W ciągu dziesięciu minut zniknął mi z oczu.

Cieszyłam się, że jestem z powrotem na szlaku. Ośnieżone szczyty i ostre granie High Sierra znajdowały się poza zasięgiem wzroku, ale szlak wydawał mi się taki sam. W pewnym sensie wyglądał nawet tak samo. Mimo wszystkich niekończących się gór i pustynnych krajobrazów, które widziałam, najbardziej znajoma była mi nieco ponadpółmetrowa ścieżka, do której moje oczy były niemal zawsze przystosowane,

wypatrując korzeni i gałęzi, węży i kamieni. Czasem szlak był piaszczysty, innymi razy skalisty, błotnisty lub żwirowaty albo wyłożony niekończącymi się warstwami sosnowych igieł. Mógł być czarny, brązowy, szary albo złocisty jak miód, ale zawsze był to PCT. Moja baza.

Szłam przez las pełen sosen, dębów i cedrzyńców, potem przeszłam przez zagajnik daglezji, a szlak serpentyną kierował się coraz wyżej. Przez cały słoneczny poranek nie spotkałam po drodze nikogo, choć czułam niewidzialną obecność Grega. Z każdym kilometrem to uczucie bledło i wyobrażałam sobie, jak coraz bardziej mnie wyprzedza, idąc swoim tradycyjnym błyskawicznym tempem. Z cieniściego lasu szlak prowadził na odsłonięte pasmo górskie, skąd widziałam ciągnący się kilometrami kanion i jego skaliste ściany. W południe osiągnęłam wysokość ponad 2130 metrów i szlak zrobił się błotnisty, choć od wielu dni nie padało. Kiedy minęłam zakręt, zobaczyłam pole pokryte śniegiem. A właściwie coś, co wzięłam za pole, co sugerowało, że gdzieś się ono kończy. Stałam na jego krawędzi, szukając w śniegu śladów Grega, ale nie dopatrzyłam się ich. Śnieg nie leżał na zboczu wzgórza, tylko na równinie pośród rzadkiego lasu – i dobrze, bo nie miałam już ze sobą czekana. Tamtego poranka zostawiłam go w pudle z darmowymi rzeczami na poczcie w Sierra City, kiedy z Gregiem opuszczaliśmy miasto. Nie miałam pieniędzy, żeby odesłać go do Lisy, czego bardzo żałowałam, biorąc pod uwagę jego koszt, ale nie miałam też ochoty nieść go dalej, przekonana, że na nic mi się już nie przyda.

Wbiłam kijek narciarski w śnieg, z poślizgiem weszłam na oblodzoną powierzchnię i zaczęłam iść, co było wyczynem, który udawało mi się tylko od czasu do czasu osiągnąć. Miejscami sunęłam po powierzchni, w innych znów zapadałam się do połowy łydki. Nie minęło wiele czasu, gdy w butach miałam śnieg po kostki, a dolne partie łydek piekły mnie z zimna, jakby ktoś zdrapał z nich skórę tępym nożem.

Martwiło mnie to jednak mniej niż fakt, że nie widziałam zasypanego śniegiem szlaku. Droga wydawała się dość wyraźna, zapewniałam samą siebie, trzymając w dłoniach strony przewodnika i przystając co chwila, by dokładnie przestudiować każde słowo. Po godzinie zatrzymałam się, ogarnięta nagłym strachem. Czy nadal byłam na PCT? Nieustannie szukałam wzrokiem małych srebrnych metalowych

znaczków w kształcie rąbu, które od czasu do czasu były przyczepione do drzew, nie znalazłam jednak ani jednego. Niekoniecznie był to powód do paniki. Przekonałam się wcześniej, że na tych oznaczeniach nie do końca można było polegać. Na niektórych odcinkach pojawiały się co kilka kilometrów, na innych całymi dniami szłam, nie napotykając ani jednego.

Z kieszonki szortów wyciągnęłam mapę topograficzną. Wraz z nią wypadła mi z kieszeni pięciocentówka i wylądowała w śniegu. Sięgnęłam po nią, schylając się chwiejnie pod ciężarem plecaka, ale gdy tylko musnęłam monetę palcami, zapadła się głębiej i zniknęła. Przekopałam rękami śnieg w jej poszukiwaniu, ale przepadła na dobre.

Teraz miałam już tylko sześćdziesiąt centów.

Przypomniałam sobie pięciocentówkę z Vegas, tę, którą wygrałam sześćdziesiąt dolarów na jednorękim bandycie. Roześmiałam się głośno na tę myśl, czując, jakby te dwie monety coś łączyło, choć nie mogłam tego wytłumaczyć. Do głowy przysła mi tylko jedna głupawa myśl. Może utrata pięciocentówki była dobrą wróżbą, tak jak czarne pióro, które choć oznaczało pustkę, było czymś pozytywnym. Może nie znajdowałam się wcale pośrodku czegoś, czego tak bardzo starałam się uniknąć. Może za następnym zakrętem będę bezpieczna.

Ubrana tylko w szorty i przesiąknięty potem T-shirt, zaczęłam drzeć, ale nie śmiałam iść dalej, dopóki nie ustaliłam swojego położenia. Rozłożyłam strony przewodnika i przeczytałam, co autorzy *The Pacific Crest Trail*, tom 1: *California*, mieli do powiedzenia o tym odcinku szlaku. „Idąc po grani biegnącej wzdłuż szlaku, napotykamy równomierne, obrzeżone krzakami podejście – napisane było w przewodniku. – W końcu szlak wychodzi na płaską, otwartą, porośniętą lasem równinę...” Obróciłam się powoli i rozejrzałam dokładnie. Czy to była ta lesista równina? Mogłoby się wydawać, że odpowiedź będzie prosta, nie było to jednak takie oczywiste. Jasne było tylko to, że wszystko leży pod śniegiem.

Sięgnęłam po kompas, który wisiał na lince z boku plecaka przy najgłośniejszym gwizdku na świecie. Nie korzystałam z kompasu od dnia, kiedy szłam drogą w pierwszym tygodniu podróży. Odczytywałam go równocześnie z mapą i starałam się ustalić najlepiej, jak umiałam, gdzie jestem, posuwając się po śniegu małymi

niepewnymi krokami, ewentualnie ślizgając się po powierzchni i zapadając się w nią, przez co moje łydki stawały się coraz bardziej otarte. Godzinę później zauważyłam metalowy rąb z napisem „Pacific Crest Trail”, przyczepiony do zasypanego śniegiem drzewa, a moje ciało ogarnęła fala ulgi. Nadal nie wiedziałam dokładnie, gdzie jestem, ale wiedziałam przynajmniej, że nie zboczyłam z PCT.

Późnym popołudniem doszłam do krawędzi, poniżej której znajdowała się wielka, wypełniona śniegiem misa.

– Greg! – zawołałam, by sprawdzić, czy jest w pobliżu.

Cały dzień nie zauważyłam ani śladu jego obecności, ale wciąż się spodziewałam, że gdzieś się pojawi, bo śnieg spowolni go na tyle, że będę miała szansę go dogonić i razem znajdziemy stąd wyjście. Usłyszałam odległe krzyki i zobaczyłam trzech narciarzy na grani po drugiej stronie zaśnieżonej misy, na tyle blisko, żeby ich usłyszeć, ale zbyt daleko, by do nich dotrzeć. Machali do mnie, a ja do nich. Byli na tyle daleko i mieli na sobie tyle sprzętu narciarskiego, że nie byłam w stanie rozpoznać ich płci.

– Gdzie jesteśmy?! – wrzasnęłam do nich przez zaśnieżoną przestrzeń.

– Co?! – Ledwie usłyszałam, jak krzyczą do mnie z powrotem.

W kółko krzyczałam te same słowa: „Gdzie jesteśmy, gdzie jesteśmy?!”, aż rozbolało mnie gardło. Znałam odpowiedź, a przynajmniej wierzyłam, że ją znam, ale na wszelki wypadek chciałam, by ją potwierdzili. Pytałam i pytałam, nie mogąc się z nimi porozumieć, spróbowałam więc po raz ostatni, wkładając w to wszystkie moje siły i prawie rzucając się w przepaść z wysiłku.

– GDZIE JESTEŚMY?!

Nastąpiła cisza, co było znakiem, że rozszyfrowali moje pytanie, po czym jednocześnie odpowiedzieli:

– W KALIFORNII!

Po tym, jak zaczęli się o siebie opierać, wiedziałam, że się śmieją.

– Dzięki! – odkrzyknęłam sarkastycznym tonem, choć zagłuszył go wiatr.

Krzyknęli coś do mnie, czego nie mogłam rozszyfrować. Powtórzyli to parę razy, ale za każdym razem słowa stawały się niezrozumiałe, aż w końcu wykrzyczeli każdą

syłabę osobno. Wtedy dosłyszałam.

– ZGU!

– BI!

– ŁAŚ!

– SIĘ?!

Przez chwilę zastanowiłam się nad tym pytaniem. Jeśli powiem „tak”, sprowadzą ratunek i skończę z tą niedorzeczną wyprawą.

– NIE! – wrzasnęłam.

Nie zgubiłam się.

Miałam przerąbane.

Spojrzałam dokoła na drzewa i prześwitujące przez nie nikłe światło. Niedługo zapadnie zmrok, a ja muszę znaleźć miejsce na rozbicie obozowiska. Czekają mnie stawianie namiotu w śniegu, pobudka w śniegu i dalszy marsz w śniegu. Mimo że tak bardzo starałam się tego uniknąć.

Idąc dalej, natknęłam się w końcu na miejsce, które można było uznać za dość przytulne na postawienie namiotu. Kiedy nie ma się wyboru, nawet zamarznięty płat śniegu pod drzewem potrafi być przytulny. Gdy wczołgałam się do śpiwora w ubraniach przeciwdeszczowych włożonych na resztę ubrań, było mi chłodno, ale do wytrzymania. Butelki z wodą wcisnęłam koło siebie, żeby nie zamarzły.

Rankiem ściany namiotu były pokryte zamarzniętymi w nocy zawijasami ze skroplonej pary mojego oddechu. Przez chwilę leżałam w ciszy, nie czując się gotową, by znów zmierzyć się ze śniegiem, i wsłuchiwałam się w śpiew ptaków, których nie mogłam rozróżnić. Wiedziałam jedynie, że ich śpiew stał się mi znajomy. Kiedy rozsunęłam zamek namiotu i wyrzałam na zewnątrz, obserwowałam, jak ptaki przelatują z drzewa na drzewo, pełne gracji i zupełnie niewzruszone moją obecnością.

Wyciągnęłam garnek, nalałam do niego wody, wrzuciłam mleko w proszku i zamieszałam, potem dodałam muesli i usiadłam w wejściu do namiotu, żeby wszystko zjeść, mając nadzieję, że wciąż jestem na PCT. Potem umyłam garnek garścią śniegu i rozejrzałam się po okolicy. Otaczały mnie skały i drzewa, które wystawały spod lodowatego śniegu. Byłam równocześnie zaniepokojona własną

sytuacją, jak i zachwycona bezkresnym, samotnym pięknem przestrzeni. Iść dalej czy zawracać? Zastanawiałam się, choć znałam odpowiedź. Czułam to instynktownie. Oczywiście, że idę dalej. Zbyt wiele trudu włożyłam w dotarcie tu, żeby teraz zawrócić. Pomysł powrotu wydawał się jednak sensowny. Mogłam wrócić po własnych śladach i złapać kolejną okazję dalej na północ, gdzie na pewno nie było białego. To było bezpieczne. Rozsądne. Słuszne. Nie mogłam się jednak do tego zmusić.

Szłam cały dzień, to upadając, to ślizgając się, to brnąc przez śnieg, tak mocno obejmując uchwyt kijka, że na dłoni pojawiły mi się odciski. Gdy przełożyłam go do drugiej ręki, spotkał ją ten sam los. Na każdym zakręcie, na każdej grani i na końcu każdej polany miałam nadzieję, że dalej nie będzie już śniegu. Zawsze jednak czekało mnie tylko więcej śniegu i nieliczne miejsca, gdzie prześwitywała ziemia. „Czy to PCT?” – zastanawiałam się, widząc grunt. Nie mogłam mieć pewności. Czas pokaże.

Podczas wędrówki bardzo się pociłam, a miejsca przykryte plecakiem były zawsze całe mokre, bez względu na temperaturę i ilość ubrań, które miałam na sobie. Kiedy robiłam przystanki, w ciągu kilku minut zaczynałam się trząść z zimna, a przemoczone ubrania robiły się lodowate. Moje mięśnie w końcu zaczęły się przyzwyczajać do długodystansowych wypraw, teraz jednak zostały obciążone nowymi wymogami, i to dużo większymi niż stały wysiłek utrzymywania mnie prosto. Jeżeli szłam w dół zbocza, musiałam najpierw wybić stopień, żeby nie stracić równowagi, inaczej ześlizgnęłabym się w dół i uderzyła w skały, krzewy i drzewa poniżej albo, co gorsza, spadłabym z krawędzi. Metodycznie kopałam w zlodowaciałą powierzchnię śniegu, krok za krokiem robiąc sobie oparcie dla stóp. Przypominałam sobie, jak w Kennedy Meadows Greg nauczył mnie robić to czekaniem. Teraz straszliwie żałowałam, że go zostawiłam, wyobrażając sobie, jak leży bezużytecznie w pudle z darmowymi rzeczami dla wędrowców w Sierra City. Od ciągłego kopania i zapierania się na stopach pojawiło mi się kilka nowych pęcherzy. Stare miejsca, poobcierane już podczas pierwszych dni na PCT, też na nowo się zaogniły. Skóra na biodrach i ramionach była nadal zdarta od pasów i szelek Monstrum.

Szłam dalej, pełna pokory, pokonując niepokojąco małe odległości. W zwykłe dni szłam z prędkością średnio 3 kilometrów na godzinę, ale w śniegu wszystko było

inne: wolniejsze, mniej pewne. Myślałam, że dotarcie do Belden Town zabierze mi sześć dni, ale kiedy pakowałam do torby z jedzeniem sześć dziennych racji, nie wiedziałam jeszcze, co mnie czeka. Taki dystans w sześć dni, i to w takich warunkach, był niewykonalny, nie tylko ze względu na fizyczny wysiłek marszu przez śnieg. Bardzo się starałam nie zboczyć z trasy. Z mapą i kompasem w dłoni próbowałam przypomnieć sobie wszystkie informacje z podręcznika *Staying Found*, który dawno już spaliłam. Wiele sposobów – jak triangulacja czy wyznaczanie położenia na podstawie azymutów – sprawiało mi trudności, nawet kiedy trzymałam książkę w ręce. Teraz nie mogłam być ich w ogóle pewna. Nigdy nie miałam zdolności matematycznych. Nie miałam pamięci do wzorów i liczb. Logika nie miała dla mnie większego sensu. W moim pojęciu świat nie był wykresem, wzorem czy równaniem. Był opowieścią. Głównie polegałam więc na opisowych wskazówkach w przewodniku, czytając je w kółko, porównując je do map, próbując odgadnąć intencje i niuanse kryjące się w każdym słowie i wyrażeniu. Miałam wrażenie, jakbym znajdowała się w środku wielkiego ustandaryzowanego pytania testowego: „Jeśli Cheryl wspina się na północ przez godzinę z prędkością 2 kilometrów na godzinę, a potem na zachód do siodła, z którego widać dwa podłużne jeziora na wschodzie, to czy stoi na południowym zboczu Szczytu 7503?”.

W kółko zgadywałam, odmierzając, czytając, przystając, kalkulując i licząc, zanim ostatecznie w cokolwiek uwierzyłam. Na szczęście ten odcinek szlaku miał mnóstwo wskazówek, był pełen szczytów i urwisk, jezior i stawów, które często były widoczne ze szlaku. Nadal miałam to samo uczucie co na początku, kiedy zaczęłam iść przez Sierra Nevada od południowego końca. Czułam się, jakbym przycupnęła nad światem i przyglądała się jego ogromowi. Ogarniała mnie ulga, gdy przechodząc z grani na grani, zauważałam gołą ziemię w miejscach, gdzie słońce roztopiło śnieg. Drżałam z radości, kiedy zauważałam jezioro, staw czy skalną formację, która pasowała do tego, co przedstawiała mapa albo opisywał przewodnik. W takich chwilach robiłam się silna i opanowana, ale zaraz później, kiedy zatrzymywałam się, by sprawdzić kierunek, nabierałam pewności, że zrobiłam bardzo, bardzo głupią rzecz, idąc dalej. Mijałam drzewa, które wydawały mi się dziwnie znajome, jakbym je już wcześniej widziała, jakbym z pewnością przechodziła obok nich godzinę temu.

Przyglądałam się rozległym odcinkom gór, tak niewiele różniącym się od odcinków, które widziałam wcześniej. Lustrowałam teren w poszukiwaniu śladów, licząc, że choćby najmniejszy ślad innej istoty ludzkiej doda mi otuchy, jednak żadnego nie widziałam. Widziałam tylko ślady zwierząt – delikatne zygzaki łap królików albo trójkątne odciski pozostawione prawdopodobnie przez jeżozwierze albo szopy. Od czasu do czasu powietrze ożywiało się od dźwięków wiatru szeleszczącego pośród drzew, innymi razy robiło się cicho jak makiem zasiał przez niekończące się połacie tłumiącego wszystko śniegu. Wszystko prócz mnie wydawało się całkowicie pewne swojego miejsca. Niebo nie zastanawiało się przecież, gdzie się znajduje.

– HALO! – ryczałam od czasu do czasu, za każdym razem wiedząc, że nikt mi nie odpowie.

Potrzebowałam jednak usłyszeć czyjś głos, nawet jeśli miał to być tylko mój własny. Wierzyłam, że jego dźwięk ocali mnie przed najgorszym, czyli przed zgubieniem się w zasypanej śniegiem głuszy.

Gdy tak szłam, w składankowej radiostacji w mojej głowie pojawiały się fragmenty różnych piosenek, które od czasu do czasu przerywał głos Paula. Mówił mi, jaka jestem niemądra, idąc sama przez taki śnieg. Byłby tą osobą, która zrobiłaby co należy, gdybym rzeczywiście nie wróciła z tej podróży. Mimo naszego rozvodu nadal był najbliższym mi człowiekiem, a przynajmniej tym najbardziej zorganizowanym, by wziąć na siebie podobną odpowiedzialność. Pamiętam, jak mnie krytykował, kiedy wiózł z Portland do Minneapolis, po tym jak wyrwał mnie minionej jesieni ze szponów heroiny i Joego.

„Zdajesz sobie sprawę, że mogłaś umrzeć? – powiedział z obrzydzeniem, jakby miał nadzieję, że tak się stanie, żeby mógł udowodnić mi rację. – Za każdym razem, gdy bierzesz heroinę, to jakbyś grała w rosyjską ruletkę. Przystawiasz sobie pistolet do głowy i pociągasz za spust. Nie wiesz, za którym razem w bębunku znajdzie się kula”.

Nie miałam nic do powiedzenia na swoją obronę. Miał rację, choć wtedy mi się tak nie wydawało.

Ścieżka, którą sama sobie utorowałam – a która, jak miałam nadzieję, pokrywała się z PCT – była przeciwieństwem brania heroiny. Spust, za który pociągnęłam,

wchodząc w śnieg, sprawił, że moje zmysły stały się bardziej wyostrzone niż kiedykolwiek. Choć niepewnie podążałam naprzód, czułam, że robię słusznie, jakby już sam wysiłek coś oznaczał. Że być może przebywanie pośród nienaruszonego piękna dzikiej krainy oznaczało, iż ja też mogę powrócić do stanu czystości, bez względu na to, co straciłam i co mi odebrano. Bez względu na to, co zrobiłam innym czy sobie, a także na to, co niestety mnie wyrządzono. Choć do tak wielu spraw podchodziłam sceptycznie, w tym wypadku było inaczej. Przyroda miała w sobie czystość i jasność, której teraz byłam częścią.

Ponura, ale szczęśliwa, szłam przez chłodne powietrze, patrząc, jak słońce migocze pomiędzy gałęziami drzew i oślepiająco odbija się od śniegu, mimo że miałam na nosie okulary przeciwsłoneczne. Choć śnieg nadal był wszechobecny, wyczuwałam, że blednie i z każdą minutą niepostrzeżenie topnieje. Żywiołowością swojej agonii przypominał ul. Czasem przechodziłam przez miejsca, gdzie słychać było chlupotanie, jak gdyby pod śniegiem biegł strumień, którego nie można było dostrzec. Kiedy indziej wpadałam w wielkie, mokre zaspy, które spadły z gałęzi drzew.

Trzeciego dnia po wyjściu z Sierra City, kiedy skulona siedziałam w wejściu do namiotu, próbując poprawić stan swoich poranionych stóp, zdałam sobie sprawę, że poprzedniego dnia był 4 Lipca. Tak dokładnie mogłam sobie wyobrazić, co nie tylko moi przyjaciele, ale też znaczna część obywateli Stanów Zjednoczonych robiła teraz beze mnie, że poczułam się jeszcze bardziej oddalona. Bez wątpienia brali udział w przyjęciach i paradach, nabawiali się oparzeń słonecznych i odpalali petardy, podczas gdy ja siedziałam tu na mrozie. Wyobraziłam sobie, jak wyglądam z góry. Jestem drobinką pośród wielkiej masy zieleni i bieli, ani bardziej, ani mniej ważną od bezimiennych ptaków pośród drzew. Tutaj, na szlaku, mógł być 4 lipca lub 10 grudnia. Góry nie liczyły dni.

Następnego ranka brnęłam przez śnieg godzinami, aż doszłam do polany, gdzie znajdowało się wielkie powalone drzewo, na którym nie było ani śniegu, ani gałęzi. Zdjęłam plecak i wspięłam się na nie, czując pod sobą szorstką korę. Wyciągnęłam z plecaka kilka skrawków suszonej wołowiny i usiadłam, żeby je zjeść i napić się wody. Po chwili z prawej strony mignęło mi coś rudego: na polanę wszedł lis,

bezszelestnie stawiając łapy na powierzchni śniegu. Patrzył wprost przed siebie, nie zdradzając, czy był świadomy mojej obecności, choć wydawało się niemożliwe, by nie był. Kiedy znalazł się dokładnie naprzeciw mnie 3 metry dalej, zatrzymał się, odwrócił w moją stronę i spojrzął na mnie spokojnie, ale nie prosto w oczy, wciągając powietrze w nozdrza. Wyglądał trochę jak kot, trochę jak pies, jego pysk był wyostrzony i smukły, a ciało czujnie napięte.

Serce zaczęło mi szybciej bić, ale siedziałam nieruchomo, walcząc z przemożnym pragnieniem, by zerwać się na nogi i schować za drzewem dla bezpieczeństwa. Nie wiedziałam, co lis zrobi dalej. Nie wydawało mi się, by planował mnie atakować, ale nie mogłam opanować strachu, że może to zrobić. Ledwie sięgał mi do kolan, choć jego siła była niewątpliwa, piękno olśniewające, a wyniosłość emanowała nawet z jego nieskazitelnej sierści. Mógłby mnie zaatakować w ułamku sekundy. To był jego świat. Był tak pewny jak niebo.

– Lisie – szepnęłam najdelikatniej, jak to było możliwe, jakbym nazwaniem go mogła się przed nim zarówno obronić, jak i przyciągnąć go bliżej.

Podniósł swoją pięknie ukształtowaną rudą głowę, ale pozostał w bezruchu. Przez kilka minut przyglądał mi się uważnie, po czym odwrócił się z opanowaniem i poszedł dalej przez polanę w stronę drzew.

– Wracaj – zawołałam cicho, a potem nagle krzyknęłam: – MAMO! MAMO! MAMO! MAMO!!

Nie wiedziałam, że to słowo wyjdzie z moich ust, aż do chwili, gdy je usłyszałam.

I wtedy równie nagle zamilkłam wyczerpana.

Następnego ranka trafiłam na drogę. Przechodziłam wcześniej przez mniejsze, rozjeżdżone trasy dla jeepów, które były zasypane śniegiem, żadna z nich nie była jednak tak szeroka ani wyraźna jak ta. Na jej widok niemal padłam na kolana. Piękno zaśnieżonych gór było bezsporne, ale droga była czymś z mojej bajki. A jeśli była to ta droga, o której myślałam, sam fakt, że tu dotarłam, oznaczał zwycięstwo. Oznaczał, że nadal szłam szlakiem PCT. Oznaczał również, że w każdym z dwóch kierunków znajdowało się miasteczko. Mogłam skrócić w prawo lub w lewo i odnaleźć lipcową pogodę. Zdjęłam plecak i usiadłam na zbitej kupie śniegu, zastanawiając się, co robić.

Jeśli byłam tam, gdzie myślałam, to w cztery dni od wyjścia z Sierra City przeszłam 70 kilometrów szlaku, choć prawdopodobnie pokonałam więcej, biorąc pod uwagę brak wprawy w posługiwaniu się kompasem i mapą. Belden Town znajdowało się mniej więcej 90 kilometrów dalej, wzdłuż pokrytego śniegiem szlaku. Nie warto było się nawet zastanawiać. W plecaku miałam jedzenie tylko na kilka dni. Skończy mi się, jeśli będę szła dalej. Skierowałam się w stronę miasta o nazwie Quincy.

Droga nie różniła się wiele od lasu, którym szłam przez ostatnie kilka dni. Była cicha i zaśnieżona, tylko teraz nie musiałam przystawać co kilka minut, żeby się zastanowić, czy idę w dobrą stronę. Szłam w dół, a im niżej schodziłam, tym bardziej śnieg ustępował błotowi. W przewodniku nie było jasno napisane, jak daleko znajdowało się Quincy. Wiedziałam tylko, że to cały dzień drogi. Przyspieszyłam kroku w nadziei, że dotrę tam wieczorem. Co tam pocznę z sześćdziesięcioma centami w kieszeni, było kolejnym pytaniem.

Około jedenastej za zakrętem napotkałam SUV-a zaparkowanego na poboczu.

– Dzień dobry – zawołałam, ostrożniej niż poprzednimi razy, kiedy te same słowa wykrzykiwałam ponad białym pustkowiem.

Nikt nie odpowiedział. Podeszłam do samochodu i zajrzałam do środka. Na przednim siedzeniu leżała bluza z kapturem, a na desce rozdzielczej pomiędzy wieloma innymi drobnymi przedmiotami, które przypominały moje poprzednie życie, stał papierowy kubek po kawie. Poszłam dalej. Po trzydziestu minutach usłyszałam za plecami zbliżający się samochód i odwróciłam się.

Był to zielony SUV. Auto stanęło tuż przy mnie. Za kierownicą siedział mężczyzna, a obok niego kobieta.

– Jedziemy do Packer Lake Lodge. Podwieźć cię? – powiedziała kobieta, kiedy opuściła szybę.

Na te słowa popsuł mi się humor, ale podziękowałam jej i włączyłam się na tylne siedzenie. Czytałam o Packer Lake Lodge w przewodniku. Mogłam dostać się tam jednym z bocznych szlaków. To miejsce znajdowało się o dzień drogi od Sierra City i decydując się pozostać na PCT, postanowiłam je ominąć. Gdy jechaliśmy, czułam, jak zamiast posuwać się na północ, cofam się – wszystkie kilometry, które

z takim mozołem pokonałam, przepadły w niecałą godzinę. Mimo to przebywanie w tym samochodzie było niebiańskim uczuciem. Przetarłam nieco zamgloną szybę i patrzyłam na śmigające za nią drzewa. Pokonując krętą górską drogę, jechaliśmy maksymalnie z prędkością 30 kilometrów na godzinę, ale nadal wydawało mi się, jakbyśmy poruszali się niewiarygodnie szybko. Nie byłam już częścią świata. Świat znajdował się gdzieś z boku.

Pomyślałam o lisie. Zastanawiałam się, czy wrócił do powalonego drzewa i myślał o mnie. Przypomniałam sobie chwilę po tym, jak zniknął w lesie, a ja zawołałam mamę. Mimo mojego krzyku wokół było tak cicho. Był to rodzaj ciszy, w której zawierało się wszystko. Śpiew ptaków, skrzypienie drzew. Bezszelestne topnienie śniegu i chlupotanie niewidocznej wody. Migoczące światło, pewne niebo. Pistolet, w którego bębenu nie ma kuli. I mama. Zawsze mama. Ta, która już nigdy do mnie nie przyjdzie.

Rozdział 10

Łańcuch Światła

W Packer Lake Lodge czekał mnie cios. Okazało się, że to restauracja. Z jedzeniem. Niczym pies tropiciel wyczułam je, gdy tylko wysiadłam z samochodu. Podziękowałam parze za podwiezienie i poszłam w stronę niewielkiego budynku. Zostawiłam Monstrum na schodach i weszłam do środka. W restauracji było tłoczno od turystów, z których większość wynajmowała rustykalne domki znajdujące się w pobliżu. Nie zwracali uwagi na to, jak po drodze do baru gapię się im w talerze i pochłaniam wzrokiem stopy naleśników otoczonych bekonem, porcje bajecznej jajecznicy albo – co było widokiem najgorszym ze wszystkich – cheeseburgery zakopane w nieregularnych stosach frytek. Ich widok mnie załamał.

– Czy wie pani, ile jest śniegu na północ stąd? – zapytałam kobietę przy kasie.

Po tym, jak śledziła wzrokiem kelnerkę, która z dzbankiem kawy w ręce poruszała się między stolikami, poznałam, że jest tu szefową. Nie znałam jej, ale setki razy pracowałam dla takich jak ona. Przyszło mi do głowy, że mogłabym zapytać, czy znalazłaby się tu dla mnie praca na lato, i zapomnieć o PCT.

– W zasadzie wszędzie powyżej leży dużo śniegu – odpowiedziała. – W tym roku właściwie wszyscy wędrowcy zeszli ze szlaku. Zamiast tego idą autostradą Gold Lake.

– Gold Lake? – zapytałam zdumiona. – A czy w ostatnich dniach pojawił się tu mężczyzna imieniem Greg? Koło czterdziestki, brązowe włosy i broda.

Kobieta pokręciła głową, ale kelnerka wtrąciła się, mówiąc, że rozmawiała z turystą, który pasował do opisu. Nie znała jednak jego imienia.

– Jeśli ma pani ochotę na coś do jedzenia, proszę siadać – powiedziała kobieta.

Zajrzałam do karty, która leżała na ladzie.

– Macie coś, co kosztuje mniej niż sześćdziesiąt centów? – zapytałam żartobliwym tonem i na tyle cicho, że mój głos ledwie przebił się przez gwar restauracji.

– Kawa kosztuje siedemdziesiąt pięć. Darmowe dolewki – odpowiedziała kobieta.

– Właściwie to w plecaku mam lunch – powiedziałam i poszłam w stronę drzwi, mijając odsunięte na bok naczynia pełne doskonale nadających się do jedzenia resztek, na które nikt prócz niedźwiedzi, szopów i mnie by się nie połakomił.

Wyszłam na ganek i usiadłam koło Monstrum. Wyciągnęłam z kieszeni sześćdziesiąt centów i utkwiałam wzrok w srebrnych monetach na dłoni, jak gdyby od patrzenia miały się rozmnożyć. Pomyślałam o pudle, które z dwudziestodolarowym banknotem w środku czeka na mnie w Belden Town. Umierałam z głodu i choć miałam lunch w plecaku, byłam zbyt zniechęcona, by go zjeść. Zamiast tego przekartkowałam przewodnik, próbując raz jeszcze obmyślić nowy plan.

– Usłyszałam przypadkiem, jak wspomniałaś o Pacific Crest Trail – odezwał się damski głos.

Była to szczupła kobieta w średnim wieku, o włosach w odcieniu perłowego blondu, przyciętych w eleganckiego boba. W uszach miała brylantowe kolczyki.

– Będę nim szła przez kilka miesięcy – powiedziałam.

– To takie wspaniałe! – ucieszyła się. – Zawsze zadziwiali mnie ludzie, których stać na coś takiego. Wiem, że szlak jest w tamtą stronę – machnęła ręką na zachód – ale nigdy na nim nie byłam. – Podeszła bliżej i przez chwilę wydawało mi się, że zaraz mnie uściśnie, ale tylko poklepała mnie po ramieniu. – Nie mów tylko, że idziesz sama.

Kiedy pokiwałam głową, roześmiała się i przyłożyła dłoń do piersi.

– Ciekawe, co na to twoja mama?

– Nie żyje – powiedziałam, zbyt zniechęcona i głodna, żeby złagodzić ton nutką zawstydzenia, jak to miałam w zwyczaju.

– Mój Boże, to straszne.

Na piersi spoczywały jej okulary przeciwsłoneczne, zwisające na sznurku połyskliwych pastelowych koralików. Sięgnęła po nie i włożyła na nos. Na imię miała Christine i wraz z mężem oraz dwiema nastoletnimi córkami wynajmowała jeden z pobliskich domków.

– Chciałabyś pojechać tam ze mną i wziąć prysznic? – zapytała.

Kiedy byłam pod prysznicem, mąż Christine, Jeff, zrobił mi kanapkę. Gdy wyszłam z łazienki, czekała na mnie przekrojona na ukos kolba kukurydzy z chipsami tortilla i korniszonem.

– Jeśli chcesz sobie dołożyć mięsa, nie krępuj się – powiedział Jeff i podsunął mi półmisek wędlin z przeciwnej strony stołu, gdzie siedział.

Był przystojny i pulchny, a jego ciemne falowane włosy posiwiały na skroniach. Adwokat – Christine powiedziała mi po drodze. Mieszkali w San Francisco, ale każdy pierwszy tydzień lipca spędzali tutaj.

– Może jeszcze kilka plasterków – powiedziałam, sięgając po indyka z udawaną obojętnością.

– Nie wiem, czy to ma dla ciebie znaczenie, ale jest bio – wtrąciła Christine – i z ekologicznej hodowli. Dla nas to ważna kwestia. Zapomniałeś o serze – skarciła Jeffa i poszła do lodówki. – Może duńskiego havarti, Cheryl?

– Nie, dziękuję – powiedziałam z grzeczności, ale ona i tak ukroiła kilka plasterków i postawiła je przede mną.

Jadłam tak szybko, że bez słowa wróciła do kuchennego blatu i dokroiła więcej. Sięgnęła po torbę z chipsami i dosypała mi na talerz kolejną garść, a potem otworzyła puszkę piwa korzennego i postawiła ją przede mną. Gdyby opróżniła całą lodówkę, pewnie zjadłabym wszystko do ostatniego okruszka.

– Dziękuję – powtarzałam za każdym razem, gdy kładła na stole coś nowego.

Przez szklane rozsuwane drzwi widziałam córki Jeffa i Christine. Siedziały na tarasie na ogrodowych fotelach i ze słuchawkami na uszach przeglądały magazyny „Seventeen” i „People”.

– Ile mają lat? – zapytałam, wskazując brodą w ich stronę.

– Szesnaście i prawie osiemnaście – powiedziała Christine. – Idą do drugiej i trzeciej klasy liceum.

Wyczuły, że na nie patrzymy, i zerknęły znad gazet. Pomachałam do nich, a one nieśmiało odmachwały, zanim wróciły do czytania.

– Bardzo bym się cieszyła, gdyby kiedyś zrobiły coś takiego jak ty. Gdyby były takie odważne i silne – powiedziała Christine. – No, może nie aż tak odważne.

Umarłabym ze strachu, wiedząc, że któraś z nich włóczy się nie wiadomo gdzie. Nie przeraża cię, że jesteś tu sama?

– Czasem tak – odpowiedziałam. – Ale nie tak bardzo, jak można by się spodziewać.

Woda kapłała mi z mokrych włosów na ramiona w brudnej koszulce. Byłam świadoma, że moje ubrania śmierdzą, choć pod spodem już dawno nie czułam się tak czysta. Po całych dniach pocenia się na mrozie prysznic był niemal mistycznym doświadczeniem, a gorąca woda i mydło wypaliły mnie do czysta. Zauważyłam kilka książek leżących w nieładzie na przeciwległym końcu stołu: *Mating* Normana Rusha, *Tysiąc akrów* Jane Smiley, *Kroniki portowe* E. Annie Proulx. Były to książki, które znałam i kochałam, a ich okładki – jak znajome twarze – sprawiały, że czułam się trochę jak w domu. Do głowy przyszła mi absurdalna myśl, że może Jeff i Christine pozwolą mi z nimi zostać. Mogłabym być jak jedna z ich córek i czytać gazety, opalając się na tarasie. Gdyby tylko to zaproponowali, zgodziłabym się.

– Lubisz czytać? – zapytała Christine. – Właściwie tylko to robimy, kiedy tu przyjeżdżamy. Taki mamy sposób na odpoczynek.

– Nagradzam się czytaniem na koniec każdego dnia – odparłam. – Teraz czytam *The Complete Stories* Flannery O'Connor.

Ta książka nadal znajdowała się w moim plecaku, i to w jednym kawałku. Nie paliłam jej w drodze strona po stronie, mając na uwadze, że przy takim śniegu i ciągłych zmianach planów nie ma pewności, kiedy dotrę do kolejnego pudła z zapasami. Przeczytałam już całość i poprzedniego wieczora zaczęłam od nowa.

– Możesz wziąć, którą chcesz – powiedział Jeff, sięgając po *Mating*. – Już je przeczytaliśmy. A jeśli nie są w twoim guście, może spodoba ci się ta – dodał i zniknął w przylegającej do kuchni sypialni.

Wrócił chwilę później z grubym egzemplarzem Jamesa Michenera w miękkiej okładce i położył go przy moim prawie pustym talerzu.

Spojrzałam na książkę. Nosila tytuł *Powieść*. Nigdy wcześniej o niej nie słyszałam, choć James Michener był ulubionym pisarzem mamy. Dopiero na studiach dowiedziałam się, że coś z nim było nie tak. „Pisarz dla mas” – lekceważąco nazwał

go jeden z moich profesorów, zapytawszy wcześniej, jakie książki czytam. Michener – powiedział – nie należy do pisarzy, którym powinnam poświęcać czas, jeśli sama chcę zostać pisarką. Poczułam się jak idiotka. W czasach kiedy byłam nastolatką, zaczytując się *Polską*, *The Drifters*, *Kosmosem* i *Sayonarą*, uważałam się za wyrefinowaną. Już podczas pierwszych miesięcy studiów przekonałam się jednak, że nie wiem, kto się liczy, a kto nie.

– Wiesz, że to nie jest prawdziwa książka – powiedziałam do mamy pogardliwie, kiedy w tym samym roku ktoś podarował jej w prezencie gwiazdkowym *Texas*.

– Jak to: nie jest prawdziwa? – mama spojrzała na mnie lekko zdziwiona i rozbawiona zarazem.

– No wiesz, poważna. To nie jest literatura warta twojego czasu – odpowiedziałam.

– Cóż, jeśli chcesz wiedzieć, mój czas nigdy nie był wiele wart. Nigdy nie zarobiłam za niego więcej niż minimalną pensję, a w większości przypadków harowałam za darmo. – Zaśmiała się lekko i klepnęła mnie w ramię, jak zawsze z łatwością wymykając się mojemu osądowi.

Kiedy mama umarła, a kobieta, którą poślubił w końcu Eddie, wprowadziła się do naszego domu, zabrałam z półki mamy wszystkie książki, jakie chciałam. Wzięłam te, które mama kupiła we wczesnych latach osiemdziesiątych, kiedy wprowadziliśmy się na naszą ziemię: encyklopedię upraw organicznych, książkę o jodze w parach, album o kwiatach polnych północnej części Stanów, poradnik na temat szycia pikowanej odzieży, zbiór utworów na cymbałki i książkę o pieczeniu chleba, poradnik dotyczący leczniczych właściwości roślin i słownik trudnych i ciekawych wyrazów. Zabrałam książki, które czytała mi rozdział po rozdziale, zanim sama nauczyłam się czytać: pełną wersję *Jelonka Bambi* i *Mojego Karego* oraz *Mały domek w Wielkich Lasach*. Wzięłam książki, które kupiła podczas studiów na kilka lat przed śmiercią: *The Sacred Hoop* Pauli Gunn Allen, *The Woman Warrior* Maxine Hong Kingston i *This Bridge Called My Back* Cherríe Moragi i Glorii Anzaldúa. *Moby Dicka* Hermana Melville’ a, *Przygody Hucka Finna* Marka Twaina i *Żdźbła trawy* Walta Whitmana. Nie wzięłam jednak książek Johna Michenera, które mama kochała najbardziej.

– Dziękuję – powiedziałam do Jeffa, biorąc *Powieść* do ręki. – Wymienię ją na

Flannery O'Connor, jeśli chcesz.

Postanowiłam nie wspominać, że jeśli odmówi, będę musiała tego samego wieczora spalić tę książkę w lesie.

– Z przyjemnością – odpowiedział, śmiejąc się. – Ale ja ubiłem lepszy interes.

Po lunchu Christine odwiozła mnie na posterunek strażnika leśnego w Quincy, kiedy jednak dotarliśmy na miejsce, dyżurny strażnik okazał się niewiele wiedzieć o PCT. Powiedział, że w tym roku na nim nie był, bo szlak wciąż jest pod śniegiem. Zdziwił się, kiedy powiedziałam mu, że właśnie stamtąd przyszedłam. Wróciłam do samochodu Christine i otworzyłam przewodnik, żeby ustalić swoje położenie. Jedyne sensowne miejsce, w którym mogłabym wrócić na PCT, znajdowało się jakieś 20 kilometrów na zachód, tam gdzie szlak przecinał drogę.

– Może te dziewczyny coś wiedzą – powiedziała Christine.

Wskazała przeciwną stronę parkingu stacji benzynowej, gdzie dwie młode kobiety stały przy wanie z wypisaną na boku nazwą letniego obozu.

Przedstawiłam się im, a kilka minut później ścisnęłam już Christine na pożegnanie i gramoliłam się do środka vana. Młode kobiety były studentkami i pracowały na letnim obozie. Mijały po drodze skrzyżowanie z PCT i powiedziały, że z przyjemnością mnie podwiozą, jeśli tylko poczekam, aż załatwią kilka spraw. Na parkingu sklepu spożywczego usiadłam więc w cieniu ich masywnego vana i zaczęłam czytać *Powieść*, podczas gdy one robiły zakupy. Było gorąco i parno – lato było blisko, choć tego ranka jeszcze nie rzucało się to w oczy w górskim śniegu. Kiedy czytałam, tak wyraźnie czułam obecność mamy i tak bardzo było mi jej brak, że trudno mi się było skupić na słowach. Czemu drwiłam z niej za to, że lubi Michenera? Tak naprawdę ja też go uwielbiałam – gdy miałam piętnaście lat, przeczytałam *The Drifters* aż cztery razy. Jedną z najgorszych rzeczy związanych ze stratą mamy w tak młodym wieku było to, jak wiele żałowałam. Drobiazgów, które teraz gryzły – wszystkich chwil, kiedy pogardałam jej dobrym sercem, wznosząc oczy do nieba, albo usuwałam się przed jej dotykiem. Tego, że powiedziałam jej: „Nie zdumiewa cię, jak dalece teraz, w wieku dwudziestu dwóch lat, jestem bardziej obyta od dwudziestodwuletniej ciebie?”. Na myśl o moim młodzięcym braku pokory robiło mi się niedobrze. Byłam arogancką małpą i mama umarła, zanim to się

zmieniło. Tak, byłam kochającą córką i trwałam przy mamie, gdy mnie potrzebowała, ale mogłam być lepsza. Mogłam być taką córką, jaką błagałam, by mnie nazwała: najlepszą na świecie.

Zamknęłam *Powieść* i siedziałam niemal sparaliżowana żalem, aż wróciły dziewczyny, pchając przed sobą wózek. Wspólnie zapakowałyśmy do vana ich torby. Dziewczyny były ode mnie o cztery, może pięć lat młodsze. Ich twarze i włosy były błyszczące i czyste. Obie miały na sobie sportowe szorty, bluzki na ramiączkach i nosiły kolorowe pasemka muliny owinięte wokół kostek i nadgarstków.

– Mówiłyśmy właśnie, że to niezła sprawa, że wędrujesz sama – powiedziała jedna, gdy załadowałyśmy już wszystko.

– Co na to twoi rodzice? – zapytała druga.

– Nic. Nie mam rodziców. Moja mama nie żyje, a ojca nie mam. To znaczy mam, ale nie utrzymujemy kontaktu.

Wsiadłam do samochodu i zaczęłam wpychać książkę do Monstrum, żeby nie patrzeć, jak na ich promiennych twarzach pojawia się zakłopotanie.

– Wow – powiedziała jedna z nich.

– No – odezwała się druga.

– Teraz przynajmniej jestem wolna. Mogę robić, co chcę.

– No – odezwała się ta, która powiedziała „wow”.

– Wow – odezwała się ta, która powiedziała „no”.

Wsiadły do przodu i ruszyłyśmy. Spojrzałam na strzeliste drzewa, które migają za szybą, myśląc o Eddiem. Czułam się trochę winna, że nie wspomniałam o nim, gdy dziewczyny pytały mnie o rodziców. Stał się jak znajomy z dawnych czasów. Nadal go kochałam. Pokochałam go od razu, od pierwszego wieczoru, kiedy poznałam go jako dziesięcioletnia dziewczynka. Był zupełnie inny niż mężczyźni, z którymi od rozvodu z ojcem umawiała się mama. Większość z nich nie wytrzymywała dłużej niż kilka tygodni, bo odstraszało ich – co szybko zrozumiałam – to, że wiążąc się z naszą matką, wiązali się również ze mną, Karen i Leifem. Eddie jednak pokochał nas wszystkich od początku. Pracował wtedy w fabryce produkującej części samochodowe, choć z zawodu był cieślą. Miał ciepłe błękitne oczy, prosty, wyrazisty

nos i brązowe włosy, które wiązał w kucyk i które sięgały mu do połowy pleców.

Poznałam go, kiedy przyszedł na obiad do Domku na Drzewie, kompleksu mieszkań, w którym zatrzymaliśmy się po rozwodzie rodziców, w Chaska, mieście oddalonym o godzinę drogi od Minneapolis. Przeprowadzaliśmy się za każdym razem, gdy mamie udało się znaleźć tańsze mieszkanie. Kiedy Eddie przyjechał do nas po raz pierwszy, mama jeszcze przygotowywała obiad, więc zaczął bawić się ze mną, Karen i Leifem na niewielkim trawniku przed naszym budynkiem. Gonił nas, łąpał, obracał do góry nogami i trząsał, żeby sprawdzić, czy z kieszeni wypadną nam jakieś monety. Jeśli tak się działo, zbierał je z trawy i uciekał, a my rzucaliśmy się za nim, piszcząc z uciechy, której całe życie nie zazналиśmy, bo żaden mężczyzna nie kochał nas jak trzeba. Eddie łąskotał nas i podziwiał, jak przed nim tańczymy i robimy gwiazdy. Uczył nas żartobliwych piosenek i skomplikowanych uścisków dłoni. Kradł nasze nosy i uszy, a potem pokazywał je nam z kciukiem wciśniętym pomiędzy palce, by ostatecznie je zwrócić, a my zanosiliśmy się ze śmiechu. Gdy mama zawołała nas na obiad, byłam w nim już tak zadurzona, że straciłam apetyt.

W naszym mieszkaniu nie było jadalni. Mieliśmy dwie sypialnie, łazienkę i salon, a w nim niewielką wnękę, w której znajdował się blat, kuchenka, lodówka i kilka szafek. Na środku pokoju stał wielki okrągły drewniany stół z przyciętymi nogami, który sięgał nam tylko do kolan. Mama kupiła go za dziesięć dolarów od ludzi, którzy zajmowali to mieszkanie przed nami. Usiedliśmy na podłodze wokół stołu, żartując, że jesteśmy jak Chińczycy, nieświadomi, iż to Japończycy jedzą usadowieni na podłodze przy niskich stołach. W Domku na Drzewie nie wolno było trzymać zwierząt, ale i tak mieliśmy tam swoich pupili – psa imieniem Kizzy i kanarka imieniem Kanarek, który fruwał po mieszkaniu.

Był to bardzo dobrze wychowany ptak. Załatwiał się na gazetę rozłożoną w kuwecie dla kota, która stała w kącie. Nie wiem, czy nauczyła go tego mama, czy robił to z własnej woli. Parę minut po tym, jak usiedliśmy, Kanarek przycupnął Eddiemu na głowie. Zazwyczaj siadał na nas tylko na moment, po czym odlatywał, ale tym razem, na głowie Eddiego, Kanarek zatrzymał się na dłużej. Zaczęliśmy chichotać. Eddie odwrócił się do nas i pozornie nieświadom sytuacji zapytał, z czego tak się śmiejemy.

- Masz kanarka na głowie – powiedzieliśmy.
- Co? – odparł, rozglądając się po pokoju z udawanym zaskoczeniem.
- Masz kanarka na głowie! – krzyczeliśmy.
- Gdzie? – pytał.
- Na głowie! – wrzeszczeliśmy w rozkosznej hysterii.

Jakimś cudem Kanarek pozostał tam przez cały obiad i resztę wieczoru, moszcząc się i zasypiając.

Eddie też został.

Przynajmniej do śmierci mamy. Początkowo jej choroba bardzo nas do siebie zbliżyła. Staliśmy się towarzyszami broni – w szpitalu byliśmy jak zapaśniczy tag team, który konsultował ze sobą medyczne decyzje. Płakaliśmy razem, gdy wiedzieliśmy, że koniec jest blisko, i wspólnie spotykaliśmy się z pracownikiem domu pogrzebowego, gdy stało się najgorsze. Jednak wkrótce potem Eddie odsunął się ode mnie i mojego rodzeństwa. Zachowywał się raczej jak nasz przyjaciel niż ojciec. Szybko zakochał się w innej kobiecie, która zaraz potem wprowadziła się do naszego domu wraz ze swoimi dziećmi. Kiedy nadeszła pierwsza rocznica śmierci mamy, Karen, Leif i ja byliśmy właściwie pozostawieni sami sobie. Większość rzeczy mamy znajdowała się w spakowanych i przechowywanych przeze mnie pudłach. Eddie mówił, że nas kocha, ale życie toczy się dalej. Twierdził, że wciąż jest naszym ojcem, ale nie zrobił niczego, by nam to okazać. Próbowалам się temu sprzeciwić, ale ostatecznie pozostało mi tylko zaakceptować to, co stało się z moją rodziną – rozpadła się.

„Nie zawrócisz kijem rzeki” – zwykła mówić mama.

Kiedy młode dziewczyny zatrzymały samochód na poboczu wąskiej drogi, wysokie drzewa wzdłuż drogi niemal całkowicie przysłaniały zachodzące słońce. Podziękowałam im za podwiezienie i patrząc, jak odjeżdżają, rozglądałam się wokół. Stałam przed tablicą informacyjną, na której było napisane „KEMPING WHITEHORSE”. PCT znajdował się tuż za nim – powiedziały dziewczyny, kiedy próbowałam wyczołgać się z vana. Nie pofatygowałam się, by po drodze spojrzeć na mapę. Po wielu dniach nieustannej czujności miałam dość ciągłego sprawdzania

przewodnika. Postanowiłam po prostu się odprężyć, zwiedziona przekonaniem dziewczyn, że wiedzą, dokąd jada. Powiedziały, że od kempingu niedaleko już mam do PCT. Idąc betonowymi krętymi drózkami kempingu, czytałam świeżo wyrwane z przewodnika strony, z wysiłkiem próbując rozszyfrować litery w blednym świetle dnia. Serce zabiło mi mocniej, kiedy napotkałam słowa „KEMPING WHITEHORSE”, a potem zwolniło, gdy przeczytałam, że jestem ponad 3 kilometry od PCT. Słowa „tuż za nim” oznaczały dla dziewczyn w vanie coś zupełnie innego niż dla mnie.

Patrzyłam na kraniki z wodą, brązowe ubikacje i wielką tablicę, tłumaczącą, że należy zapłacić za miejsce na polu, wrzucając kopertę z pieniędzmi do drewnianej skrzynki. Poza kilkoma camperami i garstką namiotów pole było prawie puste. Przeszłam kolejną betonową pętlę, zastanawiając się, co robić. Nie miałam pieniędzy na miejsce namiotowe, ale było zbyt ciemno, by iść do lasu. Poszłam na skraj pola, najdalej, jak się dało, od tablicy z instrukcją, jak zapłacić. Kto w ogóle mnie tam zauważy?

Postawiłam namiot, ugotowałam posiłek i zjadłam go, korzystając z luksusu stołu piknikowego, a potem, używając czołówki, by oświetlić sobie drogę, poszłam wygodnie wysikać się w latrynie, wróciłam do namiotu i otworzyłam *Powieść*. Przeczytałam może trzy akapity, kiedy nagle na namiot padł snop światła. Rozsunęłam suwak i wyszłam, by przywitać się ze starszą parą, która stała w oślepiającym świetle reflektorów pick-upa.

– Dobry wieczór – powiedziałam nieśmiało.

– Za miejsce trzeba zapłacić – odburknęła kobieta w odpowiedzi.

– Zapłacić? – powiedziałam niewinnym, zaskoczonym tonem. – Myślałam, że tylko ludzie z samochodami muszą uiścić opłatę. Jestem pieszo. Ze sobą mam tylko plecak.

Para słuchała w ciszy. Na ich pomarszczonych twarzach rysowało się oburzenie.

– Zniknę z samego rana. Najpóźniej o szóstej.

– Jeśli masz zamiar tu nocować, musisz zapłacić – powtórzyła kobieta.

– Dwanaście dolarów za noc – dorzucił mężczyzna, ciężko wydychając powietrze.

– Chodzi o to – powiedziałam – że nie mam przy sobie gotówki. To moja wielka wyprawa. Wędruję Pacific Crest Trail. PCT... Ale w górach jest tyle śniegu, rekordowy opad w tym roku, więc zeszłam ze szlaku i wcale nie miałam zamiaru się tu znaleźć, ale dziewczyny, które mnie tu podwiozły, przez przypadek wysadziły mnie w złym miejscu i było...

– Nie zmienia to jednak faktu, że trzeba zapłacić, młoda damo! – ryknął mężczyzna z mocą syreny, która nadaje sygnały dźwiękowe we mgle.

– Jeśli nie możesz zapłacić, zabieraj się stąd – powiedziała kobieta.

Miała na sobie bluzę z wizerunkiem dwóch szopów, które nieśmiało wyglądają z dziupli w drzewie.

– Nikogo tu przecież nie ma. Jest środek nocy! Co się złego stanie, jeśli...

– Zasady to zasady – uniósł się mężczyzna.

Odwrócił się i wszedł do auta, najwyraźniej nie mając mi już nic do powiedzenia.

– Bardzo mi przykro, ale jesteśmy zarządcami tego kempingu i mamy obowiązek dopilnować, by wszyscy przestrzegali tych samych zasad – powiedziała kobieta. Jej twarz na chwilę złagodniała przepaszająco, po czym kobieta zacisnęła usta, mówiąc: – Żebyśmy tylko nie musieli wzywać policji.

Opuściłam wzrok i powiedziałam jakby do szopów:

– Nie wierzę, że komukolwiek tu szkodzę. Nikt nie korzystałby z tego miejsca, gdyby mnie tu nie było. – Mówiłam cicho, próbując przemówić do niej po raz ostatni, jak kobieta do kobiety.

– Nikt nie mówi, że musisz stąd iść! – wrzasnęła, jakby próbowała uciszyć psa. – Mówimy, że musisz zapłacić.

– Ale nie mogę.

– Trasa do PCT rozpoczyna się zaraz za toaletami – powiedziała kobieta, pokazując za siebie. – Możesz też iść poboczem jakieś 1,5 kilometra. Droga prowadzi bardziej bezpośrednio niż szlak. Zostawimy włączone światła, aż się spakujesz – powiedziała i wsiadła do pick-upa, zajmując miejsce obok męża. Ich twarze schowane za przednimi reflektorami stały się dla mnie niewidoczne.

Zaskoczona odwróciłam się do namiotu. Podczas tej wyprawy nie spotkałam

jeszcze nikogo, kto byłby tak nieżyczliwy. Wczołgałam się do środka, trzęsącymi się dłońmi założyłam czołówkę i wepchnęłam do plecaka wszystkie swoje rzeczy, nie dbając o to, co gdzie pakuję. Nie wiedziałam, co robić. Było już całkiem ciemno, prócz połówki księżyca na niebie. Jedyna rzecz straszniejsza niż samotna wędrówka w ciemności po nieznanym szlaku to samotna wędrówka w ciemności po nieznanym drodze. Założyłam Monstrum na plecy i pomachałam do pary w ciężarówce, nie widziałam jednak, czy mi odmachali.

Szłam z czołówką w dłoni. Ledwie oświetlała moje kroki, bo baterie były na wyczerpaniu. Poszłam chodnikiem do łazienek i zobaczyłam szlak, o którym wspomniała kobieta. Zrobiłam kilka niepewnych kroków. Przyzwyczaiałam się już do tego, że w lesie czuję się bezpieczna, nawet w nocy. Spacer w ciemności był jednak czymś zupełnie innym, bo niczego nie widziałam. Mogłam natknąć się na nocne zwierzęta lub potknąć się o korzeń. Mogłam przegapić właściwy skręt i iść dalej drogą, którą nie zamierzałam. Poruszałam się powoli, nerwowo, tak jak pierwszego dnia wyprawy, kiedy spodziewałam się, że w każdej chwili może mnie zaatakować grzechotnik.

Po chwili zaczęłam dostrzegać niewyraźne zarysy terenu. Znajdowałam się w lesie pełnym sosen i świerków. Ich pozbawione odnóg proste pnie były zwieńczone gęsto zbitymi gałęziami wysoko nade mną. Po prawej stronie słyszałam szemrzący strumyk i czułam miękkie dywan suchych sosnowych igieł, które chrzęściły pod stopami. Szłam tak skupiona jak nigdy wcześniej, odczuwając przez to szlak i własne ciało mocniej, niż gdybym szła boso i naga. Czułam się podobnie, gdy jako dziecko uczyłam się jeździć konno. Mama dawała mi lekcje na swoim koniu, Lady, sadzając mnie w siodle, podczas gdy ona trzymała lonżę przywiązaną do uzdy. Z początku trzymałam się końskiej grzywy, przerażona nawet wtedy, gdy koń tylko szedł stępą, ale w końcu się rozluźniłam, a mama namówiła mnie, żebym zamknęła oczy i wczuła się w ruchy zwierzęcia. Później zrobiłam to samo, rozpościerając ramiona, i jeździłam w kółko, poddając się ruchom Lady.

Szłam szlakiem przez dwadzieścia minut, aż znalazłam miejsce, gdzie drzewa rosły rzadziej. Ściągnęłam plecak i na czworakach, z czołówką w dłoni, zaczęłam badać miejsce, które wydawało się odpowiednie na nocleg. Postawiłam namiot,

wczołgałam się do środka i wsunęłam się do śpiwora, choć teraz nie byłam ani trochę senna, orzeźwiona przez eksmisję i nocny spacer.

Otworzyłam *Powieść*, ale czołówka migiała i gasła, więc wyłączyłam ją i położyłam się w ciemności. Pogładziłam dłońmi ramiona, obejmując się. Czułam tatuaż pod palcami prawej ręki. Wciąż mogłam wyczuć jego kształt. Kobieta, która go wykonała, powiedziała, że zgrubienie będzie wyczuwalne przez kilka tygodni, ale po kilku miesiącach nadal takie było, jak gdyby koń był wytłoczony, a nie wytatuowany na mojej skórze. Ten tatuaż to nie był zwykły koń. To była Lady – klacz, o którą mama zapytała lekarza w Klinice Mayo, gdy powiedział jej, że umiera. Tak naprawdę nie miała na imię Lady. To my ją tak nazwaliśmy. Figurowała w dokumentach jako American Saddlebreed, a jej oficjalne imię było wypisane dumnie na certyfikacie stowarzyszenia hodowców, który wraz z nią otrzymaliśmy: Stonewall's Highland Nancy, ojciec: Stonewall Sensation, matka: Mack's Golden Queen. Mamie udało się kupić Lady wbrew zdrowemu rozsądkowi tej samej okropnej zimy, kiedy ostatecznie rozstali się z ojcem. Mama poznała pewną parę w restauracji, gdzie pracowała jako kelnerka. Chcieli tanio sprzedać swoją dwunastoletnią klacz czystej krwi i choć mamy nawet na tanią nie było stać, pojechała obejrzeć konia i dobiła targu, umawiając się na trzysta dolarów, które miała spłacić w ciągu sześciu miesięcy. Potem umówiła się też z inną parą, która miała stajnię niedaleko naszego domu, pracując dla nich w zamian za dach nad głową dla Lady.

– Jest zachwycająca – mówiła mama za każdym razem, gdy opisywała swoją klacz.

Lady naprawdę taka była. Mierzyła ponad szesnaście dłoni wysokości, była smukła, miała długie nogi, a gdy szła, wysoko podnosiła nogi i stąpała elegancko jak królowa. Na czole miała białą gwiazdkę, ale cała reszta jej umaszczenia była rudokasztanowa, jak u lisa, którego widziałam na śniegu.

Miałam sześć lat, gdy mama ją kupiła. Mieszkaliśmy wtedy w suterenie budynku wielorodzinnego o nazwie Wzgórza Maghrebu. Mama właśnie ostatecznie opuściła ojca. Ledwie starczało nam na życie, ale mama musiała mieć tego konia. Nawet jako dziecko instynktownie wiedziałam, że to Lady ocaliła wtedy mamie życie. To dzięki niej mama na dobre odeszła od ojca i miała siłę iść dalej. Konie były dla niej jak

religia. To z nimi chciała spędzać wszystkie te niedziele, w które w dzieciństwie kazano jej włożyć sukienkę i iść do kościoła. Opowieści o koniach były kontrapunktem historii o jej katolickim wychowaniu. Robiła wszystko, co w jej mocy, by móc na nich jeździć. Grabiła przegrody i polerowała uprząże, nosiła siano i rozścielała słomę, wykonywała każde zadanie, które tylko wpadło jej w ręce, żeby spędzać czas w najbliższej stajni i móc przejechać się na cudzym koniu.

Obrazy z jej minionego kowbojskiego życia od czasu do czasu pojawiały się w mojej głowie, uchwycone w nieruchomych obrazach, tak wyraźne i spójne, jakbym przeczytała o nich w książce. Dwudniowe przejażdżki w odludne zakątki Nowego Meksyku, które odbywała z ojcem. Śmiałe sztuczki z rodeo, które trenowała i wykonywała wraz z koleżankami. Gdy miała szesnaście lat, dostała własnego konia maści palomino o imieniu Pal, na którym jeździła na pokazach jeździeckich i rodeach w Kolorado. Do śmierci przechowywała swoje wstęgi. Spakowałam je do pudła, które teraz znajdowało się w Portland, w piwnicy Lisy. Żółta za trzecie miejsce w objeżdżaniu beczek, różowa za piąte w jeździe po obwodzie; zielona za wartość rozrywkową pokazu i udział w zawodach; i pojedyncza niebieska za płynną jazdę wszystkimi rodzajami chodów po torze pełnym sadzawek i ciasnych zakrętów, śmiejących się klaunów i ryczących klaksonów, przy jednoczesnym balansowaniu jajkiem na łyżce, którą mama trzymała w wyciągniętej ręce najdłużej ze wszystkich zawodników.

W pierwszej stajni, w której mieszkała Lady, gdy do nas trafiła, mama wykonywała te same prace co w czasach dzieciństwa: czyściła boksy, ścieliła słomę, wozila rzeczy na taczkach tam i z powrotem. Często zabierała ze sobą Karen, Leifa i mnie. Bawiliśmy się w stodole, podczas gdy ona wypełniała swoje obowiązki. Potem patrzyliśmy, jak jeździ na Lady wokół padoku. Każde z nas miało swoją kolejkę, kiedy skończyła. Gdy przeprowadziliśmy się do naszego domu w Minnesocie, mieliśmy już drugiego konia, Rogera. Mama kupiła go, bo ja się w nim zakochałam, a jego właściciel był skłonny sprzedać go za bezcen. Przewieźliśmy obydwu konie na północ pożyczoną przyczepą. Na ich pastwiska przeznaczaliśmy jedną czwartą naszych szesnastu hektarów.

Kiedy pewnego dnia pojechałam odwiedzić Eddiego na początku grudnia, niemal

trzy lata po śmierci mamy, wstrząsnęło mną, jak wychudzona i słaba stała się Lady. Miała prawie trzydzieści jeden lat, dużo jak na konia. Nawet jeśli dzięki odpowiedniej opiece jej powrót do zdrowia był możliwy, nikt z nas nie miał czasu, by się tego podjąć. Eddie i jego dziewczyna dzielili swój czas pomiędzy dom, w którym dorosłam, a przyczepę w małym miasteczku na obrzeżach Twin Cities. Dwa psy, dwa koty i cztery kury, które mieliśmy w chwili śmierci mamy, albo same zdechły, albo zostały oddane nowym właścicielom. Pozostały tylko dwa nasze konie: Roger i Lady. Często opiekował się nimi sąsiad, zaangażowany przez Eddiego do karmienia ich.

W czasie tamtej wizyty na początku grudnia rozmawiałam z Eddiem o stanie Lady. Na początku wojowniczo powiedział mi, że nie wie, dlaczego konie miałyby być jego problemem. Nie miałam serca wyklócać się z nim o to, dlaczego jako wdowiec po mojej mamie jest odpowiedzialny za jej konie. Nalegałam tylko, byśmy opracowali jakiś plan, i po pewnym czasie Eddie złagodził ton. Oboje uzgodniliśmy, że Lady należy uśpić. Była stara i chorowita, niepokojąco schudła, a blask w jej oczach przygasł. Powiedziałam Eddiemu, że już wcześniej konsultowałam się z weterynarzem. Może przyjechać do nas i uśpić Lady zastrzykiem. Jeśli nie, musimy sami ją zastrzelić.

Eddie opowiadał się za tym drugim wyjściem. Oboje byliśmy do cna spłukani. Konie uśmiercano w ten sposób od pokoleń. Co dziwne, obojgu nam wydawało się, że będzie to bardziej humanitarne, jeśli Lady zginie z rąk kogoś, kogo znała i komu ufała, niż z rąk obcego. Eddie powiedział, że zrobi to, zanim ja i Paul przyjedziemy za kilka tygodni na święta. Nie miało to być rodzinne spotkanie. Paul i ja mieliśmy zostać w domu sami. Eddie planował spędzić Boże Narodzenie ze swoją dziewczyną i jej dziećmi. Karen i Leif też mieli własne plany – Leif planował święta w St. Paul ze swoją dziewczyną i jej bliskimi, a Karen ze swoim mężem, którego poznała i za którego wyszła po kilku tygodniach znajomości.

Czułam się niepewnie, kiedy po południu w Wigilię kilka tygodni później wjechaliśmy z Paulem na podjazd przed domem. W kółko myślałam o tym, jak to będzie, gdy na pastwisku zobaczę tylko Rogera. Kiedy jednak wysiadłam z samochodu, Lady nadal stała w swoim boksie i trzęsła się z zimna, a jej ciało zwisało z kościstego szkieletu. Bolało już od samego patrzenia na nią. Zrobiło się

niemiłosiernie zimno, a temperatura biła rekordy, schodząc 30 stopni poniżej zera, a zimno dodatkowo potęgował przeszywający wiatr.

Nie zadzwoniłam do Eddiego, by zapytać, dlaczego nie zrobił tego, na co się umówiliśmy. Zamiast tego zadzwoniłam do ojca mamy w Alabamie. Zajmował się końmi całe swoje życie. Rozmawialiśmy o Lady przez godzinę. Zadawał mi pytanie za pytaniem i pod koniec naszej rozmowy był stanowczo przekonany, że nadeszła pora ją uśpić. Powiedziałam mu, że muszę się z tym przespać. Następnego ranka telefon zadzwonił tuż po wschodzie słońca.

Dziadek nie dzwonił, by życzyć mi wesołych świąt. Dzwonił, by mnie błagać, żebym nie stała beczynną. Upierał się, że pozwolenie, by Lady umarła naturalną śmiercią, było okrutne i nieludzkie, a ja wiedziałam, że ma rację. Wiedziałam też, że to ja musiałam wszystkiego dopilnować. Nie miałam pieniędzy, by zapłacić za weterynarza, a nawet gdybym miała, to nie sądziłam, by chciał przyjechać w Boże Narodzenie. Dziadek wytłumaczył mi ze szczegółami, jak zastrzelić konia. Słyszając, że jestem zaniepokojona, zapewnił mnie, że tak robi się od lat. Martwiłam się też o to, co zrobić z ciałem Lady. Ziemia była tak zamrznięta, że pogrzebanie jej było niemożliwe.

– Zostaw ją – poinstruował mnie. – Kojoty ją zabiorą.

– Co mam robić?! – w rozpaczy krzyknęłam do Paula, kiedy odłożyłam słuchawkę.

Nie wiedzieliśmy tego, ale były to nasze ostatnie wspólne święta. Parę miesięcy później miałam mu powiedzieć o moich zdradach, a on miał się wyprowadzić. O tej samej porze rok później rozmawialiśmy już o rozwodzie.

– Zrób, co uważasz za słuszne – powiedział tamtego bożonarodzeniowego poranka.

Siedzieliśmy przy kuchennym stole. Każda szczelina i wyłobienie były mi znajome, a mimo to czułam, że jestem bardzo daleko od domu, sama na wielkiej lodowej krze.

– Nie mam pojęcia, co jest słuszne – powiedziałam, choć to nie była prawda.

Dokładnie wiedziałam, co należy zrobić. Robiłam to już tyle razy – musiałam

wybrać lepszą z dwóch okropnych opcji. Nie mogłam jednak poradzić sobie bez mojego brata. Paul i ja strzelaliśmy wcześniej z broni – Leif nauczył nas oboje minionej zimy – jednak żadne z nas nie potrafiło robić tego pewnie. Leif nie był zapalonym myśliwym, ale przynajmniej strzelał na tyle często, żeby wiedzieć, co robi. Gdy zadzwoniłam do niego, zgodził się przyjechać tego samego wieczoru.

Rano przedyskutowaliśmy szczegółowo, co mamy zamiar zrobić. Przekazałam mu wszystkie instrukcje dziadka.

– Dobrze – powiedział. – Przygotuj ją.

Na zewnątrz słońce jasno świeciło, a niebo było błękitne i przejrzyste. Do jedenastej ociepliło się do 27 stopni poniżej zera. Opatuliliśmy się kilkoma warstwami ubrań. Było tak zimno, że drzewa pękały, bo ich pnie zamarzały i rozszczepiały się z gwałtownym hukiem, co słyszałam, leżąc w łóżku minionej bezsennej nocy.

Zakładając Lady kantar, szeptałam, jak bardzo ją kocham, i wyprowadziłam ją z boksu. Paul zamknął za nami bramę, więżąc w środku Rogera, by nie mógł za nami wyjść. Poprowadziłam Lady po lodowatym śniegu i odwróciłam się, by po raz ostatni popatrzeć, jak idzie. Wciąż poruszała się z nieopisana gracją i siłą, stawiając długie kroki i wysoko podnosząc nogi, co zawsze zachwycało mamę. Przyprowadziłam ją do brzozy, którą wraz z Pauliem wybraliśmy poprzedniego popołudnia, i przywiązałam na lonży. Drzewo to rosło na obrzeżach pastwiska, za którym las robił się bardzo gęsty. Wystarczająco daleko od domu, by kojoty nie bały się podejść nocą i zabrać ciało. Gładziłam kasztanową sierść Lady, szepcząc wyrazy miłości i smutku, błagając o wybaczenie i zrozumienie.

Gdy podniosłam wzrok, mój brat stał przy nas ze strzelbą w dłoni.

Paul pociągnął mnie za ramię i potykając się w śniegu, stanęliśmy za Leifem. Byliśmy tylko dwa metry od Lady. Jej ciepły oddech był jak jedwabna chmura. Zamarznęta biała skorupa utrzymywała przez chwilę nasz ciężar, po czym pękła, sprawiając, że po kolana zapadliśmy się w śniegu.

– Prosto między oczy – powiedziałam do Leifa, po raz kolejny powtarzając słowa, które usłyszałam od dziadka.

Dziadek przyrzekł mi, że w ten sposób zabijemy ją jednym strzałem.

Leif przykucnął na jedno kolano. Lady podskakiwała i grzebała w śniegu przednimi kopytami, a po chwili opuściła łeb i spojrzała na nas. Zrobiłam gwałtowny wdech i Leif nacisnął na spust. Kula trafiła Lady prosto między oczy, w środek jej białej gwiazdki, tam, gdzie chcieliśmy. Klacz tak szarpnęła, że skórzany kantar pękł i zsunął się z pyska. Lady stanęła nieruchomo, patrząc na nas pełnym zdumienia spojrzeniem.

– Strzel jeszcze raz – wydyszałam i Leif od razu nacisnął spust, umieszczając w głowie Lady trzy kolejne kule.

Klacz zachwiała się i drgnęła, ale nie upadła ani nie zaczęła uciekać, choć nie była już przywiązana do drzewa. Patrzyła na nas dzikim wzrokiem, zszokowana tym, co zrobiliśmy. Jej łeb stanowił konstelację bezkrwawych dziur. W jednej chwili wiedziałam, że się myliliśmy. Nie co do konieczności jej uśpienia, ale tego, że to my mamy to zrobić. Powinnam była się uprzeć, by Eddie przyłożył się choć do jednego i zapłacił za przyjazd weterynarza. Miałam całkowicie błędne pojęcie o tym, na czym polega zabicie zwierzęcia. Nie ma czegoś takiego jak jeden czysty strzał.

– Zastrzel ją! Zastrzel! – błagałam, zawodząc niskim, gardłowym głosem, którego się po sobie nie spodziewałam.

– Skończyły się naboje! – krzyknął Leif.

– Lady! – zawołałam rozpaczliwie.

Paul chwycił mnie za ramiona, by przyciągnąć do siebie, ale wyrwałam się, dysząc i wyjąc, jakby ktoś mnie okładał.

Lady zrobiła jeden chwiejny krok, po czym padła na przednie kolana, a jej ciało nachyliło się w okropny sposób, jakby była wielkim statkiem, który powoli tonie w morzu. Głowa zaczęła jej się kiwać i Lady wydała z siebie głęboki jęk. Niespodziewanym silnym strumieniem z jej delikatnych nozdrzy trysnęła krew tak gorąca, że spływała na śnieg z sykiem. Lady krztusiła się i krztusiła, za każdym razem wypływając z siebie ogromne ilości krwi, a jej tylne nogi uginały się pod nią w niemiłosiernie zwolnionym tempie. Chwiała się, z trudem utrzymując groteskową pozycję, aż w końcu przewróciła się na bok, zaczęła wierzgać nogami i wykręcać

szyję, walcząc, by się podnieść.

– Lady! – wyłam. – Lady!

Leif chwycił mnie mocno.

– Nie patrz! – krzyknął i oboje się odwróciliśmy. – NIE PATRZ! – wrzasnął na Paula, który posłuchał go bez słowa sprzeciwu. – Proszę, przyjdź po nią – powtarzał Leif, a po policzkach spływały mu łzy. – Proszę, przyjdź po nią. Proszę, przyjdź po nią. Proszę, przyjdź po nią.

Kiedy się odwróciłam, Lady w końcu opuściła łeb na ziemię, choć jej boki wciąż podnosiły się i opadały, a nogi drgały. Nasza trójka niepewnym krokiem podeszła bliżej, przedzierając się przez śnieżną skorupę i znów grzęznąc w śniegu. Patrzyliśmy, jak klacz powoli i głęboko wciąga powietrze, aż w końcu westchnęła, a jej ciało znieruchomiało.

Koń naszej matki. Lady. Stonewall's Highland Nancy nie żyła.

Nie wiedziałam, czy trwało to pięć minut, czy godzinę. Moje rękawiczki i czapka spadły, ale nie mogłam się zmusić, by je podnieść. Zamarznięte rzęsy zlepily mi się. Z pasm włosów, które zawiało mi na mokrą od łez i smarków twarz, zrobiły się sople, które brzęczały, uderzając o siebie. W otępieniu odgarniałam je na boki, nie zauważając nawet, jaki jest mróz. Uklękłam przy brzuchu Lady i po raz ostatni pogłaskałam jej zbryzgane krwią ciało. Była nadal ciepła, tak jak mama, kiedy weszłam do pokoju i zobaczyłam, że umarła, gdy mnie przy niej nie było. Spojrzałam na Leifa, zastanawiając się, czy myśli o tym samym. Na kolanach przyczołgałam się do pyska klaczy i dotknęłam jej zimnych, miękkich jak aksamit uszu. Przykryłam dłońmi czarne dziury po kulach w jej białej gwiazdce. Głębokie tunele krwi, która wytopiła śnieg dokoła niej, zaczynały już zamarzać.

Paul i ja patrzyliśmy, jak Leif wyciąga nóż i odcina pasma rudozłotych włosów z grzywy i ogona Lady. Podał mi jedno z nich.

– Mama może teraz przejść na drugą stronę – powiedział, patrząc mi w oczy, jakby na całym świecie istniało teraz tylko nas dwoje. – Indianie wierzyli, że kiedy umrze wielki wojownik, należy zabić jego konia, żeby mógł przejść na nim na drugą stronę rzeki. Tak okazywano mu szacunek. Może teraz mama będzie mogła ruszyć

dalej.

Wyobraziłam sobie, jak mama przeprowia się przez wielką rzekę, siedząc na silnym grzbiecie Lady, i w końcu opuszcza nas niemal trzy lata po swojej śmierci. Chciałam, żeby to była prawda. Życzyłam sobie tego za każdym razem, gdy miałam pomyśleć życzenie. Nie by mama do mnie wróciła – choć oczywiście bardzo tego pragnęłam – ale by ona i Lady mogły odjechać razem. By najgorsza rzecz, jaką zrobiłam, pomogła w gojeniu ran, a nie była jedynie masakrą.

Tamtej nocy w lesie gdzieś na obrzeżach kempingu Whitehorse w końcu zasnęłam i śniłam o śniegu. Nie o tym, w którym wraz bratem zabiliśmy Lady, ale o śniegu, przez który właśnie przebrnęłam w górach. Jego wspomnienie było straszniejsze niż samo doświadczenie. Przez całą noc śniły mi się rzeczy, które mogły się zdarzyć, ale się nie zdarzyły – jak ześlizguję się po zdradliwych stokach i spadam z klifów, rozbijając się o skały w dole. Jak nie trafiam na właściwą ścieżkę i zagubiona i głodna błędzę bez celu.

Następnego ranka przy śniadaniu czytałam przewodnik. Gdybym poszła dalej PCT, tak jak planowałam, natrafiłabym tylko na więcej białego puchu. Wystraszyłam się na tę myśl i gdy wpatrywałam się w mapę, dotarło do mnie, że nie muszę tego robić. Mogę wrócić na kemping Whitehorse i pójść dalej na zachód, do Bucks Lake, a stamtąd przejeżdżną drogą, która zmierzała na północ, łącząc się z PCT na wysokości Three Lakes. Alternatywna ścieżka znajdowała się mniej więcej w tej samej odległości co PCT, około 25 kilometrów dalej, ale biegła wystarczająco nisko, żeby istniała nadzieja, iż nie jest zaśnieżona. Spakowałam swój obóz, zeszłam z powrotem tym samym szlakiem, którym dotarłam tu poprzedniego wieczora, i wyzywająco przesłam przez kemping Whitehorse.

Przez cały poranek, kiedy szłam na zachód, do Bucks Lake, a potem brzegiem jeziora na północ, aż do wyboistej drogi dla jeepów, którą miałam dotrzeć z powrotem na PCT, myślałam o pudle, które czekało na mnie w Belden Town. I nie tyle o samym pudle, ile o dwudziestu dolarach, które znajdowały się w środku. A właściwie nie o dwudziestodolarowym banknocie, tylko o jedzeniu i napojach, które za niego kupię. Spędziłam długie godziny, fantazjując w stanie ekstazy i udręki

jednocześnie o cieście i cheeseburgerach, czekoladzie i bananach, jabłkach i sałatkach ze świeżych warzyw, ale przede wszystkim o lemoniadzie Snapple. Było to trochę dziwne, bo przed PCT piłam Snapple tylko kilka razy i choć smakowała mi, to nie wyróżniała się niczym szczególnym. To nie był napój w moim guście. Teraz jednak nie mogłam się od niego uwolnić. Nie miało znaczenia – żółta czy różowa – nie było dnia, żebym nie wyobrażała sobie ze szczegółami, jak by to było trzymać butelkę lemoniady w ręce i przybliżyć ją do ust. Czasem zabraniałam sobie o tym myśleć, żeby nie zwariować.

Zauważyłam, że droga do Three Lakes zupełnie niedawno wyłoniła się spod śniegu. Miejscami na jej powierzchni pojawiły się pęknięcia, strumienie topniejącego śniegu płynęły wzdłuż poboczy. Szłam drogą pod wielkim baldachimem drzew zupełnie sama. Po południu poczułam w brzuchu znajome szarpnięcie. Zdałam sobie sprawę, że nadchodzi miesiączka. Pierwszy raz na szlaku. Prawie zapomniałam, że się pojawi. Byłam teraz świadoma swojego ciała w zupełnie inny sposób i zapomniałam, jak to było kiedyś. Nie martwiłam się już o niezauważalne drobiazgi, na przykład, czy czuję się nieznacznie grubsza, czy chudsza niż dnia poprzedniego. Nie istniało coś takiego jak problemy z ułożeniem fryzury. Najdrobniejsze wewnętrzne odgłosy zacierał prawdziwy ból wywołany przez zmarnowane stopy lub nadwerżone mięśnie ramion i górnych partii pleców, które spinały się i paliły tak mocno i uporczywie, że parę razy na godzinę musiałam przystawać, żeby wykonać kilka ruchów przynoszących chwilową ulgę. Ściągnęłam plecak, przekopałam się przez apteczkę i znalazłam postrzępiony na brzegach tampon z naturalnej gąbki. Włożyłam go do małej strunowej torebki przed rozpoczęciem podróży. Zanim ruszyłam na PCT, użyłam gąbki tylko kilka razy w ramach próby. Jeszcze w Minneapolis wydawała mi się dobrym sposobem na poradzenie sobie z miesiączką w takich okolicznościach. Teraz, trzymając ją w dłoni, nie byłam już tego taka pewna. Próbowałam umyć ręce wodą z butelki, jednocześnie oblewając nią tampon. Wycisnęłam go, spuściłam szorty, kucnęłam na drodze i wepchnęłam go sobie tak głęboko do pochwy, jak tylko się dało, aż zatrzymał się na szyjce macicy.

Podciągając szorty, usłyszałam odgłos silnika i chwilę później zza zakrętu wyłonił się czerwony pick-up na terenowych oponach z pięcioosobową kabiną. Zaskoczony

moim widokiem kierowca nacisnął hamulec. Też byłam zaskoczona, ale i głęboko wdzięczna, że nie jestem już w przysiadzie i z rękami w kroczu. Nerwowo pomachałam do pasażerów samochodu.

– Czołem – powiedział mężczyzna i wyciągnął do mnie rękę przez opuszczoną szybę.

Uścisnęłam ją, zauważając, że w środku siedzą z nim dwaj inni mężczyźni – jeden z przodu, a drugi z tyłu wraz z dwoma chłopcami. Mężczyźni mieli na oko jakieś trzydzieści lat, a chłopcy po osiem.

– Idziesz do Three Lakes? – zapytał mężczyzna.

– Tak.

Był przystojny, schludny i biały, tak jak mężczyzna obok niego i chłopcy na tylnych siedzeniach. Trzeci mężczyzna był Latynosem, miał długie włosy i okrągły brzuch.

– Jedziemy tam na ryby. Podwieźlibyśmy cię, ale jesteśmy wyładowani po brzegi – powiedział, wskazując na tył ciężarówki, na której znajdowała się składana przyczepa kempingowa.

– W porządku. Lubię chodzić.

– Dołącz do nas wieczorem. Będziemy robić hawajskie drinki.

– Dzięki – powiedziałam i po chwili patrzyłam, jak odjeżdżają.

Przez resztę popołudnia szłam, myśląc o hawajskich drinkach. Nie wiedziałam dokładnie, z czego się składają, ale nie wydawały się znacznie różnić od lemoniady Snapple. Kiedy dotarłam do końca drogi, znów ujrzałam czerwonego pick-upa oraz obozowisko mężczyzn, rozbite w najbardziej na zachód wysuniętej części Three Lakes. PCT znajdował się poniżej. Podążyłam na wschód niewielką ścieżką wzdłuż brzegu jeziora i znalazłam sobie odosobnione miejsce pomiędzy głazami, które okalały jezioro. Postawiłam namiot i na chwilę schowałam się w lesie, aby wycisnąć gąbkę i włożyć ją z powrotem. Zeszłam do jeziora, aby przefiltrować wodę i umyć ręce i twarz. Zastanawiałam się, czy nie zanurzyć się cała, ale woda była lodowata, a mnie i tak było już chłodno od rześkiego górskiego powietrza. Przed wyprawą na PCT wyobrażałam sobie, że będę brać niezliczone kąpiele w jeziorach, rzekach

i potokach. W rzeczywistości jednak bardzo rzadko miałam okazję cała zanurzyć się w wodzie. Pod koniec dnia często padałam ze zmęczenia i trzęsłam się jak w gorączce z wyczerpania i chłodu schnącego na plecach potu. W większości wypadków stać mnie było tylko na to, by ochlapać wodą twarz, zrzucić przepoconą koszulkę i szorty i przebrać się przed snem w polar i getry.

Zdjęłam buty i zdarłam ze stóp taśmę klejącą i plastry żelowe, zanim zanurzyłam stopy w lodowatej wodzie. Kiedy je masowałam, z palca zszedł mi kolejny szerniawy paznokieć, już drugi. Jezioro było spokojne i przejrzyste, otoczone strzelistymi drzewami i bujnymi krzewami, które rosły pomiędzy skałami. Zauważyłam w błocie jaskrawozieloną jaszczurkę. Na moment znieruchomiała, by za chwilę czmychnąć mi z oczu z prędkością błyskawicy. Obóz rozbity przez mężczyzn z samochodu znajdował się niedaleko ode mnie. Nie zorientowali się jeszcze, że jestem w pobliżu. Zanim poszłam do nich, umyłam zęby, posmarowałam usta balsamem i przeczesalam włosy.

– Witamy! – krzyknął, kiedy podeszłam bliżej, mężczyzna, który w pick-upie siedział na miejscu pasażera. – W samą porę.

Podał mi czerwony plastikowy kubek wypełniony żółtym płynem, który jak się domyśliłam, był hawajskim drinkiem. Były w nim kostki lodu. Była w nim wódka. Był w nim sok ananasowy. Wzięłam łyk i omal nie zemdlałam. Nie z powodu siły alkoholu, tylko samej wspaniałości połączenia płynnego cukru z wódką.

Dwaj biali mężczyźni pracowali jako strażacy. Latynos był malarzem z powołania i cieślą z zawodu. Na imię miał Francisco, choć wszyscy mówili na niego Paco. Był kuzynem jednego z białych mężczyzn i przyjechał do niego w odwiedziny z Mexico City. Wszyscy trzej dorastali razem na tym samym podwórku w Sacramento, gdzie nadal mieszkali strażacy. Dziesięć lat wcześniej Paco pojechał do Meksyku odwiedzić prababcie, zakochał się w miejscowej kobiecie i już tam został. Synowie strażaków biegali między nami i bawili się w wojnę, krzycząc i pojękując od czasu do czasu oraz imitując odgłosy wybuchów, kiedy strzelali do siebie z plastikowych pistoletów zza skał i głazów. My siedzieliśmy wokół paleniska, na którym ustawiono już drwa, ale nikt ich jeszcze nie podpalił.

– Chyba sobie żartujesz! Chyba sobie żartujesz! – na zmianę wykrzykiwali

strażacy, kiedy tłumaczyłam im, co robię, i pokazałam zmasakrowane stopy oraz osiem pozostałych mi paznokci.

Zadawali mi pytanie po pytaniu, jednocześnie kręcąc głowami w zdumieniu i nie przestając dolewać mi drinków i częstować chipsami tortilla.

– Kobiety to dopiero mają cojones – powiedział Paco, szykując miskę guacamole. – My, faceci, myślimy, że to my je mamy, ale jesteśmy w błędzie. – Włosy związane co kawałek gumką recepturką wyglądały na jego plecach jak wielki wąż.

Mężczyźni rozpalili ognisko i gdy zjedliśmy złowionego przez jednego z nich pstrąga oraz gulasz przyrządzony z jelenia, którego któryś upolował zeszłej zimy, tylko ja i Paco zostaliśmy przy palenisku. Pozostali mężczyźni czytali synom w namiocie.

– Zapalisz ze mną skręta? – zapytał Paco, wyciągając jednego z kieszeni koszuli. Zapalił go, zaciągnął się i podał mi. – Czyli tak wygląda Sierra – powiedział, rozglądając się po pogrążonych w ciemności górach. – Przez wszystkie te lata ani razu tu nie byłem.

– To Łańcuch Światła – powiedziałam, oddając mu jointa. – Tak nazwał ten odcinek John Muir. Teraz wiem dlaczego. Nigdzie nie widziałam takiego światła jak tutaj, kiedy słońce wschodzi i zachodzi pomiędzy szczytami.

– To duchowa wyprawa, prawda? – powiedział Paco, wpatrując się w ogień.

– Nie wiem – odpowiedziałam. – Może można to tak określić.

– Tak mi się wydaje – powiedział, wpatrując się we mnie uporczywie. – Chciałbym ci coś dać.

Poszedł do samochodu i podał mi z niego koszulkę. Rozłożyłam ją – na przodzie znajdowało się ogromne zdjęcie Boba Marleya. Jego dredy otoczone były rysunkami elektrycznych gitar i profilami prekolumbijskich figur. Na plecach widniała podobizna Hajle Sellasje, który przez rastafarian jest uważany za wcielenie Boga, obramowana kłębami czerwieni i złota.

– To święta koszulka – powiedział Paco, gdy przyglądałam się jej przy świetle ogniska. – Chcę, byś ją miała, bo wiem, że idziesz razem z duchami zwierząt, ziemi

i nieba.

Pokiwałam głową, czując, jak głos tłumią mi emocje, trochę pijana i wystarczająco upalona, by mieć pewność, że koszulka naprawdę jest święta.

– Dziękuję – powiedziałam.

Gdy wróciłam do swojego obozowiska, stałam, gapiąc się w gwiazdy, z koszulką w dłoni, zanim wczołgałam się do namiotu. Zastanawiałam się nad duchową wyprawą. Co to w ogóle oznaczało? Czy szłam razem z duchami? A mama? Gdzie się znalazła po śmierci? Gdzie była Lady? Czy naprawdę przejechały razem na drugą stronę rzeki? Rozsądek podpowiadał mi, że obie po prostu umarły, choć co jakiś czas przychodziły do mnie w snach. Sny o Lady były przeciwieństwem snów o mamie – tych, w których bezustannie kazała mi siebie zabijać. W snach o Lady nie musiałam nikogo uśmiercać. Musiałam jedynie przyjąć ogromny kolorowy bukiet kwiatów, który przynosiła mi w swoim delikatnym pysku. Trącała mnie nosem tak długo, aż go wzięłam, i dzięki temu prezentowi wiedziałam, że mi przebaczyła. Ale czy na pewno? Czy to naprawdę był duch Lady, czy też moja podświadomość płatała mi figle?

Następnego dnia w koszulce od Paco wróciłam na PCT, poszłam w stronę Belden Town, dostrzegając od czasu do czasu Lassen Peak. Znajdował się mniej więcej 80 kilometrów na północ. Była to pokryta śniegiem wulkaniczna góra o wysokości 3189 metrów nad poziomem morza. Stanowiła dla mnie punkt orientacyjny nie tylko ze względu na rozmiar i majestat, ale i dlatego, że był to pierwszy ze szczytów, które miałam minąć w Górach Kaskadowych, rozpoczynających się nieco na północ za Belden Town. Na północ od Lassen Peak szczyty wysokiego pasma Gór Kaskadowych układały się w poszarpany szereg pośród setek innych, mniej wyróżniających się szczytów, z których każdy miał w nadchodzących tygodniach wyznaczać postęp mojej wędrówki. O każdym z tych szczytów myślałam jak o szczeblach drabinek, na których huśtałam się jako dziecko. Gdy zawisłam na jednym, kolejny był w zasięgu ręki. Od Lassen Peak do Mount Shasta, potem Mount McLoughlin, Mount Thielsen, Trzech Sióstr: Południowej, Środkowej i Północnej, Mount Washington, Three Fingered Jack, Mount Jefferson, aż w końcu do Mount Hood, który znajdował się jakieś 80 kilometrów przed Bridge of the Gods. Wszystkie góry były wulkanami, których wysokość wahała się od niewiele ponad 2400 do blisko

4200 metrów. Stanowiły niewielką część pacyficznego pierścienia ognia – ciągnącej się na 40 000 kilometrów serii wulkanów i rowów oceanicznych okalających Pacyfik, zaczynających się od wybrzeża Chile, wzdłuż zachodnich wybrzeży Ameryki Środkowej i Północnej, przez Rosję, Japonię i dalej na południe przez Indonezję, Nową Zelandię aż po Antarktydę i tworzących kształt podkowy.

Ostatniego pełnego dnia wędrówki w Sierra Nevada cały czas szłam w dół. Three Lakes i Belden Town dzieliło tylko 11 kilometrów, ale na przestrzeni zaledwie 8 kilometrów szlak obniżał się bezlitośnie o 1200 metrów. Gdy dotarłam do Belden, przekonałam się, że mogę poranić sobie stopy w zupełnie nowy sposób – teraz miałam pęcherze również na czubkach palców. Z każdym krokiem stopy zsuwały mi się do przodu i palce bez przerwy wciskały się w czubki butów. Wyobrażałam sobie, że to będzie łatwy dzień, a jednak dokuśtykałam do celu w agonialnych bólach, jednocześnie zauważając, że Belden Town wcale nie było miasteczkiem. Był to długi budynek biegnący wzdłuż torów kolejowych. Znajdowały się w nim bar i niewielki sklepik, który pełnił również funkcję poczty, mała pralnia i łaźnia. Ściągnęłam buty na ganku sklepu, włożyłam obozowe sandały i utykając, weszłam do środka, by odebrać paczkę. Po chwili trzymałam w dłoni kopertę z dwudziestoma dolarami, na której widok poczułam tak ogromną ulgę, że na moment zapomniałam o obolałych palcach. Kupiłam dwie butelki snapple i wróciłam na ganek, by wypić je jedna po drugiej.

– Fajna koszulka – odezwała się do mnie kobieta o krótkich kręconych siwych włosach, z wielkim białym psem na smyczy. – Wabi się Odin. – Nachyliła się, by podrapać go za uchem, wyprostowała się i poprawiła na nosie małe okrągłe okulary, po czym utkwiała we mnie swój ciekawski wzrok. – Wędrujesz może PCT?

Na imię miała Trina. Była pięćdziesięcioletnią nauczycielką angielskiego w liceum w Kolorado. Rozpoczęła swoją wyprawę dopiero kilka dni wcześniej. Szła PCT na północ od Belden, ale napotkała taką ilość śniegu, że postanowiła wrócić. Jej sprawozdanie wprowadziło mnie w przygnębienie. Czy kiedykolwiek uda mi się uwolnić od śniegu? Gdy tak rozmawialiśmy, podeszła do nas kolejna turystka. Na imię miała Stacey i także rozpoczęła wyprawę poprzedniego dnia. Od Three Lakes szła tą samą drogą co ja.

W końcu spotkałam kobiety na szlaku! Oniemiałam z poczucia ulgi, jednocześnie słuchając, jak opowiadają o sobie. Trina była zapaloną weekendową turystką, Stacy zaś miała duże doświadczenie w długodystansowych wędrówkach i poprzedniego lata przeszła PCT z przyjacielem z Meksyku. Stacy i ja rozmawiałyśmy o miejscach na PCT, które obie odwiedziłyśmy, o Edzie w Kennedy Meadows, którego poznała poprzedniego lata, o jej życiu w mieście na pustyni w południowej Kalifornii, gdzie pracowała jako księgowa w firmie ojca, i o tym, jak w wakacje robiła sobie wolne, żeby chodzić po górach. Miała trzydzieści lat i pochodziła z dużej irlandzkiej rodziny. Była blada, ładna i miała czarne włosy.

– Rozbijmy dziś wspólnie obóz i ustalmy plan działania – powiedziała Trina. – Tamta łąka się nadaje. – Wskazała miejsce widoczne ze sklepu.

Poszłyśmy tam i postawiłyśmy nasze namioty. Otworzyłam swoją przesyłkę, podczas gdy Trina i Stacy rozmawiały na trawie. Czułam przyływ przyjemności, kiedy podnosiłam kolejne rzeczy i odruchowo przytykałam je do nosa. Idealne opakowania makaronu Lipton, suszona fasola i ryż, które zjadłam na obiad, błyszczące opakowania organicznych batoników i nowiutkie strunowe torebki suszonych owoców i orzechów. Miałam już po dziurki w nosie tego rodzaju pokarmów, ale widok nowych i nienaruszonych opakowań sprawił, że poczułam się lepiej. Wyciągnęłam też świeżą koszulkę, której teraz nie potrzebowałam, skoro miałam T-shirt z Bobem Marleyem, dwie nowe pary wełnianych skarpetek i egzemplarz *Klatki latem w ogrodzie* Margaret Drabble, na którą nie byłam jeszcze gotowa – tego samego ranka w ognisku Paco spaliłam dopiero połowę *Powieści*. A co najważniejsze, miałam nową paczkę plastrów żelowych.

Zrzuciłam buty i usiadłam, badając swoje zmasakrowane stopy. Gdy pies Triny zaczął szczekać, podniosłam wzrok i zobaczyłam młodego mężczyznę. Miał blond włosy, niebieskie oczy i był smukłej budowy. Od razu wiedziałam, że idzie PCT – poznałam to po sprzęcie, który za sobą włókł. Na imię miał Brent i kiedy się przedstawił, przywitałam go jak starego przyjaciela, choć widziałam go po raz pierwszy w życiu. Słyszałam opowieści o nim w Kennedy Meadows. Wychował się w małym miasteczku w Montanie, jak powiedzieli mi Greg, Albert i Matt. Pewnego razu w delikatesach niedaleko szlaku w południowej Kalifornii na stoisku

garnazeryjnym zamówił sobie kanapkę z kilogramem pieczonej wołowiny i zjadł ją w sześciu gryzach. Roześmiał się, kiedy mu o tym przypomniałam, a potem zdjął plecak i przykucnął, żeby lepiej się przyjrzeć moim stopom.

– Masz za małe buty – jak echo powtórzył słowa Grega wypowiedziane w Sierra City.

Wpatrywałam się w niego osłupiałym wzrokiem. Moje buty nie mogły być za małe. Nie miałam innych.

– To przez zejście z Three Lakes – powiedziałam.

– No właśnie – odparł Brent. – Przy odpowiednim rozmiarze butów mogłabyś zejść, nie robiąc sobie ze stóp mielonki. Po to właśnie są buty: żeby można było w nich spokojnie schodzić.

Pomyślałam o dobrych ludziach w REI i o mężczyźnie, który kazał mi chodzić tam i z powrotem po małej drewnianej rampie z tego samego powodu – żeby się upewnić, że moje palce nie uderzają o czubki butów, kiedy idę w dół, i że pięty nie ocierają się o tył, kiedy idę pod górę. W sklepie nie sprawiały takiego wrażenia. Teraz nie miałam jednak wątpliwości, że jeśli nie urosły mi stopy, to chodziłam w za małych butach i dopóki będę je miała na sobie, będę w najprawdziwszym piekle.

Nie mogłam jednak nic zrobić. Nie miałam pieniędzy, żeby kupić nowe, a nawet gdybym miała, nie byłoby gdzie ich wydać. Włożyłam obozowe sandały i poszłam z powrotem do sklepu, gdzie zapłaciłam dolara, żeby wziąć prysznic. Potem ubrałam się w rzeczy przeciwdeszczowe i wrzuciłam ciuchy do jednej z dwóch komór automatu do prania. Czekaając na czyste ubrania, zadzwoniłam do Lisy i poczułam ogromną radość, kiedy odebrała. Porozmawiałyśmy o jej życiu, a ja opowiedziałam jej o swojej sytuacji. Razem prześledziłyśmy mój nowy plan podróży. Kiedy się rozłączyłyśmy, wpisałam się do rejestru wędrowców i postanowiłam sprawdzić, kiedy przechodził tędy Greg. Jego imienia nie było w rejestrze. Wydawało mi się niemożliwe, bym go wyprzedziła.

– Słyszałeś coś o Gregu? – zapytałam Brenta, kiedy wróciłam w świeżo wypranych ubraniach.

– Zrezygnował z powodu śniegu.

Popatrzyłam na niego zaskoczona.

– Jesteś pewien?

– Tak mi powiedzieli Australijczycy. Poznałaś ich?

Potrząsnęłam głową.

– Małżeństwo w podróży poślubnej. Też postanowili rzucić PCT. W zastępstwie pojechali na AT.

Dopiero gdy rozpoczęłam wyprawę PCT, dowiedziałam się, co to AT: Appalachian Trail – dużo popularniejszy i lepiej przygotowany kuzyn PCT. Oba uznano za narodowe szlaki widokowe w 1968 roku. AT ma 3500 kilometrów, jest więc o jakieś 800 kilometrów krótszy niż PCT. Ciągnie się wzdłuż grzbietu Appalachów od stanu Georgia do Maine.

– Greg też wybrał się na AT? – zapytałam piskliwie.

– Nie. Nie chciał tracić tak wiele ze szlaku, robiąc te wszystkie obejścia i wybierając alternatywne trasy, wróci więc w przyszłym roku. Tak przynajmniej powiedzieli mi Australijczycy.

– Rany! – odpowiedziałam, czując, jak od tej wiadomości robi mi się słabo.

Od kiedy się poznaliśmy, od tego momentu, kiedy postanowiłam się poddać, Greg był dla mnie talizmanem. Wierzyłam, że jeśli on sobie poradzi, to ja też. A teraz już go tu nie było. Tak jak australijskiej pary, której nigdy nie poznałam, ale której obraz i tak od razu powstał w mojej głowie. Podejrzewałam, że był to mięśniak i amazonka, oboje oszałamiająco dobrze przygotowani na nieustępliwe warunki natury, choćby przez swoją australijską krew.

– A czemu ty nie jedziesz na AT? – zapytałam, martwiąc się, że odpowie, iż taki ma zamiar.

Chwilę się zastanawiał.

– Za duży tam tłok – odpowiedział. Nadal patrzył na mnie i na wielką twarz Boba Marleya, jakby chciał coś jeszcze dodać. – Tak w ogóle, ta koszulka wymiata.

Nigdy nie byłam na AT, ale dużo o nim słyszałam od chłopaków w Kennedy Meadows. Był to najbliższy krewny PCT, ale na wiele sposobów stanowił jego przeciwieństwo. Każdego lata około dwóch tysięcy turystów szło z jednego końca AT

na drugi i choć tylko kilku setkom udawało się pokonać cały dystans, było to nadal dużo więcej niż jedna setka, która rocznie ruszała na PCT. Podróżujący po AT nocowali w turystycznych schroniskach przy szlaku lub w ich pobliżu. Miejsca, gdzie można było uzupełnić zapasy, znajdowały się tam bliżej siebie i więcej z nich było ulokowanych w prawdziwych miasteczkach. W przeciwieństwie do tych na PCT, nie składały się tylko z poczty, baru i maleńkiego sklepiku. Wyobraziłam sobie australijskich świeżo upieczonych małżonków na AT, jak jedzą cheeseburgery i popijają piwo kilka kilometrów od szlaku, a co noc śpią pod drewnianym dachem. Inni wędrowcy nadali im pewnie szlakowe ksywki, co było praktyką zdecydowanie częstszą na AT niż PCT, choć my też mieliśmy swoje sposoby identyfikowania pozostałych. Kiedy Greg, Matt i Albert mówili o Brencie, prawie bez przerwy nazywali go Szczeniak, choć był tylko kilka lat młodszy ode mnie. Grega od czasu do czasu nazywano Statystykiem, bo znał najwięcej faktów i liczb związanych z PCT i pracował jako księgowy. Matt i Albert byli Skautami, a Doug i Tom Uczniakami. Wydawało mi się, że mnie nie nadano żadnego przydomka, ale jeśli było inaczej, to nie chciałam wiedzieć, jak brzmiało.

Tamtego wieczora Trina, Stacy, Brent i ja zjedliśmy obiad w barze przy sklepie. Po zapłaceniu za prysznic, pranie, lemoniadę i kilka zachcianek zostało mi około czternastu dolarów. Zamówiłam sałatkę i talerz frytek – dwa dania z menu, które były najtańsze i jednocześnie zaspokajały moje najgłębsze, choć sprzeczne pragnienia: coś świeżego i coś smażonego w głębokim tłuszczu. Razem kosztowały mnie około pięciu dolarów, więc pozostało mi dziewięć, które musiały mi wystarczyć do momentu odebrania kolejnej paczki z zapasami. Byłam 215 kilometrów od Parku Stanowego McArthur-Burney Falls Memorial, gdzie znajdował się sieciowy sklep, który pozwalał wędrowcom z PCT używać swojego adresu jako punktu odbioru zapasów. Piłam żałośnie swoją wodę, podczas gdy inni raczyli się piwem. W czasie posiłku rozmawialiśmy o odcinku przed nami. Zgodnie ze wszystkimi sprawozdaniami długie jego fragmenty były pogrążone w śniegu. Naszą rozmowę podsłuchał przystojny kelner i przyszedł przekazać nam plotkę, że Park Narodowy Lassen Volcanic nadal znajdował się pod blisko pięciometrową pokrywą śnieżną. Niektóre drogi miały zostać oczyszczone za pomocą dynamitu, żeby dało się przez

nie przejść podczas krótkiego w tym roku sezonu turystycznego.

– Masz ochotę na drinka? – zapytał kelner, podchwytyjąc mój wzrok. – Na nasz koszt – dodał, widząc wahanie w moich oczach.

Przyniósł mi wypełniony po brzegi kieliszek pinot gris. Już po małym łyczku czułam się pijana samą przyjemnością, tak jak poprzedniego dnia od hawajskich drinków. Przy płaceniu rachunku podjęliśmy decyzję, że rano wyruszymy z Belden i najbliższe 80 kilometrów pokonamy serią niżej położonych dróg dla jeepów, zanim inną drogą obejdziemy zaśnieżoną część szlaku w Parku Narodowym Lassen Volcanic. Na PCT mieliśmy powrócić w miejscu zwanym Old Station.

Gdy wróciliśmy do naszego obozowiska, usiadłam na krześle i napisałam list do Joego na kartce wyrwanej ze swojego dziennika. Zbliżały się jego urodziny, a wino sprawiło, że poczułam za nim nagłą tęsknotę. Przypomniałam sobie, jak pewnego wieczoru niemal rok wcześniej szłam z nim na spacer ubrana w minispódniczkę i nic pod spodem i jak uprawialiśmy seks, oparci o ścianę w odludnym zakątku miejskiego parku. Przypomniałam sobie, jak kręciło mi się w głowie z emocji za każdym razem, gdy braliśmy kolejną dawkę heroiny, i jak jego niebieska farba do włosów brudziła moje poduszki. Nie pozwoliłam sobie napisać w liście o tych wszystkich rzeczach. Siedziałam z długopisem w dłoni, tylko o nich myśląc, a także o tym, co napisać mu o PCT. Czułam, że nie potrafię sprawić, by zrozumiał wszystko, co zdarzyło się przez miesiąc od naszego ostatniego spotkania w Portland. Wspomnienia minionego lata wydawały mi się tak obce, jak jemu wydałaby się opowieść o tegorocznym lecie. W zamian zadałam mu długą listę pytań o to, jak się miewa, co robi, z kim spędza czas i czy zrobił już to, co zasugerował na pocztówce, którą odebrałam w Kennedy Meadows, i przestał brać. Miałam taką nadzieję. Nie ze względu na siebie, ale na niego. Złożyłam list i włożyłam do koperty, którą dała mi Trina. Zerwałam też kilka dzikich kwiatów i wetknęłam je do środka.

– Idę to wysłać – powiedziałam do pozostałych i poszłam za światłem czołówki przez trawę i wzdłuż polnej ścieżki aż do skrzynki pocztowej na zewnątrz zamkniętego już sklepu.

– Cześć, piękna – powiedział męski głos, kiedy wrzuciłam list do skrzynki.

Na ciemnym ganku zobaczyłam tylko żarzącą się końcówkę papierosa.

– Cześć – odpowiedziałam niepewnie.

– To ja, barman – powiedział mężczyzna, podchodząc do słabego światła, bym mogła zobaczyć jego twarz. – Smakowało ci wino? – zapytał.

– To ty. Tak. Bardzo miło z twojej strony, dzięki.

– Nadal pracuję – powiedział, strzepując popiół do podłużnej skrzynki na kwiaty. – Ale niedługo kończę. Moja przyczepa znajduje się po drugiej stronie drogi. Może chcesz mnie odwiedzić? Załatwię nam całą butelkę pinot gris.

– Dzięki – odparłam – ale rano ruszamy w dalszą drogę.

Znów zaciągnął się papierosem, a żar zaiskrzył się jaskrawo. Po tym jak przyniósł mi wino, trochę mu się przyglądałam. Na oko miał trzydzieści lat i dobrze wyglądał w jeansach. Czemu nie miałabym z nim pójść?

– Masz chwilę, by się nad tym zastanowić. Może zmienisz zdanie – odparł.

– Jutro muszę przejść 30 kilometrów – powiedziałam, jakby to cokolwiek dla niego oznaczało.

– Możesz się przespać u mnie – powiedział. – Odstąpię ci łóżko. Ja będę spał na kanapie, jeśli tylko się zgodzisz. Po tylu nocach spania na ziemi łóżko byłoby pewnie fajną odmianą.

– Już się rozbiłam. – Pokazałam na łękę.

Wracałam do namiotu z uczuciem niepokoju w żołądku, jednocześnie miło polechtana i zaniepokojona jego zainteresowaniem, drżąc z silnego pożądania. Kiedy dotarłam z powrotem do obozu, pozostałe dziewczyny zdążyły już pozasuwać się w swoich namiotach, ale Brent nadal nie spał. Stał w ciemności i wpatrywał się w gwiazdy.

– Piękne, prawda? – szepnęłam, spoglądając w tym samym kierunku.

Wtedy uświadomiłam sobie, że od wejścia na szlak ani razu nie płakałam. Jak to? Po tylu przepłakanych chwilach wydawało się niemożliwe, że to prawda. Myślałam, że się rozpłaczę, ale w zamian za to wybuchnęłam śmiechem.

– Co cię tak bawi? – zapytał Brent.

– Nic. – Spojrzałam na zegarek. Było piętnaście po dziesiątej. – O tej porze zazwyczaj już śpię.

- Ja też – odparł Brent.
- Dziś mi się jednak nie chce.
- To dlatego, że tak się cieszymy, że jesteśmy w mieście.

Oboje się roześmialiśmy. Cały dzień starałam się nacieszyć towarzystwem kobiet, wdzięczna za rozmowy, które rzadko zdarzało mi się prowadzić od rozpoczęcia wyprawy PCT, ale w dziwny sposób to Brent wydawał mi się najbliższy, choć przecież w ogóle go nie znałam. Stojąc blisko niego, zdałam sobie sprawę, że przypomina mi mojego brata, który mimo dzielącej nas odległości kochał mnie najbardziej ze wszystkich.

- Powinniśmy pomyśleć życzenie – powiedziałam do Brenta.
- A nie trzeba z tym poczekać, aż zobaczymy spadającą gwiazdę? – zapytał.
- Zgodnie z tradycją tak. Ale możemy sobie wymyślić własne zasady – powiedziałam. – Ja chciałabym buty, które nie będą ranić mi stóp.
- Nie mów na głos! – powiedział Brent z poirytowaniem. – To jak przy zdmuchiwaniu urodzinowych świeczek. Nie wolno nikomu zdradzić swojego życzenia. Teraz się nie spełni. Masz przerąbane.

- Niekoniecznie – powiedziałam oburzona, choć dobrze wiedziałam, że ma rację.
- Dobrze, mam swoje – powiedział.

Wpatrywałam się w jedną z gwiazd, ale mój umysł przeskakiwał tylko z jednej myśli na drugą.

- Jak wcześnie masz zamiar jutro wyruszyć? – zapytałam.
- O świcie.
- Ja też – powiedziałam.

Nie chciałam się z nim rozstać następnego ranka. Razem z Triną i Stacy zdecydowałyśmy się iść razem przez kolejne kilka dni, ale Brent szedł szybciej od nas, co oznaczało, że będzie szedł sam.

- Masz to życzenie? – zapytał.
- Nadal się zastanawiam.
- Dobry moment, żeby sobie jakieś pomyśleć – powiedział. – To nasza ostatnia noc w Sierra Nevada.

– Żegnaj, Łańcuchu Światła – powiedziałam w stronę nieba.

– Możesz sobie życzyć konia – powiedział Brent. – Wtedy nie będziesz musiała martwić się o stopy.

Spojrzałam na niego w ciemności. Miał rację – PCT był szlakiem i dla piechurów, i zwierząt pociągowych, choć nie spotkałam jeszcze nikogo na koniu.

– Kiedyś miałam konia – powiedziałam, znów zwracając wzrok ku niebu. – Nawet dwa.

– Szczęściara z ciebie – powiedział. – Nie każdy może mieć konia.

Przez kilka chwil staliśmy w milczeniu.

Potem pomyślałam życzenie.

Część czwarta DZIKOŚĆ

„Kiedy nie miałem schronienia,
Zrobiłem je z zuchwałości”.

Robert Pinsky, *Samurai Song*

„Nigdy, przenigdy się nie poddawaj”.

Winston Churchill

Rozdział 11

Mniej Lou w Lou

Stałam przy drodze na obrzeżach miasta Chester i próbowałam złapać okazję. Na poboczu zatrzymał się srebrny chrysler le baron i wysiadł z niego mężczyzna. Przez ponad pięćdziesiąt ostatnich godzin wraz ze Stacy, Triną i psem przeszłam 80 kilometrów z Belden Town do miejsca zwanego Stover Camp. Rozdzieliłyśmy się dziesięć minut wcześniej, kiedy chciała nas podwieźć para w hondzie civic, ale miała tylko dwa wolne miejsca.

– Jedźcie – powiedziałyśmy jednocześnie.

– Nie, wy jedźcie.

W końcu udało mi się nakłonić Stacy i Trinę, by wsiadły do środka z Odinem, który poczłapał za nimi ociężałe, i zapewniłam je, że dam sobie radę.

„Bo dam” – pomyślałam, patrząc, jak mężczyzna z chryslera le baron idzie w moją stronę zwirowym poboczem, choć kiedy w ułamku sekundy próbowałam rozszyfrować, jakie są jego intencje, czułam w żołądku narastający niepokój. Był ode mnie o kilka lat starszy i wyglądał na miłego gościa. Zdecydowałam, że naprawdę jest miłym gościem, kiedy zobaczyłam zderzak jego samochodu. Znajdowała się na nim zielona naklejka z napisem „ŁYŻKA NIE ISTNIEJE”.

Czy jakikolwiek seryjny morderca rozmyślał o nieistniejących łyżkach?

– Cześć – zawołałam pogodnie.

W dłoni trzymałam najgłośniejszy gwizdek na świecie, bo ręka sama powędrowała mi do Monstrum i owinęła się wokół nylonowego sznurka, na którym gwizdek zwisał z ramy plecaka. Nie użyłam go ani razu od spotkania z niedźwiedziem, ale od tamtego czasu intuicyjnie wiedziałam, w jakiej odległości ode mnie się znajdował, jakby był przyczepiony linką nie tylko do mojego plecaka, ale i do mnie.

– Dzień dobry – powiedział mężczyzna i wyciągnął do mnie dłoń na powitanie.

Brązowe włosy opadały mu na oczy. Nazywał się Jimmy Carter, ale zbieżność

nazwisk była przypadkowa. Powiedział, że nie może mnie podwieźć, bo nie ma miejsca w samochodzie. Zerknęłam do środka – mówił prawdę. Każdy centymetr z wyjątkiem fotela kierowcy był zavalony gazetami, książkami, puszkami po napojach i sięgającymi do okien stertami rozmaitych przedmiotów. Zastanawiał się za to, czy mógłby ze mną porozmawiać. Powiedział, że pracuje dla „Hobo Times”. Jeździł po kraju i rozmawiał z osobami, które prowadziły życie włóczęgów i sezonowych pracowników.

– Nie jestem włóczęgą – powiedziałam rozbawiona. – Jestem długodystansowym wędrowcem. – Wypuściłam gwizdek z dłoni i wyciągnęłam rękę w stronę drogi, kiwając kciukiem do przejeżdżającego vana. – Wędruję Pacific Crest Trail – wyjaśniłam, wpatrując się w Jimmy’ego Cartera i życząc sobie w myślach, by wsiadł do samochodu i odjechał.

Żeby dostać się do Old Station, musiałam złapać okazję na dwóch różnych autostradach, a on mi w tym nie pomógł. Byłam brudną turystką w jeszcze brudniejszych ubraniach, ale nadal byłam samotną kobietą. Obecność Jimmy’ego Cartera tylko komplikowała sprawę i z punktu widzenia przejeżdżających kierowców zmieniała postać rzeczy. Dobrze pamiętałam, ile czasu spędziłam na poboczu drogi, kiedy próbowaliśmy z Gregiem dostać się do Sierra City. Dopóki będzie stał przy mnie Jimmy Carter, nikt się nie zatrzyma.

– Jak długo żyjesz w drodze? – zapytał, wyciągając z tylnej kieszeni sztruksowych spodni długopis i długi, wąski reporterski notatnik.

Jego włosy były rozczochrane i nieświeże. Grzywka to zasłaniała, to odsłaniała ciemne oczy, w zależności od tego, z której strony wiał wiatr. Zrobił na mnie wrażenie osoby z doktoratem z jakiejś obszernej i trudnej do uchwycenia dziedziny, jak historia świadomości albo komparatystyka dyskursu.

– Powiedziałam już: nie żyję w drodze – odparłam i zaśmiałam się.

Bardzo chciałam złapać okazję, ale nie mogłam też nic poradzić na to, że towarzystwo Jimmy’ego Cartera sprawiało mi przyjemność.

– Wędruję Pacific Crest Trail – powtórzyłam, wskazując dla wyjaśnienia las, który zaczynał się nieopodal drogi, choć tak naprawdę PCT znajdował się 15

kilometrów dalej na zachód.

Patrzył na mnie beznamiętnie, jakby nie rozumiał, o czym mówię. Późnym rankiem było już bardzo gorąco, zapowiadał się więc dzień, w którym w południe temperatura będzie nie do zniesienia. Zastanawiałam się, czy Jimmy czuje mój zapach. Ja już nie byłam w stanie go wyczuć. Zrobiłam krok do tyłu i w akcie rezygnacji opuściłam wystawiony palec. I tak dopóki nie odjedzie, nie mam na co liczyć.

– To narodowy szlak widokowy – wyjaśniłam, ale on nie przestał patrzeć na mnie wyczekująco, z niezapisanymi kartkami w dłoni.

Gdy tłumaczyłam mu, czym jest PCT i co tam robię, zdałam sobie sprawę, że Jimmy Carter jest całkiem przystojny. Zastanawiałam się, czy miał w samochodzie coś do jedzenia.

– Skoro idziesz szlakiem przez dziką przyrodę, to co robisz tutaj? – zapytał.

Powiedziałam mu, że próbuję ominąć głębokie śniegi w Lassen Volcanic.

– Jak długo jesteś w drodze?

– Jestem NA SZLAKU od około miesiąca – powiedziałam, przyglądając się, jak to zapisuje.

Przyszło mi na myśl, że może rzeczywiście jestem odrobinę włóczęgą, biorąc pod uwagę, ile jeździłam autostopem i jak objeżdżałam odcinki poza szlakiem, ale pomyślałam, że wspomnieć o tym będzie nierozsądnie.

– Ile nocy w tym miesiącu przespałaś pod prawdziwym dachem?

– Trzy – odpowiedziałam po zastanowieniu.

Jedną u Franka i Annette i po jednej w motelach w Ridgecrest i Sierra City.

– To wszystko, co masz? – zapytał, ruchem brody wskazując mój plecak i kijek narciarski.

– Tak. To znaczy mam też trochę rzeczy w przechowalni, ale to wszystko.

Poklepałam dłonią Monstrum. Zawsze było mi jak przyjaciel, ale teraz, w towarzystwie Jimmy'ego Cartera, było mi jeszcze bliższe.

– No to według mnie jesteś włóczęgą! – powiedział radośnie i poprosił, bym przeliterowała swoje imię i nazwisko.

Pożałowałam, od razu kiedy to zrobiłam.

– Żartujesz! – wykrzyknął, kiedy zobaczył je napisane na kartce. – Naprawdę się tak nazywasz?

– Tak – powiedziałam i odwróciłam się, jakby wypatrując samochodu, licząc, że nie wyczyta z mojej twarzy wahania.

Niepokojącą ciszę przerwała ciężarówka do przewozu drewna, która wyłoniła się zza zakrętu i minęła nas z warkotem, nieświadoma mojego błagalnego kciuka.

– A powiedziałaabyś – odezwał się Jimmy Carter, kiedy ciężarówka odjechała – że jesteś naprawdę zbłąkana?

– Nie ujęłabym tego w taki sposób – wydukałam. – Bycie włóczęgą a wędrowcem to dwie zupełnie różne rzeczy. – Oplotłam na nadgarstku różowy pasek narciarskiego kijka i dłużyłam jego końcówką w ziemi, rysując linię, która nigdzie nie prowadziła. – Nie jestem wędrowcem w normalnym znaczeniu – wyjaśniłam. – Jestem jakby wyspecjalizowanym wędrowcem. Idę 25, nawet 30 kilometrów dziennie i tak każdego dnia, pod górę i w dół, z dala od dróg, ludzi, z dala od wszystkiego, czasem całymi dniami nikogo nie spotykając. Może o tym powinieneś napisać.

Zerknął na mnie znad notatnika. Wiatr bez przerwy nawiewał mu włosy na bladą twarz. Wydawał mi się podobny do tyłu znajomych osób. Zastanawiałam się, czy robię na nim podobne wrażenie.

– Rzadko kiedy spotykam kobiety włóczęgi – powiedział prawie szeptem, jakby zdradzał mi sekret – więc to jest naprawdę ekstra.

– Nie jestem włóczęgą! – upierałam się, tym razem zacieklej.

– Trudno spotkać kobietę włóczęgę – nie ustępowałam.

Powiedziałam mu, że to dlatego, że kobiety są zbyt uciśnione, by stać się włóczęgami. Że najprawdopodobniej wszystkie kobiety, które chciały rzucić swoje domy, utknęły w nich z gromadą dzieciaków. Dzieciaków spłodzonych przez ojców włóczęgów, którzy ruszyli w drogę.

– Aaa, rozumiem – powiedział. – Więc jesteś też feministką.

– Tak – odparłam. Dobrze było w końcu z czymś się zgodzić.

– Uwielbiam – odparł i zapisał coś w notatniku, nie wyjaśniając mi, co uwielbia.

– Ale to nie ma znaczenia! – wykrzyczałam. – Bo ja nie jestem włóczęgą. To jest całkowicie legalne, wiesz? To, co robię. Nie tylko ja wędruję PCT. Wielu ludzi rusza w taką podróż. Słyszałeś kiedyś o Appalachian Trail? Jest bardzo podobny. Tylko znajduje się na zachodzie.

Stałam i patrzyłam, jak notuje, na moje oko więcej, niż powiedziałam.

– Chciałbym ci zrobić zdjęcie – powiedział Jimmy Carter. Otworzył samochód i wyciągnął z niego aparat. – A tak w ogóle, masz fajną koszulkę. Uwielbiam Boba Marleya. I podoba mi się też twoja bransoleta. Wielu włóczęgów to weterani z Wietnamu.

Spojrzałam na nazwisko Williama J. Crocketta na swoim nadgarstku.

– Uśmiech! – powiedział i nacisnął spust migawki. Powiedział, że mogę szukać jego artykułu w „Hobo Timesie”, jakbym była stałą czytelniczką. – Niektóre artykuły były przedrukowywane w „Harper’s” – dodał.

– „Harper’s”? – zapytałam oniemiała.

– Tak, to taki magazyn...

– Wiem, co to „Harper’s” – przerwałam mu ostro. – I nie chcę być w „Harper’s”. Albo inaczej: chcę być w „Harper’s”, ale nie dlatego, że jestem włóczęgą.

– Myślałem, że nie jesteś włóczęgą – powiedział i odwrócił się, by otworzyć bagażnik.

– Nie jestem, więc umieszczenie mnie w „Harper’s” nie jest chyba najlepszym pomysłem, co znaczy chyba, że w ogóle nie powinieneś pisać tego artykułu...

– Przydziałowa paczka dla włóczęgów – powiedział, podając mi puszkę zimnego budweisera i reklamówkę z kilkoma produktami w środku.

– Ale nie jestem włóczęgą – powtórzyłam po raz kolejny, z mniejszym zapałem, bojąc się, że w końcu mi uwierzy i zabierze przydziałową paczkę.

– Dzięki za wywiad – powiedział i zatrzasnął bagażnik. – Uważaj na siebie.

– Dzięki. Ty też – odparłam.

– Rozumiem, że masz ze sobą broń. Przynajmniej mam nadzieję, że masz.

Wzruszyłam ramionami, próbując uniknąć odpowiedzi.

– Byłaś na południu, a teraz idziesz na północ, co oznacza, że niedługo wkroczysz

na tereny Wielkiej Stopy.

– Wielkiej Stopy?

– Tak. No wiesz, leśnego Yeti. Nie kłamię. Od tego miejsca aż do granicy i dalej w Oregonie zgłoszono najwięcej na świecie przypadków spotkania z Wielką Stopą. – Odwrócił się w stronę drzew, jakby za chwilę coś miało z nich na nas wyskoczyć. – Wielu ludzi wierzy w jej istnienie. Wielu włóczęgów, tych, którzy tu są. Tych, którzy coś widzieli. Bez przerwy opowiadają mi historie o Wielkiej Stopie.

– Radzę sobie. Tak mi się wydaje. A przynajmniej dawałam sobie radę do tej pory. – Roześmiałam się, choć poczułam motyle w żołądku.

Podczas tygodni poprzedzających moją wyprawę PCT, kiedy to postanowiłam się nie bać, myślałam raczej o niedźwiedziach, węzach, pumach i dziwnych ludziach, których spotkam po drodze. Nie brałam pod uwagę owłosionych człekokształtnych dwunożnych potworów.

– Ale pewnie nic ci nie będzie. Nie martwiłbym się na twoim miejscu. Najprawdopodobniej dadzą ci spokój, zwłaszcza jeśli masz broń.

– No tak – pokiwałam głową.

– Powodzenia na trasie – powiedział, wsiadając do samochodu.

– Powodzenia... w szukaniu włóczęgów – powiedziałam i pomachałam mu na pożegnanie.

Stałam tam jeszcze przez chwilę, pozwalając samochodom przejeżdżać koło mnie, nie próbując ich nawet zatrzymać. Byłam chyba najbardziej samotną dziewczyną na świecie. Czułam na sobie żar lejący się z nieba. Zastanawiałam się, gdzie są Stacy i Trina. Mężczyzna, który je zabrał, miał je podwieźć niecałe 20 kilometrów na wschód, do skrzyżowania z kolejną autostradą, z której następną okazją miałyśmy dostać się na północ, a potem na zachód do Old Station i na PCT. Umówiłyśmy się na tym skrzyżowaniu. Trochę żałowałam, że tak je zachęcałam, by mnie zostawiły, kiedy pojawiła się okazja. Wystawiłam rękę, kiedy przejeżdżał kolejny samochód, zdając sobie sprawę dopiero po tym, jak mnie minął, że z puszką piwa w dłoni nie robię najlepszego wrażenia. Przycisnęłam zimne aluminium do czoła i nagle poczułam ochotę, by się napić. Dlaczego nie? W plecaku tylko się zagrzeje.

Zarzuciłam sobie Monstrum na plecy i wolnym krokiem poszłam przez chwasty do rowu, a potem z powrotem w górę, do lasu. Wydawał mi się teraz jak dom, jak mój świat, tak jak świat miast i samochodów zrobił się dla mnie obcy. Szłam, aż znalazłam dobre miejsce w cieniu. Usiadłam na ziemi i otworzyłam puszkę. Nie lubiłam piwa. Ten budweiser był tak naprawdę pierwszym piwem w życiu, które wypiałam w całości, ale smakował mi, tak jakbym je bardzo lubiła: był zimny i ostry, orzeźwiający i pyszny.

Popijając go, sprawdzałam zawartość reklamówki. Wyciągnęłam wszystkie przedmioty i położyłam przed sobą na ziemi: paczkę miętowych gum, trzy zapakowane oddzielnie nawilżone chusteczki, papierową saszetkę zawierająca dwie aspiryny, sześć karmelowych cukierków w przejrzystej złotej folii, opakowanie zapalek z napisem „Dziękujemy! Farmaceutyki Steinbeck”, próżniowo zapakowaną kiełbasę, jednego papierosa w cylindrycznym opakowaniu imitującym szkło, jednorazową maszynkę do golenia i niską, pękatą puszkę fasoli.

Najpierw zjadłam kiełbasę, popijając ją ostatnimi łykami budweisera, a potem sięgnęłam po karmelowe cukierki, zjadając wszystkie sześć jeden po drugim. Następnie – nadal głodna, zawsze głodna – spojrzałam na puszkę fasoli. Otworzyłam ją z trudem, wykonując małe ruchy nieporęcznym otwieraczem do puszek w moim szwajcarskim scyzoryku, a potem, zbyt leniwa, by przeczesać zawartość plecaka w poszukiwaniu łyżki, wydłubywałam ją nożem i jadłam prosto z ostrza, jak prawdziwy włóczęga.

Wróciłam na drogę, czując się nieco zamroczone piwem i żując dwie miętowe gumy, żeby trochę się otrzeźwić, jednocześnie z radością wystawiając kciuk do każdego przejeżdżającego samochodu. Po kilku minutach przy drodze zatrzymał się stary biały maverick. Za kierownicą siedziała kobieta, obok niej mężczyzna, a na tylnym siedzeniu kolejny mężczyzna i pies.

– Dokąd się wybierasz? – zapytała kobieta.

– Old Station – odpowiedziałam – a przynajmniej skrzyżowanie autostrady 36 z 44.

– To nam po drodze – powiedziała i wysiadła, by otworzyć mi bagażnik.

Wyglądała na mniej więcej czterdzieści lat. Miała mocno kręcone utlenione na blond włosy i nabrzmiałą, obsypaną bliznami po trądziku twarz. Ubrana była w obcięte jeansy i szarą bluzkę związaną na szyi, wyglądającą, jakby była zrobiona ze sznurków mopa. W uszach miała złote kolczyki w kształcie motyli. – Masz spory plecak – zaśmiała się głośno.

– Dzięki, dzięki – powtarzałam, ocierając pot z twarzy, kiedy obie próbowałyśmy wepchnąć Monstrum do środka.

Gdy w końcu mi się udało, wsiadłam do tyłu, razem z drugim mężczyzną i z psem. Był to przepiękny husky o niebieskich oczach. Stał na niewielkiej przestrzeni podłogi przed siedzeniem. Mężczyzna był smukłej budowy i w podobnym wieku co kobieta. Jego ciemne włosy były zaplecione w cienki warkocz. Miał na sobie skórzaną kamizelkę bez koszuli pod spodem i czerwoną bandanę zawiązaną na czubku głowy jak motocyklista.

– Cześć – szepnęłam w jego stronę, bezskutecznie szukając pasa pasażera, który był bezpowrotnie wciśnięty w zagłębienie fotela.

Obrzuciłam wzrokiem jego tatuaże: kulę kolczastą na łańcuchu na jednym ramieniu, na drugim, wyżej, półnagą kobietę, która odrzucała głowę do tyłu w wyrazie bólu lub ekstazy, oraz łacińskie słowo, którego znaczenia nie znałam, wypisane na piersi. Kiedy w końcu zrezygnowałam z poszukiwania pasa, husky nachylił się do mnie i z zapalem zaczął lizać mi kolano swoim miękkim i zaskakująco chłodnym językiem.

– Ten sukinkot ma cholernie dobry gust, jeśli chodzi o kobiety – powiedział mężczyzna. – Wabi się Stevie Ray – dodał.

Pies momentalnie przestał mnie lizać, zamknął pysk i spojrzał na mnie lodowatymi oczami w ciemnych obwódkach, jakby wiedział, że właśnie został przedstawiony i chciał się grzecznie zachować.

– Jestem Spider. Poznałaś już Louise. Mówimy na nią Lou – mówił dalej facet.

– Cześć – powiedziała Lou, rzucając mi spojrzenie przez lusterko wsteczne.

– A to mój brat Dave – powiedział Spider, wskazując na mężczyznę na siedzeniu pasażera.

- Cześć – przywitałam się.
- A ty? Masz jakieś imię? – zapytał Dave, gdy się odwrócił.
- Tak, jasne, przepraszam. Jestem Cheryl.

Uśmiechnęłam się, choć czułam wahanie, czy aby dobrze zrobiłam, godząc się na jazdę z nimi. Teraz nie mogłam jednak już nic poradzić. Ruszyliśmy, a gorący wiatr rozwiewał mi włosy. Głaskałam Steviego Raya, jednocześnie kątem oka patrząc na Spidera.

- Dzięki, że mnie zabraliście – powiedziałam, by zamaskować niepokój.

– Spoko, siostró – odpowiedział Spider. Na jego środkowym palcu znajdował się pierścień z kwadratowym oczkiem z turkusa. – Wszyscy kiedyś byliśmy w drodze. Wszyscy wiemy, jak to jest. Próbowałem złapać okazję w zeszłym tygodniu i żaden sukinkot mnie nie podwiózł, więc kiedy cię zobaczyłem, kazałem Lou się zatrzymać. Karma, rozumiesz?

- No tak – odparłam, odgarniając szorstkie i suche jak słoma włosy za uszy.
- Co tu właściwie robisz? – zapytała Lou z przedniego siedzenia.

Opowiedziałam wszystko o PCT, tłumacząc im rekordowe opady śniegu na szlaku i skomplikowaną podróż autostopem do Old Station. Słuchali mnie z powagą i pełnym dystansu zaciekawieniem, jednocześnie paląc papierosy.

Gdy skończyłam, odezwał się Spider:

– Opowiem ci historię, Cheryl. Myślę, że pasuje do tego, co powiedziałaś. Jakiś czas temu czytałem o zwierzętach i był taki sukinkot naukowiec w latach trzydziestych czy czterdziestych z Francji czy coś. I ten sukinkot próbował nauczyć małpy malować obrazy. Sztukę jak z muzeum. Więc naukowcy pokazywali małpom różne obrazy i dawali im grafitowe ołówki, aż w końcu pewnego dnia jedna małpa zaczyna coś rysować, ale wcale nie jeden z obrazów. Sukinkot maluje kraty własnej klatki. Własnej pieprzonej klatki! Mocne, co? Ja mogę to zrozumieć i ty pewnie też.

- To prawda, mogę – powiedziałam szczerze.

– Wszyscy możemy, stary – powiedział Dave i odwrócił się do Spidera, żeby mogli wykonać układ uścisków dłoni i gestów właściwych braciom motocyklistom.

- Powiedzieć ci coś o tym psie? – zapytał Spider, kiedy skończyli. – Wziąłem go

do siebie tego samego dnia, kiedy umarł Stevie Ray Vaughan. Tak sukinkot zyskał swoje imię.

– Uwielbiam Steviego Raya – powiedziałam.

– A lubisz *Texas Flood*? – zapytał Dave.

– No pewnie – powiedziałam zachwycona.

– Mam to ze sobą – powiedział, wyciągnął płytę i włożył ją do boomboxa, który znajdował się między nim a Lou.

Chwilę później samochód wypełniła magia elektrycznej gitary Vaughana. Muzyka wydała mi się jak pokarm, jak jedzenie, jak wszystkie te rzeczy, o które kiedyś nie dbałam, a których teraz tak mi brakowało, że doprowadzało mnie to do szaleństwa. Patrzyłam na migające za oknami drzewa, zasłuchana w piosenkę *Love Struck Baby*.

Kiedy się skończyła, Lou powiedziała:

– To piosenka o mnie i o Davie. Pobieramy się w przyszłym tygodniu.

– Gratulacje – odparłam.

– A może ty wyjdiesz za mnie, skarbie? – zapytał Spider, momentalnie zaczynając gładzić moje nagie udo wierzchem dłoni i ocierać o nie pierścień z turkusem.

– Nie zwracaj na niego uwagi – powiedziała Lou. – To tylko stary napaleniec – roześmiała się, łapiąc moje spojrzenie we wstecznym lusterku.

„Też byłam starym napaleńcem” – pomyślałam, czując, jak jedno kolano dokładnie wylizuje mi pies Stevie Ray, a prawdziwy Stevie Ray zaczyna zmysłową wersję *Pride and Joy*. Miejsce, w którym dotknął mnie Spider, zdawało się pulsować. Chciałam, żeby zrobił to jeszcze raz, choć wiedziałam, że to absurdalne. Z uchwytu lusterka wstecznego razem z wyblakłym odświeżaczem w kształcie choinki zwisiała laminowana karta. Gdy się odwróciła, zobaczyłam fotografię małego chłopca.

– To twój syn? – zapytałam Lou, kiedy skończyła się piosenka, wskazując na lusterko.

– To mój mały Luke – powiedziała, lekko uderzając w zdjęcie.

– Będzie uczestniczył w ceremonii? – zapytałam.

Ale Lou nie odpowiedziała. Ściszyła tylko muzykę i od razu wiedziałam, że

powiedziałam coś nie tak.

– Zmarł pięć lat temu, kiedy miał osiem lat – powiedziała Lou chwilę później.

– Tak mi przykro. – Nachyliłam się do niej i poklepałam ją po ramieniu.

– Potrąciła go ciężarówka, gdy jechał na rowerze – powiedziała zwyczajnym tonem. – Nie umarł od razu. Przez tydzień leżał w szpitalu. Żaden z lekarzy nie mógł uwierzyć, że nie zginął na miejscu.

– Mały twardy sukinkot – powiedział Spider.

– To prawda – powiedziała Lou.

– Jak jego mama – dodał Dave, chwytając Lou za kolano.

– Naprawdę bardzo mi przykro – powiedziałam jeszcze raz.

– Wiem – powiedziała Lou, zanim znów pogłośniła muzykę.

Jechaliśmy bez słowa, słuchając zawodzenia elektrycznej gitary Vaughana w *Texas Flood*, od którego ścisnęło mi się serce.

Kilka minut później Lou zawołała:

– Jest twoje skrzyżowanie.

Zjechała na pobocze, wyłączyła silnik i spojrzała na Dave'a.

– Może byście wzięli Steviego Raya, żeby się odlał.

Wszyscy wysiedli ze mną i zapalili papierosy, kiedy wyciągałam plecak z bagażnika. Dave i Spider poprowadzili psa między drzewa niedaleko drogi. Lou stanęła ze mną w cieniu blisko samochodu, gdy zapinałam sprzączki pasów plecaka. Zapytała mnie, czy mam dzieci, ile mam lat i czy jestem albo byłam mężatką.

Nie, dwadzieścia sześć, nie, tak, odpowiedziałam.

– Jesteś ładna, więc jakoś ci się ułoży, bez względu na to, co będziesz robić. O mnie ludzie zawsze mówią, że mam dobre serce, z urodą gorzej.

– To nieprawda – powiedziałam. – Moim zdaniem jesteś ładna.

– Tak myślisz? – zapytała.

– Tak. – Choć „ładna” nie było pierwszym słowem, które przychodziło mi do głowy.

– Naprawdę? Dzięki. To miło. Zazwyczaj tylko Dave tak uważa. – Spojrzała na moje nogi. – Przydałaby ci się maszynka, dziewczyno! – zawołała i roześmiała się

w ten sam głośny sposób jak wtedy, gdy powiedziała, że mam wielki plecak. – Nie – powiedziała po chwili, wypuszczając z ust kłęb dymu. – Niepotrzebnie się ciebie czepiam. Uważam, że to świetnie, że robisz, co chcesz. Gdyby ktoś mnie pytał, to za mało dziewczyn to robi: każe społeczeństwu i jego oczekiwaniom spadać na drzewo. Gdyby tak było, wszystkim nam żyłoby się lepiej. – Znow się zaciągnęła i wypuściła z ust strumień dymu. – Wiesz, po śmierci mojego syna ja też umarłam. W środku. – Poklepała się po piersi dłonią, w której trzymała papierosa. – Wyglądam tak samo, ale tutaj nie jestem już taka sama. Życie niby toczy się dalej, ale śmierć Luke’a mi je odebrała. Staram się nie zachowywać, jakby tak się stało, ale stało się. Teraz w Lou jest mniej Lou i nie da się tego odmienić. Wiesz, o czym mówię?

– Wiem – powiedziałam, patrząc w jej brązowe oczy.

– Tak myślałam – odparła. – Przeczuwałam, że zrozumiesz.

Pożegnałam się z nimi, przeszłam przez skrzyżowanie i skręciłam w drogę, która miała mnie poprowadzić do Old Station. Upał był tak ogromny, że powietrze nad ziemią w widoczny sposób falowało. Gdy znalazłam się na drodze, zauważyłam w oddali zarys trzech postaci.

– Stacy! – krzyknęłam. – Trina!

Zobaczyły mnie i zaczęły wymachiwać rękami w moją stronę. Odin zaszczekał na powitanie.

Razem złapałyśmy okazję do Old Station – kolejnej niewielkiej miejscowości, która bardziej przypominała skupisko budynków niż miasteczko. Trina poszła na pocztę, żeby wysłać kilka rzeczy do domu, podczas gdy ja i Stacy czekałyśmy na nią w klimatyzowanej kawiarni, pijąc gazowane napoje i rozmawiając o kolejnym odcinku szlaku. Był to fragment równiny Modoc, który nazywał się Hat Creek Rim – bezludny i znany z braku wody i cienia legendarny fragment szlaku złożonego z samych legend. Suchy i gorący, został wypalony ogniem w 1987. *The Pacific Crest Trail*, tom 1: *California*, informował, że choć od Old Station do Rock Springs Creek, mniej więcej 50 kilometrów dalej, nie było żadnego źródła wody, na którym można by polegać, w chwili gdy książka szła do druku w 1989, służby leśne miały zainstalować zbiornik wody w pobliżu starej wieży przeciwpożarowej 25 kilometrów

w głąb szlaku. Przewodnik uprzedzał, że należy zweryfikować tę wiadomość, ponieważ i na takich zbiornikach nie zawsze można polegać ze względu na przejawy wandalizmu, jak dziury po kulach. Kostka po kostce ssłam lód ze szklanki, zastanawiając się nad tą informacją. Zostawiłam bukłaki w Kennedy Meadows, jako że większość szlaków prowadzących na południe miała odpowiednią ilość wody. W kwestii Hat Creek Rim zaplanowałam kupić wielką butlę wody i przymocować ją pasami do Monstrum, ale zarówno z powodów finansowych, jak i ze względu na obciążenie miałam nadzieję, że nie będzie to konieczne. Wolałabym wydać ostatnie pieniądze na jedzenie w tej kawiarni niż na wodę, nie wspominając już o cierpieniu, z jakim musiałabym ją nieść przez 50 kilometrów równiny. Niemal spadłam z krzesła z radości, kiedy Trina wróciła z poczty z wiadomością, że wędrowcy idący z południa napisali w rejestrze szlaku, że zbiornik, o którym mowa w przewodniku, stoi nietknięty i jest w nim woda.

Rozentuzjasmowane poszłyśmy na kemping, który znajdował się 1,5 kilometra dalej, i rozbiłyśmy namioty. Trina i Stacy planowały ruszyć w drogę następnego ranka, ja jednak postanowiłam zrobić sobie dzień przerwy, chcąc znów podróżować sama i dać odpocząć stopom, które ciągle nie wydobrzały po powodującym pęcherze zejściu z Three Lakes.

Gdy obudziłam się następnego ranka, miałam cały kemping dla siebie. Usiadłam przy stole piknikowym i popijałam herbatę z rondelka, paląc ostatnie strony *Powieści*. Profesor, który kpił sobie z Michenera, w niektórych kwestiach miał rację. Nie był to pisarz jak William Faulkner albo Flannery O'Connor, ale mimo to powieść zupełnie mnie pochłonęła, nie tylko ze względu na pisarstwo. Poruszył mnie jej temat. Książka dotyczyła wielu spraw, ale koncentrowała się wokół życia jednej powieści, której historia została opowiedziana z perspektywy pisarza, redaktora, krytyków i czytelników. Robiłam w życiu wiele rzeczy i żyłam wieloma wersjami siebie, ale jedno zawsze pozostawało niezmiennie – byłam pisarką. Zamierzałam napisać kiedyś powieść. Czuję się nawet zawstydzona faktem, że dotąd jeszcze żadnej nie stworzyłam. Kiedy dziesięć lat wcześniej wyobrażałam sobie siebie w przyszłości, byłam przekonana, że do tego czasu opublikuję już przynajmniej jedną książkę. Napisałam kilka opowiadań i podjęłam poważne próby powieściowe, ale nie byłam

nawet bliska końca. W zamieszaniu poprzedniego roku miałam wrażenie, że pragnienie pisania opuściło mnie na zawsze, ale im dalej szłam, tym bardziej czułam, jak do mnie wraca, wstawiając swój prywatny głos pomiędzy fragmenty piosenek i reklamowe jingle w mojej głowie. Tamtego ranka w Old Station, kiedy kucając przy palenisku, darłam książkę Michenera na części po pięć i dziesięć stron, by łatwiej spłonęła, postanowiłam zacząć. Miałam przed sobą cały gorący dzień i nic do roboty, usiadłam więc przy stole piknikowym i pisałam do późnego popołudnia.

Kiedy podniosłam wzrok znad notatnika, zauważyłam, że wiewiórka próbuje wygryźć dziurę w siatkowej osłonie mojego namiotu, żeby dostać się do torby z jedzeniem, która znajdowała się w środku. Odgoniłam ją, przeklinając, podczas gdy ona skrzeczała na mnie z drzewa. Tymczasem pole namiotowe znacznie się wypełniło. Na większości stolików znajdowały się teraz lodówki turystyczne i kuchenki. Na niewielkich brukowanych parkingach stały pick-upy i campery. Wzięłam torbę z jedzeniem z namiotu i poszłam do kawiarni 1,5 kilometra dalej, gdzie poprzedniego popołudnia siedziałam z Triną i Stacy. Zamówiłam hamburgera, nie przejmując się, że wydam na niego prawie wszystkie pieniądze. Następne pudło czekało w parku stanowym w Burney Falls, prawie 70 kilometrów dalej, ale nie było szans, bym dotarła tam w dwa dni, nawet teraz, gdy potrafiłam iść dłużej i dalej – po drodze z Belden przeszłam pod rząd dwa razy po 30 kilometrów. Była piąta w ciepły letni dzień, który zakończy się dopiero około dziewiątej lub dziesiątej, a ja, jedyna klientka kawiarni, pożerałam swój posiłek.

Wyszłam z restauracji, mając w kieszeni tylko trochę drobnych. Minęłam budkę telefoniczną, a potem wróciłam do niej, podniosłam słuchawkę i przycisnęłam „0”, czując, jak drzę w środku ze strachu i podniecenia. Kiedy zgłosiła się operatorka, by przyjąć zgłoszenie rozmowy, podałam jej numer Paula.

Podniósł słuchawkę po trzecim sygnale. Tak mnie poruszył dźwięk jego głosu, że ledwie wydusiłam z siebie „cześć”.

– Cheryl! – zawołał.

– Paul! – odezwałam się w końcu i pospiesznie bełkocząc, powiedziałam mu, gdzie jestem i co się ze mną działo od naszego ostatniego spotkania.

Rozmawialiśmy niemal godzinę, a nasza rozmowa była czuła i pełna energii,

wspierająca i życzliwa. Nie miałam wrażenia, że rozmawiam z byłym mężem. Rozmawiałam z najlepszym przyjacielem. Kiedy odłożyłam słuchawkę, spojrzałam na torbę z jedzeniem leżącą na ziemi – niemal pustą tubę w niebieskim pastelowym kolorze z materiału wykończonego tak, że w dotyku był jak guma. Podniosłam ją, przycisnęłam do siebie i zamknęłam oczy.

Poszłam z powrotem na pole namiotowe i siedziałam długo przy stole z *Klatką latem w ogrodzie* w dłoniach, zbyt poruszona, by czytać.

Patrzyłam, jak ludzie wokół mnie szykują swoje posiłki, a potem jak żółte słońce miesza się na niebie z odcieniami różu, pomarańcza i najdelikatniejszego fioletu. Tęskniłam za Paulem. Tęskniłam za swoim życiem. Ale jednocześnie nie chciałam do nich wracać. Moment, kiedy oboje z Paulem padliśmy na podłogę, gdy powiedziałam mu prawdę o zdradach, bez przerwy do mnie wracał. Zdałam sobie sprawę, że to, co rozpoczęłam, wyznając wtedy prawdę, doprowadziło nie tylko do rozwodu, ale i do tego, że siedziałam sama w Old Station w Kalifornii przy piknikowym stole i pod wspianym niebem. Nie czułam się ani smutna, ani wesoła. Nie czułam się ani dumna, ani zawstydzona. Czułam jedynie, że – choć tyle rzeczy zrobiłam źle – przychodząc tu, postąpiłam słusznie.

Podeszłam do Monstrum i wyciągnęłam z niego papierosa w opakowaniu ze sztucznego szkła, którego dał mi wcześniej Jimmy Carter. Nie byłam palaczką, ale wyjęłam papierosa i zapaliłam go, siedząc na blacie stołu. Byłam na PCT od ponad miesiąca. Wydawało mi się, że minęło wiele czasu, ale jednocześnie czułam się, jakbym dopiero zaczęła i dopiero zagłębiała się w to, co tak naprawdę miałam tu zrobić. Jakbym nadal była kobietą z dziurą w sercu, ale ta dziura stała się teraz troszkę mniejsza.

Zaciągnęłam się i wypuściłam dym z płuc, przypominając sobie, jak tego ranka, po odjeździe Jimmy'ego Cartera, czułam się najbardziej samotna na świecie. Może naprawdę tak było.

I może nie było w tym nic złego.

Rozdział 12

Tak daleko

Obudziłam się o brzasku i precyzyjnymi ruchami zebrałam do drogi. Teraz potrafiłam się spakować w pięć minut. Każdy przedmiot z niezgłębionego stosu z łóżka w motelu w Mojave, którego do tej pory się nie pozbyłam ani nie spaliłam, miał teraz swoje miejsce w plecaku lub na nim, a ja dokładnie wiedziałam gdzie. Moje dłonie znajdowały go instynktownie, nie czekając na komendy z mózgu. Monstrum było moim światem, moją nieożywioną dodatkową kończyną. Choć jego rozmiar i waga wciąż wprawiały mnie w zakłopotanie, powoli zaczynałam akceptować je jako ciężar, który musiałam nieść. Nie czułam do niego takiej niechęci jak kiedyś. Nie byliśmy sobie wrogami. Byliśmy jednością.

Noszenie ze sobą ciężaru Monstrum odmieniło mnie i na zewnątrz. Moje nogi stały się twarde jak głazy, a mięśnie, jak mi się wydawało, były w stanie zrobić wszystko, prezentując się na moim szczupłym ciele wydatniej niż kiedykolwiek. Miejsca na biodrach, ramionach i kości ogonowej, które wiele razy krwawiły i pokrywały się strupami, tam gdzie ocierały je pasy Monstrum, w końcu się poddały i stały twarde i szorstkie. Moja skóra przepoczwarzyła się w coś na kształt kory drzewa i skóry martwego kurczaka oskubanego z piór i zanurzonego w gotującej się wodzie.

A moje stopy? Cóż, nadal były totalnie zmasakrowane.

Dwa duże palce nigdy nie wydobrzały po bezlitosnym zejściu z Three Lakes do Belden Town. Paznokcie robiły wrażenie prawie martwych. Małe palce były otartego do tego stopnia, że zastanawiałam się, czy całkiem nie zetrą mi się ze stóp. Na piętach powstało coś na kształt stałych odcisków, które sięgały aż do kostek. Tamtego ranka w Old Station postanowiłam jednak nie myśleć o stopach. Wędrowanie PCT w dużej mierze zależało od siły umysłu: niezłomnego postanowienia, by mimo wszystko iść dalej. Zalepiłam rany taśmą klejącą i żelowymi plastrami, po czym włożyłam skarpetki i buty i pokuśtykałam do kempingowego kraniku, żeby wypełnić moje

butelki prawie dwoma litrami wody. Miało mi to wystarczyć na kolejne 25 kilometrów w piekącym upale Hat Creek Rim.

Mimo wczesnej pory było już bardzo gorąco, kiedy szłam drogą do skrzyżowania z PCT. Czułam się silna i wypoczęta, przygotowana na dzienną wyprawę. Ranek spędziłam, idąc krętymi, wyschniętymi rzeczными korytami i rowami o twardym skalistym podłożu, zatrzymując się na łyk wody tak rzadko, jak tylko mogłam. Późnym rankiem znalazłam się na długiej na kilometry skarpie – położonym wysoko wyschniętym polu pełnym chwastów i polnych kwiatów, które nie dawały wiele cienia. Pojedyncze drzewa, które mijałam, były martwe, przed wieloma laty uśmiercone przez pożar. Ich pnie były wypalone do białości albo zupełnie zwęglone, a połamane, spalone gałęzie wyglądały jak sztylety. Ich surowe piękno uderzyło mnie cichą, bolesną siłą.

Niebo nad moją głową było nieskalanie błękitne, a jasne i nieubłagane słońce paliło mnie nawet przez czapkę i krem z filtrem, który rano wtarłam w spoconą twarz i ramiona. Widziałam teraz na całe kilometry – niedaleko na południe zaśnieżony Lassen Peak i wyższy, bardziej ośnieżony Mount Shasta, który wznosił się bardziej na północ. Widok Mount Shasta przyniósł mi ulgę. Właśnie tam szłam. Miałam go minąć i iść dalej aż do rzeki Kolumbia. Teraz, kiedy w końcu udało mi się uciec od śniegów, sądziłam, że nic nie jest w stanie sprawić, bym zboczyła z kursu. W mojej głowie powstała wizja, w której z łatwością i skwapliwie pokonywałam resztę kilometrów, choć drgające żarem powietrze szybko ją unicestwiło, przypominając mi, że powinnam być mądrzejsza. Wiedziałam, że jeśli dojdę do granicy Oregonu z Waszyngtonem, to z wielkim wysiłkiem, jaki wiąże się z poruszaniem się pieszo pod ciężarem monstrualnego plecaka.

Poruszanie się pieszo było skrajnie odmiennym sposobem przemieszczania się od zwykłych moich metod transportu. Kolejne kilometry nie mijały mi niezauważenie. Były długimi, gęstymi kępami chwastów i grudami ziemi, źdźbłami traw i kwiatami, które ugiwały się na wietrze, drzewami, które ociężałe chwiały się i szumiały. Były odgłosem mojego oddechu i stóp uderzających o szlak krok za krokiem oraz stukaniem mojego kijka. PCT nauczył mnie, czym jest kilometr. Byłam pełna pokory wobec każdego z nich. I jeszcze bardziej pokorna tego dnia na Hat Creek Rim, kiedy

temperatura rosła z gorącej do upalnej, a wiatr wzniewał mi pod stopami tumany kurzu i piasku. To właśnie podczas jednego z takich podmuchów usłyszałam dźwięk bardziej uporczywy niż wszystkie inne powodowane wiatrem. Zdałam sobie sprawę, że gdzieś w pobliżu grzechotnik mocno potrząsa grzechotką, próbując mnie odstraszyć. Cofnęłam się gwałtownie i kilka kroków przed sobą zobaczyłam na szlaku węża. Jego grzechotka unosiła się nad zwiniętym ciałem jak palec w geście nagany, a tępo zakończony łeb był skierowany w moją stronę. Gdybym zrobiła jeszcze kilka kroków, stanęłabym na nim. Był to trzeci grzechotnik, którego spotkałam na szlaku. Obeszłam go komicznie szerokim łukiem i poszłam dalej.

Koło południa natknęłam się na wąski pas cienia i usiadłam, żeby coś zjeść. Zdjęłam buty i skarpetki i oparłam się na łokciach, żeby położyć poranione stopy na plecaku, jak miałam w zwyczaju robić zawsze podczas przerwy na lunch. Gapiłam się w niebo i obserwowałam, jak jastrzębie i orły kreślą nade mną niezmaczone kółka, ale nie mogłam się w pełni odprężyć. Nie chodziło tylko o grzechotnika. Krajobraz był wystarczająco pusty, żebym mogła widzieć wszystko na dużą odległość, miałam jednak dziwne wrażenie, że coś czai się w pobliżu, obserwuje mnie i czeka, by na mnie skoczyć. Usiadłam wyprostowana i rozejrzałam się wokół, wypatrując pum, ale po chwili znów się położyłam, powtarzając sobie, że nie ma się czego bać. Niemal w tym samym momencie znów się poderwałam na – jak mi się zdawało – trzask gałązki.

„To nic” – powiedziałam sobie. Nie bałam się. Sięgnęłam po butelkę z wodą i pociągnęłam duży łyk. Byłam tak spragniona, że piłam aż do dna, nie mogąc się powstrzymać. Od razu otworzyłam drugą butelkę. Termometr przyczepiony do plecaka wskazywał prawie 38 stopni Celsjusza w cieniu.

Po drodze śpiewałam fajne piosenki i czułam słońce smagające mnie tak, jakby naprawdę miało fizyczną siłę, a nie tylko grzało. Pot zbierał mi się wokół okularów przeciwsłonecznych i lał się do oczu, tak mnie piekąc, że od czasu do czasu musiałam się zatrzymać i wytrzeć twarz. Niewiarygodne, że zaledwie tydzień wcześniej znajdowałam się pośród zasypanych śniegiem gór i nosiłam wszystkie swoje ubrania naraz, a każdego ranka witała mnie zebrana na namiocie gruba warstwa szronu. Nie pamiętałam tego zbyt dokładnie. Te białe dni wydawały się jak sen. Jakbym przez

cały ten czas chwiejnym krokiem szła na północ, dążąc właśnie do tego – piątego tygodnia wyprawy, prosto w ten sam upał, przez który niemal poddałam się w drugim tygodniu. Przystanęłam i znów się napiłam. Woda była tak gorąca, że niemal parzyła usta.

Bylice i skupiska wytrzymałych polnych kwiatów przykrywały rozległą równinę. Gdy tak szłam, szorstkie rośliny, których nie umiałam nazwać, drapały mnie po łydkach. Te, które znałam, wydawały się do mnie przemawiać i podawać mi swoje nazwy głosem mamy. Nazwy, o których nie miałam pojęcia, że je znam, do chwili, gdy same zaczęły przychodzić mi na myśl: aminek, kwiaty castilleja, łubin – takie same rosły w Minnesocie: białe, pomarańczowe i fioletowe. Kiedy mijaliśmy je, jadąc samochodem, mama czasem stawała, by zebrać bukiet roślin rosnących w rowie.

Zatrzymałam się i spojrzałam w niebo. Drapieżne ptaki nadal krążyły nade mną, prawie nie poruszając skrzydłami. „Nigdy nie wrócę do domu” – pomyślałam z ostatecznością, która zaparła mi dech w piersiach. Ruszyłam dalej, a moje myśli skoncentrowały się wyłącznie na zmuszaniu ciała do monotonnego marszu. Nie było dnia na szlaku, żeby ta monotonia ostatecznie ze wszystkim nie wygrywała, pozwalając myśleć tylko o tym, co w tym momencie było najcięższe fizycznie. Była jak palące lekarstwo. Liczyłam kroki do setki, po czym zaczynałam od nowa. Za każdym razem kiedy kończyłam kolejną setkę, miałam poczucie, że coś mi się udało. Potem setka zrobiła się zbyt optymistyczna, więc zmniejszyłam pułap do pięćdziesięciu, potem do dwudziestu pięciu, a potem do dziesięciu.

„Jeden dwa trzy cztery pięć sześć siedem osiem dziewięć dziesięć”.

Przystanęłam i nachyliłam się, przyciskając dłonie do kolan, żeby na chwilę ulżyć plecom. Pot kapał mi z twarzy na jasną ziemię niczym łzy.

Równina Modoc różniła się od pustyni Mojave, ale robiła na mnie takie samo wrażenie. Obie obfitowały w rośliny o postrzępionych liściach, ale były niegościnnie dla ludzi. Małe szare i brązowe jaszczurki przemykały po szlaku, kiedy się do nich zbliżałam, albo nieruchomiały i pozwalały się ominąć. Ciekawe, skąd one brały wodę, zastanawiałam się, starając się nie myśleć o tym, jak mi gorąco i jaka jestem spragniona. A skąd ja ją wezmę? Szacowałam, że jestem jakieś 5 kilometrów od źródła wody. Zostało mi 250 mililitrów.

Potem sto siedemdziesiąt.

Sto dwadzieścia.

Zmusiłam się, by nie wypić ostatnich sześćdziesięciu do chwili, gdy w zasięgu wzroku będę mieć zbiornik z wodą. Około szesnastej trzydziści w końcu go zobaczyłam: długie i cienkie nogi spalonej wieży pożarniczej na wzniesieniu w oddali. Nieopodal znajdował się wsparty na słupie metalowy zbiornik. Na ten widok wyciągnęłam butelkę i wypilałam resztkę wody, wdzięczna, że za kilka minut będę mogła napić się do syta. Podchodząc bliżej, zauważyłam, że drewniany słup przy zbiorniku pokrywało coś, co trzepotało na wietrze. W pierwszej chwili wyglądało to jak kilka postrzępionych wstążek, potem pomyślałam, że to podarte płótno. Dopiero gdy podeszłam zupełnie blisko, dostrzegłam, że to małe kartki papieru – wiadomości przyklejone do słupa taśmą klejącą, które powiewały na wietrze. Podeszłam do nich chwiejnym krokiem, wiedząc, co na nich będzie, zanim jeszcze je przeczytałam. Ich przekaz zapisany był na różne sposoby, wszystkie jednak informowały o tym samym: BRAK WODY.

Przez chwilę stałam w bezruchu, sparaliżowana strachem. Zajrzałam do zbiornika, aby sprawdzić, czy to prawda. Nie było w nim wody. Nie miałam wody. Nawet łyżka.

„Brakwodybrakwodybrakwodybrakwodybrakwodybrakwody”.

Zaczęłam kopać ziemię, rwać garście szaławii i rzucać nimi, wściekła na siebie za to, że po raz kolejny podjęłam złą decyzję, że po raz kolejny okazałam się taką samą idiotką jak pierwszego dnia na szlaku. Tą samą, która kupiła buty w złym rozmiarze i zdecydowanie źle oszacowała ilość pieniędzy potrzebnych na lato, a może nawet tą samą idiotką, której wydawało się, że jest w stanie pokonać ten szlak.

Wyciągnęłam wyrwane strony przewodnika z kieszonki szortów i jeszcze raz je przeczytałam. Nie byłam zaniepokojona tak jak wcześniej, kiedy ogarnęło mnie dziwne uczucie, że coś czyha w pobliżu. Byłam przerażona. To nie było przecucie. To była rzeczywistość: znajdowałam się wiele kilometrów od wody w niemal czterdziestostopniowym upale. Nie byłam jeszcze dotąd w poważniejszej sytuacji – to było groźniejsze niż grasujący byk, straszniejsze niż śnieg. Potrzebowałam wody. Potrzebowałam jej szybko. Potrzebowałam jej teraz. Czułam pragnienie każdym

porem skóry. Przypomniałam sobie, jak Albert zapytał mnie, kiedy się pierwszy raz spotkaliśmy, ile razy dziennie oddaję mocz. Nie sikałam, odkąd rano wyszłam z Old Station. Nie czułam potrzeby. Każda kropla, którą wypiałam, została wchłonięta. Byłam tak spragniona, że nie mogłam nawet splunąć.

Autorzy *The Pacific Crest Trail*, tom 1: *California*, podawali, że najbliższe „pewne” źródło wody znajduje się 25 kilometrów dalej, w Rock Springs Creek, ale przyznawali też, że jakakolwiek woda znajduje się bliżej – w rezerwuarze, z którego picie zdecydowanie odradzali, określając jakość wody jako „w najlepszym wypadku wątpliwą”. Ta woda znajdowała się niemal 8 kilometrów dalej na szlaku.

Oczywiście pod warunkiem, że ten rezerwuar też nie wysechł.

Musiałam przyznać, że istniała duża szansa, iż tak się stało, ale i tak popędziłam w tamtą stronę – co, biorąc pod uwagę stan moich stóp i wagę plecaka, mogło być w moim wykonaniu zaledwie energicznym krokiem. Miałam wrażenie, że ze wschodniej krawędzi Hat Creek Rim widzę cały świat. W dole rozpościerała się ogromna równina, przerywana zielonymi wulkanicznymi górami zarówno na północy, jak i na południu. Nawet zaniepokojona, nie mogłam nie zachwycić się ich pięknem. Tak, byłam straszną idiotką, tak, mogłam umrzeć z odwodnienia i wyczerpania, ale przynajmniej znajdowałam się w pięknym miejscu – w miejscu, które pokochałam mimo trudności, jakie przede mną stawiało, ale i dzięki nim – i znalazłam się w nim, bo przywiodły mnie tu własne nogi. Pocieszając się tą myślą, szłam dalej, tak spragniona, że zrobiło mi się niedobrze i dostałam niewysokiej gorączki. „Nic mi nie będzie” – powiedziałam do siebie. „Odrobinę dalej” – powtarzałam przy każdym zakręcie i każdym wzniesieniu, a kiedy słońce zaczęło chylić się ku horyzontowi, w końcu zobaczyłam rezerwuar.

Przystanąłam, by się mu przyjrzeć. Było to nędznego wyglądu błotniste jezioro wielkości mniej więcej kortu tenisowego, ale znajdowała się w nim woda. Śmiałam się z radości, chwiejnym krokiem schodząc ze zbocza na małą piaszczystą plażę, która otaczała zbiornik. Przeszłam swój pierwszy trzydziestokilometrowy dzień. Odpięłam Monstrum, postawiłam na ziemi, podeszłam do błotnistej brzozy i przykucnęłam, by włożyć dłonie do wody. Była szara i ciepła jak krew. Kiedy poruszyłam dłońmi, muł na dnie się wzburzył i strzępy roślin wypełniły wodę

czarnymi smugami.

Przepompowałam wodę przez filtr. Nadal używało mi się go z takim trudem jak pierwszego dnia w Golden Oak Springs, w tej wodzie było jednak wyjątkowo ciężko, bo osad był na tyle gęsty, że niemal zatkał filtr. Po przefiltrowaniu jednej butelki ręce trzęsły mi się ze zmęczenia. Wzięłam z apteczki tabletki jodyny i kilka z nich wrzuciłam do środka. Właśnie dlatego je przyniosłam – na wypadek, gdybym była zmuszona napić się wody, która prawdopodobnie była czymś skażona. Nawet Albert, jeszcze w Kennedy Meadows, kiedy bezwzględnie odrzucał różne przedmioty, przyznał, że pastylki jodyny są dobrym pomysłem. Albert, którego dokładnie następnego dnia powaliła wywołana brudną wodą choroba.

Musiałam poczekać trzydzieści minut, żeby jodyna zadziałała. Byłam rozpaczliwie spragniona, ale próbowałam odwrócić uwagę napełnianiem drugiej butelki. Kiedy skończyłam, rozłożyłam brezentową matę na piasku, stanęłam na niej i zrzuciłam z siebie ubrania. Wiatr mieszał się z gasnącym światłem dnia i delikatnymi podmuchami łagodził piekące otarcia na moich biodrach. Nie przyszło mi na myśl, że nadejdzie ktoś ze szlaku. Przez cały dzień nie spotkałam ani jednej osoby, a nawet jeśli ktoś miał rzeczywiście się pojawić, to w stanie bliskim katatonii z odwodnienia i wyczerpania zupełnie się tym więc nie przejmowałam.

Spojrzałam na zegarek. Od wrzucenia pastylek jodyny do butelek minęło dwadzieścia siedem minut. Zazwyczaj wieczorami byłam głodna jak wilk, tym razem jednak nie myślałam o jedzeniu. Pragnęłam tylko wody.

Usiadłam na niebieskim brezencie i wypiałam najpierw jedną, a potem drugą butelkę. Ciepła woda smakowała żelazem i błotem, a mimo to niewiele razy zdarzyło mi się wypić coś tak wspaniałego. Czułam, jak woda przeze mnie płynie, choć nawet po wypiciu dwóch litrowych butelek nadal nie wróciłam do formy. Wciąż nie byłam głodna. Czułam się podobnie jak podczas pierwszych dni na szlaku, kiedy byłam tak niewiarygodnie wyczerpana, że jedyne, czego pragnęło moje ciało, to sen. Jeszcze raz napełniłam butelki i wyjałowiłam wodę jodyną, a potem ją wypiałam.

Kiedy w końcu zaspokoiliłam pragnienie, zrobiło się ciemno, a na niebie pojawił się księżyc w pełni. Nie potrafiłam się zmobilizować, by postawić namiot. Wymagało to ledwie dwuminutowej pracy, która jednak wydawała mi się teraz wysiłkiem

godnym Herkulesa. Nie potrzebowałam namiotu. Nie padało od moich pierwszych dni na szlaku. Ponownie się ubrałam i rozłożyłam śpiwór na brezencie, ale nadal było za gorąco, więc co najwyżej mogłam się na nim położyć. Byłam zbyt zmęczona, by czytać. Nawet patrzenie na księżyc było niejakim wysiłkiem. Odkąd przyszłam tu kilka godzin wcześniej, pochłonęłam prawie cztery litry wątpliwej wody z rezerwuaru, ale nadal nie chciało mi się sikać. Zrobiłam niewiarygodnie głupią rzecz, wyprawiając się na Hat Creek Rim z tak małą ilością wody. „Już nigdy nie będę taka lekkomyślna” – obiecałam księżycowi, zanim zasnęłam.

Obudziłam się dwie godziny później z niezbyt przyjemnym uczuciem, że poklepują mnie małe chłodne dłonie. Były na moich gołych nogach, ramionach i twarzy, we włosach, na stopach i dłoniach. Przez koszulkę czułam ich chłodny ciężar na piersiach i brzuchu.

– Mmm – mruknęłam, lekko się obracając, zanim otworzyłam oczy i w zwolnionym tempie dotarło do mnie kilka faktów.

Faktem był księżyc i to, że spałam na brezentowej macie pod gołym niebem.

Faktem było, że obudziłam się, ponieważ miałam wrażenie, że delikatnie poklepują mnie małe chłodne dłonie, i to, że małe chłodne dłonie naprawdę mnie poklepywały.

Był jeszcze finalny fakt, bardziej monumentalny niż księżyc: fakt, że te małe dłonie nie były dłońmi, tylko setkami małych czarnych żab.

Skakały po mnie małe oślizgłe czarne żaby.

Każda była mniej więcej rozmiaru ziemniaczanego chipsa. Amfibiotyczna armia, gładkoscóra milicja, wielka migracja o połączonych błoną palcach. Byłam ścieżką, po której podążały, wdrapywały się, podskakiwały i rzucały swoje maleńkie pulchne osadzone na ugiętych nogach ciała, idąc z rezerwuaru na wąski pas ziemi, który najwyraźniej uważały za swoją prywatną plażę.

Znalazłam się między nimi, podskakując, szamocząc się i rzucając plecak, brezentową matę i wszystko, co na niej siedziało, w krzaki nieopodal plaży, po drodze strzepując żaby z włosów i fałd koszulki. Nie udało mi się nie rozgnieść paru pod gołymi stopami. W końcu bezpieczna patrzyłam z oddali na gorączkowe ruchy ich

małych czarnych ciałek, widoczne w jasnym świetle księżyca. Sprawdziłam kieszenie szortów w poszukiwaniu zbłąkanych żab. Zgromadziłam swoje rzeczy na niewielkiej pustej przestrzeni, wystarczająco płaskiej, by rozbić na niej namiot, który wyciągnęłam z plecaka. Nie musiałam widzieć tego, co robię. Namiot stanął błyskawicznie.

Wyczołgałam się z niego następnego dnia o ósmej trzydzieści. Była to dla mnie późna godzina, jak południe w moim dawnym życiu. Nawet czułam się jak w południe w swoim dawnym życiu. Jakbym piła do późnej nocy. Dźwignęłam się na kolana i półprzytomna rozejrzałam wokół. Nadal nie chciało mi się sikać. Spakowałam się, przefiltrowałam porcję brudnej wody i w palącym słońcu poszłam dalej na północ. Było jeszcze goręcej niż poprzedniego dnia. Po godzinie po raz kolejny prawie weszłam na grzechotnika, choć grzecznie ostrzegał mnie swoją grzechotką.

Po południu wszelkie plany, że dotrę do Parku Stanowego McArthur-Burney Falls Memorial, legły w gruzach na skutek spóźnionego początku dnia, pulsujących, pokrytych pęcherzami stóp i dotkliwego upału. Lekko zboczyłam więc ze szlaku i krótką trasą poszłam do Cassel, gdzie wedle obietnic przewodnika znajdował się sklep wielobranżowy. Kiedy do niego dotarłam, była prawie trzecia. Zdjęłam plecak i usiadłam na drewnianym krześle na staromodnym sklepowym ganku, w stanie niemal katatonicznym, wywołanym upałem. Wielki termometr pokazywał 39 stopni w cieniu. Przeliczyłam pieniądze i niemal się popłakałam na myśl, że bez względu na to, ile mi zostało, na pewno nie wystarczy na lemoniadę Snapple. Ochota na nią stała się tak ogromna, że trudno już było nazywać ją pragnieniem. Była raczej jak kończyzna wyrastająca mi z trzewi. Lemoniada mogła kosztować dziewięćdziesiąt dziewięć centów, dolara i pięć centów albo dolara piętnaście – nie wiedziałam dokładnie ile. Wiedziałam jedynie, że mam siedemdziesiąt sześć centów, a to nie wystarczy. Ale i tak weszłam do sklepu, żeby się rozejrzeć.

– Idziesz PCT? – zapytała kobieta za ladą.

– Tak – odparłam, uśmiechając się do niej.

– Skąd jesteś?

– Z Minnesoty – zawołałam, idąc wzdłuż ściany szklanych przezroczystych drzwi,

za którymi stały równe rzędy zimnych napojów.

Minęłam puszki lodowatego piwa, gazowanych napojów, butelek wody mineralnej i soków. Zatrzymałam się przy drzwiach, za którymi znajdowały się półki z lemoniadą. Przyłożyłam dłoń do szyby przy żółtych i różowych butelkach napoju. Były jak diamenty albo pornografia. Mogłam na nie patrzeć, ale nie mogłam dotknąć.

– Jeśli skończyłaś z marszem na dziś, możesz się rozbić na polu za sklepem – powiedziała kobieta. – Pozwalamy na to wędrowcom z PCT.

– Dzięki, chętnie – odpowiedziałam, nie spuszczać wzroku z napojów.

„Może mogłabym choć jeden potrzymać” – pomyślałam. Na chwilę przycisnąć go do czoła. Otworzyłam drzwi i wyciągnęłam butelkę różowej lemoniady. Była tak zimna, że mogłaby odmrozić mi rękę.

– Ile to kosztuje? – nie mogłam się powstrzymać od tego pytania.

– Widziałam, jak liczyłaś monety na zewnątrz – powiedziała kobieta, uśmiechając się. – A ile masz?

Oddałam jej wszystkie pieniądze, dziękując wylewnie, po czym wyszłam z lemoniadą na ganek. Każdy łyk uderzał mi do głowy. Trzymałam butelkę obiema dłońmi, chcąc w ten sposób wchłonąć każdą odrobinę chłodu. Przed sklepem parkowały samochody i wysiadali z nich ludzie, którzy wchodzili do sklepu, wychodzili i odjeżdżali. Patrzyłam na nich przez godzinę w polemoniadowej rozkoszy, która była niemal jak narkotykowy haj. Jakiś czas później przed sklepem przystanął pick-up, z którego wysiadł mężczyzna. Ściągnął swój plecak z paki, zanim pomachał kierowcy na pożegnanie. Odwrócił się do mnie i zauważył mój plecak.

– Hej! – zawołał, a na jego różowej pełnej twarzy pojawił się szeroki uśmiech. – Potwornie gorący dzień jak na wyprawę PCT, prawda?

Na imię miał Rex. Był postawnym, rudowłosym, towarzyskim i radosnym trzydziestoosmioletnim mężczyzną. Zrobił na mnie wrażenie faceta, który lubi przytulać się na misia. Wszedł do sklepu po trzy puszki piwa i wypił je, siedząc ze mną na ganku, gdzie rozmawialiśmy aż do wieczora. Mieszkał w Phoenix i pracował w korporacji na stanowisku, którego nie umiał opisać mi tak, bym zrozumiała, ale wychował się w niewielkim miasteczku w Oregonie. Wiosną ruszył od granicy

z Meksykiem do Mojave i zszedł ze szlaku dokładnie w tym samym miejscu i w podobnym czasie, w którym ja na niego weszłam – by wrócić do Phoenix na sześć tygodni i zająć się sprawami zawodowymi. Wrócił na szlak w Old Station, po eleganckim ominięciu całego śniegu.

– Chyba potrzebujesz nowych butów – powiedział, powtarzając stwierdzenia Grega i Brenta, kiedy pokazałam mu swoje stopy.

– Nie kupię nowych. Nie mam pieniędzy – powiedziałam, już dłużej nie wstydząc się do tego przyznać.

– A skąd masz te? – zapytał Rex.

– Z REI.

– Zadzwoń do nich. Twierdzą, że satysfakcja gwarantowana. Dadzą ci nowe za darmo.

– Naprawdę?

– Zadzwoń na ich informację – powiedział.

Myślałam o tym cały wieczór, kiedy razem z Rexem rozbiliśmy namioty na polu za sklepem, i przez cały kolejny dzień, kiedy szybciej niż zwykle szłam przez niemal 20 litościwie niewymagających kilometrów do McArthur-Burney Falls Memorial. Kiedy się tam znalazłam, od razu odebrałam pudełko z zapasami ze sklepu sieciowego i poszłam do budki telefonicznej, żeby zadzwonić do REI. W ciągu pięciu minut kobieta, z którą rozmawiałam, zgodziła się wysłać mi nową, o rozmiar większą parę butów przesyłką ekspresową, i to zupełnie nieodpłatnie.

– Jest pani na sto procent pewna? – dopytywałam, jednocześnie użalając się na wszystkie problemy wynikające z za małych butów.

– Tak – odpowiedziała spokojnym tonem i wszystko stało się oficjalne.

Kochałam ludzi z REI bardziej niż twórców lemoniady Snapple. Podałam kobiecie adres sklepu w parku, odczytując go z jeszcze nieodpakowanego pudełka. Gdyby tylko moje stopy były w wystarczająco dobrym stanie, po odłożeniu słuchawki zaczęłabym skakać z radości. Otworzyłam pudełko, wyciągnęłam z niego dwudziestodolarowy banknot i dołączyłam do tłumu turystów w kolejce, mając nadzieję, że nikt nie poczuje, jak cuchnę. Kupiłam sobie lody w wafelku i usiadłam

przy stole piknikowym, ledwo hamując radość. Rex usiadł ze mną, a po chwili dołączyła do nas Trina ze swoim wielkim białym psem. Uściskałyśmy się i przedstawiłam ją Rexowi. Razem ze Stacy dotarły tu poprzedniego dnia. Postanowiła zejść w tym miejscu ze szlaku i wrócić do Kolorado, a przez resztę lata wyprawić się na kilka krótszych wędrówek bliżej domu, zamiast iść nadal PCT. Stacy miała wędrować dalej zgodnie z planem.

– Jestem przekonana, że ucieszyłaby się, gdybyś chciała do niej dołączyć – dodała Trina. – Wyrusza rano.

– Nie mogę – odpowiedziałam i pospiesznie wyjaśniłam jej, że muszę poczekać na nowe buty.

– Martwiłyśmy się o ciebie na Hat Creek Rim – powiedziała. – Nie było wody w...

– Wiem – odpowiedziałam i obie z żalem pokręciłyśmy głowami.

– Chodźcie – powiedziała do mnie i Rexa. – Pokażę wam, gdzie rozbiłyśmy namioty. To dwadzieścia minut stąd, ale z dala od tego wszystkiego. – Pokazała lekceważącym gestem na turystów, bar szybkiej obsługi i sklep. – A na dodatek jest za darmo.

Moje stopy były w takim stanie, że po każdym odpoczynku bolały jeszcze bardziej, gdy wstawałam, by iść dalej. Utykałam za Triną i Rexem ścieżką przez las, która doprowadziła nas z powrotem na PCT, gdzie między drzewami znajdowała się mała polanka.

– Cheryl! – zawołała Stacy, podchodząc, by mnie uściskać.

Rozmawiałyśmy o Hat Creek Rim i upale, o szlaku i braku wody oraz o tym, co można zjeść w barze na obiad. Zdjęłam buty i skarpetki, włożyłam obozowe sandały, postawiłam namiot i wciąż rozmawiając, wzięłam się do przyjemnej czynności rozpakowywania pudła. Stacy i Rex szybko się ze sobą zaprzyjaźnili i postanowili kolejny odcinek szlaku pokonać razem. Do chwili gdy byłam gotowa wrócić do baru na obiad, duże palce u stóp spuchły mi i poczerwieniały do tego stopnia, że wyglądały jak dwa buraki. Nie byłam nawet w stanie włożyć skarpetek, więc pokuśtykałam do baru w sandałach. Usiedliśmy przy stole piknikowym, trzymając w dłoniach

papierowe łódeczki z hot dogami, faszerowane i panierowane papryczki jalapeño i nachos, z których spływał serowy sos w odblaskowym pomarańczowym kolorze. Przypominało to ucztę i świętowanie. Podnieśliśmy w górę papierowe kubki pełne gazowanych napojów i wznieśliśmy toast.

– Za szczęśliwy powrót do domu Triny i Odina – powiedzieliśmy, stukając się kubkami.

– Za wspólną wyprawę Stacy i Rexa – zawołaliśmy radośnie.

– Za Cheryl i jej nowe buty! – krzyknęliśmy.

Wypiłam za to z pełną powagą.

Kiedy obudziłam się następnego ranka, mój namiot samotnie stał na polanie. Poszłam do łaźni przeznaczonej dla biwakujących na oficjalnym kempingu, wzięłam prysznic i wróciłam do swojego obozowiska, gdzie przez długie godziny siedziałam na krześle. Zjadłam śniadanie i za jednym zamachem przeczytałam do połowy *Klatkę latem w ogrodzie*. Po południu poszłam do sklepu w pobliżu baru, żeby zapytać, czy moje buty już są. Kobieta za ladą powiedziała jednak, że poczta jeszcze nie przysłała.

Wyszłam ze smutkiem i poszłam w sandałach po krótkiej brukowanej ścieżce prowadzącej do miejsca widokowego, żeby zobaczyć wielki wodospad, od którego nazwano park. Przez większość roku Burney Falls jest najbardziej obfitym wodospadem w Kalifornii, jak objaśniała tablica. Gdy wpatrywałam się w huczącą wodę, czułam się niemal niewidzialna pośród ludzi w bermudach, z aparatami i saszetkami. Usiadłam na ławce i przyglądałam się, jak jakaś para karmi paczką miętówek grupkę nad wyraz oswojonych wiewiórek, które biegały wokół znaku z napisem „NIE KARMIC ZWIERZĄT”. Widząc to, poczułam narastającą wściekłość, niewynikającą jedynie z tego, że utrwalali u wiewiórek złe nawyki. Chodziło też o to, że byli parą. Bycie świadkiem tego, jak się ku sobie nachylają, splatają razem dłonie i idą razem po brukowanej dróżce, było niemal nie do zniesienia. Jednocześnie wzbudzało to we mnie odrazę i zazdrość o to, co ich łączy. Ich istnienie wydawało mi się dowodem, że nigdy nie poszczęści mi się w miłości. Czułam się taka silna i zadowolona, kiedy zaledwie kilka dni wcześniej rozmawiałam z Paulem przez telefon w Old Station, ale teraz to minęło. Wszystko, co wtedy było

uśpione, teraz wróciło do życia.

Pokuśtykałam do obozowiska i przyjrzałam się swoim zmaltretowanym dużym palcom. Najlżejsze muśnięcie sprawiało mi miazdzący ból. Autentycznie mogłam zobaczyć, jak pulsują – jak krew pod skórą regularnym rytmem zalewa moje paznokcie na różowo-biało, różowo-biało. Palce były tak spuchnięte, że miałam wrażenie, iż paznokcie za chwilę odskoczą. Przyszło mi do głowy, że zerwanie ich może być ostatecznie dobrym pomysłem. Ucisnęłam jeden i po zdecydowanym pociągnięciu, po którym nastąpił moment piekącego bólu, paznokieć się oderwał, co wywołało momentalną i niemal całkowitą ulgę. Chwilę później zrobiłam to samo z drugim.

Zdałam sobie sprawę, że w rozgrywce o paznokcie ścieram się z PCT.

Wynik był 6:4, a ja z trudem utrzymywałam prowadzenie.

Gdy nastał zmierzch, do mojego obozowiska dołączyło czterech innych wędrowców. Pojawili się, kiedy paliłam ostatnie strony *Klatki wiosną w ogrodzie* w aluminiowej foremce na ciasto. Były to dwie pary mniej więcej w moim wieku, które przeszły tu całą drogę aż z Meksyku, minus ten sam odcinek w Sierra Nevada, który i ja ominęłam. Obie pary wystartowały osobno, ale spotkały się i połączyły siły w południowej Kalifornii. Stamtąd poszły już razem, omijając śnieg na trwającej tydzień podwójnej randce w dziczy. John i Sarah pochodzili z Alberty w Kanadzie i spotykali się od niespełna roku, kiedy podjęli wyprawę PCT. Sam i Helen byli małżeństwem z Maine. Robili sobie przerwę na jeden dzień. Oznajmiłam im, że wyruszam, kiedy tylko przyjdą moje nowe buty.

Następnego dnia spakowałam Monstrum i poszłam do sklepu w sandałach, a buty przywiązałam do ramy plecaka. Usiadłam przy jednym z pobliskich piknikowych stołów, czekając na pocztę. Bardzo chciałam ruszyć w dalszą drogę nie dlatego, że miałam ochotę na wędrownkę. Musiałam. Miałam harmonogram, którego trzeba było pilnować. Mimo wszystkich zmian i obejść z powodów związanych z wodą i pieniędzmi musiałam trzymać się planu, żeby skończyć wyprawę w połowie września. Siedziałam długie godziny, czytając kolejną książkę, która przyszła w pudle – *Lolite* Vladimira Nabokova – i czekając na przyjście butów. Ludzie falami

pojawił się i znikali, czasem gromadząc się przy mnie w małych grupach, by wypytać mnie o PCT, zauważywszy plecak. Kiedy z nimi rozmawiałam, wątpliwości dotyczące mojego przebywania na szlaku zniknęły na chwilę i zapomniałam zupełnie, jaką straszną byłam idiotką. Pławiąc się w uwadze ludzi, którzy zebrali się wokół mnie, nie czułam się tylko specjalistką od pieszych wypraw. Czułam się jak cholerna jej wysokość królowa Amazonek.

– Powinnaś to umieścić w swoim CV – powiedziała starsza kobieta z Florydy, ubrana w jaskraworóżowy daszek i pęk złotych naszyjników. – Kiedyś pracowałam w dziale kadr. Pracodawcy tego poszukują. To im mówi, że masz charakter. Odróżni cię to od reszty.

Listonosz pojawił się około piętnastej. Kurier UPS godzinę później. Żaden z nich nie miał moich butów. Poczulałam smutny ucisk w żołądku i poszłam do budki telefonicznej, żeby zadzwonić do REI.

Jeszcze nie wysłali moich butów – grzecznie poinformował mnie męski głos w słuchawce. Problem polegał na tym, że dowiedzieli się, iż nie są w stanie wysłać ich do parku stanowego z dnia na dzień, więc chcieli je nadać normalną pocztą. Nie wiedzieli, jak się ze mną skontaktować, żeby mi to przekazać, więc ostatecznie nie zrobili nic.

– Pan chyba nie rozumie – powiedziałam. – Wędruje PCT. Śpię w lesie. Oczywiście, że nie mogliście się ze mną skontaktować. A ja nie mogę czekać przez... Ile będą tu szły moje buty normalną pocztą?

– Jakież pięć dni – odparł nieporuszony rozmówca.

– Pięć dni? – zapytałam.

Nie mogłam po prostu wpaść w furję. W końcu wysłali mi pocztą nową, darmową parę butów, ale byłam sfrustrowana i spanikowana. Oprócz konieczności trzymania się harmonogramu musiałam też mieć jedzenie na następną partię szlaku – odcinek długości 130 kilometrów, który prowadził do Castle Crags. Gdybym została w Burney Falls i czekała na buty, musiałabym zjeść zapasy, ponieważ z niecałymi pięcioma dolarami w kieszeni nie miałam wystarczających funduszy na pięć dni żywienia się w barze. Sięgnęłam po plecak, wyciągnęłam przewodnik i znalazłam

adresy w Castle Crag. Nie mogłam sobie wyobrazić, że idę przez kolejne 130 kilometrów w przymałych butach, ale nie miałam innego wyjścia, jak poprosić REI, żeby tam wysłali przesyłkę.

Kiedy odłożyłam słuchawkę, nie czułam się już jak cholerna jej wysokość królowa Amazonek.

Wpatrywałam się w buty z błagalną miną, jakbym była w stanie na coś się z nimi umówić. Zwisały z mojego plecaka na brudnych sznurówkach, nikczemne w swojej obojętności. Chciałam zostawić je w pudle z darmowymi rzeczami dla wędrowców z PCT, kiedy tylko dostanę nowe. Wzięłam je do rąk, ale nie mogłam się zmusić, żeby je włożyć. Może na krótkich odcinkach mogłabym iść w moich lichych sandałach. Spotykałam ludzi, którzy podczas wędrówki na przemian nosili oba rodzaje obuwia, ale ich sandały były solidniejsze niż moje. Nigdy nie zamierzałam nosić ich na szlaku. Wzięłam je tylko po to, by móc dać stopom odpocząć na koniec dnia. I były to tanie podróby, które kupiłam w outlecie za jakieś dziewiętnaście dolarów dziewięćdziesiąt dziewięć centów. Zdjęłam je i wzięłam w dłonie, jakbym przyglądając się im z bliska, była w stanie obdarzyć je trwałością, której nie miały. Rzepy były zużyte i przy poszarpanych końcach odchodziły od czarnych pasków. Niebieskie podeszwy były plastyczne jak ciasto i tak cienkie, że kiedy szłam, czułam pod stopami kamyki i gałązki. Chodzenie w takich sandałach niewiele różniło się od chodzenia boso. Jak miałam w nich dojść do Castle Crag?

„Może nie powinnam” – pomyślałam. Może nie ma takiej potrzeby. Tak daleko to wystarczająco daleko. Mogę to sobie wpisać do CV.

– Szlag by to – powiedziałam.

Podniosłam kamyk i z całej siły rzuciłam nim w pobliskie drzewo, a potem następnym i następnym.

Pomyślałam o kobiecie, która w takich chwilach zawsze pojawiała się w mojej głowie: astrolożce, która odczytała moją kartę natalną, kiedy miałam dwadzieścia trzy lata. Znajoma zorganizowała seans jako prezent pożegnalny tuż przed moim wyjazdem z Minnesoty do Nowego Jorku. Astrolożka imieniem Pat była rzeczową kobietą w średnim wieku, która posadziła mnie przy swoim kuchennym stole z kartką papieru pokrytą tajemniczymi znakami i cicho pracującym dyktafonem położonym

między nami. Nie wiązałam z tym dużych nadziei. Pomyślałam, że to będzie zabawna, podbudowująca ego sesja, podczas której usłyszę jakieś ogólne stwierdzenia typu: „Masz dobre serce”.

Nie powiedziała tego. A właściwie powiedziała, ale dodała też jeszcze wiele zaskakująco konkretnych rzeczy, tak dokładnych i szczegółowych, jednocześnie pocieszających i wstrząsających, że nie chcąc się rozryczeć z przyływu nagłej świadomości i żalu, usiłowałam się po swojemu bronić.

– Skąd pani to wie? – pytałam nieustannie.

A potem słuchałam, jak opowiada mi o planetach, Słońcu i Księżycu, o „aspektach” i chwili, kiedy się urodziłam, oraz o tym, z czym wiąże się bycie Panną z Księżycem w Lwie i ascendentem w Bliźniętach. Kiwałam głową, jednocześnie myśląc, że to totalna antyintelektualna bzdura w stylu New Age. Wtedy powiedziała mi kolejną rzecz, przez którą mózg eksplodował mi na jakieś siedem tysięcy kawałków, bo takie to było prawdziwe.

Zacząła mówić o moim ojcu.

– Był weteranem z Wietnamu? – zapytała.

Nie, nie był. Służył w wojsku przez bardzo krótki czas w połowie lat sześćdziesiątych, a dokładnie: stacjonował w bazie w Colorado Springs, gdzie znalazł się też ojciec mojej mamy. Tak właśnie poznali się moi rodzice. Nigdy jednak nie był w Wietnamie.

– Odnoszę wrażenie, że był weteranem z Wietnamu – upierała się. – Może nie dosłownie. Ale ma coś wspólnego z takimi ludźmi. Został głęboko zraniony. Stała mu się krzywda. Ta krzywda zatrzała całe jego życie i twoje też.

Nie miałam zamiaru przytakiwać. Wszystkie moje życiowe doświadczenia tworzyły jakby cement, przez który moja głowa ani drgnęła, kiedy astrolożka powiedziała, że mój ojciec mnie zatrzał.

– Był zraniony? – Tylko na tyle się zdobyłam.

– Tak – powiedziała Pat. – I ty jesteś tak samo zraniona. Tak właśnie robią ojcowie, jeśli nie wygoją swoich ran. Ranią swoje dzieci w tym samym miejscu.

– Hmm – odparłam, patrząc na nią bez wyrazu.

– Mogę się mylić. – Popatrzyła na kartkę między nami. – Nie należy tego traktować bardzo dosłownie.

– Właściwie to od szóstego roku życia widziałam ojca tylko trzy razy – powiedziałam.

– Zadaniem ojca jest nauczyć dzieci, jak być wojownikami, dać im pewność siebie, by mogły wsiąść na konia i ruszyć do boju, jeśli jest to konieczne. Jeśli ojciec cię tego nie nauczył, to musisz to zrobić sama.

– Ale... chyba już się nauczyłam – wykrztusiłam. – Jestem silna. Mierzę się z różnymi sprawami. I...

– Tu nie chodzi o siłę – powiedziała Pat. – Może nie jesteś jeszcze w stanie tego dostrzec, ale przyjdzie taki czas, może za wiele lat, kiedy będziesz musiała wsiąść na tego konia i ruszyć do boju, a wtedy się zawahasz. Będziesz niepewna. Aby zaleczyć ranę, którą zadał ci ojciec, będziesz musiała wsiąść na konia i ruszyć do boju jak prawdziwy wojownik.

Trochę się wtedy śmiałam. Wydałam z siebie zażenowany, syczący, rehotliwy chichot, który bardziej wydał się smutny niż radosny. Wiem, bo zabrałam ze sobą kasetę do domu i słuchałam jej z milion razy. „Aby zaleczyć ranę, którą zadał ci ojciec, będziesz musiała wsiąść na konia i ruszyć do boju jak prawdziwy wojownik”. Syk-rechot.

Przewiń. Odtwórz.

– Chcesz się poznać z moją pięścią? – pytał mnie ojciec, kiedy w ataku wściekłości trzymał ją parę centymetrów od mojej trzy-, cztero-, pięcio- lub sześćioletniej twarzy. – Chcesz? Chcesz? CHCESZ? ODPOWIADAJ!

Włożyłam głupie sandały i rozpoczęłam długi spacer do Castle Crag.

Rozdział 13

Skupisko drzew

To kobieta pierwsza wpadła na pomysł PCT. Była to emerytowana nauczycielka z Bellingham w stanie Waszyngton, a nazywała się Catherine Montgomery. W rozmowie z alpinistą i pisarzem Josephem T. Hazardem zasugerowała, że powinien powstać sięgający od granicy do granicy „wysokogórski szlak, który będzie wiódł pomiędzy szczytami naszych zachodnich gór”. Był 1926 rok. Choć grupa wędrowców od razu podchwyciła pomysł Montgomery, to dopiero kiedy Clinton Churchill Clarke podjął sprawę sześć lat później, zaczęła się wyłaniać jednoznaczna, wspólna wizja PCT. Clarke był nafcierzem, który prowadził beztroskie życie w Pasadenie, ale był zagorzałym zwolennikiem spędzania czasu na łonie natury.

Zbulwersowany kulturą, która trawi „zbyt wiele czasu na miękkich fotelach pojazdów i za często siedzi w miękkich fotelach kin”, Clarke namówił rząd federalny, żeby wydzielił pas przyrody z przeznaczeniem na szlak. Wizja nafcierza sięgała o wiele dalej niż PCT, który, jak Clarke miał nadzieję, będzie jedynie segmentem o wiele dłuższego „Szlaku Ameryk” ciągnącego się od Alaski po Chile. Wierzył, że czas spędzany wśród dzikiej przyrody „ma trwałą, uzdrowicielską moc i nadaje ogłady”. Poświęcił dwadzieścia pięć lat, agitując na rzecz PCT, choć kiedy umarł w 1957 roku, powstanie szlaku nadal pozostawało jedynie w sferze marzeń.

Być może najistotniejszym wkładem Clarke’a w powstanie szlaku było poznanie w 1932 roku Warrena Rogersa, który miał wtedy dwadzieścia cztery lata. Rogers pracował dla YMCA w Alhambrze w Kalifornii, kiedy Clarke przekonał go, by pomógł mu w nakreśleniu trasy, zlecając grupom ochotników z YMCA sporządzenie mapy odcinków albo w niektórych przypadkach wyznaczenie fragmentów, które wejdą w skład PCT. Choć początkowo niechętny, Rogers szybko zaangażował się w tworzenie szlaku i poświęcił temu resztę życia, opowiadając się za PCT i pracując nad rozwiązaniem prawnych, finansowych i logistycznych przeszkód, które stały na drodze jego powstaniu. Rogers dożył momentu, kiedy Kongres wyznaczył Pacific

Crest National Scenic Trail w 1968 roku, ale zmarł w 1992, na rok przed ukończeniem szlaku.

Przeczytałam fragment przewodnika o historii PCT minionej zimy, ale dopiero teraz – kilka kilometrów od Burney Falls, kiedy w lichych sandałach szłam we wczesnowieczornym upale – znaczenie tej historii nabrało mocy i uderzyło mnie jak cios. Choć brzmiało to niedorzecznie, kiedy Catherine Montgomery, Clinton Clarke, Warren Rogers i setki innych ludzi, którzy stworzyli PCT, wyobrażali sobie wędrowców idących wysokogórskim szlakiem wiodącym między szczytami zachodnich gór, wyobrażali sobie mnie. Nie miało znaczenia, że wszystko – od moich tanich, podrabianych sandałów do specjalistycznych butów i plecaka według najnowszych standardów 1995 roku – było im zupełnie obce. To, co miało znaczenie, było całkowicie ponadczasowe. Coś, co zmusiło ich do walki o szlak wbrew wszelkim przeciwnościom. Coś, co kazało mnie i innym długodystansowym wędrowcom iść dalej w najbardziej ponure dni. Nie miało to nic wspólnego z wyposażeniem, obuwiem, wędrowskimi trendami czy filozofiami jakiegokolwiek ery, a nawet z przedostaniem się z punktu A do punktu B.

Chodziło tylko o to, jakie to uczucie znaleźć się w dziczy. Jak to jest iść wiele kilometrów bez innej przyczyny niż doświadczanie skupisk drzew i łąk, gór i pustyń, potoków i skał, rzek i traw, wschodów i zachodów słońca. To doświadczenie było potężne i fundamentalne. Miałam wrażenie, że ludzie pośród dzikiej natury zawsze się tak czuli i dopóki głusza istniała, miało się to nigdy nie zmienić. Wiedziała o tym Montgomery. I Clarke, i Rogers, i tysiące ludzi wcześniej i później. Ja też o tym wiedziałam, zanim jeszcze dotarło do mnie, jak niewiarygodnie trudny i wspaniały zarazem będzie PCT i jak głęboko wstrząśnie mną i mnie ochroni.

Myślałam nad tym, rozpoczynając szósty tydzień na szlaku, gdy szłam w wilgotnym cieniu żółtych sosen i daglezi. Wyczuwałam żwirową powierzchnię szlaku przez podeszwy sandałów. Bez butów, które je usztywniały, mięśnie kostek wydawały się nadwężone, ale przynajmniej obolałe palce nie uderzały przy każdym kroku o wnętrze butów. Dotarłam do drewnianego mostu, który spinał brzegi strumienia. Nie mogąc znaleźć w pobliżu płaskiego miejsca, rozbiłam namiot na środku mostu. Spałam, całą noc słysząc delikatny szum wodospadu, który znajdował

się poniżej.

Obudziłam się o świcie. Przez kilka godzin szłam w sandałach, wspinając się niemal 520 metrów i od czasu do czasu, kiedy wyłaniałam się z cienia świerkowego i sosnowego lasu, widząc na południu Burney Mountain. Po postoju na lunch z niechęcią odwiązałam buty od plecaka, czując, że nie mam innego wyboru, jak w końcu je włożyć. Zaczęłam dostrzegać słuszność tego, co autorzy *The Pacific Crest Trail*, tom 1: *California*, odnotowali we wstępie do części opisującej odcinek pomiędzy Burney Falls i Castle Crags. Napisali, że szlak na tym odcinku jest tak źle utrzymany, że miejscami „tylko nieznacznie przewyższa drogi przełajowe”, i choć jeszcze nie zobaczyłam tego na własne oczy, takie ostrzeżenia nie wróżyły dobrze moim sandałom. I tak zaczęły się już rozpadać, a ich podeszwy popękały i kłapały mi pod stopami, łapiąc po drodze małe gałązki i kamyki.

Wcisnęłam stopy z powrotem w buty i poszłam dalej, ignorując ból. Minęłam dwa przedziwne słupy wysokiego napięcia, które wydawały z siebie trzaski nie z tego świata. Kilka razy w ciągu dnia zobaczyłam Bald Mountain i Grizzly Peak na północnym zachodzie – ciemnozielone i brunatne góry porośnięte z rzadka postrzępionymi od wiatru drzewami i krzewami – głównie jednak szłam zarośniętym lasem, przechodząc wiele prowizorycznych dróg, przeoranych śladami opon traktorów. Mijałam stare karczowiska, które powoli wracały do życia, wielkie pola pniaków i korzeni, i małych zielonych drzew, nie większych ode mnie, gdzie miejscami szlak nie umiał się obronić i stawał się trudny do wyśledzenia między powalonymi drzewami i gałęziami. Drzewa były tego samego gatunku jak te, które mijałam już na szlaku, ale las wydawał się inny, chaotyczny i bardziej mroczny mimo przerywających go otwartych przestrzeni.

Późnym popołudniem zatrzymałam się na postój w miejscu z widokiem na pagórkowaty zielony teren. Siedziałam na zboczu, góra wznosiła się nade mną i stromo opadała poniżej. Nie mając gdzie usiąść, siadłam po prostu na szlaku, co mi się często zdarzało. Zdjęłam buty i skarpetki i patrząc na czubki drzew, rozmasowałam sobie stopy. Moje miejsce na zboczu było właściwie półką skalną nad lasem. Uwielbiałam poczucie, że jestem wyższa od drzew, gdy niczym ptak patrzyłam na baldachimy ich koron. Ten widok ulżył zmartwieniom o stan moich stóp

i wyboisty szlak przede mną.

Pogrążona w zadumie, sięgnęłam do bocznej kieszeni plecaka. Kiedy pociągnęłam za suwak kieszonki, Monstrum wywróciło się na moje buty, uderzając w lewy w taki sposób, że wyskoczył w powietrze, jakbym nim rzuciła. Patrzyłam, jak koziółkuje – szybko jak błyskawica i jednocześnie jakby w zwolnionym tempie – a potem jak bezszelestnie spada poza krawędź skarpy, prosto w korony drzew. Westchnęłam z zaskoczenia i rzuciłam się na drugi but, przyciskając go do piersi, jakby czekając, że to zdarzenie zaraz się cofnie albo że ktoś wyłoni się z lasu i roześmiany, kręcąc głową, powie, że to wszystko był żart.

Nikt się jednak nie roześmiał. Nikt by się nie odważył. Wszechświat, jak się przekonałam, nigdy sobie nie żartował. Brał, co chciał, i nigdy tego nie oddawał. Naprawdę został mi tylko jeden but.

Wstałam więc i rzuciłam go w przepaść. Spojrzałam na swoje bose stopy i wpatrywałam się w nie przez jakiś czas, po czym zaczęłam naprawiać sandały taśmą klejącą, zlepić razem spody i wzmacniać paski tam, gdzie prawie się rozeszły. Włożyłam skarpetki, żeby chronić stopy przed krawędziami taśmy, i szłam dalej, czując się okropnie z powodu tego, co się stało, ale pocieszając się myślą, że przynajmniej w Castle Craggs czeka na mnie nowa para butów.

Pod wieczór las rozstał się, ukazując pas ziemi, który można by określić mianem gruzów dziczy. Był to krajobraz zupełnie zniszczony i przeorany do gołej ziemi. PCT biegł jego skrajem, ledwo widoczny. Kilka razy musiałam się zatrzymać, by odszukać szlak, który przysłaniały połamane gałęzie i bryły skopanej ziemi. Resztki drzew rosnących na skraju karczowiska wyglądały jak w żałobie, ich szorstka skóra była świeżo zdarta, ich ostre kończyny wygięte pod najdziwniejszymi kątami. Nigdy wcześniej nie widziałam w lesie czegoś podobnego. Wyglądało to, jakby ktoś pojawił się tu z ogromną kulą do wyburzania i pozwolił się jej huścić. Czy to był ten pas przyrody, który wydzielił Kongres? Nie wyglądało na to. Szłam jednak przez tereny lasów narodowych, co mimo swojej obiecującej nazwy oznaczało, że jest to miejsce, które władze mogły wykorzystać w dowolny sposób, o ile uznają, że leży to w interesie publicznym. Czasem oznaczało to, że ziemia pozostawała nienaruszona, tak jak przez większość PCT. Kiedy indziej, że bardzo stare drzewa były wycinane na

krzesła i papier toaletowy.

Widok zrujnowanej, wykarczowanej ziemi wytrącił mnie z równowagi. Czułam smutek i złość, również ze względu na swój skomplikowany współdział w procederze. W końcu też używałam stołów i krzeseł oraz papieru toaletowego. Idąc przez rumowisko, wiedziałam już, że na dziś skończyłam. Wspięłam się po stromej skarpie, by dotrzeć do spłaszczonego karczowiska powyżej, i rozbiłam namiot między pniakami i bryłami ziemi, czując samotność, która rzadko dotykała mnie na szlaku. Chciałam z kimś porozmawiać, i to nie z byle kim.

Chciałam porozmawiać z Karen, Leifem albo Eddiem. Chciałam znów mieć rodzinę, być otoczona czymś, co uważałam za niezniszczalne. Równocześnie z tęsknotą czułam, jak pali mnie nienawiść do każdego z nich. Wyobraziłam sobie, jak wielka maszyna, która pożarła ten las, pożera nasze szesnaście hektarów w lasach Minnesoty. Z całego serca pragnęłam, by to się naprawdę stało. Miałam wrażenie, że wtedy byłabym wolna. Po śmierci mamy nie byliśmy niezniszczalni. Teraz totalna destrukcja przyniosłaby mi ulgę. Utrata rodziny i domu były jak moje osobiste karczowanie. To, co pozostało, stanowiło tylko dowód istnienia czegoś, czego już nie ma.

Ostatni raz byłam w domu na tydzień przed wyruszeniem na PCT. Pojechałam się pożegnać z Eddiem i odwiedzić grób mamy, skoro miałam nie wrócić do Minnesoty po ukończeniu wędrówki. Przepracowałam ostatnią zmianę w restauracji w Minneapolis, w której obsługiwałam stoliki, i ruszyłam w trzygodzinną podróż, by dotrzeć do domu nad ranem. Miałam zamiar zaparkować na podjeździe i przespać się na tylnym siedzeniu, żeby nie budzić domowników, ale kiedy dojechałam na miejsce, przed domem trwała impreza. W domu paliły się światła, a na podwórku płonęło ognisko. Wszędzie były rozbite namioty, a z głośników postawionych na trawie płynęła głośna muzyka. Była to sobota weekendu połączonego z Memorial Day. Wysiadłam z pick-upa i przeszłam między chmarą ludzi, z których większości nie znałam. Byłam zbita z tropu, ale nie zaskoczył mnie ani hałaśliwy charakter imprezy, ani to, że nie zostałam zaproszona. Był to jedynie kolejny dowód na to, jak bardzo wszystko się zmieniło.

– Cheryl! – zawołał Leif, gdy weszłam do garażu pełnego ludzi. Przepchnęłam się

do niego przez tłum i uściskaliśmy się. – Mam odjazd po grzybkach – powiedział radośnie, zbyt mocno ściskając mnie za ramię.

– Gdzie jest Eddie? – zapytałam.

– Nie wiem, ale muszę ci coś pokazać – powiedział, ciągnąc mnie za sobą. – Na pewno cię to wkurzy.

Wyszłam za nim na podwórko, po frontowych schodach i przez drzwi, aż stanęliśmy przed kuchennym stołem. Był to ten sam stół, który jako dzieci mieliśmy w mieszkaniu w Domku na Drzewie, ten sam, który mama kupiła za dziesięć dolarów, ten sam, przy którym zjedliśmy posiłek, gdy poznaliśmy Eddiego i kiedy udawaliśmy, że jesteśmy Chińczykami, bo siedzimy na podłodze. Teraz był wysokości zwykłego stołu. Kiedy wyprowadziliśmy się z Domku na Drzewie do normalnego domu, Eddie odciął krótkie nogi i umocował blat na beczce. Przez te wszystkie lata jedliśmy przy tym stole, siedząc na krzesłach. Stół nigdy nie był elegancki, a z upływem czasu jeszcze bardziej się podniszczył i miejscami popękał, więc Eddie wypełnił szczeliny kitem. Ale to był nasz stół.

A przynajmniej do tej nocy, tydzień przed moją wyprawą na PCT.

Teraz powierzchnia stołu była usiana świeżo wyskrobanymi słowami i frazami, inicjałami ludzi połączonymi plusami albo otoczonymi sercami, najwyraźniej wykonanymi przez gości z imprezy. Jakiś obcy mi nastolatek rzeźbił coś na powierzchni stołu szwajcarskim scyzorykiem.

– Przestań – warknęłam, a on spojrzał na mnie przestraszony. – Ten stół jest...

Nie mogłam dokończyć tego, co chciałam powiedzieć. Odwróciłam się jedynie i rzuciłam do drzwi. Leif szedł w ślad za mną. Minęliśmy namioty i ognisko, kurnik, w którym nie było już kur, obeszliliśmy pastwisko dla koni, gdzie koni już nie było, i ścieżką prowadzącą w las poszliśmy do altanki, która się tam znajdowała. Usiadłam i płakałam, a brat stał przy mnie w milczeniu. Czułam odrazę do Eddiego, ale co więcej, siebie też miałam dość. Paliłam świece i składałam deklaracje w swoim dzienniku. Doszłam do zdrowych wniosków dotyczących pogodzenia się z losem i wdzięczności, przeznaczenia i wybaczenia. Jakiś mały, zaciekły kawałek mnie pozwolił odejść mamie, ojcu, a w końcu i Eddiemu. Ale stół to była zupełnie inna

sprawa. Nie przyszło mi do głowy, że temu też muszę pozwolić odejść.

– Tak się cieszę, że wyjeżdżam z Minnesoty – powiedziałam z goryczą w głosie. – Nie wiesz jak bardzo.

– A ja nie – odparł Leif.

Położył mi dłoń na włosach z tyłu głowy i po chwili zabrał ją.

– Nie chodzi mi o to, że cieszę się, że cię zostawiam – powiedziałam, ocierając twarz obiema rękami. – Ale i tak rzadko cię widuję.

To była prawda. Bez względu na to, ile Leif się zarzekał, że jestem najważniejszą osobą w jego życiu, jego „drugą mamą”, jak czasem mówił, widywałam go jedynie sporadycznie. Był trudno osiągalny i roztargniony, nieodpowiedzialny i niemal niemożliwy do wyśledzenia. Jego telefon był zawsze poza zasięgiem. Jego miejsce pobytu – zawsze czasowe.

– Możesz mnie odwiedzać – powiedziałam.

– Gdzie? – zapytał.

– Gdziekolwiek postanowię zamieszkać jesienią. Kiedy skończę PCT.

Pomyślałam o tym, gdzie zamieszkam. Nie mogłam sobie wyobrazić, gdzie to będzie. Mogło to być, gdziekolwiek bym zechciała. Pewna byłam jedynie, że nie zamieszkam tutaj. „Nie w tym stanie! Nie w tym stanie!” – z niepokojem nalegała przed śmiercią mama, kiedy próbowałam od niej wyciągnąć, gdzie chciałaby, żebyśmy rozrzucili jej prochy. Nie mogłam nawet wydobyć od niej, co miała przez to na myśli – czy chodziło o Minnesotę, czy to, w jakim była stanie – stanie osłabienia i zagubienia.

– Może w Oregonie – powiedziałam Leifowi i przez chwilę oboje byliśmy cicho.

– Altanka jest zimna nocą – szepnął kilka minut później i oboje się rozejrzeliśmy, przyglądając się jej w wieczornym mroku.

Ja i Paul pobraliśmy się w tej altance. Zbudowaliśmy ją razem z okazji naszego ślubu prawie siedem lat wcześniej z pomocą Eddiego i mamy. Był to skromny zamek naszej skazanej na klęskę miłości. Dach był z falistej blachy, boki z surowego drewna, które przy dotyku wbijało drzazgi w dłonie. Podłoga była klepiskiem z płaskimi kamieniami, które dotaszczyliśmy tu z lasu na niebieskiej taczce, jaką moja

rodzina miała od lat. Po tym jak wyszłam za Paula w altance, stała się ona miejscem, do którego ludzie przychodzili, gdzie się zbierali. Eddie powiesił w środku szeroki hamak, który przed laty był prezentem dla mamy.

– Połóżmy się w nim – powiedział Leif, wskazując hamak.

Wspięliśmy się na niego i kołysaliśmy się delikatnie, odpychając się stopami od tego samego kamienia, na którym stałam, kiedy brałam ślub z Paulem.

– Jestem teraz rozwiedziona – powiedziałam bez emocji.

– Myślałem, że od dawna jesteś.

– Cóż, teraz to oficjalne. Musieliśmy wysłać władzom nasze dokumenty, żeby mogli je zarejestrować. W zeszłym tygodniu dostałam ostateczne papiery z pieczęcią sędziego.

Pokiwał głową, nic nie mówiąc. Wydawało mi się, że niezbyt mi współczuje z powodu rozwodu, który sama sprowokowałam. On, Eddie i Karen lubili Paula. Nie umiałam im wytłumaczyć, dlaczego musiałam wszystko zniszczyć. „Ale wydawaliście się tacy szczęśliwi” było jedyną frazą, na jaką było ich stać. I mieli rację – sprawialiśmy takie wrażenie. Tak jak sprawiałam wrażenie, że dam sobie radę po śmierci mamy. Żal nie ma twarzy.

Kołysząc się na hamaku, od czasu do czasu przez drzewa widzieliśmy światła domu i ogniska. Słyszeliśmy przytłumione głosy ludzi, gdy impreza przycichała, aż w końcu się skończyła. Grób naszej matki znajdował się niedaleko za nami, zaledwie jakieś trzydzieści kroków dalej ścieżką biegnącą za altaną i wychodzącą na niewielką polankę, gdzie posadziliśmy klomb, pochowaliśmy jej prochy i postawiliśmy nagrobek. Czułam ją przy nas i byłam pewna, że Leif także odczuwa jej obecność, choć nic nie powiedział. Zasnęłam, nie wiedząc kiedy, i zbudziłam się wraz ze wschodem słońca, zaskoczona widokiem Leifa, zapomniawszy na chwilę, gdzie jestem.

– Zasnęłam – powiedziałam.

– Wiem – odparł. – Ja nie zasnąłem ani na chwilę. Przez grzybki.

Usiadłam w hamaku i odwróciłam się, by na niego popatrzeć.

– Martwię się o ciebie – powiedziałam. – O narkotyki.

– I kto to mówi.

– To co innego. U mnie to była faza i dobrze o tym wiesz – powiedziałam, starając się, by nie zabrzmiało to defensywnie.

Było wiele powodów, przez które żałowałam, że brałam heroinę, ale utrata wiarygodności w oczach brata była tym, czego żałowałam najbardziej.

– Przejdźmy się – zaproponował.

– Która godzina? – zapytałam.

– A co za różnica?

Poszłam za nim ścieżką. Minęliśmy ciche namioty i samochody i idąc po naszym podjeździe, doszliśmy do zwirowej dróżki, która biegła koło domu. Światło było łagodne, odrobinę zabarwione odcieniem różu, tak piękne, że moje zmęczenie nie miało znaczenia. Nie uzgadniając tego ze sobą, poszliśmy drogą do opuszczonego domu, który znajdował się niedaleko. Chodziliśmy tam jako dzieci, znudzeni podczas długich gorących letnich dni, zanim wystarczająco wydorosleliśmy, by móc prowadzić samochód. Wtedy dom też był pusty i chylił się ku ziemi. Teraz chylił się jeszcze bardziej.

– Kobieta, która tu mieszkała, miała chyba na imię Violet – powiedziałam do brata, kiedy weszliśmy na ganek, przypominając sobie historię o dawnych mieszkańcach, zasłyszaną przed laty od starych fińskich znajomych.

Drzwi wejściowe nigdy nie były zamknięte, i to się nie zmieniło. Otworzyliśmy je i weszliśmy do środka, stąpając ostrożnie nad miejscami, gdzie w podłodze brakowało desek. Zadziwiające, że po domu były rozrzucone te same przedmioty co dwanaście lat wcześniej, tylko teraz w gorszym stanie. Podniosłam żółtą gazetę i zobaczyłam, że została wydana przez Komunistyczną Partię Minnesoty we wrześniu 1920 roku. Wyszczerbiona filiżanka z różowymi różami leżała przewrócona i nachyliłam się, by ją postawić. Dom był tak mały, że parę kroków starczyło mi, by na wszystko rzucić okiem. Poszłam na tyły i podeszłam do drewnianych drzwi, które zwisały na ukos z jednego z zawiasów. W ich górnej części znajdowała się nienaruszona szyba.

– Nie dotykaj – szepnął Leif. – Jeśli się rozbije, czeka cię zła karma.

Ominęliśmy ostrożnie drzwi i poszliśmy do kuchni. Pełno tam było wyłobień i dziur, a w miejscu kuchenki znajdowała się ogromna czarna plama. W rogu stał mały drewniany stolik, któremu brakowało jednej nogi.

– Wydłubałbyś na nim swoje imię? – zapytałam, wskazując stół i czując, że w moim głosie wzbierają emocje.

– Przestań – powiedział Leif i złapał mnie za ramiona, by porządnie mną potrząsnąć. – Opuść, Cheryl. To jest rzeczywistość. Musimy ją zaakceptować, czy chcemy tego, czy nie.

Pokiwałam głową i Leif mnie puścił. Staliśmy blisko siebie i wyglądaliśmy przez okna na podwórko. Była tam rozpadająca się szopa, która kiedyś służyła za saunę, i koryto porośnięte chwastami i mchem. W oddali szerokie bagniste pole ustępowało zagajnikowi brzoź, a jeszcze dalej znajdowało się jezioro, choć nie widzieliśmy go z tej odległości.

– Oczywiście, że nie wydłubałbym niczego w tym stole i ty też nie – powiedział po pewnym czasie Leif, zwracając się w moją stronę. – Wiesz dlaczego? – zapytał.

Pokręciłam głową, choć znałam odpowiedź.

– Bo wychowała nas mama.

Opuściłam obóz na karczowisku z pierwszym brzaskiem i nie widziałam nikogo przez cały poranek. W południe nie widziałam nawet PCT. Zgubiłam szlak pomiędzy zwalonymi gałęziami i tymczasowymi drogami, które przecinając się, ostatecznie zacierają szlak. Na początku nie przejęłam się tym specjalnie, wierząc, że droga, którą idę, gdzieś w końcu połączy się ze szlakiem, ale tak się nie stało. Wyciągnęłam mapę i kompas i ustaliłam swoje położenie. Albo to, co, miałam nadzieję, było moim położeniem – na moich zdolnościach orientacyjnych nadal trudno było polegać. Poszłam następną drogą, ale ta prowadziła do kolejnej i jeszcze kolejnej, aż w końcu nie byłam w stanie przypomnieć sobie, na której byłam na początku.

Zrobiłam sobie przystanek na lunch w późnopopołudniowym upale. Mój wilczy głód tłumiała nieco nękająca mnie świadomość, że nie wiem, gdzie jestem. W duchu złajałam się za to, że byłam tak lekkomyślna i że w irytacji szłam dalej, zamiast zatrzymać się, by ustalić kurs, ale teraz nie mogłam już nic na to poradzić. Zdjęłam

koszulkę z Bobem Marleyem i rozwiesiłam ją na gałęzi, żeby wyschła, a sama włożyłam inną, którą wyciągnęłam z plecaka. Od czasu gdy Paco dał mi koszulkę z Marleyem, nosiłam ze sobą dwie i zmieniałam je w ciągu dnia, tak samo jak skarpetki, choć wiedziałam, że to luksus, który dodaje jedynie wagi mojemu plecakowi.

Odczytywałam mapę i szłam dalej nierówną, nieutwardzoną drogą powstałą przy wyrębie, a potem kolejną, czując iskierkę nadziei za każdym razem, kiedy zdawało mi się, że wróciłam na dobry kurs. Jednak wczesnym wieczorem droga, którą szłam, zakończyła się zepchniętą przez buldożer górą ziemi, korzeni i gałęzi, wielką jak dom. Wspięłam się na nią, żeby coś zobaczyć, i zauważyłam kolejną drogę na starym karczowisku. Przeszłam przez nią, aż nagle spadł mi jeden z sandałów, a taśma klejąca i pasek, który utrzymywał but na stopie, odczepiły się od reszty.

– Aaaaaaa! – krzyknęłam i rozejrzałam się, czując dziwną ciszę drzew w oddali.

Były jak zbiorowa obecność, jak lud, jak obrońcy, którzy mieli mnie wydostać z tego kłopotu, choć tylko przyglądali mi się w ciszy.

Usiadłam na ziemi pomiędzy chwastami i sięgającymi do kolan młodymi drzewkami i naprawiłam sobie but, a nawet więcej: skonstruowałam parę stalowoszarych botków, owijając taśmę klejącą wokół skarpetek i szczątkowych pozostałości sandałów, jakbym robiła sobie gips na połamanej stopie. Starłam się okręcić taśmę na tyle ciasno, żeby buty mi nie spadły, ale na tyle luźno, żebym mogła wyciągnąć z nich stopy pod koniec dnia i ich nie zniszczyć. Musiały wytrzymać do Castle Crag.

Teraz nie wiedziałam jednak, jak daleko to będzie ani jak się tam dostanę.

Poszłam dalej w moich butach z taśmy po karczowisku w stronę drogi i rozejrzałam się wokół. Nie byłam już pewna, w którą stronę iść. Widziałam jedynie karczowiska i drogi. Las był gąszczem świerków i połamanych gałęzi. Ten dzień nauczył mnie, że drogi karczownicze były tylko liniami w niewytłumaczalnym labiryncie. Prowadziły na zachód, potem na północny wschód, a potem tylko na chwilę zwracały na południe. Aby bardziej wszystko skomplikować, odcinek PCT pomiędzy Burney Falls i Castle Crag nie biegł prosto na północ, raczej prowadził tam szerokim skierowanym na zachód łukiem. Wydawało mi się nieprawdopodobne,

żebym mogła choć udawać, że idę dalej zgodnie z kierunkiem szlaku. Moim jedynym celem było teraz znaleźć wyjście. Wiedziałam, że jeśli pójdę na północ, w końcu dotrę do autostrady 89. Szłam tą drogą, aż prawie zupełnie się ściemniło i nieopodal w lesie natrafiłam na dość płaski kawałek ziemi, gdzie mogłam rozbić namiot.

„Zgubiłam się, ale się nie boję” – powiedziałam sobie, szykując obiad. Miałam mnóstwo jedzenia i wody. Wszystko, czego potrzebowałam, by przeżyć tydzień albo dłużej, znajdowało się w moim plecaku. Jeśli będę szła dalej, w końcu natrafię na cywilizację. A mimo to kiedy weszłam do namiotu, aż drżałam z wyraźnie odczuwanej wdzięczności za znajome schronienie zielonego nylonu i siatkowych ścian, które stały się moim domem. Ostrożnie wyciągnęłam stopy z botków z taśmy klejącej i położyłam buty w kącie. Przejrzałam mapy w przewodniku chyba po raz setny tego dnia, czując frustrację i niepewność. W końcu po prostu się poddałam i pochłonęłam sto stron *Lolity*, zagłębiając się w jej okropną i przezabawną rzeczywistość do tego stopnia, że zapomniałam o własnej.

Rankiem zdałam sobie sprawę, że nie mam koszulki z Bobem Marleyem. Poprzedniego dnia zostawiłam ją na gałęzi, na której miała przeschnąć. Utrata butów była okropna, ale utrata koszulki z Bobem była jeszcze gorsza. Ta koszulka nie była jakimś starym łachem. Przynajmniej według Paco była to święta koszulka, która oznaczała, że idę z duchami zwierząt, ziemi i nieba. Nie wiedziałam, czy w to wierzę, ale koszulka stała się symbolem czegoś, czego nie potrafiłam do końca nazwać.

Wzmocniłam botki kolejną warstwą taśmy i szłam w nich przez cały parny dzień. Poprzedniej nocy obmyślałam plan: pójdę drogą, gdziekolwiek by prowadziła. Zignoruję wszystkie pozostałe, które będą się z nią krzyżować, bez względu na to, jak intrygująco czy obiecująco będą wyglądać. W końcu nabrałam przekonania, że jeśli zrobię inaczej, będę jedynie krążyć po niekończącym się labiryncie. Późnym popołudniem wyczułam, że droga pewnie gdzieś mnie doprowadzi. Zrobiła się szersza i mniej wyboista, a las zaczął rzednąć. W końcu za zakrętem zobaczyłam pusty traktor. Za traktorem znajdowała się utwardzona dwupasmowa szosa. Przeszłam na drugą stronę, skręciłam w lewo i poszłam wzdłuż pobocza. Znalazłam się na autostradzie 89 – a przynajmniej tak sądziłam. Wyciągnęłam mapy i prześledziłam trasę, którą mogłam stopem wrócić na PCT, a potem zabrałam się do

działa i zaczęłam łapać okazję, nieco zawstydzona moimi stalowoszarymi butami zrobionymi z taśmy. Samochody mijają mnie po dwa lub trzy, po czym następują długie przerwy. Stałam na autostradzie z wyciągniętym kciukiem przez pół godziny, czując narastający niepokój. W końcu na poboczu zatrzymał się mężczyzna w pick-upie. Podeszłam do drzwi pasażera i otworzyłam je.

– Wrzuć plecak na pakę – powiedział kierowca.

Był to wielki mięśniak, na moje oko grubo po czterdziestce.

– Czy to autostrada 89? – zapytałam.

Spojrzał na mnie nierozumiejącym wzrokiem.

– Nie wiesz nawet, na jakiej drodze się znajdujesz?

Pokręciłam głową.

– I co ty, na miłość boską, masz na stopach? – zapytał.

Niemal godzinę później wysadził mnie w miejscu, gdzie PCT krzyżuje się w lesie ze żwirową drogą, całkiem podobną do tych, którymi szłam, kiedy zgubiłam się poprzedniego dnia. Nazajutrz maszerowałam z rekordową jak na mnie prędkością, napędzana pragnieniem, by dotrzeć do Castle Crag pod koniec dnia. Przewodnik wyjaśniał, że jak zwykle nie dojdę do miasteczka. Szlak wyłaniał się przy parku stanowym, na którego skraju znajdowały się sklep i poczta, to mi jednak wystarczało. Na poczcie miały czekać moje nowe buty i pudełko z zapasami. Sklep miał małą restaurację, gdzie mogłam spełnić przynajmniej niektóre z fantazji dotyczących jedzenia i picia, kiedy już wejdę w posiadanie dwudziestodolarowego banknotu z pudełka. Park stanowy oferował też darmowy kemping dla wędrujących PCT, gdzie mogłam wziąć gorący prysznic.

Kiedy w końcu doczołgałam się do Castle Crag około trzeciej, byłam niemal bosa, bo moje buty rozpadały się na kawałki. Pokuśtykałam na pocztę, ciągnąc za sobą oblepioną ziemią taśmę, i zapytałam o paczki.

– Powinny być dla mnie dwie przesyłki – dodałam, czując desperację na myśl o pudle z REI.

Czekając, aż ekspedientka wróci z zaplecza, pomyślałam, że może oprócz butów i paczki z zapasami czeka na mnie coś jeszcze: listy. Wysłałam zawiadomienia do

wszystkich przystanków, które opuściłam po drodze, kiedy próbowałam ominąć śniegi, prosząc, by przekazano moją pocztę na ten właśnie adres.

– Proszę bardzo – powiedziała ekspedientka, z wysiłkiem stawiając na ladzie moje pudło z zapasami.

– Ale powinny być... Nie ma nic z REI? Powinno...

– Po kolei – zawołała, wracając na zaplecze.

Kiedy wyszłam z poczty, niemal krzyczałam z radości i ulgi. Oprócz czyściutkiego tekturowego pudła zawierającego moje buty – moje buty! – dostałam dziewięć listów, nadanych na przystanki, do których nie dotarłam, zaadresowanych znajomymi charakterami pisma. Usiadłam na betonie w pobliżu małego budynku, szybko przeglądając koperty, zbyt przejęta, by którąś otworzyć. Jedna była od Paula, jedna od Joego. Kolejna od Karen. Pozostałe nadal przyjaciele rozsiani po całym kraju. Odłożyłam je na bok i otworzyłam nożem pudło z REI. W środku starannie zawinięte w papier znajdowały się moje brązowe skórzane buty.

Takie same jak te, które spadły ze zbocza góry, tylko nowe i o rozmiar większe.

– Cheryl! – zawołał kobiecy głos.

Podniosłam wzrok. Niedaleko mnie bez plecaka stała Sarah, jedna z kobiet z dwóch par, które poznałam w Burney Falls.

– Co tu robisz? – zapytała.

– A co ty tu robisz? – odpowiedziałam, sądząc się, że będzie na szlaku daleko za mną.

– Zgubiliśmy się. Skończyło się na tym, że wyszliśmy na autostradę i złapaliśmy okazję.

– Ja też się zgubiłam! – powiedziałam, przyjemnie zaskoczona i wdzięczna, że nie byłam jedyną, która zabłądziła.

– Wszyscy się zgubili – odparła. – Chodź. – Wskazała wejście restauracji na końcu budynku. – Siedzimy w środku.

– Zaraz do was dojdę – powiedziałam.

Kiedy sobie poszła, wyciągnęłam z pudełka nowe buty, po raz ostatni ściągnęłam botki i wrzuciłam je do pobliskiego pojemnika na śmieci. Otwarłam pudełko

z zapasami i wyciągnęłam świeżutką parę nigdy nienoszonych skarpetek. Włożyłam je na brudne stopy i zawiązałam buty. Były nieskazitelnie czyste. Gdy szłam przez parking, pomyślałam, że są idealne, jak dzieło sztuki. Cud ich dziewiczej podeszwy, ich nietkniętych nosków. Wydawały się sztywne, ale obszerne. Zapowiadało się, że będą dobre, ale obawiałam się rozchodzenia ich na szlaku. Nie pozostało mi nic innego, jak liczyć, że wszystko będzie dobrze.

– Cheryl! – zawołał Rex tubalnym głosem, kiedy weszłam do restauracji.

Stacy siedziała przy nim, a obok niej Sam, Helen, John i Sarah. Ich szóstka wypełniała prawie całą restaurację.

– Witaj w raju – powiedział John, trzymając w dłoni butelkę piwa.

Zjedliśmy cheeseburgery i frytki, a potem przeszliśmy się po sklepie w poobiedniej ekstazie i zgarnęliśmy z półek naręcza chipsów, ciasteczek, piwa i podwójnej wielkości butelek taniego czerwonego wina, zrzucając się, by za wszystko wspólnie zapłacić. Nasza siódemka beztrąsko weszła z powrotem na górę, na kemping parku stanowego, gdzie ustawiliśmy namioty w ciasnym kole w wyznaczonej wolnej części i spędziliśmy wieczór przy stole piknikowym, śmiejąc się i opowiadając sobie historię za historią w gasnącym świetle dnia. Kiedy rozmawialiśmy, dwa czarne niedźwiedzie – które naprawdę były czarne – wyłoniły się zza drzew otaczających nasze obozowisko, tylko umiarkowanie wystraszone, kiedy zaczęliśmy krzyczeć, by je odpędzić.

Przez cały wieczór wielokrotnie wypełniałam papierowy kubeczek, który wzięłam ze sklepu spożywczego, łykając delikatne wino, jakby to była woda. W końcu zaczęło smakować jak woda. Nie czułam, że przeszłam 27 kilometrów w blisko trzydziestostopniowym upale z plecakiem na plecach i taśmą klejącą okręconą wokół stóp. Miałam wrażenie, że tu przydryfowałam. Czułam się, jakby stół piknikowy był najwspanialszym miejscem, w jakim byłam i kiedykolwiek będę. Nie zdawałam sobie sprawy z tego, że jestem pijana, do chwili, gdy wszyscy postanowiliśmy iść spać. Gdy wstałam, nagle uderzyło mnie, że sztuka stania wymaga nowych umiejętności. W okamgnieniu znalazłam się na czworakach i zaczęłam wymiotować na ziemię na środku naszego obozu. W poprzednich latach moje życie było momentami niedorzeczne, ale nigdy wcześniej nie strułam się alkoholem. Kiedy skończyłam,

Stacy postawiła przy mnie butelkę z wodą, mamrocząc, że powinnam ją wypić. Prawdziwa ja, która tkwiła gdzieś w otaczającej mnie mgłę, zdała sobie sprawę, że Stacy ma rację. Nie tylko byłam pijana, ale i odwodniona. Nie miałam w ustach ani kropli wody od popołudnia na upalnym szlaku. Zmusiłam się, by usiąść i uzupełnić wodę.

Kiedy wzięłam łyk, od razu zwymiotowałam jeszcze raz.

Rano wstałam przed wszystkimi i zrobiłam, co się dało, by posprzątać swoje wymioty gałęzią świerku. Poszłam pod prysznic, zdjęłam brudne ubrania i stanęłam pod gorącym strumieniem wody w betonowej kabinie, czując się tak, jakby poprzedniego wieczora ktoś mnie ciężko pobił. Nie miałam czasu na kaca. Zamierzałam wrócić na szlak około południa. Ubrałam się, wróciłam do obozowiska i usiadłam przy stole, żeby wypić tyle, ile tylko byłam w stanie, czytając wszystkie dziewięć listów, podczas gdy reszta spała. Paul filozoficznie i z czułością rozprawił o naszym rozwodzie. Joe był romantyczny i spontaniczny i nie wspominał ani słowem, czy jest na odwyku, czy nie. Karen napisała zwięzłym, codziennym tonem, podając mi najważniejsze informacje o swoim życiu. Listy od przyjaciół były pełne wyrazów miłości i plotek, nowych wieści i śmiesznych historyjek. Kiedy skończyłam je czytać, pozostali zaczęli wyłaniać się ze swoich namiotów, utykając podobnie jak ja każdego poranka, zanim rozgrzały mi się ścięgna. Byłam wdzięczna, że wszyscy wyglądali na przynajmniej w połowie tak skacowanych jak ja. Posyłaliśmy sobie porozumiewawcze uśmiechy, czując się nędznie, ale będąc w dobrych nastrojach. Helen, Sam i Sarah poszli pod prysznic, Rex i Stacy do sklepu.

– Mają bułeczki cynamonowe – powiedział Rex, próbując mnie skusić, żebym do nich dołączyła, ale tylko pomachałam mu na pożegnanie.

I to nie tylko dlatego, że na samą myśl o jedzeniu robiło mi się niedobrze. Przez hamburgera, wino i przekąski, które kupiłam poprzedniego dnia, znowu miałam nieco mniej niż pięć dolarów.

Kiedy sobie poszli, przetrzebiłam pudło z zapasami i przesegregowałam jedzenie, żeby zapakować je do Monstrum. Na następnym odcinku miałam nieść duży zapas – musiał wystarczyć na jeden z najdłuższych odcinków PCT: 250 kilometrów do Seiad Valley.

– Potrzebujecie z Sarah obiadów? – zapytałam Johna, który siedział przy stole. Byliśmy sami w obozie tylko przez chwilę. – Mam tego trochę za dużo. – Podniosłam opakowanie makaronu instant, dania, które tolerowałam na początku wyprawy, a którego teraz nienawidziłam.

– Nie, dzięki – odpowiedział.

Wyciągnęłam *Dublińczyków* Jamesa Joyce’a i przysunęłam pod nos. Okładka była zielona i obszarpana. Książka przyjemnie pachniała stęchlizną, dokładnie jak antykwariat w Minneapolis, w którym kupiłam ją kilka miesięcy wcześniej. Otworzyłam ją i zauważyłam, że mój egzemplarz wydrukowano całe dekady wcześniej, nim się urodziłam.

– Co to? – zapytał John, sięgając po pocztówkę, którą kupiłam w sklepie spożywczym poprzedniego popołudnia.

Było to zdjęcie wyciętej piłą mechaniczną rzeźby leśnego Yeti. Na górze kartki ozdobnymi literami napisane było „Kraina Wielkiej Stopy”.

– Wierzysz w jej istnienie? – zapytał, patrząc na obrazek.

– Nie. Ale ludzie, którzy w nie wierzą, twierdzą, że to rzeczywiście światowa stolica Wielkiej Stopy.

– Ludzie mówią różne rzeczy – odpowiedział.

– Cóż, jeśli mają gdziekolwiek być, to chyba tutaj – odparłam i rozejrzeliśmy się wokół siebie.

Nad drzewami, które nas otaczały, górowały stare szare skały zwane Castle Crag, a ich zwieńczone blankami szczyty wzrastały nad nami jak katedra. Niedługo minimy je na szlaku, idąc przez wielokilometrowy granitowy pas ultrazasadowy, określany przez mój przewodnik jako „o magmowym pochodzeniu i intruzyjnym charakterze”, cokolwiek to miało oznaczać. Nigdy nie interesowałam się szczególnie geologią, ale nie potrzebowałam znać znaczenia słowa „ultrazasadowy”, by widzieć, że wchodzę w zupełnie inną krainę. Moje przejście w Góry Kaskadowe było doświadczeniem podobnym do przejścia w Sierra Nevada: szłam przez nie całymi dniami, zanim poczułam, że tworzę sobie o nich wyobrażenie.

– Jeszcze jeden przystanek – powiedział John, jakby czytał w moich myślach. –

Jesteśmy jeden przystanek od Seiad Valley, a potem już tylko Oregon. Jesteśmy tylko mniej więcej 320 kilometrów od granicy.

Pokiwałam głową i uśmiechnęłam się. Nie sądziłam, że słowa „tylko” i „320 kilometrów” mogły się znaleźć w jednym zdaniu. Nie pozwoliłam sobie myśleć, co będzie za następnym przystankiem.

– Oregon! – krzyknął John i radość w jego głosie niemal mi się udzieliła, prawie sprawiając, że te 320 kilometrów wydało mi się pestką. Nie dałam się jednak zwieść. Nie było takiego tygodnia na szlaku, który nie okazałby się ciężką próbą.

– Oregon – powtórzyłam, a moja mina spoważniała. – Ale najpierw Kalifornia.

Rozdział 14

Dzikość

Czasem zdawało mi się, że Pacific Crest Trail jest jedną wielką górą, na którą próbuję się wspiąć. Że u końca mojej podróży nad rzeką Kolumbia osiągnę szczyt szlaku, a nie jego najniższy punkt. To wrażenie wchodzenia pod górę nie było jedynie metaforyczne. Naprawdę wydawało mi się, że niemal zawsze, choć to było możliwe, idę pod górę. Czasem, gdy mięśnie i płuca bolały mnie i piekły z wysiłku, byłam bliska płaczu z powodu nieustępliwości szlaku. Dopiero gdy zdawało mi się, że nie zrobię już ani kroku dalej pod górę, szlak wyrównywał się i zaczynał prowadzić w dół.

Jak wspaniale szło się w dół przez pierwsze kilka minut! Schodziłam coraz niżej do czasu, aż droga w dół również stawała się tak niemożliwa i wyczerpująca, że modliłam się, by szlak znów zaczął się wznosić. Zdałam sobie sprawę, że schodzenie jest jak złapanie włóczki zwisającej ze swetra, który właśnie przez wiele godzin robiło się na drutach, i ciągnięcie za nią, aż cały sweter spruje się i zmieni w kupkę wełny. Wędrówka PCT była szaleńczym wysiłkiem nieustannego dziergania swetra i prucia go raz za razem. Jakby wszystko, co można było zyskać, miało być od razu bezpowrotnie tracone.

Kiedy opuściłam Castle Crags o czternastej – godzinę po Stacy i Rexie, a na kilka godzin przed pozostałymi parami – miałam na sobie buty o całym, jakże przyjemny rozmiar większe niż poprzednie.

– Teraz to ja jestem Wielką Stopą! – żartowałam, żegnając się z parami.

Szłam pod górę w piękącym upale, czując przypływ entuzjazmu, że znów jestem na szlaku, a ostatnie resztki kaca wkrótce się ze mnie wypocą. Przez całe popołudnie i następny dzień zmierzałam coraz wyżej, nie minęło jednak wiele czasu, a mój entuzjazm z powodu nowych butów zniknął, wyparty przez ponurą świadomość, że w kwestii stóp moja sytuacja niewiele miała się zmienić. Nowe buty jedynie zdarły mi stopy od nowa. Wędrowałam przez piękne tereny, co zaczęłam uznawać za

oczywistość, moje ciało w końcu było gotowe na pokonywanie dużych odległości, ale kłopoty ze stopami przyprawiły mnie o najgłębszą rozpacz. Przypomniałam sobie, jak w Belden Town, patrząc z Brentem w gwiazdy, pomyślałam życzenie. Wyszło na to, że rzeczywiście zapeszyłam, wypowiadając je na głos. Być może moje stopy miały nigdy nie wydobrzeć.

Pogrążona w wirze ponurych myśli drugiego dnia za Castle Crag, prawie nadepnęłam kolejno na dwa grzechotniki, które leżały zwinięte na szlaku, oddalone od siebie o kilka kilometrów. Oba wyrwały mnie z zamyślenia, w ostatniej chwili ostrzegając grzechotaniem. Skarcona próbowałam się już tak nie zamyślać. Szłam naprzód, wyobrażając sobie niesłychane rzeczy – na przykład, że moje stopy nie są do mnie przyczepione albo że to, co czuję, nie jest bólem, tylko po prostu wrażeniem.

Zgrzana, zła i zmęczona sama sobą zatrzymałam się w cieniu drzew na lunch. Rozłożyłam brezentową matę i ulokowałam się na niej w pozycji pólężącej. Poprzedniej nocy rozbiłam obóz z Rexem i Stacy i dziś miałam zamiar zrobić to samo. Pary nadal znajdowały się gdzieś za nami. Przez cały dzień nie spotkałam jednak żywego ducha. Obserwowałam, jak w oddali drapieżne ptaki szybują nad skalistymi szczytami, a na niebie z rzadka pojawia się pojedyncza chmura, aż w końcu, nie mając takiego zamiaru, zasnęłam. Obudziłam się pół godziny później, dysząc, spanikowana i przerażona snem – tym samym co poprzedniej nocy. W tym śnie porywa mnie Wielka Stopa. Robi to w dość kulturalny sposób, podchodząc bliżej, by złapać mnie za rękę i pociągnąć za sobą do lasu, gdzie znajduje się wioska, w której żyją inne Wielkie Stopy. We śnie byłam jednocześnie zdziwiona i przestraszona ich widokiem. „Jak to możliwe, że chowaliście się przed ludźmi tyle czasu?” – pytam mojego wielkostopowego porywacza, na co on jedynie stęka. Gdy się mu przyglądam, zdaję sobie sprawę, że to nie Wielka Stopa, lecz człowiek w masce i włochatym kombinezonie. Widzę blade ludzkie ciało wystające spod maski i to mnie przeraża.

Próbowałam odgonić od siebie ten koszmar, kiedy obudziłam się rano, winiąc za niego pocztówkę, którą kupiłam w Castle Crag. Teraz, kiedy ten sam sen przyśnił mi się ponownie, wydało mi się, że musi mieć solidniejszą podstawę, jakby nie był tylko fantazją, lecz znakiem ostrzegawczym. Przed czym – nie miałam pojęcia. Wstałam,

zarzuciłam na siebie Monstrum i z chłodnym niepokojem zlustrowałam otaczające mnie postrzępione granie, skaliste szczyty i wysokie szare i rdzawe urwiska, widoczne pomiędzy skupiskami zielonych drzew. Kiedy wieczorem spotkałam Stacy i Rexa, poczułam znaczną ulgę, że ich widzę. Przez wiele godzin reagowałam nerwowo i niepewnie, słysząc różne odgłosy, które dochodziły z krzaków, a zbyt długa cisza wytrącała mnie z równowagi.

– Jak tam twoje nogi? – zapytała Stacy, kiedy rozbijałam obok niej namiot.

W odpowiedzi usiadłam na ziemi, zdjęłam buty i skarpetki i pokazałam jej stopy.

– Cholera – wyszeptała. – Boli od samego patrzenia.

– Zgadnijcie, co usłyszałem wczoraj w sklepie – powiedział Rex. Mieszał w garnku, który stał nad płomieniem na jego kuchence. Twarz miał zaróżowioną od całodziennego wysiłku. – Najwyraźniej nad jeziorem Toad odbędzie się coś pod nazwą Tęczowe Kręgi.

– Nad jeziorem Toad? – zapytałam, nagle przypominając sobie kobietę, którą spotkałam w łazience przy dworcu autobusowym w Reno. Wybierała się tam.

– Tak – powiedział Rex. – To jezioro znajduje się jakieś 15 kilometrów przed nami, jeśli zjemy ze szlaku na ścieżkę pół kilometra stąd. Myślę, że powinniśmy tam pójść.

Przyklasnęłam z uciechy.

– A co to są Tęczowe Kręgi? – zapytała Stacy.

Wy tłumaczyłam im, gdy jedliśmy obiad – brałam w nich udział w czasie wakacji parę lat wcześniej. Tęczowe Kręgi są organizowane przez Rodziny Tęczy, luźno związaną brać tak zwanych wolnomyślicieli, których wspólnym celem jest osiągnięcie pokoju i miłości na ziemi. Każdego lata rozbijają obozowisko na terenie lasów państwowych, gdzie na uroczystości przyjeżdżają tysiące ludzi. Punktem kulminacyjnym jest tydzień, w którym wypada 4 Lipca, ale zgromadzenie trwa przez całe lato.

– Jam session bębniarze, ogniska, imprezy – wyjaśniłam Rexowi i Stacy. – Ale najlepsze ze wszystkiego są wspaniałe polowe kuchnie, na których ludzie pieką chleby, przyrządzają warzywa, gulasze i ryż. Każdy może przyjść i zjeść te pyszności.

– Każdy? – zapytał Rex zbolalym tonem.

– Tak – odparłam. – Musisz mieć tylko swoje naczynie i łyżkę.

Kiedy tak rozmawialiśmy, postanowiłam, że zostanę przez kilka dni na Tęczowych Kręgach, skoro i tak mój harmonogram był skazany na porażkę. Musiałam pozwolić stopom na zagojenie się i trochę się pozbierać. Otrząsnąć się ze straszego, rosnącego we mnie przekonania, że może mnie porwać mitologiczna dwunożna człekokształtna bestia.

I być może – przy odrobinie szczęścia – uda mi się przespać z przystojnym hipisem.

Później w namiocie przecesałam plecak i znalazłam prezerwatywę, którą niosłam ze sobą całą drogę – tę samą, którą uratowałam w Kennedy Meadows, kiedy Albert przeprowadzał czystkę w moim plecaku. Nienaruszona nadal tkwiła w swoim białym opakowaniu. Pomyślałam, że najwyższa pora jej użyć. Przez sześć tygodni na szlaku ani razu się nawet nie masturbowałam. Czułam się zbyt wykończona na koniec dnia, by zająć się czymś poza czytaniem, zbyt pełna odrazy do spoconego swądu własnego ciała, by mój umysł mógł skupić się na czymkolwiek innym niż sen.

Następnego dnia szłam szybciej niż kiedykolwiek, krzywiąc się z każdym krokiem. Szlak wznosił się i opadał od blisko 2000 do ponad 2200 metrów, roztaczając widoki na położone poniżej wysokogórskie nieskazitelnie czyste jeziora i niekończące się górskie pasma. W południe weszliśmy na wąską ścieżkę, która schodziła od PCT do jeziora Toad.

– Niewiele się tam dzieje – powiedział Rex, kiedy spojrzeliśmy na jezioro 100 metrów pod nami.

– Nic się tam nie dzieje – powiedziałam.

Było tam tylko jezioro otoczone skupiskiem poszarpanych sosen, a nad nimi na wschodzie widać było Mount Shasta. W końcu mijałam imponujący szczyt wznoszący się na ponad 4300 metrów, który widziałam na horyzoncie od Hat Creek Rim.

– Może Kręgi znajdują się trochę dalej od wody – powiedziała Stacy.

Kiedy jednak doszliśmy do brzegu jeziora, było jasne, że nie ma tam ani wesołego

obozowiska, ani wijące się masy ludzi, którzy graliby improwizacje, ćpali albo przygotowywali sycący gulasz. Nie było ciemnego chleba ani seksownych hipisów.

Tęczowe Kręgi były kitem.

Nasza trójka w przygnębieniu zjadła lunch w pobliżu jeziora, posilając się tym samym nędznym jedzeniem co zwykle. Później Rex poszedł popływać, a my ruszyliśmy ze Stacy bez plecaków stromym szlakiem w stronę przejezdnej drogi, którą wskazywał nasz przewodnik. Mimo widocznych oznak nie straciłyśmy jeszcze całkiem nadziei, że uda nam się znaleźć Tęczowe Kręgi, jednak kiedy po dziesięciu minutach dotarłyśmy do wyboistej drogi, nic się nie zmieniło. Nie było tam nikogo. Tylko drzewa, ziemia, skały i chwasty, jak co dzień.

– Chyba źle coś usłyszeliśmy – powiedziała Stacy, rozglądając się po okolicy.

W jej podniesionym głosie słychać było ten sam gniew i żal, które wzbierały także we mnie. Czułam olbrzymie i dziecinne rozczarowanie, jakbym miała dostać napadu złości, jakiego nie miałam od trzeciego roku życia. Podeszłam do dużego płaskiego głazu, który leżał przy drodze. Położyłam się na nim i zamknęłam oczy, żeby na chwilę odizolować się od tego durnego świata i na tyle opanować, by to nie była rzecz, przez którą w końcu rozpłaczę się na szlaku. Skała była ciepła i gładka, szeroka jak stół. Przyjemnie było dotykać jej plecami.

– Czekaj – po pewnym czasie odezwała się Stacy. – Chyba coś słyszę.

Otworzyłam oczy i wyteżyłam słuch.

– To pewnie tylko wiatr – powiedziałam, niczego nie wychwytyjąc.

– Pewnie tak.

Spojrzała na mnie i nieznacznie się do siebie uśmiechnęłyśmy. Miała na głowie kapelusz przeciwsłoneczny, wiązany pod brodą, krótkie szorty i getry podciągnięte do kolan, w których zawsze wyglądała dla mnie jak skautka. Kiedy ją poznałam, byłam nieco zawiedziona, że nie jest taka jak moi przyjaciele i ja. Była spokojniejsza, emocjonalnie wyciszona. Nie wiem, czy byśmy się zaprzyjaźniły, gdybyśmy spotkały się poza szlakiem, ale teraz stała się mi bardzo bliska.

– Znowu to słyszę – powiedziała nagle, spoglądając w dół drogi.

Wstałam, kiedy zza zakrętu wyłonił się zdezelowany pick-up pełen ludzi. Był na

oregońskich tablicach. Jechał prosto na nas i z piskiem zatrzymał się w odległości kilku metrów. Zanim kierowca zdążył wyłączyć silnik, z pojazdu wyskoczyło siedmiu pasażerów i dwa psy. Obdarci i niechlujni, ubrani w najuroczystsze hipisowskie stroje, bez wątpienia należeli do Rodzin Tęczy. Nawet ich psy były dyskretnie przyozdobione koralikami i bandanami. Wyciągnęłam rękę, by pogłaskać ich kudłate grzbiety, kiedy przebiegały koło mnie, kierując się prosto w krzaki.

– Cześć – powiedziałyśmy jednocześnie ze Stacy do czterech mężczyzn i trzech kobiet, którzy stanęli przed nami.

W odpowiedzi tylko patrzyli na nas z niezadowoleniem spod przymrużonych powiek, jakby wyłonili się z jaskini, a nie z paki lub kabiny pick-upa. Sprawiali wrażenie, jakby nie spali całą noc albo dochodzili do siebie po środkach halucynogennych, albo i to, i to.

– Czy tu są Tęczowe Kręgi? – zapytał ostro mężczyzna, który siedział za kierownicą.

Był opalony i drobnokościsty. Dziwna wstrętne biała opaska, która przykrywała większość jego głowy, odgarniała długie falowane czarne włosy z twarzy.

– Szukamy tego samego, ale niestety jesteśmy tu tylko my – odpowiedziałam.

– No to, kurwa, pięknie! – jęknęła blada kobieta o wyglądzie sieroty, z gołym brzuchem i kolażem celtyckich tatuaży. – Przyjechaliśmy taki kawał z Ashland na nic? – Poszła położyć się na głazie, który przed chwilą zwolniłam. – Jestem taka głodna, że zaraz umrę.

– Ja też jestem głodna – zaczęła jęczeć kolejna kobieta, czarnowłosa karzeł w plecionym pasku ze srebrnymi dzwonkami. Podeszła do sieroty i pogładziła ją po głowie.

– Pieprzeni animatorzy! – ryknął mężczyzna w opasce.

– Masz, kurwa, rację – wymamrotał mężczyzna z zielonym irokezem i wielkim srebrnym kółkiem w nosie, jakie można zobaczyć czasem u byka.

– Wiesz, co zrobię? – zapytał mężczyzna w opasce. – Sam sobie zorganizuję Krąg nad Jeziorem Kraterowym. Nie będzie mi jakiś animator mówił, gdzie mam jechać. Mam tu rozległe wpływy.

– Ile jest stąd do Jeziora Kraterowego? – zapytała z australijskim akcentem ostatnia kobieta.

Była wysoką, piękną blondynką, a wszystko w niej było widowiskowe: włosy zwinięte w supeł dredów na czubku głowy, uszy przekłute czymś, co wyglądało na prawdziwe ptasie kości, i palce, każdy ozdobiony ekstrawaganckim pierścieniem.

– Niedaleko, laluniu – powiedział facet w opasce.

– Nie mów do mnie „laluniu” – odpowiedziała.

– W Australii to obelga?

Westchnęła wtedy i warknęła.

– Dobrze, maleńka, nie będę mówił do ciebie „laluniu” – powiedział gość, patrząc w niebo. – Ale będę ci mówił „maleńka”, kiedy mi się będzie podobało. Jak to ujął Jimi Hendrix: „Wszystkim mówię »maleńka«”.

Popatrzyłyśmy ze Stacy po sobie.

– Też próbujemy znaleźć Kręgi – rzuciłam. – Powiedziano nam, że to tutaj.

– Wędrujemy Pacific Crest Trail – dodała Stacy.

– JA! CHCĘ! JEŚĆ! – wyła sierota na kamieniu.

– Mogę cię poczęstować czymś do jedzenia – powiedziałam. – Ale mamy to nad jeziorem.

Spojrzała na mnie bez wyrazu. Oczy miała zamglone. Zastanawiałam się, ile ma lat. Mogła być w moim wieku, choć uszłaby i za dwunastolatkę.

– Macie miejsce w samochodzie? – dyskretnie zapytała mnie Australijka. – Jeśli jedziecie z powrotem do Ashland, to zabrałabym się z wami.

– Jesteśmy pieszo – powiedziałam ku jej zdziwieniu. – Mamy plecaki. Zostawiłyśmy je nad jeziorem.

– Wybieramy się do Ashland – powiedziała Stacy. – Ale dotarcie tam zabierze nam około dwunastu dni.

Obie się roześmiałyśmy, ale śmiałyśmy się tylko my.

Wszyscy załadowali się z powrotem do pick-upa i kilka minut później odjechali, a Stacy i ja poszłyśmy z powrotem nad jezioro Toad. Kiedy tam dotarłyśmy, z Rexem siedziały znajome dwie pary i razem wróciliśmy na PCT. Nie minęło jednak wiele

czasu, a zostałam na końcu i hamowana katastrofalnym stanem stóp jako ostatnia dokużykałam o zmroku do obozowiska.

– Myśleliśmy, że już nie dojdiesz – powiedziała Sarah. – Uznaliśmy, że rozbiłaś się gdzieś po drodze.

– A jednak jestem – odparłam, czując się lekko urażona, choć wiedziałam, że Sarah chciała mnie tylko pocieszyć.

Kiedy piliśmy wino i rozmawialiśmy w Castle Crag, Sam zażartował, że na szlaku powinnam mieć ksywkę „Nieszczęsna”, po tym jak opowiedziałam im o swoich różnych feralnych przygodach. Wtedy się z tego śmiałam – „Nieszczęsna” wydawało mi się dość trafnym imieniem – ale nie chciałam być takim wędrowcem. Chciałam być twardzielką, cholerną jej wysokością królową Amazonek.

Rano wstałam przed wszystkimi i po cichu wymieszałam w garnku mleko w proszku z zimną wodą, odrobinę zwietrzałym muesli i rodzynkami. Obudziłam się z kolejnego koszmaru o Wielkiej Stopie, niemal identycznego jak dwa poprzednie. Jedząc śniadanie, zaczęłam przysłuchiwać się odgłosom nadal pograżonych w ciemnościach drzew. Ruszyłam w drogę, zanim pozostali zdążyli wyłonić się ze swoich namiotów, ciesząc się, że będę mogła zyskać nad nimi przewagę. Mogłam być wyczerpana, powolna i mieć obolałe stopy, mogłam być nieszczęsna, ale dotrzymałam kroku pozostałym – ludziom, których uznawałam za prawdziwych wędrowców. 25 albo 30 kilometrów dziennie stało się moim dystansem obowiązkowym.

Po godzinie marszu usłyszałam wielki łomot w krzakach niedaleko mnie. Znieruchomiałam, nie wiedząc, czy powinnam krzyczeć, czy być cicho. Nie mogłam nic na to poradzić: choć było to niemądre, od razu przed oczami pojawił mi się mężczyzna w masce Wielkiej Stopy.

– Aaa! – zaczęłam krzyczeć, kiedy owłosiona bestia stanęła przede mną tak blisko, że mogłam poczuć jej zapach.

Niedźwiedź – przekonałam się chwilę później. Jego wzrok przesunął się po mnie obojętnie, po czym miś prychnął, zatoczył się i pobiegł szlakiem na północ.

Dlaczego zawsze musiały uciekać w stronę, w którą szłam?

Odczekałam parę minut i ruszyłam dalej, z niepokojem stawiając kroki i na całe gardło śpiewając wersy znanych piosenek.

– Oh I could drink a case of youuuuu, darling, and I would still be on my feet – nuciłam głośno. – She was a fast machine she kept her motor clean! – warczałam. – Chrupek Peppies Bekon, zaraz zwędzę go! – piałam.

Podziałało. Nie spotkałam już niedźwiedzia. Ani Wielkiej Stopy.

Spotkałam natomiast coś, czego naprawdę należało się bać – wielką łąkę śniegu pokrywającą szlak pod kątem 40 stopni. Choć było gorąco, niecały śnieg na północnych stokach stopniał. Widziałam, gdzie kończyła się łąka. Mogłam tam dorzucić kamieniem. Nie mogłam jednak przetrząsnąć samej siebie. Musiałam iść. Spojrzałam w dół, śledząc wzrokiem, gdzie leży śnieg, na wypadek gdybym się poślizgnęła i zsunęła. Kończył się daleko w dole skupiskiem poszarpanych głazów. Niżej było już tylko powietrze.

Zaczęłam powoli torować sobie drogę, wykopując stopnie butami i zapierając się kijkiem narciarskim. Zamiast czuć się pewniej na śniegu, biorąc pod uwagę doświadczenia z gór Sierra, czułam się bardziej zestresowana, bardziej świadoma tego, co może pójść nie tak. Poślizgnęłam się i podparłam rękami. Powoli wstałam na ugiętych nogach. „Zaraz spadnę” – przyszło mi do głowy i na tę myśl znieruchomiałam. Spojrzałam w dół na głazy pode mną, wyobrażając sobie, jak na nie lecę. Spojrzałam na miejsce, z którego wyruszyłam, i na miejsce, do którego miałam dojść. Oba znajdowały się w tej samej odległości ode mnie. Byłam za daleko od każdego z nich, zmusiłam się więc, żeby iść do przodu. Opadłam na kolana i resztę dystansu pokonałam, czołgając się, z nogami trzęsącymi się nieopanowanie i pobrzękującym przy boku kijem narciarskim przewieszonym na różowym pasku przez mój nadgarstek.

Kiedy stanęłam na szlaku po drugiej stronie, czułam się głupia, słaba i godna politowania, tak bezbronna jak jeszcze nigdy, zazdroszcząc parom, które na szlaku miały siebie nawzajem, i Rexowi oraz Stacy, którzy tak łatwo stali się duetem. Po opuszczeniu szlaku przez Rexa w Seiad Valley do Stacy miała dołączyć jej przyjaciółka Dee, razem z którą planowały przejść Oregon. Ja jednak na zawsze miałam pozostać sama. Dlaczego? Co mi dawała ta samotność? „Nie boję się” –

powiedziałam sobie, przywołując swoją dawną mantrę, by uspokoić myśli. Nie czułam jednak tego samego co zwykle, kiedy wypowiadałam te słowa. Być może dlatego, że nie była to zupełna prawda.

Może w końcu pokonałam taką odległość, że starczyło mi odwagi, by się bać.

Kiedy zatrzymałam się na lunch, ociągałam się tak długo z ponownym wymarszem, aż reszta mnie dogoniła. Powiedzieli, że spotkali po drodze strażnika leśnego, który ostrzegł ich przed pożarami lasów na zachodzie i północy, niedaleko Happy Valley. Dotychczas nie dotknęły szlaku, ale strażnik kazał im uważać. Pozwoliłam im ruszyć przodem, mówiąc, że dołączę do nich o zmroku, i szłam dalej sama w popołudniowym upale. Kilka godzin później doszłam do źródelka na sielankowej polance i zatrzymałam się po wodę. Było to zbyt piękne miejsce, by je opuszczać, więc posiedziałam tam trochę, mocząc stopy w źródlanej wodzie, gdy nagle usłyszałam narastające brzęczenie dzwonek. Ledwie zdążyłam się podnieść, kiedy zza zakrętu wyłoniła się biała lama, cwałująca prosto na mnie i szczerząca się przy tym szeroko.

– Aaa! – zaczęłam krzyczeć tak samo jak wtedy, gdy zobaczyłam niedźwiedzia, ale i tak sięgnęłam po sznur, który wisiał z jej uzdy.

Stary nawyk z dzieciństwa spędzonego przy koniach. Lama miała na sobie juki, przewiązane srebrnymi dzwonekami, które niewiele różniły się od paska kobiety nad jeziora Toad.

– Spokojnie – powiedziałam, bosa i zaskoczona, zastanawiając się, co zrobić dalej.

Lama też wydawała się zaskoczona, a jej mina była jednocześnie komiczna i sroga. Przyszło mi do głowy, że zwierzę może mnie ugryźć, ale nie wiedziałam, po czym to poznać. Nigdy wcześniej nie znajdowałam się tak blisko lamy. Nigdy wcześniej nie byłam nawet daleko od lamy. Miałam tak mało doświadczenia związanego z lamami, że nie mogłam być nawet w stu procentach pewna, że to zwierzę na pewno nią było. Śmierdziała jak płótno i poranny oddech. Pociągnęłam lamę nieznacznie w stronę butów i wsunęłam w nie stopy, a potem zaczęłam energicznie głaskać długą pokrytą szczecina szycę zwierzęcia, co – jak miałam nadzieję – przekona je o mojej dominacji. Po kilku minutach pojawiła się stara

kobieta, z długimi siwymi warkoczami zwisającymi po bokach głowy.

– Złapała ją pani! Dziękuję – zawołała, uśmiechając się szeroko, z błyskiem w oku.

Pomijając mały plecak, wyglądała jak postać z bajki: chochlikowata, pulchna i rumiana. Za nią szedł mały chłopiec, a za nim z kolei podążał wielki brązowy pies.

– Spuściłam ją tylko na chwilę i od razu związała – powiedziała kobieta, śmiejąc się i przejmując ode mnie sznur lamy. – Tak myślałam, że ją pani złapie. Spotkaliśmy po drodze pani przyjaciół. Jestem Vera, a to mój przyjaciel Kyle – powiedziała, wskazując chłopca. – Ma pięć lat.

– Cześć – powiedziałam, spoglądając na niego. – Jestem Cheryl.

Miał szklaną pełną wody butelkę po syropie klonowym przewieszoną przez ramię na grubym sznurku, co było dziwnym widokiem: zarówno szkło na szlaku, jak i pięciolatek. Od dawna nie przebywałam w towarzystwie dziecka.

– Cześć – odpowiedział, patrząc na mnie szarymi oczami.

– Poznałaś już Spadającą Gwiazdę – powiedziała Vera, klepiąc lamę po szyi.

– Zapomniałaś o Miriam – powiedział Kyle do Very. Położył swoją malutką dłoń na głowie psa. – To właśnie Miriam.

– Cześć, Miriam – powiedziałam. – Podoba ci się wędrówka? – zapytałam Kyle’a.

– Wspaniale się bawimy – odpowiedział w dziwnie oficjalny sposób, po czym pobiegł ochlapać ręce w źródelku.

Pogawędziłam z Verą, podczas gdy Kyle rzucał do wody źdźbła trawy i patrzył, jak odpływają. Powiedziała mi, że mieszka w małym miasteczku w środkowym Oregonie i wybiera się na wędrówki z plecakiem tak często, jak to możliwe. Powiedziała mi po cichu, że Kyle i jego mama są w okropnym położeniu i mieszkają na ulicach Portland. Vera poznała ich zaledwie kilka miesięcy wcześniej przez organizację Basic Life Principles, do której wszyscy należeli. Mama Kyle’a poprosiła ją, by zabrała chłopca na wycieczkę, podczas gdy ona spróbuje uporządkować swoje sprawy.

– Obiecałaś, że nie będziesz nikomu opowiadać o moich problemach! – wykrzyknął Kyle, rzucając się w naszą stronę.

– Nie opowiadam o twoich problemach – powiedziała Vera pogodnie, choć nie była to prawda.

– Bo mam ogromne problemy i nie chcę o nich mówić ludziom, których nie znam – powiedział Kyle, znów patrząc mi w oczy.

– Wielu ludzi ma ogromne problemy – odpowiedziałam. – Ja też.

– Jakie? – zapytał.

– Na przykład problemy z ojcem – powiedziałam niepewnym tonem, od razu tego żałując. Nie miałam takiej wprawy z dziećmi, żeby wiedzieć, na ile szczerą powinnam być z pięcioletkiem. – Właściwie to go nie miałam – powiedziałam umiarkowanie pogodnym tonem.

– Ja też nie mam taty – powiedział Kyle. – To znaczy wszyscy mają tatę, ale ja mojego nie znam. Znałem go, kiedy byłem dzidziusiem, ale nie pamiętam tego.

Otworzył dłonie i spojrzał na nie. Były pełne cienkich źdźbeł trawy. Patrzyliśmy, jak odfruwają w podmuchach wiatru.

– A twoja mamusia? – spytał.

– Nie żyje.

Spojrzał na mnie natychmiast, a wyraz jego twarzy zmienił się z zaskoczonego na pełen spokoju.

– Moja mamusia lubi śpiewać – powiedział. – Chcesz usłyszeć piosenkę, której mnie nauczyła?

– Tak – odparłam.

Chłopiec bez wahania zaczął śpiewać *Red River Valley* głosem tak czystym, że ścisnęło mnie w żołądku.

– Dziękuję – powiedziałam bardzo poruszona, kiedy skończył. – To była chyba najwspanialsza rzecz, jaką słyszałam w życiu.

– Mama nauczyła mnie wielu piosenek – powiedział z powagą. – Jest piosenkarką.

Vera zrobiła mi zdjęcie, a ja zarzuciłam sobie Monstrum na plecy.

– Do widzenia, Kyle. Do widzenia, Vero. Do widzenia, Spadająca Gwiazdo – zawołałam, idąc w stronę szlaku.

- Cheryl! – krzyknął Kyle, kiedy niemal zniknęłam mu z oczu.
- Zatrzymałam się i odwróciłam.
- Pies wabi się Miriam.
- Adios, Miriam – zawołałam.

Późnym popołudniem doszłam do zacienionego miejsca, gdzie stał stół piknikowy – rzadki luksus na szlaku. Podchodząc bliżej, zauważyłam, że na blacie leży brzoskwinia, a pod nią wiadomość:

Cheryl!
Wyłudziłyśmy to dla ciebie od turystów. Smacznego!
Sam i Helen

Byłam oczywiście zachwycona brzoskwinia – w moich fantazjach dotyczących jedzenia świeże owoce i warzywa miały podobny status jak lemoniada Snapple – ale jeszcze bardziej wzruszona byłam tym, że Sam i Helen zostawili ją dla mnie. Nie ulegało wątpliwości, że fantazjowali na temat jedzenia równie bujnie jak ja. Usiadłam na blacie stołu i zatopiłam zęby w owocu, a jego znakomity sok zdawał się docierać do każdej komórki w moim ciele. Dzięki brzoskwini na chwilę zapomniałam o tym, że moje stopy były pulsującą miazgą. Życzliwość, z jaką mi ją ofiarowano, złagodziła upał i monotonię dnia. Gdy tak siedziałam i jadłam, zdałam sobie sprawę, że nie będę w stanie podziękować Samowi i Helen za ten pyszny prezent. Byłam gotowa, by znów iść sama. Dziś miałam zamiar rozbić obóz w pojedynkę.

Kiedy wyrzuciłam pestkę, zobaczyłam, że otaczają mnie setki azalii w wielu odcieniach różu i bladego pomarańcza, a kilka delikatnych płatków dryfuje na wietrze. Podobnie jak brzoskwinia i zaśpiewana przez Kyle’a *Red River Valley*, były dla mnie jak prezent. Choć szlak był czasem nie do wytrzymania, nie było właściwie dnia, który nie przyniósłby czegoś, co w słowniku wędrowców z PCT określa się jako magię szlaku – niespodziewane i miłe zdarzenia, które stanowią chwile wytchnienia, kontrastujące wyraźnie ze stawianymi przez trasę wyzwaniami. Zanim wstałam, by założyć Monstrum na plecy, usłyszałam kroki i odwróciłam się. Szlakiem szła ku mnie sarna, najwyraźniej nieświadoma mojej obecności. Odezwałam się cicho, by jej nie przestraszyć, ale ona, zamiast uciec, zatrzymała się i popatrzyła na mnie, wężąc

w moim kierunku, nim znów ruszyła przed siebie. Z każdym krokiem przystawała, by ocenić, czy powinna iść dalej, aż w końcu znalazła się niecałe trzy metry ode mnie. Wyraz jej pyska był spokojny i zaciekawiony, a nos sięgał w moją stronę tak daleko, jak tylko miał odwagę. Siedziałam nieruchoma, przyglądając się jej, i nie czułam ani odrobiny strachu, jak podczas spotkania z lisem kilka tygodni wcześniej.

– Wszystko w porządku – szepnęłam do sarny, nie wiedząc, co powiem dalej, do chwili gdy słowa wyszły z moich ust. – Możesz się tu czuć bezpieczna.

Odezwała się i czar prysł. Sarna straciła zainteresowanie mną, choć nadal się nie spłoszyła. Podniosła jedynie głowę i odeszła przez azalie, delikatnie stawiając kopyta i podgryzając po drodze rośliny.

Przez kolejne kilka dni szłam sama to w górę, to w dół, mijając Etna Summit i wkraczając w Marble Mountains po uciążliwym marszu do Seiad Valley. Mijałam jeziora, nad którymi z powodu komarów musiałam wysmarować się grubą warstwą środka przeciw owadom, po raz pierwszy od rozpoczęcia wyprawy. Wkraczałam na turystyczne ścieżki, gdzie ludzie na jednodniowych wypadach informowali mnie o pożarach, które szalały na zachodzie, choć nadal nie dotarły do PCT.

Pewnego wieczoru rozbiłam obóz w porośniętym trawą miejscu, skąd widać było ślady tych pożarów: mglistą kurtynę dymu, spowijającą widok na zachód. Przez godzinę siedziałam na krześle i patrzyłam na krajobraz przy niknącym w dymie słońcu. Widziałam wiele zapierających dech w piersiach zachodów na PCT, ten jednak był najbardziej spektakularny, gdy rozmazane światło mieszało się z tysiącami odcieni żółci, różu, pomarańcza i fioletu nad falistą zieloną ziemią. Mogłam w tym czasie czytać *Dublińczyków* albo zasypiać szczelnie owinięta w śpiworze, ale tej nocy niebo było zbyt hipnotyzujące, by odejść. Patrząc na nie, zdałam sobie sprawę, że przekroczyłam już półmetek wędrówki. Byłam na szlaku od pięćdziesięciu paru dni. O ile wszystko będzie dalej szło zgodnie z planem, za kolejne pięćdziesiąt miałam zakończyć przygodę z PCT. Cokolwiek ma mi się tu przydarzyć, będzie już za mną.

Zanuciłam *Red River Valley*, choć pamiętałam tylko pierwsze wersy. Przypomniała mi się mała buzia i rączki Kyle'a oraz dźwięk jego nieskazitelnego głosu. Zastanawiałam się, czy kiedykolwiek zostanę mamą i w jakim „okropnym położeniu” znajdowała się mama Kyle'a, gdzie był jego ojciec i gdzie podziewał się

mój. Co robi w tej właśnie chwili? Czasami się nad tym zastanawiałam, ale nigdy nie byłam w stanie sobie tego wyobrazić. Nic nie wiedziałam o życiu własnego ojca. Był, ale pozostał niewidzialny, jak schowana w mroku bestia z lasu. Jak pożar, tak daleki, że jest tylko dymem.

Tym właśnie był mój ojciec: człowiekiem, który nie był mi ojcem. Za każdym razem mnie to zadziwiało. Ze wszystkich nieprawdopodobnych rzeczy to, że nie był w stanie mnie kochać, było najbardziej nieprawdopodobne. Tamtej nocy, kiedy patrzyłam na pogrążoną w ciemnościach ziemię w pięćdziesiątą którąś noc na PCT, zdałam sobie sprawę, że ojciec może przestać mnie już zadziwiać.

Na świecie było tyle innych wspaniałych rzeczy.

Otworzyły się we mnie jak rzeka. Jakbym nie wiedziała, że mogę wciągnąć w płuca powietrze i oddychać. Śmiałam się z czystej radości, a w następnej chwili płakałam pierwszymi łzami na PCT. Płakałam i płakałam, i płakałam. Nie płakałam ze szczęścia. Nie płakałam ze smutku. Nie płakałam ani z powodu mamy, ani ojca, ani Paula. Płakałam z przepełnienia. Przepełniało mnie pięćdziesiąt kilka trudnych dni na szlaku i 9760 dni, które nastąpiły wcześniej.

Przychodziłam. Odchodziłam. Kalifornia ciągnęła się za mną jak długi jedwabny szal. Nie czułam się jak straszna idiotka ani jak twardzielka, cholerna jej wysokość królowa Amazonek. Czułam się zawzięta, pokorna i wewnętrznie pozbierana, jakbym również była tu bezpieczna.

Część piąta

BOX OF RAIN

„Chodzę powoli, ale nigdy się nie cofam”.

Abraham Lincoln

„Powiedz, co zamierzasz wreszcie robić
z twoim jedynym zwariowanym i cennym życiem?”

Mary Oliver, *Letni dzień*
(tłum. Czesław Miłosz)

Rozdział 15

Box of Rain

Przedostatniej nocy spędzonej w Kalifornii obudziły mnie wiatr, mocno smagający gałęzie drzew, i krople deszczu spadające na namiot. Przez całe lato było tak sucho, że przestałam zakładać płachtę przeciwdeszczową, śpiąc tylko z szeroką płaszczyzną siatki oddzielającej mnie i niebo. Wyszłam bosą w ciemność, aby naciągnąć przeciwdeszczową warstwę, drżąc z zimna, choć był początek sierpnia. W dzień temperatura wynosiła ponad 30 stopni, czasem sięgała niemal 40, ale przy wietrze i deszczu pogoda gwałtownie się zmieniła. Wróciwszy do namiotu, włożyłam polarowe legginsy i kurtkę przeciwdeszczową, wczółgałam się do śpiwora i zasunęłam go pod szyję, ciasno ściągnając kaptur wokół twarzy. Kiedy obudziłam się o szóstej, mój mały termometr wskazywał 3 stopnie.

Szłam po wysokiej krawędzi grani, ubrana w większość rzeczy, które miałam. Za każdym razem, kiedy zatrzymywałam się na więcej niż pięć minut, robiło mi się tak zimno, że zaczynałam komicznie szczekać zębami, a gdy ruszałam dalej, znowu się pociłam. Wedle przewodnika w bezchmurne dni Oregon powinien być widoczny na północy, nie mogłam jednak niczego dostrzec przez gęstą mgłę, która ograniczała widoczność do 3 metrów przede mną. Nie musiałam widzieć Oregonu. Czułam przed sobą jego ogrom. Jeśli dotrę do Bridge of the Gods, przejdę całą jego długość. Kim będę, jeśli mi się to uda? Kim będę, jeśli mi się nie powiedzie?

Późnym rankiem z mgły wyłoniła się Stacy, która szła szlakiem na południe. Poprzedniego dnia wyruszyliśmy razem z Seiad Valley po nocy spędzonej w towarzystwie Rexa i dwóch par. Rano Rex złapał autobus powrotny do codziennego życia, a reszta z nas ruszyła dalej i rozdzieliła się po kilku godzinach. Byłam niemal pewna, że nie zobaczę już na szlaku żadnej z par, ale Stacy i ja postanowiłyśmy spotkać się w Ashland. Miała tam zostać parę dni i poczekać na swoją przyjaciółkę Dee, z którą razem zamierzała pokonać Oregon. Przestraszyłam się, widząc, jak wyłania się z mgły, jakby częściowo była kobietą, częściowo duchem.

– Wracam do Seiad Valley – powiedziała mi i wyjaśniła, że jest jej zimno, ma odciski na stopach, a poprzedniej nocy przemokła jej dolna część śpiwora i nie sądzi, że da radę wysuszyć go przed zmrokiem. – Pojadę do Ashland autobusem – powiedziała. – Kiedy dotrzesz na miejsce, poszukaj mnie w hostelu.

Uściskałyśmy się na pożegnanie i po paru sekundach pochłonęła ją mgła.

Następnego ranka obudziłam się wcześniej niż zwykle, pod niebem w najbledszym odcieniu szarości. Przeszło padać i powietrze zrobiło się cieplejsze. Kiedy zapinałam pasy Monstrum i opuszczałam obozowisko, czułam podekscytowanie. To były moje ostatnie kilometry w Kalifornii.

Znajdowałam się niecałe 1,5 kilometra od granicy, kiedy gałąź, która zwisała przy szlaku, zahaczyła o moją bransoletę Williama J. Crocketta i posłała ją prosto w gęstwinę krzaków. W panice zaczęłam szukać zguby między kamieniami, drzewami i krzakami, choć wiedziałam, że to przegrana sprawa. Nie odnajdę jej. Nie widziałam, w którą stronę poleciała. Wydała z siebie tylko cichy brzęk, kiedy odlatywała z mojego nadgarstka. Wydawało się absurdalne, że tracę bransoletę właśnie w tym momencie. Był to czytelny znak czekających mnie kłopotów. W myślach starałam się to tak obrócić, by strata symbolizowała coś dobrego – była oznaką rzeczy, których już dłużej nie potrzebowałam, albo symbolizowała pozbycie się metaforycznego ciężaru – ale ten pomysł szybko upadł i zaczęłam myśleć tylko o Williamie J. Crockecie, mężczyźnie z Minnesoty, który był mniej więcej w moim wieku, kiedy zginął w Wietnamie, którego szczątki nigdy nie zostały odnalezione i którego rodzina nadal bez wątpienia po nim rozpaczała. Moja bransoleta była najprawdziwszym symbolem zbyt wcześnie straconego życia. Wszechświat wchłonął je po prostu w swoją wygłodniałą, bezwzględną paszczę.

Nie pozostało mi nic innego, jak iść dalej.

Doszłam do granicy po kilku minutach zaledwie i zatrzymałam się, by chłonąć tę chwilę – Kalifornia i Oregon, początek i koniec, przyciśnięte do siebie. Tak doniosłe miejsce nie wyróżniało się niczym szczególnym. Znajdowała się tam tylko brązowa metalowa skrzynka, w której leżał rejestr szlaku, i znak z informacją: WASZYNGTON: 800 kilometrów. Żadnej wzmianki o Oregonie.

Wiedziałam jednak, czym jest te 800 kilometrów. Byłam w Kalifornii od dwóch

miesiące, ale wydawało mi się, że minęły lata od czasu, kiedy sama z plecakiem stałam na przełęczy Tehachapi i wyobrażałam sobie, że docieram do tego miejsca. Podeszłam do metalowej skrzynki, wyciągnęłam rejestr szlaku i przekartkowałam go, czytając wpisy z poprzednich tygodni. Znajdowały się tam zapiski kilku osób, których imion nigdy wcześniej nie widziałam, a także tych, których nie poznałam na szlaku, ale które wydawały mi się znajome, bo całe lato szłam ich śladem. Najnowsze wpisy były autorstwa par: Johna i Sarah oraz Helen i Sama. Pod ich radosnymi słowami wpisałam własne, tak wzruszona, że postanowiłam być zwięzła: „Udało mi się!”.

Oregon. Oregon. Oregon.

Dotarłam. Postawiłam pierwsze kroki, rozglądając się po majestatycznych szczytach gór: Mount Shasta na południu i niższym, lecz surowszym Mount McLoughlin na północy. Szłam po wysokiej grani, napotykając krótkie łąty zlodowaciałego śniegu, które pokonywałam dzięki kijkowi narciarskiemu. Widziałam krowy, które pasły się na zielonych górskich łąkach tuż przede mną, a ich wielkie kwadratowe dzwonki dźwięczały przy każdym ruchu.

– Witajcie, krowy z Oregonu – zawołałam do nich.

Tamtej nocy spałam pod jasnym, rześkim niebem, na którym wisiał bliski pełni księżyc. Otworzyłam *Czekając na barbarzyńców* J.M. Coetzee’ego, ale przeczytałam tylko kilka stron, bo nie mogłam się skupić. Myślami wędrowałam do Ashland. Nareszcie miasto było tak blisko, że w końcu mogłam pozwolić sobie na myślenie o nim. W Ashland były jedzenie, muzyka, wino i ludzie, którzy kompletnie nie wiedzieli, co to PCT. A co najważniejsze, miały tam być moje pieniądze, i to nie tylko moje zwykłe dwadzieścia dolarów. Do pudła nadanego do Ashland włożyłam czeki podróżne warte dwieście pięćdziesiąt dolarów, sądząc pierwotnie, że ta przesyłka przywita mnie na samym końcu podróży. Nie włożyłam do niej jedzenia ani żadnych zapasów, tylko czeki i ubranie z „prawdziwego świata” – moje ulubione wypłowiałe lewisy i dopasowany czarny T-shirt, nowy stanik z czarnej koronki i odpowiednie majtki. Miesiące wcześniej wydawało mi się, że to w tych ubraniach będę świętować koniec wyprawy i złapię okazję do Portland. Kiedy zmieniałam plany wędrowki, poprosiłam Lisę, by przełożyła pudełko z ubraniami do innej paczki z jedzeniem i zapasami i przeadresowała ją do Ashland zamiast któregoś

z przystanków, który ominęłam w Sierra Nevada. Nie mogłam się doczekać, kiedy otworzę pudełko i spędzę weekend w ubraniach nieturystycznych.

Dotarłam do Ashland następnego dnia w okolicach lunchu razem z grupą wolontariuszy AmeriCorps, którzy zabrali mnie ze szlaku.

– Słyszałaś najnowsze wieści? – zapytał mnie jeden z nich, kiedy już wpakowałam się do ich vana.

Pokręciłam głową, nie tłumacząc im, że przez ostatnie dwa miesiące nie słyszałam ani nowych, ani starych...

– Znasz Grateful Dead? – zapytał, a ja pokiwałam głową. – Jerry Garcia nie żyje.

Stałam na chodniku w środku miasta i nachyliłam się, by popatrzeć na zdjęcie Garcii w psychodelicznych kolorach, które widniało na pierwszej stronie lokalnej gazety, próbując coś przeczytać przez przezroczyste plastikowe okienko skrzynki z gazetami, zbyt splukana, by wysupłać pieniądze na własny egzemplarz. Lubiłam kilka piosenek Grateful Dead, ale nigdy nie kolekcjonowałam nagrań ich koncertów ani nie jeździłam za nimi po kraju, jak niektórzy znajomi. Mocniej odczułam śmierć Kurta Cobaina – jego smutny i gwałtowny koniec był przestrożą nie tylko przed ekscesami mojego pokolenia, ale i moimi własnymi. A jednak to śmierć Garcii wydawała się bardziej znacząca, jakby nie był to koniec chwili, ale ery, która trwała całe moje życie.

Z Monstrum na plecach szłam przez kilka przecznic do poczty, mijając ręcznie robione transparenty w sklepowych witrynach z napisami: „KOCHAMY CIĘ, JERRY”, „SPOCZYWAJ W POKOJU”. Ulice były ożywione obecnością dobrze ubranych turystów, którzy zjechali na weekend, oraz niepokornej młodzieży z południowej części Wybrzeża Północno-Zachodniego, zgromadzonej na chodnikach, emanującej z powodu najnowszej wiadomości intensywniejszą niż zwykle aurą.

– Hej – mówiło wielu z nich, mijając mnie, a niektórzy dorzucali na końcu „siostró”.

Byli wśród nich nastolatki i ludzie dorośli, wszyscy ubrani w stroje stawiające ich w jednym szeregu z hipisami/anarchistami/punkami/naćpanymi artystami.

Wyglądałam jak jedna z nich – zarośnięta, opalona, wytatuowana, obciążona całym swoim dobytkiem – i tak też pachniałam (a pewnie nawet gorzej, bo od prysznicza w Castle Crag, gdzie parę tygodni temu odcierpiałam kaca, nie miałam okazji porządnie się wykapać). A mimo to czułam się obca. Obca, jakbym przybyła tu z innej czasoprzestrzeni.

– Hej! – zawołałam zaskoczona, mijając jednego z milczących mężczyzn, którzy wyskoczyli z pick-upa przy jeziorze Toad, kiedy razem ze Stacy szukałyśmy Tęczowych Kręgów, ale odpowiedział mi tylko niepewnym skinieniem, najwyraźniej mnie nie pamiętając.

Dotarłam do poczty i weszłam do środka, uśmiechając się szeroko. Kiedy jednak podałam swoje nazwisko kobiecie za ladą, wróciła tylko z małą zaadresowaną do mnie kopertą. Nie było pudła. Nie było pudełka w pudle. Nie było lewisów, czarnego koronkowego stanika, dwustu pięćdziesięciu dolarów w czekach podróży ani jedzenia, którego potrzebowałam na kolejny odcinek, aż do przystanku w Parku Narodowym Jeziora Kraterowego.

– Powinna tu na mnie czekać paczka – powiedziałam, trzymając w dłoniach małą bąbelkową kopertę.

– Proszę przyjść jutro – odparła kobieta beznamiętnie.

– Jest pani pewna, że nic więcej nie ma? – wydukałam. – To znaczy... na pewno powinna tu już być.

Kobieta popatrzyła na mnie obojętnym wzrokiem. Ani trochę jej nie obchodziłam. Byłam brudną, cuchnącą niepokorną młodzieżą z południowej części Wybrzeża Północno-Zachodniego.

– Następny proszę – powiedziała, dając znak mężczyźnie stojącemu na początku kolejki.

Chwiejnym krokiem wyszłam na zewnątrz, spanikowana i wściekła. Znajdowałam się w Ashland w stanie Oregon i w kieszeni miałam tylko dwa dolary dwadzieścia dziewięć centów. Wieczorem musiałam zapłacić za miejsce w hostelu. Potrzebowałam jedzenia przed wyruszeniem w dalszą drogę. Ale najbardziej ze wszystkiego – po sześćdziesięciu dniach zmagania się z ciężkim plecakiem, jedzenia

suszonej żywności, która smakowała jak podgrzana tektura, i chodzenia to w dół, to w górę w zadziwiająco zróżnicowanych temperaturach, bez kontaktu z ludźmi czasem ponad tydzień – potrzebowałam, by w końcu coś poszło gładko. Choćby przez kilka dni. Błagam.

Poszłam do znajdującej się w pobliżu budki telefonicznej, ściągnęłam Monstrum, postawiłam je na ziemi i weszłam do środka. Ulżyło mi, gdy zamknęłam drzwiczki i miałam ochotę nigdy nie opuścić już tego małego przezroczystego pomieszczenia. Spojrzałam na bąbelkową kopertę. Była od Laury, mojej przyjaciółki z Minneapolis. Otworzyłam ją i wyciągnęłam zawartość: złożony list, w którym znajdował się naszyjnik zrobiony na cześć mojego nowego nazwiska. Masywne srebrne litery na łańcuszku z drobnych kuleczek układały się w „STRAYED”. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że na naszyjniku napisane jest „STARVED”, „wygłodniała” – bo litera Y różniła się nieco od pozostałych, grubsza i masywniejsza, odlana z innej formy. Mój mózg ułożył więc litery w znajome słowo. Założyłam naszyjnik i popatrzyłam na zniekształcone odbicie swojego dekoltu w połyskliwej metalowej obudowie telefonu. Podarek zawisł poniżej wisiora, który miałam na sobie od Kennedy Meadows: należącego niegdyś do mojej matki kolczyka z turkusem, oprawionego w srebro.

Podniosłam słuchawkę i spróbowałam dodzwonić się do Lisy na jej koszt, by zapytać o przesyłkę, ale nikt nie odebrał.

Przechadzałam się żałośnie ulicami, próbując niczego nie chcieć. Ani lunchu, ani muffinek i ciastek leżących w oknach wystawowych, ani latte w papierowych kubkach, które w swoich czystych dłoniach trzymali turyści. Poszłam do hostelu, żeby sprawdzić, czy zastanę tam Stacy. Mężczyzna za biurkiem poinformował mnie, że jej nie ma, ale wróci później – już się zameldowała na dzisiejszą noc.

– Też chce się pani zameldować? – zapytał, na co ja pokręciłam głową.

Weszłam do sklepu z żywnością ekologiczną, który niepokorna młodzież z południowej części Wybrzeża Północno-Zachodniego uczyniła swoim dziennym obozowiskiem i przed którym gromadziła się na trawnikach i chodniku. Niemal od razu zauważyłam kolejnego mężczyznę znad jeziora Toad – tego w opasce, przywódcę stada, który jak Jimi Hendrix mówił do wszystkich „malańka”. Siedział na chodniku niedaleko wejścia do sklepu, z kawałkiem tektury w dłoni: prośbą

o pieniądze wypisaną niedbale markerem. Przed nim stała puszka po kawie, a w środku kilka monet.

– Cześć – powiedziałam, zatrzymując się przed nim.

Poczułam się lepiej na widok znajomej twarzy, nawet jeśli należała do niego. Nadal miał na głowie dziwną, brudną opaskę.

– Siemasz – odpowiedział, oczywiście mnie nie pamiętając.

Nie poprosił mnie o pieniądze. Najwyraźniej widać było po mnie, że ich nie mam.

– Podróżujesz po okolicy? – zapytał.

– Wędruję Pacific Crest Trail – powiedziałam, myśląc, że sobie przypomni.

Pokiwał głową, niczego nie kojarząc.

– Dużo ludzi spoza miasta zjeżdża tu na upamiętnienie Deadów.

– A coś się będzie działo?

– Dzisiaj na pewno.

Zastanawiałam się, czy ostatecznie zwołał mini-Tęczowe Kręgi nad Jeziorem Kraterowym, jak mówił, ale nie zapytałam go.

– Trzymaj się – powiedziałam, odchodząc.

Klimatyzacja w sklepie wydała mi się czymś dziwnym na gołych rękach i nogach. Podczas kilku przystanków na szlaku byłam w paru sklepach wielobranżowych i niewielkich sklepikach dla turystów, ale nie w sklepie takim jak ten. Przechadzałam się alejkami i patrzyłam na rzeczy, których nie mogłam mieć, oszołomiona ich bezceremonialnym zatrzesieniem. Jakim cudem mogłam kiedykolwiek uważać te rzeczy za coś oczywistego? Słoiki ogórków i świeże bagietki zapakowane w papierowe torebki, butelki soku pomarańczowego i pudełka sorbetów, a przede wszystkim owoce i warzywa, które tak promiennie leżały w koszach, że niemal mnie oślepiały. Nie spiesząc się, zaczęłam je wachać – pomidory i główki masłowej sałaty, nektaryny i limonki. Z trudem zdołałam powstrzymać się od wsunięcia czegoś do kieszeni.

Poszłam do działu z kosmetykami, wycisnęłam na dłonie próbki balsamów i wtarłam kilka rodzajów w różne miejsca na ciele. Ich delikatne zapachy doprowadziły mnie niemal do omdlenia – brzoskwinia i kokos, lawenda

i mandarynka. Dumałam nad testerami szminek i umalowałam się jedną o nazwie Śliwkowa Mgła za pomocą naturalnego, organicznego, wykonanego z surowców wtórnych patyczka do uszu, który leżał w pobliżu w lekarskim szklanym słoju ze srebrną pokrywą. Odcisnęłam usta na naturalnej, organicznej, wykonanej z surowców wtórnych chusteczce i spojrzałam na swoje odbicie w okrągłym lustrze, które stało na podwyższeniu obok ekspozycji szminek. Wybrałam Śliwkową Mgłę, ponieważ jej odcień był zbliżony do koloru szminki, której używałam w normalnym, poprzedzającym PCT życiu, ale teraz wydawało mi się, że wyglądam jak klaun, a moje usta są pretensjonalne i szaleńczo kontrastują z bladą twarzą.

– Mogę w czymś pomóc? – odezwała się kobieta w babcinych okularach, z plakietką z napisem „JEN G.”.

– Nie, dziękuję – powiedziałam. – Tylko się rozglądam.

– Ładnie pani w tym odcieniu. Podkreśla pani błękitne oczy.

– Tak pani myśli? – zapytałam, nagle onieśmielona.

Spojrzałam na siebie w okrągłym lustrze, jakbym naprawdę się zastanawiała, czy nie kupić Śliwkowej Mgły.

– Ma pani ładny naszyjnik – powiedziała Jen G. – Starved. Zabawny napis.

Dotknęłam go palcami.

– Strayed. To moje nazwisko.

– Rzeczywiście – powiedziała Jen G., podchodząc bliżej, by dobrze się przyjrzeć. – Źle popatrzyłam. Ale i tak to zabawne.

– Jakby złudzenie optyczne – odparłam.

Poszłam do części delikatesowej i szorstką serwetką starłam z ust Śliwkową Mgłę, po czym zaczęłam studiować asortyment lemoniad. Ku mojemu zmartwieniu nie mieli Snapple. Za ostatnie pieniądze kupiłam naturalną, organiczną, świeżo wyciśniętą lemoniadę bez konserwantów i poszłam wypić ją przed sklepem. W podekscytowaniu, że dotarłam do miasta, zapomniałam o lunchu, wydostałam więc batonik proteinowy i trochę starych orzechów z plecaka i zjadłam je, jednocześnie zakazując sobie myśleć o tym, co mogłam dziś jeść w zamian: o sałatce Cezar z grillowaną pierśią kurczaka i koszykiem chrupiącej bagietki maczanej w oliwie

z oliwek oraz coli i banana split na deser. Wypiłam lemoniadę i gawędziłam z każdym, kto do mnie podszedł. Rozmawiałam z mężczyzną z Michigan, który przeniósł się do Ashland na studia, i z innym, który grał w zespole na perkusji, z kobietą, która zajmowała się garncarstwem i lepiła figurki bogiń, oraz z inną, która z europejskim akcentem zapytała mnie, czy wybieram się dziś wieczór na uroczystości upamiętniające Jerry'ego Garcię.

Podawała mi ulotkę, na której u góry napisane było „Ku pamięci Jerry'ego”.

– Jeśli zatrzymałaś się w hostelu, to klub znajduje się niedaleko – powiedziała. Była okrągła i ładna, płowe włosy miała upięte w luźny koczek z tyłu głowy. – My też podróżujemy z miejsca na miejsce – dodała, wskazując na mój plecak.

Nie wiedziałam, do kogo odnosi się liczba mnoga, aż do chwili, gdy pojawił się przy niej mężczyzna. Był jej fizycznym przeciwieństwem – wysoki i tak chudy, że samo patrzenie na niego bolało. Miał na sobie zakładaną rdzawoczerwoną spódnicę, która zwisała luźno, ledwie zasłaniając kościste kolana. Jego przykrótkie włosy były splecione w cztery, może pięć krótkich warkoczyków w różnych miejscach na głowie

– Przyjechałaś tu autostopem? – zapytał mężczyzna. Był Amerykaninem.

Wyjaśniłam im, że wędruję PCT i planuję zrobić sobie przerwę w Ashland na weekend. Na mężczyznę nie zrobiło to wrażenia, ale kobieta była zdumiona.

– Nazywam się Susanna i jestem ze Szwajcarii – powiedziała, biorąc mnie za rękę. – To, co robisz, nazywamy pielgrzymowaniem. Jeśli chcesz, pomasuję ci stopy.

– To bardzo miłe, ale naprawdę nie trzeba – powiedziałam.

– Ale ja chcę. To będzie dla mnie zaszczyt. Tak robią Szwajcarzy. Zaraz tu wrócę.

Odwróciła się i weszła do sklepu, a ja zawołałam za nią, że to bardzo miłe z jej strony, ale nie trzeba. Kiedy zniknęła, spojrzałam na jej chłopaka. W takiej fryzurze przypominał mi lalkę Kewpie.

– Naprawdę to lubi, więc nie masz się czym przejmować – powiedział, siadając koło mnie.

Kiedy Susanna wyłoniła się ponownie kilka minut później, w złączonych dłoniach trzymała przed sobą trochę aromatycznego olejku.

– Miętowy – powiedziała, uśmiechając się do mnie. – Ściągnij buty i skarpetki!

– Ale moje stopy... – powiedziałam z wahaniem. – Są w dość ciężkim stanie. I brudne...

– To moje powołanie! – krzyknęła, więc jej posłuchałam. Wkrótce wmasowywała we mnie obfite ilości miętowego olejku. – Masz bardzo silne stopy – powiedziała. – Jak zwierzę. Czuję ich siłę w dłoniach. Czuję też, jakie są zmalretowane. Widzę, że straciłaś paznokcie.

– Tak – mruknęłam, opierając się łokciami na trawie i zamykając oczy.

– Duchy kazały mi to zrobić – powiedziała, przyciskając kciuki do spodu moich stóp.

– Duchy?

– Tak. Kiedy cię zobaczyłam, duchy szepnęły mi, że mam ci coś dać, dlatego podeszłam do ciebie z ulotką. Wtedy zrozumiałam, że jest coś jeszcze. W Szwajcarii mamy ogromny szacunek dla ludzi, którzy pielgrzymują. – Rozmasowując palce jeden po drugim, spojrzała na mnie i zapytała: – Co oznacza twój naszyjnik? Że głodujesz?

Tak to się toczyło przez kilka kolejnych godzin, gdy siedziałam przed sklepem. Naprawdę byłam wygłodniała. Nie czułam się już sobą. Cała byłam pragnieniem, głodnym, zmarniałym stworzeniem. Ktoś dał mi wegańskiego muffina, ktoś inny sałatkę z komosy z dodatkiem winogron. Kilka osób podeszło, by przyjrzeć się z podziwem mojemu tatuażowi albo zapytać o plecak. Około szesnastej pojawiła się Stacy i powiedziałam jej, w jakiej jestem sytuacji. Zaproponowała, że pożyczy mi pieniądze, do czasu aż przyjdzie moje pudło.

– Jeszcze raz zapytam na pocztę – powiedziałam, przyjmując jej ofertę z bólem, choć jednocześnie byłam za nią ogromnie wdzięczna.

Wróciłam na pocztę i ustawiłam się w kolejce, z rozczarowaniem dostrzegając, że za ladą nadal stoi ta sama kobieta, która poinformowała mnie o braku przesyłki. Kiedy podeszłam do okienka, zapytałam o paczkę, jakby przed kilkoma godzinami wcale mnie tu nie było. Kobieta poszła na zaplecze i wróciła, niosąc ją w ramionach, po czym bez słowa przeprosin podsunęła mi ją na blacie.

– Czyli cały czas tu była – powiedziałam.

Nie obeszło jej to ani trochę. Odpowiedziała tylko, że musiała jej wcześniej nie zauważyć.

Po drodze do hostelu, gdy szłam ze Stacy, trzymając w rękach pudło, byłam zbyt uradowana, żeby się złościć. Zameldowałam się, a potem poszłam za Stacy schodami i przez dużą wspólną żeńską sypialnię do mniejszej oddzielonej wnęki, która znajdowała się pod skosem dachu. W środku stały trzy pojedyncze łóżka. Stacy zajmowała jedno, jej przyjaciółka Dee drugie, a trzecie zajęły dla mnie. Stacy przedstawiła mnie Dee i gdy rozpakowywałam pudło, chwilę porozmawialiśmy. W paczce znajdowały się czyste stare jeansy, nowy stanik i majtki oraz więcej pieniędzy niż kiedykolwiek miałam w posiadaniu od rozpoczęcia tej wyprawy.

Poszłam pod prysznic, stanęłam pod strumieniem gorącej wody i zaczęłam się szorować. Nie myłam się od dwóch tygodni, podczas których temperatury wahały się od 3 do prawie 40 stopni. Czułam, jak woda zmywa ze mnie warstwy potu, jakby były prawdziwymi warstwami skóry. Kiedy skończyłam, popatrzyłam w lustro na swoje nagie ciało. Wysmuklałam od czasu, gdy ostatnim razem się sobie przyglądałam, a moje włosy były jaśniejsze niż w dzieciństwie. Włożyłam nowy czarny stanik, majtki i T-shirt oraz spłowiałe lewisy, które teraz były na mnie za luźne, choć trzy miesiące temu mocno mnie opinały, wróciłam do wnęki i włożyłam buty. Nie były już nowe – zrobiły się brudne i ciepłe, ciężkie i bolesne – nie miałam jednak innej pary.

Podczas obiadu ze Stacy i Dee zamówiłam wszystko, na co miałam ochotę. Potem poszłam do sklepu obuwniczego i kupiłam sobie czarno-niebieską parę sportowych sandałów Merrell, w które powinnam się była zaopatrzyć przed wyprawą. Wróciliśmy do hostelu, ale kilka minut później Stacy i ja znów byliśmy na zewnątrz, w drodze na uroczystości upamiętniające Jerry'ego Garcię w pobliskim klubie, pozostawiając Dee, by mogła się trochę przespać. Usiadliśmy przy stoliku w niewielkiej, odgradzonej sznurami przestrzeni na granicy z parkietem. Zamówiliśmy białe wino i przyglądaliśmy się tańczącym kobietom w różnym wieku i o różnych kształtach oraz sporadycznie pojawiającym się między nimi mężczyznom, którzy kręcili się na parkiecie do puszczanych jedna po drugiej piosenek Grateful Dead. Za tańczącymi znajdował się ekran, na którym wyświetlano rozmaite obrazy –

jedne abstrakcyjne, jak psychodeliczne wiry, inne dosłowne, jak malowane obrazy przedstawiające Jerry'ego i jego zespół.

– Kochamy cię, Jerry! – krzyknęła kobieta przy stoliku obok, kiedy pojawił się jego wizerunek.

– Będiesz tańczyć? – zapytałam Stacy.

Pokręciła głową.

– Wracam do hostelu. Wyruszamy wcześniej rano.

– Ja jeszcze trochę zostanę – powiedziałam. – Obudź mnie, żebym mogła się z wami pożegnać, jeśli nadal będę spać.

Kiedy wyszła, zamówiłam kolejny kieliszek wina i siedziałam, słuchając muzyki i obserwując ludzi. Czułam głębokie szczęście, że w letni wieczór po prostu jestem w jednym pomieszczeniu z innymi ludźmi i słucham muzyki. Kiedy pół godziny później wstałam z zamiarem powrotu do hostelu, zaczęła się piosenka *Box of Rain*. To jeden z moich ulubionych kawałków tego zespołu, a ponieważ odrobinę szumiało mi w głowie, spontanicznie ruszyłam na parkiet i zaczęłam tańczyć, prawie od razu tego żałując. Po trudach wędrówki kolana zrobiły mi się sztywne, a biodra mało gibkie. Już miałam wyjść, gdy mężczyzna z Michigan, którego poznałam tego samego dnia, nagle znalazł się przy mnie. Najwyraźniej ze mną tańczył, bo gdy oddalał się ode mnie, za chwilę wracał, krążąc w pobliżu niczym hipisowski żyroskop. Palcami rysował przede mną w powietrzu pudełko i potakiwał do mnie, jakbym wiedziała, co to oznacza, więc uznałam, że ulotnienie się teraz byłoby niegrzeczne.

– Zawsze myślę o Oregonie, kiedy słyszę tę piosenkę – próbował przekrzyczeć muzykę, podczas gdy ja poruszałam ciałem w symulowanym tanie. – Chwytasz? – zapytał. – *Box of Rain*? Pudełko deszczu? W Oregonie ciągle leje.

Pokiwałam głową i zaśmiałam się, próbując sprawiać wrażenie, że dobrze się bawię, ale gdy tylko skończyła się piosenka, wzięłam nogi za pas i stanęłam blisko niskiego murku, który biegł wzdłuż baru.

– Hej – po jakimś czasie odezwał się do mnie męski głos, więc się odwróciłam.

Po drugiej stronie sięgającego do pasa murku stał mężczyzna z markerem i latarką w ręku – był pracownikiem klubu i najwyraźniej zajmował się częścią ze stolikami,

choć wcześniej go nie zauważyłam.

– Hej – odpowiedziałam.

Był przystojny i wydawał się odrobinę starszy ode mnie. Czarne loki sięgały mu ramion. Na jego koszulce widniał napis „WILCO”.

– Uwielbiam ten zespół – powiedziałam, wskazując T-shirt.

– Znasz go? Naprawdę? – zapytał.

– No pewnie, że tak – odparłam.

Jego oczy zmrużyły się w uśmiechu.

– Super – powiedział. – Jestem Jonathan. – I uściśnął mi dłoń.

Muzyka znów rozbrzmiała, zanim zdążyłam mu powiedzieć, jak mam na imię, on jednak nachylił się do mojego ucha i głośno zapytał, skąd jestem. Zdawał się wiedzieć, że nie mieszkam w Ashland. Prawie krzycząc, starałam się wyjaśnić na tyle zwięźle, na ile to było możliwe, swoją wędrówkę PCT, na co on znów nachylił się do mnie i wykrzyczał jakieś długie zdanie, którego nie mogłam rozszyfrować. Nie przeszkadzało mi to, bo jego usta cudownie muskały moje włosy, a oddech łaskotał mnie w szyję, aż czułam to w całym ciele.

– Co?! – krzyknęłam do niego, kiedy skończył, więc zrobił to jeszcze raz, tym razem mówiąc głośniej i wolniej.

Zrozumiałam, że późno dziś kończy, ale jutro wieczorem wychodzi o jedenastej i chciałby, żebym umówiła się z nim na wieczór i przyszła tu na koncert jakiegoś zespołu.

– Jasne! – odpowiedziałam, choć właściwie to chciałam, żeby powtórzył to raz jeszcze, by jego usta ponownie zrobiły to samo moim włosom i szyi.

Podał mi marker i pokazał na migi, że powinnam napisać na jego dłoni swoje imię i nazwisko, by mógł mnie umieścić na liście gości. „Cheryl Strayed” – napisałam tak wyraźnie, jak pozwalały mi drżące dłonie. Kiedy skończyłam, spojrzał na napis i pokazał mi uniesione kciuki, a ja pomachałam mu i wyszłam z klubu w rewelacyjnym nastroju.

Miałam randkę.

Naprawdę? Szłam ciepłymi ulicami, próbując przewidzieć, co się zdarzy. Może

mojego nazwiska nie będzie na liście. Może coś źle usłyszałam. Może niedorzeczne było umówienie się z kimś, z kim ledwie zamieniłam słowo i kogo główną zaletą był atrakcyjny wygląd i sympatia do Wilco. Robiłam wprawdzie gorsze rzeczy z facetami, o których wiedziałam bodaj jeszcze mniej, ale tym razem było inaczej. Zmieniłam się. Prawda?

Wróciłam do hostelu i przeszłam cicho pomiędzy łózkami nieznanymi mi pogrążonymi we śnie kobiet, do naszej małej wnęki pod skosem dachu, zdjęłam ubrania i położyłam się w najprawdziwszym łóżku, które tej nocy było tylko moje. Leżałam przytomna przez godzinę, gładząc dłońmi swoje ciało i zastanawiając się, jak by to było, gdyby następnego wieczora dotknął go Jonathan. Wzgórki moich piersi i równina brzucha, mięśnie nóg i szorstkie włosy pomiędzy nogami – wszystko wydawało się w miarę w porządku – kiedy jednak doszłam do otarcia na biodrach, które w dotyku sprawiały wrażenie skrzyżowania kory drzewa z oskubanym kurczakiem, zdałam sobie sprawę, że bez względu na okoliczności na jutrzejszej randce nie mogę ściągnąć przy Jonathanie spodni. Wszystko jedno. Bóg tylko wie, że wyskakiwałam z nich już zbyt wiele razy, zdecydowanie za dużo, by mi to mogło wyjść na zdrowie.

Następny dzień spędziłam, próbując wyperswadować sobie spotkanie z Jonathanem. Przez cały czas, gdy robiłam pranie, jadłam w restauracji i szwendałam się po ulicach miasta, obserwując ludzi, zadawałam sobie pytanie: „Jakie w ogóle ma dla mnie znaczenie przystojny fan Wilco?”. A mimo to cały czas wyobrażałam sobie, co się może między nami wydarzyć.

W tych marzeniach nadal miałam na sobie spodnie.

Wieczorem wzięłam prysznic, ubrałam się i poszłam do sklepu, żeby umalować się Śliwkową Mgłą i posmarować olejkami ylang-ylang z testerów, a potem powędrowałam do klubu i podeszłam do kobiety, która obsługiwała wejście.

– Być może jestem na liście – powiedziałam lekkim tonem i podałam jej swoje nazwisko, przygotowana na odmowę.

Kobieta bez słowa postawiła mi na dłoni czerwoną pieczęć.

Jonathan i ja zauważyliśmy się niemal od razu, kiedy weszłam do środka.

Pomachał mi z nieosiągalnego miejsca na podniesionej platformie, gdzie operował światłami. Zamówiłam lampkę wina i stałam, popijając ją w – miałam nadzieję – elegancki sposób i słuchając zespołu z miejsca przy niskim murku, gdzie poznałam Jonathana poprzedniego wieczoru. Był to dość znany zespół muzyki bluegrass z Bay Area. Zadedykowali piosenkę Jerry’emu Garcii. Muzyka była w porządku, ale nie mogłam się na niej skupić, bo bardzo starałam się wyglądać na zadowoloną i wyluzowaną, jak gdybym miała być w tym właśnie klubie i słuchać tego właśnie koncertu bez względu na to, czy Jonathan zaprosiłby mnie, czy nie, ale przede wszystkim próbowałam nie zerkać na niego bez przerwy, ale też patrzeć na niego, bo on patrzył na mnie za każdym razem, gdy ja patrzyłam, przez co martwiłam się, że pomyśli sobie, że cały czas na niego patrzę, bo jeśli tylko przypadkiem patrzyliśmy na siebie jednocześnie, a on wcale nie patrzył na mnie cały czas, tylko w chwilach, kiedy ja na niego zerkałam, mógłby się zacząć zastanawiać, dlaczego ja bez przerwy się na niego gapię. Wtedy postanowiłam nie popatrzeć na niego przez całe trzy bluegrassowe piosenki, z których jedna zawierała trwającą bez końca improwizację na flecie, aż zerwała się burza braw, a ponieważ nie mogłam tego wszystkiego dłużej znieść, spojrzałam na Jonathana i nie dość, że on też na mnie patrzył, to jeszcze do mnie pomachał.

Odmachałam.

Odwróciłam się i zamarłam w kompletnym bezruchu, wyprostowana jak struna, wyjątkowo świadoma własnej wyjątkowej urody, czując wzrok Jonathana na swoim w stu procentach umięśnionym tyłku i udach, piersiach podniesionych wysoko przez śliczny stanik pod dopasowaną koszulką, moich bardzo jasnych włosach i opalonej skórze, moich niebieskich oczach, których kolor podkreślała Śliwkowa Mgła. Uczucie to trwało prawie przez całą piosenkę, po której nastąpił całkowity zwrot, i zdałam sobie sprawę, że jestem ohydną poczwarą, ze skórą o fakturze kory drzewa skrzyżowanej ze zdechłym oskubanym kurczakiem na biodrach, zbyt opaloną, o zmęczonej twarzy, wysuszonych przez wiatr włosach i podbrzuszu, które – mimo tylu ćwiczeń, braku pożywienia i pasa plecaka, przez dwa miesiące ściskającego go ku, jak by się mogło zdawać, unicestwieniu – nadal miało bezsprzecznie okrągły kształt, chyba że je przytrzymałam albo leżałam. Z profilu mój nos był tak

wystający – jak pewnego razu zauważył jeden z moich przyjaciół – że przypominałam rekina. A moje usta – absurdałne, ostentacyjne usta! Dyskretnie przy głośnych dźwiękach muzyki przycisnęłam do nich dłoń i unicestwiłam Śliwkową Mgłę.

Dzięki Bogu, zespół zrobił sobie przerwę. Jonathan zjawił się przy mnie, troskliwie ściskając moją dłoń, mówiąc, że cieszy się, że przyszłam, i pytając, czy mam ochotę na jeszcze jeden kieliszek wina.

Nie miałam. Chciałam tylko, żeby nadeszła jedenasta, by mógł ze mną wyjść i bym mogła przestać się zastanawiać, czy jestem laską, czy maszkarą i czy to on patrzył na mnie, czy może myślał, że to ja patrzę na niego.

Nadal mieliśmy półtorej godziny.

– Co będziemy robić potem? – zapytał. – Jadłaś już?

Powiedziałam, że tak, ale jestem otwarta na propozycje. Nie wspomniałam, że jestem w stanie zjeść cztery dania pod rząd.

– Mieszkam na farmie upraw organicznych jakieś 25 kilometrów stąd. Fajnie wygląda, kiedy chodzi się po niej nocą. Moglibyśmy tam pojechać. Odwiozę cię, kiedy będziesz chciała.

– Dobrze – powiedziałam, przejeżdżając wisiorkiem z małego srebrnego kolczyka z turkusem po delikatnym łańcuszku. Wolałam nie zakładać naszyjnika „Strayed/Starved” na wypadek, gdyby Jonathan miał go błędnie odczytać. – Chyba wyjdę na chwilę zaczerpnąć powietrza – powiedziałam. – Ale wrócę o jedenastej.

– Super – powiedział, sięgając po moją dłoń, by znów ją uścisnąć, zanim wrócił na swoje stanowisko i zespół znów pojawił się na scenie.

Beztróskim krokiem szłam nocą przez miasto. Z mojego nadgarstka zwisał czerwony nylonowy woreczek, w którym zwykle trzymałam kuchenkę turystyczną. Większość tego typu woreczków i opakowań wyrzuciłam w Kennedy Meadows, nie chcąc dokładać sobie ciężaru, ten jeden postanowiłam jednak zatrzymać, w przekonaniu, że kuchenka potrzebuje ochrony. Na czas spędzony w Ashland zrobiłam sobie z niego torebkę, choć lekko załatywał paliwem. Wszystkie rzeczy w środku były zabezpieczone torebką strunową, która służyła mi za bardzo nieelegancki portfelik: pieniądze, prawo jazdy, balsam do ust i grzebień oraz karta od

pracowników hostelu, dzięki której miałam odzyskać Monstrum, kijek narciarski oraz pudło z żywnością z ich schowka.

– Czołem – powiedział mężczyzna, który stał na chodniku przed barem. – Podoba ci się koncert? – zapytał stłumionym głosem.

– Tak – odparłam, uśmiechając się do niego grzecznie.

Na oko wydawał się grubo po czterdziestce. Ubrany był w jeansy, szelki i spłowiały T-shirt. Miał długą kędzierzawą brodę do połowy torsu i proste siwe sięgające ramion włosy, które otaczały łysinę na czubku głowy.

– Przyjechałem z gór. Lubię tu wpaść, żeby czasem posłuchać muzyki – powiedział.

– Ja też. Miałam na myśli, że też przyszedłam z gór.

– Gdzie mieszkasz?

– Wędruję Pacific Crest Trail.

– A, tak – pokiwał głową. – PCT. Byłem kiedyś na tym szlaku. Mieszkam w innej stronie. Mam tipi, w którym spędzam cztery, czasem pięć miesięcy w roku.

– Mieszkasz w tipi? – zapytałam.

Pokiwał głową.

– Tak jest. Sam. Lubię to, ale czasem brakuje mi towarzystwa. Tak przy okazji, jestem Clyde. – Wyciągnął do mnie dłoń.

– Cheryl – odpowiedziałam, ściskając ją.

– Napijesz się ze mną herbaty?

– Dziękuję, ale czekam na znajomego, który właśnie kończy pracę.

Spojrzałam na drzwi klubu, jakby Jonathan miał się w każdej chwili zza nich wyłonić.

– Moja ciężarówka stoi tuż obok, więc właściwie nigdzie byśmy się nie oddalili – powiedział, pokazując starą mleczarską furgonetkę na parking. – Mieszkam w niej, kiedy nie śpiam w tipi. Od lat próbuję żyć jak odludek, ale czasem miło jest przyjechać posłuchać muzyki na żywo.

– Wiem, co masz na myśli – powiedziałam.

Polubiłam go i spodobało mi się jego delikatne usposobienie. Przypominał paru

znanych mi mężczyzn z północnej Minnesoty. Znajomych mamy i Eddiego. Byli poszukujący, serdeczni, nieprzystający do przyjętych standardów. Po śmierci mamy rzadko kiedy ich widywałam. Teraz czułam się tak, jakbym nigdy ich nie znała i miała już nigdy nie poznać. Wydawało mi się, że wszystko, co istniało tam, gdzie się wychowałam, było teraz tak daleko, że nie jestem w stanie tego odzyskać.

– Miło cię poznać, Cheryl – powiedział Clyde. – Nastawię wodę na herbatę. Jak już mówiłem, jeśli masz ochotę, to zapraszam.

– Jasne – powiedziałam od razu. – Chętnie się napiję.

Nigdy wcześniej nie widziałam domu zorganizowanego w ciężarówce, który nie wywołałby mojego zachwytu, i ciężarówka Clyde'a nie była wyjątkiem. Uporządkowany i ergonomicznie urządzony, elegancki i pomysłowy, swobodny i praktyczny. Znajdowały się w nim piecyk opalany drewnem i mała kuchnia, szereg świec i lampki choinkowe, które oświetlały pomieszczenie urokliwym światłem. Na trzech ścianach przyczepy znajdowały się półki pełne książek, do których przysunięte było szerokie łóżko. Zdjęłam swoje nowe sandały, położyłam się i zaczęłam ścigać książki z półek, podczas gdy Clyde przygotowywał herbatę. Miał książki o mnichach, ludziach, którzy żyli w jaskiniach, na kole podbiegunowym i w lasach Amazonii oraz na wyspach wzdłuż wybrzeża stanu Waszyngton.

– Z samodzielnie wyhodowanego rumianku – powiedział Clyde, nalewając do dzbanka świeżo zagotowanej wody.

Kiedy herbata się parzyła, zapalił kilka świec i usiadł koło mnie na łóżku, ja zaś, leżąc na brzuchu wsparta na łokciach, przeglądałam książkę o hinduistycznych bogach i boginiach.

– Wierzysz w reinkarnację? – zapytałam, gdy przyglądaliśmy się złożonym rycinom i czytaliśmy akapity o nich na stronie obok.

– Nie – odpowiedział. – Wierzę, że jesteśmy tu tylko raz i liczą się nasze obecne czyny. A ty w co wierzysz?

– Nadal próbuję do tego dojść – odparłam, biorąc z jego rąk gorący kubek.

– Mam dla nas coś jeszcze, jeśli masz ochotę. Coś, co zerwałem w lesie. – Wyciągnął z kieszeni sękaty korzeń, który wyglądał jak imbir, i pokazał mi go na

dłoni. – To opium do żucia.

– Opium? – zapytałam.

– No, prawie. Jest dużo łagodniejsze. Wprowadzi cię w stan rozluźniającego haju. Chcesz spróbować?

– Jasne – powiedziałam.

Odkroił kawałek i podał mi, potem odkroił kawałek dla siebie i włożył go do ust.

– Trzeba żuć? – zapytałam, na co on pokiwał głową.

Włożyłam do ust kawałek i zaczęłam gryźć. Miałam wrażenie, jakbym jadła drewno. Minęła chwila, zanim zdałam sobie sprawę, że może najbezpieczniej byłoby trzymać się z dala od opium i wszelkich innych korzeni oferowanych przez obcych mężczyzn, bez względu na to, jacy wydawali się mili i niegroźni. Wyplułam skrawek na dłoń.

– Nie smakuje ci? – zapytał, śmiejąc się i podsuwając mi mały kubek na śmieci, żebym mogła to wyrzucić.

Siedziałam u Clyde'a w ciężarówce, spędzając czas na rozmowie, aż do jedenastej. Wtedy odprowadził mnie pod wejście do klubu.

– Powodzenia w lasach – powiedział i uściskaliśmy się na pożegnanie.

Chwilę później pojawił się Jonathan i zaprowadził mnie do swojego samochodu, starego buicka skylarka, którego nazywał Beatrice.

– Jak było w pracy? – zapytałam.

Kiedy w końcu siedziałam przy nim, nie czułam się już tak zdenerwowana jak wtedy, kiedy obserwował mnie w barze.

– Dobrze – odpowiedział.

Gdy w ciemności wyjeżdżaliśmy z Ashland, opowiedział mi, jak wygląda życie na organicznej farmie, która była własnością jego przyjaciół. Mieszkał tam za darmo w zamian za pomoc w różnych pracach. Spojrzał na mnie. Jego twarz lekko oświetlał delikatny blask deski rozdzielczej. Skręcił w boczną drogę, a potem kolejną, aż w końcu kompletnie nie miałam pojęcia, gdzie się znajdujemy w stosunku do Ashland, a właściwie w stosunku do Monstrum. Żałowałam, że nie wzięłam go ze sobą. Nie znajdowałam się tak daleko od swojego plecaka, odkąd rozpoczęłam

wyprawę PCT, i teraz czułam się dziwnie. Jonathan skręcił na podjazd, minął śpiący dom, w którym rozszczękał się pies, i wjechał na polną drogę, która zawiodła nas pomiędzy rzędy kukurydzy i kwiatów, aż w końcu przednie światła oświetliły wielki kanciasty namiot wzniesiony na drewnianym podeście, przed którym Jonathan zaparkował.

– Tu mieszkam – powiedział i oboje wysiedliśmy.

Powietrze było chłodniejsze niż w Ashland. Zaczęłam dygotać i Jonathan objął mnie ramieniem w tak swobodny sposób, jakby robił to już setki razy. Przeszliśmy się między kukurydzą i kwiatami pod księżycem w pełni, rozmawiając o różnych zespołach i muzykach, których lubiliśmy oboje albo jedno z nas, i opowiadając sobie o koncertach, na których byliśmy.

– Trzy razy widziałem Michelle Shocked na żywo – powiedział Jonathan.

– Trzy razy?

– Raz jechałem na koncert w okropnej śnieżycy. Na widowni było może z dziesięć osób.

– Wow – powiedziałam, zdając sobie sprawę, że nie ma szans, bym powstrzymała się przed ściągnięciem spodni przed facetem, który widział Michelle Shocked trzy razy, bez względu na to, jak odrażająca była skóra na moich biodrach.

– Wow – odparł, patrząc na mnie w ciemności brązowymi oczami.

– Wow – powiedziałam.

– Wow – powtórzył.

Powiedzieliśmy tylko jedno słowo, ale nagle miałam mętlik w głowie. Najwyraźniej nie rozmawialiśmy już o Michelle Shocked.

– Co to za kwiaty? – zapytałam, wskazując kwitnące łądygi, które otaczały nas ze wszystkich stron, nagle przerażona, że Jonathan mnie pocałuje.

Nie żebym tego nie chciała. Chodziło o to, że od czasu, kiedy dwa miesiące temu pocałowałam Joego, nie całowałam już nikogo innego, a za każdym razem, gdy tak długo nikogo nie całowałam, nabierałam przekonania, że nie pamiętam, jak to się robi. Aby opóźnić pocałunek, wypytałam go o pracę na farmie i w klubie, skąd pochodzi i jaka jest jego rodzina, o jego ostatnią dziewczynę, jak długo byli razem

i dlaczego zerwali. Przez cały ten czas odpowiadał mi zdawkowo i nie zadawał żadnych pytań.

Nie miało to dla mnie większego znaczenia. Dobrze było czuć jego dłoń na moim ramieniu, a jeszcze lepiej, kiedy przesunął ją na talię. Gdy wróciliśmy na podest, na którym był rozbity namiot, Jonathan mnie pocałował i zdałam sobie sprawę, że rzeczywiście nie zapomniałam, jak się całować. Nagle wszystkie pytania, na które pobieżnie mi odpowiedział i których nie zadał, poszły w zapomnienie.

– To było naprawdę świetne – powiedział i uśmiechnęliśmy się do siebie w głupawy sposób, jak dwoje ludzi, którzy właśnie pocałowali się po raz pierwszy. – Cieszę się, że tu przyjechałaś.

– Ja też – odpowiedziałam.

Byłam w pełni świadoma dłoni Jonathana na mojej talii. Przez materiał koszulki czułam ciepło jego rąk i to, że palce lekko muskają krawędź moich jeansów. Staliśmy pomiędzy jego namiotem a samochodem. Mogłam wybrać jedną z dwóch opcji: swoje puste łóżko pod skosami dachu w hostelu w Ashland albo jego łóżko i jego towarzystwo.

– Popatrz na niebo – powiedział. – Na te gwiazdy.

– Piękne – powiedziałam, choć nie popatrzyłam w górę.

Zamiast tego rozglądałam się po ciemnym polu, którego granice wyznaczały maleńkie kropki światła: domy i farmy rozrzucone po dolinie. Myślałam o Clydzie, który w samotności pod tym samym niebem czytał dobre książki w swojej ciężarówce. Zastanawiałam się, w którym kierunku znajdował się PCT. Wydawał się bardzo daleko stąd. Zdałam sobie sprawę, że nie powiedziałam Jonathanowi nic więcej ponad kilka słów, które wykrzyczałam mu do ucha poprzedniego wieczoru. O nic mnie nie zapytał.

– Nie wiem, co to było – powiedział Jonathan. – Od razu, kiedy cię zobaczyłem, wiedziałem, że muszę do ciebie podejść i porozmawiać. Wiedziałem, że jesteś super.

– Ty też jesteś super – odpowiedziałam.

Pochylił się nade mną i znów mnie pocałował, a ja odwzajemniłam jego pocałunek z większym zaangażowaniem niż wcześniej. Staliśmy tak, całując się

i całując między jego namiotem i samochodem, otoczeni przez kukurydzę, kwiaty, pod gwiazdami i księżycem, i miałam wrażenie, że to najmiłsza rzecz na świecie: biec dłońmi przez jego kręcone włosy i przesuwając je dalej, na jego szerokie ramiona, wzdłuż silnych rąk i wokół muskularnych pleców, przyciskając jego cudowne ciało do mojego. Za każdym razem, kiedy to robiłam, przypominałam sobie, jak bardzo kocham mężczyzn.

– Chcesz wejść do środka? – zapytał Jonathan.

Kiwnęłam głową. Jonathan kazał mi chwilę poczekać, aż włączy światło i ogrzewanie. Wyłonił się po chwili, przytrzymując dla mnie otwartą klapę namiotu, więc weszłam do środka.

Ten namiot nie przypominał namiotów, w których wcześniej przebywałam. Był jak luksusowy apartament – ogrzewany niewielkim grzejnikiem i na tyle wysoki, że można było stać w nim prosto, z wystarczającą ilością miejsca, by po nim chodzić, i z ogromnym podwójnym łóżkiem ustawionym na środku. Po obu stronach stały małe kartonowe komody, na których znajdowały się lampiony na baterie w kształcie świec.

– Uroczo – powiedziałam, stając przy Jonathanie w niewielkiej przestrzeni pomiędzy wejściem i końcem łóżka.

Przyciągnął mnie do siebie i znów się pocałowaliśmy.

– Śmiesznie się czuję, pytając o to – powiedział po chwili. – Nie chcę niczego zakładać, bo nie mam nic przeciwko, gdybyśmy mieli dziś tylko rozmawiać, co byłoby naprawdę super, albo gdybyś chciała, żebym zabrał cię z powrotem do hotelu, nawet teraz, choć mam nadzieję, że nie chcesz. Ale... zanim, to znaczy, nie musimy tego koniecznie robić, ale na wszelki wypadek, gdybyśmy... nie mam niczego, to znaczy żadnych chorób, nic z tych rzeczy... ale gdybyśmy mieli... Masz może prezerwatywę?

– A ty nie masz? – zapytałam zdziwiona.

Pokręcił głową.

– Ja na pewno nie mam – powiedziałam i wydało mi się to ironią losu.

W końcu niosłam ze sobą kondom przez pałacy żar pustyni, skute lodem zbocza gór, przez lasy, góry i rzeki, i przez wszystkie okupione bólem, uciążliwe

i emocjonujące dni, by znaleźć się tu, w podgrzewanym luksusowym namiocie z podwójnym łóżkiem i zasilanymi bateriami lampionami w kształcie świec, wpatrując się w oczy przystojnego, uroczego, egocentrycznego, brązowookiego fana Michelle Shocked, bez prezerwatywy tylko dlatego, że na biodrach mam dwie łaty wielkości dłoni, pokryte bardzo szorstką skórą, i tak solennie obiecałam sobie nie ściągać spodni, że celowo zostawiłam go w apteczce w plecaku, w mieście położonym Bóg wie gdzie, zamiast zrobić rzecz rozsądną, racjonalną i realistyczną i włożyć go do mojej pseudotorebki, która pachniała paliwem.

– W porządku – szepnął, ujmując mnie za dłonie. – Możemy tylko rozmawiać. Właściwie możemy tu robić bardzo wiele rzeczy.

Znów zaczęliśmy się całować. I całować, i całować, i całować. Jego dłonie błądziły wszędzie po moich ubraniach, a moje po jego.

– Chcesz ściągnąć bluzkę? – szepnął po pewnym czasie, na chwilę się ode mnie odrywając.

Roześmiałam się, bo rzeczywiście chciałam ją zdjąć. Patrzył na mnie ubraną w stanik z czarnej koronki, który zapakowałam wiele miesięcy temu, bo pomyślałam wtedy, że kiedy dotrę do Ashland, będę miała ochotę go włożyć. Znów się zaśmiałam, kiedy sobie to przypomniałam.

– Co cię tak rozbawiło? – zapytał.

– Nic, tylko... podoba ci się mój stanik? – zaczęłam się poruszać, jakbym chciała go lepiej zaprezentować. – Przebył długą drogę.

– Bardzo się cieszę, że tu dotarł – powiedział i niezwykle delikatnie dotknął palcem jednego z ramiączek, blisko mojego obojczyka.

Zamiast, jak się spodziewałam, ściągnąć mi je, prześledził palcami górne krawędzie miseczek, a potem dolne wykończenie. Patrzyłam na niego, gdy to robił. Wydawało się to bardziej intymne niż pocałunki. Kiedy skończył obrysowywać palcem kształt całości, choć ledwie mnie dotykał, byłam tak wilgotna, że ledwie mogłam stać.

– Chodź do mnie – powiedziałam, przyciągając go do siebie i padając na łóżko, jednocześnie zrzucając ze stóp sandały.

Nadal byliśmy ubrani w jeansy, ale Jonathan ściągnął z siebie koszulę, rozpiął mi stanik i rzucił go w róg namiotu. Całowaliśmy się i kotłowaliśmy na łóżku w sięgającym zenitu podnieceniu, aż się zmęczyliśmy i położyliśmy się obok siebie spokojnie, nadal się całując. Jego dłonie przewędrowały od moich włosów do piersi i niżej, do talii, aż w końcu rozpiął mi jeansy. Wtedy przypomniałam sobie o ohydnych płatach skóry na biodrach i odsunęłam się od niego.

– Przepraszam – powiedział. – Myślałem, że chcesz...

– Nie o to chodzi. Widzisz... Powinieneś o czymś wiedzieć.

– Jesteś mężatką?

– Nie – powiedziałam, choć chwilę mi zajęło uświadomienie sobie, że mówię prawdę. Paul jak błyskawica pojawił się w mojej głowie. Paul. I nagle usiadłam. – A ty? – zapytałam, odwracając się do Jonathana, który leżał za moimi plecami.

– Nie mam ani żony, ani dzieci – odpowiedział.

– Ile masz lat? – zapytałam.

– Trzydzieści cztery.

– Ja dwadzieścia sześć.

Siedzieliśmy, rozważając te informacje. To, że ma trzydzieści cztery lata, wydawało mi się egzotyczne i idealne. I choć nie zapytał mnie absolutnie o nic, miałam przynajmniej wrażenie, że jestem w łóżku z facetem, który nie jest już chłopcem.

– Co mi chcesz powiedzieć? – zapytał i położył dłoń na moich nagich plecach.

Zadałam sobie sprawę, że drzę. Zastanawiałam się, czy też to czuje.

– Chodzi o coś, czym jestem bardzo skrupowana. Skóra na moich biodrach jest jakby... Pamiętasz, jak wczoraj wieczorem powiedziałam ci, że jestem w trakcie wędrówki PCT? Muszę cały czas chodzić z plecakiem i w miejscu, gdzie pas ociera się o skórę, stała się ona... – chciałam to jakoś wyjaśnić, unikając sformułowania „kora drzewa skrzyżowana ze skórą oskubanego kurczaka” – stwierdzała. Jakby zrogowaciała od tak długiej wędrówki. Nie chcę po prostu, żebyś przeżył szok...

Przerwałam, bo zaparło mi dech, a moje słowa pochłonęła czysta przyjemność dotyku jego ust nisko na moich plecach. Jego dłonie znalazły się z przodu, by

dokończyć rozpinania moich jeansów. Usiadł, przytulając się do mnie nagim torsem, i odgarnął mi włosy, by pieścić moją szyję i ramiona, aż w końcu odwróciłam się i pociągnęłam go na siebie, jednocześnie próbując zrzucić z siebie jeansy. Jonathan całował mnie całą: od ucha, przez szyję, obojczyk, piersi, aż do pępka i koronki majtek, które lekko zsunął, torując sobie drogę do płatów skóry na moich biodrach, których, miałam nadzieję, nie dotknie.

– Skarbie – szepnął, pieszcząc delikatnymi wargami najtwardsze części mnie. – Nie musisz się niczym przejmować.

Było miło. Więcej niż miło. Jakby w namiocie odbywał się festiwal. Usnęliśmy o szóstej i obudziliśmy się dwie godziny później, wyczerpani, ale przytomni, nasze ciała były zbyt rozstrojone, by dłużej spać.

– Mam dziś wolne – powiedział Jonathan, siadając na łóżku. – Chcesz pojechać na plażę?

Zgodziłam się, choć nie wiedziałam, gdzie ta plaża się znajduje. Ja też miałam wolne. W drogę do Jeziora Kraterowego postanowiłam wyruszyć dopiero następnego dnia. Ubraliśmy się i pojechaliśmy długą, zakręcającą łukiem drogą, która kilka godzin prowadziła przez lasy i góry nad wybrzeżem. Napiliśmy się kawy, zjedliśmy drożdżowe bułeczki i słuchaliśmy muzyki w trakcie jazdy, trzymając się tej samej zawężonej rozmowy, którą prowadziliśmy poprzedniego wieczoru – muzyka najwyraźniej była jedynym tematem, na który mogliśmy rozmawiać. Kiedy zatrzymaliśmy się w położonym na wybrzeżu miasteczku Brookings, w dużej mierze żałowałam naszej wycieczki. Nie chodziło tylko o to, że moje zainteresowanie Jonathanem słabło, ale też o fakt, że jechaliśmy tu przez trzy godziny. Przebywanie tak daleko od szlaku wydawało mi się dziwne, jakbym go zdradzała.

Wspaniała plaża przytłumiła to uczucie. Gdy szłam z Jonathanem brzegiem oceanu, uświadomiłam sobie, że kiedyś już tu byłam. Z Paulem. Rozbiliśmy wtedy namiot na znajdującym się w pobliżu kempingu należącym do parku stanowego. Odbywaliśmy wtedy naszą długą ponowojorską podróż – tę, podczas której zobaczyliśmy Wielki Kanion, Las Vegas, Big Sur i San Francisco i która ostatecznie zawiodła nas do Portland. Po drodze zatrzymaliśmy się na tej plaży. Rozpaliliśmy

ogień, ugotowaliśmy posiłek i graliśmy w karty przy stole piknikowym, a potem wsiedliśmy na tył pick-upa, żeby się kochać na materacu, który tam woziliśmy. To wspomnienie było namacalne, jak ubrania na mojej skórze. Zastanawiałam się, kim byłam, gdy byliśmy tu z Paulem, co uważałam, że się stanie, co się rzeczywiście stało, kim byłam teraz i jak wszystko się zmieniło.

Jonathan nie zapytał, o czym myślałam, choć na jakiś czas zamilkłam. Szliśmy razem przed siebie, mijając tylko kilka osób, choć było niedzielne popołudnie. W końcu na wybrzeżu zostaliśmy tylko my.

– Może tu? – zapytał Jonathan, kiedy dotarliśmy do miejsca, które z tyłu otaczały ciemne głazy.

Przyglądałam się, jak rozkłada koc, stawia na nim torbę z kupionymi po drodze produktami na lunch i siada.

– Jeśli nie masz nic przeciwko, chciałabym przejść się trochę dalej – powiedziałam, pozostawiając przy kocu sandały.

Miło było zostać samej, poczuć wiatr we włosach i kojący piasek pod stopami. Po drodze zbierałam ładne kamyczki, których i tak nie mogłam zabrać później ze sobą. Kiedy odeszłam na tyle daleko, że nie mogłam dostrzec w oddali sylwetki Jonathana, napisałam na piasku imię Paula.

Robiłam to już tyle razy, robiłam to całymi latami – za każdym razem, kiedy byłam na plaży, po tym jak się zakochałam w Paulu, gdy miałam dziewiętnaście lat, obojętne, czy byliśmy razem, czy nie. Teraz jednak, kiedy napisałam jego imię, wiedziałam, że robię to po raz ostatni. Nie chciałam go już więcej ranić, zastanawiać się, czy popełniłam błąd, zadręczać się wszystkimi krzywdami, które mu wyrządziłam. A gdybym sobie wybaczyła? Gdybym sobie wybaczyła, mimo że zrobiłam coś, czego nie powinnam? Co jeśli byłam kłamczuchą i oszustką i nie miałam żadnego usprawiedliwienia poza tym, że zrobiłam, co chciałam i potrzebowałam zrobić? Co jeśli było mi przykro, ale gdybym mogła cofnąć czas, zrobiłabym wszystko dokładnie tak samo? Co jeśli naprawdę chciałam pieprzyć się z tymi wszystkimi mężczyznami? Co jeśli heroina czegoś mnie nauczyła? Co jeśli „tak” było właściwą odpowiedzią, a nie „nie”? Co jeśli wszystko, co zrobiłam i co wszyscy uznali za takie złe, miało mnie doprowadzić do tego miejsca? Co jeśli

miałam nigdy nie odkupić swoich win? Co jeśli już to zrobiłam?

– Chcesz je? – zapytałam Jonathana, kiedy wróciłam i wyciągnęłam do niego dłonie pełne kamieni.

Uśmiechnął się, pokręcił głową i patrzył, jak rzucam je z powrotem na piasek.

Usiadłam koło niego na kocu, a on wyciągnął rzeczy z torby z zakupami: bajgle i ser, małe opakowanie miodu, banany i pomarańcze, które dla nas obrał. Jadłam to wszystko, aż Jonathan palcem całym w miodzie posmarował mi usta i scałował z nich słodycz, na końcu lekko mnie gryząc.

Tak rozpoczęła się nasza miodowa nadmorska fantazja. On, ja, miód, do którego w nieunikniony sposób dostało się trochę piasku. Moje wargi, jego wargi na wewnętrznej stronie mojego ramienia, wędrujące aż do piersi. Przez szeroką płaszczyznę jego nagich ramion aż do sutków, pępka i po krawędzi spodenek, aż w końcu nie mogłam już tego dłużej znieść.

– Wow – jęknęłam, bo to wydawało się naszym słowem.

Oznaczało to wszystko, czego nie powiedziałam: jak na faceta, który nie potrafi podtrzymać rozmowy, w łóżku nie miał sobie równych. A ja jeszcze z nim nie spałam.

Bez słowa wyciągnął z torby opakowanie prezerwatyw i otworzył je. Kiedy wstał, wziął mnie za rękę i pociągnął za sobą. Pozwoliłam, żeby poprowadził mnie między skały, które tworzyły zatoczkę. Znaleźliśmy między nimi coś na kształt prywatnej plaży – zakątek pomiędzy ciemnymi kamieniami w jasnym świetle dnia. Nie kręcił mnie seks na łonie natury. Byłam przekonana, że istnieje na świecie kobieta, która wolałaby zrobić to na zewnątrz, niż mieć ochronę choćby prowizorycznego szałasu, ale nigdy jej nie poznałam. Tego dnia stwierdziłam, że schronienie skał wystarczy. W końcu przez ostatnie dwa miesiące wszystko inne też robiłam na zewnątrz. Ściągnęliśmy z siebie ubrania i gołą pupą oparłam się o skałę, oplatając go nogami. Po chwili Jonathan odwrócił mnie, a ja chwyciłam się kamienia. Poza resztkami zapachu miodu otaczał nas mineralny zapach soli i piasku i tatarakowy zapach mchu i planktonu. Nie minęło wiele czasu, a zapomniałam o tym, że jestem na zewnątrz, zapomniałam o miodzie i o tym, czy zadał mi choć jedno pytanie, czy nie.

Nie pozostało nam dużo do powiedzenia, kiedy jechaliśmy z powrotem do Ashland. Byłam tak zmęczona od seksu i niedospania, od piasku, słońca i miodu, że i tak ledwie mogłam mówić. W drodze do hostelu, gdzie bez ceregieli mieliśmy zakończyć naszą dwudziestodwugodzinną randkę, oboje byliśmy cisi i spokojni, pozwalając Neilowi Youngowi niezakłócenie rozbrzmiewać z głośników.

– Dzięki za wszystko – powiedziałam, całując Jonathana.

Było już po zmroku, gdy dotarliśmy na miejsce. W niedzielę miasto było dużo cichsze niż poprzedniego wieczoru, jakby z odpływem turystów ogarnęło je ukojenie.

– Twój adres – powiedział, podsuwając mi świstek papieru i długopis.

Napisałam adres Lisy, czując, jak wzrasta we mnie coś, co nie było ani smutkiem, ani żalem, ani tęsknotą, tylko mieszanką tego wszystkiego. Spędziłam niezaprzeczalnie wspaniałe chwile, ale teraz czułam pustkę. Jakby istniało coś, czego bardzo pragnęłam, ale zdałam sobie z tego sprawę dopiero, gdy mi tego nie dano.

Podałam mu świstek papieru.

– Nie zapomnij torebki – powiedział, podnosząc mój czerwony woreczek.

– Pa – pożegnałam się, odbierając go i ruszając do drzwi.

– Nie tak szybko – powiedział, przyciągając mnie do siebie.

Pocałował mnie mocno, a ja odwzajemniłam pocałunek jeszcze zachłanniej, jakby to był koniec ery, która trwała całe moje życie.

Następnego ranka włożyłam turystyczne ubrania – ten sam stary poplamiony sportowy stanik, wytarte granatowe szorty, które miałam na sobie od pierwszego dnia, razem z nową parą wełnianych skarpetek i ostatnią świeżą koszulką, którą miałam nosić aż do końca wyprawy – wrzosowoszarą podkoszulkiem z żółtym napisem „UNIWERSYTET BERKLEY W KALIFORNII” na środku. Z Monstrum na plecach, kijkiem narciarskim zwisającym mi z nadgarstka i pudłem w dłoniach poszłam do sklepu i zajęłam cały stolik w części garmazeryjnej, żeby porządnie się spakować.

Kiedy skończyłam, starannie zapakowane Monstrum stało przy mnie tuż obok małego pudełka z jeansami, stanikiem i majtkami, które chciałam wysłać z powrotem do Lisy, oraz reklamówki pełnej posiłków, których nie byłam w stanie już dłużej jeść, a które opuszczając miasto, zamierzałam zostawić w znajdującym się przed pocztą

puddle z darmowymi rzeczami dla wędrowców z PCT. Park Narodowy Jeziora Kraterowego był moim kolejnym przystankiem, oddalonym o jakieś 180 kilometrów. Musiałam wrócić na PCT, ale jednocześnie niechętnie opuszczałam Ashland. Przekopałam się przez plecak, znalazłam naszyjnik z napisem „Strayed” i założyłam go. Dotknęłam dłonią kruczego pióra, które dostałam od Douga. Nadal było wetknięte tam, gdzie umieściłam je na początku, ale zniszczyło się i potargało. Rozsunęłam boczną kieszonkę, w której znajdowała się apteczka, wyciągnęłam ją i otworzyłam. Prezerwatywa, którą miałam ze sobą od Mojave, nadal tam była, wciąż jak nowa. Wzięłam ją i włożyłam do reklamówki razem z jedzeniem, którego nie chciałam, po czym zarzuciłam sobie Monstrum na plecy i wyszłam ze sklepu z reklamówką i pudłem w dłoniach.

Nie uszłam daleko, kiedy zobaczyłam mężczyznę z opaską na włosach, którego spotkałam nad jeziorem Toad. Siedział na chodniku z puszką po kawie i małą tekturową tabliczką.

– Opuszczam miasto – powiedziałam, zatrzymując się przed nim.

Podniósł wzrok i pokiwał głową, Nadal najwyraźniej mnie nie pamiętał – ani z naszego spotkania przy jeziorze, ani ze spotkania parę dni temu.

– Poznaliśmy się, kiedy szukaliśmy Tęczowych Kręgów – powiedziałam. – Byłam z jeszcze jedną dziewczyną, Stacy. Rozmawialiśmy.

Jeszcze raz pokiwał głową, potrząsając drobnymi w puszcze.

– Jeśli chcesz, mam trochę niepotrzebnego jedzenia – powiedziałam, kładąc przed nim reklamówkę.

– Dzięki, maleńka – powiedział, kiedy ruszyłam przed siebie.

Zatrzymałam się i odwróciłam.

– Hej – zawołałam. – Hej! – krzyczałam, aż na mnie spojrział. – Nie mów do mnie „maleńka” – powiedziałam.

Złożył razem dłonie jak do modlitwy i skinął głową.

Rozdział 16

Mazama

Jeziro Kraterowe było kiedyś górą. Nazywano ją wtedy Mount Mazama. Niewiele różniła się od łańcucha uspiomych wulkanów, które mijalam na PCT w Oregonie – Mount McLoughlin, wierzchołków Trzech Sióstr, Mount Washington, Three Fingered Jack, Mount Jefferson i Mount Hood – oprócz tego, że była od nich większa, sięgając 3700 metrów. Jakieś 7700 lat temu nastąpiła katastrofalna erupcja Mount Mazama, czterdzieści dwa razy mocniejsza niż ta, która ścięła głowę Mount St. Helen w 1980 roku. Była to najgwałtowniejsza erupcja w Górach Kaskadowych w ciągu miliona lat. W wyniku destrukcji Mazamy popiół i pumeks spowiły obszar na przestrzeni ponad 1 300 000 kilometrów kwadratowych, pokrywając niemal cały Oregon, a nawet sięgając po Albertę w Kanadzie. Klamatowie, plemię rdzennych Amerykanów, którzy byli świadkami wybuchu, uznali, że to, co się stało, było efektem zaciętej walki pomiędzy duchem podziemi Llao i duchem nieba Skellem. Kiedy bitwa się zakończyła, Llao trafił z powrotem do swojej krainy, a Mount Mazama stała się pustą misą. Jest to kaldera – jakby odwrócona góra. Góra, której wyrwano serce. Powoli przez setki lat kaldera wypełniała się wodą, zbierała oregoński deszcz i stopniały śnieg, aż przeistoczyła się w jezioro, którym jest dziś. Osiągając maksymalną głębokość około 580 metrów, Jezioro Kraterowe jest najgłębszym jeziorem w Stanach Zjednoczonych i jednym z najgłębszych na świecie.

Ponieważ pochodzę z Minnesoty, znam się na jeziorach, jednak wychodząc z Ashland, nie mogłam sobie wyobrazić, co zobaczę nad Jeziorem Kraterowym. Wyobrażałam sobie, że będzie wyglądało jak Jezioro Górne, nieopodal którego umarła moja mama, ciągnące się lazurem aż po horyzont. Przewodnik zapowiadał jedynie, że moją pierwszą reakcją, kiedy zobaczę taflę jeziora z krawędzi ponad 250 metrów nad lustrem wody, będzie całkowite niedowierzenie.

Miałam teraz nowy przewodnik. Nową biblię. *The Pacific Crest Trail*, tom 2: *Oregon and Washington*, choć jeszcze w sklepie w Ashland wydarłam z niego

ostatnie sto trzydzieści stron, bo nie potrzebowałam części o Waszyngtonie. Pierwszego wieczora poza Ashland, zanim położyłam się spać, przekartkowałam całą książkę, czytając fragmenty to tu, to tam, tak samo jak na pustyni pierwszej nocy na PCT przejrzałam przewodnik po Kalifornii.

Podczas pierwszych kilku dni marszu po opuszczeniu Ashland kilkakrotnie zobaczyłam na południu Mount Shasta, ale większość czasu spędzałam, idąc przez lasy, które zasłaniały widok. Wędrowcy często nazywali tę część PCT „zielonym tunelem”, bo oferowała dużo mniej rozległych widoków niż odcinek kalifornijski. Nie miałam już wrażenia, że przycupnęłam gdzieś wysoko i patrzę na wszystko z góry. Dziwnie się czułam, nie mogąc spojrzeć na rozpościerający się wokół teren. Kalifornia rozszerzyła moją perspektywę, a Oregon znów ją zawęził. Szłam przez lasy dostojnych, potężnych daglezji, przepychając się przez zarośla otaczające jeziora, przez trawę i osty, które miejscami zarastały szlak. Wkroczyłam na teren lasów państwowych Rouge River i szłam w cieniu olbrzymich starych drzew, po których następowały obszerne karczowiska, podobne do tych, które widziałam już kilka tygodni wcześniej – ogromne przestrzenie pełne pni i korzeni wyrwanych z ziemi podczas wycinania gęstego lasu. Spędziłam całe popołudnie zagubiona wśród ruin tego rumowiska, zanim po wielu godzinach natrafiłam na asfaltową drogę, którą dotarłam do PCT.

Dzień był słoneczny, bezchmurny, ale powietrze chłodne, i z każdym dniem spędzonym w rezerwacie przyrody Sky Lakes, gdzie szlak biegł na wysokości ponad 1800 metrów, stawało się coraz chłodniejsze. Gdy szłam linią grzbietową pełną wulkanicznych skał i głazów, znów zaczęły rozpościerać się przede mną widoki, od czasu do czasu ukazując jeziora poniżej szlaku i otaczające je tereny. Mimo słońca miałam wrażenie, że jest wczesny październikowy poranek, a nie popołudnie w połowie sierpnia. Aby nie zmarznąć, musiałam iść dalej. Jeśli zatrzymywałam się na dłużej niż pięć minut, pot, którym na plecach przesiąkł mi podkoszulek, stawał się zimny jak lód. Od chwili gdy opuściłam Ashland, nie spotykałam nikogo, teraz jednak trafiałam na turystów na dwu- lub kilkudniowych wycieczkach, którzy do PCT dotarli jednym z wielu przecinających go szlaków. Zazwyczaj jednak szłam sama, co nie było czymś nadzwyczajnym. Jednak chłód i wiatr targający gałęziami wytrzymałych

drzew sprawiały, że szlak wydawał się jeszcze bardziej pusty. Miałam wrażenie, że jest też zimniej, zimniej nawet niż pośród śniegów powyżej Sierra City, choć tylko gdzieś tam widziałam małe łaty bieli. Zdałam sobie sprawę, że wtedy góry gotowały się do lata. Teraz, zaledwie sześć tygodni później, zaczęła nadciągać jesień. A ta wizja mnie odpychała.

Pewnego wieczoru zatrzymałam się na nocleg, zdjęłam z siebie przepocone ubrania, włożyłam wszystkie pozostałe i szybko przyrządziłam obiad, zasuważąc się w śpiworze, kiedy tylko skończyłam jeść, przemarznięta do szpiku kości, zbyt zziębnięta nawet, by czytać. Leżałam zwinięta w kłębek w pozycji embrionalnej, przez całą noc nie zdejmując czapki i rękawiczek, ale ledwie mogłam zmrużyć oko. Kiedy słońce w końcu wstało, były 3 stopnie poniżej zera, a namiot przykrywała cienka warstwa śniegu. Woda w butelkach zamarzała, choć znajdowała się w namiocie. Kiedy nie napiwszy się nawet łyka wody, składałam obóz, jedząc batonik proteinowy zamiast swojego normalnego muesli z mlekiem w proszku, znów pomyślałam o mamie. Myśl o niej ciążyła mi i spędzała sen z powiek od Ashland. W końcu, w dniu śniegu, niezaprzeczalnie była tutaj.

Był 18 sierpnia. Jej urodziny. Gdyby żyła, skończyłaby pięćdziesiąt lat.

– Nie żyła. Nie było jej dane dożyć pięćdziesiątki. Nigdy nie skończy pięćdziesięciu lat – powiedziałam do siebie, idąc pod jasnym, lecz zimnym sierpniowym słońcem.

„Skończ pięćdziesiąt lat, mammo. Cholera, skończ tę pięćdziesiątkę” – pomyślałam, czując, jak z każdym krokiem rośnie we mnie gniew. Nie mogłam uwierzyć, że jestem taka wściekła na mamę za to, że nie żyje w swoje pięćdziesiąte urodziny. Aż chciałam przyłożyć jej w twarz.

Jej ostatnie urodziny nie wywołały we mnie podobnej złości. W poprzednich latach byłam tylko smutna. W jej pierwsze urodziny bez niej – w dniu, kiedy skończyłaby czterdzieści sześć lat – rozrzuciłam jej prochy wraz z Eddiem, Karen, Leifem i Paulem na małym klombie otoczonym kamieniami, który zrobiliśmy dla niej na polanie na naszej ziemi. W trzy kolejne rocznice jej urodzin tylko płakałam, siedząc bez ruchu i słuchając całego albumu Judy Collins *Colors of the Day*, jakby każda nuta była jedną z moich komórek. Byłam w stanie znieść słuchanie tej płyty

tylko raz w roku z powodu wspomnień: mama często ją puszczała, kiedy byłam dzieckiem. Muzyka stwarzała wrażenie, że mama jest ze mną, w pokoju – tyle że wcale jej nie było i miało już nigdy nie być.

Teraz, idąc PCT, nie mogłam zanucić ani linijki. Usunęłam wszystkie piosenki ze składankowej listy w swojej głowie, naciskając wyimaginowane przewijanie w desperackiej walce, zmuszając umysł, żeby się uspokoił. W niedoszte pięćdziesiąte urodziny miało nie być piosenek. W zamian mijałam wysoko położone jeziora i masywne wulkaniczne skały, podczas gdy śnieg, który spadł w nocy, topniał na wytrzymałych dzikich kwiatach, które rosły między kamieniami. Szłam szybciej niż kiedykolwiek, myśląc o mamie bardzo nieżyczliwe rzeczy. To, że umarła w wieku czterdziestu pięciu lat, było najgorszym jej przewinieniem. Idąc przed siebie, zrobiłam skrupulatną listę pozostałych:

1. Przechodziła etap, kiedy od czasu do czasu, ale regularnie, paliła trawę i nie miała żadnych skrupułów, by robić to na oczach moich i mojego rodzeństwa. Pewnego razu, na haju, powiedziała: „To tylko zioło. Jak herbata”.
2. Nierzadko, kiedy mieszkaliśmy w bloku pełnym samotnych matek, ja, mój brat i siostra zostawaliśmy sami. Powiedziała nam, że jesteśmy wystarczająco duzi, żeby przez parę godzin zająć się sami sobą, ponieważ nie stać jej było na opiekunkę. Co więcej, zawsze mogliśmy pójść do jednej z pozostałych mam, gdyby coś się stało – mówiła. Ale my potrzebowaliśmy naszej mamy.
3. W tym samym okresie, kiedy bardzo się zezłościła, często straszyła, że zbije nas drewnianą łyżką, i kilka razy dotzymała słowa.
4. Kiedyś powiedziała, że nie miałyby nic przeciwko temu, gdybyśmy chcieli mówić do niej po imieniu, zamiast zwracać się do niej „mamo”.
5. Potrafiła być chłodna i nieczuła wobec swoich przyjaciół. Kochała ich, ale trzymała na dystans. Wątpię, by kiedykolwiek w pełni się przed kimś otworzyła. Trzymała się przekonania, że „bliższa koszula ciału”, mimo iż w naszej rodzinie niewiele było osób które nie mieszkały setki kilometrów od

nas. Utrzymywała wokół siebie aurę izolacji i prywatności. Choć miała wielu przyjaciół, odcinała od nich naszą rodzinę. To dlatego nikt nie próbował jej zastąpić, kiedy umarła, a jej przyjaciele zostawili mnie w spokoju na moim nieuniknionym wygnaniu. Ponieważ z żadnym z nich nie była szczególnie blisko, żaden z nich mnie nie wspierał. Dobrze mi życzyli, ale nie zapraszali na obiad w Święto Dziękczynienia ani nie dzwonili do mnie w urodziny mamy, by zapytać, jak się miewam po jej śmierci.

6. Była optymistką do tego stopnia, że jej usposobienie robiło się irytujące. Mówiła tak głupie rzeczy jak: „Nie jesteśmy biedni, bo mamy mnóstwo miłości!”. Albo: „Kiedy jedno okno się zamyka, inne się otwiera!”, co zawsze – z powodów, których nie byłam w stanie do końca sprecyzować – sprawiało, że miałam ochotę ją udusić, nawet kiedy umierała, a jej optymizm pojawił się przelotnie i desperacko w przekonaniu, że nie umrze, jeśli będzie piła ogromne ilości soku z perzu.
7. Kiedy byłam w ostatniej klasie liceum, nie zapytała mnie, gdzie chciałabym studiować. Nie zabrała mnie na objazdową wycieczkę po uczelniach. Nie wiedziałam nawet, że ludzie robią coś takiego, i dopiero inni mi o tym powiedzieli. Sama musiałam się wszystkim zająć, przez co złożyłam papiery zaledwie w jedno miejsce w St. Paul, tylko dlatego, że uczelnia miała ładną broszurę i znajdowała się trzy godziny drogi od domu. To prawda, trochę się obijałam w liceum i udawałam głupią blondynkę, żeby nie zostać wykluczoną ze szkolnego towarzystwa przez to, że moja rodzina mieszkała w domu, w którym używano przenośnej toalety i który ogrzewało się drewnem, mój ojczym miał długie włosy, krzaczastą brodę i jeździł rozklekotanym samochodem przerobionym na pick-upa za pomocą lutownicy, piły łańcuchowej i kilku umięśnionych kolegów, a mama postanowiła nie golić się pod pachami i mówiła naszym porywczym, nierozstającym się z bronią sąsiadom, że polowanie na zwierzęta to morderstwo. Wiedziała jednak, że w gruncie rzeczy jestem bystra. Wiedziała, że jestem żądna wiedzy i że pochłaniam książki. Osiągałam wysokie wyniki w każdym standaryzowanym

teście, jaki kiedykolwiek napisałam, ku zaskoczeniu wszystkich z wyjątkiem mnie i jej. Czemu nie zaproponowała, żebym spróbowała złożyć papiery na Harvard? Albo Yale? Ani Harvard, ani Yale nawet nie przysły mi wtedy do głowy. Miałam wrażenie, że to fikcyjne szkoły. Dopiero później zdałam sobie sprawę, że Harvard i Yale są jak najbardziej prawdziwe. I mimo że i tak by mnie nie przyjęli – nie dorastałam do ich standardów – to fakt, że nikt nigdy nie pomyślał, że miałabym szanse, coś we mnie stłamsić.

Teraz było już jednak za późno i nie pozostało mi nic innego, jak tylko winić moją martwą, odizolowaną, przesadnie optymistyczną, nieprzygotowującą do pójścia na studia, od czasu do czasu porzucającą dzieci, dzierżącą drewnianą łyżkę, niemającą nic przeciw mówieniu jej po imieniu matkę. Zawiodła. Zawiodła. Bardzo głęboko mnie zawiodła.

„Pieprzyć ją” – pomyślałam, tak wściekła, że musiałam się zatrzymać.

Potem zaczęłam żałośnie wyć. Nie popłynęły mi łzy, wydałam tylko z siebie serię głośnych szlochów, które tak mocno mną wstrząsały, że nie mogłam ustać prosto. Pochyliłam się i oparłam rękami o kolana, czując ciężar plecaka i słysząc szorujący po ziemi kijek, gdy całe moje głupie życie wyrywało mi się z gardła.

To nie było w porządku. To, że odebrano mi matkę, nie przestawało być okropne. Nie mogłam jej nawet normalnie nienawidzić. Nie było mi dane dorosnąć i odsunąć się od niej, a potem nadawać na nią swoim przyjaciółom i skonfrontować z nią kwestie, które według mnie powinna była załatwić inaczej, by na koniec wydorosnąć i zrozumieć, że robiła co w jej mocy i że całkiem nieźle sobie poradziła, i znów ją całkowicie zaakceptować. Jej śmierć to zniszczyła. Zniszczyła mnie. Ukróciła moją młodzieńczą arogancję. Zmusiła do tego, bym momentalnie dorosła i wybaczyła jej wszystkie matczyne błędy, jednocześnie sprawiając, że na zawsze pozostanę dzieckiem. Moje życie skończyło się i zaczęło w tym samym, przedwczesnym miejscu. Wciąż była moją matką, choć zostałam sierotą. Nie mogłam od niej uciec, ale czułam się osamotniona. Na zawsze miała pozostać pustą misą, której nikt nie będzie w stanie wypełnić. Będę musiała robić to w nieskończoność sama.

„Pieprzyć ją” – powtarzałam sobie, pokonując kolejne kilometry tempem

wzmocznym przez gniew. Wkrótce jednak zwolniłam i przysiadłam na wielkiej skale. Pod moimi stopami rosła kępa niskich kwiatów, a ich delikatnie różowe płatki obrzeżały kamień. Krokusy. Ich nazwa przyszła mi do głowy dzięki mamie. Te same kwiaty rosły w miejscu, gdzie rozrzuciłam jej prochy. Dotknęłam dłońmi ich płatków, czując, jak złość mnie opuszcza.

Kiedy wstałam i znów ruszyłam w drogę, nie miałam już żalu do mamy. Mimo wszystko była niesamowita. Miałam tego świadomość, kiedy dorastałam. Wiedziałam o tym, kiedy umierała. Wiedziałam o tym i teraz. I wiedziałam, że to było coś. To było bardzo wiele. Miałam wielu znajomych, których matki – bez względu na to, jak długo żyły – nigdy nie obdarzyły tak wszechogarniającą miłością, jaką kochała mnie mama. Uważała tę miłość za swoje największe osiągnięcie. To ta miłość ją uspokajała, kiedy zrozumiała, że niedługo umrze, bo dzięki niej to, że opuści mnie, Karen i Leifa, stawało się trochę bardziej znośne.

– Dałam wam wszystko – podkreślała nieustannie w swoich ostatnich dniach.

– To prawda – zgadzałam się.

Dała nam, to prawda. Dała. Dała. Dała. Ruszyła na nas z maksymalną matczyną prędkością. Nie ukryła przed nami niczego. Ani odrobiny swojej miłości.

– Bez względu na wszystko zawsze będę przy tobie – powiedziała.

– Tak – odpowiedziałam, gładząc jej miękkie ramię.

Kiedy jej stan na tyle się pogorszył, że widzieliśmy, iż naprawdę umrze, kiedy byliśmy na ostatnim odcinku podróży do piekła, kiedy przestaliśmy wierzyć, że jakiegokolwiek ilości perzowego soku mogą ją uratować, zapytałam, co mamy zrobić z jej ciałem: pochować czy skremować – choć patrzyła na mnie, jakbym mówiła do niej po holendersku.

– Chcę, żeby oddać wszystko, co można – powiedziała po chwili. – Mam na myśli moje organy. Oddajcie wszystko, co będzie się dało wykorzystać.

– Okej – odparłam.

Dziwna była świadomość, że to, o czym rozmawiamy, nie dotyczy odległej przyszłości: wyobrażanie sobie części mojej matki żyjących dalej w kimś innym.

– Ale co potem? – nie odpuszczałam, z trudem oddychając z bólu. Musiałam to

wiedzieć. To wszystko spadnie na mnie. – Co mamy zrobić z... z tym, co zostanie. Chcesz, żeby to pochować czy skremować?

– Wszystko mi jedno – powiedziała.

– Nieprawda – odparłam.

– Naprawdę wszystko mi jedno. Zrób, co uważasz za słuszne. Co jest najtańsze.

– Nie – nalegałam. – Musisz mi powiedzieć. Chcę usłyszeć od ciebie, co mamy zrobić.

Myśl, że to ja będę musiała zadecydować, wzbudzała we mnie panikę.

– Och, Cheryl – powiedziała, wyczerpana moją natarczywością, kiedy nasze oczy spotkały się w pełnym żalu détente.

Bo za każdym razem, gdy ja chciałam udusić ją za jej przesadny optymizm, ona chciała mnie udusić za to, że nigdy nie ustępowałam.

– Spalcie mnie – powiedziała w końcu. – Obróćcie mnie w proch.

Tak więc zrobiliśmy, choć spopielone ciało nie wyglądało tak, jak się spodziewałam. Nie przypominało popiołu po drewnie – jedwabistego i drobnego jak piasek. Było jak blade kamyczki wymieszane z szorstkim szarym żwirem. Niektóre kawałki były tak duże, że bez trudu mogłam stwierdzić, że kiedyś były kośćmi. Kuriozalnie pudło, które przekazał mi mężczyzna w domu pogrzebowym, było zaadresowane na moją mamę. Zabrałam je do domu i postawiłam w szafce obok kredensu, w którym trzymała swoje najładniejsze rzeczy. Był czerwiec. Stało do 18 sierpnia, tak jak nagrobek, który dla niej zamówiliśmy i który przyszedł w tym samym tygodniu co jej prochy. Stał z boku w salonie, co dla wielu gości było niepokojącym widokiem, ale mnie przynosił pocieszenie. Wykonano go z łupkowego szarego kamienia, z napisem zabarwionym na biało. Widniało na nim nazwisko mamy, jej daty urodzin i śmierci oraz zdanie, które powtarzała nam coraz częściej w miarę postępów choroby, aż do śmierci: „Zawsze jestem przy was”.

Chciała, żebyśmy o tym pamiętali, i ja pamiętałam. Czułam, jakby zawsze była przy mnie, przynajmniej w przenośni. W pewnym sensie było to też dosłowne. Kiedy w końcu postawiliśmy jej nagrobek i rozrzuciliśmy jej prochy, nie rozrzuciłam ich w całości. Zatrzymałam w dłoni kilka większych kawałków. Stałam przez pewien

czas, niegotowa, by rzucić je na ziemię. Nie rzuciłam ich więc. Nigdy.

Włożyłam jej spalone kości do ust i połknęłam.

Kiedy nadszedł wieczór w pięćdziesiąte urodziny mamy, znów ją kochałam, choć nadal nie byłam w stanie znieść piosenek Judy Collins w swojej głowie. Było zimno, ale nie tak zimno jak poprzedniej nocy. Usiadłam w namiocie szczelnie opatulona i ubrana w rękawiczki i zaczęłam czytać pierwsze strony *The Best American Essays 1991*. Zazwyczaj czekałam do rana, żeby spalić to, co przeczytałam poprzedniego wieczora, ale tym razem, kiedy skończyłam czytać, wyczołgałam się z namiotu i podpaliłam kartki. Patrząc, jak zajmują się ogniem, wypowiedziałam głośno imię mamy, jakby to była jej uroczystość. Na imię miała Barbara, ale wszyscy mówili jej Bobbi, i właśnie to imię wypowiedziałam. Mówiąc „Bobbi” zamiast „mama”, chyba po raz pierwszy naprawdę zrozumiałam, że była więcej niż moją mamą. Kiedy umarła, straciłam i tę część: Bobbi – kobietę inną niż osoba, którą znałam. Teraz widziałam ją w pełni – zarazem idealną i niedoskonałą siłę jej człowieczeństwa, jakby jej życie było misternie namalowanym muralem, który w końcu mogłam obejrzeć w całości. To, kim dla mnie była i kim nie była. W jaki sposób przynależała do mnie tak całkowicie i jak nie przynależała.

Bobbi nie doczekała się, by spełniło się jej ostatnie życzenie: oddanie organów tym, którzy ich potrzebują – a przynajmniej nie w stopniu, jakiego się spodziewała. Kiedy umarła, jej organy były zniszczone przez raka i morfinę, a jej czterdziestopięcioletnie ciało zrobiło się toksyczne. Ostatecznie można było wykorzystać jedynie rogówki. Wiedziałam, że ta część oka to tylko przezroczysta membrana, ale kiedy myślałam o tym, co oddała mama, nie widziałam tego w ten sposób. Myślałam o jej zadziwiająco niebieskich oczach, które żyją na twarzy kogoś obcego. Kilka miesięcy po śmierci mamy otrzymaliśmy list z podziękowaniem od fundacji, która pośredniczyła w znalezieniu biorcy. W liście napisano, że dzięki hojności mamy ktoś może teraz widzieć. Owładnęła mną szaleńcza chęć poznania tej osoby – pragnęłam spojrzeć jej w oczy. Nie musiałyby nic mówić. Chciałam tylko, by na mnie spojrzała. Zadzwoiłam pod numer podany w liście z pytaniem o możliwość spotkania, ale moja prośba została szybko odrzucona. Powiedziano mi, że poufność informacji jest w tej

sytuacji priorytetem. Takie prawo miał biorca organów.

– Proszę pozwolić mi wytłumaczyć charakter daru pani matki – powiedziała kobieta po drugiej stronie słuchawki cierpliwym, pełnym pocieszenia tonem, przypominającym mi głosy psychologów od sytuacji kryzysowych, wolontariuszy w hospicjum, pielęgniarek, lekarzy i pracowników zakładu pogrzebowego, z którymi rozmawiałam w tygodniach po śmierci mamy, tonem pełnym zamierzonego, niemal nachalnego współczucia, który jednocześnie dawał mi do zrozumienia, że jestem w tym wszystkim zupełnie osamotniona. – Nie przeszczepiliśmy całego oka, tylko siatkówkę, która jest...

– Wiem, czym jest siatkówka – warknęłam. – I nadal chciałabym wiedzieć, kim jest ta osoba. Zobaczyć ją lub jego, jeśli to możliwe. Chyba mi się to od was należy.

Rozłączyłam się, przepełniona żalem, jednak resztkami rozsądku, które nadal we mnie pozostały, wiedziałam, że kobieta ma rację. Mojej mamy już tam nie było. Jej niebieskie oczy przepadły. Nigdy nie będę mogła znów w nie spojrzeć.

Płomienie palących się stron zgasły, więc wstałam, by wrócić do namiotu, gdy nagle usłyszałam ze wschodu wysokie i rozszalałe wycia i ujadania stada kojotów. W północnej Minnesocie słyszałam ten dźwięk tyle razy, że mnie nie przerażał. Kojarzył mi się z domem. Spojrzałam w niebo usiane wspaniałymi gwiazdami, jaśniejącymi na ciemnym tle. Zadrzałam, wiedząc, że mam szczęście tu być, a widok jest zbyt piękny, by wrócić już do namiotu. Gdzie będę za miesiąc? Wydało mi się niemożliwe, że nie będę już na szlaku, ale taka była prawda. Najprawdopodobniej wrócę do Portland, przede wszystkim z powodu całkowitego braku forsy. Wciąż miałam niewielką ilość pieniędzy z Ashland, ale byłam pewna, że pozbędę się ich, zanim dotrę do Bridge of the Gods.

Pozwoliłam myślom kręcić się wokół Portland przez kolejne dni, kiedy szłam przez rezerwat Sky Lakes do Oregon Desert – położonej wysoko piaszczystej równiny pełnej sosen wydmowych, na której – jak wyjaśniał przewodnik – znajdowało się kiedyś kilka strumieni i jezior, zanim zostały zasypane tonami pumeksu i popiołów po wybuchu Mount Mazama. Wczesnie rano w sobotę dotarłam do Parku Narodowego Jeziora Kraterowego. Jeziora nie było w zasięgu wzroku.

Dotarłam za to do kempingu, nieco ponad 10 kilometrów od granicy parku.

Kemping ten nie był zwykłym kempingiem. Był to wielki turystyczny kompleks składający się z parkingu, sklepu, motelu, płatnej pralni i jakichś trzystu ludzi, którzy jednocześnie odpalali silniki i słuchali radia nastawionego na pełen regulator, siorbali napoje z wielkich papierowych kubków i pożerali ogromne paczki chipsów kupione w sklepie. Ten obraz jednocześnie przykuł moją uwagę i oburzył mnie. Gdybym nie zobaczyła tego na własne oczy, nie uwierzyłabym, że pół kilometra stąd w dowolnym kierunku znajduje się zupełnie inny świat. Zostałam tam na noc, wzięłam cudowny prysznic i następnego ranka ruszyłam nad Jezioro Kraterowe.

Przewodnik nie kłamał – moją pierwszą reakcją było niedowierzanie. Lustro wody znajdowało się ponad 250 metrów poniżej krawędzi wznoszącej się na ponad 2000 metrów nad poziomem morza, gdzie stałam. Nierówny okrąg jeziora rozpościerał się przede mną tak intensywną ultramaryną, jakiej w życiu nie widziałam. Jezioro miało około 10 kilometrów średnicy, a jego błękit przerywał jedynie małeńki wulkan zwany Wizard Island, który wznosił się ponad 200 metrów nad taflą wody, tworząc stożkową wyspę porośniętą sosnami. Przeważnie nagi pofalowany brzeg jeziora gdzieś tam porastały takie same sosny, widoczne na tle odległych gór.

– Ponieważ jezioro jest tak czyste i głębokie, wchłania wszystkie kolory spektrum światła z wyjątkiem niebieskiego i odbija czysty błękit – powiedziała nieznajoma, która stanęła obok mnie, odpowiadając na pytanie, jakie w zdumieniu niemal wypowiedziałam na głos.

– Dzięki – odparłam.

Ponieważ woda była tak głęboka i czysta, wchłaniała wszystkie kolory spektrum światła z wyjątkiem niebieskiego – to zdanie wydawało się w pełni naukowym wyjaśnieniem, a jednak Jezioro Kraterowe miało w sobie coś tajemniczego. Kłamatowie nadal uznawali jezioro za święte miejsce i w pełni rozumiałam dlaczego. Nie miało znaczenia, że wokół mnie znajdowali się turyści, którzy robili zdjęcia i powoli przejeżdżali samochodami obok jeziora. Czułam jego potęgę. Jego obecność pośrodku tej ziemi wydawała się porażająca – nienaruszalna, oddzielna i samotna, jakby jezioro zawsze istniało i miało istnieć, by wchłaniać wszystkie kolory spektrum światła z wyjątkiem niebieskiego.

Zrobiłam kilka zdjęć i ruszyłam wzdłuż brzegu do małego skupiska budynków, które zbudowano, by móc przenocować turystów. Nie miałam innego wyjścia, jak zostać tam na noc, bo była niedziela i poczta nie działała, przez co nie mogłam odebrać swojego pudełka aż do następnego ranka. Było słonecznie i w końcu znowu ciepło i kiedy szłam, pomyślałam, że gdybym nie usunęła ciąży, o której dowiedziałam się w pokoju motelowym w Sioux Falls dzień przed tym, nim postanowiłam wyruszyć na PCT, teraz pewnie rodziłabym dziecko. Tydzień, w którym wypadały urodziny mamy, byłby tygodniem mojego terminu. Miażdżąca zbieżność tych dat wydawała mi się wtedy jak cios prosto w brzuch, ale nie wpłynęła na moje zdanie w kwestii przerwania ciąży. Sprawiała jedynie, że błagałam wszechświat, by dał mi kiedyś drugą szansę. By pozwolił mi stać się tym, kim potrzebowałam się stać, zanim zostanę matką – kobietą, której życie było diametralnie różne od życia mojej matki.

Choć kochałam i podziwiałam mamę, spędziłam dzieciństwo, planując, że nie będę taka jak ona. Wiedziałam, dlaczego w wieku dziewiętnastu lat wyszła za mojego ojca, ciężarna i tylko trochę zakochana. Kazałam jej opowiedzieć i tę historię, kiedy zamęczałam ją pytaniami. Ona jednak nieustannie potrzasała głową, dopytując, czemu chcę to wiedzieć. Prosiłam ją tyle razy, że w końcu się poddała. Kiedy dowiedziała się, że jest w ciąży, wzięła pod uwagę dwie opcje: nielegalną aborcję w Denver lub ukrywanie się w odległym mieście aż do rozwiązania, a potem przekazanie mojej siostry swojej mamie, która zobowiązała się wychować dziecko jako swoje. Ostatecznie postanowiła nie robić żadnej z tych rzeczy. Zdecydowała się urodzić dziecko i poślubić mojego ojca. Została mamą Karen, potem moją, a na końcu Leifa.

Naszą.

– Nigdy nie byłam panią własnego życia – płakała pewnego razu, kiedy dowiedziała się, że umiera. – Zawsze robiłam to, co kazali mi inni. Byłam czyjąś córką, matką albo żoną. Nigdy nie byłam po prostu sobą.

– Mamo...

Tylko tyle byłam w stanie powiedzieć, gładząc jej dłoń.

Byłam zbyt młoda, by powiedzieć cokolwiek innego.

W południe poszłam do baru w jednym z pobliskich budynków i zjadłam lunch. Potem przeszłam przez parking do pobliskiego hotelu Crater Lake Lodge i z Monstrum na plecach przemierzyłam elegancki rustykalny hol, przystając, by zajrzeć do restauracji. Przy stolikach siedziało kilka osób, eleganckie grupki dzierżące w dłoniach kieliszki chardonnay i pinot gris niczym bladożółte klejnoty. Wyszłam na obszerną werandę z widokiem na jezioro i ruszyłam w stronę długiego szeregu masywnych bujanych foteli, aż znalazłam taki, który stał w odosobnieniu.

Przesiedziałam w nim resztę popołudnia, wpatrując się w jezioro. Nadal miałam do przejścia ponad 530 kilometrów do Bridge of the Gods, ale coś sprawiło, że poczułam się tak, jakbym już tam dotarła. Jakby ta błękitna woda powiedziała mi coś, po co przeszłam całą tę drogę.

Kiedyś to była Mazama – nieustannie to sobie przypomiinałam. Kiedyś była to góra o wysokości blisko 3700 metrów, której wyrwano serce. Kiedyś było to pustkowie pokryte pumeksem i popiołem. Kiedyś była to pusta misa, której wypełnienie zajęło setki lat. Ale choć bardzo się starałam, nie mogłam ich zobaczyć. Ani góry, ani pustkowie, ani pustej misy. Już ich tu nie było. Był tylko bezruch i cisza wody – to, czym stała się góra, pustkowie i pusta misa, kiedy rozpoczęło się gojenie ran.

Rozdział 17

Tryb przetrwania

W mojej głowie Oregon był jak gra w klasy. Przeskakiwałam po nim, obracałam się i robiłam kolejny sus od Jeziora Kraterowego do Bridge of the Gods. Niecałe 140 kilometrów od kolejnego pudła w ośrodku wczasowym Shelter Cove Resort. Stamtąd było jakieś 230 kilometrów do mojego ostatniego pudła nad jeziorem Olallie. Byłam na ostatniej prostej do rzeki Kolumbia – 170 kilometrów do miasteczka Cascade Locks, z przystankiem na toast o treści: „Jasna cholera, nie wierzę, że prawie doszłam”, w Timberline Lodge na Mount Hood w połowie ostatniego odcinka.

Pomijając okoliczności, nadal pozostało mi ponad 530 kilometrów do przejścia.

Dobra strona była taka, że bez względu na to, co miało się stać, wzdłuż tych 530 kilometrów na szlaku rosły jagody: borówki, czarne jagody, żółte maliny i jeżyny, wszystkie dojrzałe, gotowe, by je zerwać, kilometrami ciągnące się wzdłuż szlaku. Zgarniałam je z krzewów garściami, czasem zatrzymując się, by wypełnić czapkę, kiedy niespiesznym krokiem szłam przez Mount Thielsen i rezerwat Diamond Peak.

Było zimno. Było gorąco. Skrzyżowanie kory drzewa ze skórą oskubanego kurczaka na moich biodrach wyhodowało sobie nową warstwę. Stopy przestały krwawić i pokrywać się pęcherzami, ale nadal bolały jak diabli. Przez kilka dni szłam tylko po pół dnia, żeby złagodzić ból, ale niewiele to pomogło. Bardzo bolały. Czasem miałam wrażenie, że były połamane i zamiast w bucie powinny znaleźć się w gipsie. Bolały, jakbym głęboko i nieodwracalnie je skrzywdziła niesieniem na plecach ogromnego ciężaru przez setki kilometrów nielitościwego terenu. A mimo to byłam silniejsza niż kiedykolwiek. Nawet z olbrzymim plecakiem potrafiłam pokonywać duże odległości, choć pod koniec dnia nadal padałam całkowicie wykończona.

Wędrowanie PCT zrobiło się w końcu łatwiejsze, co nie oznaczało, że szlak zrobił się prostszy.

Zdarzały się przyjemnie poranki i popołudnia, piętnastokilometrowe odcinki,

które pokonywałam, ledwie je odczuwając. Uwielbiałam zatracać się w rytmie własnych kroków i stukaniu o szlak narciarskiego kija, w głowie mając ciszę, piosenki i zdania. Uwielbiałam góry, skały, sarny i króliki, które czmychały ku drzewom, żuczki i żaby, które gramoliły się na drugą stronę szlaku. Jednak każdego dnia nadchodził taki moment, kiedy nie kochałam już niczego, kiedy wszystko robiło się monotonne i trudne, mój mózg włączał tryb przetrwania, który pozbawiał go wszelkich myśli, pozostawiając jedynie konieczność, by brnąć przed siebie. Szłam bez ustanku, aż marsz stawał się nie do zniesienia, aż nabierałam przekonania, że nie jestem w stanie zrobić ani kroku dalej, więc zatrzymywałam się, rozbijałam obóz i sprawnie wykonywałam wszystkie czynności, których wymagało postawienie namiotu, żeby jak najszybciej dobrnąć do błogosławionej chwili, kiedy będę mogła zupełnie wykończona położyć się w środku.

Tak właśnie się czułam, kiedy dowlokłam się do Shelter Cove Resort: wyczerpana, znudzona i pozbawiona wszelkich odczuć poza wdzięcznością, że w końcu tu dotarłam. Przeskoczyłam kolejne pole w oregońskiej grze w klasy. Shelter Cove Resort było sklepem otoczonym wiejskimi domkami, na szerokim pasie trawy nad brzegiem wielkiego jeziora o nazwie Odell, otoczonego zielonym lasem. Weszłam na werandę i przekroczyłam próg sklepu. Znajdowały się tu krótkie rzędy półek z przekąskami i przynętami wędkarskimi oraz lodówki z napojami. Znalazłam butelkę lemoniady Snapple, wzięłam paczkę chipsów i podeszłam do lady.

– Wędrowiec z PCT? – zapytał mężczyzna przy kasie. Kiedy pokiwałam głową, wskazał okno na tyłach sklepu. – Poczta jest zamknięta do jutra rana, ale można za darmo rozbić namiot w miejscu nieopodal. Prysznic kosztuje dolara.

Zostało mi tylko dziesięć – bo, jak się okazało, moje przystanki w Ashland i Parku Narodowym Jeziora Kraterowego były droższe, niż się spodziewałam. Wiedziałam jednak, że w przesyłce czeka na mnie koperta z dwudziestoma dolarami, więc kiedy podałam mężczyźnie pieniądze, żeby zapłacić za chipsy i napój, poprosiłam go o ćwierćdolarówki na prysznic.

Na zewnątrz otworzyłam lemoniadę i chipsy i zjadłam je, idąc z wielką radością w stronę drewnianego budynku z natryskami, które pokazał mi mężczyzna. Gdy tam weszłam, z przyjemnością stwierdziłam, że kabiny są jednoosobowe. Zamykając za

sobą drzwi, znalazłam się we własnej przestrzeni. Położyłabym się tam spać, gdyby tylko mi pozwolili. Zdjęłam ubrania i spojrzałam na siebie w odrapanym lustrze. Nie tylko stopy zniszczyły mi się na szlaku. Włosy też. Zrobiły się szorstkie i, co dziwne, dwa razy grubsze, uniesione warstwami wysuszonego potu, brudu i pyłu ze szlaku, jakbym powoli, ale konsekwentnie zamieniała się w skrzyżowanie Farrah Fawcett z Gunga Dinem.

Wrzuciłam monety do niewielkiej skarbonki, weszłam pod prysznic i zaczęłam rozkoszować się gorącą wodą i szorować resztką mydła, które ktoś tu zostawił, aż zupełnie zniknęło w moich rękach. Potem wytarłam się tą samą bandaną, której zwykle używałam do umycia rondla i łyżki wodą ze strumienia, i włożyłam brudne ubrania, które wcześniej miałam na sobie. Zrzuciłam sobie Monstrum na plecy i wróciłam do sklepu, czując się tysiąc razy lepiej. Od frontu była duża weranda, a po jej obu stronach stały długie ławy. Usiadłam tam i spojrzałam na Odell, jednocześnie przeczesując mokre włosy palcami. „Jeszcze tylko jezioro Olallie, potem Timberline Lodge i Cascade Locks” – pomyślałam sobie.

Podskok, sus, obrót i koniec.

– Jesteś Cheryl? – zapytał mężczyzna wychodzący ze sklepu.

Tuż za nim wyłonili się dwaj kolejni. Od razu poznałam po ich przemoczonych od potu koszulkach, że tak jak ja wędrują PCT, choć nie mieli ze sobą plecaków. Byli młodzi, przystojni, brodaci, opaleni i brudni, zarówno niewiarygodnie umięśnieni, jak niewiarygodnie szczupli. Pierwszy był wysoki, drugi był blondynem, trzeci miał głębokie spojrzenie.

Bardzo się cieszyłam, że wzięłam prysznic.

– Tak – odpowiedziałam.

– Od dawna za tobą idziemy – powiedział blondyn i na jego chudej twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

– Wiedzieliśmy, że dziś cię dogonimy – powiedział ten o głębokim spojrzeniu. – Widzieliśmy twoje ślady na szlaku.

– Czytaliśmy też twoją notatkę w rejestrze szlaku – dodał wysoki.

– Próbowaliśmy się domyślić, ile masz lat – powiedział blondyn.

– I na ile wyglądam? – powiedziałam, szczerząc się jak wariatka.

– Obstawialiśmy, że albo jesteś w naszym wieku, albo masz już pięćdziesiątkę – powiedział ten o głębokim spojrzeniu.

– Mam nadzieję, że nie jesteście rozczarowani – powiedziałam, na co wszyscy roześmialiśmy się i zarumienili.

Na imię mieli Rick, Josh i Richie i byli trzy lub cztery lata młodsi ode mnie. Pochodzili odpowiednio z Portland, Eugene i Nowego Orleanu. Wszyscy studiowali na tej samej uczelni, na wydziale humanistycznym w Minnesocie, dwie godziny od Twin Cities.

– Pochodzę z Minnesoty! – wykrzyknęłam, kiedy mi o tym powiedzieli, choć oni wiedzieli już o tym z moich zapisków w rejestrze.

– Nie masz jeszcze szlakowego imienia? – zapytał mnie jeden z nich.

– Nic mi na ten temat nie wiadomo – odpowiedziałam.

Oni mieli: Trzy Młode Byczki. Nazwali ich tak wędrowcy w południowej Kalifornii. Odpowiadało im to. Byli trzema młodymi narowistymi chłopakami. Przebyli całą tę trasę od samej granicy z Meksykiem. Nie ominęli śniegu jak pozostali. Przebrnęli przez niego, nie zważając na rekordowe opady – i ponieważ im się to udało, znajdowali się na samym końcu grupy wędrowców, którzy zaczęli od granicy meksykańskiej i mieli skończyć przy kanadyjskiej. To dlatego natknęli się na mnie. Nie poznali Toma, Douga, Grega, Matta, Alberta, Brenta, Stacy, Triny, Rexa, Sama, Helen, Johna czy Sarah. Nie zrobili sobie nawet przystanku w Ashland. Nie tańczyli do Grateful Dead, nie próbowali opium do żucia ani nie uprawiali z nikim seksu, przyparci do skały na plaży. Po prostu brnęli naprzód, pokonując ponad 30 kilometrów dziennie, i doganiali mnie od chwili, kiedy zrobiłam objazd do Sierra City. Byli więcej niż Trzema Młodymi Byczkami. Stanowili wyjątkowo sprawne wspinaczkowe maszyny.

Przebywanie w ich towarzystwie było jak wakacje.

Poszliśmy razem na pole namiotowe, które nam wydzielono i na którym Trzy Młode Byczki zrzuciły wcześniej swoje plecaki, potem zrobiliśmy sobie obiad i rozmawialiśmy. Opowiedziałam im swoje historie związane i niezwiązane

z przebywaniem na szlaku. Bardzo ich polubiłam. Zaiskrzyło między nami. Byli uroczymi, przemiłymi, zabawnymi i życzliwymi kompanami i dzięki nim zapomniałam, jaka zmarnowana się czułam jeszcze godzinę wcześniej. Dla uczczenia naszego spotkania zrobiłam liofilizowany malinowy placek, który od tygodni nosiłam ze sobą, oszczędzając go na szczególną okazję. Zjedliśmy go łyżkami prosto z garnka, a potem zasnęliśmy pod gwiazdami, namiot przy namiocie.

Rano odebraliśmy nasze pudła i wróciliśmy do obozu, żeby przepakować plecaki przed dalszą drogą.

Otworzyłam swój karton i zaczęłam grzebać między gładkimi torebkami z jedzeniem w poszukiwaniu koperty z dwudziestodolarowym banknotem. Za każdym razem, szukając koperty, czułam dreszcz ekscytacji, tym razem jednak nie mogłam jej znaleźć. Wyrzuciłam wszystko na zewnątrz i przebadałam palcami zagięcia wewnątrz pudełka, na nic się jednak nie natknęłam. Nie wiem dlaczego. Po prostu jej nie było. Zostało mi sześć dolarów i dwanaście centów.

– Cholera – powiedziałam.

– Co? – zapytał jeden z Młodych Byczków.

– Nic – odpowiedziałam.

Było dla mnie żenujące, że wciąż byłam spłukana i że nikt nie mógł mnie wspomóc kartą kredytową albo kontem bankowym.

Zapakowałam jedzenie do starego niebieskiego worka, niemal chora na myśl, że muszę przejść 230 kilometrów do kolejnego pudła z zaledwie sześcioma dolarami i dwunastoma centami w kieszeni. „Przynajmniej tam, gdzie się wybieram, nie potrzebuję pieniędzy” – powtarzałam sobie, by się uspokoić. Szłam przez serce Oregonu – przełęcz: Willamette, McKenzie i Santiam, przez Trzy Siostry, Mount Washington i rezerwat Mount Jefferson – a tam nie będzie gdzie wydać moich sześciu dolarów i dwunastu centów, prawda?

Godzinę później wyruszyłam równo z Trzema Młodymi Byczkami. Od czasu do czasu nasze drogi na szlaku się krzyżowały i wtedy zatrzymywaliśmy się razem na postój. Byłam zaskoczona tym, co i jak jedzą. Byli jak barbarzyńcy wypuszczeni na wolność, pozerający po trzy snickersy każdy podczas piętnastominutowej przerwy,

przy czym byli chudzi jak patyki. Kiedy zdjęli koszulki, pod skórą widać im było żebra. Ja też straciłam na wadze, ale nie tyle ile mężczyźni – niesprawiedliwość, jaką zaobserwowałam u wielu innych wędrowców różnych płci, których poznałam tego lata. Nie obchodziło mnie już jednak, czy jestem szczupłą, czy nie. Obchodziło mnie tylko to, by jeszcze coś zjeść. Też byłam jak barbarzyńca, a mój głód był ogromny i nienasycony. Doszłam do takiego stanu, że jeśli bohater w książce, którą akurat czytałam, jadł, to musiałam ominąć tę scenę, bo najzwyczajniej bolało mnie czytanie o tym, czego chciałam, a nie mogłam mieć.

Po południu pożegnałam się z Trzema Młodymi Byczkami. Chcieli pójść jeszcze kilka kilometrów dalej od miejsca, w którym postanowiłam się rozbić, bo oprócz tego, że byli trzema wyjątkowo sprawnymi wspinaczkowymi maszynami, bardzo chcieli dotrzeć do przełęczy Santiam, gdzie planowali zejść ze szlaku na kilka dni i odwiedzić rodzinę oraz przyjaciół. Kiedy oni mieli żyć na całego, kąpać się i spać w prawdziwych łóżkach oraz jeść rzeczy, których nie chciałam sobie nawet wyobrażać, ja miałam znów ich wyprzedzić, by po powrocie na PCT ponownie podążali moimi śladami.

– Gońcie mnie – powiedziałam, mając nadzieję, że im się to uda, i smucąc się, że tak szybko muszę się z nimi rozstać.

Tego wieczora rozbiłam namiot samotnie, niedaleko małego jeziorka, nadal rozpromieniona z powodu naszego spotkania, i gdy rozmasowywałam sobie stopy, rozmyślałam o opowiedzianych przez nich historiach. Zauważyłam, że kolejny z moich czerniałych paznokci oddzielał się od palca. Pociągnęłam go i całkiem zszedł. Rzuciłam go w trawę, myśląc, że teraz dobrnęliśmy z PCT do remis. Wynik był 5:5.

Siedziałam w namiocie, trzymając nogi na torbie z jedzeniem, czytając książkę, która przyszła w pudle: *The Ten Thousand Things* Marii Dermoût, aż nie mogłam utrzymać otwartych oczu. Wyłączyłam czołówkę i położyłam się w ciemności. Zapadając w sen, usłyszałam sowę siedzącą na drzewie tuż nad moją głową. „Hu-hu, hu-hu” – pohukiwała głosem jednocześnie tak silnym i subtelnym, że się obudziłam.

– Hu-hu – odpowiedziałam i sowa ucichła. – Hu-hu – spróbowałam raz jeszcze.

– Hu-hu – odpowiedziała.

Weszłam na teren rezerwatu Trzech Sióstr, nazwanego tak od siostrzanych szczytów: Południowego, Północnego i Środkowego, które wyznaczały jego granice. Każda z Sióstr miała ponad 3000 metrów wysokości i była trzecim, czwartym i piątym najwyższym szczytem w Oregonie. Stanowiły klejnoty koronne wśród stosunkowo blisko położonego skupiska wulkanicznych szczytów, które miałam minąć w nadchodzącym tygodniu, a których nie mogłam jeszcze dostrzec, bo szłam od południowej strony PCT. Mijając wysokie daglezie, białe sosny i górskie jodły, jeziora i stawy, śpiewałam po drodze piosenki i recytowałam w myślach fragmenty wierszy.

Kilka dni po tym, jak pożegnałam się z Byczkami, zboczyłam ze szlaku na cały kilometr i poszłam do Elk Lake Resort, miejsca wymienianego w przewodniku. Był to mały sklepik nad brzegiem jeziora, głównie ze sprzętem wędkarskim, podobny do Shelter Cove Resort, tylko że w środku znajdował się bufet, w którym serwowano hamburgery. Nie planowałam zejść ze szlaku, ale kiedy doszłam do skrzyżowania ścieżki z PCT, mój niezaspokojony głód wziął górę. Dotarłam na miejsce tuż przed jedenastą. Byłam tam sama, pomijając pracownika bufetu. Przejrzałam menu, przeliczyłam pieniądze i zamówiłam cheeseburgera z frytkami i małą colę. Potem usiadłam pod ścianą obwieszoną przynętami, by pożreć wszystko z zachwytem. Mój rachunek opiewał na sześć dolarów i dziesięć centów. Po raz pierwszy w życiu nie mogłam dać obsłudze napiwku. Zostawić dwa centy, które mi pozostały, byłoby obelgą. Z torebki strunowej, w której trzymałam prawo jazdy, wyciągnęłam mały bloczek znaczków i położyłam je przy talerzu.

– Przepraszam, nie mam już gotówki, ale zostawiłam coś innego – powiedziałam, zbyt zawstydzona, by przyznać, co to było.

Mężczyzna jedynie pokręcił głową i wymamrotał coś, czego nie byłam w stanie rozszyfrować.

Zeszłam na niewielką pustą plażę nad brzegiem jeziora Elk z dwoma centami w dłoni, zastanawiając się, czy powinnam wrzucić je do wody i pomyśleć życzenie. Postanowiłam tego nie robić i ostatecznie włożyłam je do kieszonki szortów, na wypadek, gdybym ich potrzebowała, zanim dotrę do posterunku strażnika leśnego nad

jeziorem Olallie, otrzeźwiająca 160 kilometrów dalej. Posiadanie tylko tych dwóch centów było okropne, ale i odrobinę zabawne, tak jak czasem wydawało mi się bycie zupełnie splukanym. Stałam, wpatrując się w jezioro, i uświadomiłam sobie, że dorastanie w biednym domu było teraz całkiem przydatne. Prawdopodobnie bałabym się wyruszyć w podróż z tak niewielką ilością pieniędzy, gdybym z nimi dorastała. Zawsze myślałam o finansowym statusie w kategoriach tego, czego nie dostałam: letnich obozów, prywatnych lekcji, podróży, chesnego na studia i niewytłumaczalnej swobody, której nabiera się wraz z posiadaniem karty kredytowej spłacanej przez kogoś innego. Teraz dostrzegłam różnicę między dwiema rzeczami: dzieciństwem, podczas którego widziałam, jak matka i ojczym brną naprzód z dwoma centami w kieszeni, i moim przekonaniem, że też tak potrafię. Zanim ruszyłam w podróż, nie przekalkulowałam, ile może to kosztować, i nie zaoszczędziłam potrzebnej sumy (plus rezerwa na nieprzewidziane wydatki). Gdybym tak zrobiła, nie dotarłabym tu po osiemdziesięciu kilku dniach na szlaku, splukana, ale zadowolona, bo zrobiłam, co chciałam, choć wedle wszelkich racjonalistów kompletnie nie było mnie na to stać.

Szłam na wysokości blisko 2000 metrów do punktu widokowego, z którego rozciągała się panorama na szczyty na północy i wschodzie: Bachelor Butte, Broken Top i najwyższą z nich wszystkich Południową Siostrę, która wznosiła się na 3157 metrów. Dowiedziałam się z przewodnika, że była to najmłodsza, najwyższa i najbardziej symetryczna z Trzech Sióstr. Składała się z ponad dwóch tuzinów różnych rodzajów wulkanicznych skał, ale w całości wyglądała jak jedna wielka czerwono-brązowa góra, której zbocza pod szczytem pokrywał śnieg. Gdy szłam przez resztę dnia, powietrze ponownie się ociepliło i miałam wrażenie, że wróciłam do Kalifornii – znów było ciepło, a widoki na skaliste i zielone tereny ciągnęły się kilometrami.

Będąc oficjalnie pomiędzy Trzema Siostrami, nie miałam już szlaku tylko dla siebie. Na wysokich skalnych polanach mijałam turystów na jednodniowych wypadach, wędrowców na krótkich wycieczkach i drużynę skautów na biwaku. Zatrzymywałam się, by z niektórymi porozmawiać. „Masz broń?“, „Boisz się?“ – pytali, powtarzając to, co słyszałam przez całe lato. Zaprzeczałam, trochę się śmiejąc. Spotkałam dwóch mężczyzn w moim wieku, którzy służyli w Iraku w czasie

„Pustynnej Burzy” i nadal byli w wojsku, obaj w stopniu kapitana. Byli schludni, mocno zbudowani i przystojni, jakby zeszedli z plakatu rekrutacyjnego. Zrobiliśmy sobie długą popołudniową przerwę w pobliżu strumienia, do którego wstawili dwa piwa, aby się schłodziły. To był ich ostatni wieczór z pięciodniowego wypadu. Dźwigali te puszki właśnie po to, by móc je wypić ostatniego wieczoru.

Chcieli wiedzieć wszystko o mojej wyprawie. Jak się czułam, idąc tyle dni, co widziałam, kogo spotkałam i co, do diabła, przydarzyło się moim stopom. Nalegali, że poniosą mi plecak, i osłupieli, gdy okazało się, że jest cięższy od ich własnych. Kiedy byli gotowi, by ruszyć dalej sami, życzyłam im powodzenia, nadal wylegując się w słońcu na brzegu strumienia.

– Cheryl! – kiedy już niemal zniknęli mi z oczu, jeden z nich odwrócił się i krzyknął do mnie. – Zostawiliśmy ci piwo w strumyku. Robimy to w ten sposób, żebyś nie mogła odmówić. Chcemy, żebyś je wypila, bo jesteś twardsza niż my!

Roześmiałam się, podziękowałam im i podeszłam do strumienia, żeby wziąć sobie piwo, zadowolona z komplementu i podniesiona na duchu. Wypiłam je tego samego wieczoru niedaleko Obsidian Falls, wodospadu nazwanego tak ze względu na kruczoczarne odłamki skał, które w niezwykle sposób pokrywają szlak, chrzęszcząc pod stopami, jakby się szło po niekończących się warstwach potłuczonej porcelany.

Byłam mniej zachwycona następnego dnia, idąc przez przełęcz McKenzie do rezerwatu Mount Washington – szlak stawał się coraz bardziej skalisty, im bliżej byłam bazaltowych ścieżek wokół wulkanów Belknap Crater i Little Belknap. Nie pokrywały go śliczne maleńkie odłamki kamienia, rozrzucone po zielonych trawach łąk. Szłam teraz przez ośmiokilometrowe pasmo czarnych wulkanicznych skał w rozmiarach od piłki baseballowej do piłki nożnej, a moje kostki i kolana bezustannie się wykręcały. Teren był odsłonięty i pusty, a słońce przypiekało mnie nieubłaganie, kiedy z trudem wlokłam się w stronę Mount Washington. Gdy znalazłam się po drugiej stronie kraterów, z wdzięcznością weszłam między drzewa, jednocześnie zdając sobie sprawę, że tłumy zniknęły. Znów byłam sama – tylko szlak i ja.

Następnego dnia przez przełęcz Santiam wkroczyłam do rezerwatu Mount Jefferson, nazwanego tak z powodu ciemnego, imponującego szczytu na północy.

Minęłam skalistą górę o kilku szczytach zwaną Three Fingered Jack, która wznosiła się ku niebu niczym złamana ręka. Szłam dalej do wieczora, aż słońce zniknęło za pierzyną chmur i otuliła mnie gęsta mgła. Dzień był gorący, ale w ciągu trzydziestu minut temperatura spadła o mniej więcej 10 stopni, a wiatr wzmógł się, po czym nagle zamarł. Szukając miejsca na obóz, szłam w górę szlaku tak szybko, jak potrafiłam, i mimo chłodu kapał ze mnie pot. Choć zmrok zbliżał się nieubłaganie, nie mogłam znaleźć żadnego miejsca, które byłoby wystarczająco płaskie, żeby rozbić na nim namiot. Gdy w końcu znalazłam miejsce w pobliżu niewielkiego stawu, miałam wrażenie, jakbym znalazła się w środku chmury, niepokojąco nieruchomej i cichej. Zanim postawiłam namiot i przefiltrowałam butelkę wody swoim niewiarygodnie powolnym filtrem, wiatr znów się wzmógł w wielkich, gwałtownych podmuchach, smagając gałęzie drzew nad moją głową. Nigdy nie byłam w górach podczas burzy. „Nie boję się” – przypominałam sobie, kiedy wczołgiwałam się do namiotu bez kolacji, na zewnątrz czując się zbyt bezbronne, choć wiedziałam, że wewnątrz nie daje mi wiele ochrony. Siedziałam w pełnym wyczekiwania zachwycie, nastawiając się na wielką burzę, która nigdy nie nadeszła.

Godzinę po zmroku powietrze znowu zrobiło się nieruchome i usłyszałam wzmożone wycie kojotów w oddali, jakby świętowały fakt, że niebezpieczeństwo minęło. Sierpień zamienił się we wrzesień – temperatury w nocy już codziennie były niemiłosiernie niskie. Wyszłam z namiotu, żeby się wysikać, ubrana w czapkę i rękawiczki. Kiedy świeciłam po drzewach czołówką, coś zatrzymało moją uwagę i zamarłam, kiedy dostrzegłam odbicie pary jasnzych oczu.

Nigdy się nie dowiedziałam, czyje to były oczy. Zniknęły w ułamku sekundy.

Następny dzień był gorący i słoneczny, jakby dziwna nocna burza była tylko snem. Przegapiłam rozwidlenie na PCT i po jakimś czasie zorientowałam się, że jestem na Oregon Skyline Trail, który biegnie równoległe do PCT jakieś 1,5 kilometra na zachód. Była to alternatywna trasa, którą mój przewodnik dokładnie opisywał, więc bez obaw szłam przed siebie. Następnego dnia szlak miał doprowadzić mnie z powrotem do PCT. Dzień później miałam dotrzeć do jeziora Olallie.

Podskok, sus, obrót i koniec.

Całe popołudnie szłam przez gęsty las. Po drodze napotkałam za zakrętem trzy ogromne łosie, które uciekły między drzewa z ogłuszającym stukotem kopyt. Tego wieczora, chwilę po tym, jak zatrzymałam się na nocleg w pobliżu małego jeziora, na szlaku pokazało się dwóch łuczników zmierzających na południe.

– Masz wodę? – zawołał jeden z nich.

– Nie możemy pić wody ze stawu, prawda? – spytał drugi z malującą się na obliczu desperacją.

Obaj byli po trzydziestce. Jeden miał jasne piaskowe włosy i był żyłasty, choć wystawał mu niewielki brzuch; drugi miał rude włosy i był tak umięśniony, że mógłby zostać wspomagającym w drużynie futbolu amerykańskiego. Obaj byli ubrani w jeansy, za pasem mieli ogromne myśliwskie noże, a na plecach potężne plecaki, przez które przewieszane były łuki i strzały.

– Możecie, ale najpierw trzeba ją przefiltrować – powiedziałam.

– Nie mamy filtra – powiedział blondyn, ściągając plecak i stawiając go przy głazie, który znajdował się na niewielkim, nieporośniętym terenie pomiędzy jeziorkiem i szlakiem, gdzie miałam zamiar się rozbić.

Sama dopiero co zdążyłam zrzucić plecak, kiedy się pojawili.

– Jeśli chcecie, możecie skorzystać z mojego – powiedziałam.

Rozsunęłam kieszenie Monstrum, wyciągnęłam filtr i podałam go blondynowi, który wziął go do rąk, podszedł do błotnistego brzegu i przykucnął.

– Jak się tego używa? – zawołał do mnie.

Pokazałam mu, gdzie włożyć rurkę, przez którą naciąga się wodę, i jak umieścić pławik, a potem jak pompować uchwytem.

– Potrzebna ci będzie butelka – dodałam.

Ale on i jego wielki rudy kolega spojrzeli na siebie z żalem i powiedzieli, że nie mają. Mieli polować tylko jeden dzień. Zaparkowali pick-upa przy leśnej drodze jakieś 5 kilometrów stąd, niedaleko pobocznego szlaku, który niedawno minęłam. Myśleli, że do tej pory już do niego dotrą.

– Cały dzień nic nie piliście? – zapytałam.

– Mieliśmy pepsi – odpowiedział blondyn. – Po sześciopaku na głowę.

– Idziemy od razu do auta, więc potrzeba nam tylko tyle, żebyśmy mogli przetrwać, ale umieramy z pragnienia – powiedział rudy.

– Proszę – powiedziałam, sięgając do plecaka po wodę, która mi została: jedna czwarta butelki.

Podaliśmy ją rudowłosemu, który wziął łyk i podał ją koledze, a ten dopił resztę. Było mi ich szkoda, ale żałowałam, że są tu ze mną. Byłam wykończona. Pragnęłam ściągnąć buty i przepocone ubrania, postawić namiot i coś ugotować, żeby móc zatracić się w *The Ten Thousand Things*. Na dodatek wywoływali we mnie dziwne odczucia przez pepsi, łuki, wielkie myśliwskie noże i to, jak obcesowo się tu pojawili. Podobny niepokój jak pierwszego tygodnia na szlaku, kiedy siedziałam w ciężarówce Franka i myślałam, że może chce mi zrobić krzywdę, kiedy tak naprawdę sięgał po lukrecjowe cukierki.

– Mamy puste puszki po pepsi – powiedział rudy mężczyzna. – Możemy przefiltrować wodę do twojej butelki, a potem ją przelać.

Blondyn przykucnął przy jezioru z moją pustą butelką i filtrem, a rudy zdjął plecak i wygrzebał z niego kilka puszek po pepsi. Stałam i przyglądałam się im, obejmując się rękoma i czując, jak z każdą chwilą robi mi się chłodniej. Mokra tylna część szortów i koszulki oraz stanika wydawała się teraz lodowata.

– Trudno się to pompuje – powiedział blondyn po pewnym czasie.

– Musisz się trochę przyłożyć – powiedziałam. – Tak po prostu działa mój filtr.

– No nie wiem – odpowiedział. – Nic z niego nie wypływa.

Podeszłam do niego i zauważyłam, że pływak znajduje się niemal przy zbiorniku, a koniec rurki, przez którą wpływa woda, ugrzązł w mule na płytkim dnie jeziora. Wyjęłam blondynowi filtr z rąk, umieściłam rurkę z powrotem w wodzie i spróbowałam pompować.

– Trzeba było pilnować, żeby rurka nie leżała w błocie – powiedziałam. – Miałeś ją trzymać w wodzie.

– Cholera – odparł bez słowa przeprosin.

– I co teraz zrobimy? – zapytał jego kolega. – Muszę się czegoś napić.

Poszłam do plecaka, wyciągnęłam zestaw pierwszej pomocy, a stamtąd małą

fiolkę pastylek z jodyną. Nie użyłam ich ani razu od czasu pobytu nad zapełnionym żabami rezerwuarem na Hat Creek Rim, kiedy sama byłam o krok od odwodnienia.

– Możemy użyć tego – powiedziałam ponuro, uświadamiając sobie, że będę piła wodę z jodyną aż do czasu, kiedy naprawię filtr, o ile w ogóle jest to możliwe.

– Co to? – zapytał blondyn.

– Jodyna. Wrzuca się ją do wody i po trzydziestu minutach można bezpiecznie pić.

Podeszłam do jeziora, zanurzyłam butelki w miejscu, które wydawało się najczystsze, i wrzuciłam do każdej z nich pastylkę jodyny. Mężczyźni zrobili to samo ze swoimi puszkami po pepsi.

– Okej – powiedziałam, spoglądając na zegarek. – Woda będzie dobra dziesięć po siódmej.

Miałam nadzieję, że na tę wiadomość sobie pójda, ale oni tylko rozsiedli się wygodniej.

– Co tu robisz sama? – zapytał blondyn.

– Idę Pacific Crest Trail – powiedziałam i od razu tego pożałowałam.

Nie podobało mi się, jak na mnie patrzy, bez skrępowania przyglądając się mojemu ciału.

– Sama?

– Tak – powiedziałam niechętnie, niezadowolona, że mówię im prawdę, ale też bojąc się kłamać, przez co jeszcze bardziej zaczęłam się denerwować.

– Nie mogę uwierzyć, że dziewczyna taka jak ty jest tu całkiem sama. Moim zdaniem, jesteś zdecydowanie za ładna, żeby być tu sama. To długa wyprawa?

– Raczej długa – odpowiedziałam.

– Nie wierzę, że taka młoda dziewczyna jest tu zupełnie sama, a ty? – spytał blondyn swojego rudowłosego przyjaciela, jakby w ogóle mnie tam nie było.

– To nic dziwnego... – odpowiedziałam, zanim rudy zdążył się odezwać. – Każdy może to zrobić, trzeba tylko...

– Gdybyś była moją dziewczyną, na pewno bym ci na to nie pozwolił, nie ma mowy – powiedział rudy.

– Ma naprawdę ładną figurę, nie sądzisz? – odezwał się blondyn. – Wysportowane ciało, delikatne krągłości, takie jak lubię.

Wydałam z siebie lekceważące mruknięcie, jakby śmieszek, choć nagle moje gardło ścisnął strach.

– Miło było was poznać – powiedziałam, ruszając w stronę Monstrum. – Idę trochę dalej – skłamałam – więc powinnam się już zbierać.

– My też nie chcemy, żeby zastał nas tu zmrok – powiedział rudowłosey, zakładając na siebie plecak.

To samo zrobił blondyn. Patrzyłam na nich, udając, że szykuję się do drogi, chociaż wcale nie chciałam nigdzie iść. Byłam zmęczona i spragniona, głodna i przemarznięta. Nadciągał zmrok i zdecydowałam się zanoćować przy jezioru, bo przewodnik – dość pobieżnie opisujący ten fragment szlaku, który w gruncie rzecz nie należał do PCT – zaznaczał, że to ostatnie miejsce na długim paśmie, gdzie da się rozbić namiot.

Kiedy sobie poszli, poczekałam trochę, pozwalając swojemu ściśniętemu gardłu nieco się rozluźnić. Nic mi nie było. Byłam bezpieczna. Zachowywałam się trochę niepoważnie. Byli wstrętnymi seksistami i zepsuli mi filtr do wody, ale mnie zostawili w spokoju. Nie mieli zamiaru mnie skrzywdzić. Niektórzy faceci po prostu nie umieją się inaczej zachowywać. Opróżniłam plecak i wypełniłam rondel wodą. Ściągnęłam z siebie przepocone ubrania, wyciągnęłam czerwony polar, getry i koszulkę z długimi rękawami i się przebrałam. Rozłożyłam matę i właśnie wytrzępywałam namiot z worka, kiedy blondyn pojawił się ponownie. Ujrawszy go, wiedziałam, że wszystkie moje wcześniejsze przeczucia były słuszne – że miałam powód, by się bać. Że może po mnie wrócić.

– Co się dzieje? – zapytałam, udając wyluzowaną, choć na jego widok bez kolegi ogarnęło mnie przerażenie.

Czułam się tak, jakbym natknęła się na pumę i przypomniała sobie, by wbrew wszelkim odruchom nie zacząć uciekać. Nie zachęcić jej szybkimi ruchami, nie zdenerwować złością albo nie pobudzić strachem.

– Myślałem, że ruszasz dalej – powiedział.

– Zmieniłam zdanie.

– Próbowalaś nas nabrać.

– Nie. Po prostu zmieniłam...

– Ciuchy też zmieniłaś – powiedział znacząco, a jego słowa zaczęły mnie dusić jak gaz pieprzowy.

Całe moje ciało ogarnęła świadomość, że kiedy ściągałam z siebie ubrania, był w pobliżu i patrzył.

– Podobają mi się twoje spodnie – powiedział ze znaczącym uśmiechem na ustach. Ściągnął plecak i postawił go na ziemi. – Albo legginsy, jakkolwiek się to nazywa.

– Nie wiem, o czym mówisz – powiedziałam obojętnie, choć ledwie byłam w stanie usłyszeć własne słowa, tak mi dzwoniło w uszach.

Zdałam sobie sprawę, że cała moja wyprawa PCT mogła się sprowadzić do jednego. Bez względu na to, jaka jestem dzielna i jak swobodnie się czuję, będąc tu samą, miałam też dużo szczęścia. Jeśli miałoby się teraz skończyć, to dalej będzie tylko tak, jakby wcześniej nigdy nie istniało, a ten jeden wieczór doszczętnie zniszczy wszystkie dobre, odważne dni.

– Mówię o twoich spodniach – powiedział mężczyzna z irytacją. – Dobrze w nich wyglądasz. Podkreślają twoje biodra i nogi.

– Proszę, nie mów tak – powiedziałam z taką pewnością siebie, na jaką było mnie stać.

– No co? Mówię ci komplement! Facet nie może już powiedzieć dziewczynie niczego miłego? Powinno ci to schlebiać.

– Dziękuję – odpowiedziałam, próbując go uspokoić, nienawidząc się za to.

Pomyślałam o Trzech Młodych Byczkach, którzy pewnie jeszcze nie wrócili na szlak. Pomyślałam o najgłośniejszym gwizdku świata, którego nie usłyszałby nikt poza rudym mężczyzną. Pomyślałam o szwajcarskim scyzoryku, ukrytym zbyt wysoko w górnej lewej kieszeni plecaka. Przysunęłam się do jeszcze niezagotowanej wody w rondlu na kuchence, a na końcu mój wzrok utknął na strzałach, które wystawały ponad głową blondyna. Coś łączyło mnie z tymi strzałami niczym

niewidzialna gorąca nić. Gdyby spróbował cokolwiek mi zrobić, rzuciłabym się do nich i dźgnęła go prosto w szyję.

– Powinieneś już iść – powiedziałam spokojnym tonem. – Niedługo się ściemni.

Skrzyżowałam ręce na piersiach, boleśnie świadoma faktu, że nie mam na sobie stanika.

– To wolny kraj – powiedział. – Pójdę, kiedy będę chciał. Mam do tego prawo.

Podniósł puszkę pepsi i delikatnym ruchem zakręcił wodą znajdująca się w środku.

– Co ty, do cholery, wyprawiasz? – odezwał się męski głos i chwilę później z lasu wyłonił się rudy mężczyzna. – Musiałem wrócić całą tę drogę, żeby cię znaleźć. Myślałem, że się zgubiłeś. – Obrzucił mnie oskarżycielskim spojrzeniem, jakby to była moja wina, jakbym coś uknuła z blondynem, żeby mógł tu zostać. – Musimy iść, jeśli chcemy dotrzeć do pick-upa przed zmrokiem.

– Uważaj na siebie – powiedział blondyn, zarzucając plecak.

– Pa – powiedziałam bardzo cicho, nie chcąc ani mu odpowiadać, ani rozjuszyć go milczeniem.

– O, już siódma dziesiąta – powiedział. – Można wypić wodę. – Uniósł puszkę po pepsi w moją stronę i wzniosł toast. – Za zdrowie młodej dziewczyny, która w wielkim lesie jest sama jak palec – powiedział, napił się i poszedł za kolegą w dół szlaku.

Przez chwilę stałam – jak za pierwszym razem, gdy sobie poszli – pozwalając, by mój lęk nieco ustąpił. „Nic się nie stało – powiedziałam sobie. – Jesteś cała i zdrowa. To był tylko odrażający, napalony, niesympatyczny facet, ale teraz już sobie poszedł”.

Po czym wepchnęłam namiot do plecaka, wyłączyłam kuchenkę, wylałam niemal wrząca wodę na trawę i opłukałam garnek w jeziorku, żeby ostygł. Wypiłam łyk wody z jodyną i wcisnęłam butelkę, mokry T-shirt i szorty z powrotem do plecaka. Podniosłam Monstrum, zapięłam i szlakiem skierowałam się na północ w gasnącym świetle dnia. Szłam i szłam, czując, jak mój umysł włącza tryb przetrwania, który pozbawia go innych myśli, pozostawiając tylko konieczność ruchu do przodu. Szłam tak aż do chwili, gdy chodzenie stało się nie do zniesienia, aż uwierzyłam, że nie

jestem w stanie zrobić ani jednego kroku dalej.

I wtedy zaczęłam biec.

Rozdział 18

Królowa PCT

Kiedy następnego dnia obudziłam się o brzasku, padał deszcz. Leżałam w namiocie w płytkim rowie przy szlaku. Rów był szeroki na jakieś pół metra i stanowił jedyne płaskie miejsce, jakie byłam w stanie znaleźć w ciemności poprzedniego wieczoru. Zaczęło padać o północy i nie przestało przez całą noc, a kiedy ruszyłam w drogę, deszcz to kroił, to ustawał. Myślałam o tym, co przydarzyło mi się poprzedniego wieczoru, a właściwie o tym, co się nie zdarzyło lub nigdy tak naprawdę nie miało się zdarzyć. Bez przerwy odtwarzałam to w głowie, czując, jak robi mi się niedobrze, ale do południa zdołałam pozbyć się tych myśli i z powrotem wkroczyłam na PCT, jako że droga, którą wcześniej nieopatrznie poszłam, znów połączyła się ze szlakiem.

Woda lała się z nieba, skapywała z gałęzi i spływała żlebami. Szłam pod ogromnymi drzewami, których korony górowały nade mną. Krzewy i wysoka roślinność na brzegach szlaku moczyły mi ubrania. Choć było mokro i przygnębiająco, las wyglądał magicznie – gotycki w swojej zielonej okazałości, jednocześnie pełen światła i mroczny, tak przepysznie bujny, że wyglądał na nierealny, jakbym szła przez bajkę, a nie prawdziwy świat.

Padało, padało i padało z drobnymi przerwami przez cały ten dzień i następny. Lało nawet wieczorem, kiedy dotarłam nad dziewięćdziesięciosiedmiohektarowe jezioro Olallie. Czując głęboką ulgę, minęłam zamknięty posterunek strażnika leśnego. Ciężkim krokiem szłam po błocie i mokrej trawie, mijając nieduże skupisko stołów piknikowych, w stronę niewielkiej grupki budynków z ciemnego drewna, które tworzyły ośrodek wypoczynkowy. Dopóki nie zaczęłam wędrować przez Oregon, miałam diametralnie inne wyobrażenie na temat określenia „ośrodek wypoczynkowy”. W zasięgu wzroku nie było nikogo. Dziesięć prymitywnych chatek rozrzuconych w pobliżu jeziora wyglądało na niezamieszkane, a niewielki sklepik pomiędzy nimi był już zamknięty.

Znów zaczęło padać, więc stałam pod sosną wydmową w pobliżu sklepu.

Naciągnęłam kaptur przeciwdeszczowej kurtki i spojrzałam na jezioro. Monumentalny szczyt Mount Jefferson miał ponoć wyłonić się na południu, a masywne wzniesienie Olallie Butte na północy, ale nie widziałam ani jednego, ani drugiego, bo skrywały je zapadający zmrok i mgła. Bez widoku gór sosny i jezioro bardzo przypominały mi Minnesotę. Był tydzień po Świącie Pracy. Jesień jeszcze nie nadeszła, ale była blisko. Wszystko wydawało się opustoszałe i wymarłe. Wsunęłam dłoń do kieszeni kurtki, wyciągnęłam strony przewodnika i przeczytałam, gdzie w pobliżu można rozbić obóz – w miejscu za posterunkiem strażnika, z którego rozpościerał się widok na kolejne jezioro: Head, znacznie mniejszego sąsiada Olallie.

Rozbiłam obóz, przygotowałam posiłek w deszczu, a potem wczołgałam się do namiotu i położyłam w wilgotnym śpiworze w wilgotnych ubraniach. Baterie w mojej lampce się wyczerpały, więc nie mogłam czytać. Leżałam, słuchając, jak krople deszczu rozbijają się o płachtę namiotu kilkadziesiąt centymetrów nad moją głową.

Jutro znajdę w paczce nowe baterie. Będą tam czekoladki, które będę wydzielać sobie przez kolejny tydzień. Będzie tam ostatnia partia suchych posiłków i torebek z podeschniętymi już orzechami i nasionami. Myśl o tych rzeczach była dla mnie torturą i źródłem komfortu jednocześnie. Zwinęłam się w kłębek, uważając, by śpiwór nie stykał się z namiotem, na wypadek gdyby ten przemókł, ale nie mogłam zasnąć. Choć było dość posepnie, poczułam w sobie iskierkę światła, wynikającą z tego, że za tydzień miałam skończyć wędrówkę. Wrócę do Portland i znów będę żyć jak normalny człowiek. Znajdę pracę jako kelnerka na wieczorną zmianę, a w ciągu dnia będę pisać. Od chwili gdy pomysł zamieszkania w Portland zagnieździł się w mojej głowie, godzinami wyobrażałam sobie, jak to będzie z powrotem znaleźć się w świecie z łatwym dostępem do jedzenia, muzyki, wina i kawy.

„Oczywiście, można tam dostać też heroinę” – pomyślałam. Nie chciałam jej jednak. Może nigdy tak naprawdę jej nie chciałam. W końcu zrozumiałam, co to było: pragnienie ucieczki, kiedy tak naprawdę powinnam próbować dostać się w głąb siebie. Teraz tam byłam. Albo blisko.

– Mam tu paczkę – zawołałam następnego ranka do strażnika, ścigając go, kiedy zaczął odjeżdżać pick-upem.

Zatrzymał się i opuścił szybę.

– Jesteś Cheryl?

Pokiwałam głową.

– Mam tu paczkę – powtórzyłam, nadal ubrana w swoje zamknięte przeciwdeszczowe ciuchy.

– Twój znajomi opowiadali mi o tobie – powiedział, wysiadając z auta. – Małżeństwo.

Zamrugłam i ściągnęłam kaptur.

– Sam i Helen? – zapytałam, a strażnik pokiwał głową.

Na myśl o nich poczułam napływającą falę czułości. Naciągnęłam z powrotem kaptur, idąc za strażnikiem do garażu połączonego z posterunkiem, połączonym z kolei z czymś, co wyglądało na jego lokum.

– Jadę do miasta, ale wrócę po południu, gdybyś czegoś potrzebowała – powiedział i podał mi pudło oraz trzy listy. Miał brązowe włosy i wąsy i na oko był przed czterdziestką.

– Dzięki – powiedziałam, przyciskając do siebie paczkę i listy.

Nadal padało i na zewnątrz było paskudnie, poszłam więc do niewielkiego sklepiku i kupiłam filiżankę kawy od starszego mężczyzny przy kasie, obiecując, że zapłacę za nią, kiedy tylko otworzę pudło. Usiadłam z kawą w fotelu niedaleko opalanego drewnem pieca i przeczytałam listy. Pierwszy był od Aimée, drugi od Paula, a trzeci, ku mojemu zdziwieniu, od Eda, dobrego ducha szlaku, którego poznałam w Kennedy Meadows. „Jeśli otrzymałaś tę wiadomość, to znaczy, że ci się udało, Cheryl. Moje gratulacje!” – napisał. Byłam tak poruszona jego wiadomością, że roześmiałam się na głos i starszy mężczyzna przy kasie podniósł na mnie wzrok.

– Dobre wieści z domu? – zapytał.

– Tak – odpowiedziałam. – Można tak powiedzieć.

Otworzyłam pudło i znalazłam w środku nie jedną, lecz dwie koperty z dwudziestoma dolarami. Ta druga powinna była się znaleźć w pudle nadanym do Shelter Cove Resort. Teraz nie miało to już znaczenia. Z czterdziestoma dolarami i dwoma centami w kieszeni byłam bogata. Zapłaciłam za kawę, kupiłam zapakowane

ciastko i zapytałam sprzedawcę, czy w pobliżu znajdują się jakieś prysznice, ale ku mojemu rozczarowaniu pokręcił tylko głową w odpowiedzi. Ośrodek bez prysznic i restauracji, a na zewnątrz zacinająca mżawka i jakieś 13 stopni.

Dolałam sobie kawy i zaczęłam się zastanawiać, czy powinnam tego dnia iść dalej, czy nie. Nie miałam zbyt wielu powodów, by zostać, a mimo to wizja powrotu do lasu z mokrymi rzeczami wydała się nie tylko zniechęcająca, ale i potencjalnie niebezpieczna – nieunikniony mokry chłód groził hipotermią. Tutaj przynajmniej mogłam siedzieć w ciepłym sklepie. Przez ostatnie trzy dni na przemian pociłam się z gorąca i trzęsłam z zimna. Byłam zmęczona zarówno fizycznie, jak i psychicznie. Przez kilka dni szłam tylko po pół dnia i do Jeziora Kraterowego nie zaliczyłam ani jednego pełnego dnia marszu. I choć bardzo chciałam dotrzeć do Bridge of the Gods, nie spieszyło mi się. Byłam na tyle blisko, że wiedziałam, iż z łatwością dotrę tam do swoich urodzin. Mogłam się nie spieszyć.

– Nie mamy tu prysznic, panienko – powiedział staruszek – ale jeśli o piątej zechcesz dołączyć do mnie i jeszcze kilku osób z obsługi, poczęstujemy cię obiadem.

– Obiadem?

I tak zapadła decyzja, by zostać.

Wróciłam do namiotu i starałam się zrobić wszystko, co możliwe, by wysuszyć swoje rzeczy, gdy na chwilę przestawało padać. Zagrzałam garnuszek wody i naga nachyliłam się nad nim, by umyć się moją bandaną. Rozłożyłam na części filtr do wody, wytrzepałam muł, którego naciągnął do niego blondyn, i przepłukałam urządzenie, żeby móc znowu z niego korzystać. Kilka minut przed udaniem się na obiad do wskazanego małego budynku pojawiły się Trzy Młode Byczki – przemoknięte i śliczne jak nigdy. Dosłownie podskoczyłam z radości na ich widok. Wyjaśniłam im, że właśnie idę na obiad i pewnie oni też mogliby coś dostać, więc jeśli mam rację, zaraz po nich wrócę. Kiedy jednak dotarłam do małego budynku i zapytałam, kierowniczką była niewzruszona pojawieniem się nowego towarzystwa.

– Nie mamy tyle jedzenia – powiedziała jedynie.

Czułam się winna, siadając do posiłku, ale byłam głodna jak wilk. Był to typowy domowy obiad, który tysiące razy jako dziecko jadłam na składkowych imprezach

w Minnesocie – posypana cheddarem zapiekanka z mieloną wołowiną, kukurydzą z puszki i ziemniakami oraz sałata lodowa. Nałożyłam sobie porcję na talerz i zjadłam ją w jakichś pięciu kęsach, po czym zaczekałam grzecznie, aż kobieta pokroi żółte ciasto z białym lukrem, które kusiło mnie ze stoliczka na boku. Zjadłam kawałek, a potem dyskretnie wzięłam kolejny – największy na blaszce – zawinęłam go w serwetkę i włożyłam do kieszeni kurtki.

– Dziękuję – powiedziałam. – Powinnam już chyba wrócić do swoich przyjaciół.

Szłam przez mokrą trawę, bardzo ostrożnie trzymając ciasto w kieszeni. Była dopiero siedemnasta trzydzieści, a zrobiło się już tak ciemno i ponuro, że równie dobrze mógłby być środek nocy.

– Tu jesteś. Szukałem cię – zawołał do mnie mężczyzna. Był to strażnik, który przekazał mi rano paczkę i listy. Trzymał przy ustach mały ręczniczek. – Dziwnie mówię – powiedział niewyraźnie, kiedy podeszłam bliżej. – Miałem dzisiaj zabieg dentystyczny.

Założyłam kaptur, bo znów zaczęło padać. Oprócz tego, że miał problem z ustami, robił wrażenie lekko pijanego.

– Może pójdziemy do mnie na drinka? Schowasz się przed deszczem – powiedział, przekręcając lekko słowa. – Mieszkam tutaj, w drugiej części posterunku. Napaliłem w kominku i zrobię ci jakiegoś dobrego drinka albo dwa.

– Dzięki, ale nie mogę. Właśnie przyszli moi znajomi i wszyscy rozbiliśmy się razem – powiedziałam, wskazując na wzniesienie za drogą, za którym znajdował się mój namiot i prawdopodobnie namioty Trzech Młodych Byczków.

Wyobrażałam sobie dokładnie, co teraz robią. Siedzą skuleni pod przeciwdeszczowymi kurtkami i próbują zjeść swoje wstrętne obiady albo siedzą samotnie w namiotach, bo najzwyczajniej nie ma innego miejsca, gdzie mogliby się podziać. Wtedy pomyślałam o ciepłym ogniu, alkoholu. Gdyby chłopcy mogli przyjść ze mną, by napić się ze strażnikiem, uniknęłabym pewnie tego, co strażnik naprawdę miał na myśli, zapraszając mnie do siebie.

– Może jednak... – zawahałam się, kiedy strażnik wycierał ręczniczkiem ściekającą ślinę. – Pod warunkiem że moi znajomi też mogą przyjść.

Wróciłam z ciastem do naszego obozu. Trzy Młode Byczki siedziały zasunięte w swoich namiotach.

– Mam ciasto – zawołałam.

Otoczyli mnie i zaczęli jeść palcami z mojej ręki, dzieląc się ciastem w łatwy, niewymagający słów sposób, który przez długie miesiące niekończącego się niedostatku i braterstwa opanowali do perfekcji.

Przez ostatnie dziewięć dni, od czasu gdy się z nimi pożegnałam, miałam wrażenie, że staliśmy się sobie bliźsi i bardziej znajomi, jakbyśmy ten czas spędzili razem, a nie osobno. Nadal byli dla mnie Trzema Młodymi Byczkami, ale zaczynałam traktować ich indywidualnie. Richie był przezabawny i odrobinę dziwny i miał w sobie coś tajemniczego, co mnie fascynowało. Josh był uroczy i mądry, bardziej powściągliwy niż pozostali, a Rick zabawny, przenikliwy i życzliwy, nie wspominając o tym, że świetnie się z nim rozmawiało. Kiedy jedli mi ciasto z ręki, zdałam sobie sprawę, że choć byłam odrobinę zadurzona w każdym z nich, najbardziej podobał mi się Rick. Było to absurdalne zauroczenie i miałam tego pełną świadomość. Był prawie cztery lata młodszy ode mnie, a w tym wieku cztery lata naprawdę miały znaczenie – różnica naszych doświadczeń była na tyle duża, że co najwyżej mogłam uchodzić za jego starszą siostrę, a nie dziewczynę, z którą chciałby zasunąć się w namiocie. Przestałam o tym myśleć, ale nie mogłam zaprzeczyć, że czułam lekkie trzepotanie serca za każdym razem, kiedy nasze spojrzenia się spotykały. Nie mogłam też zaprzeczyć, że dostrzegałam w jego oczach podobną reakcję.

– Przepraszam za ten obiad – powiedziałam, gdy wytłumaczyłam im, co zaszło. – Jedliście już? – zapytałam w poczuciu winy.

Pokiwali głowami, oblizując palce z lukru.

– Był dobry? – zapytał Richie z nowoorleańskim akcentem, co tylko podnosiło jego atrakcyjność, mimo mojego zauroczenia Rickiem.

– Zapiekanka i sałatka.

Wszyscy trzej spojrzeli na mnie, jakbym zadała im cios.

– Ale właśnie dlatego przyniosłam wam ciasto – zawołałam spod kaptura. – I na

dodatek mam jeszcze coś, co może was zainteresować. Innego rodzaju przyjemność. Strażnik leśny zaprosił mnie na drinka i powiedziałam mu, że przyjdę, ale tylko z wami. Ostrzegam, że jest trochę dziwny. Miał jakiś zabieg u dentysty czy coś, więc chyba jest na środkach przeciwbólowych i odrobinę pijany, ale ma rozpalony kominek i będziemy pod dachem. Chcecie pójść?

Trzy Młode Byczki spojrzały na mnie wzrokiem barbarzyńców puszczonech na wolność i jakieś dwie minuty później pukaliśmy do drzwi strażnika.

– Jesteś – powiedział niewyraźnie, wpuszczając nas do środka. – Już myślałem, że mnie wystawisz.

– To moi znajomi: Rick, Richie i Josh – powiedziałam.

Strażnik obrzucił ich tylko pogardliwym spojrzeniem, nadal przyciskając ręczniczek do ust. Nie byłam do końca przekonana, czy zgodził się na to, bym przyprowadziła kolegów. Ledwie skinął głową, kiedy powiedziałam, że albo przyjdziemy wszyscy, albo wcale.

Byczki usiadły obok siebie na kanapie przed płonącym kominkiem i oparły buty o kamienne palenisko.

– Napijesz się, ślicznotko? – zapytał mnie strażnik, kiedy weszłam za nim do kuchni. – Tak przy okazji, jestem Guy. Nie wiem, czy powiedziałem ci wcześniej, czy nie.

– Miło cię poznać, Guy – odparłam, starając się stanąć w pozycji, która sugerowałaby, że nie tyle stoję z nim w kuchni, ile próbuję wypełnić przestrzeń pomiędzy nim a chłopcami przy ogniu, jakbyśmy byli jedną rozbawioną kompanią.

– Zrobię ci coś specjalnego.

– Mnie? Dzięki – powiedziałam. – Chcecie drinka? – zawołałam do Byczków.

Odpowiedzieli twierdząco, a ja przyglądałam się, jak Guy napełnia gigantyczną szklankę lodem, wlewa do niej różne rodzaje alkoholu, a na koniec dodaje ponczu owocowego z puszki, którą wyciągnął z lodówki.

– To jak samobójstwo – powiedziałam, kiedy mi ją podał. – Tak na studiach nazywaliśmy drinki, do których wlewa się różne rodzaje alkoholu.

– Spróbuj i zobaczymy, czy ci posmakuje – powiedział Guy.

Wzięłam mały łyczek. Smakował jednocześnie strasznie i dobrze – a przynajmniej lepiej niż siedzenie na zimnym deszczu.

– Pycha! – powiedziałam trochę zbyt wesoło. – Rick, Richie i Josh też by chyba chcieli. Chcielibyście, chłopaki? – zapytałam raz jeszcze, ruszając pospiesznie w stronę kanapy.

– Jasne – powiedzieli chórem, choć Guy zdawał się to ignorować.

Podalam Rickowi szklankę z alkoholem i usadowiłam się koło niego. Nasza czwórka na pluszowym rajku kanapy przy kominku, a ciało Ricka miło przylegające do mojego. Ogień w kominku był jak prywatne słońce, które porządnie nas suszy.

– Wspomniałaś o samobójstwie, skarbie, a ja mam w tym temacie sporo do powiedzenia – odezwał się Guy, stając przede mną, oparty o kamienny gzyms kominka.

Rick napił się ze szklanki i podał ją Joshowi, który siedział po jego drugiej stronie, a Josh wziął łyk i podał ją Richiemu na samym końcu.

– Niestety mieliśmy tu kilka przypadków. I tu właśnie moja praca robi się ciekawa – powiedział Guy, a jego oczy stały się bardziej ożywione, choć twarz miał nadal przysłoniętą ręcznikiem od wąsów w dół.

Szklanka powoli wróciła do mnie. Wzięłam łyk i znów podalam ją Rickowi, i tak dalej, jakbyśmy palili ogromnego płynnego skręta. W tym czasie Guy ze szczegółami opowiedział nam o tym, na co się natknął pewnego dnia, kiedy jakiś mężczyzna strzelił sobie w łeb w przenośnej wygodce w pobliskim lesie.

– Jego mózg był wszędzie – powiedział przez ściereczkę. – Więcej, niż można by było sobie wyobrazić. Wyobraź sobie najgorszą rzecz, jaką widziałas w życiu. – Stał, patrząc tylko na mnie, jakby Trzech Młodych Byczków w ogóle nie było w pokoju. – I nie tylko mózg. Krew, część jego czaszki i ciała rozbryzgane wszędzie po ścianach kabiny!

– Nie chcę sobie nawet tego wyobrażać – powiedziałam, potrząsając lodem w szklance.

Byczki pozostawiły ją pod moją opieką, kiedy zrobiła się pusta.

– Napijesz się jeszcze, laleczko? – zapytał Guy.

Podalam mu pustą szklankę i strażnik zniknął w kuchni. Odwróciłam się do pozostałych i wszyscy spojrzeliśmy na siebie znacząco, wybuchając śmiechem, tak cicho, jak tylko mogliśmy, jednocześnie wygrzewając się w blasku płomieni.

– Był też inny przypadek, o którym muszę ci powiedzieć – powiedział Guy, wracając z moją szklanką. – Tylko tym razem to było morderstwo. I nie było mózgu, tylko krew. Hektolitry krwi. Naprawdę, WIADRA krwi, Cheryl!

I tak nam minął cały wieczór.

Potem wróciliśmy do obozowiska i trochę pijani stanęliśmy w kółku przy naszych namiotach, rozmawiając w ciemności, aż znów zaczęło padać i nie mieliśmy innego wyboru, jak tylko się rozejść i życzyć sobie nawzajem dobrej nocy. Kiedy weszłam do namiotu, zobaczyłam, że na końcu zrobiła się mała kałuża. Rano było to już jezioro, a mój śpiwór całkiem przemókł. Wytrzepałam go i rozejrzałam się za miejscem, gdzie mogłabym go rozwiesić, ale wiedziałam, że to nie pomoże. Deszcz nie przestawał padać i śpiwór zrobiłby się tylko jeszcze bardziej mokry. Wzięłam go ze sobą, kiedy wraz z Trzema Młodymi Byczkami poszliśmy do sklepu, i w czasie gdy piliśmy kawę, umieściłam go w pobliżu pieca.

– Wymyśliliśmy ci szlakowe imię – powiedział Josh.

– Jakie? – zapytałam niechętnie, zasłaniając się materiałem swojego przemoczonego niebieskiego śpiwora, jakby mógł mnie ochronić przed tym, co za chwilę usłyszę.

– Królowa PCT – powiedział Richie.

– Bo ludzie zawsze chcą ci coś dać i coś dla ciebie zrobić – dodał Rick. – Nam nigdy nic nie dają. W ogóle mają nas w nosie.

Opuściłam śpiwór, spojrzałam na nich i wszyscy się roześmialiśmy. Przez cały ten czas, gdy próbowałam odpowiedzieć sobie na pytanie, czy boję się być samotną kobietą – założywszy, że samotne kobiety są łatwym celem – raz za razem wszyscy okazywali mi życzliwość. Poza przyprowadzającym o gęsią skórkę zdarzeniem z blondynem, który zatkał mi filtr, oraz parą, która wyrzuciła mnie z kempingu w Kalifornii, mogłam przytoczyć same dowody wielkoduszności. Świat i jego mieszkańcy na każdym kroku przyjmowali mnie z otwartymi ramionami.

Jak na komendę starszy mężczyzna nachylił się nad kasą:

– Panienko, chciałem tylko powiedzieć, że jeśli chciałaby panienka zostać tu kolejną noc, żeby się wysuszyć, to damy panience jeden z domków właściwie za darmo.

Spojrzałam na Trzech Młodych Byczków pytającym wzrokiem.

Wystarczył kwadrans, byśmy przenieśli się do domku i rozwiesili nasze namoknięte śpiwory pod zakurzonymi krokwiemi. Domek składał się z jednego wyłożonego drewnem pokoju, który zajmowały niemal w całości dwa podwójne łóżka na przedpotopowych metalowych ramach, skrzypiących od samego stania obok.

Kiedy już się rozgościliśmy, wróciłam do sklepu w deszczu, żeby kupić nam jakieś przekąski. Gdy weszłam do środka, przy piecu stała Lisa. Lisa z Portland. Lisa, która przez całe lato nadawała mi wszystkie paczki. Lisa, do której za tydzień miałam się wprowadzić.

– Cześć! – wrzasnęła mi w ucho, gdy padłyśmy sobie w objęcia. – Przeczuwałam, że tu będziesz właśnie teraz – powiedziała, kiedy trochę ochłonęłyśmy. – Postanowiliśmy przyjechać i sprawdzić.

Odwróciła się w stronę swojego chłopaka Jasona, a ja uściśniłam mu dłoń. Poznałam go przelotnie dawno temu, zanim wyjechałam z Portland na wyprawę PCT, kiedy dopiero zaczęli się spotykać. Widok ludzi z mojego dawnego, znanego mi świata był surrealistycznym doświadczeniem, na dodatek trochę smutnym, bo jednocześnie cieszyłam się i byłam rozczarowana tym, że ich widzę. Ich obecność zdawała się przyspieszać koniec mojej wędrówki, dodatkowo podkreślając fakt, że choć miałam przed sobą jeszcze tydzień drogi, Portland znajdowało się tylko 145 kilometrów stąd.

Wieczorem wszyscy wsiedliśmy do pick-upa Jasona i pojechaliśmy krętą leśną drogą do gorących źródeł Bagby. Bagby jest jak raj w lesie: trójpoziomowa konstrukcja drewnianych pokładów, na których znajdują się najróżniejsze konfiguracje bali nad gorącym strumieniem, niecałe 3 kilometry piechotą od parkingu w lasach państwowych Mount Hood. Nie jest to ani biznes, ani kurort, ani ustronie. To po prostu miejsce, z którego każdy może skorzystać bezpłatnie i kiedy

zechce, jeśli tylko ma ochotę moczyć się w naturalnych wodach pod baldachimem wiekowych daglezi, świerków i cedrów. Istnienie tego miejsca wydawało się jeszcze bardziej nierealne niż Lisa w sklepie nad Olallie.

Mieliśmy właściwie całe miejsce dla siebie. Trzy Młode Byczki i ja poszliśmy na niższy pokład, gdzie znajdowały się długie ręcznie żłobione balie, wielkie jak czółna, zrobione z wydrążonych cedrów, osłonięte wysokim, rozłożystym zadaszeniem. Deszcz padał delikatnie na bujne gałęzie otaczających nas wielkich drzew i gdy rozbieraliśmy się w półmroku, moje oczy prześlizgiwały się po ich nagich ciałach. Rick i ja weszliśmy do sąsiadujących wanien i odkręciliśmy kurki, jęcząc, kiedy gorąca, bogata w minerały woda zaczęła wypełniać wannę. Przypomniała mi się kąpiel w hotelu w Sierra City, zanim wyruszyłam w śnieg. To, że byłam tu teraz, kiedy pozostał mi zaledwie tydzień wędrówki, wydawało mi się w porządku – jakbym przetrwała ciężki i piękny sen.

W drodze do Bagby jechałam z przodu z Lisą i Jasonem, ale w drodze powrotnej nad jezioro usiadłam z tyłu z Trzema Młodymi Byczkami, czując się czystą, rozgrzaną i szczęśliwą, kiedy wgramoliłam się na materac rozpostarty na pacy.

– Tak przy okazji, ten materac jest twój – powiedziała Lisa, zanim zamknęła za nami klapę. – Wzięłam go z twojego auta, na wypadek, gdybyśmy chcieli zostać na noc.

– Witajcie w moim łóżku, chłopcy – powiedziałam, udając pożądlivy głos, by zamaskować, jak zdezorientowana się poczułam, słysząc, że to naprawdę moje łóżko: materac, na którym przez lata spaliśmy z Paulem.

Myśl o Paulu przyćmiła nieco mój ekstatyczny nastrój. Nie otworzyłam jeszcze przysłanego przez niego listu, w przeciwieństwie do normalnej euforii, która zwykle ogarniała mnie przy rozrywaniu kopert. Widok jego znajomego charakteru pisma tym razem wywołał u mnie wahanie. Postanowiłam przeczytać go, kiedy znów znajdę się na szlaku, może dlatego, że wiedziałam, iż w ten sposób nie będę w stanie od razu wysłać mu odpowiedzi i powstrzyma mnie to od wypowiedziania pochopnych, żarliwych słów, które już nie były prawdziwe.

„W głębi serca zawsze będę twoją żoną” – powiedziałam mu w dniu, kiedy złożyliśmy papiery rozwodowe. Minęło dopiero pięć miesięcy, ale już wątpiłam w to,

co powiedziałam. Moja miłość do niego była niepodważalna, moja lojalność – tak. Nie byliśmy już małżeństwem i kiedy sadowiłam się obok Trzech Młodych Byczków na łóżku, które kiedyś dzieliłam z Paulem, czułam się z tym pogodzona, jakby to, co było niejasne, nagle się wyjaśniło.

Nasza czwórka leżała na całej szerokości materaca, kiedy pick-up jechał z powrotem po wyboistych ciemnych drogach – ja, Rick, Josh i Richie, w tej właśnie kolejności na podłodze paki. Nie było nawet centymetra wolnej przestrzeni, tak jak poprzedniego wieczora na kanapie u dziwnego strażnika. Bok Ricka był przyciśnięty do mojego, a jego głowa leciutko nachylona w moją stronę. Niebo w końcu się przejaśniło i mogliśmy zobaczyć księżyc niemal w pełni.

– Popatrz – powiedziałam do Ricka, wskazując na niebo.

Cicho rozmawialiśmy o księżycach, które widzieliśmy na szlaku, o tym, gdzie byliśmy, co widzieliśmy po drodze i co nas jeszcze czeka.

– Będziesz musiała dać mi numer Lisy, żebyśmy mogli się spotkać w Portland – powiedział. – Też tam zamieszkam po skończeniu szlaku.

– Jasne, trzeba się spotkać – odparłam.

– Koniecznie – powiedział i spojrział na mnie czule, sprawiając, że zmiękły mi kolana.

Zdałam sobie jednak sprawę, że choć lubię go może i tysiąc razy bardziej niż wielu facetów, z którymi poszłam do łóżka, nie miałam zamiaru go tknąć, bez względu na to, jak bardzo chciałam. Byłam od tego tak daleka jak od księżyca. Nie tylko dlatego, że był młodszy albo że jego dwaj koledzy leżeli tuż obok, ale dlatego, że tym razem wystarczyło mi po prostu leżeć w niewinnym zachwycie obok uroczego, silnego, seksownego, mądrego, dobrego mężczyzny, który prawdopodobnie nie miał być dla mnie nigdy nikim więcej niż tylko przyjacielem. Tym razem nie pragnęłam kogoś do pary. Tym razem określenie „kobieta z dziurą w sercu” nie wpadło mi nagle do głowy. Te słowa już dla mnie nie istniały.

– Cieszę się, że cię poznałam – powiedziałam.

– Ja też – odparł Rick. – Kto by się nie cieszył, że poznał Królową PCT.

Uśmiechnęłam się do niego i odwróciłam, żeby znów popatrzeć na księżyc, nadal

w pełni świadoma ciepłego boku Ricka przy moim, kiedy tak leżeliśmy w wyjątkowej, świadomej ciszy.

– Piękne – Rick odezwał się po pewnym czasie. – Naprawdę piękne – powtórzył z naciskiem po raz drugi.

– Co? – zapytałam, odwracając się do niego, choć wiedziałam.

– Wszystko – odpowiedział.

Święta prawda.

Rozdział 19

The Dream of a Common Language

Następnego ranka niebo było bezchmurne, a słońce odbijało się migotliwie od jeziora Olallie. Mount Jefferson wyłonił się na południu, a Olallie Butte na północy. Usiadłam na jednym ze stołów piknikowych niedaleko posterunku strażnika leśnego i pakowałam Monstrum na ostatni odcinek wyprawy. Trzy Młode Byczki wyruszyły o świcie, spiesząc się, by dotrzeć do Kanady, zanim wysokie pasma Gór Kaskadowych w stanie Waszyngton zostaną zasypane śniegiem. Ja nie miałam zamiaru iść tak daleko. Mogłam się nie spieszyć.

Z zamyślenia wyrwał mnie Guy, który – tym razem trzeźwy – podszedł do mnie z pudełkiem w dłoni.

– Cieszę się, że cię złapałem przed wymarszem. Właśnie do ciebie przyszło – powiedział.

Wzięłam od niego paczkę i spojrzałam na adres zwrotny. Przesyłkę nadała moja przyjaciółka Gretchen.

– Dzięki za wszystko – powiedziałam do Guya, kiedy odchodził. – Za drinki przedwczoraj i za gościnę.

– Uważaj na siebie – powiedział i zniknął za rogiem budynku.

Rozerwałam pudło i aż zaparło mi dech w piersiach, kiedy zobaczyłam, co jest w środku: tuzin wykwintnych czekoladek w błyszczących sreberkach i butelka czerwonego wina. Niektóre czekoladki zjadłam od razu, zastanawiając się, co zrobić z winem. Choć bardzo chciałam otworzyć je dziś wieczorem na szlaku, nie miałam ochoty tachać ze sobą pustej butelki aż do hotelu Timberline Lodge. Zapakowałam ostatnie rzeczy, zapięłam Monstrum, wzięłam wino i puste pudełko i poszłam w stronę posterunku.

– Cheryl! – rozbrzmiał gromki głos, więc się odwróciłam.

– Jesteś tutaj! Dogoniłem cię! Dogoniłem! – krzyczał mężczyzna idący w moją stronę.

Byłam tak zaskoczona, że upuściłam pudło na trawę, a mężczyzna uniósł pięści do góry i zawył radośnie, co wydało mi się znajome, choć nie mogłam skojarzyć, kto to. Był młody, brodaty i opalony. Inny, a jednak taki sam jak wtedy, gdy ostatnio go widziałam.

– Cheryl! – krzyknął raz jeszcze, rzucając się, by mnie uściskać.

Miałam wrażenie, że czas płynął w zwolnionym tempie od chwili, kiedy jeszcze nie wiedziałam, kto to, do momentu, gdy dotarło do mnie, że się znamy, ale nie mogłam sobie tego uświadomić, aż po chwilę, kiedy w jego objęciach krzyknęłam:

– DOUG! Doug, Doug, Doug! – powtarzałam.

– Cheryl, Cheryl, Cheryl!

Zrobiliśmy krok do tyłu, by spojrzeć na siebie.

– Schudłś – zauważył.

– Ty też – odparłam.

– Jesteś teraz wytrawnym piechurem – powiedział.

– Wiem. Ty też.

– Mam brodę – powiedział, pociągając za nią. – Mam ci tyle do opowiedzenia.

– Ja tobie też. Gdzie Tom?

– Kilka kilometrów za mną. Dogoni nas później.

– Przedarliście się przez śnieg? – zapytałam.

– Częściowo, ale potem zrobiło się dość poważnie, musieliśmy zejść niżej i ostatecznie ominąć ten etap.

Pokręciłam głową, nadal nie wierząc, że przy mnie stoi. Powiedziałam mu o Gregu i zapytałam o Alberta i Matta.

– Nie miałem od nich żadnych wieści od naszego ostatniego spotkania. – Spojrzał na mnie i uśmiechnął się, a jego oczy zabłysły. – Całe lato czytaliśmy twoje zapiski w rejestrach szlaku. Motywowały nas, żeby się nie poddawać. Chcieliśmy cię dogonić.

– Właśnie miałam ruszać dalej – powiedziałam. Nachyliłam się, żeby podnieść puste pudło, które upuściłam w ekscytacji. – Jeszcze minuta i by mnie tu nie było, i kto wie, czy byście mnie wtedy dogonili.

– Ja na pewno bym cię dogonił – powiedział i zaśmiał się śmiechem złotego chłopca, który pamiętałam tak wyraźnie.

Teraz pobrzmiwała w nim też inna nuta. Doug miał więcej charakteru niż wcześniej, więcej przeżyć, jakby postarzał się o kilka lat przez ostatnich parę miesięcy.

– Poczekasz, aż się przepakuję? Będziemy mogli wyruszyć dalej razem.

– Jasne – odpowiedziałam bez zawahania. – Muszę sama przejść kilka ostatnich dni, zanim dostanę się do Cascade Locks, żeby zakończyć tak, jak zaczęłam, ale do Timberline Lodge możemy pójść razem.

– Jasna cholera, Cheryl! – Raz jeszcze mnie przytulił. – Nie wierzę, że jesteśmy tu razem. O, nadal masz to czarne pióro, które ci dałem. – Dotknął jego poszarpanego brzegu.

– To był mój amulet na szczęście – powiedziałam.

– A co to za wino? – zapytał, wskazując butelkę, którą trzymałam w dłoni.

– Mam zamiar dać je strażnikowi – odparłam, podnosząc je wyżej. – Nie chcę nieść pustej butelki aż do Timberline.

– Oszalałaś? – oburzył się Doug. – Dawaj ją.

Otworzyliśmy ją tego samego wieczoru, gdy rozbiliśmy obóz nad brzegiem Warm Springs River, korkociągiem z mojego szwajcarskiego scyzoryka. Temperatura podniosła się do nieco ponad 20 stopni, ale wieczór był chłodny, a rzeński koniec lata wszędzie wokół nas przechodził w jesień. Liście na drzewach przerzedziły się nie wiadomo kiedy, a długie łodygi dzikich kwiatów nachylały się nad sobą, napęczniałe zgnilizną. Rozpaliliśmy z Dougiem ognisko, gdy szykowały się nasze posiłki, a potem usiedliśmy i zjedliśmy je z garnków, przekazując sobie butelkę i pociągając wino prosto z gwinta, bo żadne z nas nie miało kubka. Wino, ognisko i towarzystwo Douga po tak długim czasie były jak rytuał przejścia, jak ceremonia ku uczczeniu końca mojej podróży.

Po pewnym czasie oboje gwałtownie odwróciliśmy się w stronę ciemności, słysząc skomlenie kojotów niedaleko od nas.

– Ten dźwięk zawsze sprawia, że włosy mi się jeżą – powiedział Doug. Napił się

z butelki i podał mi ją. – To wino jest naprawdę dobre.

– To prawda – przytaknęłam i wzięłam łyk. – Tego lata często słyszałam kojoty.

– I nie bałaś się, prawda? To właśnie sobie powtarzałaś?

– Tak, właśnie to – odparłam. – Z małymi wyjątkami – dodałam. – Kiedy naprawdę się bałam.

– Ja też.

Wyciągnął rękę i uściśnął mi ramię. Nie był moim bratem, ale mi go przypominał. Robił na mnie wrażenie kogoś, kogo zawsze będę znać, choć nigdy więcej go nie zobaczę.

Kiedy opróżniliśmy butelkę, poszłam do Monstrum i wyciągnęłam strunową torebkę z moimi książkami.

– Chcesz coś do poczytania? – zapytałam Douga, podając mu *The Ten Thousand Things*, których nie byłam w stanie spalić ze względu na deszcz.

W przeciwieństwie do innych książek, które czytałam na szlaku, znałam to już wcześniej. Była to niezwykle liryczna powieść dziejąca się na Molukach w Indonezji, napisana w języku holenderskim i opublikowana w 1955 roku. Choć książka spotkała się z uznaniem krytyków, teraz nikt prawie o niej nie pamiętał. Nie spotkałam nikogo, kto by ją znał, z wyjątkiem moich wykładowców, którzy kazali mi ją przeczytać na seminarium z literatury, na jakie byłam zapisana, gdy mama zachorowała. Czytałam więc tę książkę, kiedy twardo przesiadywałam w pokoju mamy, próbując zapomnieć o lękach i smutku, zmuszając umysł, by skupił się na fragmentach, do których miałam zamiar odnieść się na ćwiczeniach w następnym tygodniu, ale wszystko na próżno. Nie potrafiłam myśleć o niczym innym, tylko o mamie. Poza tym wiedziałam już wszystko o dziesięciu tysiącach rzeczy. Były to wszelkie nazwane i nienazwane przedmioty na świecie, które zebrane razem nie były w stanie przebić tego, jak bardzo kochała mnie mama. A ja ją. Kiedy więc pakowałam się na PCT, postanowiłam dać tej książce jeszcze jedną szansę. Nie miałam problemu, by tym razem się nad nią skupić. Rozumiałam wszystko od pierwszej strony. Każde ze zdań Dermoût ukłuło mnie jak miękki, znaczący sztylet, opisujący odległe lądy, które wydawały mi się jak krew wszystkich miejsc, jakie kiedyś kochałam.

– Chyba pójdę się położyć – powiedział Doug, trzymając w dłoni pustą butelkę. – Tom pewnie dogoni nas jutro.

– Zgaszę ogień – powiedziałam.

Kiedy poszedł, wydarłam strony *The Ten Thousand Things* z lepkiej papierowej okładki i wrzuciłam je do ognia w cienkich podartych plikach, popychając je patykiem, aż zupełnie spłonęły. Gdy tak wpatrywałam się w płomienie, jak zawsze, gdy siedziałam przy ognisku, pomyślałam o Eddie. To on nauczył mnie, jak ułożyć ognisko. To Eddie po raz pierwszy zabrał mnie pod namiot. Pokazał mi, jak go postawić i zawiązać węzeł na linie. Od niego nauczyłam się, jak otworzyć puszkę scyzorykiem, jak wiosłować w kajaku i puszczać kaczki. W ciągu trzech lat, od kiedy zakochał się w mamie, praktycznie co weekend od czerwca do września zabierał nas pod namioty i na kajaki po rzekach Minnesota, St. Croix i Namekagon, a kiedy przeprowadziliśmy się na północ na ziemię, którą kupiliśmy za odszkodowanie za jego uszkodzone plecy, jeszcze więcej nauczył mnie o lesie.

Nie wiadomo, dlaczego niektóre rzeczy się dzieją, a inne nie. Co do czego prowadzi. Co będzie niszczyć. Co sprawia, że jedna rzecz rozkwita, a druga umiera lub zmierza w inną stronę. Tamtego wieczoru byłam jednak całkiem pewna, że gdyby nie Eddie, nie dałabym sobie rady na PCT. I mimo że wszystko, co do niego czułam, leżało mi kamieniem na piersi, ta świadomość sprawiła, że kamień wydał mi się dużo lżejszy. Bo choć Eddie ostatecznie nie kochał mnie wystarczająco mocno, to jednak kochał mnie mocno wtedy, kiedy to miało największe znaczenie.

Gdy *The Ten Thousand Things* zamieniło się w popiół, wyciągnęłam z torebki drugą książkę. Był to tomik *The Dream of a Common Language*. Niosłam go całą tę drogę, choć nie otworzyłam go ponownie od pierwszego wieczoru na szlaku. Nie musiałam. Wiedziałam, co jest w nim napisane. Jego wersy całe lato przewijały się przez składankową radiostację w mojej głowie, tak jak pełne fragmenty poezji, a czasem tylko sam tytuł tomiku, który również pochodził z wiersza. Otworzyłam książkę i przejrzałam ją, nachylając się, by móc odczytać słowa przy świetle płomieni. Czytałam po wersie lub dwóch z około tuzina różnych wierszy, a każdy z nich był mi tak znajomy, że przynosił dziwne ukojenie. W myślach powtarzałam sobie te wszystkie wersy przez długie dni wędrówki. Często nie wiedziałam

dokładnie, co oznaczają, ale był też inny sposób, dzięki któremu znałam ich pełen sens. Był przede mną, ale poza moim zasięgiem, jak ryba tuż pod powierzchnią wody, którą chciałam złapać gołymi rękami – tak bliska i obecna, i należąca do mnie, dopóki po nią nie sięgałam i nie znikwała w mgnieniu oka.

Zamknęłam książkę i spojrzałam na jej beżową okładkę. Nie było powodu, by i ją spalić.

Zamiast tego przytuliłam ją do siebie.

Dotarliśmy do Timberline Lodge kilka dni później. Nie szliśmy już z Dougiem sami. Dogonił nas Tom, a potem dołączyły też dwie kobiety – dwudziestoparoletnia ekspara, która wędrowała przez Oregon i niewielką część Waszyngtonu. Nasza piątka trzymała się dwójkami i trójkami, a czasem szliśmy wszyscy razem, niczym luźna, wesoła wycieczka, której nastrój poprawia przyjemna słoneczna pogoda. Podczas długich przerw graliśmy w zośkę i kąpaliśmy się nago w lodowatej wodzie w jeziorze, rozzłościśmy też rój szerszeni i uciekliśmy przed nimi, wrzeszcząc wniebogłosy. Kiedy dotarliśmy do Timberline Lodge, jakieś 1800 metrów nad poziomem morza na południowym zboczu Mount Hood, byliśmy zgrani jak plemię połączone więzią, jaka – jak sobie wyobraziłam – łączy dzieci po tygodniu pobytu na letnim obozie.

Było późne popołudnie, kiedy znaleźliśmy się na miejscu. W holu nasza piątka zajęła dwie zwrócone ku sobie kanapy, które dzielił niski drewniany stół. Zamówiliśmy okropnie drogie kanapki, po czym napiliśmy się kawy z odrobiną baileysa, grając w pokera i remika talią kart, którą pożyczyliśmy od barmana. Nad nami tuż za oknem hotelu wznosił się stok Mount Hood. 3426 metrów czyni tę górę najwyższym szczytem Oregonu. Tak jak inne szczyty w Górach Kaskadowych, które od czerwca mijałam na południe od Lassen Peak, to też był wulkan. Ten ostatni z okazałych szczytów na trasie mojej wędrówki wydawał mi się najważniejszy, nie tylko dlatego, że właśnie na nim siedziałam. Widok tej góry stał mi się bliski, a jej imponująca wielkość była widoczna z Portland w bezchmurne dni. Kiedy dotarłam do Mount Hood, zdałam sobie sprawę, że czułam się trochę tak, jakbym była w domu. Portland – gdzie właściwie nigdy nie mieszkałam na stałe, pomijając osiem czy

dziewięć miesięcy, które spędziłam tam ponad dwa lata temu – znajdowało się tylko 95 kilometrów stąd.

Z daleka widok Mount Hood za każdym razem zapierał mi dech w piersiach, z bliska góra wyglądała jednak inaczej, tak jak wszystko. Była mniej majestatyczna, bardziej pospolita, a jej surowy charakter bardziej nieprzenikniony. Krajobraz za południowymi oknami hotelu nie przedstawiał lśniących białych czubków, które widzi się z wielu kilometrów, ale szary i nieco goły stok, na którym znajdowały się rozrzucone sosny i niewielkie ilości łubinu i astrów pomiędzy skałami. Naturalny krajobraz przerywał wyciąg narciarski, który prowadził do położonej wyżej śnieżnej skorupy. Cieszyłam się, że na jakiś czas mogę się schronić przed górą, usadowiona wygodnie w pięknym hotelu, surowym raj. Jego wielka konstrukcja z drewna i kamienia powstała z ręcznie ciosanych skał, zbudowana przez pracowników Work Progress Administration w latach trzydziestych. Wszystko w tym miejscu było świadectwem historii. Obrazy na ścianach, architektura budynku, ręcznie tkane narzuty, które przykrywały meble – każdy element powstał, by odzwierciedlać historię, kulturę i naturalne bogactwa Wybrzeża Północno-Zachodniego.

Przeprosiłam towarzystwo i przespacerowałam się po hotelu, a potem zajrzałam na szerokie patio wychodzące na południe. Był bezchmurny, słoneczny dzień i widoczność sięgała ponad 100 kilometrów. Mogłam dojrzeć wiele gór, obok których przeszłam – dwie z Trzech Sióstr, Mount Jefferson i Broken Finger.

„Podskok, sus, obrót i koniec” – pomyślałam. Dotarłam. Byłam prawie na miejscu. Ale jeszcze nie skończyłam. Nadal miałam do przejścia 80 kilometrów do Bridge of the Gods.

Następnego ranka pożegnałam się z Dougiem, Tomem i dwiema kobietami i sama wyruszyłam na szlak, by po krótkiej stromej ścieżce, która prowadziła od hotelu, dotrzeć do PCT. Przeszłam pod wyciągiem i obrałam kurs na północ i na zachód, wokół bocznej grani Mount Hood, szlakiem, który wyglądał jak zniszczona skała, wysmagana srogimi zimami i grubym piaskiem. Kiedy weszłam do rezerwatu Mount Hood dwadzieścia minut później, z powrotem znalazłam się w lesie i poczułam, jak ogarnia mnie cisza.

Tak dobrze było znów być w pojedynkę. Niewiarygodne uczucie. Była połowa

września, ale słońce świeciło jasno, a niebo było błękitne. Szlak rozpościerał przede mną ciągnące się kilometrami widoki, po czym znów zamykał mnie w gęstym lesie i znów odsłaniał. Szłam jakieś 15 kilometrów bez przerwy, przekroczyłam Sandy River i zatrzymałam się na postój na małej skalnej półce, skąd podziwiałam przeciwległy brzeg. Do tej pory pozbyłam się niemal wszystkich stron *The Pacific Crest Trail*, tom 2: *Oregon and Washington*. To, co zostało, trzymałam złożone w kieszeni szortów. Wyciągnęłam kartki i jeszcze raz przeczytałam je aż do końca. Cieszyłam się na perspektywę dotarcia do Cascade Locks i smuciłam się tym jednocześnie. Nie miałam pojęcia, jak to się stało, że mieszkanie w lesie, spanie na ziemi w namiocie i samotny marsz przez głuszę zaczęły mi się wydawać codziennością, ale tak się właśnie stało. Przeraziła mnie myśl, że to się zmieni.

Poszłam do rzeki i przykucnęłam, aby opryskać wodą twarz. W tym miejscu i o tej porze roku koryto było płytkie i wąskie, niewiele różniło się od strumyka. „Gdzie jest mama?” – zastanawiałam się. Niosłam ją w sobie tak długo, przygnieciona jej ciężarem.

„Po drugiej stronie rzeki” – pomyślałam sobie.

I coś we mnie pękło.

Podczas kolejnych dni minęłam Ramona Falls i szłam po obrzeżach rezerwatu Kolumbia. Widziałam Mount St. Helen, Rainier i Adams daleko na północy. Gdy dotarłam do jeziora Wahtum, zeszałam z PCT na alternatywną trasę polecaną przez autorów przewodnika, która miała doprowadzić mnie do Eagle Creek, przełomu Kolumbii, aż w końcu do samej rzeki, która biegła przy Cascade Locks.

Tego ostatniego dnia wędrówki schodziłam ciągle w dół, pokonując wysokość 1200 metrów na odcinku zaledwie 25 kilometrów. Strumyki, potoki i wszystkie źródelka, które mijałam przy szlaku, też kierowały się w dół. Czułam, jakby rzeka przyciągała mnie do siebie jak wielki magnes. Zbliżałam się ku końcowi. Zatrzymałam się na noc na brzegu Eagle Creek. Była piąta po południu i zostało mi tylko niecałe 10 kilometrów od Cascade Locks. Mogłabym dotrzeć do miasteczka po ciemku, ale nie chciałam w ten sposób kończyć wyprawy. Chciałam zrobić to powoli, zobaczyć rzekę i Bridge of the Gods w jasnym świetle dnia.

Tego wieczora usiadłam nad Eagle Creek i patrzyłam, jak woda rozbija się o skały. Po długim zejściu stopy bolały mnie jak diabli. Nawet po całej tej drodze, gdy moje ciało osiągnęło szczyt formy, marsz PCT nadal powodował ból. Na stopach powstały nowe odciski w miejscach, które zdążyły zmięknąć dzięki stosunkowo niewielu ekstremalnym zejściom w Oregonie. Delikatnie dotknęłam ich palcem, kojąc je dotykiem. Wyglądało na to, że kolejny paznokieć był gotowy zejść z palca. Lekko go pociągnęłam i znalazł się w mojej dłoni. Szósty. Pozostały mi tylko cztery nietknięte paznokcie.

Nie remisowałam już z PCT. Szlak prowadził 6:4.

Spałam na brezentowej macie, ostatniej nocy rezygnując z ochrony namiotu, i obudziłam się o świcie, by popatrzeć, jak słońce będzie wschodzić nad Mount Hood. „To naprawdę koniec” – pomyślałam. Nie mogłam wrócić ani tego zatrzymać. To nigdy nie było możliwe. Siedziałam przez dłuższą chwilę, pozwalając promieniom słońca rozświetlić niebo i sięgnąć koron drzew. Zamknęłam oczy i słuchałam szemrania Eagle Creek.

Zmierzał ku Kolumbii tak jak ja.

Zdawało mi się, że ostatnie 6,5 kilometra do małego parkingu blisko początku Eagle Creek Trail unosiłam się nad ziemią, przytrzymywana jedynie czystym uczuciem, które można opisać tylko jako radość. Szłam spacerem przez niemal pusty parking, minęłam toalety i wkroczyłam na kolejną ścieżkę, którą miałam dotrzeć do Cascade Locks. Szlak ostro zakręcił w prawo i przede mną ukazała się Kolumbia, widoczna przez okalającą szlak siatkę, która oddzielała go od autostrady międzystanowej 84, biegnącej poniżej. Zatrzymałam się, chwyciłam siatkę i utkwiałam wzrok w rzecę. To, że w końcu miałam ją przed oczami, wydawało mi się cudem, jak gdyby po długim porodzie w moich dłoniach znalazło się maleńkie dziecko. Migocąca ciemna woda była piękniejsza, niż sobie wyobrażałam.

Szłam na wschód, wzdłuż bujnego zielonego korytarza, dawną Columbia River Highway, którą włączono do szlaku. Miejscami widziałam fragmenty asfaltu, ale w dużej mierze drogę zawłaszczył mech rosnący wzdłuż niej na skałach, drzewa nisko i ociążale zwisające nad ziemią i pająki, które tkwały swoje sieci z jednej strony

szlaku na drugą. Szłam przez pajęczyny, czując je na twarzy jak odrobinę magii i wyciągając je sobie z włosów. Słyszałam samochody jadące po autostradzie biegnącej po lewej stronie między rzeką a mną, ale nie mogłam ich dostrzec ani dosłyszeć normalnych szusów, świstu i szumu.

Kiedy wyłoniłam się z lasu, znajdowałam się w Cascade Locks, które w przeciwieństwie do innych przystanków na szlaku naprawdę było miastem, a jego populacja wynosiła nieco ponad tysiąc osób. Był piątek rano i czułam, jak ta pora i ten dzień emanują z mijanych po drodze domów. Przeszłam pod autostradą i ruszyłam ulicami, stukając kijkiem o chodnik. Kiedy zobaczyłam most, serce zaczęło mi szybciej bić. Jest to elegancki stalowy most kratowy, nazwany na cześć naturalnego mostu uformowanego w wyniku potężnego osunięcia się ziemi sprzed około trzystu tysięcy lat, które czasowo stworzyło tamę na rzece. Miejscowi rdzenni Amerykanie nazwali je Mostem Bogów. Konstrukcja zbudowana przez człowieka, która przejęła to imię, rozciąga się nad Kolumbią na szerokość jakichś 500 metrów, łącząc ze sobą Oregon i Waszyngton: miasta Cascade Locks i Stevenson po przeciwległych stronach. Po stronie Oregonu znajdował się punkt pobierania opłat i kiedy do niego podeszłam, kobieta w środku powiedziała mi, że mogę przejść przez most za darmo.

– Nie będę przechodzić – powiedziałam. – Chcę go tylko dotknąć.

Ruszyłam poboczem drogi, aż doszłam do betonowego słupka mostu, położyłam na nim dłoń i spojrzałam w dół na rzekę pode mną. Jest to największa rzeka na Wybrzeżu Północno-Zachodnim i czwarta największa w kraju. Rdzenni Amerykanie mieszkali nad nią przez tysiące lat, korzystając z niegdyś obfitych połowów łososi. Meriwether Lewis i William Clark przepłynęli Kolumbię w wydrążonych czółnach podczas ich słynnej ekspedycji w 1805 roku. Sto dziewięćdziesiąt lat później, dwa dni przed moimi dwudziestymi siódmymi urodzinami, stałam właśnie w tym miejscu.

Dotarłam do celu. Udało mi się. Była to niewielka i monumentalna rzecz jednocześnie, jak sekret, który zawsze będę sobie powtarzać, choć nie wiedziałam jeszcze, czego dotyczy. Stałam tak przez kilka minut, pozwalając mijać się samochodom i ciężarówkom, czując, że mogę się rozplakać, ale nie rozplakałam się.

Wiele tygodni wcześniej podsłuchiłam na szlaku, że kiedy dotrę do Cascade

Locks, muszę zajrzeć do restauracji East Wind Drive-In na tamtejsze słynne ogromne lody w waflu. Na tę okoliczność zaoszczędziłam kilka dolarów w Timberline Lodge. Opuściłam most i poszłam ruchliwą ulicą równoległą do rzeki i autostrady międzystanowej. Droga i znaczna część miasta były wciśnięte pomiędzy nie. Nadal było wcześnie i restauracja nie została jeszcze otwarta, więc usiadłam przed nią na małej białej ławeczce, z Monstrum przy boku.

Jeszcze tego samego dnia miałam znaleźć się w Portland. Było tylko 70 kilometrów stąd na zachód. Miałam dziś spać na swoim materacu i pod dachem. Rozpakuję płyty i sprzęt grający i będę słuchać, czego tylko zechcę. Włożę czarny koronkowy stanik, majtki i jeansy. Zjem i wypiję, co się tylko będzie dało. Pojadę swoim pick-upem, dokąd zechcę. Włączę komputer i napiszę powieść. Wezmę pudła pełne książek, które przywiozłam z Minnesoty, i sprzedam je w antykwariacie, żeby mieć gotówkę na start. Zorganizuję garażową wyprzedaż, by zgromadzić jakieś pieniądze na życie do chwili, gdy znajdę pracę. Rozłożę swoje sukienki z second-handu, minilornetkę i składaną piłę na trawie i sprzedam, za ile się będzie dało. Myśl o tym wszystkim mnie zadziwiła.

– Otwarte – zawołała kobieta, wystawiając głowę przez wahadłowe drzwi restauracji.

Zamówiłam czekoladowo-waniliowe. Kilka chwil później kobieta podała mi lody, wzięła moje dwa dolary i oddała mi dwie dziesięciocentówki reszty. To były moje ostatnie pieniądze. Dwadzieścia centów. Usiadłam na białej ławeczce i zjadłam rożek, a potem znów patrzyłam na samochody. Byłam jedyną klientką do chwili, gdy na parkingu zatrzymało się czarne BMW i wysiadł z niego młody mężczyzna w garniturze.

– Cześć – powiedział, przechodząc koło mnie.

Był mniej więcej w moim wieku, włosy miał zaczesane do tyłu na żelu, a jego buty były nienagannie czyste. Kiedy kupił swoją porcję, wrócił i stanął niedaleko mnie.

– Wędrowałaś z plecakiem?

– Tak. Szłam Pacific Crest Trail. Przeszłam ponad 1700 kilometrów –

powiedziała zbyt podekscytowana, by się powstrzymać. – Właśnie dziś rano skończyłam wędrówkę.

– Naprawdę?

Pokiwałam głową i roześmiałam się.

– To niewiarygodne. Zawsze chciałem coś takiego zrobić. Udać się na wielką wyprawę.

– Powinieneś. Jeśli ja mogłam, to każdy może.

– Nie dostanę urlopu. Jestem adwokatem – powiedział. Wyrzucił niezjedzoną połowę porcji do śmieci i wytarł dłonie w chusteczkę. – Co masz teraz zamiar robić?

– Jadę do Portland. Przez jakiś czas będę tam mieszkać.

– Też tam mieszkam. Wracam tam teraz. Z chęcią cię podwiozę, jeśli chcesz.

– Dzięki – odparłam. – Chcę jeszcze trochę zostać, żeby się tym wszystkim nacieszyć.

Wyciągnął z portfela wizytówkę i podał mi ją.

– Zadzwoń, jak się już urządzisz. Chętnie zabiorę cię na lunch, żebyś poopowiadała mi więcej o tej wyprawie.

– Okej – powiedziałam, spoglądając na wizytówkę.

Była biała, z niebieskimi tłoczonymi literami. Relikt z innego świata.

– Miło było cię poznać przy tym monumentalnym skrzyżowaniu – powiedział.

– Mnie też było miło – powiedziałam, ściskając mu dłoń.

Kiedy odjechał, odchyliłam głowę i zamknęłam oczy, czując łzy, których spodziewałam się przy moście. „Dziękuję” – myślałam bez przerwy. „Dziękuję”. Nie tylko za długi marsz, ale za wszystko, co w końcu we mnie wezbrało, za wszystko, czego nauczył mnie szlak, i za to, czego nie mogłam jeszcze wiedzieć, choć w jakimś sensie czułam, że już we mnie jest. Jak tego, że nie zobaczę już więcej mężczyzny w BMW, ale za cztery lata przekroczy Most Bogów z innym mężczyzną i wyjdę za niego za mąż w miejscu, które mogłam niemal zobaczyć z białej ławeczki. Że dziewięć lat później ten mężczyzna i ja będziemy mieli syna imieniem Carver, a za kolejne półtora roku córkę imieniem Bobbi. Że za piętnaście lat przywiozę rodzinę na tę samą ławkę i nasza czwórka zje lody w wafelku, podczas gdy będę im opowiadać

o tym, że kiedyś już tu byłam, kiedy skończyłam bardzo długą wyprawę Pacific Crest Trail. I że dopiero wtedy znaczenie mojej podróży ujawni się we mnie – wciąż powtarzany sekret w końcu się wyjaśni.

Co przywiedzie mnie do tej opowieści.

Nie wiedziałam wtedy, że spróbuję sięgnąć wstecz i odnaleźć ludzi, których poznałam na szlaku. Nie wiedziałam, że w niektórych przypadkach mi się to uda, w innych nie. Albo że natknę się na coś, czego bym się nie spodziewała – nekrolog Douga. Nie mogłam wtedy wiedzieć, że przeczytam, że zmarł dziewięć lat po naszym spotkaniu na PCT. Zginął w wypadku kitesurfingowym w Nowej Zelandii. Albo że po tym, jak płakałam nad tym złotym chłopcem, pójdę w najodleglejszy koniec piwnicy, gdzie na dwóch zardzewiałych gwoździach wisiało Monstrum, i zobaczę krucze pióro, które dał mi Doug, złamane i wystrzępione, ale nadal obecne – wetknięte pod ramę mojego plecaka, tam, gdzie umieściłam je wiele lat temu.

Nie mogłam o tym wiedzieć, siedząc na białej ławeczce u krańca podróży. Wszystkiego poza faktem, że nie musiałam wiedzieć. Wystarczyło wierzyć, że to, co zrobiłam, było prawdziwe. Rozumieć znaczenie, choć nie byłam w stanie dokładnie powiedzieć, co oznacza, jak wszystkie wersy z *Dream of a Common Language*, które wypełniały mi dni i noce. Wierzyć, że nie muszę sięgać gołymi rękami. Wiedzieć, że zobaczenie ryby pod powierzchnią wody wystarczy. Że to było wszystko. To było moje życie – jak każde życie – tajemnicze, nieodwołalne i święte. Tak bardzo bliskie, tak bardzo obecne i tak bardzo do mnie należące.

Jakie dzikie i szalone było pozwolić mu płynąć.

Podziękowania

„Miigwech” to słowo z języka Odżibwejów, które często słyszałam, dorastając w północnej Minnesocie, i czułam się w obowiązku, by go tu użyć. Znaczy „dziękuję”, ale i więcej – przepełnia je pokora i wdzięczność. Taka właśnie się czuję, gdy myślę o ludziach, którzy pomogli mi stworzyć tę książkę: pokorna i wdzięczna.

Najgłębsze miigwech jestem winna swojemu mężowi Brianowi Lindstromowi za to, że kocha mnie ponad miarę, zarówno w życiu, jak i w mojej literackiej fikcji. Dziękuję ci, Brian.

Jestem niezmiernie wdzięczna Oregon Arts Comission, Regional Arts and Culture Council i Literary Arts, które zapewniły mi fundusze i wsparcie, kiedy pisałam tę książkę, oraz w trakcie całej mojej pisarskiej kariery; Gregowi Netzerowi i Larry’emu Coltonowi z Festiwalu Wordstock za stałe zaproszenia, konferencjom pisarzy Bread Loaf Writers oraz Sewanee Writers za znaczące wsparcie w całym tym procesie.

Przeważającą część niniejszej książki napisałam, siedząc przy stole w swojej jadalni, jednak najistotniejsze rozdziały powstały z dala od domu. Jestem wdzięczna Soapstone za lokum, które mi zapewnili, a w szczególności Ruth Gundle, byłej dyrektor Soapstone, która była dla mnie szczególnie hojna na wczesnych etapach powstawania tej książki. Z głębi serca dziękuję Sally i Conowi Fitzgeraldom, którzy byli nadzwyczaj życzliwymi gospodarzami, kiedy pisałam ostatnie rozdziały powieści w ich pięknym i spokojnym „maleńkim domku” w Warner Valey w Oregonie. Dziękuję również niezrównanej Jane O’Keefe, która umożliwiła mi bytowanie w Warner Valley i zarówno pożyczyła mi swój samochód, jak i robiła zakupy.

Dziękuję mojej agentce Janet Silver oraz jej współpracownikom z Zachary Shuster Harmsworth Agency. Janet, jesteś moją przyjaciółką, mistrzynią i literacką bratnią duszą. Zawsze będę ci wdzięczna za twoje wsparcie, bystry umysł i miłość.

Jestem dozgonnie wdzięczna wielu ludziom z wydawnictwa Knopf, którzy wierzyli w moją książkę na wczesnych etapach jej powstawania i pracowali, by mogła

ujrzeć światło dzienne. Jestem szczególnie wdzięczna mojej redaktor Robin Desser, która nigdy nie przestała mnie mobilizować, bym stworzyła najlepszą książkę, jaką mogłam. Dziękuję ci, Robin, za twoją inteligencję i życzliwość, twoją wielkoduszność i niezwykle długie listy pisane z pojedynczym odstępem. Bez ciebie ta książka nie byłaby taka, jaka jest. Dziękuję również Gabrielle Brooks, Erinn Hartman, Sarah Rothbard, Susannie Sturgis i LuAnn Walther.

Chylę głowę przed swoimi dziećmi, Carverem i Bobbi Lindstromami, które z humorem przetrwały te czasy, kiedy wyjeżdżałam, by pisać w samotności. Nigdy nie pozwalają mi zapomnieć, że życie i miłość liczą się najbardziej.

Na podziękowania zasługuje też moja wybitna grupa pisarska: Chelsea Cain, Monica Drake, Diana Page Jordan, Erin Leonard, Chuck Palahniuk, Suzy Vitello Soulé, Mary Wyszong-Haeri i Lidia Yuknavitch. Każdemu z was dziękuję za mądre rady, szczerze opinie i rewelacyjne pinot noir.

Jestem ogromnie wdzięczna przyjaciołom, którzy czuwali nade mną i otaczali mnie miłością. Jest ich zbyt wielu, by wszystkich wymienić. Powiem jedynie, że wiecie, o kim mówię, i mam wiele szczęścia, że jesteście częścią mojego życia. Jest jednak kilka osób, którym chciałabym podziękować w szczególności – tym, którzy wielokrotnie pomogli mi w trakcie pisania. Są to: Sarah Berry, Ellen Urbani, Margaret Malone, Brian Padian, Laurie Fox, Bridgette Walsh, Chris Lowenstein, Sarah Hart, Garth Stein, Aimee Hurt, Tyler Roadie i Hope Edelman. Jestem zaszczycona waszą przyjaźnią i dobrocią. Dziękuję również Arthurowi Rickydoc Flowersowi, George'owi Saundersowi, Mary Caponegro i Paulette Bates Alden, których wczesne wsparcie i niekończąca się dobra wola od zawsze znacząły dla mnie tak wiele.

Dziękuję Wilderness Press za opublikowanie przewodników, które były i nadal są najlepszym tekstem dla przemierzających Pacific Crest Trail. Bez autorów przewodników – Jeffrey'ego P. Schaffera, Bena Schifriny, Thomasa Winnetta, Ruby Jenkins i Andy'ego Seltersa – kompletnie bym się zagubiła.

Większość ludzi, których spotkałam na PCT, tylko na chwilę pojawiła się w moim życiu, ale obecność każdego z nich ogromnie mnie wzbogaciła. To oni rozśmieszali mnie, zmuszali do myślenia i sprawiali, że byłam w stanie zmierzyć się z kolejnym

dniem. Przede wszystkim sprawili jednak, że całkowicie uwierzyłam w życzliwość obcych ludzi. Jestem szczególnie wdzięczna moim kolegom absolwentom PCT rocznik '95: CJ McClellanowi, Rickowi Topince, Catherine Guthrie i Joshui O'Brienowi, którzy odpowiedzieli na moje listy z życzliwością i troską.

Na koniec wspominam Douga Wisora, o którym piszę w niniejszej książce. Zmarł 16 października 2004 roku w wieku trzydziestu jeden lat. Był dobrym człowiekiem, który zbyt wcześnie przeszedł na drugą stronę rzeki.

Miigwech.

Książki spalone na PCT

Jeffrey P. Schaffer, Thomas Winnett, Ben Schiffrin, Ruby Jenkins, *The Pacific Crest Trail*, tom 1: *California*, wyd. 4, Wilderness Press, 1989

June Fleming, *Staying Found. The Complete Map and Compass Handbook*

* Adrienne Rich, *The Dream of a Common Language*

William Faulkner, *Kiedy umieram*

** Flannery O'Connor, *The Complete Stories*

James Michener, *Powieść*

Margaret Drabble, *Klatka latem w ogrodzie*

Vladimir Nabokov, *Lolita*

James Joyce, *Dublińczycy*

J.M. Coetzee, *Czekając na barbarzyńców*

Jeffrey P. Schaffer, Andy Selters, *The Pacific Crest Trail*, tom 2: *Oregon and Washington*, wyd. 5, Wilderness Press, 1992

The Best American Essays 1991, red. Joyce Carol Oates, Robert Atwan

Maria Dermoût, *The Ten Thousand Things*

* Niespalona. Zachowana przez całą podróż.

** Niespalona. Wymieniona na *Powieść*.

Tytuł oryginału
Wild. From lost to found on the Pacific Crest Trail

Copyright © 2012 by Cheryl Strayed

Copyright © for the translation by Joanna Dziubińska 2012

Fotografia na okładce
Copyright © 2014 Twentieth Century Fox Film Corporation.
All rights reserved

Opieka redakcyjna
Bogna Rosińska

Tłumaczenie
Joanna Dziubińska

Weryfikacja tłumaczenia
Matylda Biernacka

Korekta
Barbara Gąsiorowska

ISBN 978-83-240-2713-2

znak

Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl

Spółeczny Instytut Wydawniczy Znak, 30-105 Kraków, ul. Kościuszki 37

Dział sprzedaży: tel. [12 61 99 569](tel:126199569), e-mail: czytelnicy@znak.com.pl

Plik opracował i przygotował Woblink

